



WAR BOOK

PIOTR LANGENFELD

SCENARIUSZ CHAOSU NA DZIKICH POLACH



PIOTR LANGENFELD

Scenariusz chaosu Na dzikich polach



© 2020 Piotr Langenfeld
© 2020 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja: **Agnieszka Pietrzak**
Korekta: **Karina Stempel**

eBook:
Atelier Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Tomasz Tworek**

ISBN 978-83-65904-75-1

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**
ul. Bładnicka 65
43-450 Ustroń,
www.warbook.pl

NA DZIKICH POLACH

– Są. U was będą za jakąś minutę. – Głos obserwacji, trzaskający w radiostacji, był cichy i tylko z pozoru opanowany. Tuż przed kulminacją trudno było ukryć emocje. Za każdym razem, nieważne, ile akcji się przeprowadziło.

W tym momencie w okolicy było prawie zupełnie cicho, nie licząc odgłosu spokojnej pracy agregatu auta. Na zewnątrz noc, wiosenna duchota i dalekie, blade jeszcze błyski nadchodzącej zza horyzontu burzy.

Adam Thomal czuł, jak i jemu przyśpiesza serce. Nabierał głęboko powietrza, wierząc się na fotelu. Wzrok miał wbity w ekran.

Teraz zdawało mu się, że w tej zamkniętej puszczy furgonetki jest parno, choć jeszcze przed chwilą zupełnie tego nie odczuwał. Wszystko ze stresu.

Gdzieś obok, blisko miał się zacząć się finał operacji, w której był trybikiem, a może i czymś ważniejszym. Którą tworzył od miesięcy. Jak zazwyczaj w tej robocie – mozolna, nudna dłubanina i na koniec krótki, ryzykowny fajerwerk. Dla niego nic szczególnego, choć pierwszy raz „na wyjeździe”, i to chyba stresowało go najbardziej.

– U nas nic, czysto. – Operator kamery termowizyjnej w głowicy na wysięgniku lustrował szosę na południe od obiektu: kilku starych, pokółchozowych baraków przerobionych na jakieś zakłady czy hurtownie. Szarą, cichą i pustą z pozoru wyspę pośrodku ukraińskiego stepowego krajobrazu, gdzieniegdzie przetykanego kępami lasów.

Adam spostrzegł, że w chwilach napięcia rozumie ukraiński jeszcze lepiej niż na co dzień. Czyli kilka miesięcy tego „zesłania w nagrodę” dawało jakieś rezultaty.

– Trójka od jedyńki – powoli zaczął meldować. Rozumiał wiele, ale w mowie nie szło mu tak dobrze, choć oba języki, ukraiński i polski, są podobne. – U nas czysto, żadnych niespodzianek. Odbiór.

– Trójka, tu jedyńka, rozumiem – potwierdził prędko dowódca, wyraźnie skupiony już tylko na celu.

Ostatnie kilkadziesiąt sekund wlokło się jak godzina. W głowach Polaka oraz jego kompanów zasiadających w PJN-ie, czyli według oficjalnej nomenklatury „przewoźnej jednostce nadzoru” – pocziwej, starej furgonetce Iveco, której nawet nie trzeba było stylizować na wrak – tłukły się myśli. Czy pójdzie dobrze? Czy tych

kilkunastu ludzi, którzy zaangażowali się w dochodzenie, jest w porządku? Wyzbyli się nieładnych ciągów albo i najzwyklejszego bałaganu? *Ruski burdel* – jak mawiał za swoim szefem Thomal. Proste, bał się, że ktoś chlapnął gdzieś i wszystko się rozpadnie, jak to się nieustannie zdarzało w dziesiątkach akcji na Ukrainie, której służby ciągle, z wysiłkiem oraz wielkim kosztem trzeba było prowadzić za rękę i pokazywać co, gdzie i jak.

– Są – zwyczajowo oznajmił dowódca, informując wszystkie posterunki. – Gotowość – dodał zaraz, już surowiej.

Chwilę odczekali, pozwalając figurantom umościć się w nowym miejscu. Nabrać przekonania, że im się udało. Przynajmniej tak rozumiał to Adam, który tak jak wszyscy w samochodzie nie widział, co dzieje się u celu.

– Wchodzimy! – wykrzyknął dowodzący z podnieceniem. – *Go, go, go!!!* – dodał bardziej światowo, ale i pretensjonalnie.

Uspiona okolica zacharczała rykiem silników, które zaraz zmieszały się z dźwiękiem syren. Przez ściany Adam słyszał tłumione okrzyki. Gdzieś wybuchł granat hukowy, a może ktoś strzelił.

Wzrok Thomala napotkał spojrzenie chłopaka przy ekranie. Młody przejmował się, choć chciał uchodzić za profesjonalistę. Chrząknął, usadowił się bliżej ekranu, wracając do swojej obserwacji z użyciem nowoczesnego sprzętu, jaki mu powierzono. Obrócił oko kamery bardziej w lewo.

– Mamy coś. – Jego ciało przeszedł dreszcz.

Zrobił zbliżenie. Zoom w kamerze termowizyjnej był niesamowity. Kilometr dalej, może i więcej, za zakrętem dziurawej drogi, między drzewami stało auto. Terenowy wóz albo drogi SUV widoczny jako biało-szary kontur na monitorze.

– Jednak, kurwa... – Adamowi skronie zapulsowały ze złości. Miał kolejny dowód na swoją teorię, że w tym kraju długo jeszcze będą się uczyć. – Stefan, zapalaj! – Podskoczył do szybki w ścianie oddzielającej ładownię od szoferki. – Mamy jeszcze jednego... – zaczął tłumaczyć pośpiesznie, przekrzykując triumfalne i jednocześnie uspokajające meldunki, że główna część akcji zakończona, a wszyscy są cali.

– Zawracają! – huknął operator kamery, wyraźnie zły, a może i zawstydzony lekkim blamażem swojej służby przed Polakami.

– Jedyńka, tu trójka... Mamy jeszcze jednego... Od południa się objawił... Jeszcze jeden od nich...! – wykrzykiwał Adam na jednym oddechu. Usiłował przy tym nie

paść na podłogę, kiedy blaszana bryła zaczęła tańczyć na nierównej ziemi. Stefan, stosunkowo młody funkcjonariusz CBŚP z czarną czupryną i sylwetką atlety, rozbujał wóz, usiłując wyrwać się z kryjówki w krzakach.

Nie do tego stworzono ten wóz ani nie takich akcji wymagano od ludzi o statusie obserwatorów, choć życzliwych i wspierających.

Stefan Borowicz mimo wieku niemal dorównywał Thomalowi doświadczeniem; w mig łapał i analizował, co się wokół niego wyrabia. Wniosek był prosty – a przynajmniej tak podpowiadała mu intuicja. Kordony puściły albo ktoś pozwolił, by tak się stało.

– Ciśnij, ciśnij! – zawołał Adam, padając na fotel.

Młody Ukrainiec z trudem chował maszt z kamerą, niepokojąc się o cały ten drogi sprzęt i szaleństwo na co dzień opanowanych *Poliaków*.

– Jedyńka, ruszamy za nim... – próbował meldować Thomal rzucony po kabinie.

Tamten chyba protestował, mówił coś o wsparciu, ale niewiele dało się usłyszeć. Silnik pocziwego wozu, w którym umieszczono stanowisko, był dobry, chyba nawet nowy i działał jak ich tajemna broń. Wyjechali na dziurawy asfalt.

– Kurwa, nie dogonimy ich! – Dopiero po kilku sekundach do kierowcy dotarło, że porywają się na niemożliwe. – Złom się rozleci. – Zacisnął zęby i wdusił pedał gazu do samej podłogi.

– Nie pilnowali ich – warknął Adam, trzymając się za kaburę i co chwila oglądając się przez ramię na Ukrainca z takim wyrazem twarzy, jakby to ten nieszczęśnik był wszystkiemu winien. – Odetnijcie im drogę u Zarwadki! Koło wsi! – wydierał się do radia, nie bacząc na kryptonimy, żeby tylko był hałas. By miejscowi gliniarze wiedzieli, że idzie pogoń i muszą reagować. Kto się nie dołączy, skieruje na siebie podejrzenie.

Motor wył niemiłosiernie, jakby błagał o litość. Adam syczał, zaciskając szczęki. Wiedział już, że nie da rady. Że każdy, nawet najbiedniejszy SUV jest lepszy niż ta kupa złomu.

Iveco zaczęło niebezpiecznie się chwiać, kiedy Stefan omijał co większe wyrwy w drodze. Tamci mieli przewagę i ciągle ją zwiększali.

– Kurde, flak! – W głosie szofera dało się wychwycić szczere zaskoczenie.

Do kakofonii charczącego silnika dołączył daleki odgłos policyjnych syren. Ktoś szedł im z pomocą... tylko co z tego?

Szofer wcisnął nagle hamulec i wóz zatrząsnął się tak, jakby miał się wywrócić.

– Ochujeli! – wykrzyknął jeszcze Borowicz, zanim jego słowa zagłuszył odległy dźwięk strzałów. Miarowych, szybkich jak metalowe trzaśnięcia.

Adam rozpoznał typ broni i padł na ziemię. Nie tyle ze strachu, ile raczej rzucony siłą odśrodkową. Usłyszał, jak rwie się metal nad jego głową. Wszystko zawirowało. Coś uderzyło Adama w bok, potem w głowę. Mrok zalał mu jaźń i chyba tylko podświadomie czuł, że samochód się stacza.

– Bezczelne gieroje – wycharczał nie wiadomo po co.

Poczuł swąd prochu. Głośniejszy huk wystrzału wyrwał go z otępienia.

Z szoferki Stefan wysyłał kolejne pociski ze swojego Glocka. Chwila przerwy, odleglejszy trzask, choć trudno było rozeznaczyć, czy to strzelanina, czy burza tak się zbliżyła. Znow dudnienie ołowiu o karoserię i wszystko było jasne.

Adam dobył broni. Zarepetował.

– Od tyłu, osłaniam.

Młody ukraiński funkcjonariusz rzucił coś półgębkiem. Wyraźnie przerażony gramolił się z podłogi, uwięziony w swoim siedzisku.

Adam przymknął oczy. Zbierał siły. Nagły powiew wiatru i świeższego powietrza dodał sił i zmotywował, wskazując drogę ucieczki z potrzasku.

– Marko! – krzyknął Polak, widząc, że nie ma już młodego.

Strzelanina narastała. Thomał dźwignął się ostrożnie i skulony, by nie wystawiać się na trafiające w auto kule, ruszył do drzwi.

Powietrze było ciężkie, duszne. Nieboskłon co rusz jaśniał białymi łunami bijących piorunów. Na te ułamki sekund robiło się jasno jak w dzień.

– Idę! – ostrzegł swoich Adam i z wyciągniętym przed siebie Glockiem ruszył w stronę, skąd słychać było strzały.

Jak w horrorze albo koszmarnym majaku widział tylko urywane sceny. Marko szarpał klamkę, w końcu pomógł Stefanowi wydostać się przez stłuczone okno. Drugą ręką nie przestawał strzelać. Dalej na drodze jakaś postać, jakby niewrażliwa na tę zajadłą obronę, błyskała żółtymi seriami, by zaraz schować się za gruby pień drzewa.

Adam czekał na ten moment. Doskoczył do szoferki.

– Osłaniam – powiedział, przykucnął i raz za razem pociągał za spust, mierząc w strzelca naprzeciw i auto skryte za drzewami.

Od tyłu doleciał go głos syren. Pisk opon, jakieś krzyki. Grupa specjalna ruszyła

do walki. Wszystko w mroku przepędzanym chwilami przez światło piorunów.

Tamten na drodze spróbował jeszcze raz – krótsza seria, na oślep – i rzucił się do auta, którego kierowca chyba chciał wiać sam i zostawić kumpla.

Na szosie bluznęła palba. Kilka karabinków w rękach czarnych postaci przemówiło naraz. Uciekinier padł po drugim, trzecim kroku. Białe obłoczki kurzu pokryły karoserię oddalającego się SUV-a. Już nie uciekał.

Adam nie patrzył. Poczul, że po twarzy cieknie mu strużka krwi.

– Cali? – zwrócił się do kompanów.

Stefan dyszał bardziej z ekscytacji niż ze zmęczenia. Jego sucha, koścista twarz biegacza wydawała się blada, ale może był to tylko odbłask piorunów.

– Dzięki – wykrztusił, klepiąc Marka w ramię, i osunął się na ziemię.

Ukrainiec skinął głową z lekkim uśmiechem satysfakcji, w spojrzeniu Adama również szukając pochwały. Nagle jakiś niewyraźny grymas przeszedł po jego twarzy. Jakby coś go boleśnie ubodło. Złapał się pod bok, tam, gdzie kończyła się kamizelka, i prawie poleciał na plecy.

Adam klepnął się w bok, szukając radia, ale niczego tam nie było.

– Karetka, dawajcie karetkę! – zaczął drzeć się po polsku. ■

ROZDZIAŁ 1

Wiosna zdawała się od razu przechodzić w lato. Kilka dni maja było upalne i duszne. Można by powiedzieć: malaryczne. Ciężkie powietrze i ciepło wypełniały ukraińską stolicę. Słońce grzało nieprzerwanie, a mury wielkich kamienic i trotuary chłoneły upał, czyniąc egzystowanie w Kijowie bardzo uciążliwym.

Dwie terenowe toyoty, szara i srebrna, przemykały przez metropolię, jak najszybciej się dało, by uniknąć porannego szczytu. Ludzi na ulicach było sporo. Śpieszyli się do pracy, tłoczyli na przystankach, wylewali potokami ze stacji metra prosto w duchotę wiszącą nad alejami.

Było jednak w tej zbiorowości coś więcej niż tylko poranny pośpiech. Dało się wyczuć żarzące się napięcie, jakiś niepokój. I nie chodziło tu o codzienne błahostki czy nawet aurę. Adam Thomal widział to wyraźnie, choć tłumaczył sobie te spostrzeżenia zbyt częstą lekturą raportów. Ale tak, coś wisiało w powietrzu, czego znamienym dowodem był fakt, że poranne korki jeszcze się nie zaczęły. Właściciele aut woleli zostawić swoje maszyny, na wypadek gdyby zwyczajny dzień w metropolii przerodził się w coś niedobrego. Zamieszanie i jeszcze więcej coraz intensywniejszych rozruchów. Zbiorowa mądrość... albo Adamowi znów tylko się zdawało.

Siedział na przednim fotelu pasażera. Lubił, kiedy go wożono. Cieszył się chłodnym nawiewem i usiłował się zrelaksować, wyławiając z tłumu co piękniejsze panienki. Smukłe, długonogie, coraz skąpiej ubrane, co bardzo go cieszyło.

Radiowy serwis wypluwał ważne informacje. Mówiono o rosnącym napięciu w kraju, ale padły i szczegóły akcji, w którą zaangażowanych było kilku Polaków. Przynajmniej tyle Thomal rozumiał z przekazu. Parę dni było cicho, nawet za cicho, żadna ze stron nie chciała się chwalić wyczynem. Ani miejscowi, ani „zachodni” czy „europejscy”.

Może to dlatego, że gospodarze mieli poważniejsze kłopoty. Policjantom miało więc wystarczyć uczucie satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku. Jedno zwycięstwo w niekończącej się wojnie, w której jednak brali udział z własnej woli, a kiedyś nawet i z zapalem. Aż pozostało przyzwyczajenie i ślady czegoś, co teraz nazywano „romantyzmem służby”.

Thomal rzucił okiem za szybę po stronie kierowcy. Musieli przebijać się przez ściśle centrum, co pomimo tłoku dawało im nieco poczucia bezpieczeństwa. Za każdym razem jednak obierali inną trasę. Nigdy też nie jechali sami. Zawsze z osłoną.

Dziś Stefan wybrał drogę tuż obok siedziby Rady Najwyższej, gmaszyska o białoszarej barwie, w iście wschodnim stylu obfitującego w kolumnady i zdobienia, przy ulicy Mychajła Hruszewskiego. Podejrzenia Adama zaczęły się ziszczać.

Tu ruch się zagęszczał. Samochodów robiło się więcej, a okolicę wypełniły pohukiwania, krótkie wybuchy petard i chóralne okrzyki wzmacniane hasłami skandowanymi przez megafony.

– Tak... – westchnął markotnie sam do siebie Adam, patrząc na zbiegowisko. – Nasze wygłupy gównem ich obchodzą – dorzucił z wyraźną ironią.

– Co mówisz? – Stefan zmarszczył brwi. Był chyba zły, że nie przewidział tej rozróby. A może tylko zaskoczyło go, że protesty zaczynają się tak wcześnie.

– Mówię, żebyś uważał. – Adam ziewnął, wodząc wzrokiem po tłumie wykrzykującym hasło za hasłem pośród lasu flag Ukrainy, jakichś ochotniczych formacji i co gorsza, banderowskich sztandarów.

– Chuje jebane... – Siedzący z tyłu Maciek aż się zatrzęsł. Każdy miesiąc w jego muskularnej sylwetce zdawał się drżeć, kiedy się złościł. – Każą nam uczyć sukinsynów, a ci śmiały tymi szmatami... – Popukał się palcem w głowę w stronę protestujących za kordonem prewencji, jakby zapomniał, że szyby są półprzyciemnione, a większość zebranych ma na głowie co innego niż wgapienie się w auta.

– A czyj, biedaki, sztandar mają nosić? – Stefanowi nie chciało się tłumaczyć po raz chyba setny. – Tym pajacom tylko Bandera kojarzy się ze spuszczeniem ruskim łomotu, a teraz... Zresztą to wycieczki z zachodu, tutaj nie mają wielkiego poważania... No i wojują jako jedyni...

Przerwał, kiedy ulica się zakorkowała, bo grupa młodych Ukraińców przerwała linię policji i wtargnęła na jezdnię, wszczynając małą bijatykę.

– Dawaj chodnikiem! – Adam wpadł na pomysł. Ważne zmiany ważnymi zmianami, ale on nie zamierzał się spóźniać.

Stefan włączył kierunek, tak by ich obstawa w drugim aucie wiedziała, co robić. Wjechał wolno na krawężnik i mimo że wokoło było z pół tysiąca policjantów, nikt nawet nie spojrział. Nieliczni spokojni przechodnie rozstąpili się, czasem tylko

ciskając krótkie przekleństwa przyciśnięci do muru i ogrodzeń na wąskim chodniku. Dwie toyoty ominęły zamieszanie i zaraz wróciły na brukowaną jezdnię.

– Kurwa, będzie z tego trzeci majdan. – Spokojniejszy tembr głosu Macieja przydawał jego słowom znawstwa godnego uczonych.

Adamowi w kieszeni marynarki zawibrował telefon. Uśmiechnął się na widok wiadomości. Matylda mu gratulowała – choć nie wiedziała czego dokładnie, to domyślała się, że jej facet brał udział w sporej akcji. Na Ukrainie nie było wielu polskich policjantów. Dziewczyna martwiła się i pytała, czy Thomał jest cały.

– Pozdrowienia macie – rzucił kumplom chyba nawet dumny, ale oni tylko pokiwali głowami. – Coś tam o nas w kraju wiedzą!

Naprężył się, jakby tylko o sławę chodziło. Jakby było mu jej mało po tym wszystkim, czym doświadczył go los. Być może właśnie ciągle było mu za mało. Ta jego natura pozera, którą usiłował zwalczać, a która nieustannie wylaziła na wierzch... Znali go, nawet, o dziwo, podziwiali, dzięki czemu piął się w górę, jak kiedyś zaplanował. Nie było to łatwe ani przyjemne, ale działało.

Awans i „kop” do zespołu polskiego kontyngentu unijnej misji policyjnej na Ukrainie. Z jego doświadczeniem w policji i poza nią miał się tu przydać. Jemu jednak wciąż pod czaszką pobrzękiwało, że nie osiągnął prawdziwej sławy.

Książka. Przygryzł wargę w zamyśleniu. *Egocentryczny dupek* – podświadomość w odruchu obronnym podszeptała mu ulubioną ostatnio obelgę Matyldy. Zaraz przypomniał sobie z lekkim zaskoczeniem, które od pewnego czasu go nie opuszczało, że trwa w najdłuższym związku w swoim życiu. Lekko zawirowało mu w głowie. Odpisał na SMS-a i znów szukał wzrokiem co piękniejszych dziewczyn, choć tu, przed „fabryką”, było tylko kilka osób.

Młoda brunetka w ewidentnie za krótkiej mini, lekko trzęsąc się na szpilkach, schodziła w stronę parku obok Domu Ukraińskiego.

– Oj, męczy się, bidula, na tym bruku... – rzucił frywolnie, lustrując długie, jeszcze lekko blade nogi.

– Ty, amant – szturchnięcie Macieja wyrwało Adama z niegrzecznych knowań – masz do kogo wracać, to pilnuj.

Maciej był bardzo prostoliniorny i przywiązany do zasad. Nie współgrało to z wrażeniem, jakie wywoływał za sprawą swojej postury, ciągłot do sportów walki i „wejść na obiekty”, ale dawało mu posłuch u obdarowywanych radami. Facet był

starszy od obu „szczawi”, jak ich nazywał, i raz czy dwa dał im do zrozumienia, że w tej robocie utrzymanie równowagi, a co za tym idzie, normalnego domu to podstawa. Sam to ćwiczył i wygrał.

– Szybko poszło – Adam zmienił temat, widząc już ich siedzibę.

Niepozorny, biały budynek sprzed wielu lat, wyremontowany za unijne pieniądze. Piętrowy ni to pałac, ni to klocek o nieokreślonym stylu, ze skromną kolumnadą przy wejściu i dobudowanym szklanym piętrem. Pomieszczenie dawnego z nowoczesnym. Bardzo zresztą marne.

Parking był prawie pusty, jak zawsze. Wjechali pilnowani przez liczne kamery. Reszta międzynarodowej załogi albo była w terenie, albo konferowała z miejscowymi od MSW po komendę główną Narodowej Policji Ukrainy.

Oni sami też dość rzadko bywali w siedzibie głównej nieopodal Łuku Przyjaźni Narodów i punktu widokowego nad Dnieprem. EUAMU – European Union Advisory Mission Ukraine – misję doradczą UE na Ukrainie tworzyło około dwustu gliniarzy i doradców z całej Europy, a nawet i ze świata. Misję, która miała za uszy wciągnąć podzielone państwo ukraińskie w zachodnie struktury i oduczyć sowieckiego sposobu myślenia. Stąd słano wsparcie do służb antykorupcyjnych i skarbowych, departamentów ministerstwa spraw wewnętrznych czy do szkolenia prewencji. Miejscowym wciąż brakowało doświadczonych nauczycieli.

Po nie tak dawnej demokratycznej zmianie władzy w Kijowie i po – jak to nazwano – „nowym otwarciu i zacieśnieniu współpracy z Polską” Warszawa odpowiedziała na gesty przyjaźni, zwiększając do dziesięciu liczbę funkcjonariuszy, w tym CBŚP, i zezwalając na ich udział w najważniejszych śledztwach. Zwłaszcza tych, których przedmiot zahaczał o bezpieczeństwo Polski i jej obywateli.

Młodszy inspektor Zachariasz Gdula niczym specjalnie się nie wyróżniał – zupełnie tak, jak jego gabinet. Pomieszczenie było nijakie, pomalowane na biało i wyposażone w nowe meble biurowe. Kilka lamp, symboliczne godła polskiej i ukraińskiej policji, znak CBŚP. Żadnego przepychu, porządek i ascetyczna prostota godne Holendrów. Wzór do naśladowania dla miejscowych, których trzeba było oduczać gabinetów niczym u dawnych sowieckich marszałków. Zza okna dolatywały przytłumione odgłosy wybuchów i wycie syren – rzecz ostatnimi czasy tak normalna, że przestano zwracać na nią uwagę.

– Dzień dobry – rzucił od wejścia Thomal i cała trójka ustawiła się przy ścianie

nieomal na baczność. Nie nosiła mundurów, tylko zwykłe ubrania, żeby wtapiać się w tłum, ale Gdula dbał o ceremoniał. Chyba też na pokaz, choć Adam podejrzewał, że on naprawdę jest takim służbistą.

Szef był po pięćdziesiątce, ale nie wyglądał na swój wiek. Dużo biegał i chyba mało jadł. Miał bardzo chudą szyję – wydawać by się mogło, że jego tułów nie ma żadnego połączenia z głową. Nosił białą koszulę i szare spodnie od garnituru.

– Dzień dobry – przywitał się z szerokim uśmiechem. Dobry znak, bo zwykle inspektor minę miał zaciętą, jakby ciągle o czymś myślał i coś analizował.

Gestem zaprosił funkcjonariuszy do szerokiego stołu pod ścianą naprzeciw biurka.

– Kawy? – zaoferował.

Cała trójka przytaknęła. Zachariasz przez drzwi rzucił do sekretarki zamówienie i stanął u szczytu stołu.

– No, nie powiem, ładnie, ładnie. – Obdarował każdego długim, wesołym spojrzeniem.

Adam, jak nakazywała natura „psa”, wietrzył podstęp. Przebywał tu dopiero trzy miesiące. Półmetek. Szef nigdy nie wpuścił go w maliny. Był oschły i wymagający, ale popierał ich metody i ich wspierał. Chciał pokazać skuteczność albo reprezentował nową kadrę, która pozbyła się grzechów lat dziewięćdziesiątych. Thomal zadawał sobie pytanie, czy Gdula tak kogoś wkurzył, że wyekspediowano go tutaj, czy w tym ascetycznym albo nawet autystycznym stylu był tak dobry, że przesunięto go na naprawdę trudny odcinek. I czy za tą wesołością stał smak sukcesu, czy może nowe wyzwanie, których szefowi zawsze było mało?

– Raporty przesłane, zatwierdzone – mówił dalej oficer, nie przestając się uśmiechać.

– Chyba prawie ładnie... – pozwolił sobie na uwagę Maciej.

W zespole powinno być nieco swobody. On mówił otwarcie, zawsze pierwszy kończąc teatrzyki, na co, o dziwo, dowódca zezwalał. Może dla Gduli była to zgrywa; lubił patrzeć, jak młode pistolety w jego ekipie poddają się autorytetowi.

– Przeciek – dowodzący spoważniał, wypowiadając to mocne słowo.

Usiadł. Akurat wtedy nieco pulchna sekretarka wniosła tacę z filiżankami i dzbankiem. Ustawiła wszystko prędko i z pogodnym jak zawsze wyrazem twarzy wyszła, nie chcąc przeszkadzać.

– Był, prawda? To oczywiste. – Adam nabrał odwagi.

Złapał usłudnie za imbryk i zaczął rozlewać kawę.

– Co mam ci, Adaś, powiedzieć... – Zachariasz wzruszył ramionami. – Jasne, że był. Główna ręczy za swoich i jestem skłonny im wierzyć. Nasłuch niczego nie wyłapał. Wzięli wszystkich kolejno na spytki do wewnętrznego. Teraz ich maglują, ale wychodzi na to, że się uczą i zaplusowali.

– Czyli miejscowi... na wiosce – wtrącił Adam, teraz już całkiem impertynencko. – Lokalne krawężniki? – Zmarszczył brwi.

– No właśnie... – Szef wydał usta i splótł palce na stole. – Tak może być... Po cichaczku ktoś się rozpruł. Na takim zadupiu to za wielka kasa, żeby rezygnować. Warta ryzyka. – Umilkł, rozparł się na krześle i zabębnił dłonią o blat. – Ich sprawa. – Ponownie wzruszył ramionami. – Wiecznie żyć nie będziemy, sami mają to rozplątać. Jak Mareczek? – zmienił temat. – Kula poszła po kamizelce, gdyby nie to, byłoby groźnie. Pod żebro dostał...

Gdula zawsze wiedział wszystko.

– Czuje się okej. – Stefan upił kawy. – Niedługo wyjdzie ze szpitala. Dumny, i to bardzo. Ja mu się zresztą nie dziwię. Facet z ikrą. Dupę mi uratował... – Na to wspomnienie Polaka przeszedł dreszcz. – Techniczny, a potrafił chojrakować.

– No, ułany, ułany, a właściwie kozaki. – Gdula znów pochylił się nad stołem i wydał dziwnie dolną wargę w czymś na kształt dezaprobaty. Ale pozornej. – Szarżować na zbójów rozklekotanym busikiem... – Widać było, że z trudem zachowuje powagę; tylko błysk w oczach zdradzał, że to mu imponuje. – I to na trzeźwo!

Nie wytrzymał i zaniósł się krótkim śmiechem, zakrywając usta, jakby się zawstydział.

– No, ale tak trzeba było. – Złapał za filiżankę i uniósł ją jak do toastu. – Będzie pochwała – oznajmił uroczyście i wesoło. – Od naszych i z Brukseli, a co... Niech wiedzą! – Znów się śmiał.

Adam chciał coś palnąć, na przykład zapytać o dodatek do pensji, ale ugryzł się w język.

– Kwity poszły, wszyscy *happy* – opowiadał młodszy inspektor. – Warszawa najbardziej. Mamy sukces. Banda szmuglerów ludzi rozpirzona, ich wódz w ciurmie i tylko... – znów zmienił mu się wyraz twarzy – ...cały ten syf to przyćmiewa. A zaraz może być jeszcze gorzej.

Spochmurniał i teraz owładnęła nim szczerą irytacja. Odwrócił twarz do okna, zza którego cały czas dolatywał szmer gorzejającej miejskiej bitwy.

– Oni tu nie mogą normalnie żyć, a jeszcze ruskie pewno dokładają do kotła. Wczoraj rozpieprzyli jakiś blok tam, w tych Donieckach... Ukropy odwinęły się i też narobiły bałaganu. Ruskie wściekłe, prezydent ma problem... Jeszcze, kurwa, jeden do kompletu... – Nie dokończył zdania, chyba pojmując, że brnie za daleko. – Proces pokojowy, psia nędza.

Zamilkł. Funkcjonariusze czekali, patrząc po sobie, niepewni, czy można się odezwać.

Gdula siedział z filiżanką w dłoni wpatrzony w widok za białą firanką w oknie. Gdzieś tam błyszczał stalowy łuk rozpostarty nad Dnieprem.

– Cholera wie... – przemówił młodszy inspektor spokojnie i bardzo cicho – ... może to ostatnia duża robota? Może trzeba będzie się wyprowadzać?

Te pytania zawisły na kilka chwil w pokoju. Adam przełknął ślinę i szturchnął Maćka pod stołem. Jego wątpliwości też miały się urzeczywistnić.

– Tak źle się robi? – barczysty funkcjonariusz zapytał wprost.

Inspektor Gdula był na powrót opanowany i powściągliwy. Uleciał mu z głowy wybuch sprzed chwili.

– Różnie może być – odparł obojętnym tonem. Nie miał zamiaru uspokajać ludzi. Wiedział za wiele. – Dobra robota, panowie, naprawdę dobra – wrócił do najważniejszych kwestii. – Należy wam się nieco odpoczynku. Czas pokaże, co nam znowu przydzielą. Na razie w nic się nie angażujemy. Mam tylko zostawić na miejscu naszych instruktorów. Kijów i Odessa. Reszta kolegów – wskazał kciukiem na ścianę, dając do zrozumienia, że chodzi o pozostałych sojuszników – też bierze na wstrzymanie. Rozkaz z góry. Na rozchwianej łodzi trudno się poruszać. – Machnął dłonią niedbale na znak, że nie wyszła mu ta przerośnia. – Uporządkujcie kwity do końca... I co? Wielka nuda się zaczyna. – Zapachniało drwiną. – Choć Unia płaci, można się rozerwać. Zezwalam. Byle ostrożnie i wiecie, żeby nie było...

Przekręcił głowę, patrząc spod brwi, i teatralnie pogroził im palcem. Wstał.

– Aha – przypomniało mu się niby – gratulacje! Ale moje pochwały to nic... Kto inny będzie was klepał po plecach. Adaś – wyciągnął palec w stronę Thomala – jest taki *prikaz*.

– Że co, ja? – Adam nie rozumiał. Przecież nie wykazał się niczym specjalnym.

– Stefan, Maciej, no i ten, Marko, idą do wyróżnienia. Ty też za jednym zamachem. Ukraińcy dają po medalu z ziemniaka. Polityka, kwestia odpowiedniego kładzenia akcentów. Dziś bardzo ważna, choć w mojej opinii na niewiele się zda – obdarzył zebranych kwaśną opinią i puścił oko. – Adaś idzie pewno dlatego, że ma dobre chody...

– Że jak? – Thomał nie pojmował.

Pozostała dwójka patrzyła na niego dziwnie, węsząc jakieś nieczne podchody ze strony kumpla.

– Spokojnie. – Gdula od razu dostrzegł tę narastającą wątpliwość. – Mówiłem, taka polityka. Jednego nie wykluczę. Dla ciebie mam coś jeszcze. Będziesz nas reprezentował. Nic więcej nie powiem, bo nie wolno. Wszystko ciągle mgliste, ale powinniście przywyknąć do improwizacji. – Zaśmiał się i podparł pod boki. – Dam wam znać – dodał na znak, że spotkanie dobiega końca. – Pokręćcie się w pobliżu. Uporządkujcie, co tam macie, i cóż... Na razie tyle. Poczekamy, zobaczymy, co nam czas i wytyczne przyniosą.

*

Zamieszki w Kijowie rozgorzały, obejmując kilka przecznic więcej. Huk petard odbijał się echem, mieszając się z wyciem syren. Grupy wyrostków i odzianych w dresy chuliganów wyczuły moment i ruszyły demolować i okradać sklepy. Mieszały się z ubranymi po wojskowemu ludźmi, głucho na krzyki i polecenia, by nie podgrzewać atmosfery.

Z całego miasta ciągnęły kolumny dodatkowych sił policji. Armatki wodne i policyjne „budy” do zamykania zatrzymanych.

Ponad chodnikami i dachami kamienic grzmiało hasło: „Prezydent precz, nie oddamy ukraińskiej ziemi!”.

Demonstranci zaczęli dzielić się na mniejsze i większe grupy, by nie dostać się wszyscy naraz pod razy pałek i strumienie zimnej wody. Mimo to przemoc nie gasła, wręcz przeciwnie, a furia protestujących rosła. Ci, którzy mieli dość, rozchodzili się coraz mniejszymi grupkami; wchodzili do sklepów, kawiarni, znikali w tunelach metra lub przestawali na przystankach autobusowych. Za sprawą mundurowych, którzy zapełniali centrum, wydawało się, że stolica znalazła się pod jakiegoś rodzaju okupacją.

Od uchodzącego pod naporem sił policyjnych tłumu, którego członkowie woleli ograniczyć się do wykrzykiwania postulatów, zamiast wikłać się w fizyczną konfrontację, odłączyło się dwóch mężczyzn. Byli ubrani po wojskowemu, z orderami zdobiącymi piersi. Stroje były nienowe, wytarte, świadczące o tym, że ich właściciele używali ich przez długie miesiące gdzieś tam, na froncie ciężkich kampanii. Ramiona zdobiły dumne, ostre w przekazie naszywki batalionów ochotniczych.

Nie byli starzy, ale też już nie młodzi. Krótko ostrzyżeni blondyni o opalonych twarzach. Wyglądali zupełnie zwyczajnie, jak jacyś budowlańcy, motorniczowie czy strażnicy w fabryce. Szaraki z wielkiej, porzuconej armii.

Jeden z nich kulał lekko na prawą nogę. Jak wielu mu podobnych, cierpiał do dziś od ran, których nabawił się na wojnie.

Weszli w cuchnący zaułek – małe podwórko między dwiema kamienicami. Zostawili za sobą powrzaskujący jeszcze tłum.

W szarej studni między domami, o wiele obskurniejszej, niż sugerowały ich wymuskane frontony, parkował czarny porsche cayenne. Wóz, można by rzec, pospolity pośród luksusowych aut w bogatym, wręcz snobistycznym Kijowie o – zdawałoby się – najwyższym odsetku porsche czy tesli na kilometr kwadratowy na świecie.

Drzwi auta otworzyły się i wyszedł z niego barczysty brunet. Był w szerokich dżinsach i wyciągniętej na wierzch granatowej koszulce polo. Liczył sobie trochę ponad czterdzieści wiosen. Górował wzrostem i budową nad tamtymi dwoma. Krótkie rękawy opinały solidne bicepsy, a pod materiałem na piersi rysowały się wypukłości trenowanych latami mięśni.

Był dość mocno opalony, a przecież dopiero co zaczynała się prawdziwie gorąca, ale wiosna.

– *Sława Ukraini* – powiedział facet ze zgrywą, machając na powitanie.

– *Herojam sława* – odpowiedzieli obydwaj rozbawieni.

Jeden z nich ruszył do bagażnika i go otworzył. Dwaj jasnowłosi mężczyźni poczęli ściągać z siebie uniformy. Szybko wkładali cywilne łachy: jeden T-shirt, drugi koszulę. Za kilka chwil znów byli przeciętnymi śmiertelnikami. Już zapomnieli o paru godzinach spędzonych w zbiorowisku takich jak oni – weteranów.

– Tam macie jakieś żarcie – rzucił brunet. – Kanapki, batony. Na coś ciepłego zatrzymacie się, jak wyjedziecie z miasta. – Obrócił głowę w stronę wylotu

z podwórka, skąd wciąż dobiegał hałas.

– Wspaniale gotujesz, Doktorze – dociał mu blondyn, żując kawałek odpakowanej kanapki. – Nie damy rady, za duży burdel...

– W sumie dobrze. – Drugi wydawał się zadowolony. – Niech się boją. Niech góra wie, że obudziła potwora. Kiedy się to wszystko rozpędzi...

– Rozpędzi? – Barczysty brunet popatrzył na kompanów i przygryzł wargę. Myślał o czymś intensywnie. – Ciekawe, jak reszta – dodał cicho, zaintrygowany. – Mam nadzieję, że ich nie potłukli... Że udało im się wymigać.

– Potłukli? – Blondyn z kanapką prychnął okruciami. – Bez jaj. Nie wierzysz w to, co mówisz, Doktorze. – Przełknął i sięgnął po butelkę coli. – Jakoś się wydostaną. Jak i my. Wcześniej czy później, jeden pies. – Oparł się o wóz. – Co innego mnie martwi. Żuli dużo... Wiedziałem, że tak będzie, ale żeby aż tylu? Zwykli ludzie będą narzekać. Nie poprą... Jak był majdan, ani jednego sklepu nie obrabowano, a teraz...

– Co fakt, to fakt – przytaknął brunet niewesoło i też oparł się o auto. – Nawet policja nie wchodziła w drogę. Ktoś tam w MSW popiera ten opór, ale teraz nie mają wyjścia. Łatwo przez to nie będzie.

Jakby na potwierdzenie jego słów gdzieś niedaleko rozerwały się dwie większe petardy. Dudnienie wypełniło podwórko. Zaśmierdziało spalenizną.

– Dobra, bojcy! – Doktor klasnął w dłonie. – Do wozu... Zanim was odetną. – Zasiadł za kierownicę.

Dwaj pozostali zbierali się szybko.

– Ty jak? – zapytał pierwszy zaciekawiony i zatroskany. Resztę kanapki wyrzucił. – Wiesz gdzie? Masz transport?

Brunet wyciągnął dumnie szyję.

– A jak myślisz? – Pytanie było retoryczne i niemiłe. – Wszystko załatwione. Nie interesuj się. – Dobry nastrój całkiem z niego uleciał, dając miejsce skrywanej frustracji, napięciu związanemu z całym tym szaleńczym pędem, jaki bez ostrzeżenia mu zafundowano. – Na pewno wszyscy się znajdziemy, tak musi być.

– Coś dużego, co?... – Drugi z blondynów wcisnął szyję w ramiona i mówił półszepem.

– Dużego – potwierdził kulturysta. – Przekonamy się. – Ewidentnie nie był zadowolony. – Sami się pewnie przekonacie. Wy do Lwowa, a ja... ja gdzie indziej, gdzie nas potrzebują. – Ucichł na chwilę, udając, że skubie jakiś brud na lusterku. –

No, dobrze... – Na powrót przybrał wesołą minę, nie chcąc żegnać się zbyt grubiańsko. – Róbcie swoje... Pewnie szybko się zobaczymy. – Wyciągnął mocarne ramię i mocno uściskał prawice chłopaków. – Najeźdźmy się, najeźdźmy jak nigdy w życiu!

Machnął jeszcze na pożegnanie, z tylnego siedzenia wozu zabrał niewielki turystyczny plecak i zarzucił na ramię. Odszedł, nie oglądając się za siebie, i zniknął w wejściu do klatki schodowej.

*

Sebastian Wicki zamknął mieszkanie i zbiegał po schodach, szamocząc się z płaszczem, aktówką, kilkoma skoroszytami i małym plecaczkiem, który zwykł nosić. Ten element nie pasował ani do modnego granatowego garnituru, ani do stanowiska podsekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów – nowo mianowanego urzędnika już poważnego szczebla.

Tego poranka Wicki był spóźniony i dobrze o tym wiedział. Zaspał, zasnęła żona, zasnęła dwójka dzieciaków. Później nastąpiło pandemonium pośpiesznych przygotowań.

Nienawidził bałaganu i odstępstw od zasad. Zwłaszcza teraz powinien dbać o dobrą opinię. Zaszedł daleko dzięki własnym staraniom i musiał pilnować zdobyczy.

Skakał po dwa, trzy schodki na klatce czteropiętrowego bloku na warszawskim Ursynowie. Mijając okno na półpiętrze, zobaczył, że na zapchanej uliczce osiedla czeka już jego służbowa škoda. Mały przejaw luksusu, jaki przynależał władzy, a który Sebastianowi bardzo się podobał. Mężczyźnie trudno było zwalczyć wzbierający w nim zachwyt.

– Dzień dobry pani! – Wicki w pędzie przywitał sąsiadkę, wiekową panią Anitę, która wciąż dziarsko starała się opierać PESEL-owi i dreptała co dzień po bułki.

Podsekretarz szarpnął za klamkę drzwi przedsionka klatki schodowej i odruchowo zerknął w stronę skrzynki pocztowej.

Ze szpary wystawał kolorowy kartonik. Poczta, niewepchnięta do środka, tak by można było ją zobaczyć. Sebastian pomyślał, że to jakaś reklama, choć te wtykano pod każdy numer.

Wicki wyszarpnął papier, gotów go zmieść i wyjść, kiedy dojrzał zdjęcie. *Casablanca* – przeczytał podpis na widoczku z marokańskiego portu.

W jednej sekundzie przestało mu się śpieszyć. W głowie jakoś zawirowało i zrobiło mu się zimniej. Mrowienie przeszło po całym kręgosłupie. Ostrożnie, bojąc się wypisanej na odwrocie treści, obrócił papier.

Przemknął wzrokiem po drukowanych literach. Jeszcze mocniej zakręciło mu się w głowie. Skoroszyt prawie upadł na podsadzkę. Podsekretarz oparł się o ścianę wpatrzony w tekst i usiłował prędko zebrać myśli.

Dopadała go przeszłość. Szczeniące błędy, kiedy jeszcze pokonywał jedną z wielu barykad, kolejny szczebel, robiąc przecież wiele dobrego. Będąc fair wobec siebie... Nie zawsze jednak. Małe wyjątki się mściły. Nie sądził, że wyjdą na jaw, wtedy tak nie uważał. *Ile wiedzą?* – usiłował wydedukować, naiwnie wpatrując się w widokówkę niczym w szklaną kulę. Zaczął się bać, że to wszystko dotrze do szefów. Jeżeli jeszcze do tego nie doszło, to miał w ręku dowód, że niedługo może się tak stać.

Zmiał pocztówkę i włożył niedbale do kieszeni marynarki. Wziął kilka oddechów i już nie tak pewnym krokiem wyszedł z klatki.

*

Bałtyk, zwłaszcza północny, nie jest przyjemny. Szczególnie wiosenną nocą. Z poziomu pokładów szybkich łodzi wydawać by się mogło, że zima wcale się nie kończyła. Fale czarnej wody nie były zbyt wysokie. Jak na tutejsze warunki i aurę morze było spokojne. Tylko ten zimny wiatr, potęgowany pędem pontonów, i rozbryzgi wody męczyły pasażerów rzuconych jak na wybojach.

Znali to wszystko. Bardzo się starano, by wsiąkli w to niepasujące człowiekowi środowisko, by stali się jego częścią.

Czas, w którym działała grupa zamaskowanych, uzbrojonych ludzi pędzących na trzech łodziach, a tym bardziej pogoda nie miały prawa odciągnąć ich od celu, jaki im wyznaczono.

Średniej wielkości frachtowiec rósł w oczach z każdą przebytą milą. Nie był nowy ani specjalnie urokliwy. Jedna z wielu jednostek przemierzających morza i oceany. Spod zacieków i plam rdzy przebijała błękitna farba okraszona białym światłem lamp. Oświetlona wyspa stali o białej nadbudówce u rufy, tuż u wód terytorialnych Królestwa Szwecji.

Kamil „Monsignore” trzymał się uchwyty jedną dłonią, drugą przyciskając G-36K

do kamizelki kuloodpornej. Głowa wędrowała raz w kierunku statku, raz w stronę ekranu radaru sternika.

Wzrok operatora uniósł się ku niebu, jakby chciał dostrzec uskrzydłonego obserwatora, który czuwał nad nimi wszystkimi. Nie miał szans. Dron był jak duch, rozmyty na czarnym płótnie zmroku.

– Blue One, jest jakiś ruch? – rzucił Kamil do mikrofonu przy ustach po angielsku. Nie wytrzymał, przerwał tę świętą chwilę napięcia tuż przed abordażem, kiedy wszystko już wiadomo i każdy tylko czeka.

– Bravo Ten, spokój – z mroku, gdzie fale pruć druga łódź, przyszła spokojna odpowiedź.

Monsignore nie byłby sobą, gdyby uwierzył na sto procent. Przeważnie był nieufny i przeważnie dobrze na tym wychodził przez te naście lat w firmie.

Dałby wiele, żeby samemu dzierżyć w ręku ekran modułu, który pokazywał ten sam widok, jaki miał operator bezzałogowca.

Pontonem szarpnęło. Uniósł się wyżej na fali kilwateru i zrobił delikatny zwrot w lewo. Łódź z przodu była szybsza, ale teraz zwalniała. Wszyscy na pontonie Monsignore unieśli broń, gotowi wesprzeć pierwszych, którzy mieli wdrzeć się na frachtowiec.

Celowniczy karabinu maszynowego M240 ulokowanego na dziobie, wyczekując jakiegoś zagrożenia, starał się przesuwac lufą, celując od rufy po burtę. Trudno było mierzyć z rozhuśtanego pokładu. Podobnie jak ulokowanemu tuż obok snajperowi, który na obrazie termowizyjnego celownika szukał kryjących się w mroku kolegów po fachu.

Przy celu takiego rodzaju i o takim stopniu ważności powinni mieć do dyspozycji śmigłowiec. Jednak Sztokholm – i kto tam jeszcze podejmował decyzje oraz dawał zielone światło w tym przypadku – chciał zachować pozory rutyny. „Rutynowej” kontroli. Póki byli na wodzie, dało się w to jako tako uwierzyć, ale zaraz powinno się to zmienić.

Nikt nie wysyłał ot tak, na chybił trafił, Särskilda operationsgruppen – szwedzkiej specjalnej grupy operacyjnej, elity królewskich sił zbrojnych – do kontrolowania żeglugi na Bałtyku. I do tego wspólnie z połową sekcji rozpoznawczej z polskiej Formozy, o co usilnie prosił sam Monsignore, który wraz z niemałą grupą kolegów wspierał w międzynarodowym towarzystwie szwedzką „neutralność”. W tej chwili

oczywiście jako utajniony element grupy gospodarzy, pozorującej ćwiczebne wejście, jak ogłoszono kapitanowi i załodze.

Już wiedzą – ta uporczywa myśl trzymała się Kamila, jak za każdym razem potęgując lęk. Uczucie, którego nikt z nich nigdy nie mógł się pozbyć. Bez względu na doświadczenie i liczbę odbytych misji.

Statek płynął ze stałą prędkością, nie przyśpieszał, nie uciekał, ale też nikt na pokładzie nie chciał nikomu ułatwiać zadania. Nie było widać ruchu przy relingach, kiedy dwie łodzie podchodziły pod rufę na wysokości mostka.

Dron, który „pilnował” całego zdarzenia, odgrywał jeszcze jedną rolę: zagłuszał łączność.

W jasnoszarym świetle obrazu w noktowizorze Monsignore widział, jak z łodzi dowódcy zostaje wystrzelona lina z drabinką. Wszystko w ruchu, kiedy ponton prawie uderzał o stalową burtę i tylko kunszt sternika pozwalał być pewnym, że nie dojdzie do kraksy.

Pierwsi operatorzy wspinali się szybko i sprawnie. Kamil to znał. Ćwiczył to tysiące razy i już szykował się na swoją kolej.

Ciemne sylwetki ludzi ostrożnie rozeszły się grupami po pokładzie. Obstawiały kolejno wejścia, otwierały je, osłaniając się wzajemnie. Grupa dowodzona przez Blue One wzięła na cel nadbudówkę i mostek. W słuchawkach trzeszczało od rozkazów i ostrzeżeń, z których Kamil niewiele rozumiał. *Co to za język?* – prawie mu się wymknęło.

Frachtowiec zwolnił, aż wreszcie zaczęło się wydawać, że przystaje. Zamienia się w stalową wyspę pośrodku czarnych wód.

Sternik dostał zezwolenie i łódź Kamila pomknęła do statku.

Monsignore wchodził w środek zespołu. Drabinka była nieźle napięta, ale i tak wspinaczka nie jest niczym przyjemnym, kiedy człowiek się huśta i obija o burtę. Plama światła pokładowych latarni rozlewała się tylko blisko statku, wyrrywając nieco miejsca nocy, która dalej zdawała się być szumiącą otchłanią.

Kamil wgramolił się na reling. Sprawdził plecaczek ze swoim „pancernym” komputerem i zgodnie ze sztuką przytulił się do ściany, osłaniając pozostałych i potulnie czekając, aż dowodzący powie, że może włączyć się do przeszukania. W końcu był tu teraz podwójnym gościem *incognito*.

W słuchawkach wybrzmiał znajomy głos dowódcy zespołu. Wzywał dowódcę

łodzi, którą płynęło czterech Polaków. Dryblas, prawdziwego wikinga z gęstą brodą, teraz ukrytą pod balaklawą.

Wiking klepnął Kamila w ramię i wskazał drzwi u podstawy nadbudówki.

– Twoja kolej.

Sigge Nyberg znał Monsignore dość dobrze i wiedział, że ta robota to dla niego wielka frajda. Nawet mimo stresów i niebezpieczeństw Kamil tym żył. Wszystkie minusy były rekompensowane przez radość z załatwienia kilku prawdziwych skurwieli i emocje związane z poznawaniem najgłębiej ukrytych tajemnic.

Szwed wiedział, że Monsignore będzie zadowolony.

*

Kennet Boss kroczył wolno po betonowym parkingu. Na ramiona narzucony miał plecak, a w dłoni trzymał sporą torbę z zapasami jedzenia i zmian bielizny. Wszystkim, co było potrzebne kierowcy ciężarówki.

Boss dobiegał sześćdziesiątki. Był wysoki, lekko przygarbiony i bardzo chudy. Mówiono, że wręcz zasuszony. Człapał na chudziutkich nóżkach, znaku rozpoznawczym siedzących całymi dniami za kierownicą szoferów.

Jego pojazd, siedmioletnie volvo FH-16 540, parkował pomiędzy kilkoma innymi wozami w granatowo-żółtych barwach firmy transportowej Dan Spedition.

Baza była prawie pusta, większość pracowników znajdowała się w trasie. Gdzieś w kraju, ale i w Europie.

Kennet otworzył drzwi, stanął na schodkach kabiny i wrzucił tam swoje pakunki. Wyciągnął z torby plastikową teczkę z papierami i sprawdził, czy wszystko się zgadza. Zanim jednak zaczął układać swój dobytek, postanowił obejść wóz. Ładunek był na miejscu, solidnie przymocowany.

Na pace zespolonej z autem, czyli inaczej niż w pełnowymiarowym zestawie ciągnika z naczepą, ustawiono długą, wąską konstrukcję. Nie najnowszą, ale zadbaną, przenośną białą budowlę. Coś jak kamper bez kół. Podobno z łazienką i małą kuchnią. Kennet nie pojmował, jak można mieszkać w takiej klitce – wedle jego wyobrażenia była to plastikowa trumna, w której nie da rady porządnie się wyprostować ani wyciągnąć na łóżku.

Boss sięgnął po papierosa. Zapalił i ponownie sprawdził wszystkie pasy mocujące. Spojrzał na horyzont. Zaszłe niedawno słońce rzucało jeszcze pomarańczowy blask na

bezchmurne, szarzejące niebo. Tak, pogoda zapowiadała się wyśmienicie, a Kennet czuł się dobrze. Był wyspany, dobrze napoił się kawą. Lubił tę robotę. Odkąd dzieci wyszły z domu, nie przepadał za dniami spędzonymi w nim razem z żoną i tym chętniej brał każdy kurs. Póki zdrowie dopisywało. Zlecenie przyszło od samego pana Braldiga, szefa Dan Spedition, gdzie Kennet pracował piąty rok, odkąd odpowiedział na ciekawe ogłoszenie.

Trasa tego dnia miała być krótka i prosta, w tereny, gdzie rzadko zdarzało mu się podróżować, co tym bardziej go interesowało. A przecież za kółkiem widział już prawie wszystko.

Rzucił niedopałek i zgniótł go czubkiem buta. Wszedł do kabiny. Włączył CB i radio. Kiedy segregował dokumenty i szykował krążek tachografu, zaczęły się wiadomości. Podane w pozornie lekkim stylu pasującym do nowoczesnej formuły, takiej bardzo młodzieżowej i prześmiewczej, mimo wszystko były niepokojące. Poziom przemocy gdzieś na Ukrainie wyraźnie rósł. Dochodziło do starć jakichś zbuntowanych ludzi, niegodzących się na wycofanie wojsk i oddanie kawałków kraju, których Kennet nie potrafił nawet umiejscowić. Mówiono o uroczystościach w tych „niezależnych” republikach, organizowanych z okazji przypadającego pojutrze Dnia Zwycięstwa. Chwilę później nadano krótki komentarz jakiegoś mądrali, analityka, który mówił o zwiększającej się koncentracji wojsk rosyjskich na granicach z Ukrainą. I te lokalizacje duńskiemu kierowcy nic nie mówiły.

Bossem owładnęło jakieś niemile przeczucie. Nie interesował się polityką, ale te walki na Wschodzie bardzo go zaniepokoiły. Przecież miał się udać w tym kierunku. Bliżej, dalej – było mu bez różnicy, ważne, że w ogólnym kierunku na wschód. Chwilę myślał, czy nie dobrze byłoby dopytać znajomych szefa, którzy czasem wpadali do biura, co tam się właściwie wyprawia. Przecież byli z tamtej części Europy.

Kierowca przełączył stację, szukając wesołej muzyki. Zamknął drzwi i zanim zapalił silnik, sięgnął po kolejnego papierosa.

*

Prezydent Rzeczypospolitej tylko pozornie nie interesował się przemówieniami kolejnych specjalistów – zebranych kilku urzędników i doradców. Przeciwnie. Sprawy poruszane tego dnia w specjalnym zabezpieczonym pokoju w siedzibie Biura

Bezpieczeństwa Narodowego zajmowały go bardzo. I z każdą chwilą niepokoiły coraz bardziej.

Uważnie przeglądał zapisane kartki z analizami i opiniami. Bał się, choć nie miał zamiaru tego po sobie pokazywać. On i cała jego kancelaria, a także rząd, stali w obliczu kryzysu o wiele poważniejszego niż porwanie cywilnej maszyny do Afryki. Stresujący czas, który dał jednak głowie państwa dobrą nauczkę. I nieco więcej siwych włosów na skroniach.

Wahania nikt nie akceptuje, nawet najbliżsi przyjaciele i doradcy. Brak zdecydowania również w ich serca wlewa niepewność i może pozbawiać energii.

Nie było łatwo wzbudzić w sobie tyle stanowczości, by odgonić wątpliwości i wyuczoną skłonność do koncyliacji. Tak lub nie, białe lub czarne. Zwłaszcza w tym momencie. Kiedy sytuacja u granic Rzeczypospolitej zmieniała się prędko i – choć przeciętni zjadacze chleba jeszcze tego nie wiedzieli – robiła się groźna.

Prezydent otaksował wzrokiem zdjęcie satelitarne pełne prostokątów, które były sfotografowanymi z kosmosu rosyjskimi czołgami, zamknął jeden ze skoroszytów i dopiero po chwili zorientował się, że nikt już nic nie mówi. Zebrani czekali cierpliwie na jego reakcję, jakiś gest.

Przez oblicze czterdziestopięciolatka przemknął grymas, w którym tylko niektórzy rozpoznaliby objaw podenerwowania. Prezydent doskonale opanował odpowiednią mimikę. Przywołał na twarz wyraz troski i jednocześnie intensywnego namysłu, choć wcale nie uśmiechało mu się podejmować decyzji samemu.

– Doprawdy tragiczny obraz... – zaczął cicho, dotykając kciukiem brzegu okładki zeszytu. Opinia nie była odkrywczą, każdy mógłby się pod taką podpisać. Prezydent obrzucił zebranych spojrzeniem, ale próżno było szukać w ich minach jakiegoś wsparcia, podpowiedzi. – Mimo tych wszystkich zajść – wskazał na skoroszyty – nie należy odpuszczać. Właściwie nie można – oznajmił wojowniczo, marszcząc czoło i czując, jak zaciska mu się gardło.

Bał się, naprawdę się bał. Być może było to coś więcej. Przeczucie, ostrzegawczy podszept, by uważał. Że sytuacja ewidentnie nabrzmiewa do poważnego starcia, być może w całym regionie.

Głowa państwa ze zdumieniem spostrzegła, że na obliczu siwowłosego, niemłodego ministra spraw zagranicznych pojawia się grymas ulgi. Jakby tuż przed chwilą wierzył, że misterna dyplomatyczna gra nie zakończy się zaplanowanym

finałem.

Siedzący po prawej prezydencki doradca, minister Cezary Waligóra, nie potrafił ukryć zdenerwowania. Już od pewnego czasu coraz bardziej przejmował się sytuacją za wschodnią granicą. Stawało się to jego obsesją, powodem bezsenności, kłopotów w domu i coraz częstszych bólów w różnych częściach przepracowanego ciała.

Waligóra, siwiejący blondyn w grubych okularach, sięgnął po szklankę i wziął głęboki haust, udając, że płucze gardło po długim odczycie.

– Obawiam się... – powiedział, prawie czkając. – Obawiam się, że ta cała wycieczka w takich warunkach wypada blado. Niewiele z niej przebije się do... – Skinął na zawieszony na ścianie duży, zgaszony ekran. – Kolejne rozruchy, ba, majdan w Kijowie i już prawie otwarta rebelia na zachodzie kraju... – Z każdym wypowiedzianym słowem coraz wyraźniej dopadały go marazm i zubożenie. – Jeżeli w tym czasie i u naszych granic zaczną się dalsze podejrzane ruchy, to...

Szef zmarszczył zdziwiony brwi, zastanawiając się, czy jego pomocnik po prostu nie żartuje w tym niezbyt odpowiednim momencie. On wątpił?

– Do tego dochodzi o wiele większe niebezpieczeństwo... – dodał Waligóra, jakby szef telepatycznie przekazał mu swoje wcześniejsze obawy. Tyle lat współpracy mogło powodować podobne stany i sposoby myślenia.

Generał, dowódca Służby Ochrony Państwa, postawny, wysoki brunet dobiegający pięćdziesiątki, ubrany w dopasowany garnitur, chciał już coś dorzucić, ale ubiegł go Wojciech Nikomski.

– Trzeba wzmocnić przekaz. I już. – Wzruszył ramionami były koordynator służb specjalnych.

Wszyscy zebrani politycy i oficerowie zwrócili na niego spojrzenia. Nikomski nie mówił nic odkrywczego. Jednakże sposób, w jaki to robił, szokował. Na tych naradach zazwyczaj rzucał najlepszymi pomysłami, tak jakby mówił o wyjściu z psem na spacer, jak o rzeczy banalnej i oczywistej.

Prezydent rozparł się na krześle z jedną dłonią na oparciu, drugą dając łaskawie znak, by minister mówił dalej. Usta bezwiednie wykrzywił mu kpiący uśmiech.

Głowa państwa domyślała się, że Wojciech ma coś ciekawego i że to jak zawsze wypali. Tak, prezydent był absolutnie pewien, że zrobił dobrze, przyjmując na „przechowanie” byłego ministra po jego wymuszonym odejściu ze stanowiska. Sprawa lotu do Hurghady albo raczej cały spisek, jaki wiązał się z tamtą niewesołą

historią i jej międzynarodowymi implikacjami, nie były winą Wojtka. Jego jedynym grzechem było zbyt późne wykrycie powiązań, choć wtedy wszystko działało się szybko. Obowiązkiem zaś, jako człowieka honorowego, było wzięcie na siebie odpowiedzialności politycznej. Wielu żałowało, ale zasady to zasady. Koledzy Nikomskiego, a nawet bezwzględna opinia publiczna odetchnęli z ulgą, kiedy „duży pałac” znalazł posadę dla poczciwca. Co stałoby się z Wojciechem, gdyby akcja się nie powiodła?

– Przez wzmocnienie przekazu rozumieć napompowanie rangi wizyty pana prezydenta – mówił dalej Nikomski z należąca powagą i ciągle bez emocji. – Zapraszamy naszych policjantów do chwalenia się sukcesami wspólnie z Ukraincami, ale to będzie za mało. Jest to misja pokojowa, a przynajmniej próba utrzymania pokoju. Jeżeli na Kijowie krzyżyk postawiła Unia od Brukseli po Berlin i tylko Amerykanie jeszcze coś mogą, i nas w to angażują, to... Niech podesłają kogoś, do licha ciężkiego.

Prezydent prychnął cicho i zawstydzony potarł twarz.

– Jak pan to sobie wyobraża? – Siwy szef MSZ wyprostował się lekko nabzdyczony, że w jego – fachowca – obecności podrzuca się tak niedbale, prostackie pomysły. – Żaden amerykański polityk, do tego związany z tą administracją, nie wyściubi nosa poza Waszyngton, zwłaszcza jeśli idzie o Ukrainę. – Poprawił nerwowo okulary. – Kwestia impeachmentu powiązana z ukraińskimi przekrętami wiąże im ręce. Niby sprawa zakończona, ale niesmak pozostał. Wielu się czepi. Nie ma mowy. – Machnął na znak, że to definitywnie zamyka temat.

– Czy ja mówię, panie ministrze, o politykach? – Nikomski nie bardzo się przejął. – Media ich zjedzą, kiedy padnie choćby cień podejrzenia, że prezydent wysyła umyślnego, by załagodzić nieroztropne posunięcia w kontaktach z oligarchami. Uważam, że ta sprawa rozejdzie się po kościach, ale teraz muszą uważać. – Oczywisty i niepotrzebny wtręt miał uzmysłowić siwemu dyplomacie, że i on, „zrzut” do pałacu albo bezpiecznik, jak o nim mawiali co mniej przychylni, rozumie, o co w tym chodzi. – Wojsko. Amerykańskie wojsko i dużo prezentów. – Wojciech sugestywnie rozłożył ręce, niczym pracownik agencji reklamowej przedstawiający swoją wizję reklamy. – Jeżeli i im, i nam zależy, a oni mają moce prerobowe i są bogatsi, niech coś dorzucą, skoro sami nie mogą wydelegować nikogo z samej góry. Jakiś generał? Dowódca korpusu w Europie mógłby towarzyszyć panu prezydentowi. – Zrobił teatralny ukłon.

– Mamy jeszcze kilka dni, da się to uzgodnić, choć nie będzie łatwo. Wysoki poziom bezpieczeństwa i tak jest zapewniony, więc powinni się zgodzić. Do tego podarowanie kilku „zabawek”... Dlaczego po cichu, choć oficjalnie? Trzeba głośno i do mediów. Pociski przeciwpancerne, samochody, moździerze czy radary? A może wszystko naraz? Niech przekaz będzie mocny. Osobno rozmowy z głową państwa, osobno wsparcie wojskowych. Uważam, że na takie obrazki ta rozkrzyczana tłuszcza nieco przystopuje. Do tego widok jankesa, który daje rękojmię, że Ukraińcy mogą liczyć na wsparcie w obronie przed wrogiem, ale tylko jeżeli będą trzymali się razem... A i w naszej sytuacji, kiedy mamy coraz więcej „turystów” oraz cichy stan gotowości, to może dać do myślenia.

– Jest druga opcja. Że niezadowoleni będą jeszcze głośniej krzyczeć. – Waligóra wydawał się nieprzekonany podobnie jak szef MSZ. – Dopiero cała zachodnia Ukraina podniesie larum, że Amerykanie też ich zdradzili i wspierają... jak oni to zwą... prywatną armię oligarchów.

– Dlatego zaznaczyłem, by podzielić spotkania i popisy. – Nikomski nie dał się zbić z pantałyku. – Mamy jeszcze trochę czasu. Nie wiem, gdzie było planowane spotkanie z naszymi, ale może znajdzie się jakaś jednostka szkolona przez natowskich doradców, nieco dalej od Kijowa? – rzucił drwiąco. – Niech tamtejsi weterani widzą, że wspieramy wszystkie opcje.

Teraz uwaga skupiła się na Mateuszu Łukaszczyku, podsekretarzu stanu MON – najmłodszym z obecnych, ale już łysiejącym, kościstym mężczyźnie o zapadniętych policzkach.

– Z tym nie byłoby problemu. – Przygryzł wargę, wyraźnie niewyrobiony w radzeniu sobie z atencją moźnych.

– Przepraszam, że wejdę w tę uroczą wizję... – Dyplomata nie krył swojej niechęci. Czuł, że kilkutygodniowy, skomplikowany proces rozmów i umawiania wszystkich ze wszystkimi może zacząć się sypać. Jemu zaś groziło popadnięcie w najgorszą z ról, a mianowicie niewiarygodnego gracza, który tracąc kontrolę, w ostatniej chwili wywraca plan umówiony w kilku światowych stolicach. – ...jak u licha ma to wpłynąć na sytuację? Przypominam: rozruchy, bunt i groźba podziału kraju! – uniósł się. – A chyba doskonale wiemy, kto zyskuje przy takim obrocie spraw. Koncentracja rosyjskich wojsk na granicy nie ustaje...

– I kto miesza, bez wątpienia, w tym kotle i podsyca pod nim ogień – teraz

prezydent przerwał nieco nieelegancko. – To oczywiste... Kreml nie jest biernym obserwatorem. Jak panom wiadomo choćby z analiz, gdzieś na pewno dojdzie do posunięć dywersyjnych, by rozmyć obraz, i módlmy się, żeby to nie było u nas. Ale do licha, tam pachnie najprawdziwszą wojną, przy której rok dwa tysiące czternasty to pestka! – Uczynił nieznaczny gest w stronę Nikomskiego, który na działaniach służb znał się jak mało kto. – Naszym zadaniem jest robić, co należy, by zatrzymać ten proces. – Głowa państwa sama siebie nie podejrzewała o taką hardość w tej chwili. – Podziały na Wschodzie to wojna i potok uchodźców albo i interwencje, co w perspektywie znów zmieni układ granic w Europie. – Prezydent nabrał powietrza, czując, że stoją tu wszyscy, a on szczególnie, w obliczu kryzysu o największym zasięgu w karierze. – Pan Nikomski ma rację. Jeżeli sytuacja się komplikuje – bez znaczenia, kto dokłada do pieca – to trzeba reagować. Zyskać na czasie i studzić emocje... Spokojnie, panie ministrze – zwrócił się do siwowłosego dyplomaty. – Moja w tym rzecz, by być słyszalnym i dawać do myślenia. Rozsądni mają słuchać i działać, nie oglądając się na prowokatorów. Choć moc ich przekazu jest ogromna i trudno będzie ją przebić.

Zawiesił głos i chwilę milczał, przenikając Nikomskiego spojrzeniem. Zaczynał pojmować, co planuje jego minister. Działała jakaś forma telepatii, a może tylko tak się prezydentowi zdawało. W specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu słychać było jedynie szum klimatyzatora.

– To fakt... – Ocknął się naraz prezydent. Oczy mu zabłyszczały. – ...nawet najlepsze teatrzyki nie uspokoją tysięcy młodych, a już sfrustrowanych ludzi, którzy oddali najlepsze lata życia, nieraz i zdrowie, by bronić kraju, który jest teraz dzielony. I to za zgodą władzy. Pomijam, czy inspirowanej przez pogrobowców starej prorosyjskiej ekipy, czy nie. To nie temat na dziś. Młodzian przeszarżował albo dał się zwieść i żałuje. Tak... – otworzył usta i zastygł w bezruchu, wspominając ostatnią rozmowę z ukraińskim prezydentem – ...on popadł w tarapaty. Nie ma ruchu. Traci poparcie i przyjaciół. Oczywiście prócz możliwych, tej grupy oligarchów. Zostało mu ich niewiele. Podobnie jak czasu. Im, nam i Europie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę doniesienia ze Szwecji, te wszystkie karabiny, ładunki wybuchowe, to robi się doprawdy nieciekawie...

Wszyscy zebrani w milczeniu pokiwali głowami. Byli pokrótce zaznajomieni z doniesieniami służb o przemyśle broni i kolejnych „incydentach” u brzegów

skandynawskiego państwa.

– Potrzeba nam czasu i spokoju. Wymierzenie ostrza niezadowolenia na zewnątrz Ukrainy, nie do środka, to cel nadrzędny. Krótko i prosto: potrzeba im jedności. Zgadzą się. Wiem, wiem, że w przypadku tego państwa to trudne, ale... Skoro mamy okazję wesprzeć konkretną jednostkę – mówił już spokojniej, niby to zmieniając temat – najlepiej posiadającą w swoim składzie weteranów wojny na wschodzie, to może rzeczywiście podbijemy stawkę?

– Co ma pan prezydent na myśli? – Waligóra przełknął głośno ślinę i zamarł wpatrzony w szefa.

– O ile wiem, mamy w Polsce kilku weteranów tamtego konfliktu. – Wzrok przywódcy błyszczał zadowoleniem z własnego konceptu. – Był już taki pomysł, ale go zarzucono, by nie opowiadać się za żadną ze stron, gdyby jednak do niego powrócić...

– Major, teraz podpułkownik Oleksandr Zdanilow. – Podsekretarz MON uznał, że wywołują go do odpowiedzi. – Leczył się z ran po obronie lotniska w Doniecku. Bardzo poważany. Bohater...

– Bohater – syknął prezydent i pokręcił głową. Sama myśl, że jeden z dzielniejszych obrońców donieckiego lotniska musiał parać się noszeniem cegieł na budowie w Warszawie, gdyż nie było dla niego miejsca w jego własnym kraju, przyprawiała o ból głowy.

– Obecnie doradza nam w kwestiach przekazywanej pomocy. Wiem, że go... nosi, choć ciągle nie miał oferty z kraju. Otrzymałem informację, że weterani lub, jak to się mawia w Kijowie, buntownicy składali mu propozycje, ale się nie zgodził. Nie ma sumienia ani chęci wikłać się w konflikt domowy. Może to sprawa zdrowia i psychiki...

– A gdyby spróbować go przekonać, by wsparł naszą inicjatywę? – zapytał wprost prezydent, ale nikt nie odpowiedział. – Zwyczajnie: czy dołączy do delegacji? – niezrażony mówił dalej. – Strona polska, amerykański komponent i on. Ikona oporu przed Rosjanami wspiera armię Ukrainy, a potem...

– Co potem? Zresztą Kijów musi oddać tereny, których ten Zdanilow bronił. – Siwy dyplomata prawie pobladł.

– Spotkamy się z drugą stroną. Z kimś od weteranów. – Prezydent opadł na oparcie krzesła bardzo z siebie zadowolony. – Jeżeli nie potrafią się dogadać sami, należy

przedsięwziąć wszelakie środki. – Pstryknął palcami.

– Kijów się nie zgodzi. Próbowali już... – powiedział dyplomata ogarnięty jakąś straszną wizją.

– Zgodzi, zgodzi. – Polski prezydent uśmiechał się z satysfakcją, pewny swego. – Młody prezydent, jak mówiłem, szuka po omacku. Przyjmie każdą pomoc. Próbował podobnych manewrów, to fakt, ale jego oligarchiczne konotacje nie dodają mu wiarygodności. Każdy od niego widziany jest jako „kupiony” za lewe pieniądze. Oj, panowie, to musicie wiedzieć. Zresztą – klepnął blat stołu, teraz jakoś pozytywniej pobudzony – jeżeli zachodzi taka potrzeba, będę rozmawiał. Panów proszę tylko o pomoc w technikaliach. Pana premiera biorę na siebie, myślę, że go przekonam. Podobnie Kijów. A i Waszyngton nie będzie bardzo oponował. Odwalamy za nich brudną robotę. Aha – przypomniał sobie naraz – poproszę o znalezienie numeru do tego ukraińskiego podpułkownika. Z nim też muszę się rozmówić. Niech wie, że jest doceniany i potrzebny.

*

Mieszkanie na warszawskim Ursynowie było przeciętne. Lokum w bloku z wielkiej, choć ocieplonej, szarej płyty. Nic oszałamiającego, jednak dla ukraińskiej rodziny wydawało się luksusem. Umeblowane może bez przepychu, ale z gustem. Jasne. Prawie świeżo po remoncie. Z dobrym sprzętem TV. Było oazą spokoju i przyczółkiem do dalszego rozwoju po latach ordynarnej nędzy i upokorzenia.

Oleksandr Zdaniłow był postawnym mężczyzną. Wielu przypominał drwala lub mocarnego zapaśnika. Słuszną sylwetkę ten pięćdziesięcioletni Ukrainiec zawdzięczał dźwiganiu ciężarów i pracy fizycznej w młodości. Głowę miał dużą, niemal kwadratową, włosy ciągle bardzo gęste, zaczesane do przodu na wschodnią modłę. Tylko na skroniach znać było siwiznę. Kilka blizn szpeciło – w jego mniemaniu – podbródek. Wstydził się ich, choć wiele pań przyznałoby, że to przydaje jeszcze seksapilu temu „niedźwiedziowi”. Po przybyciu do Polski Oleksandr był zwykłym budowlańcem, „operatorem łopaty”, choć nikt nigdy nie dał mu odczuć, że niewiele znaczącym. Nie chodziło o jego wielkie frontowe zasługi, którymi się zresztą nie chwalił. Jego postura, wąskie, bystre oczy oraz milczący, acz uważny sposób bycia wzbudzały respekt i ciekawość.

Zdaniłow dużo czytał, miał ogromną wiedzę i – co nietypowe przy takiej

muskulaturze, która pozwoliłaby mu rządzić w każdej grupie – był opanowany i skromny. Mimo to wiedział, że w pewnych sytuacjach potrafi wykrzesać z siebie ogromne pokłady energii i rozstawiać ludzi po kątach.

Pułkownik kończył wiązać krawat przed lustrem na szafie w sypialni. Nie był zadowolony ze swojego wyglądu. Oficjalny strój, jaki przywdział, był nieco za duży, a do tego Ukraińcowi wydawał się nieświeży.

Jego żona Weronika – wysoka brunetka o bujnych kształtach i z krótkimi włosami – co chwila zerkała przez uchylone drzwi.

– Pośpiesz się – rzuciła, irytując męża, ale ten nie odzywał się ani słowem. Wiedział, że kobieta jest równie podenerwowana, co on. Wiedział też, że jest dumna, by nie powiedzieć – wzruszona.

Sam Zdanilow nie czuł się komfortowo i pierwszy szok, później wątpliwości, a wreszcie uczucie zaszczytu pogrzebała trema. Straszna rzecz, której w takim natężeniu nie doświadczył nigdy dotąd.

Zawiązał krawat, co próbował zrobić już trzeci raz. Wyglądało znośnie. Mężczyzna zarzucił marynarkę, zapiął guzik i wygładził materiał.

Stał tak, w milczeniu patrząc na swoje odbicie, i próbował pojąć, co się właściwie wydarzyło. Skąd te zaszczyty? Był szarakiem. Niektórzy mówili, że był bohaterem, ale kilka lat tyrania i biedy, na jakie skazał rodzinę, nie współgrało z tymi peanami na jego cześć.

Gotów był uznać to za dar od Boga, nagrodę za wszystko, co uczynił, choćby kiedy bronił tego upiornego lotniska w zapomnianej, długiej bitwie. Ale jedno nie dawało mu spokoju. Dlaczego los odmieniał się teraz, kiedy wszystko, co zrobił, i poświęcenie setek jego kumpli, którzy zginęli albo zostali poranieni, szło na marne?

Przez to uciekł. Obiecał sobie, że nie wróci, nie pomoże, póki tamten system się nie zawali i nie odbuduje na nowo. Brakowało mu sił, by zmagać się z postsowieckim porządkiem, wspomnieniami i zwyczajną zdradą.

Coś jednak zmieniało się w jego życiu po raz kolejny w krótkim okresie. Ktoś go potrzebował, ale w kraju, którego przysięgał bronić, czas był niepewny i ciężki.

– Dlaczego? – powiedział na głos, wpatrując się we własne oczy. – Znak od Boga? Wytyczne? – O tym bał się nawet myśleć.

Muzyczka disco ustawiona jako dzwonek telefonu wyrwała Oleksandra z filozoficzno-etycznych dociekań. Ulżyło mu, bo obawiał się, dokąd dojdzie

w swoich teoriach.

Uniósł smartfon z nocnego stolika przy małżeńskim łóżku. Nabrał powietrza.

– Słucham? – powiedział po polsku z lekkim akcentem. – Tak jest... Jestem gotowy. Już schodzę – mówił wesoło i uprzecznie.

Schował telefon do kieszeni. Rzucił ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze i wyszedł na korytarz.

Weronika rzuciła mu się na szyję, aż musiał się pochylić. Wycałowała męża, patrząc na niego pełnymi dumy, ale i nadziei oczami.

– Powodzenia. Wierzę w ciebie. – Głos jej drżał.

Oleksandr miał nawet ochotę zapytać, o co jej chodzi, na co liczy, bo on sam – na niewiele. Poczł zaraz, jak syn ciągnie go za nogawkę. Podniósł malca, ucałował go w czoło.

– Bądź grzeczny. Tata niedługo wróci. – Objął mocniej Weronikę i wtulił twarz w jej włosy. – Dziękuję, Werka.

Odstawił dziecko, złapał za klamkę i spostrzegł, jak bardzo drżą mu nogi.

*

Dzień nastał piękny i ciepły. Niedawne deszcze były tylko wspomnieniem, cienkim paskiem szarości na dalekim horyzoncie. Rozległe przestrzenie dzieliły się na prawie nagie, płaskie pola oraz pasmo niewielkich wzgórz. W tym stepowym krajobrazie wzniesienia zdawały się istnymi Himalajami. Jedyłą przeszkodą, idealnym miejscem na linię obrony i punkt strategiczny.

Cała okolica przybrała brunatną barwę przetykaną połaciami bujnej zieleni, która wybuchała majową soczystością. Tego rozkwitu ani błękitu nieba nie mogły zmącić opary dymów płożące się nisko i leniwie przy ziemi ani nawet drażniące, ostre huki rwących się ładunków.

Słupy ziemi i dymu wylatywały raz po raz w górę, zostawiając po sobie owalne obłoki, które mościły się to na wzgórzach, to na mokrym po nocnych deszczach gruncie poprzecinanym śladami kół i gąsienic.

Zza ściany młodych brzołek i jakichś krzaków po jednej stronie wielkiej połaci wyrywały się w przód kolejne transportery. Plutony i kompanie osłaniały się wzajemnie, wychodząc z tej lichej i bardzo umownej osłony.

Załogi obsługujące nowoczesne jak na tę armię systemy wyszukiwały

nieprzyjaciela, mierząc lufami armat transporterów BTR-4 – wozów kołowych różniących się od sowieckich protoplastów, z bezzałogowymi wieżyczkami, zbrojnych w działko i pociski przeciwpancerne, a wszystko osłonięte nieco futurystycznym ażurowym pancerzem. Pokryte pikselowym, zielono-brązowym kamuflażem prawie nowe pojazdy ruszały pewnie w cały ten dym, otaczane wybuchami. Błoto oblepiało wielkie koła wyrywające bruzdy w polu. Transportery z wyciem silników brnęły przed siebie, rozwijając się wachlarzem. Niektóre stawały na wezwanie dowódcy, osłaniając postępy innych pododdziałów. Wymagano, by bezruch był krótki, a przez to ocena sytuacji – szybka i dokładna.

Pododdziały nie mogły wystawiać się na łatwy cel dla artylerii oraz dronów i dawać sposobności do namierzenia ich pozycji. Wszystkie działania zaczepne w tej wschodniej wojnie miały być szybkie. Taka nauka płynęła z każdej większej czy mniejszej bitwy i potyczki. Wszędzie tam, wskutek prawie całkowitego wycofania sił lotniczych, królowała artyleria, bezlitośnie karząca za każdy błąd przestoju. Jak kiedyś, jak przed laty w czasie wielkiej wojny.

Za kompaniami zmechanizowanymi parła reszta wojska. Wozy z amunicją, którą należało uzupełnić zaraz po zajęciu celu, w oczekiwaniu na niecny kontratak. Saperzy, broń wsparcia, moździerze i obserwatorzy artylerii. Gdzieś w samym środku poczty dowódców i... obserwatorów.

Właściwie nauczycieli. Ludzi, którzy wiele umieli, zasłużyli się i choć oficjalnie byli obcy, żyli z tym wszystkim. Miejscowi, przynajmniej wybrani z nich, wiedzieli sporo. Nawąchali się prochu i nieraz dawali krwi za te lekcje, ale potrzeba im było podszeptu z zewnątrz. A nawet i nowocześniejszego podejścia. Słuchali więc uważnie i z wdzięcznością swoich nauczycieli.

Tak jak jednego z nich, lubianego i poważanego – o co wcale łatwo nie było – Roberta „Muchy” Krawca. Podporucznika polskiej marynarki wojennej, jak głosiła wieść oficjalna. Tylko nieliczni wiedzieli, że ten człowiek jest operatorem elitarnej jednostki specjalnej – słynnej Formozy. Urlopowany jako jeden z bardziej doświadczonych w firmie żołnierz, który pewnego razu jeden ze swoich poprzednich „wypoczynków” spożytkował na wsparcie ludzi na Wschodzie, za co wielu pozostawało mu dożgonnie wdzięcznych.

Jego umazany błotem zielony Humvee pędził za siłami głównymi batalionów strzeleckich. Szofer, młody żołnierz, który – gdyby nie tępiona przez doradców fala –

mógłby już tytułować się dziadkiem, zajadłe manewrował po bezdrożach, słuchając poleceń polskiego weterana.

Robert w mundurze bez oznaczeń, w goretexowej kurtce w MultiCam, objając się o boki i sufit wozu, uważnie obserwował, co wyrabia się na linii frontu. Nie puszczał słuchawki radiotelefonu umiejscowionego między nim a szoferem, a u stóp ich strzelca na wieżycze.

– Duży, Duży, tu Hadzaj, pierwsza kompania za wolno, za wolno, niech obchodzą... – rzucał w eter raz po raz swoje obserwacje. Płynnie po ukraińsku i bardzo stanowczo.

Był profesjonalistą i perfekcjonistą. Jeżeli powierzono mu niewielki wycinek, tylko do pokazania swoich umiejętności, to robił, co mógł, by wyszło jak najlepiej. Wolał mniejsze sprawy, jak operowanie w pododdziałach spieszonych, taktyki zdobywania budynków i miasteczek, ale tutejsza armia potrzebowała każdej pary rąk. W każdej dziedzinie tego fachu.

Wszyscy, z Robertem na czele, rozumieli, że zegar gdzieś tyka i nie ma za wiele czasu. Że to zaledwie antrakt w wojnie, która ucichła w pierwszej połowie dwa tysiące piętnastego roku, ale wciąż się tli i niedługo wybuchnie na nowo.

Każdy bardziej zainteresowany i gotów do pracy chciał, by mające nastąpić starcie tym razem wyszło lepiej. Bez całej tej serii blamaży i potwornych kompromitacji, jakie stały się udziałem Ukrainy, kiedy została napadnięta w czarnym czasie rewolty. Wtedy tylko zapal młodych ochotników, młodszych oficerów, ich poświęcenie, a także błędy i słabość Rosjan uchroniły Ukrainę przed zupełnym rozpadem.

Armię należało stworzyć od nowa. Dać jej solidne podstawy i ćwiczyć, ćwiczyć do zmęczenia. Spróbować zabić powszechną ciągle korupcję i pospolite złodziejstwo. Gonić ludzi i kazać im pocić się w kolejnych manewrach choćby po to, by w tych ciężkich czasach niepokojów wewnętrznych żołnierz nie myślał o głupstwach.

Radiostacja wypluwała potok meldunków i rozkazów. Mieszało się to z pomrukiem nieodległego boju i warczeniem silnika. Typowy koncert, który dodawał młodym, ale i Robertowi animuszu.

Słowa dolatujące z radia były wypowiedane w podenerwowaniu, acz bez wielkiego chaosu. Mucha rozpoznawał, który dowódca już walczył i jest powściągliwszy w przekazie, a który stresuje się sprawdzianem.

– Hadzaj, Hadzaj do wszystkich. Spokojniej, spokojniej – Krawiec pozwalał

sobie na wtręty między korespondencją dowódców i samego Ducha, wielkiego wodza, kiedy wymieniane polecenia stawały się zbyt nerwowe.

Duch starał się bardzo, żeby kolejny pokaz sprawności wyszedł jak najlepiej. Tak jak planował przedstawić jednostkę, ciągle jeszcze zgrywaną i organizowaną.

– Czerwony na pozycji Pies... Powtarzam... – głośny meldunek przebił się przez inne.

– Niebieski, tu Duch. Przyśpiesz i zaczynaj – nakazywał ostrzej podniecony dowódca, co Robert przyjął z niejaką ulgą.

– Dogoń batalion – rozkazał krótko szoferowi.

Ten docisnął gaz i zaczął mijać ciężarówki ciągnące moździerze oraz wozy z zaopatrzeniem. Przebili się przez obłok zasłon dymnych i spalin w chwili, kiedy transportery, nieprzerwanie plując ogniem, zaczęły zajmować pozycje i wypuszczać desant.

Jak na diagramie, w trzech miejscach kompanie piechoty zaczęły wyskakiwać w błoto, regulaminowo kryjąc sektory. W eterze zaszumiało od nowych poleceń i batalion niebieski z osłoniętymi skrzydłami rozpoczął skok na pozycje nieprzyjaciela.

Pojazdy obrały kurs na wzniesienia, wiodąc pod ich osłoną rozciągniętą piechotę. Obsługi moździerzy pośpiesznie rozstawiły swoje zabawki i zaczęły ostrzał. Tumult tylko się wzmógł. Obłoki dymów pomieszały się, zawisając nisko ponad stepem wielkim oparem.

Wszystko jak należy, jak było przećwiczone chyba z dwieście razy.

Humvee stanął. Robert otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Sięgnął po lornetkę, na chwilę zapominając o obowiązkach doradcy. Chciał zobaczyć, czy chłopaki działają taktycznie, jak wbijali im do głów. On, Amerykanie, Brytyjczycy.

Pod plastikową obudową lornety przyciśniętej do oczu pojawił się uśmiech satysfakcji. Zielono-żółtawe postacie odziane w lżejsze mundury, kamizelki taktyczne i kuloodporne mimo błota szły, jak było im przykazane. Bez dziecinady i nonszalancji, przytrafiającej się nawet najodważniejszym, ale nieznanym reguł.

– Dorastają sukinsyny – prychnął Mucha.

Od strony pozycji moździerzy przebił się odgłos ostro piłowanego silnika. Jakiś wóz ozdobiony zatkniętą wysoko czerwoną flagą gnał między pozycje, przebijając się przez dymy. Półciężarówka Humvee – Amerykanie ze swoich poirackich nadwyżek

przekazali Ukraińcom kilka setek takich.

Auto, rozbryzgując błotną maź, ślizgało się w tym rajdzie, póki nie zwolniło gdzieś bliżej środka całego zgrupowania. Robert próbował dojrzeć, co właściwie się tam wyrabia, i na tej podstawie zgadnąć, co jest powodem wizytacji.

– Może jaki wypadek? – Szofer, równie zaskoczony, co Robert, wychylił się z okna wozu, usiłując samemu coś zobaczyć.

Huk narastał, kiedy coraz dalsze sylwetki żołnierzy wspinały się na wzgórze, co rusz puszczając krótkie, ślepe serie. Teraz wysforowały się w przód, pozostawiając powolniejsze maszyny za plecami, by osłaniały i gasiły wyimaginowane gniazda oporu. Już ciągnęły w stronę szczytu wozy z amunicją, na powrót zwinięte moździerze i zespoły przeciwpancerne, uzbrojone w niezgorsze zachodnie systemy zwalczania czołgów.

Niebawem ponad wzgórzami zaczęły się unosić dymy w kolorze czerwonym – znak rozpoznawczy dla obserwatorów. Wydawało się, że zadanie zostało wykonane poprawnie.

– Doskonale. – Robert gapił się na pagórki, by zaraz odwrócić wzrok w stronę czerwonej flagi. Coś się wydarzyło i bardzo chciał wiedzieć co.

– Hadziaj, tu Duch – jak na życzenie w odłożonej słuchawce usłyszał wyraźny głos dowódcy.

Dudnienie udawanej bitwy nie gasło nawet na moment, jakby ktoś dał sygnał: „koniec z oszczędnością w szkoleniu”. Przynajmniej jeżeli chodzi o ślepą amunicję.

Wśród przepisowych szyków pododdziałów Pierwszego Batalionu ziała wyrwa. Miejsce, w którym zasady na chwilę przestały obowiązywać.

Wóz dowódcy brygady i pojazdy kompanii dowodzenia stały półkolem, z obsadą rozłożoną w obronie, choć jakoś dziwnie luźno i bez obaw. Tylko gdzieś z tyłu niżsi rangą oficerowie byli uwieszeni słuchawek, wpatrzeni w ekrany komputerów, jakby nowe w tej armii zabawki nie pozwalały się porzucić nawet na moment. Robert uznał, że to dobry objaw. Większość to były żółtodzioby, oni nie mieli okazji wojować. Ci żołnierze byli konkretni, nie odpuszczali, panując nad sytuacją, nawet jeżeli *kamandir* nie dawał akurat najlepszego przykładu.

Sam dowódca stał wyprężony, choć raczej zupełnie obojętny na to, co działo się na linii.

Robert prawie wyskoczył z jadącego jeszcze auta. Złość zawrzała mu w żyłach,

godząc w jego poczucie profesjonalizmu. Polak był gotów szczerze przemówić swojemu przyjacielowi do słuchu, nie bacząc na reakcję sztabu i wojska.

Igor Popraw z wyglądu nie przypominał wojownika, stereotypowego zabijaki ze strasznych bitew na wschodnich frontach. Szczupły, niski czterdziestosiedmiolatek o sporych zakolach na przedwcześnie posiwiałej głowie. Miał długą, wąską twarz, teraz bladą, noszącą znamiona wiecznego zmęczenia, zwłaszcza po zimowych i wczesnowiosennych seriach ćwiczeń. Wielkie, uważne zazwyczaj oczy teraz były rozbiegane i nieco wystraszone.

– Co się dzieje? – wypalił bez ogródek Robert, łapiąc się pod boki w – jak mu się wydawało – groźnej pozie. Przy jego szczupłej sylwetce i niewielkim wzroście nie budził jednak lęku. Chyba że ktoś wiedział, jak surowy potrafi być w działaniu.

Popraw nie przejął się zbyt.

Zapał Roberta do rugania kogokolwiek został nieco przystopowany właśnie przez tę rozedrganą postawę pułkownika. Mimo nowego munduru, kamizelki, radiostacji w ładownicy i krótkiej broni Igor był niepozorny, ale rzadko kiedy bywał strachliwy. Wiedzieli to wszyscy, którzy go poznali albo tym bardziej wiedzieli coś więcej o jego przeszłości.

Skromny, pozbawiony wojskowego sznytu, ale odważny i pomysłowy. Ochotnik, którego włączono do armii zawodowej. Bohater z kotła debalcewskiego. Żołnierz, który pomimo strat i przewagi wroga, jeżeli nie prowadził kontrataków, umiał wyprowadzić ludzi z rosyjskiego okrążenia.

– Czytaj – nakazał surowo pułkownik, wręczając Krawcowi byle świstek papieru, i przygryzł wargę. Czekał na reakcję Polaka, zapominając o nieodległym dudnieniu.

Robert otaksował wzrokiem kilka linijek tekstu raz i drugi.

– Żartujesz? – jęknął, przelękając ślinę.

Szukał jakiegoś wytłumaczenia u przyjaciela albo jego oficerów. Tych kilku trwających przy pułkowniku wydawało się przerażonych. Jakby zostali ukarani za winy, których nie mogli sobie przypomnieć.

Pułkownikiem targały różne emocje. Był zaskoczony, wystraszony, zły, ale i dumny. Nie potrafił jeszcze odnaleźć się w sytuacji. Wszystko to spadło na niego nagle.

– Co zrobię? – Wzruszył ramionami. – Rozkaz. Przerwa. – Machnął niedbale dłonią, choć w oczach zatańczył jakiś ognik. – Od jutra szykujemy się na gości... –

rzucił głośniej, bardziej do sztabu niż do Roberta.

– Trawa na zielono, krawężniki na biało? – zakpił Mucha, oddając kartkę.

– Żart – prychnął Igor. – Nie te czasy, nie ta armia – powiedział pewnie. – Niech widzą, jak jest, co mnie to...

Zrobił krok w stronę transportera i odwrócił głowę w stronę wzgórza, które zajmowała piechota.

– To się liczy, tylko to i nic więcej – mówił niewyraźnie, chyba z powodu przepełniającej go dumy. – I twoja w tym zasługa, Robert. – Spojrzał z ukosa na Krawca.

Polak stał zaskoczony. Jego ukraiński kamrat był ewidentnie wzruszony.

– Natrudziliśmy się. – Robert nie miał zamiaru przypisywać sobie całego sukcesu. Uznawał, że był tylko małym trybikiem w tym wszystkim, ale było mu miło, że Igor widzi jego wysiłki.

– Sztab generalny widać też docenia... – Popraw ciągnął pochwały – ...kiedy chce.

Zaśmiał się kwaśno, nie mogąc darować sobie ironii. Poszczególne jednostki stawały na coraz wyższych poziomach wyszkolenia, ale całość nie nastrajała najlepiej. Ciągłe przecież jakies mgliste poufałości znaczyły więcej niż rzeczywiste zasługi. Igor Popraw wiedział o tym doskonale albo i lepiej. Istniejący wciąż wojskowy beton, odradzająca się korupcja okazały się dla niego szokiem, kiedy po leczeniu pozwolono mu zaciągnąć się do armii.

Jednak takie wyróżnienie dodawało mu skrzydeł. Na swój sposób promieniał.

– Co rozkazujesz? – Mucha przerwał strumień pochwał, których nigdy nie nauczył się przyjmować.

Pułkownik podszedł i obrzucił go uważnym, „oficjalnym” spojrzeniem. Uśmiechnął się wreszcie.

– Dobrze idzie, Robercie. – Skinął głową w bok. – Wyuczyliśmy ich, dają radę, choć w większości są zieloni. Od jutra czekamy na gości... Będą nasi. – Naprężył się. – Będą wasi. – Położył Polakowi dłoń na ramieniu. – Doradcą jesteś, stary, to doradzaj co i jak. – Zaśmiał się głośniej.

*

Słońce nie grzało mocno, nie tu, nie o tej porze roku. A mimo to na wysokości

pierwszego piętra było gorąco i duszno. Połyskująca farba pokrywająca stare deski odbijała światło. Cuchnęła przy tym, jak to tradycyjna, czerwona, ołowiana szwedzka emalia. Wdzierała się porami skóry, dostawała do nozdrzy i drażniła gardło, toteż robotnicy co rusz pokasływali między jednym a drugim papierosem. W uliczce, a właściwie na asfaltowej ścieżce między domostwami zatrzymał się samochód. Zaparkował pod osłoną modnych w tej okolicy wysokich, zadbanych żywopłotów chroniących posiadłości bogatych Szwedów przed wzrokiem wścibskich sąsiadów.

Wołodimir opuścił pędzel, tak by nie nakapać farbą na ozdobne krzewy pod ścianą, i odwrócił głowę, bacząc z wysokości drabiny, kto przyjechał. Właściciel, jakiś gość, a może policja? Ta ostatnia możliwość przyprawiała go o zawrót głowy, toteż mocniej złapał się szczebla. Zaraz zaświtało mu, że może to ta blondynka, która opiekowała się domem sąsiadów poza sezonem, wpadła do siebie i przyjdzie zagadać. Brała go na celownik, a on nie zamierzał się opierać.

Między gałęziami mignęła rosła postać. Nie było niestety żadnej blondynki. Wołodimir zafrasował się nieco. Kuta, żelazna furka skrzypnęła i w przerwie w żywopłocie pojawił się mężczyzna. Stał w cieniu i chłopak nie od razu rozpoznał znajomą twarz.

– Sława Ukrainie – rzucił wesołowato przybysz.

– Cześć! – Młody szczerze się uradował. Odwiesił wiadro na hak razem z pędzlem i szybko zlązł na ziemię. – Przerwa, kierowniku! – zakrzyknął niedbale do faceta „wiszącego” na drugiej ścianie, jakby w ogóle nie interesowała go jego opinia. Miał tu ważniejsze sprawy niż machanie pędzlem za dziewięćdziesiąt koron za godzinę.

Chłopak był przeraźliwie chudy. Dziecko zapadłej ukraińskiej prowincji, gdzie nigdy się nie przelewało. Istna tyczka o czarnej czuprynie i przystojnej twarzy, która kusiała popijające wieczorami niemłode, wyzwolone Szwedki.

Gość podał mu dłoń, pokazując w uśmiechu garnitur nie najczystszych zębów.

Zwali go lejtnantem, bo taki miał nosić stopień na wojnie, która pochłonęła Ukrainę. Nazywał się Artem Kolitja. Był grubo po czterdziestce. Lekko utykał. Nie za wysoki, przygarbiony, z głębokimi zmarszczkami wokół oczu, zawsze opalony. Dużo się śmiał, dobrze słuchał i czujnie obserwował. Był nie tylko nieformalnym obrońcą, lecz także przełożonym.

– Jak robota? – Artem wyciągnął szyję w stronę czerwonego domostwa. – Dają zarobić?

Wołodymyr poczochał czuprynę i skrzywił się.

– E, gdzie tam. Ciągłe najniższa stawka... Lachy bredzą, że my źle robimy... – Pojaśniał na chudym obliczu, zadowolony z takiego wytłumaczenia.

– Lachy, co? – Wyciągnięty palec starszego kolegi wskazał długi zaciek dosychającej już farby na samym froncie. Mężczyzna pokręcił zniesmaczony głową i zaraz pogroził niby to dobrotliwie pięścią.

Młody chciał się usprawiedliwić, ale Artem nie zamierzał tego słuchać.

– Możesz dorobić – zaproponował wprost.

Chłopak patrzył na niego przez ułamek sekundy, z wolna dochodząc do wniosku, że z gościem jest dziś coś nie tak.

– Dobrze się czujesz? – Zmarszczył czoło.

– A co? – Artem fuknął nieprzyjemnie. – Jest okej – poprawił się zaraz, przywołując na twarz swój tradycyjny uśmiech, choć teraz na o wiele krócej. – To jak, chcesz dorobić? – Nie rozpraszał się. Celował wzrokiem w zaskoczoną, zmęczoną twarz młodego.

– Ja czy...? – Wołodymyr skinął w stronę domu, gdzie pracował drugi członek ekipy.

– Tylko ty. Auto masz. – Artem sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął paczkę papierosów. Poczęstował chłopaka i sam wyciągnął jednego. – Trzeba odebrać takiego kolegę... – Zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Zmrużył powieki. – Naszego kolegę – powiedział ciszej i wolniej, by nadać swoim słowom aurę tajemnicy.

Wołodymyr bezwiednie spiął się cały i wyprostował. Grdyka mu zafalowała. Było oczywiste, że Artem trafił w bardzo czułą strunę. Mógł liczyć na tego smarkacza. Młody miał zapał i uważał się za patriotę zawsze gotowego do pomocy.

– Daleko? – zapytał Wołodymyr prędko, ale cicho, ostrożnie się rozglądając, przekonany, że słucha ich teraz ktoś obcy.

– Nie, niedaleko. Borås. Jutro wieczorem. To jak?

– Oczywiście – młody zdawał się meldować gotowość.

Artem uśmiechnął się szeroko.

– Dobra, młodzian. – Uniósł kciuk. – Jutro podrzucę adres i nazwisko. Kumplowi – znów zaciągnął się dymem – nie mów. To nasza sprawa.

Po ulicach starego Lwowa niósł się chóralny wrzask wydawany przez tysiące gardeł. Nie tłumiał go szum rześistego deszczu ani wycie syren, huk rwących się petard i strzałów.

Stare Miasto tonęło w strugach deszczu rozlewającego się wielkimi kałużami na zabytkowym bruku. Ulewa przyciskała do trotuarów jasną chmurę gazu łzawiącego i dymu z płonących aut.

Zbity tłum ludzi odzianych głównie w stare mundury albo choć elementy wojskowego ubioru rozszedł się po wąskich uliczkach tak sprawnie, jak zorganizowany organizm. Nie było jednego przywódcy. To znaczy... był pewien człowiek.

Kapitan Zhradczyk, tego dnia nieformalny lider niezadowolonych. Weteran jak większość narzucających ton antyprezydenckim demonstracjom, miał posłuch i był szanowany. Niski, pozbawiony lewej dłoni przez rosyjski odłamek, potrafił porwać tłum swoimi improwizowanymi przemowami wykrzykiwanymi chrapliwym głosem.

Gdy wyrzucał z siebie frustracje, dzielone ze wszystkimi wkoło, gdy nie mógł pogodzić się z aneksją wschodnich rubieży, i to szykowanych w majestacie prawa, za zgodą Kijowa, wydarzyła się rzecz niezwykła.

Gdzieś z tłumy oraz z bram wiekowych kamienic wyszła grupa ludzi. Z pozoru taka sama, jak większość uczestników demonstracji. Pojawiły się radiowozy. Nowi wbili się w szpaler zasłuchanych ludzi, rozrywając go na chwilę. Odseparowali kapitana, co przyszło im nadzwyczaj łatwo, a zaskoczeni weterani nie zdążyli zareagować.

Umundurowany kaleka Zhradczyk padł na ziemię, skuwany kajdankami niczym pospolity chuligan.

Jego nagłe – choć spodziewane – zatrzymanie wywołało szok. Było jak iskra rzucona na proch.

Wściekłość byłych wojskowych, wyrzuconych w większości poza nawias, sięgnęła zenitu. Od dawna czekali na powód, by dać upust frustracjom, które rzadko kiedy dotyczyły samego kryzysu terytorialnego. Mieli po prostu dość niemocy, korupcji, biedy i braku perspektyw.

W ruch poszły drzewce od transparentów, bruk i śmietniki. Gdzieś pod radiowozem rozerwał się granat, ostrymi odłamkami dziurawiąc karoserię i raniąc licznych demonstrantów. Teraz wóz płonął jasnym płomieniem. Nadciągające karetki

utknęły w potoku ludzi demolujących okolice lub uciekających ze starego centrum. Bałagan narastał. Lwów stawał się miejscem bitwy.

Podobnych incydentów było coraz więcej. Zlewały się w jeden wielki krzyk i huk potężnego starcia. Koktajle Mołotowa leciały w witryny sklepów, a nawet hoteli. Turyści, jeżeli jeszcze jacyś ostali się w tym urokliwym kiedyś mieście, chowali się w pokojach, nie próbując przebijać się na dworce lub lotnisko.

Hałasu i ognia przybywało. Zamieszki rozchodziły się przedziwnie szybko od starówki ku centrum, choć tu policja z wolna odzyskiwała kontrolę. Zmazywała blamaż ze Starego Miasta, gdzie jej kohorty poszły w rozsypkę. To nie były zadymy kiboli, a walka równych z równymi. Te tysiące weteranów, zaprawionych w gorszych jeszcze walkach, nie bały się i potrafiły planować.

Stare Miasto zostało zdobyte. Więźniarka wioząca kapitana Zhradczyka, mimo że pod eskortą, została otoczona w wąskiej ulicy Detki między starym murem kamienicy a wąskim pasem traw i młodych drzewek. Grad kamieni zaczął sypać się na szyby i światła. Grupa mężczyzn przytargała wyrwaną ławkę, potem kolejną i blokada na dobre zatrzymała konwój.

Nie minął kwadrans, kiedy wściekły tłum, rozhuśtawszy furgon, najzwyczajniej przewrócił go na bok, raniąc kilku weteranów, którzy nie zdołali uskoczyć.

Z wnętrza któregoś z radiowozów padł strzał. Potem jeszcze jeden. Ktoś osunął się na mokry bruk, ale nie powstrzymało to przemocy. Ta kipiała wśród tłuszczy, jakby przed tymi rozsierdzonymi ludźmi stał wróg, a nie przedstawiciele i obrońcy ich własnego państwa. Martwe ciała skatowanych stróżów prawa wywleczono na ulicę, zaraz o nich zapominając. Od centrum dolatywał coraz wyraźniejszy odgłos syren, ale tym nikt się nie przejmował. Teraz ludzie mieli broń. Zdobyli ją w walce i poczuli zew krwi.

– Na ratusz!!! Na ratusz!!! – nawoływał ktoś usilnie ze środka ciżby.

Jakiś brodaty, blady sierżant z orderami na wypłowiałej polowej kurtce próbował przedrzeć się do krzykacza i wyrwać mu szczekaczkę.

– Zamknij się! – wrzeszczał, taranując podniecone zbiorowisko. Pocił się przy tym i pluł. – Nie... nie słuchajcie go! – starał się przekonywać jako ten ostatni sprawiedliwy i roztropny. Najbardziej jednak przerażony. – Wystarczy... Nie rozumiecie?! Wystarczy!!! – Brzmiał niemal płaczliwie.

Ludzie nadal tłukli w więźniarkę. Ktoś zdobył łom, ktoś inny jakiś drąg i poczęli

uderzać w tylne drzwi, które ciągle nie chciały ustąpić.

Ryk bojowych nawoływań i przekleństw łączył się z wezwaniami do powstania i zbrojnego oporu przeciw zdrajcom z Kijowa.

– Wieszać oligarchów! – pozwolił sobie ktoś jeszcze.

– Nie słuchajcie... To prowokacja! – Rozsądne głosy ginęły w jazgocie.

Brodaty sierżant dopadł człowieka z megafonem. Blondyn był wyższy, dobrze zbudowany. Jego gorące nawoływania nie współgrały z wyglądem. Ubrany był jak większość, w nienowy wojskowy strój, teraz mokry od deszczu, oraz sportowe trampki. Kilka orderów i jemu zdobiło pierś. Ale twarz była spokojna, spojrzenie przytomne i uważne. Świdrujące oczy obróciły się na brodacza, kiedy sierżant silnym chwytem złapał mężczyznę z megafonem za łokieć.

Sierżant zamarł, na kilka chwil odcinając się od otaczającego go szaleństwa. Właśnie zrozumiał, co się wyprawia i jaki błąd popełnił. W głowie zakołatało mu pytanie: *Ilu takich jeszcze?*

– Ty gdzie służyłeś? – wykrzyczał warkliwie i butnie.

– Gdzie wszyscy! – burknął wrednie ten z megafonem i wyrwał się z uścisku, ciągle lustrując niższego spokojnym spojrzeniem. Zaraz jednak uniósł wzrok, jakby kogoś szukał, i brodaczowi zdało się, że mruga.

Niższy weteran teraz naprawdę się zląkł. Odsunął się, nie tracąc z widoku faceta z głośnikiem, i zaczął cofać się między ludzi. Przeszła mu ochota na ostrzeżenia. Chciał biec, iść do kogoś ważniejszego, by podzielić się spostrzeżeniem, chociaż nie miał pojęcia, kto miałby go wysłuchać. Jego, byle kombatanta, który sprzątał ulice w Lublinie, a tu zjawił się wiedziony poczuciem obowiązku wobec kraju i kumpli pozostawionych za kordonem na wschodzie.

Trzasnął strzał i zaraz tłum wybuchł krzykiem triumfu, który rozszedł się falą od przewróconej furgonetki po sam kraniec wąskiej uliczki. Nacisk się zwiększył, świadcząc o tym, że z innych rejonów pchało się tu jeszcze więcej ludzi.

Brodacz zrozumiał, że wreszcie udało się otworzyć drzwi i uwolnić przywódcę. Krzyki przeszły w gromkie brawa. Sierżant precyzyjnie przeszedł jeszcze dwa, trzy metry i z prawej strony otrzymał potworny cios. Mężczyzna prawie omdlał w szoku. Nie czuł bólu, tylko coś zimnego między żebrami. Strużka ciepłej krwi pociekła mu po biodrze. Zaraz poczuł to samo w gardle. Chciał krzyknąć, ale stracił siłę. Złapał kogoś za rękaw i zsunął się po nim na mokry lwowski bruk.

*

Adam Thomal kwitł w swoim mieszkaniu w kijowskiej dzielnicy Borszczahiwka. Nie najpiękniejszej zresztą dzielnicy, a może większej wsi, pełnej parterowych domostw otoczonych wysokimi murami niczym na prowincji, tylko jeszcze przetykanej posowieckimi blokami z cegły.

Adam tym mniej się złościł na miejscowe układy, im dłużej mieszkał w tym kraju. Mógł walczyć z bandytyzmem, wspierać miejscowych, za co mu wylewnie dziękowali, a i tak dostał kwaterę na odludziu w śmierdzącym bloku. Chociaż mieszkanie miał jak nowe, po remoncie. Taka przewrotność miejscowych. Robili to na złość albo żeby zniechęcać następców. Ciągłe myśleli po sowiecku.

Polak wgapiał się w telewizor, sącząc kolejne miejscowe piwo. Siedział na kanapie w pokoju oświetlonym tylko błękitem ze szklanego ekranu.

Obrazy, które przelatywały przed oczami Adama, były straszne. Mimo iż starał się zachować dystans, napęniały go lękiem i przeświadczeniem, że powoli kończy mu się cierpliwość do tego państwa. Przeżył w swoim nie za długim życiu sporo, ale świadomość, że tu, gdzie przyszło mu pracować, zaraz rozgorzeje kolejna jatka, mroziła mu krew w żyłach.

Nagrania ze Lwowa były żywym dowodem na to, że nic się nie zmienia i nie polepsza. Ukraina wrzała, a przez takie relacje ognisk niezadowolenia przybywało. Thomal miał to na co dzień tu, w stolicy. Przestał jeździć do pracy, jak rozkazał szef, a na turystykę nie miał najmniejszej ochoty. Miał obstawę, siedziała w pobliżu w jakiejś klitce i pilnowała takich jak on doradców, ale podczas burzy niczego nie można być pewnym. Kto dla kogo pracuje i czy komuś nie przyjdzie do głowy zacząć wystawiać „kolegów” z zagranicy.

– Syf i burdel – mamrotał pod nosem co chwila.

Przestrzeżono ich, że w rzeczywistości wygląda to jeszcze gorzej niż na szklanym ekranie. Sam Adam wiedział i bez podpowiedzi „smutnych panów” z Europy czy nawet tutejszych, że tam, w tych tłumach, musi roić się od prowokatorów. Jeżeli nie samych ruskich, to kupionych i do tej pory uśpionych ludzi, którzy czekali tylko na polecenie, by się uaktywnić.

Telefon zabrzączał ostro, drażniąc otępione alkoholem zmysły. Adam sięgnął po smartfon bez wielkiej ochoty i na wyświetlaczu dostrzegł imię Matyldy.

Nie za bardzo chciało mu się rozmawiać. Nie teraz. Ale nie miał też nic lepszego do roboty.

– No, cześć – wysilił się na miły ton stęsknionego narzeczonego.

– Cześć, Adaś. – Dziewczyna była słodka, ale wyraźnie przestraszona. – Widzę, co się u was dzieje – zagaiła bez zwyczajowych wstępów i lukru. – Jesteś bezpieczny? – wypaliła wprost.

– Tak, jestem – odparł znudzony Adam. – Nie martw się, jest okej. Pilnują mnie, do roboty nie chodzimy... Czekamy – wyrzucił na jednym oddechu wyuczoną na pamięć litanie zapewnień.

– O! – fuknęła kobiecy głosik. – Ja się martwię... naprawdę... Nie musisz być taki nieprzyjemny – młoda zaczęła się stawiać. – Może ci się znudziłam i ci nie zależy... – dodała zaraz niby zadziornie, ale chyba obawiając się odpowiedzi.

O to ci chodzi – Adam z miejsca wyłapał lęk swojej dziewczyny. Wstał z kanapy, odstawił butelkę na szklany stolik, zyskując nieco czasu na przygotowanie odpowiedzi.

– Wiesz przecież, że to nieprawda. – Thomał sam siebie zaskoczył łatwością zmiany intonacji. Czarowanie kobiet miał we krwi dzięki wrodzonym zdolnościom aktorskim.

Przygryzł wargę, oczekując wybuchu po tamtej stronie. Madzia – jak ją nazywał – była inna niż pozostałe „przygody”. Wspólne traumy z sudańskich piasków mocno ich wiązały i wymusiły obopólny szacunek. Matylda po prostu go przejrzała, a on nie zawsze chciał ją oszukiwać. Wreszcie znalazł tę jedyną, choć sam bał się do tego przyznać. Dziwił się, że można się tak zmienić.

– Tęsknię – powiedział spokojnie, szczerze i jakoś wzruszająco. Na znak pokoju.

Dziewczyna sapnęła.

– Ja też. Kocham cię. – Głos jej zadrżał.

Naprawdę tęsknisz. Adam robił się spokojniejszy, zadowolony, że Madzia się nie handryczy. Udawała, że nie rozumie, albo była samotna i po prostu chciała usłyszeć te wypróbowane zaklęcia.

– Naprawdę jesteś bezpieczny? Może wiesz, kiedy wrócisz? – dopytywała łzawym tonem.

– Tak, jest okej.

Adam wstał i podszedł do okna. Uchylił szarą kotarę, którą odcinał się od

widoków z zewnątrz. Stał z boku, skryty za ścianą, i rzucił okiem w dół, na ulicę Szkilną. Kilka zaledwie latarni zalewało okolicę pomarańczowym światłem. Nie było ruchu: ani ludzi, ani tym bardziej samochodów. Panowała kompletna cisza.

Kilka aut parkowało pod niskimi drzewami tuż obok bloku. W domkach za wysokimi murami po drugiej stronie też nic się nie działo. Nie było pijaczków ani grupki wyrostków, którzy lubili krążyć po wielkich osiedlach – *gopników*, postrachu kijowskich sypialni.

– Jest nawet lepiej niż dobrze. – Adam nie wiedział, dlaczego powiedział to na głos. – Widziałaś zdjęcia... Mieszkanie to nie Tadź Mahal, ale lokalizacja dobra. – Rozejrzył się po pokoju, białych ścianach i kilku standardowych sprzętach dowiezionych z Ikei. – Tylko ciebie mi brak – westchnął znów jak najbardziej szczerzy, wiedząc przy tym, że jej zrobi się milej.

– Oj, Adaś... – zamruczała, a on pomyślał, że gdyby była obok, już zacząłby się do niej sposobić.

– Wróć, szybko wróć, tylko czekaj... – Chciał już zakończyć tę rozmowę. Rozbudzanie emocji na odległość żadnemu z nich nie było potrzebne. Komplementowanie, choć w jego stylu, było bezcelowe, jeżeli nie mógł zrobić nic więcej.

– Zmęczona jestem, jakaś pogoda dziwna... – Dziewczyna ziewnęła, sama sygnalizując, że kończy pogawędkę. – Zadzwoń, jak coś będziesz wiedział. I proszę... uważaj. – Zrobiła się nagle ożywiona i stanowcza.

– Będę, kochanie, będę... Odpoczywaj. Cześć! – Adam na koniec wrócił do cukierkowego tonu, po czym wcisnął czerwoną słuchawkę.

Stał oparty o ścianę i patrzył na pogrążoną w półmroku ulicę. Właściwie nie wiedział, czego teraz chciał od życia, od siebie, od Matyldy. Znowu – jak za każdym razem, kiedy tu, na obczyźnie, zobaczył piękną dziewczynę – miał ochotę spróbować jeszcze raz. Pożyć w swoim stylu. Nakręcił się. Nuda nie była jego sprzymierzeńcem.

Popatrzył w telewizor. Doniesienia o ofiarach i rozruchach spływały głównie z zachodniej i południowej Ukrainy. Kijów był tego dnia w miarę spokojny.

– Cisza przed burzą? – powiedział Adam do siebie. – Pojechali odbijać prowincję czy ich tu spacyfikowali...?

Włączył Internet – niestety bardzo wolny – by poszukać jakichś innych doniesień, a zaraz potem odruchowo zajrzał na profile kilku znanych mu klubów w stolicy.

Wydawało się, że lokale działają normalnie. Wrzucały zdjęcia i jakieś relacje. Thomal nabierał chęci na zabawę. Opór tego porządnego Adama w nim, którego wyhodowała właśnie Matylda, jeszcze trwał, ale rogata dusza zaczynała zyskiwać przewagę.

– Samemu? – pytał siebie, obracając telefon w palcach i usiłując wymyślić, kogo dobrać do kompanii, ale tak, by nie było z tego jakiegoś smrodu w pracy.

Telefon nagle zadzwonił. Thomal aż się wystraszył i o mało nie upuścił aparatu.

– Co do cholery?! – warknął policjant, widząc, że numer na wyświetlaczu jest zastrzeżony. – Słucham. – Adam nie miał zamiaru być przyjemny.

– Czy mam przyjemność z Adamem Thomalem? – powiedział męski głos uprzejmie po polsku.

– Być może. Kto mówi? – To już nie była niegrzeczność, ale wskazana ostrożność.

– Z tej strony Łukasz Grządecki – dopowiedział przeprasząco mężczyzna. – Dzwonię z polskiej ambasady.

Adam prawie gwizdnął w reakcji na zaszczyty, jakie niechybnie właśnie go spotykały. I tylko jakaś wrodzona zręczliwość bezbłędnie podpowiedziała mu, że podane przez rozmówcę nazwisko jest fałszywe. Ugryzł się w język i nie pisnął słowa na ten temat.

– Jest pan tam? – Grządecki wydawał się zaniepokojony.

– Tak, słucham uważnie.

– Dobrze, panie komisarzu... – Mężczyzna wyraźnie chciał być oficjalny i jednocześnie przypochebić się Thomalowi. – Bardzo przepraszam, że o tej porze, wiem, nie wypada... – Chyba naprawdę był zakłopotany. – Jednak w obecnej sytuacji na Ukrainie sprawy czasem szybko się zmieniają i trudno jest... – zaczął nudzić i się plątać.

Adam tylko wymownie sapnął. Poskutkowało.

– Jutro pan ambasador zaprasza pana i pana inspektora Gdulę na spotkanie – Grządecki wreszcie przeszedł do sedna.

Thomala przeszedł prąd. Wyprostował się.

– Ambasador? – zapytał dziecinnie. Chciał dodać: „Mnie?”, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Tak, właśnie. Przepraszam za porę i że tak w ostatniej chwili... – pan Łukasz zaczynał kolejną turę kajania się.

– Czy to wiąże się z...? – Adamowi przyszła do głowy pewna myśl.

– Powód wizyty zostanie przedstawiony na miejscu – Grządecki wykazał się refleksem i przerwał policjantowi, zanim ten powiedział o jedno słowo za wiele. – Natomiast, o ile mi wiadomo, był pan wstępnie informowany?

– Informowany? – Adam zbierał myśli. Przypomniawszy sobie o spotkaniu w „fabryce” i sugestiach starego o jakimś zadaniu. – Tak, oczywiście – zełgał wprawnie.

– O, to dobrze, dobrze. – Łukaszowi wyraźnie ulżyło. – Spotkanie ma się odbyć o dziesiątej. Przyślemy samochód... Podróż nieco potrwa. Te upiorne korki i niepokoje... O ósmej?

– Tak jest – odparł policjant służbowym tonem. – Ósma rano.

– Doskonale. Do widzenia i dobrej nocy, panie komisarzu – zakończył Grządecki, chyba rad, że poszło gładko.

Przecież Thomal nie miał zamiaru nikogo rugać. Może w tej dyplomacji mieli go za jakiegoś obwiesia moczymordę prosto z serialu kryminalnego?

Zresztą miał to gdzieś. Adam opadł na kanapę nieco przejęty i niepewny. Jeszcze kilka lat temu zrobiłby wiele, by dać się choćby zagadnąć o wizytę u jakiegoś ambasadora. Teraz zaś obawiał się i podskórnie czuł, że przechodzi ze skrajności w skrajność. Znowu. Z nudów rusza na salony. Poza tym nie był szczęśliwy, że wielki świat pozbawił go woli i możliwości zabawienia się tej nocy. ■

ROZDZIAŁ 2

Pomieszczenie specjalne, jak nazywał takie pokoje Adam Thomal, nie było dla niego zaskoczeniem. Komenda główna i różne inne rządowe instytucje opierają się na takich pokojach, których tu, w szarym klocku Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej przy ulicy Jarosławiw Wał 12, musiało być więcej.

Policjanta wystrojonego w czarny garnitur zdumiał jedynie wystrój wnętrza. Obrazy na ścianach i brązowe lakierowane meble – choć na pewno nie antyki – dodawały klasy miejscu ukrytemu w podziemiach za grubymi drzwiami maskującymi „służę”.

Jeżeli poprzedniej nocy Thomalem targały emocje – od poirytowania poprzez trempę po strach – to tego dnia ta ostatnia zaczynała dominować.

Spotkanie musiało dotyczyć ważnych spraw, skoro zaplanowano je w podziemiu chronionym przed podsłuchami. Inspektor Gdula podczas jazdy podstawionym autem nie chciał zdradzić żadnych szczegółów. Zbył temat zwykłym: „Dowiesz się na miejscu”. Potem mówili o wszystkim i o niczym. Szef wydawał się przejęty, ale chyba samym wezwaniem, ciąg dalszy nie niepokoił go tak bardzo.

Wszyscy najważniejsi z ambasadorem na czele byli obecni. Szef placówki, wysoki czterdziestotrzyletni mężczyzna o okrągłej, nieco pulchnej twarzy i krótkim czarnym zaroście, był typem zawodowca i intelektualisty, co podkreślały grube oprawki okularów.

– Dzień dobry panom – rzucił z szerokim uśmiechem godnym swojego zawodu. Był jowialny i pogodny, choć wyraźnie grał, kryjąc podenerwowanie. – Serdecznie witamy w naszych skromnych progach. Zapraszam. – Wskazał na stół konferencyjny zastawiony dzbankami z kawą i herbatą i butelkami z wodą. Wokół stołu czekało trzech mężczyzn i kobieta.

Tę niską szatynkę, grzecznie uczesaną, wbitą w obcisły kostium przynależny posłusznej urzędniczce, Adam od razu wziął na cel. Nie byłby sobą, gdyby nie zabawił się w ocenianie walorów... charakteru tej ptaszyny.

Kobieta była nieco starsza od niego. Zgrabna, wąska w talii, o figurze w mniemaniu Adama poprawnej – żadnych krągłości w jego stylu. Była skupiona, służbowo uśmiechnięta i dzielnie wytrzymywała spojrzenie polskiego policjanta.

– Witamy bohaterów – kadził ambasador.

Kobieta nie zmieniała wyrazu twarzy, trwając w masce dyplomatk. Te pochwały wobec gości nie robiły na niej wrażenia albo świetnie to ukrywała.

– Panowie pozwolą, że przedstawię. – Ambasadorowi szybko wyczerpał się zapas frazesów i rozpoczął prezentację: – Pierwszy sekretarz ambasady. – Dłoń gospodarza wskazała wysokiego, krzepkiego faceta o siwej głowie i policzkach ozdobionych kilkoma bruzdami.

Adamowi wydawał się zmęczony lub chory, a może jedno i drugie. Ambasador wymienił nazwisko, ale Thomal zaraz je zapomniał. Mężczyzna też silił się na dyplomatyczne grymasy, ale jemu wychodziło to najgorzej.

Drugi był Łukasz Grządecki. Wyglądał dokładnie tak, jak Adam sobie wyobraził. Niski, pulchny, o aparycji kujona i karierowicza. Już w uścisku dłoni i nazbyt głębokim ukłonie było coś z taniego lizusostwa.

Ostatnim z zebranych mężczyzn był równy Adamowi wiekiem, krótko obcięty moczarny wbity w obszerny garnitur. Ten jegomość został przedstawiony jako Kerc, specjalista do spraw ochrony, więc Adam wziął go za funkcjonariusza Służby Ochrony Państwa.

Przyszła kolej na kobietę.

– Barbara Grosz. Pani Grosz – mówił ambasador – jest szefem wydziału prasowego, będzie odpowiadała za oprawę medialną wydarzenia i akredytacje...

– Bardzo mi miło. Wydarzenia? – To słowo oderwało Thomala od podziwiania pani Basi i zagładania głęboko w jej zielone oczy.

Musiał przy zrobić tym jakąś niemądrą minę, bo kobieta straciła panowanie nad sobą i zaśmiała się krótko, co zaraz próbowała zamaskować niepozornym chrząknięciem.

– Przepraszam... Oczywiście! – Ambasador położył dłoń na czole. – Już wyjaśniam... Proszę, niech panowie spoczną. Może kawy? – Wskazał porcelanowe dzbanki.

Adam skinął głową, złapał jedno z naczyń i jako pierwszej zaproponował napój kobiecie. Ta zgodziła się lekko speszona kolejnością w obsłudze i podsunęła policjantowi filiżankę. Ambasador nie robił problemu z pominięciem go w protokole i zaczął objaśniać:

– Mamy mnóstwo spraw na głowie, pracownicy placówki chodzą na rzesach. Przy

tym napięciu, zawirowaniach na Ukrainie... – musiał zacząć od standardowego narzekania. – Władze polskie czynią starania, by zakończyć trwający kryzys, który z całą pewnością jest inspirowany przez siły zewnętrzne... – Gładka mowa dyplomaty była godna przemowy w ONZ.

Coś władzom to łagodzenie nie idzie – pomyślał z właściwą sobie zgryźliwością Adam, walcząc, by nie powiedzieć tego na głos. Podał filiżankę inspektorowi i dopiero wtedy nalał kawy sobie.

– Dwudziestego maja... – ambasador perorował dalej obojętnym tonem – planowana jest wizyta prezydenta Rzeczypospolitej. Nie chcę ani nie mogę wchodzić w kwestie techniczne. Jest to próba mediacji pomiędzy prezydentem Ukrainy oraz organizacjami mu nieprzychylnymi, jak i prorosyjską z natury opozycją. Bardzo liczymy na pomyślny wynik rozmów. Pracujemy przy tym dniami i nocami, można powiedzieć. – Dyplomata powiódł spojrzeniem po zebranych, dając znak, że to trudna gra zespołowa. – Ostatnie wydarzenia w kraju sprawiają, że ranga wizyty została podniesiona. To będzie coś więcej niż negocjacje i wyraz wsparcia dla kijowskiej administracji, całe wydarzenie ma mieć też... wymiar symboliczny.

Ambasador zrobił krótką przerwę, chyba upewniając się, że policjanci rozumieją, co się do nich mówi.

– Zarówno rząd RP, jak i nasi sojusznicy chcą pokazać jedność z Ukrainą jako całością. Mamy podkreślać ważność istnienia państwa ukraińskiego i spróbować rozpocząć zasypywanie podziałów, które w tym czasie zaczynają narastać, a mogą zapoczątkować szalenie niebezpieczne procesy. Naszym zadaniem jest ukierunkować wysiłki na przeciwdziałanie wrogowi zewnętrznemu...

Przemowa zaczynała męczyć przybyłych. Kołnierzyk prędko prasowanej koszuli pił Adama w szyję i prócz udającej lekturę jakichś dokumentów Barbary niewiele policjanta tu zajmowało.

– Jaka jest w tym nasza rola? – wtrącił pytanie inspektor, tak by nie wyszło, że i on poddaje się znużeniu. Thomal był pod wrażeniem obycia swego szefa. – Czy z tym zasypywaniem to aby nie za późno? To trudna materia i teren niełatwy, a w takich okolicznościach wszelkie zabiegi są bardzo skomplikowane.

Zebrani zaczęli się wiercić i rzucać krótkie spojrzenia w stronę głównego gospodarza. Ten trwał w pozie wszechwiedzącego i tylko mocniej zacisnął splecione palce.

– Nie możemy pozwolić, by zarzucono nam bierność – skwitował ambasador przytyk Gduli. – Jak pan wie – przechodził do rzeczy z większą werwą, trzymając się założeń – zaproponowaliśmy wizytę głowy państwa w jednostkach policyjnych szkolonych przez zespoły doradców Unii Europejskiej. Zwłaszcza, ma się rozumieć, polskich funkcjonariuszy. W pierwotnej wersji głównie w rejonie Kijowa. Pan prezydent na wieść o tej propozycji i opisie naszych działań w tym zakresie wyraził życzenie spotkania się z panem Adamem Thomalem.

Policjant chrząknął, potem prychnął, dławiąc się kawą.

– Słucham? Nie... nie dosłyszałem.

– Pan prezydent wyrażał się bardzo ciepło o panu komisarzu. – Ambasador wydawał się zaskoczony brakiem wiedzy Adama o tym, jakie ma chody.

– Proszę pamiętać, że pańska postawa w Afryce wywarła wielkie wrażenie – pani Basia włączyła się w rozmowę, spoglądając z błyskiem w oku na funkcjonariusza.

Więc może i potrafię imponować? – pomyślał, odwzajemniając powłóczyście spojrzenie.

– To... to dla mnie zaszczyt – wypalił jak gdyby nigdy nic, prężąc się dla popisu przed kobietą, na co Gdula omal nie wybuchł śmiechem. Reszta też patrzyła po sobie dyskretnie.

Adam znał głowę państwa o tyle, o ile można poznać przywódcę kraju, kiedy dekoruje jednego z wielu kawalerów przeróżnych medali. Prezydent odwiedził go też w szpitalu i wygłosił na jego cześć zwyczajową, acz naprawdę miłą i wzruszającą przemowę. Później każdy poszedł w swoją stronę i nie wyglądało na to, by kiedykolwiek drogi obu panów znów miały się skrzyżować. Tymczasem okazało się, że stanie się to bardzo szybko.

– Pan prezydent pyta o możliwość udziału pana komisarza Thomala nie tylko w prezentacji osiągnięć szkolenia i współpracy między organami ścigania. Oczywiście udział pana inspektora w tym przedsięwzięciu jest obowiązkowy – ambasador znów zapędział się jak na wykładzie dla akademii dyplomatycznej. – Pan prezydent chciałby także, by towarzyszyli panowie międzynarodowej delegacji i byli jej członkami...

– Towarzyszył gdzie? – Adam robił się drażliwy i znużony. Tracił pozę grzecznego twardziela, przybraną specjalnie dla pani Basi. Najistotniejsze było dla niego to, co on ma robić. Przełożony w tej chwili nie istniał.

– Tego na razie nie mogę ujawnić – powiedział z żalem ambasador i poprawił

okulary. – Istnieje zamysł wykazania współpracy różnych branż. Naszych i nie tylko...

– Różnych branż? – Thomal z każdym słowem nakręcał się coraz bardziej. – Wojsko, tak? Jakaś szopka pod telewizję? – Dopadła go istna panika. Nieważne, że zapraszała głowa państwa. Ten stary Adam, który nie chciał zbyt nadstawiać karku, budził się teraz, i to z krzykiem.

– Jeżeli można... – wtrącił Gdula z należytą uprzejmością, choć zmarszczone brwi świadczyły o tym, że pomysł i jemu wydaje się niemądry. – Proszę państwa... Nasza grupa nie jest wyznaczona do tego typu zadań – próbował protestować. – Mamy inne cele. Może ktoś od rzecznika prasowego?... – Popatrzył przez ramię na Adama. – Pan komisarz działa często pod przykryciem. Wiele osób, które posłał za kraty, mogłoby uznać pokazanie jego twarzy za ciekawy prezent... A i ja nie nadaję się do PR-u.

– Proszę się nie obawiać – przemówiła pani Barbara, trzepocząc rzęsami. – Nie będzie pan frontmanem, spokojnie. Potrafimy o to zadbać. Coś wymyślimy. Pan ambasador ma na myśli to, że pomysł jest ciekawy. No i poza wszystkim, o ile nam wiadomo... – posłała porozumiewawcze spojrzenie szefowi – wszystkie zadania grupy ukraińskiej zostały zawieszane. Niewiele mają panowie do roboty. – Kobieta nie ukrywała uszczypliwości, a ta cukierkowa otoczka czyniła ją dokuczliwszą.

Kercowi wąska linia ust uniosła się w bladym uśmiechu, ale zaraz zakłopotany opuścił wzrok, patrząc gdzieś pod stół. Resztę też bawił fakt, że babka dokopała młodemu donżuanowi.

Adam szukał u Gduli jakiegoś ratunku, podpowiedzi, ale chyba obydwaj zrezygnowali już z oporu. Wszystko zostało wcześniej precyzyjnie obmyślane.

– To naprawdę ważna sprawa – ambasador próbował łagodzić przekaz. – Proszę to traktować jako misję. Komunikat dla tutejszej opinii publicznej, że sojusznicy są na miejscu nie tylko w sferze ogólnych frazesów, ale także pracują. O więcej niż Kijów tu chodzi...

Przerwał, patrząc po zebranych. Chodziło mu chyba przede wszystkim o zdanie zmęczonego starszego pana. Ten cały czas milczał, siedząc nieruchomo niczym posąg i dokładnie lustrując każdy centymetr pokoju.

Adam wiedział, że w takich miejscach nie każdy jest tym, za kogo się podaje, a ten niewinny gest utwierdził go w przekonaniu, że pierwszy sekretarz ma tu dwa etaty.

– Tak, to prawda – włączył się mężczyzna spokojnie, acz niechętnie. Wpił

świdrujące spojrzenie wąskich oczu w Thomala. Adam domyślał się, że temu gościowi też nie w smak to, co słyszy i co musi przeprowadzić. – To będzie szopka dla mediów. Czy to wpłynie na negocjacje?... Pewnie nie, ale zyskamy nieco poklasku u miejscowych – pierwszy sekretarz wyrzucał z siebie szczere osądy. Zbyt szczere, bo ambasador zaczął się jakoś dziwnie wiercić. – Ponadto jest to decyzja polityczna, więc... – na sekundę markotnie się uśmiechnął – ...nie mamy wyjścia. Plan zajęć jest bogaty i rozbudowany.

Poprawił się na krześle.

– Wszyscy myślą: Kijów, a tymczasem misja unijna działa w innych miejscach. Wobec planów Warszawy, ale i innych stolic, uznano, że „wycieczkę” należy rozszerzyć na inne miasta i obiekty. Powiedzmy dwa, trzy – mówił dalej ponuro. – Pan Adam ma tego pecha, że pan prezydent uczynił mu ten zaszczyt i go zapamiętał... – Zawiesił głos, nie odwracając wzroku od Adama.

Ciarki przeszły po plecach policjanta. Obudziło w nim się poczucie, że oni wszyscy wiedzą o nim o wiele więcej. Wszystko. O Sudanie, ale i o tym, od czego zaczęło się jego prawdziwe życie. O Sopocie, martwym kolekcjonerze w Gdańsku i o tym, z kim Adam się wtedy zadał.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, więc zostaną panowie dołączeni do delegacji i polatają trochę po kraju. Dowódca i... proszę wybaczyć... szeregowy policjant. Wojownik o lepszą sprawę. Poopowiadacie, poobjaśnacie. Być może traficie na wizytację jakiejś jednostki wojskowej. No, ale to już nie panów resort. Wtedy będą mieli panowie wolne. Nic trudnego, panowie. Mogę zapewnić, że w żadnym z obiektów... – smutny pan był bardzo przekonujący – ...media nie będą hulały bez nadzoru. Cały ten kołowrót pracy, o którym była tu mowa, to przy tej wizycie między innymi zapewnienie szczelności. Przekaz musi być wystudiowany i odpowiedni. Kilka wywiadów w kominiarce na głowie też panu nie zaszkodzi. Miejscowym komendantom przyda się pokazać gieroja, żeby tak po ludzku było im wstyd albo żeby zaczęli się obawiać. I jeszcze jedna rzecz... – Jego oczy otworzyły się szerzej i mężczyzna pochylił się nad stołem z psotnym uśmiechem. – Być może przyda się to w dalszej karierze. – Zastygł w tym grymasie, kierując ostatnie słowa bezpośrednio do Thomala. Umiejętnie łamał jego opór.

Adam bezwiednie wykrzywił usta. Tak, wiedzieli, jak go podejść. Teraz nie wyglądało to tak źle.

– Tak, to będzie zaszczyt – raptownie zmienił zdanie.

Gdula rzucił mu kamienne spojrzenie, czując się opuszczony w swoich staraniach. Szybko jednak pogodził się z klęską. Nie miał wpływu na decyzje polityczne.

Cichy szmer ulgi przetoczył się przez pokój.

– Brawo! – Ambasador klasnął w dłonie. Popatrzył na zegarek, po czym podparł się, by wstać od stołu. – Aha – przypomniał sobie – to wymaga... pewnych zmian u panów. – Przygryzł wargę zakłopotany, że tak istotna sprawa mu umknęła.

– Ze względów bezpieczeństwa – włączył się jak wyrwany z letargu Grządecki – trzeba panów przenieść w lepiej chronione miejsce. Tylko na czas przed wizytą. Mamy tydzień, więc to nic strasznego – pocieszał chyba na zapas.

– Dokąd? – zapytał Thomal.

– Centrum, ściśle centrum – odpowiedział Kerc. – Miejsce wykorzystywane przez naszą ambasadę i dobrze pilnowane. – Napuszył się, dając wyraz temu, kto będzie miał kontrolę nad Adamem.

– SOP nas przytuli? – rzucił Thomal niby neutralnie.

– Z całym szacunkiem dla kolegów ze Służby Ochrony Państwa... – zareplikował Kerc nad wyraz poważnie – siły i środki mają do tego niewystarczające. Niech pan wierzy, tu naprawdę sporo się szykuje.

Thomal popatrzył na każdego z osobna i westchnął ciężko.

– Tak wiele się dzieje – dopadł go krótki, nerwowy śmiech – że zapomnieliście o mnie i pytacie w ostatniej chwili. – Brzmiał jak arogant, wokół którego wszystko się kręci.

– Bardzo dziękuję – ambasador, jak przystało na jego funkcję, zakończył dyplomatycznie, nie wdając się w polemikę. Co myślał, wyraził w nie najmiłym spojrzeniu w stronę inspektora Gduli. – Zostaniecie panowie zapoznani z naszymi planami... a tymczasem pan Grządecki dopełni spraw kwaterunkowych. Pan Kerc dorzuci swoje trzy grosze.

Chyba mu ulżyło, że kończy spotkanie, odhacza je w terminarzu i może z powrotem zająć się poważnymi sprawami.

Adam przy pożegnaniu chciał zaproponować kawę pani Barbarze, ale i ta przestała się nim szczególnie interesować.

– Zapraszam. – Grządecki wskazał drzwi.

– To jak, panie inspektorze, sława? – zagaił Thomal, gdy opuścili pomieszczenie.

– Władowali nas – szepnął inspektor i pokręcił głową z niesmakiem.

Thomal wchodził w jakiś nowy, zupełnie mu nieznaną etap. Jego pycha szeptała o korzyściach, jakie mu to przyniesie. Ciągłe się obawiał, ale zaczynał się też cieszyć z faktu, że ociera się o politykę, dyplomację i co tam mu kazali. W jego głowie kiełkowała myśl, że ma w życiu najprawdziwsze szczęście.

*

– Jasna cholera! – wykrzyknął sam do siebie Kennet Boss, opadając ciężko na oparcie fotela kierowcy.

Tylko na taką reakcję było go stać, kiedy ujrzał swój nowy parking – piaszczystą łąkę pośród drzew, w pobliżu krętej i dziurawej drogi, którą pokonywał przez ostatnie kilka godzin, modląc się, by nie stracić szerokiego ładunku. Nie przypuszczał, że w Europie, a w szczególności w Unii, znajdzie jeszcze takie dukty.

Stał tak, porażony widokiem, przez kilka dłuższych chwil na środku jezdni, ale mało go to obchodziło. W ogóle nie spodziewał się tu żadnego ruchu. Zwłaszcza o tej porze.

Duńczyk pokręcił głową i sapnął ociężale. Wrzucił kierunkowskaz i zaczął brać szeroki zakręt, by jego volvo wtoczyło się przez wąski podjazd na plac.

– Może w dzień będzie ładniej – usiłował się pocieszać, widząc bylejąkość miejsca.

Jakaś buda czy barak uchodzący za bar, do którego absolutnie nie chciało mu się zaglądać. Kilka zdezelowanych, ba, zardzewiałych wraków u ściany lasu, który zaczynał pochłaniać to złomowisko. Jedna zaparkowana ciężarówka i dwa auta osobowe. Wszystko skąpane w półmroku rozjaśnionym żółtym blaskiem jedynej latarni.

Kennet zakręcił kierownicą, czując, jak wozem buja na nierównościach, i ustawił się tak, by móc swobodnie opuścić ten „cudowny” zakątek. Zgasił silnik i siedział chwilę w bezruchu, przyglądając się tej dziurze, do której przyszło mu się przedzierać lasami i gorszymi szosami.

Najwyczejniej w świecie nie wierzył, że to prawda. Sięgnął po mapę Polski i dane, jakie spisał mu szef, podpierając się namiarami GPS.

Tak, ewidentnie był na miejscu.

Boss wziął telefon. Najpierw wykonał szybki telefon do domu, by powiedzieć, że

dotarł. A właściwie był na półmetku, na którym niespodziewanie kazano mu poczekać.

Kiedy wykręcał drugi numer, ten, który dostał SMS-em, z baraku wyszło dwóch ludzi. Byli wysocy, poza tym – zupełnie przeciętni. Ubrani w polarowe bluzy i fabrycznie wytarte dżinsowe spodnie. Element kolekcji którejś z sieciówek

Jeden z nich zamachał od razu i posłał kierowcy szeroki uśmiech. Kennet opuścił szybę.

– To do mnie miał pan dzwonić – zaczął ten sam po angielsku. – Roman jestem – powiedział, wyciągając dłoń przez okno. – To mój kolega Wiesiu – szeleścił tym wschodnioeuropejskim akcentem.

– Co tu się wyrabia? – Boss patrzył na obydwu. – Jakiś problem czy jak? Po co ten postój?

Roman uśmiechnął się szerzej i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Prosimy o wybaczenie – kajał się, jak umiał najszczerzej. – Już błagaliśmy twojego szefa o wyrozumiałość. To nasza wina... choć może nie do końca. Papiery na pozwolenie na wjazd nie dotarły albo w urzędzie mieli bajzel. Wie pan, był długi weekend majowy, a teraz nie mogą się pozbierać. Załatwimy to... Nie chcieliśmy, by pan utknął lub musiał płacić mandaty. Lepiej dokończyć papierkową robotę i mieć z głowy... – Roman mówił, a Duńczyk nawet nie zauważył, jak drugi jegomość obchodzi jego wóz, uważnie przyglądając się plastikowej konstrukcji, którą wiózł.

– Dobra, dobra. – Kennet był zbyt zmęczony i zły, by jeszcze wysłuchiwać tych jęków. – Wasz biznes, wy płacicie... – Udawał obojętnego, chociaż narastała w nim wściekłość na myśl, że zmarnuje weekend przez te kłopoty. – Taką macie ładną autostradę, tyle parkingów, to musieliście wywieźć mnie aż... tu. – Wskazał dłonią tonący w mroku nocy las. Wymuszony brak emocji przechodził powoli w wyrzut urażonej primabaleriny.

– Pan się nie boi – teraz ten drugi włączył się do rozmowy. – Dobre miejsce, choć z pozoru dzikie. – I on potrafił zachowywać się przekonująco. – Jedzenie na nasz koszt. Mają tu łazienkę, prysznic. Będziemy pana pilnować... – Przyłożył dłoń do serca. – Jutro, najdalej pojutrze wszystko się załatwi i pojedzie pan dalej. Stąd nad morze nie tak daleko. – Machnął kciukiem za siebie, jakby od Bałtyku dzielił ich spacer.

– Dobra, już dobra. – Kennet starał się być wyrozumiały. Sięgnął po paczkę

papierosów. – Idę się wykapać.

Zaczął szukać kosmetyczki i ręcznika. Otworzył drzwi i rozejrzał się po otaczającej ich głuszy.

– No i mam nadzieję, że będziecie mnie pilnować – podkreślił. – Bo przecież nie tego rupiecia. – Machnął głową w stronę ładunku i się zaśmiał. – Tyle kłopotów z tą rudera! – Roześmiał się na cały głos.

Dwaj miejscowi podchwycili.

– Z całego serca przepraszamy – korzył się Roman. – Tak, przypilnujemy – zapewniał z całą mocą. – By nieco wynagrodzić panu niedostatki... – Sięgnął do kieszeni polaru i wydobył kopertę. – Za straty moralne, tak to się mówi? – Wyciągnął rękę z podarkiem, patrząc Duńczykowi prosto w oczy.

Boss zajrzał do środka i wydał usta, jakby chciał gwizdnąć.

– No, to rozumiem. – Humor ostatecznie mu się poprawił.

Zaraz jednak spojrzął na plastikowy domek, na las i niespodziewanie dopadło go pytanie: *O co tu właściwie chodzi?*

*

Zapadł zmierzch i pomiędzy ostrymi zielonymi wzniesieniami, głęboko w dolinach zaczęły jaśnieć kropki lamp. Wiosenne wieczory tu, pośród lasów, były piękne. Może za sprawą długiej zimy i jej wyczekiwanego końca. Miejscowi i każdy, kto tu przebywał, z radością witali wiosnę i lato.

A może tylko Wołodymyr tak to wszystko odbierał, ciągle zakochany w tym kraju, w Zachodzie. Kiedy był sam, jak teraz, za kierownicą auta, mógł nieco się roztkliwić. Snuć plany na przyszłość. Pomarzyć o tej swojej blondynce, którą planował tu sprowadzić, gdy wreszcie dadzą mu papier i stanie się obywatelem szwedzkim. Może i dałby sobie spokój z całą tą konspiracją, bo po cóż mu ona teraz? W kraju i tak zawsze źle. Tu miał stabilizację, całkiem konkretny dochód i status uchodźcy.

Zmienił bieg. Skrzynia zgrzytnęła. Poprawił i dodał gazu.

Osiemnastoletnia toyota corolla w szarym, lekko płowiejącym kolorze jechała przepisowo, pokonując kolejne wzniesienia.

Młody był na tyle już dojrzały, że wiedział, jak niebezpieczne są takie przemyślenia. Szedł do organizacji z postanowieniem, że pomoże, z patriotycznych pobudek, i musiał się tego trzymać, zanim ktoś zauważy jego wahanie. Zresztą

wątpliwości są dla słabych, a on za takiego się nie uważał.

Droga rozszerzała się jak szosy w centrum kraju, co kilkanaście kilometrów przechodząc w dwa pasy. Kilka szybszych, nowszych aut pomknęło za szczyt góry, zostawiając Wołodymyra samego.

Czasem wydawało mu się, że o pewnej godzinie, czy to wiosna, czy lato, ruch i życie na autostradach i w miasteczkach po prostu zamierają.

Teraz droga biegła raz w górę, raz w dół. Pełna była zakrętów między szczytami porośniętymi strzelistymi jodłami.

Wjechał w góry, które z linii wybrzeża, od drogi z Varbergu były odległym szarym pasmem. Niczym zimniejsza kraina z innego świata. Okolice z wielkimi stodołami stawianymi po wsiach, małymi drewnianymi chałupkami powklejanymi w wyrwane lasom polany przywodziły na myśl widoki z amerykańskich westernów. Gdyby dodać do tego miłość Szwedów do starych amerykańskich krążowników szos, które czasem parkowały przy obejściach, używane tylko w weekendy, można było się poczuć jak w dalekim USA.

Borås nie było metropolią jak większość miast w tej części kraju. Z autostrady dało się zobaczyć ciągnące się na obrzeżach magazyny, fabryki, jakieś parkingi. Miasto przypominało żółtą plamę światła pośród lesistych dolin. Ruch jeszcze trwał, ale nie był wielki.

Wołodymyr odczytał zapisany na kartce adres i numer zjazdu. Przyczepiony do szyby telefon i nawigacja podawały dobry kierunek. Chłopak zmiął kartkę i cisnął na ziemię. W ogóle nie powinien notować takich informacji. Ale przecież nie robił nic ważkiego. Miał tylko podwieźć jednego faceta z punktu A do punktu B.

Skręcił w zjazd, długą serpentynę zakończoną sygnalizatorem, i zatrzymał się na czerwonym. Za nim po chwili zatrzymało się czarne volvo XC40.

Skrzyżowanie było puste, ale czerwone ciągle się paliło. Młodego kusiło, by ruszyć, ale to była Szwecja. Jeden wybryk i zaraz posypią się donosy od tych porządnych mieszkańców.

Ukraińca znów zaczęły nachodzić niebezpieczne myśli. Teraz dopiero przyszła refleksja, dlaczego ma odbierać jakiegoś rodaka, dlaczego Artem nie robi tego sam i z jakiej racji płaci aż dwieście euro za kurs na trasie o długości nieco ponad stu kilometrów w obie strony.

Zapaliło się żółte. Wołodymyr wrzucił bieg. Ruszył na zielonym, już pewny, że ma

zająć się kimś ważnym w tej ich organizacji. Że zyskał chyba jeszcze większe zaufanie i powinien być dumny.

Mijał restauracje, domy, niskie bloki mieszkalne obstawione nowymi autami i ta narodowa duma jakoś nie chciała przyjść. Zaczynało się w nim gotować od wątpliwości, czy tak najzwyczajniej z tym wszystkim nie skończyć i mieć po prostu to, co miejscowi: spokój i pieniądze.

Wystraszył się. Włókł się tak wolno, że czarne volvo ruszyło z rykiem i go wyminęło. Kierowca musiał się wściec, bo przejechał kolejne skrzyżowanie już na czerwonym. Wołodimir włączył radio. Star FM znów miało ten sam co dwie godziny zestaw starych przebojów. Teraz leciał Queen. Chłopak zmienił stację.

Dotarcie pod wskazany adres nie trwało długo. Jego pasażer mieszkał daleko od centrum, w dzielnicy dwupiętrowych bloków stawianych jeden obok drugiego. Budynki były schludne, jak wydawało się młodemu, zachwyconemu każdym elementem szwedzkiej codzienności. Białe okna, ściany obłożone brązowym ceglany wykończeniem.

Wołodimir zaparkował samochód na chodniku przy uliczce dojazdowej, między innymi autami, bo parkingi były zastawione przez mieszkańców. Siedział chwilę, udając, że przegląda coś w telefonie. Szkolili go, jak i co ma robić. Żadnego ogona, podejrzanych aut. Ruch na ulicy niewielki.

Młody włożył czapkę z daszkiem, choć nie wiało ani nie padało, i wysiadł. Miał na sobie szary polar – wiosenny wieczór nie był najcieplejszy.

Chłopak szedł wolno i nie rozglądał się zbyt ostentacyjnie, chociaż usiłował wypatrzeć kamery ochrony. Było ich kilka na ścianach i latarniach. Starał się je omijać zgodnie ze sztuką.

Budynek pod podanym mu adresem znajdował się w głębi niewielkiego patio, pomiędzy innymi blokami. Jakieś dzieciaki bawiły się, jeździły na rowerkach, pokrzykiwały, by echo odbijało się w tej betonowej studni.

Wołodimir wszedł na schody, dotarł na pierwsze piętro. Szybko rozeznał się w kolejności numeracji.

Pomost zewnętrznego korytarza był pusty. Szwedzi siedzieli w domach.

Czujniki ruchu zapalały lampy co kilka metrów i kiedy Wołodimir szedł dalej, światło gasło. Pod docelowym numerem światła nie było – Ukrainiec pojmował, że tak jest lepiej i że to pewnie nie przypadek.

Nabrał powietrza i wyprostował się, chyba oczekując, że pozna nie wiadomo jak ważną postać. Wdusił przycisk dzwonka. Trochę trwało, aż po drugiej stronie usłyszał jakiś szmer. Tamten naprawdę był ostrożny.

Drzwi uchyliły się nieznacznie i w bladym świetle ukazała się łysiejąca głowa.

– Dobry wieczór – przywitał się przejęty Wołodymyr z marsową miną. – Ja od Igora, w sprawie wynajmu pokoju – podał umówione hasło.

Ten po drugiej stronie nie mówił nic. Łypał jednym okiem zza drzwi, obserwując gościa. Zastanawiał się.

Chłopak poczuł się nieswojo. Stał u drzwi przez chwilę, która zdawała się ciągnąć godzinami, i wystawiał się na widok.

– Ja od Igora... – zaczął dla bezpieczeństwa powtarzać hasło.

– Dobra, dobra – uciszył go gospodarz jakby wyrwany z zamyślenia. Przymknął drzwi, zwolnił łańcuch i otworzył szerzej. – Wejdz – polecił.

Był sporo niższy od Wołodymyra. Sporo też cięższy. Okrągły brzuch rysował mu się pod wciśniętą w spodnie koszulą w błękitną kratkę. Miał na oko ponad pięćdziesiąt lat, a może tylko tak staro się prezentował. Twarz miał szarawą, niegoloną od kilku dni. Na owalnej głowie pozostało niewiele włosów – jedynie ciemne plamy meszku nad uszami.

– Leonid. – Gospodarz podał młodemu pulchną dłoń, nie odrywając od niego oczu. Powoli się chyba przekonywał, że ten chuderlak nie stanowi zagrożenia. – Jestem spakowany – skończył ceregiele i przeszedł do rzeczy. – Biorę torbę i ruszamy, dobra? – bardziej rozkazał, niż zapytał.

Zniknął za rogiem. Wołodymyr przyglądał się mieszkaniu. Szwedzki standard. Dużo niepotrzebnych wazoników, świeczek, jakiejś porcelany na komodach. Nowoczesne meble i dużo lamp. Okno w salonie było zasłonięte.

– Gotowy. – Leonid wynurzył się z korytarza w zapiętej skórzanej kurtce i z małą sportową torbą na ramieniu.

– Wszystko masz? – zapytał zdziwiony Wołodymyr.

Grubas tylko skinął głową i wyciągnął klucze.

Wyszli na betonowy krużganek. Wołodymyrowi na końcu piętra mignęła jakaś sylwetka, ale zaraz zniknęła za załomem.

Leonid zamknął drzwi i spojrzał pytająco.

– Tam, poza osiedlem. – Młody wskazał, gdzie zaparkował.

Przemknęli prędko przez dziedziniec, wyszli w uliczkę nie niepokojeni. Leonid przebierał nogami, dotrzymując tempa chudemu chłopakowi. Szofer zaczynał się cieszyć, że wpadło mu kilka euro za tak prostą robotę.

Otworzył auto.

– Dokąd jedziemy? – grubas zaskoczył go pytaniem, kiedy trzymał za klamkę. – Årjäng?

– Gdzie? – Chłopak pierwszy raz słyszał tę nazwę.

– No, tam, koło granicy norweskiej – prawie krzyknął Leonid i grdyka mu zafalowała.

W osiedle z głównej ulicy wjechał samochód.

– Jakiej granicy? Mam cię zabrać do Varbergu nad morze... – Wołodymyr zaczął się nerwowo uśmiechać.

Grubas wlepił w niego przerażająco wściekłe spojrzenie.

– Co ty mówisz? – Głos mu zadrżał. Zrobił krok w tył.

Mijający ich wóz zatrzymał się w połowie drogi do bloków.

– Zaraz to wyjaśnimy... Mi powiedzieli... – Młody sięgnął po telefon. Odnalazł na liście kontaktów numer Artema. – To pewnie jakaś pomyłka – mówił spokojnie, zupełnie nie rozumiejąc, w co się wikła.

Leonid zaś stał jak wryty, jeszcze bledszy.

Wołodymyr sięgnął palcem do zielonej słuchawki. Zerknął jeszcze w bok i dojrzał stojący na ulicy czarny wóz. Volvo XC40. Coś szepnęło mu w głowie, że widział już ten samochód na wjeździe do miasta. Nim myśl uleciała, tylne drzwi auta otworzyły się i wyskoczył z nich wysoki, ubrany na czarno człowiek. Młody skonstatował błyskawicznie, że nie widzi twarzy. Że tamten nosi jakąś maskę.

Facet uniósł dłonie.

– Kurwa! – Leonid szybciej pojął, co się wyrabia.

Błysnął strzał. Huk rozszedł się głuchym echem. Świst kuli. Potem drugi i trzeci. Młody poleciał na ziemię, ale czuł, że jeszcze z nim w porządku. Zaczął rakiem, podpierając się na dłoniach, cofać się za maskę. Jakiś rykoszet wykrzesał iskry obok niego.

Zza auta też zaczęło grzmieć wystrzałami. Dźwięk wydał się dzieciakowi tak ogłuszający, jakby wkoło zaczęły padać bomby.

Pocisk rozerwał blachę auta. Gdzieś dalej stłukł szybę. Od bloków doleciał krzyk

uciekających dzieci.

Z dwóch stron w półmroku błyskały płomienie wystrzałów.

Gruby strzelił jeszcze trzy razy. Młodemu zdawało się, że trwa to strasznie długo. Tamten przy volvo zarzucił głową jak uderzony w twarz i rozłożył się na jezdni.

– Do wozu i wiejemy! Wiejemy!!! – Leonid wydierał się jak opętany.

Doskoczył do maski i zasadził młodemu solidnego kopa. Ból pobudził krew w żyłach, wyzwolił wściekłość i pozwolił trzeźwiej myśleć.

Z volvo wyszedł jeszcze jeden człowiek, chyba szofer. Skrył się za autem. Wychylił się, kiedy Wołodymyr na klęczkach otwierał drzwi. Ciszę wieczoru przeszła długa, potworna seria. Ołów posypał się rojem po chodniku i samochodach. Leonid puknął kilka razy i zachwiał się. Młody, napędzony adrenaliną, zapuścił silnik, prawie wchodząc pod kierownicę.

Metaliczny terkot serii zlał się w jeden ogłuszający huk wraz z echem, strzałami z pistoletu oraz dźwiękami rwanego metalu i rozsypującego się szkła.

Grubas wgramolił się na tylne siedzenie. Dyszał.

– Ruszaj, ruszaj, kurwa, albo nas zabiją! – wydarł się ze wszystkich sił, jakie udało mu się z siebie wykrzesać.

Wołodymyr zapuścił silnik. Gruby wypalił jeszcze dwa razy i automatyczny ostrzał z tamtej strony ustał. Widocznie trafił. Młody w panice zbyt mocno przygazował, mało nie taranując auta za nimi.

– Boże, Boże... kurwa mać! – na przemian wzywał Najwyższego i klął.

Na wstecznym wycofał prędko i niezgrabnie do głównej ulicy. Wykręcił. Wrzucił jedynekę i ruszył z kopyta. Chyba źle skręcił, nie poznawał okolicy. Piłował silnik, zapominając zmieniać biegów.

– Spokój, już spokój – komenderował grubas, unosząc się na kanapie i wyglądając przez szybę. – Nie jadą za nami... Uciszyłem ich – powiedział ot tak, zwyczajnie, bez patosu, jakby zabił muchę.

Młody dodał gazu, w szoku ignorując wszelkie zasady ruchu. Gnał ku odległemu, majaczącemu w mroku mostowi autostrady spinającej dwa brzegi doliny, w której leżało przedmieście.

– Uspokój się. Zwolnij, do cholery – rozkazał Leonid z wyraźnym trudem. Sapnął i usiadł prosto na kanapie. Wymienił magazynek w Glocku. Syknął z bólu. – Cały jesteś?

Wołodymyr bał się coraz bardziej. Popatrzył przez ramię. Grubas rozsunął kurtkę, pod którą była lekka kamizelka kuloodporna.

– Gdyby nie to... – Leonid poklepał w kewlar i znów stęknął z bólu. – Ja pierdołę, boli... – wściekał się.

Oddychał prędko, usiłując odzyskać równowagę. Myśleć przytomnie.

– Olej autostradę... – powiedział, kiedy gdzieś za nimi odezwały się pierwsze syreny radiowozów. – Zresztą połowa sąsiadów już zdążyła zameldować, w którą stronę wialiśmy. Jedź wolno, pokażę gdzie. – Mijali coraz rzadziej rozsiane domy; okolica robiła się lesista. – Bocznymi mamy szansę. Na pewno mamy – uściślił z zadziwiającą pewnością.

Wołodymyr patrzył na niego długo we wstecznym lusterku. Opanowanie grubasa i jemu się udzielało.

– Co to... co to było? – Młody wreszcie odkleił się od kółka. Zdjął nogę z gazu i jechał w coraz gęstszy las niczym na zwykłą przejażdżkę. – Ruskie? – dopytywał niepewnie.

Leonid przykleił nos do bocznej szyby.

– No, a kto? – powiedział ledwo słyszalnie, ale z pełnym przekonaniem.

Wołodymyr głośno przełknął ślinę. Teraz dopiero spostrzegł, że drży, a całe jego ubranie lepi się od potu. Już nie pamiętał o dwustu euro, o pracy, którą porzucił. Już nie podobała mu się ani Szwecja, ani tym bardziej zabawa w partyzantów, szpiegów czy patriotów na uchodźstwie. Zresztą to właśnie przestała być zabawa.

– Mam takie miejsce... – Leonid nie odrywał głowy od szyby. – Powinniśmy tam... – zawahał się – ...przeczekać. Obmyślimy, co dalej. Kto nas... sprzedał. – Spojrzał w odbite w lusterku oczy Wołodymyry.

Objazd bocznymi drogami był długi i powolny. Młody Ukrainiec nie czuł się najlepiej pośród coraz gęstszych, prawie bezludnych lasów. Szutrowe szosy były tu dobrze ubite, kręte i to wznosiły się, to opadały. Zimą przejazd tędy był zapewne nie lada wyczynem, godnym kierowców terenowych.

Leonid znał teren albo kiedyś sam przetestował tę drogę ucieczki, co bardzo imponowało młodemu.

Minęli tylko trzy auta. Nikt ich nie niepokoił, nie zwrócił uwagi na dziury w karoserii czy popękane szyby.

Po godzinie przecięli wreszcie główniejszą drogę. Konkretnie autostradę na

północny wschód.

– Gdzie my, do diabła...? – Wołodymyr otarł pot z czoła. Pogubił się. Chciał przeczytać jakiś znak na szosie, ale za plecami usłyszał:

– Jedź prosto, to odludzie. Tu nas nikt nie znajdzie.

Wokół było jeszcze więcej lasów, za to wzgórza robiły się łagodniejsze. Na dużych polanach stały rozrzucone zabudowania gospodarstw, ciągniki, jakieś inne maszyny. Minęli kilka takich skupisk i znów wjechali w dzicz.

– Światła. Zgaś światła – kazał gruby.

Wołodymyr posłuchał.

– To... – Leonid wypatrywał czegoś w zupełnej czerni.

Wołodymyr zwolnił przezornie, żeby ułatwić mu poszukiwania.

– Jest! – Grubas klasnął w dłonie, naprawdę szczęśliwy. – No, mamy, skręć w lewo. – Klepnął młodego w ramię.

Na końcu wąskiej dróżki majaczył kształt chatki. Stała w otoczeniu krzaków i zdziczałych zarośli. Dom pustelnika.

Wóz wtoczył się po pstrykających kamieniach przed wejście.

– Tu zaczekamy – obwieścił Leonid i zaraz wysiadł.

Młody zrobił to samo, nie chcąc zostawiać kompana samego w nieszczęściu. Tak na wszelki wypadek.

Powietrze było zimne nawet jak na skandynawski maj. Wilgoć wskazywała, że znajdują się na mokradłach albo blisko jeziora.

Leonid wydobył spod jakiegoś głazu torebkę z kluczami. Zabrał swoją sportową torbę i wepchnął pistolet za pasek spodni. Uchylił drzwi pokryte łuszczącą się farbą.

– Zapraszam – sapnął, wskazując wejście. Sam jednak czekał na schodkach.

Wołodymyra coś tknęło, coś mu nie pasowało. Leonid patrzył na niego bez emocji. Był jak gład.

– Chodź, nie bój się. – Na nieruchomej twarzy Leonida poruszały się tylko usta.

Młody podszedł ostrożnie, rozglądając się wkoło, ale teraz otaczały ich tylko ciemność i odgłosy zwierząt gdzieś w kniejach. Było jak w upiornym starym horrorze.

Schodek skrzypnął.

– Wchodź, mam zapas żarcia... – Leonid pchnął go do środka. – To mówisz, że kto cię do mnie przysłał i kiedy? – przeszedł do poważnych pytań. Nieomal przesłuchania. W głosie miał wyrzut i lekką pretensję.

– Artem – odparł szybko młody. W ciemnym pomieszczeniu czuć było stęchlizną.
– Myślisz, że to on? – zapytał, szukając włącznika światła.

Za plecami usłyszał szum. Kątem oka albo raczej za sprawą napiętej uwagi spostrzegł jakiś ruch. Odruch nakazał chłopakowi unieść dłoń i się osłonić. Nim mózg ustalił, co się dzieje, jego szyja znalazła się w bolesnym uścisku. Wołodymyr usiłował odsunąć pasek z gardła, sapiąc, dusząc się i miotając, ile tylko miał siły. Wybałuszał oczy, syczał żałośnie, wił się i wymachiwał drugą ręką.

Leonid był niższy, ale o wiele cięższy, silniejszy i wytrzymalszy. Ciosy chudego łokcia niewiele go obchodziły, zwłaszcza że padały na kamizelkę. Młody próbował kopniaków, ale i to nie przynosiło rezultatu. Słabł, poddawał się, opuszczając się coraz bliżej ziemi.

Kości w dłoniach grubasa aż strzykały, kiedy zaciskał je na pasku od torby. Poluzował wreszcie, chcąc sprawdzić, czy załatwił to jak należy. Wtedy głowa Wołodymyry rymsnęła go w nos. Krew bluznęła na twarz. Chłopak udał, że traci przytomność, by uderzyć ostatni raz. Obrócił się z zakrwawionym napastnikiem u karku, korzystając z jego zaskoczenia. Wolne ramię wyciągnął w stronę jakiegoś stolika po cokolwiek, co mogło być bronią.

Nie rozpoznał kształtu. Solniczka, budzik? Uderzał zapamiętale, na chybił trafił, pchając grubego w tył, póki obydwoj nie obalili się na podłogę.

Uścisk na gardle osłabł. Młody zamachnął raz jeszcze głową i poderwał się na równe nogi. Kręciło mu się w głowie, nie mógł złapać tchu. Pręga na szyi piekła. Obrócił się i zasadził potężnego kopniaka w łysą czaszkę Leonida, który nieporadnie usiłował wstać. Facet chrząknął i runął jak długi. Młody nie upewniał się, czy obezwładnił napastnika. Nie interesowało go nic, tylko ucieczka.

Wyskoczył przed dom. Wsiadł do auta i zapuścił silnik. Wsteczny bieg zazgrzytał i toyota popędziła w ciemność.

*

Lokal, restauracja czy też gospoda przy trakcie Brzeskim nie była wzorem luksusowego wyszynku. Nieco cuchnęła starym tłuszczem i spalenizną. Była ciemna i wyglądała jak bar z Dzikiego Zachodu w wizji peerelowskiego scenografa: kamienna podłoga, lepka od brudu ciemna boazeria, brązowy drewniany bar i gdzieś koło od wozu albo chomąto jako dekoracja.

Sebastian Wicki siedział w rogu całkiem zatłoczonej sali, wypełnionej kierowcami tirów i busów oraz prostytutkami robiącymi sobie przerwę w trudach codziennej pracy. Sącył drugą już colę, oparty o niewielki stolik zakryty poplamionym plastikowym obrusem.

Prócz frustracji spowodowanej koniecznością spotkania męczyło go pytanie, jak właściwie takie speluny mogą jeszcze istnieć. Czuł, jak bardzo tu nie pasuje, choć tego wieczoru zrzucił garnitur i wybrał sportowe bawełniane dresy oraz windstoppera. Nie był politykiem z pierwszych stron gazet. Dobiegał dopiero czterdziestki, uznawano go za smarkacza i nie pchano na afisz. Pełnił raczej funkcję urzędnika od czarnej roboty, toteż ludzie go nie zaczepiali. Chociaż zawsze istniało niebezpieczeństwo, że znajdzie się ktoś zainteresowany, kto go rozpozna.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Dobrze wtopił się w otoczenie.

W telewizji leciał jakiś teledysk, ale nikt nie słuchał muzyki, bo głos był ściszony. Wicki spozierał na płaski odbiornik na ścianie, by zaraz z nadzieją przenieść wzrok z powrotem na wejście.

Mijał kwadrans, odkąd zasiadł w tym przybytku, i zaczynał się z lekka niepokoić, że nic się nie dzieje. Że marnuje czas i bardzo ryzykuje.

Drzwi baru skrzypnęły. Do środka wszedł mężczyzna. Sebastian poznał go od razu, ale powściągnął emocje. Patrzył tylko sponad szklanki.

Tamten był mu równy wzrostem, nosił wytarte džinsy, ciemną koszulkę i krótką, lekką kurtkę. Ciemny blondyn o nieco zbyt okrągłej twarzy. Nie patrzył po sali, nie rozglądał się. Poprosił o wodę mineralną w butelce. Otworzył i upił spory łyk. Zaraz wyszedł.

Sebastian oddychał ciężko, zaciskając rytmicznie pięści w jakimś nerwowym odruchu. Zapomniał już, jak bawiły go te momenty napięcia, buzująca w żyłach adrenalina.

Nie minęło wiele czasu, zaledwie sześć lat, a on wymazał to z pamięci, zajęty nowymi, zaszczytnymi obowiązkami.

Przy tej całej maskaradzie, tym spotkaniu, które miał odbyć po raz drugi, wracały obrazy z podróży, a właściwie przedostawania się busem na wschód Ukrainy, z głową pełną frazesów i szczytnych haseł o pomocy.

Już nie prowadził fundacji, oddał to komuś innemu i tylko swąd błędów wciąż się za nim ciągnął. Zmusił go do ratowania nowej pozycji.

Wicki dopił colę. Wstał jakby nigdy nic i wyszedł ze speluny.

Wieczór nie był za ciepły, za to ciągle jaśniał szarością. Dni robiły się coraz dłuższe.

Auto było zaparkowane gdzieś między ciężarówkami na kamienistym placu. Sebastian szedł nieśpiesznie, szukając znajomego. Nie pomylił się. Człowiek stał bliżej drogi, za szyldem z niesprawnym oświetleniem.

Wystarczyło, że spojrzał wymownie.

Spotkali się w lesie kilkaset metrów dalej. Zieloność rozkwitła na gałęziach, dając nieco osłony przed ewentualną obserwacją.

– Powitać. – Facet w dzinsach podał dłoń Wickiemu. Udawał wyluzowanego, ale ewidentnie się denerwował. Nie czuł się swobodnie i chciał mieć to z głowy. – Masz? – dopytał zaraz, patrząc na polskiego polityka.

– Mam, mam. Zgodnie z umową – odparł Sebastian niewesoło.

Rozpiął kurtkę i spod paska spodni wydobył folię z kilkoma kartkami. Ścisnął je mocniej, wahając się przez ułamek sekundy.

– Co jest? – Ten drugi spostrzegł tę niepewność w zachowaniu i lekko się strapił. – Mam znów przypominać... – zaczął spokojnie, marszcząc czoło – ...co mamy na ciebie? Wystawić ci rachunek...?

– Dobra, już skończ – fuknął Wicki zdziwiony, że potrafi się zezłościć w takiej chwili. Wetknął tamtemu plik kartek ciosem w brzuch. – Masz. Ostatnia transza. Niczego więcej nie wiem. Jest kilka nowych spraw, ale niewiele. Tłoczno się robi... – Głos mu zadrżał. Odwrócił wzrok wściekły jak diabli na całą tę sytuację, ale przede wszystkim na siebie.

Drugi mężczyzna przeglądał zapisane kartki.

– Dobra – powiedział bez emocji, nie do końca chyba zadowolony. – Zobaczmy, co z tego wyciągną... – Schował pakiet za pazuchę i podszedł bliżej obrażonego Wickiego. – Wiesz, że o tym sza, bo inaczej... – Pauza potęgowała tylko otwartą groźbę. – Kariera, ale i dzieci, żona. Rozumiesz.

Miał taki ton głosu, jakby mówił o pogodzie. I to przerażało Sebastiana najbardziej. Ta zwyczajność, rutyna w straszaniu ludzi.

– Gdyby jednak coś nowego wyniknęło... – mężczyzna podał politykowi malutki kartonik – pisz tu. W skrzynce roboczej. Przeczytamy. Tu masz hasło i login. No, trzymaj się. Do zobaczenia – zadrwił i wyminął Wickiego.

– Po co to wam? – urzędnik zdobył się na odwagę, rzucając naiwne, niemądre pytanie. – Skąd ten pośpiech?

Chciał pytać dalej, bo znał już podobne historie, choć tylko z internetowych debat nic nieznaczących twórców teorii spiskowych. Głos jednak uwiązł mu w gardle.

Tamten stanął jak wryty. Obrócił głowę i spojrzał na Wickiego lodowato. Nie spuszczał z niego wzroku przez bardzo długą chwilę, ciekaw, czy Polak będzie dalej głupio brnął.

– Żeby nie było – usta blondyna ledwo się poruszyły – że cię tak bezwstydnie wykorzystujemy... – Przygotowana wcześniej fraza nie pasowała do tej sytuacji. Była drwiną. – Pod autem masz mały bonus za spotkanie. Trzymaj się.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę parkingu, zostawiając Sebastiana Wickiego samego ze złością, rezygnacją i wielkimi wyrzutami sumienia.

*

Trylis nie było pięknym miejscem. Miasteczko, a może raczej większa wieś, składało się z kilku setek rozrzuconych na równinie domostw: budowli z pustaków i szarej cegły oraz starych drewnianych domków pomalowanych na pstrokate kolory, by choć trochę rozjaśnić ogólny marazm i nijakość. Przynajmniej tak wydawało się ich właścicielom.

Wszystkie te konstrukcje otaczały wysokie mury albo blaszane płoty. Ogrodzenia oddzielające domy od dziurawych dróg, z których czas i aura zdarły resztki asfaltu, czyniąc dukty piaszczystymi w lecie i błotnistymi zimą.

Okolice też nie były specjalnie porywające. Wszędzie step, gdzieniegdzie tylko nieco wyższy pagórek wspinał się ku niebu, by zaraz opaść. Lasy rozchodziły się po równinach, czasem przemieniając w prawdziwe puszcze, zwłaszcza w głębokich jarach rozdzielających pola uprawne.

Doktor czuł się tu jednak jak w raju. Żaden z jego ludzi, ochroniarzy, nie mógł pojąć, czemu tego osiłka przepelnia taka witalność.

Czwórka młodych byczków, którzy wyraźnie popadali w depresję, najchętniej dawno wróciłaby do Kijowa, Krzywego Rogu czy nawet – od biedy – Żółtych Wód. Wszystko, byle tylko porzucić tę dziurę.

Dom mieli wprawdzie największy – choć osłonięty przed wścibskimi spojrzeniami odpowiednim parkanem – ale na niewiele się to zdawało.

Doktor zasiadał na tyłach domu na leżaku i chłonąc promienie słońca, czuł się najlepiej na świecie. Wyglądał jak turysta. Spodnie bermudy, jasna, wyciągnięta koszulka i byle jakie klapki. Zimne piwo i spokój. Tego drugiego chciał najbardziej. Po zawieruchach w stolicy, unikaniu szpicli i całej tej politycznej bijatyce potrzebował ciszy.

Nawet ten zapuszczony kawał ziemi, niestrzyżona trawa, rupiecie po poprzednim właścicielu wydawały mu się czymś pięknym.

Telefon w kieszeni krótkich spodni zabrzączał dźwiękiem powiadomienia. Doktor sięgnął po aparat nieśpiesznym ruchem. Nie chciał wiedzieć, która jest godzina, ale obowiązki nie dawały o sobie zapomnieć.

Zwłókł się z leżaka, odstawił puszkę i poczłapał do domu.

Wnętrze było zupełnie inne niż prząsna zewnętrzna forma. Jasne ściany, kopie obrazów, nowe meble. Kilka miejsc, gdzie można było trenować, sporo telewizorów i sprzętu, który miał umilać pobyt.

Ale najważniejsze elementy wyposażenia były ukryte jeszcze lepiej.

Doktor minął chłopaka drzemiącego na kanapie, przeszedł do korytarzyka przy kuchni i otworzył drzwi w kolorze ściany. Włączył światło i zszedł po skrzypiących schodach do płytkiej piwniczki. Nie było w niej wiele. Dwa biurka, kilka komputerów i dwie czarne skrzyneczki.

Mężczyzna uruchomił komputer i upewnił się, że skrzyneczki pracują. Kiedy ekran się rozjaśnił, wpisał hasło.

Palce obu jego dłoni nerwowo stukwały w blat. Kiedy system zadziałał poprawnie i pojawiły się ikonki poświadczające, że nawiązano połączenie z siecią kodowaną, Doktor otworzył skrzynkę wiadomości.

– Jak w zegarku – szepnął mężczyzna, chyba nieco zawiedziony, że przyszło coś nowego. Wciąż liczył, że to, co ma przeczytać, co ma się wydarzyć, nie zostanie zrealizowane.

Los albo zwierzchnicy nie szczędzili mu pracy i coraz większych emocji. Nadeszły nowe wiadomości. Doktor czytał uważnie długie kolumny tekstu i bladł. Odechciewało mu się wszystkiego, w miarę jak pochłaniał treść.

Wreszcie skończył. Opadł głębiej na krzesło i położył ręce na głowie. Przygryzł wargę i zamarł tak na kilka minut.

– Po wakacjach, kurwa – syknął. – Ja pierdołę! – wyrwało mu się głośniej.

Noga zaczęła mu drżeć. W głowie coś się przestawiło i zalał go potok nie najweselszych myśli i przewidywań. Doktor zaczynał się bać. Przybliżył się do klawiatury i napisał potwierdzenie odbioru.

*

Pomieszczenie, w którym zasiadał międzynarodowy zespół, nie różniło się wiele od innych tego rodzaju miejsc. Międzynarodowy standard. Podziemia schronu w pobliżu szwedzkiej Karlskrony wypełniało jasne światło szerokich lamp, jak najbardziej zbliżone do naturalnego światła dnia. Nijakie szare ściany. Biurka i całe tony najlepszego sprzętu zapewniającego dostęp do najnowszych informacji czy wgląd w pewne działania w czasie rzeczywistym. Zapas wody, klimatyzacja i mnóstwo ekranów.

Bywały w życiu Kamila zwanego Monsignore, podporucznika w Jednostce Wojskowej Formoza, chwile, które wywoływały lawinę zdarzeń oraz pracy cięższej niż na co dzień i kończyły krótkie momenty względnego spokoju.

Wykrycie i opanowanie frachtowca na Bałtyku było takim wydarzeniem. A dokładniej przejęcie jego nielegalnego ładunku: kilku kilogramów trotylu, broni maszynowej o zatartych numerach, kilku skrzyń amunicji, pocziwych, starych AK-47 – ulubionej broni wszystkich „złych” na świecie. Ale to nie było wszystko. Była jeszcze ta część, której nie ujawniono żadnemu dziennikarzowi kontrolowanemu przeciekiem. A fracht był ciekawy. Cztery niewielkie drony, w tym dwa przystosowane do przenoszenia głowic bojowych, sprzęt do ich sterowania, komputery, a nawet na wskroś nowoczesne, lekkie granatniki kalibru 40 milimetrów z zapasem amunicji. Wyposażenie małej armii, o którym załoga oczywiście nic a nic nie wiedziała.

Kamil oraz jego przełożony kapitan Bratnowski spędzali ostatnio w tym pokoju wiele czasu jako członkowie zespołu, którego rutynowe zadania szkolno-rozpoznawcze zamieniły się w ciężką pracę analityków. W tym Monsignore czuł się najlepiej. Uważany przez wielu w kraju, ale i w państwach sojuszniczych sojuszniczych za mistrza, który bez tej pracy nie potrafił znaleźć sobie miejsca w życiu.

– Szambo się wylewa, a my nie wiemy u kogo? – Mike Perish, „turysta” z DIA, wywiadu Sił Zbrojnych USA, w nieprzyjemnych chwilach lubił drwić. Tak

prawdopodobnie rozładowywał napięcie. Był krępawy, nosił dłuższe włosy, niż nakazywały regulaminy, umiał słuchać i szybko wyciągać wnioski.

Kamil i Bratnowski obrócili głowy, odrywając się od ekranu, na którym prezentowano program informacyjny brytyjskiej telewizji BBC. Reszta zebranych, skupionych przy komputerach Szwedów i Amerykanów, również podniosła wzrok.

– Żadnych nowych doniesień – w kącie sali odezwał się tubalny głos komandora Oscara Lindknefta.

Mimo trudów niekończących się narad i nerwówki, nawet z bladą twarzą szwedzki „szef” odpowiedzialny za zbieranie wszystkich kawałków układanki wyglądał groźnie. Wysoki na dwa metry, szeroki w barach czterdziestosiemioletni niedźwiedź z brodą godną prawdziwego wikinga.

Nalał sobie nie wiadomo który kubek kawy i dźwignął się z obrotowego fotela.

– Ruscy narzucili narrację – wystawił palec dłoni trzymającej kubek w stronę pozostałych telewizorów – a reszta podchwytuje. Naprawdę, nadepnęliśmy im na odcisk.

– Tak, teraz wystarczy im podkrecać atmosferę. – Parish założył ręce na piersi. – Fajnie się gada o czymś absolutnie zrozumiałym – co rusz gryzł wąskie wargi – tylko co, kurwa, dalej? – nie najsympatyczniejsze pytanie skierował do ogółu zebranych.

– U mnie nic, żadnych nowości. Ich łączność w normie, a nawet na niskim poziomie. Zamilkli wystraszeni, coś szykują... – spowiadał się szwedzki specjalista od łączności i nasłuchu.

– Lub to po prostu ściema – wtrącił niepytany Monsignore, używając zamiennika dla cisnącego się na usta określenia *bullshit*.

– Ściema... – powtórzył Amerykanin, kiwając głową i świdrując Polaka spojrzeniem.

Wszyscy znów zamilkli na kilka chwil, porządkując w głowach to, co wiedzieli, i szykując kolejną porcję przemyśleń.

Dwie telewizje pokazywały opisy dwóch różnych spraw. Pierwszy mówił o kontrabandzie ładunków wybuchowych przechwyconych przez szwedzkie siły specjalne. Jak było przygotowane, akcja wyglądała na przypadkową. Prosta rzecz dla zwykłych zjadaczy chleba. Nikt nie pytał, ile trwała cała akcja wywiadowcza, a jeżeli nawet, istniały środki, by te pytania zablokować. To było zbyt istotne, by dać się ponieść wolności słowa, nawet tu, w liberalnej do bólu Szwecji. I taki news pojawił

się we wszystkich serwisach i był pompowany od kilku dni, budząc grozę w szwedzkich miastach. To akurat było na rękę chłopakom z NATO, bo choć nie przyznawali, kto nadał ładunek, sytuacja była jasna i wskazywała, kto ma złe zamiary.

Drugie *story* było świeższe. Dotyczyło miejscowych, toteż interesowało tutejsze media. Strzelanina w sennym miasteczku wśród gór i lasów. Dwóch zabitych, których dokładnej tożsamości nie podano. Zresztą nie było można. Określano ich tylko jako obywateli Europy Wschodniej. Rosyjski kanał propagandowy RT i jego portale internetowe zarzucały sieć „przeciekami”, że chodziło o bandyckie porachunki w diasporze Ukraińców oraz w ukraińskich grupach neonazistowskich. Ktoś już po kilkunastu godzinach próbował połączyć ten fakt ze sprawą przemytu uzbrojenia, ale w to nikt normalny w Szwecji chyba nie wierzył.

Opinia publiczna, choć obawiała się zagrożenia wschodniego, nie zajmowała się tym na razie, przerażona, że bandytyzm, i tak przecież ukrywany w dużych miastach, trafił tak daleko na prowincję.

– Moskał robi zamieszanie... – Monsignore opierał się na przemożnym przecuciu, które inni brali za czarnowidztwo i fobie, ale, o dziwo, godzili się z tropami podrzucanymi przez Polaka. – Nie mieliście wielu bojówek ukraińskich? – zapytał Kamil retorycznie wikinga. – Jeżeli tak, to pod nadzorem, więc to błaga. Nie wierzę, by ukropy od Bandery stworzyły tajemniczą organizację, która urządza sobie Dziki Zachód na środku ulicy.

– Ale nie wolno niczego wykluczyć – kapitan Bratnowski surowo mitygował niesforny ton podwładnego. Był od niego młodszy wiekiem i stażem, ale starał się jasno pokazywać, kto w tym duecie ma przewagę.

– Oczywiście – Monsignore przytaknął posłusznie, ale na tym kończyła się jego uległość. – Wszystko to, jak już ustaliliśmy, wyszło za pięknie – brnął w swoją narrację. – Podśłuchana rozmowa. Ktoś palnął o dacie dostawy, a wy – skinął głową na Oscara – dodaliście dwa do dwóch i wzięliście frachtowce pod nadzór. Osobiście nie doszukiwałbym się tu wielkiego zagrożenia... – mówił dalej Polak. – Opuścili wam od pewnego czasu. Nie podsyłają ludzi i grup rozpoznawczych.

– Ale ten cały Leonid, który związał się z tego Borås – wtrącił autorytatywnie Mike Perish – był jednak Ukraińcem albo taką miał legendę.

– Tylko po co on nam? Czy w ogóle jest potrzebny w naszej układance? – Kamil sam nie wierzył w to, co mówi, albo prowokował. – Ci zatrzymani na brzegu, o ile

wiem, nie znali gościa. Zresztą byli nowi, najęci do transportu albo w ogóle wystawieni na odstrzał. Jedyna ciekawostka to to, że ten nieznany nikomu Lońka miał kontakt z drugim gagatkiem, który się zawieruszył. Wasze SÄPO miało na niego oko... Jak mu było? – Pstryknął palcami.

– Artem jakiś tam... – Oscar wzruszył ramionami. – Ulotnił się, zniknął. Prawdopodobnie w tym samym czasie. Tak jak i jeden dzieciak, który się przy nim kręcił, stąd nasi mieli na niego baczenie. Kierownik elektrowni atomowej wziął sobie tanich pracowników na czarno. Powinien to zgłosić, ale myślał, że nie wyjdzie... Darowaliśmy im tylko po to, by zobaczyć, co będzie. Taka szkoleniowa zasadzka, bez wielkich oczekiwań, a tu proszę. – Niemrawo się uśmiechnął.

– I przepadł, a to daje do myślenia. – Amerykanin stropił się. Podparł głowę dłonią. – I mamy jeszcze jedną pieprzoną zagadkę, choć wiemy wszyscy, czym to śmierdzi.

– Było tu coś tajnego – rzucił Kamil, coraz bardziej się zapalając – ale nie wydaje mi się, by była to młodzieżowa grupka, kilku uchodźców – pozwolił sobie na uszczypliwość wobec gospodarzy. Bratnowski zrugął podporucznika spojrzeniem, a ten tylko mrugnął na znak, że wie, jak daleko może się posunąć.

– Napompują to medialnie i będą próbowali wymusić decyzje polityczne. – Oscar rozumował trzeźwo, jak przystało na człowieka na jego stanowisku. Przywykł już do afrontów ze strony Kamila, starał się skupiać uwagę na jego osiągnięciach.

– Czyli... jakie wnioski? – Perish chciał usłyszeć od innych to, co zapewne już wiedział.

– Wnioski są takie, że to element wojny hybrydowej – kapitan Bratnowski uprzedził kolejną impertynencką odzywkę Kamila. – Odwracają uwagę... To znaczy jeżeli wkrótce nie wydarzy się coś, co zmieni ogląd sytuacji. Można chwalić się sukcesem i czekać, robiąc swoje. – Wymowne spojrzenie na podwładnego miało dać mu do zrozumienia, by brał się do zwyczajowych analiz, zamiast produkować kolejne teorie.

Monsignore zasiadł do swojego stanowiska z komputerem i dwoma ekranami. Zamknął widoczną na jednym mapę sytuacyjną fragmentu wybrzeża Bałtyku i kliknął ikonkę na pulpicie. W prostej witrynie pojawił się spis ostatnich doniesień kontrwywiadów NATO dotyczących aktywności rosyjskiej na terenie Paktu.

– Jeżeli odwracają uwagę, to od naszego podwórka. Skoro nie boją się bruździć na

terenie neutralnym – mrugnął okiem na znak, że to żart; Szwecja była wszak neutralna już tylko oficjalnie – to kto wie, co nam jeszcze przyszykują. Wszyscy wiemy, że nie są nowi i jeżeli trzeba, podbijają stawkę dla...

– No właśnie, dla czego? – Perish głośno myślał.

– Ukraina – szepnął ciężko Bratnowski.

Jak na zawołanie, na ekranie wyświetlającym serwis BBC pojawiły się obrazy z tego na wpół zrewoltowanego kraju. Nieme urywki pochodów, płózących się gazów. Widoki powybijanych witryn. Zaraz potem pokazano zdjęcia kolumn rosyjskich czołgów i tłumów widzów na defiladzie z okazji nie tak odległego święta 9 Maja – niemal sielanka w porównaniu z Ukrainą, jaką prezentowali Brytyjczycy, chyba bezwiednie włączając się w propagandę.

Gdyby nie wyciszony dźwięk, zapewne wszyscy usłyszeliby o przeciekających informacjach na temat znów rosnącej koncentracji wojsk rosyjskich, a pewnie i ostrzałów pozycji ukraińskich wokół Donbasu.

Monsignore otworzył jeden z folderów w komputerze. Znalazł kilka zdjęć i przejrzał wszystkie. Materiały satelitarne dotyczące wschodniej Ukrainy interesowały go najmniej. Nie były aż tak niepokojące, jak to sprzedawano mediom. Nieco tylko zwiększona aktywność, którą można było złożyć na karb wymiany wojsk.

– Pieprzona wojna informacyjna – szepnął zły.

Lustrował zdjęcia robione ponad obwodem kaliningradzkim wraz z analizą przygotowaną przez niego i ludzi z Warszawy. Po obu stronach granicy było tłoczno. Na północy bardziej, jak od kilku przynajmniej lat, ale za to nie zauważono żadnych nowych ruchów. Wojsko ćwiczyło, ale nikt nie prowokował przy granicy, tak jak pewnej gorącej jesieni jakiś czas temu. Podobnie na Bałtyku – tylko wzmożony ruch w komunikacji i chyba czynione na pokaz, dziwne akcje rozpoznawcze.

– Co oni, kurwa, odpierdalają?... – wycharczał po polsku, wstając od stanowiska.

– Po co im ta gównoburza? – odpowiedział już po angielsku, zwracając się do reszty. Czekał na wytłumaczenie, które nie nadchodziło.

– Wiesz, że Moskwa lubi takie zabawy. – Oscar dobrotliwie klepnął go w ramię. – Ciągłe napięcie, a my się nabieramy.

– Nabieramy – powtórzył w zamyśleniu Kamil. Patrzył chwilę w ekran, aż wreszcie zamknął wszystkie zdjęcia i strony. – Masz nać, a znajdź mi marchewkę, którą już mam – wymamrotał sam do siebie ulubione powiedzonko, którym raczył

uczących się u niego analizy.

– Pan podporucznik zapewne po prostu żałuje, że nic się nie dzieje, a on jest... w złym miejscu – Bratnowski zaczął tłumaczyć kompana w mało subtelny sposób.

Żebyś, kurwa, wiedział – pomyślał Monsignore, patrząc chmurnie na dowódcę.

– Tak... – Perish wyszedł z dłuższej zadumy. – Nie widać tu bezpośredniego zagrożenia. Chociaż jeżeli zakładamy aktywność rosyjskiego wywiadu, i to wojskowego, to coś jest na rzeczy. Jeśli zaczną mieszać, to w związku z sytuacją na wschodzie, choć nie widać żadnych objawów. Nie mój odcinek, ale nie ma przesłanek, by sądzić, że szykuje się coś większego niż prowokacje polityczne. Pieprzeni szachiści lubią takie gierki. A więc czekamy na rozwój sytuacji. Monsignore ma rację. Trzeba podpowiedzieć Brukseli i Frankfurtowi, żeby uważali na swoich podopiecznych. Mogą coś napsuć...

Kamil tylko skinął głową. Sięgnął po paczkę marlboro i ruszył do drzwi. Spojrzał jeszcze przez ramię na obrazki z Ukrainy. Tak, uważał, że jest w złym miejscu o zły porze i mógłby przydać się gdzieś indziej. Choć i tak drażniło go jakieś niedookreślone przecucie, że to wszystko może się zmienić.

*

Salka w pięknie odrestaurowanej secesyjnej kamienicy była przyjemnie chłodna – klimatyzacja działała bez zarzutu. Repliki zabytkowych mebli i zdobne tapety w czerwono-złote wzory nadawały miejscu znamion luksusu.

Być może dla Łukasza Grzadeckiego czy porucznika Kerca były to rzeczy powszednie, a nawet lekko tandetne, jednak Adam Thomal doświadczał właśnie podróży na wyższy szczebel życiowych możliwości.

Oprócz Adama i inspektora Gduli w budynku zakwaterowano personel ambasady, zapewne dodatkowych ludzi do przygotowywania wizyty. Lub – jak uważał Thomal – pracowników służb, niekoniecznie konsularnych. Przyjechali z metalowymi walizczkami i „zaginęli”, wysłani już na miejsca spotkań albo ukryci w bezpiecznych pokojach.

W salce znalazło się też kilku kumpli Adama. Mógłby uznać to za małą potwarz po tych wszystkich peanach na swoją cześć, ale rozumiał, że jego zespół ma być przedstawiany jako bohaterowie ostatniej spektakularnej akcji. Niemniej ich wizyta nastrajała Adama pozytywnie i odpędzała nieznośną nudę.

Chłopaki siedziały oficjalniej ubrane, w koszule i spodnie w kant. Były w końcu gośćmi placówki dyplomatycznej. Sam szef, Gdula, też nie rozstawał się z marynarką, choć zapewne było to nieco kłopotliwe.

– To tyle, jeżeli chodzi o sprawę wizyty w Kijowie w siedzibie EUAM.

Łukasz Grządecki przeglądał kartki z rozpisany chyba co do minuty planem „zajęć”. Zwiedzanie ich „fabryki” połączone z prelekcją. Wręczanie odznaczeń przez szefa unijnej placówki w obecności głowy państwa. W kilku innych teczkach miał brudnopisy dotyczące podziału ochrony, poszczególnych budowli i spotkań. Trasy przejazdu, choć były to tylko szkice – prawdziwych założeń nie pozwolono by mu oglądać do ostatniej chwili. Tym między innymi zajmował się Kerc, wciśnięty znów w niepasujący mu garnitur.

Oficer siedział obok, bujając się w fotelu i udając, że co rusz spogląda w notatki lub na zegarek.

– Czy są jakieś pytania? – Uniósł głowę. Wydawało się, że nie chce słyszeć uwag ani wdawać się w dyskusje. Najchętniej zostawiłby te protokolarne szkolenia.

Maciej, gliniarz starszy wiekiem i stopniem od reszty, pojął w mig, że ich czas się skończył.

– No cóż. – Klepnął się zamasyście w uda, śląc porozumiewawcze spojrzenie inspektorowi, który znużony nie wyłapał przekazu. – Chyba mamy wszystko. – Uśmiechnął się nad wyraz serdecznie. Prędko przyswoił sobie dyplomatyczne obyczaje. – Jeżeli będzie coś nowego...

Wstał, dając znak pozostałym, że kończą nudną nasiadówkę. Omawiali te wszystkie w sumie proste sprawy kilkakrotnie. Choć sam zaczynał odczuwać lekkie podenerwowanie i chciałby dla poskromienia nerwów jeszcze podyskutować, to nie wypadało.

Adam również robił poważną minę, chociaż wewnątrz cały drżał. Z przejęcia, ale bardziej z braku możliwości podzielenia się nowiną czy to z Matyldą, czy z rodzicami.

Jeżeli całe to zamieszanie miało być sterowane i ładnie wyreżyserowane, to nie było pewności, że w ogóle ktoś je dostrzeże. Zapowiadało się więc na jeszcze jedną uroczystość, choć o największym ciężarze gatunkowym, z której fotografią na ścianie pochwalili się po wszystkim.

– Dziękujemy serdecznie. – Grządecki pozbierał dokumenty. – Proszę wybaczyć niedogodności i ograniczenia w łączności – powtarzał to przy każdej okazji. – No, ale

jeszcze trzy dni i będzie po wszystkim. – Bycie uprzejmym i sympatycznym na zawołanie przychodziło temu człowiekowi z wielką łatwością.

– Pan Adam... – Kerc uniósł dłoń, kiedy wszyscy byli już przy drzwiach. – Słówko. – Dał znak, że reszta nie jest mu potrzebna, a dalsza rozmowa dotyczy tylko Thomala.

Adam wzruszył ramionami, widząc zdziwienie, a może i zazdrość u kumpli.

– Do usług – powiedział bez przekonania, węsząc jakieś dodatkowe zadania.

– Siądźmy. – Porucznik Kerc wskazał krzesło. – To tylko chwila. Formalność. – Sam usiadł. – Sprawdziliśmy cię i poczytaliśmy nieco...

Wyraz twarzy i głos Kerca były pogodne, ale Adam przezornie spodziewał się jakiegoś podstępu.

– Niezły z ciebie gagatek. – Delikatna drwina zabarwiona była czymś na kształt uznania. – Sprawa w Sudanie... No, no, naprowadziłeś naszych. Cała ta akcja to w dużej mierze twoje dzieło. Można by powiedzieć, że z twoją pomocą Formoza stała się jednostką naprawdę samodzielną. Nie dziwię się, że „pierwszy” chce się trochę ogrzać w blasku bohatera...

Adam słuchał. Miał sprzeczne odczucia. Czy Kerc mu zazdrościł, czy już właściwie docinał i czemu to właściwie miało służyć? Siedział, kiwając głową, z uniesionymi do góry kącikami ust.

– Zrobiłem, co musiałem. Nie wiem, co o mnie gadają i piszą – wtrącił szorstko, acz spokojnie.

Zaraz dopadł go niepokój, że ten zwalisty facet dorzuci coś o początkach jego kontaktów z polskimi służbami i jednostkami specjalnymi. Że być może po tylu latach wylazło coś, o czym mało kto miał wiedzieć. Wszystkie te jego uwikłania, prywatne śledztwa i niedoszły teściu z bandą ruskich kumpli. *Wywalq mnie albo odstawiq* – przestraszył się. *Pozwolq się przywitać i wio.* Spiął się cały. Zacisnął palce na udach pod stołem.

– Spokojnie, Adam, spokojnie. – Kerc poluzował kołnierzyk koszuli. – Jesteś w porządku. Chodzi tylko o to, żebyś wiedział, że ta wyprawa do tutejszych jednostek wojskowych to nie to samo, co odstawianie szopki w komendach. To prawie misja specjalna.

– Coś nam grozi? – Adam ledwo poruszył ustami. Wróciły na moment wszystkie obrazki z Sudanu i to, co widział przedtem. Przystawało mu się to podobać.

– Na razie nie ma powodów, by tak sądzić. – Kerc nie przekonywał go jakoś. – Wcześniej nie było okazji ci tego przekazać... – Nabrał powietrza, spoglądając na policjanta. – Dobrze, że znasz się na rzeczy i masz ikrę. Potrzeba nam ludzi, nazwijmy to, ostrzelanych. „Pierwszy” cię wybrał, okej, to polityka. Ale też może ktoś cię podsunął.

Brzmiało to bardziej niż niejednoznacznie i dawało Adamowi kolejny temat do rozmyślań.

– W ogóle uważam – Kerc uczynił małą dygresję – że ten cały popis, z nami czy Amerykanami, ma nikłe szanse na sukces. Tu nikogo to nie obejdzie. No, chyba że nasz prezio i jakiś jankes rzucą z miliard pomocy na wojsko, choć tutejsi wszystko rozdrapią. Może gdyby szło to na jakieś podwyżki... – rozkręcał się.

Adam chrząknął umyślnie i bardzo wymownie. Miał taki wyraz twarzy, jakby miał zadać pytanie: „Co ze mną, do cholery?”, a zaraz potem drugie, jedyne, które huczało mu pod czaszką: „Kto mnie polecił?”.

– Tak, jasne. – Kerc zrozumiał swój błąd. – Jak mówiłem ci przedwczoraj, SOP nie da rady obstawić tego tematu. Tu trzeba naprawdę ciężkiej artylerii. – Spojrzał na zegarek. Ewidentnie na coś czekał. – Kraj jest w rozstroju. Robi się gorąco od tych wszystkich zamieszek i cholera wie, co będzie. Nie mówię o przeklętych ruskach. Przynajmniej nie wprost. Ale kto wie, co komu strzeli do łba na wizytacjach. Powiem ci w sekrecie, że... – przybliżył się, schylając głowę – ...po tej masakrze we Lwowie Amerykanie podsunęli pomysł, by tam zacząć wizytę. Ambasada i MSZ odradzały, bo to może być bardzo źle odczytane. Rozumiesz, albo czcimy ofiary i zwałamy winę na Kijów, albo podburzamy do oporu. Tak źle, tak niedobrze. Stanęło na tym, by posłać tam jednego ich weterana. Gołąbka pokoju, bo on gdzieś ze wschodu kraju, a wojował jak diabeł z Moskałami. Czy to pomoże?... Boję się...

– Więc co ja... mam? – Adam bał się pytać głośniej i precyzyjniej.

– Ty masz robić swoje, a w przypadku jakiegoś gówna – Kerc podejrzenie spowaźniał – trzymaj się moich chłopaków i chroń głowę państwa.

Chwila ciszy zdawała się doskwierać obu.

– Sądzisz, że grozi nam zamach. I to z zewnątrz... – Adam zaczął się pocić. Nie tak się z nim umawiano.

– Nic nam nie grozi. – Kerc starał się być stanowczy. – Na miejscu będą Amerykanie, kilku naszych instruktorów. Także ze znanej ci jednostki. Ale jesteś

wyszkolony, możesz nosić broń. Formoza dała ci honorową odznakę. Co, myślałeś, że nie wiem? Pewnie pokazali ci parę sztuczek... – Pojął zaraz, że zabrzmiało to niewłaściwie. – Wiadomo, w robocie nie pilotujesz biurka. Swoje przeżyłeś – dodał z szacunkiem i w pełni sprawiedliwie. – Dostaniesz kłamekę do munduru wyjściowego, to tyle. – Bezwiednie zaczął gryźć wargę. – Mnie chodzi tylko o to... – Potarł skronie. – Ci Amerykanie, generał z dowództwa armii USA z Frankfurtu, nasz „pierwszy”, teraz, kiedy ruskie na granicy, tak blisko lokalizacji... To budzi niepokój. Nie tylko u mnie. Ambasador, dowództwo sił specjalnych, wywiad... dostali amoku.

– To po co to wszystko? – wypalił niemądrze Thomal. – Po co ja?

– Bo to polityka, mój drogi, polityka i teatryki, a tymczasem u granicy mamy ze dwie ruskie dywizje pancerne. Cholera wie, ile tego naściągali na Krym. Ciągłe tu kogoś podsyłają, bo to wszystko nieszczelne, a ty ganiaj za własnym ogonem i szkół ochotników. Tymczasem od średniego szczebla... – Zabrakło mu tchu i poczerwieniał na twarzy.

– Ta jednostka... – Adam był przejęty i robił się ciekawski. – Gdzie jest? Chyba już możesz mi powiedzieć.

Był prawie pogodzony z losem. Może i prezydent pamiętał o nim, ale ktoś inny uznał, że to świetny pomysł, bo przyda się jeszcze jeden zapasowy goryl na wszelki wypadek.

– Właściwie... – Kerc zerknął gdzieś w bok i do góry. Musiała tam być jakaś kontrolująca ich kamera. – Dowództwo Operacyjne Południe. Sztab mają w Odessie. Spokojnie – machnął ręką – tak daleko nie jedziemy. Kropywnik w obwodzie kirowohradzkim. Zadupie, centralna Ukraina. Daleko od frontu, ale w teorii blisko na Krym, niedaleko do Donbasu. Pogranicze między dwiema Ukrainami. Już chyba się przekonałeś, że to nie jedna państwowość. Będą jankesi ze swoim mocarnym sprzętem, może podrzucą coś z lotnictwa, ale wątpię. Nie chcą ingerować zbyt otwarcie ani dawać Rosjanom powodów do reakcji. Będziemy doposażeni i dopieszczeni, ale kurde... – Zaciśnięta pięść uderzyła w stół. – To jak wtedy, kiedy senator McCain poleciał na bagdadzki bazar... Podobno niektórzy osiwieli, a do ochrony tej przechadzki hamburgery rzuciły dywizję wojska. Nic nie stało... ale kilka lat z życia niejednemu odebrali. Rozumiesz? – upewniał się, że Thomal jeszcze nie spanikował do reszty.

– Tak. – Odpowiedź była zwięzła i głośna. W głowie Adama panował teraz mętlik

nakładających się na siebie wątków i potwornych podszeptów.

– Dobra. – Kerc zdobył się znów na pogodniejsze nastawienie. – Zaraz powinni być...

– Kto? – Adam przełknął ślinę i nadstawił uszu.

– Moi kumple – odparował z dumą porucznik. – W Afryce wystawiłeś złych tym z Formozy, teraz, mój drogi, spotkasz innych... Jeździli to tu, to tam. Szkolili już miejscowych, znają stosunki. Są w porządku i chcą cię poznać...

Adam Thomał chciał wstać, ale, o dziwo, ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Właściwie to nie chciał już nikogo poznawać ani słuchać. Miał ochotę wrócić na to swoje obskurne osiedle i siedzieć tam, póki ktoś nie rozkaże mu wracać do Polski. Jeszcze dwa dni temu był przekonany, że dostępuje zaszczytu, o którym będzie kiedyś opowiadać swoim wnukom. Teraz, kiedy Kerc namieszał mu w głowie i go nastraszył, niczego nie był pewien.

Sprawdzają mnie, tak? To rodzaj egzaminu? – coś w nim szeptało. *Ale właściwie po co?* – spytał sam siebie już przytomniej.

Chciał coś powiedzieć, uprzejmie albo i nie, sprzeciwić się robieniu z niego ochroniarza. Nie potrafił. Był w tym i już. Wstał i wziął z tacy na stole butelkę wody. Kerc zabrał go na dół na podwórze, by powitać resztę zespołu – ludzi do ochrony prezydenta. ■

ROZDZIAŁ 3

Od ulicy dobiegł dźwięk wyjących syren radiowozów. Wycie narastało i Adamowi wydawało się przez moment, że wygasłe przed paroma dniami rozruchy znów się zaczynają, i to blisko jego tymczasowego lokum.

Porucznik Kerc stał na podwórzu i ze zdenerwowania podrygiwał niczym niewprawy tancerz. Słuchał odgłosów konwoju, póki nie ustały przy bramie.

Na dziedziniec wtoczyły się cztery auta. Jeden czarny osobowy mercedes, škoda i dwie terenowe toyoty hilux. Wrota za przybyszami czym prędzej zamknięto, dając osobom postronnym jak najmniej czasu na wgląd czy robienie zdjęć. Syreny ukraińskiej policji zamilkły.

Terenowe wozy wyglądały na nowe. Thomal pokiwał głową z podziwem.

– Co najlepsze, nie? – bąknął, ale Kerc go nie słuchał.

Adam przez chwilę patrzył, jak wojskowy w przebraniu podchodzi do mercedesa i wita się z członkami ochrony ambasady. Toyoty podjechały pod tylne wejście do kamienicy, a ich kierowcy zaczęli parkować przodem do wyjazdu. Z pick-upów i škody wysiadła cała zgraja ludzi, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali jak rodzeństwo.

Mężczyźni byli wysocy, wysportowani, postawni. Swoją muskulaturę umiejętnie maskowali luźnym codziennym ubiorem. Mieli na sobie spodnie do garnituru lub jeansy. Wszyscy byli w koszulach, co któryś w lekkiej kurtce, tak by zamaskować kaburę u pasa. Broń nosił każdy z nich. Podobnie jak czarne okulary w militarnym stylu albo cywilne, modniejsze. Kilku miało równo przystrzyżone brody. Pozostali musieli niedawno je zgolić, bo skóra na ich policzkach była nieco jaśniejsza.

Kerc zaczął witać się bardziej niż serdecznie. Znał tych osiłków i bardzo się cieszył na ich widok. Wyraźnie nie pasowała mu ta samotna służba, z dala od swoich.

Wizyta Maćka i Stefana też lekko poprawiła nastrój Adamowi, więc rozumiał.

– A to nasz kompan... – Thomal usłyszał wypowiedziane uroczystym tonem zdanie, które wyrwało go z własnych myśli. Kerc stał przed nim, wskazując na niego dłonią. – Pan komisarz Adam Thomal.

Tamci nie wydali się poruszeni ani przejęci. Skinęli głowami, stękając niemrawo: „Dzień dobry”, po czym zaczęli się wiercić i szukać telefonów.

– Thomal Sudańczyk – Kerc odczekał i dopiero wtedy wyjawiał najważniejszą część. Uczynił to z zapalem i dumą, niczym najlepszy druh Adama, który chce się nim pochwalić.

– No, to fajnie... – Stojący najbliżej operator się ożywił.

Teraz zresztą wszyscy nabrali jakiego takiego zainteresowania, taksowali Thomala od stóp do głów, jakby był obiektem badań albo zwierzęciem w cyrku. Było w tych spojrzeniach nieco podziwu, ciekawości, a przede wszystkim obawy. Tak, Adam czuł przez skórę ten dziwaczny fluid. *Niby fajnie, ale co mogę odwalić?* – prawie zaśmiał się na tę myśl.

– Ogólne cześć. Adam jestem. – Pomachał, nie bardzo wiedząc, co ma mówić.

Tamci jeszcze chwilę na niego patrzyli; może byli zaskoczeni albo liczyli na jakiś popis. Thomal umiał się popisać i zadbać o PR, ale uznał, że wszystko ma swój czas. Takim jegomościom niełatwo jest opowiadać bajki, więc postanowił, że będzie cicho.

– Znacie przypadek kolegi – Kerc jednak brnął dalej w pochlebstwa. – Wiele chłopaki mu zawdzięczają. Spisał się na Czarnym Łądzie, ale i w robocie jest ogarnięty. – Spoważniał raptownie.

Adam obrócił ostrożnie głowę, próbując dostrzec powód tej zmiany. Słońce grzało coraz mocniej i Thomalowi robiło się nieprzyjemnie.

– Przydybał kilku zbirów u nas, ale co ważniejsze i tutaj, na Ukrainie. Pan komisarz otrzymał polecenie towarzyszenia głównemu gościowi. Jest więc członkiem oficjalnej delegacji...

Nie, on go nie chwalił, on tłumaczył swoim, że mają Thomalowi okazać szacunek. W tym szaleństwie zbyt pośpiesznych przygotowań nie było czasu na podjazdy i udowadnianie, kto jest lepszy, a kto nie. Kerc zaczynał imponować policjantowi. Wszyscy nie zdążą się zapoznać, więc należało chociaż zadbać, by atmosfera była poprawna.

– Adaś, pozwól. – Kerc pchnął ramieniem Thomala bliżej. – To są... – wskazywał palcem, zaczynając wyliczanie – Dawidek, Felix, Srebrny, Slow, Mischu, Baran, Vogel, Lolek, Machoń...

Po pierwszej szóstce wszystkie te ksywy zlały się w jedną zbitą papkę słów, która niewiele Adamowi mówiła. Kiwał tylko głową i ścisnął dłonie, przechodząc od jednego do drugiego, kiedy witali go całkiem przyjaźnie. Metoda Kerca działała albo Adam wciąż jeszcze nie przywykł do myśli, że ludzie w siłach specjalnych to dość

inteligentne i opanowane osobniki, a nie góry mięśni nauczone tylko zabijać. Potrafili rozmawiać, zachować się i byli obcy.

Thomal już dawno nie miał z nimi do czynienia – dokładnie odkąd witali go na „wyspie” i oprowadzali po włościach. Wtedy było mu miło, czuł dumę, ale zostawił za sobą tamte wrażenia, bo wynikały z niezbyt przyjemnych przygód.

– Miło mi, naprawdę mi miło... – Adam skinął raz jeszcze głową, teraz mając w niej zupełny mętlik.

– Spokojnie, panie komisarzu. – Kerc plasnął go w plecy. – Imiona, stopnie przedstawimy później, jak przyjdzie czas. Najpierw wkuj ksywki, będzie łatwiej. Turyści z Lublińca przybyli! No! – Klasnął i poprawił pasek od spodni. – Jesteśmy prawie w komplecie. Adaś – zmrużył oczy, patrząc na glinę, i ściszył głos – mamy być tarczą prezydenta oraz wszystkich, którzy z nim będą... czyli również twoją. – Stuknął Adama palcem w pierś. – Ale ty, ponieważ uważamy, że jesteś okej, będziesz naszymi dodatkowymi oczami i uszami. Jasne? Tak jak ci mówiłem. Sprawa może zrobić się dziwna i niech cię nie poniesie vipowski sznyt. Uważaj, choćby ze względu na swoje bezpieczeństwo. Mamy jasność? – Uniósł kciuk przed twarzą Thomala, czekając na reakcję.

Ta część przemowy nie przypadła policjantowi do gustu. Wpierw go chwalono, teraz dopytywano jak nierozgarniętego smarkacza. Ale widocznie tak należało. Proste przekazy są najlepsze.

– Tak jest – szepnął Thomal.

– Pytania?

Policjant popatrzył jeszcze raz po już wyraźnie zniecierpliwionych operatorach.

– Was klonują jakoś czy krawiec ten sam? – Nie mógł się powstrzymać przed błazenadą.

– Z rozdzielnika, stary, z rozdzielnika na dzień miesiąca – wykrztusił, chichocząc, Dawidek, wyraźnie fan siłowni, o niepasującej do postury małej, podłużnej twarzy i dużych, lekko wybałuszonych oczach. – Dobra, koniec paplaniny. Robimy coś, *el comendante*? – Wysunął szyję w stronę Kerca.

– Tak, brać graty. – Porucznik machnął rękami, jakby odganiał muchy. – Adaś, pomożesz – wydał polecenie.

Thomal nie oponował. Wiele do roboty tu nie miał.

Dawidek uniósł płytę na bagażniku pick-upa i otworzył tylną klapę. Cała

przestrzeń ładunkowa była szczelnie wypełniona skrzyniami z tworzywa. Więszymi i mniejszymi, podłużnymi futerałami, w których – jak wiedział Adam – chłopaki Kerca przywiozły broń.

– Panie władzo. – Dawidek płynnym ruchem dłoni powiódł ponad tym majdanem. – Do wyboru, do koloru. Może to? – Klepnął w pierwszy z pakunków. – A potem... – sapnął, siłując się z ciężarem. – Mam nadzieję, że macie tu jakieś piwo.

– Coś mają... – Adam zachwiał się, ściągając ładunek. Poczował, że na jego krótko ostrzyżonej głowie pojawiają się krople potu. – Ambasada dba o gości.

– No to alleluja! Choć długo tu siedzieć nie będziemy. I tak mamy dobrze... – Drobili kroki. – Nasi już niuchają na południu. Tam dopiero musi być *all inclusive!* – Zabulgotał nerwowym śmiechem, kiedy odstawiali skrzynię pod drzwi.

*

Sen Wołodymyra, mimo że powodowany okrutnym zmęczeniem i osłabiającym zmysły lękiem, był płytki i niespokojny.

Wysoki mężczyzna z trudem gnieździł się na rozłożonych fotelach swojej toyoty. Wiercił się, czując ból i dyskomfort w każdym dosłownie miejscu. Przykryty samym tylko polarem marzył tej szwedzkiej wiosennej nocy. Na domiar wszystkiego miotały nim koszmary, wizje na wpół osadzone w jawie. Nie wiedział, co się wydarzyło. W co właściwie się wplątał i co ma robić. Potwornie się bał, co przekładało się na fizyczne objawy: majaki i omamy.

Co rusz coś targało umęczonym ciałem. Wystarczył cichy trzask albo dźwięk wydany przez jakiegoś zwierza. Z początku chłopak otwierał oczy i unosił głowę, ale później próbował zasnąć głębiej, chciał nie wiedzieć nic i obudzić się gdzieś indziej.

Wóz stał zaparkowany w bocznej przecince, odchodzącej od nie najlepszej szutrowej drogi pośród lasów. Wołodymyr ciągnął na wschód, mniej więcej w stronę Sztokholmu. Starał się, korzystając z mapy, wybierać boczne szosy. Raz nawet zatankował auto i szybko zwiął. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

Sama myśl o tym, że miałyby zostać zatrzymany, sprawiała, że we śnie bardziej się miotał. A gdy powracało wyobrażenie tego, co stałoby się później, budził się gwałtownie, tracąc oddech.

– Nie chcę... – powiedział na głos, kończąc koszmar.

Miał jeszcze przed oczami obraz sprzed chwili. To, jak wsadzają go za kraty, albo

i nawet po uniewinnieniu wysyłają do kraju. Tam, gdzie chaos i najgorsza bieda. Do tej jego wsi na Zakarpaciu... Bóg raczy wiedzieć, czy nie w sam środek nowej wojny.

Ukrainiec przykrył głowę rękami. Wolał o niczym nie myśleć. Chciał zasnąć, kiedy szum na zewnątrz znów zaostrzył zmysły.

Kolejny hałas niepokoił. Narastał dziwnie miarowo i mieszał się z lekkim szumem gałęzi. Ich cienie migąły przez szyby, podświetlone promieniami wschodzącego słońca.

Wołodimir delikatnie uniósł głowę, spozierając ostrożnie ponad brzegiem drzwi. Za szybą wyrósł kształt. Był niezrozumiały i przerażający. Nie pasował tutaj. Zanim chłopak dostrzegł kolejne czarne sylwetki, było za późno na cokolwiek. Drzwi się otworzyły. Jakaś siła złapała go za gardło i ściskając, po prostu wyjęła z auta na wilgotną ziemię.

Rozległ się jeden groźny krzyk, którego chłopak nie rozumiał. Jak na urwanych migawkach widział odwrócone do góry nogami ciemne postacie. Nie miały twarzy, a tylko czarne jak wszystko inne plamy. Trzymały coś w rękach. Jedna z nich przeszukiwała ostrożnie auto. Dzieciak sądził nawet, że to mu się śni. Dopiero nowa porcja bólu spowodowana uciskiem na plecach go otrzeźwiła. Widział wyraźniej. Otoczyło go grono policjantów. Teraz białe napisy POLITI wręcz raziły w zaspane oczy.

Czegoś od niego chcieli, ale nie rozumiał czego. Mierzyli do niego lufami pistoletów maszynowych. Spięci i ostrożni.

Wreszcie przez zamęt przebiło się jakieś zrozumiałe zdanie wypowiedziane po rosyjsku:

– Jesteś aresztowany.

*

Koszary dowództwa 31 Brygady Lekkiej nieprzerwanie od kilku dni przypominały buzujący ul. Robert Krawiec przemierzał prędkim krokiem alejki między budynkami, co rusz kręcąc głową.

Grupy żołnierzy albo ćwiczyły musztrę i paradowanie, albo sprzątały, malowały i tynkowały, czyniąc z i tak nie najgorszej z wyglądu – jak na tutejsze warunki – jednostki istną perelkę. Wszystko to pod okiem wyraźnie przejętych podoficerów, którzy od samego rana pilnowali, by nikt ani nic nie przerwało przygotowań.

Ciekawe, czy i oni są wkurwieni? – pytał siebie Mucha, coraz bardziej poirytowany tym całym zamieszaniem.

Minął któryś z garaży wozów dowództwa. Tam również praca szła na całego. Pucowanie Hummerów, czyszczenie opon...

– Jak za dawnych czasów – burknął Robert na głos i przyśpieszył kroku.

Wparował do piętrowego budynku dowództwa – otynkowanej na nową modłę budowli pamiętajacej czasy ciemnego *sajuz*. Znano tu Roberta, ale tego dnia przepisów pilnowano ze szczególną pieczołowitością. Jednostka otrzymała wielkie wyróżnienie, toteż procedury też miały „lśnić”, jak niby zawsze.

Przynajmniej tyle. Polak przekazał przepustkę z uczuciem, że z tego wszystkiego brygada będzie miała choć jeden pożytek – jaki taki porządek. Zaraz jednak prawie roześmiał się do siebie, rozbawiony własną naiwnością.

Wszedł po schodach na górę i ruszył korytarzem, ciągle pachnącym świeżą farbą, ku gabinetowi pułkownika.

Zapukał do drzwi sekretariatu. Nacisnął klamkę. Pomieszczenie – jak wszystko, co finansowano z pomocy wojskowej – było nowoczesne, pełne mebli godnych biur wielkich korporacji. Zawsze tak to wyglądało, gdy chodziło o „zabezpieczenie” kadry. Bez względu na to, jakich zasług by nie miała i jakim bohaterstwem się nie odznaczyła. Wszak trudy na linii należało sobie wynagradzać drobnostkami.

Robert nieznacznie pokręcił głową. Nie lubił tego, nie mógł przywyknąć. Zwłaszcza kiedy przypominał sobie, że w co niektórych koszarowcach miesiącami proszono o remonty łazienek.

Porucznik siedzący za zawalonym papierami biurkiem stanął na baczność.

– Pan pułkownik prosi – powiedział od razu i wskazał kolejne drzwi.

Krawiec poprawił połowy mundur, nabrał powietrza i zapukał.

– Wejść – padła komenda.

Gabinet dowódcy brygady też był niezgorszy, acz pełen pamiątek z ciężkich czasów walk na wschodzie. Łuski, bagnety, skrawki materiału za szkłem i zdjęcia. Dużo zdjęć. Polak znał je wszystkie, do niektórych miał szczególny sentyment, jako że pewne historie i z nim się łączyły.

Ale tego poranka to nie było ważne. Najistotniejsi byli goście pułkownika Poprawa. Ten zasiadał na miękkim skórzanym fotelu za rozległym biurkiem i kręcił się to w lewo, to w prawo.

– Przypuszczam, że się znacie – powiedział Igor wprost bez zabawy w powitania. Był wyraźnie jeszcze bardziej przejęty i to udzielało się jego kadrze.

Dwaj mężczyźni siedzieli na krzesłach przed biurkiem.

Postronnemu obserwatorowi wydaliby się przeciętni. Ubrani z nienatarczywą elegancją – marynarki szara i granatowa, koszule bez krawatów. Byli jak dwójka biznesmenów zagonionych przy codziennych interesach. Bardzo do siebie podobni, ostrzyżeni po cywilnemu, bez oznak świadczących o ich prawdziwej funkcji.

– Willy. – Robert wyciągnął dłoń najpierw do Amerykanina. Znali się od dłuższego czasu, czasem razem działali. Na pewno Willy był dobrym nauczycielem w czasie szkoleń. Dawno się nie widzieli.

– Cześć, Robbie. – Wysoki jak tyka jankes poderwał się z krzesła i uścisnął Polakowi dłoń swoją wielką łapą. Jego ogorzała, chuda twarz zdradzała prawdziwą radość ze spotkania. – Spóźniłeś się, stary. – Szturchnął dobrotliwie niższego kumpla.

– Co się dziwisz? – ironizował Robert. – Musiałem się przebijać przez ten tłum. – Zarzucił głową w bok. – Orkiestra ćwiczy, a reszta maluje trawę na zielono... – rzucił otwarty przytyk.

Igor sapnął i zaczął się bardziej wiercić. Tylko drugi z gości, niemłody, o aparycji znudzonego managera z korpo, zaśmiał się, nie mogąc się powstrzymać.

– Mucha, ty to się do dyplomacji nie nadasz. – Dźwignął się z siedziska i też uścisnął Krawcowi rękę.

– Nie, nie, panie Stanisławie, do was się nie wybieram. – Robert teatralnie machnął ramieniem. – No, to co się szykuje? – Klasnął naraz w dłonie, dając znać, że to koniec konwenansów.

Przysunął sobie bez pytania trzecie krzesło i zasiadł obok biurka. Popisywał się tym swoim obyciem z miejscem i ludźmi, pozując na ważnego bufona. Nie był jednak pozytywnie nastawiony i reszta wyłapała to od razu.

– Czemu zawdzięczamy wizytę gości z dalekiego USA i pana sekretarza Ambasady RP? – cedził Robert, wolno i wyraźnie wypowiadając każdą sylabę, zakładając ręce na brzuchu.

Doskonale wiedział, o co chodzi. Trudny dzień się zbliżał i przygotowania miały nabrać intensywności.

– Wkurzony, co? – dopytał jankes, zerkając na ukraińskiego pułkownika.

– A tak, wkurzony – potwierdził Popraw nieomal bez akcentu, patrząc z ukosa na

swojego doradcę.

– Willy zajmie się telefonami... – Polak w cywilu zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – Znasz teren, wiesz co i jak. – Stracił gdzieś nieobowiązujący ton i nagle stał się bardzo zasadniczy. – Wiesz co i jak chyba nawet lepiej, niż... – Ucichł, zdając sobie sprawę, że o mało nie popełnił nietaktu wobec gospodarza.

– Spokojnie, rozumiem, o co chodzi. – Popraw uśmiechnął się łaskawie. – Proszę pamiętać, tylko kilku od nas zna się na tych nowych metodach... W końcu my się dopiero formujemy. – Mrugnął okiem.

– To dobrze. – Udawany dyplomata odetchnął. – Panowie Amerykanie – mówił dalej, wskazując kciukiem na gościa zza oceanu – postawią zabawki i zagłuszanie. Pomożesz przy tym, wskażesz miejsca. To twój teren. Potem strzelcy i drogi ewakuacji... Chociaż to już dopinają od dawna na komputerkach. Znasz przecież zasady, no ale w planowaniu pomogą podpowiedzi... Z „pierwszym” będą też nasze chłopaki, to pewnie już wiesz. Lublińce. Niektórzy już spacerują z kijowskimi po okolicy...

– Matko. – Robert pochylił się, oparł łokcie o kolana i przetarł twarz. – Mało czasu macie i wam się nie chce, co? – Nie krył nieuprzejmości. – Wszystko na rympał... Cholerna polityka.

Wyświechtany do bólu frazes nie zrobił na nikim wrażenia. Zresztą pewnie myśleli podobnie.

– Takie rozkazy – szepnął Igor, patrząc na palce pod blatem biurka.

– Ten rozkaz rozwała nam cały harmonogram! – Mucha prawie wybuchł. – Jeszcze trochę trzeba, żeby wszystko tu grało. – Wskazał na podłogę. – Niedługo może być cholernie gorąco i co..? – rozkręcał się, prawie podrywając się z krzesła.

– Pracoholik... normalnie pracoholik. – Stanisław drwiąco kręcił głową. – Uspokój się, bo zdrowia szkoda. Parę dni przerwy nie zrobi różnicy, a idzie coś ważnego... – Zdawał się nie do końca wierzyć we własne słowa. – Potem znów będziesz ganiał chłopaków, aż cię znienawidzą. Jeżeli jeszcze w ogóle mają dla ciebie jeszcze resztkę sympatii. Spokojnie. – Ostatnie słowo brzmiało jak uprzejmy rozkaz.

Milczeli kilka sekund, aż wreszcie Robert zapytał głosem pokonanego:

– Co mam robić? Dużo tego będzie? – Pogodził się z losem i po prostu przeskoczył z jednego obowiązku w drugi.

– No zuch. – Stanisław uniósł kciuk.

– Jak zawsze przy takich akcjach, będzie młyn. – Willy rozparł się na krzeselku. – Wasz prezydent, nasz generał i kupa nowego sprzętu...

– Co? – Robert ożywił się i nadstawił uszu.

– Kupa sprzętu, mój drogi – powtórzył Amerykanin z niejaką wesołością. – Chyba słyszeliście, że coś wam skapnie. Tak? To okej. Tyle tylko, że będzie nieco więcej. Wierzcie mi, to horror załatwić z Waszyngtonem dostawę w tak krótkim czasie, no ale... wszystko to jest jakieś szalone... – Przygryzł nerwowo koniuszek języka i ucichł.

Mucha domyślał się, że zarówno ten facet, jak i Stanisław wiedzą coś więcej. Chciał zapytać, co właściwie się wyprawia w tym kraju i jak jest poważnie, ale uznał, że mu nie wolno, a oni nie powinni odpowiadać. Nie tu, nie w zwykłym gabinecie przy ukraińskim oficerze.

Wojsko miało pozostawać w świecie ćwiczeń i rozkazów. Jak najdłużej się dało, poza politycznym obiegiem i wpływami tych, którzy wołali o buncie.

– Rozumiem, zrobi się. – Robert skinął głową. Przetrawił zmianę harmonogramów, poddał się. – Ale ciągle proszę, nie wymagajcie ode mnie wielkiej dyplomacji. – Wykrzywił twarz w niezgrabnym uśmiešku. – Przejdziemy w jakieś przytulniejsze miejsce? Opowiecie, o której będą wasi. – Sięgnął do kieszeni na piersi po niewielki notes. – Będziemy wszyscy razem malować trawę na zielono.

*

Kennet Boss obrzucał co chwila najgorszymi przekleństwami wszystko wokół. Spięty, a właściwie zwyczajnie przerażony, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy brał kolejne zakręty na nie najlepszej szosie.

Wlókł się tak ładnych kilka godzin, modląc się, by z naprzeciwka nie nadjechało coś równie dużego, jak jego wóz i ładunek. Nie miałby dokąd uciec, bo po bokach były tylko ściany gęstego lasu.

Duńczyk zerkał nerwowo na GPS, odliczając kilometry do celu. Był ciągle daleko, dojeżdżał do Koszalina od południa poprzez te gęste bory i w duchu błagał o kawałek normalnej drogi.

Nieco zwolnił na prostszym odcinku. Wygrzebał ze szpargałów na pulpicie otwarty arkusz mapy tej części Polski i jeszcze raz odczytał nazwę miejsca, gdzie miał się zatrzymać.

Przesylabizował trudne słowo i odłożył mapę. Dodał gazu, kręcąc głową z niedowierzaniem. Zapalił papierosa i wybrał numer w telefonie. Uznał, że obdarzy małżonkę kolejną porcją swoich frustracji.

Następny przystanek nie był daleko, około czterdzieści minut jazdy. Później duński kierowca zatrzymał się na równie obrzydliwym, jak poprzedni, ale pustym parkingu w środku lasu. Skrawki betonu pod poszyciem i szare rozsypujące się mury wchłaniane przez las sugerowały, że była to ruina jakiegoś zakładu.

Kennet przezornie obrócił, tak by łatwiej było mu się wydostać z tej dziury, i zgasił silnik. Było nieomal idealnie cicho. Słońce z trudem przebijało się przez rozłożyste konary. Duńczyk poczuł dziwny dreszcz. Pierwszy raz od bardzo dawna zaczął się czegoś bać. Nie rozumiał za wiele z tego całego zlecenia. Powtórnie złapał w palce telefon i przez chwilę obracał go w dłoni.

Rozejrzał się po nieciekawej okolicy, szarych głazach betonu pożeranych przez naturę. Wybrał ikonę SMS w aparacie i zaczął wpisywać tekst.

Gdzieś od szosy zaszumiały opony wozu wtaczającego się na tę polankę.

Kennet odruchowo wcisnął „wyślij” i schował telefon. Wyskoczył na zewnątrz i stanął przy wozie z rękami na biodrach, gotowy wyrzucić z siebie całą narastającą złość.

Zielony volkswagen zatrzymał się obok. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Wyglądali jak fachowcy w drodze na jakąś fuchę – spodnie robocze z dodatkowymi kieszeniami, rozciągnięte podkoszulki.

– Wy jesteście od Romana albo Wieśka? – wykrzyknął Kennet po angielsku z akcentem. – Co to, kurwa, za pomysły! Kwitnę tam... – machnął dłonią w bok – ... na jakimś zadupiu, tracąc czas i czekając na papier. Potem mi mówią, żeby jednak jechać. I znów przystanek... Więc liczę – syczał, pryskając śliną – że macie to pieprzone pozwolenie. – Wycelował pulchny palec w najbliższej stojącego mężczyznę.

Ten szybko sięgnął za siebie i wyciągnął zza paska pistolet z dokręconym tłumikiem. Zrobił to tak sprawnie, że Boss nie zdążył nawet się zdziwić.

Strzał w nasadę nosa powalił go momentalnie na ziemię. Człowiek w roboczym stroju zrobił krok i poprawił, śląc kolejny pocisk obok pierwszego.

Jego kompan sięgnął po telefon i wybrał numer. Nie mówił jednak nic. Zaraz podniósł klapę bagażnika i wydobyl z niego dużą rolkę grubej tkaniny. We dwójkę ją rozwinęli, by następnie ułożyć na materiale trzymane za kończyny, broczące ciągle

krwią ciało Duńczyka.

Kiedy zwijali pakunek, gotowi wynieść go w las, na parking zajęchały jeszcze dwa auta. Czerwony, nie najnowszy seat toledo i mała dostawcza ciężarówka z zabudowaną skrzynią.

Pasażerów był sześciu. Czwórka jechała w dostawczaku. Wszyscy wyglądali podobnie, jak pracownicy budowlani między dwiema robotami. Ciężkie buty, ubrudzone gipsem spodnie. Wysoki, postawny brunet, który musiał niedawno przekroczyć czterdziestkę, zachowywał się jak majster tej ekipy.

– Zaczynamy, chłopaki. – Polski język był naznaczony wschodnim akcentem.

Ludzie zaczęli pracować jak zaprogramowane maszyny. Bez słowa i zbędnego ruchu.

Dwóch pierwszych sprawnie ukryło ciało kierowcy w płytkim wykopie i zamaskowało je gałęziami.

O szoferze nikt więcej nie myślał. Najważniejszy był ładunek, który wiozł, i ciężarówka.

Dwóch mężczyzn z ciężarówki obeszło niewielki budynek, szukając uszkodzeń i nieszczelności. Uznali, że wszystko jest jak należy. Jeden z nich przeszedł na koniec budowli, wdusił jakiś przycisk i tylna ściana z szerokim, zaklejonym ciemną folią oknem się rozszczerzyła.

Reszta przybyszów czekała w nieskrywanym napięciu na ciąg dalszy. Kolejna dwójka zajmowała pozycje u wjazdu na ten opuszczony placyk, wypatrując obcych aut, zwłaszcza takich, których kierowcy chcieliby się tu zatrzymać albo podejrzeć, co się dzieje. Ochroniarze otrzymali rozkaz do tego nie dopuścić. Miały im w tym pomóc krótkie pistolety maszynowe MP5.

Nadchodził najwrażliwszy moment całego zadania i tych dwóch przy drodze doskonale to wiedziało.

– Czysto – rzucił głośno za siebie jeden ze strażników.

Brunet, szef wszystkich, uznał, że ten spokój nie będzie trwał wiecznie. Skinął głową. Fachowiec pod domem wcisnął coś jeszcze i ściana budynku zaczęła się unosić jak brama w garażu. Rozległ się cichy syk instalacji hydraulicznej. Brunet stanął dalej, by nie przeszkadzać zespołowi.

Wnętrze domku wydawało się najzupełniej zwyczajne. Raczej ubogie i nienowe. Meble były obwiązane folią i przypięte do ściany. Najistotniejsze było jednak to, co

znajdowało się pod dachem. Właściwie między sufitem a dachem. W sztucznie dorobionej przestrzeni.

Specjaliści rozstawili składane drabiny i wkrótce aż czterech ludzi wytargało z ciężarówki dwie długie stalowe tuby. Były ciężkie i niosło się je niewygodnie, ale specjaliści byli wyszkoleni. Ostrożnie, podtrzymując rury, udało się je zainstalować w przestrzeni pod dachem.

Brunet zerkał, przestępując z nogi na nogę, to na domek, to na szosę, która w cudowny sposób cały czas była pusta.

– Jest! – wrzasnął jeden ze specjalistów i brunet odetchnął z prawdziwą ulgą.

Dwaj jego ludzie schowali drabiny. Ten, który otworzył konstrukcję, wrócił do auta i przyniósł dwie szare stalowe walizki. Były z grubszej blachy, solidne. Prócz nich w domku znalazły się zwoje kabli.

Mężczyzna wszedł do wnętrza, ustawił walizy i je otworzył. Skrywały dwa komputery. Specjalista podłączył przewody do komputerów i do specjalnego złącza ukrytego pod sufitem za niewielkimi drzwiczkami. Długo grzebał w urządzeniach, wpisując tylko jemu znane wartości na klawiaturze.

Brunet próbował dostrzec coś więcej, ale i tak nie znał się na tym systemie. Widział tylko kilka lampek, które zaświeciły się na urządzeniu. Specjalista przykrył obydwie komputery ciemną folią, by zamaskować je na wszelki wypadek. Wskoczył na zewnątrz.

– Wszystko gotowe. – Podniósł kciuk w stronę dowódcy, szczerząc szeroko garnitur zębów. Jemu też było już łżej.

Sięgnął do przycisku pod podłogą i ściana zaczęła się opuszczać.

– Do wozu – nakazał ostro brunet. Najtrudniejsze było za nimi.

Sprawy jeszcze przyśpieszyły. W mniejszej ciężarówce zapuszczono silnik i wkrótce odjechała, znikając za zakrętem, z kilkoma ludźmi w środku. Został tylko seat z brunetem i czterema jego kompanami.

Wymieniono tablice rejestracyjne w ciężarówce za domem. Nowy kierowca wszedł do szoferki volvo. Zadbano, by wyglądał jak każdy inny szofer. Brunet podał mu pakiet dokumentów, w tym nowe prawo jazdy i dowód rejestracyjny, wszystko jak najlepiej podrobione. Wśród papierów było pozwolenie na wjazd na teren z ograniczeniem tonażu, na które czekał Kennet Boss.

*

Dzień zapowiadał się nieźle. Słońce przezierало przez zakryte już listowiem, rozłożyste gałęzie drzew, głównie wielkich dębów, których konary zapewniały osłonę przed palącymi promieniami w ten skwarly majowy dzień. Kryły także zebranych pod nimi ludzi przed urządzeniami zdolnymi podglądać z o wiele większej wysokości.

Spotkanie tak sporej grupy przypominało Doktorowi coś na kształt sabatu czarownic. To ze względu na miejsce – kilkudziesięcioletni las wyrosły na nieużytkach po dawnych kołchozach. Zielona wyspa w głębokim jarze przeciętym kilkoma szutrowymi ścieżkami. Miejsce, które sam odkrył po żmudnych poszukiwaniach.

Natomiast wygląd uczestników i ich niemała liczba przywodziły na myśl raczej kibolskie ustawki. Gdzieś na uboczu, w ukryciu przed wzrokiem wścibskich.

Niewielki skrawek ukraińskiej ziemi wypełniło sporo aut, nowych i starych. Wszystkie terenowe, SUV-y lub pick-upy wszelkich marek i proveniencji. Z rejestracjami miast prawie z całej Ukrainy. Brudne od błota lub zakurzone.

Doktor został zmuszony do opuszczenia wiejskich pieleszy i swojej kryjówki, by witać „gości”.

Założył *à la* wojskowe spodnie, wygodne buty i obszerną koszulę. Przybyli, poubierani w stare koszule w wyblakłe wzory i obszerne portki – najczęściej dresy albo nowomodne bawełniane jogery – też nie wyglądali na zabójców czy wojskowych, a bardziej na turystów lub pospolitych mieszkańców prowincji, którzy ruszyli w kraj szukać pracy bądź nowego auta.

Byli nijacy, chyba strudzeni drogą, ale szczęśliwi, że dotarli do miejsca przeznaczenia. Silili się na dobry humor, kiedy Doktor witał się z każdym z nich – ponad trzydziestką młodzieńców.

Wielu znał. Wielu było przez niego szkolonych. Kilku prowadził do boju. Przeżyli, wzbogacając jego legendę świetnego organizatora i dobrego polowego dowódcy.

Podobno zgłaszali się bez wahania, porzucając swoje dotychczasowe zajęcia albo prosząc o urlop, by tylko trafić do zespołu Doktora. Nieważne, co było planowane. Na pewno wierzyli, że to będzie coś ważnego. W tej sytuacji, w napięciu i oczekiwaniu na jakiś przełom, iskrę, która rozpali kraj i zmieni układ sił, musiało być tym właśnie to, co powierzono Doktorowi.

Dowódca miał przed sobą dobrych żołnierzy. Weteranów z prawdziwego zdarzenia. Mimo czasem młodzieńczego wieku i wyglądu taszczyli na barkach bagaż doświadczeń. Byli pewni siebie, opanowani. Teraz stali i palili albo rozpakowywali auta, poddając się uldze i wymieniając niewybrednymi żartami.

– Kogo moje zmęczone oczy widzą?!

Jedna postać radowała Doktora najbardziej. Mężczyzna był dużo starszy od reszty, przygarbiony, z twarzą naznaczoną bruzdami głębokich zmarszczek. Gdyby spotkać go na ulicy miasta, nikt nie zwróciłby na niego szczególnej uwagi. Facet nosił się jak pospolity dziad. Jakaś wytarta kurtka, płócienne spodnie i trampki z bazaru. Włosy miał w nieładzie, wydawały się wręcz nieco przykurzone. Utykał z lekka. O ile jego ubiór można było tłumaczyć doskonałym kamuflażem, to zmęczenie było jak najprawdziwsze.

– Powitać, Wasiliju – wymamrotał leniwie, nie wyjmując papierosa z kącika ust. Tylko oczy rozwarły mu się szerzej na widok gospodarza.

Doktor uśmiechnął się, słysząc swoje imię.

– Stary, ile to lat, cholera...

Złapał tamtego za ramiona i gotów był go podnieść – przy jego posturze i sile nie byłoby z tym problemu. Górował wzrostem nad Saszką Szyclowem, zwanym w dawnych czasach Sieską albo mniej ładnie SS-manem od inicjałów imienia i nazwiska.

– Pisali mi, że ciebie dają, ale nie wierzyłem... – Wasilij uściskał kompana, aż gnaty mu zaskrzypiały, teatralnie odgrywając zaskoczenie. Krył w ten sposób lekkie niezadowolenie i narastającą wątpliwość zarówno co do własnych możliwości, jak i przyszłości. – No jak, ciężko było?

Wyciągnął ramiona, ciągle trzymając obdartusa i podziwiając z rozbawieniem tę karykaturalną postać. Sam mógłby dać się oszukać i uwierzyć, że ma do czynienia z żebrakiem lub pijaczkiem, a nie jednym z najzdolniejszych oficerów, jakich spotkał na swojej drodze.

– Kurwa – stęknął Saszka i twarz wykrzywił mu grymas.

Wasilij puścił kolegę, bojąc się, że znów się zapomina i z tej radości nadużył siły.

– To było szaleństwo... – Niższy zazgrzytał zębami i zaraz ziewnął, zakrywając usta dłonią. – No, ale chuj z tym – burknął niespodzianie odmieniony, jakby strzepnął z siebie wszystkie stresy i był gotów. Oczy patrzyły bystro, sylwetka wydawała się

prostsza. – Mamy robotę, nie? – Pytanie było retoryczne, ale i jakieś dziwne.

– Mamy – potwierdził cicho Wasilij, patrząc przyjacielowi w oczy.

Obydwaj wiedzieli więcej, choć nikt nie dopowiadał im niczego ponad to, co było w rozkazach. Za długo chodzili po tej ziemi, by dać się wodzić za nos. Nie byli bojaźliwi, ale uczucie strachu świadczyło o tym, że są normalni. A teraz się bali. Okropnie się bali i ten stan narastał z każdą godziną. Trwali jednak w przedziwnej pozie twardych i przygotowanych, kryjąc za tą osłoną wyobrażenia o tym, co stanie się później. Niewskazane było zdradzić się choć na mgnienie oka przed którymkolwiek z tych wszystkich ludzi, jakich mieli wokoło.

– Przejdziemy się? – Doktor objął przyjaciela i pchnął lekko, nie dając mu szansy na odpowiedź. – Bunkrujcie sprzęty – nakazał tylko swojemu podoficerowi, dwudziestopięcioletniemu facetowi o zbitej, mocnej sylwetce.

– Rozlokować ich? – dopytał młody niepewnie.

– Wiesz co i jak. Zajmij się tym... – Wasilij nie wdawał się w szczegóły.

W tłum poleciały głośne komendy. Doktor zobaczył, jak jego przybocznicy wskazują, a po chwili odkrywają skrawki ziemi. Zamaskowane włązy i wejścia do przygotowanych skrytek.

Dwaj dowódcy odeszli na skraj lasu, spory kawałek od ludzi, bacząc, żeby nie stanąć zbyt blisko któregoś z posterunków.

Saszka usiadł na powalonym, okorowanym drzewie i sięgnął po paczkę papierosów. Poczęstował Doktora, a ten, o dziwo, skorzystał.

– No, proszę, proszę. – Chudy kręcił głową naprawdę zaskoczony. – Znacząco będzie grubo, skoro wracasz do nałogu... Ty, pan kulturysta. – Kpiące spojrzenie prześlizgnęło się po sylwetce Wasilija.

– Nie pierdol – wycedził większy – tylko daj ognia.

Prawie wyrwał mu z rąk pospolitą czerwoną zapalniczkę. Przypalił i zaciągnął się dymem.

Patrzył długo poprzez gałęzie na widok za lasem. Rozległe łąki poprzetykane kępami samosiejek. Nie czuł dokuczliwego robactwa, które wyklute wraz z wiosną, już wirowało wokoło. Zanurzył się w rozważaniach. Analizował coś albo raczej nabierał odwagi do dalszej rozmowy.

– No, co tam, Doktorze? – Sieska przerwał tę ciszę bez żadnego zażenowania. – Myślimy o tym samym, co? – Znał tamtego aż za dobrze.

– Ależ ty się zrobiłeś odważny. – Wasilij pokręcił głową. – Tak, kurwa, myślimy o tym samym. – Przysiadł obok na pniu. – To tak naprawdę, na poważnie...? Mamy to wszystko wywrócić?

Znowu zapanowała cisza, a w powietrzu unosiło się jeszcze jedno niewypowiedziane pytanie: „Co później?”.

– Rozkazy znasz. Jedziemy z tematem... – Saszka się ożywił. – Nie maź się. Jesteśmy gotowi – pozwolił sobie na złośliwy przytyk wobec kumpla.

– Jesteśmy – odparł Wasilij pewnie, chcąc zmazać chwilową słabość. – Ale że ciebie mi dodali... – Znow pokręcił głową i utkwiał badawcze spojrzenie w chuderlawym gościu. – Że ja mam przerabane, to jasne – odważył się uzewnętrznić obawy – ale czym ty podpadłeś? Dobry jesteś, a jednak rzucają cię na taką akcję. Co to, dla takich jak my miejsca już nigdzie indziej nie ma? Właściwie... – odwrócił się, wyraźnie zaciekawiony – ...gdzie byłeś?

Saszka zaniósł się niezdrowym śmiechem, odchylił się do tyłu i uniósł palec ku górze.

– W raj, stary, w raj. W luksusach, a nie w tym syfie! – Rechotał poruszony niedawnym wspomnieniem. – Wiesz, jak jest. – Uspokajał się z wolna. – Ale człowiek ma nadzieję, że pójdzie dobrze. Mamy zadania, fundusz, wszystko zaplanowane i ktoś dał zielone światło. Robię swoje i nie myślę, bo zwariuję... Tam, u nas... to znaczy... Szlag, jeszcze nie przywykłem. – Zaciągnął się dymem. – Też ciekawa robota była. Tu będzie ostro, ale to wszystko jest powiązane. Rozumiesz, uczyli nas. Trochę tam, tu więcej, żeby się wszystko pomieszało, i tylko... – Stęknął ciężko. – Ludzie już nie wytrzymują. Zmęczeni. Zmęczeni jesteśmy... Nie? – Mrugnął do kolegi.

– Ano zmęczeni – przyznał mu rację Doktor. – Zmęczeni będziemy po wszystkim. Nie sądziłem, że doczekamy takiego czasu. Myślałem, że zamieszanie, wygłupy... Może i dobrze... – mówił coraz ciszej, znowu owładnięty jakąś niepokojącą wizją nadchodzących dni – ...napiecie zejdzie. Przystaniemy rozmyślać, a potem, po wszystkim – stęzał cały – wreszcie odpoczniemy jak ludzie.

Ich spojrzenia spotkały się i obydwaj wybuchli gromkim, chyba leczniczym śmiechem.

Jak na znak wstali z miejsc, zupełnie odmienieni. Chwila zwierzeń się skończyła. Byli wojownikami, lubili swoją pracę i nie mogli przedobrzyć z wylewaniem żalu, nawet albo szczególnie przed przyjacielem z tej samej branży.

– Trzydziestu sześciu dali – zaczął referować Sieska, choć obydwaj wiedzieli, jakimi dysponują siłami. – Szturmowi i do osłony dowództwa. Nauczeni, wrywni, bo sprawa blisko domu. Dobre chłopaki, ale barany, myślą, że to szybka akcja i odskok. Pod pierzynę. *Duraki* – sapnął z lekkim niedowierzaniem. – Resztę mają przejąć jeszcze głupsi. Posprzątać i osłonić nam odwrót. Przynajmniej tak sądzi młodzież. Ale chyba na to nie liczymy? – padło ostrożne, niechciane pytanie.

Doktor nie zareagował. Udał, że tego nie słyszy.

– Technika?

– Najlepsza, najdroższa, na taki wyczyn trzymana pod folią – zażartował Saszka z nerwów. – Mamy coś do obserwacji i osłony. Resztę, czyli zasadniczy ładunek dowiozą dziś albo jutro. Wiem, że tego wszystkiego pilnujesz i będziesz w stanie ogarnąć rozładunek, żeby się nikt nie dopierdolił zbyt wcześnie.

– Jasne, że tak. – Doktor napiął mięśnie w dumnej pozie. – Czarna dziura. – Pokazał palcem po okolicy. – Ludzie obojętni, nie znają się na polityce, a i mało ich to obchodzi. Żadna ekipa nie dała im właściwie niczego. Policja... albo nawet jak mają tu szpicli z безпеکی... Daj spokój. – Zakrztusił się dławionym śmiechem i machnął dłonią w geście zażenowania. – Kupiłem ich, wszystkich kupiłem po cichu. Nikt nawet nie piśnie, nie odważy się spytać, po co ja tutaj... Myślą, że to biznes, jakaś mafia, szemrane interesy i się cieszą, że choć takiego inwestora mają. – Napawał się swoją zaradnością. – Do Kijowa daleko, nikt tu nie przyjedzie robić porządków... Wiesz? – Uspokoił się na moment. – Założę się, że miejscowa policja, gdybym zechciał, zrobi nam eskortę. Komendant sam się wygadał, że w obwodzie będzie się coś działo, że będą goście, i kazał uważać, dbać o spokój.

– A ty co... zawiedziesz kolegę? – Saszka znów nie odpuścił sobie przytyku. – Za ten cyrk, jaki spadnie na miejscowych, długo będą płacić.

– Byle do przodu, SS-man, byle do przodu. Wiesz przecież...

– Wiem, ale im człowiek starszy, tym, kurwa... Naprawdę trochę żal – niższy starał się mówić poważnie, ale nie zdzierzył i zaniósł się śmiechem. Za wiele widział i za wiele uczynił, by wierzyć, że ma jakieś ludzkie odruchy wobec bliźnich.

– Dobra, panie żartowniś – Doktor przeszedł powalony konar – wracamy do młodzieży, bo się pewnie nudzą... A, jeszcze jedno. – Zastygł w pół kroku. – Reszta, cała otoczka? Dogadani, można liczyć? – Spoglądał na przyjaciela, jakby chciał go przeświecić.

– Głupki? Nie bój się, już się zbierają. Mam namiary, kontakty. Znam ich tu paru po ostatnim przydziale. Może nawet lepiej niż ty. – Napuszył się. – Będzie ich trochę. Wiesz, że na to akurat nie mamy wpływu. Nie mogą nas znać, ale obiecywali mi, że będzie dostаточно. Cały ten obwód – teraz jego dłoń powiodła po krajobrazie – będzie aż kipiał. W takim bałaganie nikt się niczego nie dopatrzy, a my i tak będziemy jak jakieś pieprzone duchy. Mamy możliwości jak rzadko kiedy. Ty wiesz, że Amerykanie podesłali Lachom kilka F-35 pod granicę? Cicho i po kryjomu. Prawdopodobnie do manewrów, ale przecież to wszystko po to... żeby kijowskim dupy pilnować. My to wiemy i puścimy w eter. Nasi komputerowcy to podgrzeją i będzie dym. Pojmujesz, wszystko, żeby odwrócić uwagę, żeby zaczęło wrzeć tak, że nikt już nie będzie wiedział, o co chodzi. Żeby te zastępy biedaków w mundurach uznały, że muszą wziąć sprawy w swoje ręce! – rozkręcił się, unosząc ramiona ku niebu, pewien, że bierze udział w czymś wielkim.

– Nieźle... – Doktor wydawał się skonfundowany – ...nieźle cię wyinformowali.

Zabrzmiało to jak wyrzut. I zapachniało zazdrością. *Dlaczego ja nic nie wiem?* – próbował dojść powodów.

– Odwrót – tknęło go, by dopytać. – Jak z odwrotem? Zanim opowiemy chłopakom.

– W bałaganie każda mysz się wyrwie... – Saszka przybrał upiorny wyraz twarzy. – Ostro z tym jedziemy, więc środki duże... Będzie i wiatrak. – Zrobił wymowny znak nad głową.

– Pieprzysz! – Doktor aż się cofnął.

– A tak, tu nie ma półśrodków. Wiesz, kto ma być celem? Jakie jest założenie? Nie, nie wiesz... Zaraz ci powiem. Wszystkim powiem. – Ten pospolity przybłęda urósł momentalnie o kilka centymetrów i wzrok zapłonął mu pewnością godną bohatera. – To musi być na bogato, a poziom złości maksymalny!

*

Zebranych w gabinecie prezydenta było kilka osób. Oficerowie, niezastąpiony Waligóra oraz Nikomski ze świtą paru pomocników z kancelarii. Wyczuwało się napięcie, ale i podniosłą atmosferę.

Prezydent Rzeczypospolitej zasiadał za swoim biurkiem. Sącył kolejną tego przedpołudnia kawę. Był w koszuli, bez krawata. Usiłował się odprężyć, jak tylko

było można pomiędzy kolejnymi spotkaniami, naradami i nauką przemówień.

U szefa Służby Ochrony Państwa, przedstawiciela komponentu dowództwa sił specjalnych i gości z polskich służb oraz dyplomacji wyczuwał niechybnie o wiele większy stres. Wydawali się wręcz przytłoczeni i zupełnie niezadowoleni.

Być może nie lubili takich nasiadówek. Odrywano ich od właściwej pracy i monitorowania przygotowań do skoku na głęboką wodę.

– Krótco, proszę pana ministra – prezydent zażądał, ale bardzo uprzejmie.

– Oczywiście. – Ubrany w nienaganny garnitur, doświadczony wysłannik MSZ skłonił głowę i zaraz jego wzrok opuścił kilka akapitów rozpoczętego tekstu. – Agenda rozmów z prezydentem Ukrainy oraz ich strategia zostały omówione i mamy tu jasność oraz konsensus. – Znów się lekko ukłonił. – Podkreślam, to bardzo trudny moment i bardzo trudna misja. Śmiem pokusić się o takie określenie. Wprawdzie poziom brutalności demonstracji opada... Zarówno reakcje sił porządkowych, jak i zmęczenie protestujących nieco osłabiły zakres wystąpień, ale... – Minister poprawił okulary. – Niemiecka oferta została zaakceptowana i Kijów przystąpi w czerwcu do rozszerzonych negocjacji o statusie odebranych ziem, o autonomii. A teraz, idąc dalej... Wiemy – minister rzucił spojrzenie z ukosa człowiekowi z Agencji Wywiadu – że tak, jak było to przewidywane w prognozach, apetyty strony rosyjskiej rosną i będzie dyskutowana kwestia pogłębiania autonomii tamtych ziem oraz... Delikatne wsparcie zachodniej Europy sprzyja takim procesom. – Przełknął ślinę. – Choćby oficjalne uznanie odrębności Krymu, a to...

– A to oznacza, że to cisza przed burzą – dokończył prościej prezydent i zerknął wymownie na zegarek. – Grozi im ponowny wybuch, który przy daleko posuniętej niestabilności wewnętrznej doprowadzi do już wyraźnych podziałów i powstawania udzielnych ksiąstewek każdego z oligarchów z osobna.

Darował sobie mówienie o oczywistościach, takich jak fakt, że ta kasta sprzedajnych złodziei zwanych się biznesmenami dorabiała się nieczysto na kontaktach z Rosją albo pośredniczyła w takich interesach jako zauszniczy pozbawionych skrupułów magnatów finansowych z całego świata.

„Pierwszy” opadł na fotel i skrzyżował palce, podpierając brodę.

– Pięknie, pięknie – ironizował, z trudem odpędzając od siebie wątpliwości oraz lęk. Zastanawiał się chwilę, póki Waligóra nie chrząknął dyplomatycznie. – Tak... Wariant normandzki, co, panowie? – Żart był miałki i niezrozumiały dla reszty.

Zebrani uśmiechali się jedynie z grzeczności. – Spada to na nas, podczas gdy Zachód po prostu chce okroić naszych szanownych sąsiadów – uściślił prezydent już zupełnie poważny. – Misja ostatniej szansy. – Dziwnie się skrzywił, spoglądając na kartki z zapisem przemówienia. – Tylko co będzie później? – zadawał sobie to pytanie od kilku dni, głowiąc się, jaka przyszłość czeka Polskę, region i jego samego, jeżeli to wszystko pójdzie nie tak, jak trzeba. A wiele wskazywało na to, że wybuch na Wschodzie jest bardzo bliski. – Powinni odbić, co ich, i byłoby po sprawie – oznajmił głośno, bez związku z tematem rozmowy, bojowo nastawiony.

Zebrani nie odezwali się słowem, zszokowani tak otwartą deklaracją.

– Tak chciałyby pan to przedstawić w Kijowie. – Szef MSZ uznał to za żart i szczerze zachichotał.

– Najchętniej, najchętniej. – Prezydent maskował swój eksces pogodną miną, by naprawdę uwierzyli, że zażartował. – Tylko kim mieliby walczyć? Przecież nikt im nie pomoże... W przypadku próby inwazji, gdyby miało do niej dojść... *À propos* – pstryknął palcami – podpułkownik Oleksandr... Zdanilow. – Przypominał sobie niedawne bardzo ciekawe spotkanie z pewnym weteranem. – Gdyby mieli takich więcej, a przede wszystkim – machnął dłonią – potrafili ich szanować... No, ale... – znów zapędział się w wywodach. – Ta lekka modyfikacja planu, by odwiedzić zachód, a potem ośrodki bliżej rosyjskiej granicy... Tak, to doskonały pomysł. Jeżeli, do diaska, nie mogą odzyskać swojego terytorium, niech przynajmniej będą zjednoczeni. Rozbicie to prezent dla... wojsk pokojowych – powiedział z lekkim obrzydzeniem, nie musząc wymieniać kraju, który miał na myśli.

– To dobra metoda – oficer wywiadu nieco za szybko wszedł mu w słowo. – Proszę wybaczyć – pokajał się prędko. – Akcja z pułkownikiem jest ciekawa, ale cały czas stoję na stanowisku, że jeżeli przeciągniemy sprawę albo coś pójdzie nie tak, reakcja może być odwrotna. I trudno będzie go chronić... Wspólne zabiegi o to są pracochłonne, zwłaszcza przy tym całym zamieszaniu. Kijów deleguje najlepszych, ale bez entuzjazmu. Do końca właściwie nie wiemy, jakie będzie nastawienie...

– To doleje oliwy do ognia – szef MSZ poparł stanowisko oficera, kończąc nużący go wywód.

Patrzył przy tym z lekkim niesmakiem i wyższością na prezydenckiego ministra Waligórę i Nikomskiego – pomysłodawców i orędowników angażowania ukraińskiego kombatanta.

Ten ostatni nie bał się zareplikować.

– Czasy są trudne, więc i działania muszą być niełatwe. Ile wysiłku i ochroniarzy by to nie kosztowało. Pułkownik to wśród starej gwardii symbol, jest powszechnie szanowany, a jego obecność u każdej ze stron...

– Panowie... – wtrącił prezydent, przysuwając się do biurka i po raz kolejny patrząc na zegarek. – Znowu wchodzimy w odbyte już dyskusje. Mam kwadrans do rozmowy z Waszyngtonem, a muszę się nieco ogarnąć. Co nam pozostało? Cała otoczka bezpieczeństwa – powiedział prezydent z widoczną obawą i niechęcią. – Panowie generałowie – zwrócił się do oficerów – wiem, że to nieidealne warunki, choć może to i lepiej. Zwięźle i szybko, poproszę. Obstawiliście, jak się dało najlepiej, pana pułkownika Zdaniłowa, nim dołączy do delegacji w Kijowie. Właśnie, co z nią? Czego, u diabła, zabronicie mi w terenie? I kto ostatecznie będzie nam pilnował... tyłków?

*

Adam Thomal zarzucił ręcznik na przepoconą koszulkę i odkręcił butelkę z wodą. Wypił nieomal całą. Odwrócił głowę i zerknął na zegar ponad przyrządami do ćwiczeń w podziemnej siłowni.

– Ja pierdolę. – Sam siebie zadziwił.

Otarł twarz i ruszył nieśpiesznie korytarzem do schodów i wyżej, do swojego pokoju.

W budynku panowało jakieś niezdrowe ożywienie. Ludzi było jakby więcej i co rusz najpierw szli gdzieś prędkim krokiem, potem wracali. Było jasne, że wielki dzień nadchodzi.

Z innej klatki schodowej prowadzącej do zamkniętej części piwnicy, do której Adama jako oficjalnego gościa nie dopuszczano, wyszedł porucznik Kerc. Nosił się już bardziej po wojskowemu, choć jego taktyczny ubiór, upstrzony kieszeniami naszytymi w najmniej odpowiednich miejscach, był piaskowy, nijaki i pozbawiony oznaczeń państwowych.

– Wycisk? – rzucił od niechcienia i raczej nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję.

– Tak, z nudów... – Zabrzmiało to jak pretensja. – O mało się nie zabiłem. – Adam przetarł kark. Ciągłe niemiłosiernie się pocił. – Upał, cholerny upał...

Kerc odwrócił się, zapominając o policjancie, i pośpieszył w stronę wyjścia na

podwórze. Thomal stał przez chwilę, nie bardzo pojmując powody takiego zachowania. W końcu poszedł za oficerem.

Przed słońcem chronił ich trójkąt cienia rzucony przez skrzydło kamienicy, ale i tak czuło się różnicę. Powietrze było ciężkie i nagrzane. Adam z przyjemnością wróciłby pod osłonę grubych murów i klimatyzatorów, ale ciekawość przeważała.

– Co się dzieje? – zapytał wprost, ale ciszej, kontrolując, czy nikt nie sterczy w którymś z okien.

Kerc zdawał się ospały, strapiony.

– Nic, jest okej. – Sięgnął po papierosa i prędko zapalił.

– No przecież widzę, weź mnie nie czaruj. – Adam podszedł bliżej zirytowany, że facet zapomina o jego zdolnościach śledczych. – Panie poruczniku, ja też w tym siedzę, więc jeżeli coś się sypie, fajnie by było, żebym wiedział...

Był tak blisko, że Kerc wzdrygnął się, czując zapach potu gliniarza. Podniósł głowę. Popatrzył na policjanta, potem na ognik żaru na papierosie i strzepnął popiół.

– To, co było do przewidzenia – zaczął enigmatycznie. – Niby szło w miarę okej, a teraz druciki – tak określano chyba w każdej służbie tych od łączności – wykrywają zwiększone natężenie... Tamci gadają więcej – uprościł ten oficjalny slang. – Przypuszczaliśmy, że tak będzie, ale nie że do tego stopnia i...

– Co i? – Adam wyprostował się i prawie cofnął, widząc, że Kerc przejmuje się czymś nie na żarty.

– Południe kraju... – oficer z Lublińca mówił jeszcze ciszej. – Trochę od Mołdawii, no i sporo przekazów z półwyspu...

– Coś konkretnego? – brnął Adam.

– No co ty? – Kerc wzruszył ramionami. – Kodowane, trudno się przebić. Maszyna zachodnia i to najgorsze, rozumiesz... Kodują elegancko. Chodzi tylko o ogólne lokalizacje. Uruchomili swoje struktury. Pytanie, czy skoro teraz spokojnie – podniósł mętne spojrzenie ku błękitnemu niebu – coś szykują przed negocjacjami, czy... – sapnął – nam w szczególności. Wiedzą, co ma się wydarzyć, czy na razie strzelają na oślep w panice. Jeżeli tak, to dobrze, nie zdążą się przygotować...

– Kurwa, do czego by mieli? – Thomal zakpił z niedowierzaniem. – Sądzisz, że mogliby się porwać...?

Kerc zastygł, a jego spojrzenie było zimne jak lód. Nie drgnął mu przez moment żaden mięsień.

Thomal się przestraszył. Porucznik nie musiał mówić nic więcej. Ten chłodny wzrok wyrażał wiedzę o dziesiątkach najgorszych tajemnic, jakie musiał poznać i ukryć jak najgłębiej. Prawdę o świecie, której nikt zwyczajny nie miał prawa znać.

– Kurwa – stęknął Adam i nerwowo wytarł czoło z nowych kropli potu.

– Nie obawiaj się. – Kerc lekko trącił gliniarza pięścią w ramię. – Jest git, a będzie lepiej.

Jeśli to miało pocieszyć Thomala, nie pomogło.

Porucznik rzucił peta do blaszanej popielniczki przy ścianie.

– I tak za wiele ci gadam. Ćwicz sobie i czekaj na wyjazd. – Machnął do Adama i powlókł się do drzwi.

*

Kamil „Monsignore” był chyba gotów zapalić się na śmierć, tu i teraz, a przy okazji uwędzić wszystkich dookoła. Chmura dymu zasnuwała dobrze oświetlone wnętrze pospolitego garażu, w nim – parterową blaszaną konstrukcję warsztatu samochodowego. Szara otulina płożyła się pomiędzy podnośnikami dźwigającymi auta, narzędziami i stołami pełnymi niepotrzebnych części.

Jedną z takich płaszczyzn, zamiast akcesoriami samochodowymi, zastawiono ekranami i kilkoma komputerami. Zebrani wkoło ludzie, przeważnie policjanci, ale i oficerowie SÄPO, w większości nie byli stąd. Jak i Monsignore przybyli tu w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Miejscowych było zaledwie kilku, z komendantem posterunku w niewielkim Årjängu na czele.

Mężczyźni i kobiety wyuczeni obowiązku dbania zarówno o siebie, jak i o środowisko wybacжали jednak Polakowi. Kamil przyleciał w te zielone ostępy z paroma osiłkami z oddziału, o który nikt nie miał odwagi zapytać, ale wszyscy wiedzieli, że to coś powiązanego z MUST – wojskową służbą wywiadu i bezpieczeństwa.

Polak był ubrany jak każdy tutejszy mieszkaniec, w dżinsy, bluzę i sportowe obuwie. Dobrze go wyszkolono, więc pozbył się wojskowych ruchów i zwyczajów.

Miejscowy komendant, wielki człowiek o gęstej brodzie wyglądający jak niedźwiedź, który dopiero co wyszedł z tajgi, przestępował z nogi na nogę. Co rusz poprawiał pas na swoim granatowym mundurze patrolowym i rzucał spojrzenia na gości.

Kamil nie zwracał na to już uwagi. Rozumiał, że w takiej wsi cały ten najazd wywołuje straszne emocje i lęk. Zwłaszcza że nikt nie wytłumaczył, o co dokładnie chodzi.

Uwagę Monsignore przykuwał ten właśnie główny powód.

Na kilku ekranach ustawionych w garażu widać było inne ujęcia celu – otyłego, niewysokiego mężczyzny. Nosił zapiętą jasną kurtkę, choć pogoda temu nie sprzyjała. Twarz osłaniał czapką z daszkiem, sądząc chyba, że oszuka współczesną technikę i logarytmy systemów nie wynajdą jego rysopisu na obrazie jednej z setek kamer przemysłowych. Nawet tu, w takiej miejscinie.

Obserwowany jegomość nosił nieduży sportowy plecak przerzucony przez ramię. Nie wyglądał na spłoszonego ani podenerwowanego. Żaden z patroli nawet nie zwróciłby uwagi na tego człowieka. Tym większa była frustracja komendanta i jego ludzi, bo jeżeli do gminy spadł desant waźniaków, musiało to oznaczać, że tamten na monitorze był ważny. Ważny i cholernie sprytny, a na pewno niebezpieczny.

Kamery monitoringu, a także ukryte obiektywy ustawione w paru autach w wyższych partiach miasteczka śledziły każdy krok grubasa.

Mężczyzna szedł chodnikiem między dwoma piętrowymi pawilonami. Wszedł na rozległy parking i nieśpiesznie kroczył na drugą stronę placu, w kierunku parterowych budynków restauracji, mniejszych kramów i przystanku autobusów dalekobieżnych. Omijał zaparkowane auta i nie interesował się żadnym z kilku kręcących się w okolicy klientów oraz pasażerów czekających na autokar.

Obraz skakał, kiedy zgrabna ciemna blondynka w cywilnym ubraniu poszukiwała lepszego ujęcia.

– Jest tu – powiedziała z ulgą, przełączając się na nową kamerę, bliżej peronu.

– Kurwa... – Kamil nie zdzierzył. Splunął niedopałkiem, złapał się za głowę i zaczął dreptać w przód i tył. – Zdejmijcie go – wycharczał po angielsku.

Nikt nie zareagował. Wiedzieli, co robić. Nawet Sigge Nyberg, z Särskilda operationsgruppen, „opiekun” Polaków na tej skandynawskiej misji, stał tylko w bezruchu z głową podpartą na dwóch palcach.

Gruby na ekranie przeanalizował plan odjazdów i podreptał do biura firmy przewozowej. Tam stracili go z widoku.

– Zdejmijcie go...

– Czekaj – odparł Sigge półgłosem. – Musimy mieć coś więcej niż to, co teraz. –

Zerknął srogo na Kamila spod uniesionej brwi.

– Pierdolenie – Monsignore wypowiedział polskie słowo bardzo wyraźnie.

W eterze odzywali się co rusz wywiadowcy służb specjalnych, którzy nadzorowali operację, ale teraz korespondencja robiła się wyraźnie gwałtowniejsza. Kamil nic nie pojmował z tego potwornego języka.

– Co jest? – Polak trącił szwedzkiego kompana w ramię.

Blondynka przy pulpicie straciła zainteresowanie grubasem i gorączkowo szukała nowego obiektu, naprowadzana sugestiami z radia. Komendant i oficerowie SÄPO zaczęli coś szeptać, a ich nerwowość wzrastała.

– Co jest? – Kamil podniósł głos.

W obrazie z monitora zobaczył dwóch mężczyzn. Ciemne kurtki, jakieś zwykłe spodnie. Nic szczególnego, ale Monsignore wiedział, że ta niepozorność to najlepszy dowód, że coś jest bardzo nie tak.

– Łażą za nim od kilku minut... – odezwał się Sigge półgębkiem. – Nikt z naszych. Upewnialiśmy się...

Tymczasem grubas opuścił biuro podróży i znowu jakby nigdy nic powędrował przez parking. Tym razem w stronę supermarketu ICA, obstawionego gęsto autami klientów.

– Sprawdza się, chuj. – Kamil przecisnął się przez miejscowych i bez pardonu pochylił nad ekranem koło dziewczyny, głuchy na niezadowolone sapnięcia. – Zauważył tamtych... – Obrócił się do szpakowatego faceta z kontrwywiadu. – Nie będzie spieprzał do Norwegii autobusem. Jeżeli go namierzyli, to i tam będą na niego czekali... Wlezie do...

– Wiem, co szykuje – przerwał autorytatywnie Szwed, niezadowolony, że „obserwator” tłumaczy mu sytuację, i to przy jego zespole. Facet wziął radio i zaczął coś głośno, wolno rozkazywać. Powtórzył to trzy razy. – Nie spieprzy przez sklep – dopowiedział opryskliwie, ze względu na Kamila znów przechodząc na angielski.

Polak nie bardzo się przejął ani nie żałował popisywania się przy wyższym stopniu gospodarzu.

Na parkingu pojawił się niepozorny szary bus marki Renault. Przyśpieszył w połowie placu, łamiąc wszystkie szwedzkie nakazy. Naraz zaczął hamować i jeszcze podczas tego manewru boczne drzwi auta się otworzyły. Z wnętrza wyskoczyło czterech ludzi. Z daleka przypominali cywilów. Roślejszych, bardziej

wysportowanych, ale cywilów.

Twarze mieli zasłonięte ciemnym kominiarkami, a na głowach czapki z daszkiem.

W momencie skoku unieśli błyskawicznie broń – pistolety maszynowe MP-7. Kamil zerknął na kilka sekund na inny obraz. Tam dwa osobowe auta odcięły na chodniku obcych jegomości. Scenariusz był bardzo podobny, tyle że bardziej brutalny. Jeden z mężczyzn chciał uciekać albo raczej osłonić odwrót kompana. Sięgnął zwinnie, choć nienaturalnie jak na zwykłego przechodnia, pod poję kurtki.

Ludzie w kominiarkach otoczyli go sprawnie i ciasno. Nikt nie zauważył elektrody. „Cywilem” wstrząsnął krótki spazm i facet osunął się na latarnię. Kamil był pod wrażeniem.

Drugiego powalono na ziemię i zaraz skuto mu wykręcone ręce. Nie padł żaden strzał ani zbędny dźwięk. Szwedzi postarali się, by dopaść tamtych żywcem, bez robienia zamieszania i zwracania uwagi; całe zdarzenie dostrzegło tylko kilku gapiów.

Monsignore nie interesowali tamci dwaj, których jak wory ziemniaków wrzucono do osobowych aut. Najważniejszy był ten pierwszy, grubas, zataszczony do busa, który właśnie odjeżdżał spod marketu w stronę serpentyny szosy prowadzącej ku przedmieściu, w kierunku warsztatów samochodowych. I urządzonego tam tymczasowego aresztu.

*

Tłum wypełnił każdy skrawek przestrzeni wokół wyjść z terminala na lwowskim lotnisku. Słoneczny dzień ściągał ludzi żądnych wrażeń, ciekawych historycznej chwili. Przybywali zwykli cywile, rodziny zabitych na wschodzie lub weteranów. Były nawet młode kobiety, głośnie i szermujące ostrymi hasłami.

Mundurowi weterani w różnym wieku, czasem ozdobieni orderami, stanowili – jak to bywało na ostatnich demonstracjach – najliczniejszą grupę wśród zebranych.

Z tłumu sterczały flagi Ukrainy, symbole banderowskie i sztandary ochotniczych batalionów z tego regionu. Były transparenty i bojowe hasła. Oraz jeden wielki hałas tubalnych wrzasków z tysięcy gardeł.

Policja, pomna krwawych starć z poprzedniego tygodnia, nie próbowała rozpędzać tłumu, bojąc się jeszcze większych strat. Przynajmniej tak brzmiała oficjalna informacja. Prawdziwym powodem było zupełne zaskoczenie takim rozwojem sytuacji. Rzecznik prasowy obwodowej policji tłumaczył, że port lotniczy działa, więc

lotnisku nic nie grozi. Jednak każdy z zebranych rozumiał, że to dopiero początek, że coś musi się zmienić. Że to spontaniczne zgromadzenie rozrośnie się i przeniesie do centrum.

Była też i grupa o wiele spokojniejsza, trzymająca się z boku. Można by rzec – bardziej opanowana i karna, choć niewielka. Kilkunastu posepnych mężczyzn, w większości wyraźnie zmęczonych, okaleczonych, z bliznami na twarzach i ciałach. Nie pojawiali się często na demonstracjach. To, co przeżyli, pozbawiło ich wszelkiej ochoty na ponowne stawanie w obronie kraju, ale mimo to dzisiaj przybyli. Stali na uboczu, niewiele mówiąc, podenerwowani sytuacją i odkryciem, że towarzyszą im osoby, które miały ich chronić... albo pilnować.

Wewnątrz lotniska było równie nerwowo, co wokół terminali. Podpułkownik Oleksandr Zdaniłow przypominał tego dnia rasowego dyplomatę. Nie był już zapuszczonym, wychudłym robotnikiem na budowie, na którą wypędziła go ukraińska bieda. Czarny, dopasowany garnitur i starannie ułożona fryzura dodawały ważności temu postawnemu mężczyźnie. Nie było po nim znać niedawnego upodlenia i depresji. Był dumny i nieco oszołomiony. Starał się jednak myśleć klarownie i analizował sytuację.

Siedział w fotelu w vipowskim saloniku. Wpatrywał się w zawieszony pod sufitem płaski telewizor. Relacja na żywo pokazywała, co dzieje się poza budynkiem, gdzieś tam, za mlecznymi szklanymi ścianami pokoju.

Pułkownik nerwowo bawił się zwykłą zapalniczką i co chwila łąpał na telefon na stoliku. Zdał relację przerażonej żonie, zapewniając, że jest w porządku, i bił się z myślami, czy nie dopisać jeszcze kilku słów na pocieszenie. Wiedział jednak, że taka nagła wylewność w uspokajających SMS-ach będzie podejrzana i że było to potrzebne przede wszystkim jemu.

– Jakie plany? – zapytał ze zniecierpliwieniem, zdradzając się ze złością i brakiem zaufania.

Paru innych ludzi w pokoju długo milczało. Dwaj urzędnicy – jeden, młodzian nazwiskiem Grządecki, z polskiej ambasady oraz jego współtowarzysz z MSZ w Kijowie, Karcztuk – zbytnio pułkownika nie obchodzili. Zresztą jak cały zastęp podobnych im krawaciarzy oddelegowanych do pilotowania go w terenie w tej części podróży. Równi Oleksandrowi byli prezydenci i generałowie, którym miał towarzyszyć. Miał w związku z tym poczucie wielkiej sprawiedliwości i spełnienia.

Sytuacja okazała się jednak płynna i bardzo napięta. Z tego powodu odcięto go, starego kombatanta, od najważniejszych notabli, dając podobno nie mniej ważny odcinek. Na początek.

– Robimy coś czy rezygnujemy? – drążył, prostując się w fotelu.

Adresatami wątpliwości było trzech mundurowych. Wyglądali bardzo podobnie. Te same wzory mundurów polowych, brak oznaczeń państwowych. Na głowach nowoczesne lekkie hełmy i zestawy radiowe podłączone do słuchawek. Kamizelki kuloodporne objuczone ładownicami, apteczkami i kaburami z bronią krótką. Wszystkim, o czym tam, na wschodzie, w trakcie walk pułkownik i jego ludzie mogli sobie tylko śnić.

Tym, co odróżniało jednego z tych żołnierzy, była narodowość i inny karabinek – HK416 z kolimatorem i celownikiem laserowym. Pozostała dwójka za oręż miała najnowsze wersje karabinka M4 wyprodukowane przez Sig Sauera, też obudowane dodatkami.

Stępniewski, major polskiej jednostki GROM, spojrział wymownie na kolegów, prosząc o wsparcie. Znał swoje zadania, ale i możliwości. Od kilku chwil obawiał się, że są niewystarczające. Że coś poszło nie tak.

– Robi się tłoczno... – powiedział niemrawo Ukrainiec z twarzą tak kwadratową, jakby ciosaną od linijki. Podobnie jak Polak był zaskoczony, a na dodatek obecność takiego oficera jak pułkownik bardzo go onieśmiała.

Ktokolwiek wpadł na pomysł zaangażowania tego weterana, trafił w dziesiątkę. To był symbol, zapomniany bohater, o którym krążyły legendy. Stał się mitem, bo w kraju od lat nikt go nie widział. Jedna z wersji jego losów mówiła, że przepadł porwany przez Moskali. Tymczasem przybywał niczym rycerz w chwili próby, a on, kapitan Kamiński, musiał czekać i był bezradny. Przedstawiciel elitarnego 10 Samodzielnego Oddziału Specnazu, jednostki podległej zarządowi wywiadu wojskowego, najlepszy z najlepszych, został zaskoczony.

– Ktoś puścił parę w sieci i będzie tylko gorzej – powiedział chłopak wprost. – Nie wiemy, skąd wiedział... Zapewne to jakiś pieprzony przeciek, tutaj... – Wahał się, czy dokończyć, ale pułkownik zrobił to za niego.

– ...wszystko można kupić i w dupie z tajemnicami, co? – Weteranowi zakręciło się w głowie. Poziom jego frustracji wzrastał. – Jeszcze chwila i o waszym przybyciu też będzie w telewizji. – Oficer machnął na mundurowych i wskazał na ekran. –

Specjalna grupa zadaniowa ściągnięta z poligonu w Nowej Dębie do Lwowa... Chronić tylko mnie czy na wypadek, gdyby coś się spieprzyło? – Uśmiechnął się, odchylając głowę.

– Powiedzmy... że to drugie. – Polski major nie chciał kłamać.

– Dobrze wiedzieć. – Zdaniłow wystawił palec, jakby trzymał pistolet, i wydał udawany dźwięk strzału. – Skoro jednak tu jesteście... – Klepnął się w uda i dźwignął z fotela. – Miło będzie, jeżeli mnie przypilnujecie. A może i nie?

Sarkazm był ciężki i ukraiński oficer zaczął nerwowo kręcić głową, szukając jakiegoś wsparcia u zebranych.

– My... zrobimy, co do nas należy – oznajmił kapitan Kamiński najpewniej, jak umiał, ale wyszło sztucznie. Elitarność jego jednostki i związany z nią szacunek ciągle chyba nie przekonywały Zdaniłowa.

– To pokażcie, co potraficie – prowokował pułkownik, patrząc na nich z nieskrywaną wyższością. Brzmiał i wyglądał jak człowiek, który nie wierzy już w żadne legendy ani zapewnienia.

Zapiął marynarkę i zrobił krok ku drzwiom.

Sekretarz Karcztuk poderwał się z miejsca jak oparzony i zastąpił mu drogę. Przełknął w panice ślinę i cofnął się zaraz, widząc, że na twarz wyższego od niego oficera wypływa morderczy grymas.

– Jestem VIP-em, tak? – wycedził ponuro Zdaniłow.

– Tak, oczywiście... ale... – Młody dyplomata tracił rezon. – Proszę pozwolić nam rozwiązać ten impas... – Zaczynał się pocić. Ewidentnie po raz pierwszy znalazł się w oku cyklonu. – Czekam na odpowiedź Kijowa i...

– Ja już kiedyś czekałem na odpowiedź Kijowa!!! – z gardzieli pułkownika wydobył się wściekły ryk. Twarz tężała, zachodząc czerwienią. On sam przybrał pozę boksera gotowego młócić na oślep i Karcztuk odskoczył jeszcze dalej, sądząc, że będzie pierwszą ofiarą nadchodzącego ciosu. – Czekaliśmy, aż przyjdą posiłki, amunicja, że w ogóle sobie o nas przypomną. Tam, na lotnisku, w tych gruzach, gdzie moi ludzie konali! Kto nam pomagał?! Zagraniczni! A i tak wszystko się spierdoliło. I teraz też wszystko niweczycie! – perorował, wykrzykując tkwiące w nim wciąż głęboko żale i smutek. Głos zaczął mu drżeć. Nie chciał się rozkleić, nie teraz, nie przy tych wszystkich wpatrzonych w niego i słuchających go ludziach.

Wyciągnął z kieszeni telefon. Wybrał jakąś ikonkę i wysłał kilka szybko

wklepanych słów.

– Czy się mylę... – oddychał ciężko – ...czy mamy tu jakiś harmonogram do zrealizowania, a temu biednemu krajowi grozi wojna? Wewnętrzna i zewnętrzna... – Chwiał się zmęczony emocjami.

– Panie pułkowniku. – Grządecki przysunął się w jak najusłużniejszej pozie. – Sytuacja jest płynna... – zaczął ostrożnie. – Musimy mieć pewność, że Kijów, prezydent czy ministerstwo, dalej popierają pana wizytę. Czy nie zmienią zdania... A zdaje pan sobie sprawę, jak trudno było ich przekonać. Potrzeba więcej ochrony. – Polak popatrzył na ludzi z GROM-u i 10 Oddziału. – W tej chwili Kijów ma wszelkie powody, by porzucić pomysł pana udziału w...

– Więc to pewnie ich robota? – Zdaniłow prychnął i poluzował kołnierzyk koszuli. – Boją się mnie? Po tylu latach... – Był zirytowany, ale oczy zaświeciły mu z dumy.

– To absolutna nieprawda. – Młody ukraiński dyplomata wyprostował się, wręcz zatrząsł z oburzenia i machnął kościstym palcem.

Pułkownik zaniósł się gromkim śmiechem, aż złapał się za brzuch. Obrócił się w stronę kapitana Kamińskiego i wykrzyknął:

– To takie gnojki – wskazał na Karcztuka – wiedzą coś o prawdziwym życiu!

Kamiński przezornie też się zaśmiał, rad, że bohater obdarza go zaufaniem.

– Na pewno dochodziło do prowokacji rosyjskich – młodzian nie odpuszczał i usilnie bronił swoich racji. – Mamy na to niezbite dowody! – Znow wymachował palcem. – Niektóre prezentowaliśmy, ale strona rosyjska usiłuje je zamglić swoją propagandą... Dlatego sytuacja jest niebezpieczna. Nie możemy pana stracić pierwszego dnia! – dodał ostro i piskliwie.

Zdaniłow milczał. Wykrzywił usta w dziwnej minie, która miała chyba wyrażać zdziwienie.

– Szacunek. – Dłoń pułkownika poklepała policzek dyplomaty. – Potrafisz się postawić.

Chłopak spąsował i wyprostował się o wiele pewniejszy. Ukradkiem spoglądał po reszcie, sprawdzając, czy i oni dostrzegli wyróżnienie, jakie otrzymał.

Telefon Zdaniłowa zabrzączał. Pułkownik zerknął szybko na ekran, niby od niechcienia, i schował aparat. Podeszedł do Ukraińca, schwycił go delikatnie za kark i hipnotyzował ciepłym spojrzeniem spod brwi.

– Nikt mi nic nie zrobi... Nie odważą się – mówił pewnie, bez śladu pychy.

Dyplomata patrzył na niego jak mysz, która wpadła w sidła węża i poddaje się jego woli.

Zdaniłow uśmiechnął się, plasnął faceta w policzek i chrząknął.

– No, dzieci, już czas. – Zabrzmiało to jak prawdziwy rozkaz. Pułkownik miał naturalny talent do zjednywania sobie ludzi i czynienia ich uległymi.

Mundurowi podeszli zaraz, gotowi chronić weterana niczym pretorianie.

– Jedyńka do wszystkich... – Stępniewski z GROM-u wcisnął nadawanie przy słuchawce. – Wychodzimy.

– Dwójka, przyjąłem – doleciało w eterze. – U mnie czysto, nic podejrzanego, ale w tym tłumie... Trójka, jest okej, pilnujemy.

Kamiński poprawił pasek karabinka i zrobił kilka ruchów szyją. Podniósł na nos piaskową chustę. Wszyscy inni też zamaskowali twarze.

Łukasz Grządecki jakoś odruchowo stuknął w płytę kamizelki, którą miał pod koszulą i marynarką, chyba chcąc się ostatecznie upewnić, że jednak ma osłonę. W tej chwili praca w dyplomacji nie za bardzo mu się podobała. Inaczej sobie to wyobrażał, kiedy przyjmował ofertę MSZ, które wreszcie odmładzało kadry po latach rządów „czerwonej orkiestry”. *Może to pułapka i chcę się takich jak ja pozbywać* – przyplątała mu się niepokojąca myśl. Była i druga konstatacja: że ten cały Zdaniłow, jeżeli tak radzi sobie z obcymi, tutaj, ze wsparciem mediów, będzie mógł o wiele więcej. Polak się wystraszył. Nie pojmował, w co to wszystko ma lub może się zamienić.

Nogi mu drżały, ale ruszył za pułkownikiem wraz ze swoim ukraińskim odpowiednikiem. Oni dwaj znali – bo układali – plany tego organizowanego *ad hoc* pobytu. Musieli je wypełnić, by wreszcie trafić do bezpieczniejszego Kijowa.

Przebicie się kolumny przygotowanych wozów przez tłumy protestujących nie było, o dziwo, wielkim wyczynem. Kilka opancerzonych bmw, specjalnych aut dla ochrony i wysublimowanego sprzętu rozpoznawczego, było pilnowane przez ludzi z „zespołu specjalnego”. Tylko na początku i na końcu kolumny jechały radiowozy, choć ich załogom nie w smak było wychylać głowy. Żaden więcej miejscowy policjant nie został dopuszczony do konwoju, a tłum przy lotnisku wskazywał na słuszność tego rozwiązania. Miejscowe struktury bezpieczeństwa najwyraźniej nie zdawały egzaminu. Przeciek o wizycie był przypadkiem, efektem powszechnej jeszcze nieostrożności albo celowym działaniem.

Drzwi terminala się otworzyły. Najpierw ku zwalnającym autom ruszyło kilku operatorów z 10 Oddziału, chociaż oczywiście nikt z zebranych nie potrafiłby określić ich przynależności służbowej.

Przygotowanie bojowe oraz skupienie operatorów, a w szczególności ich postawa i imponujący oręż, wymuszały posłuch. Zebrani rozstępowali się jak na polecenie, a kilkunastu weteranów utworzyło coś na kształt szpaleru służby porządkowej. Krzyki i skandowanie cichły, okolice spowijała cisza i pełne napięcia oczekiwanie.

Wojskowi, bacząc uważnie na zebranych, tych bliżej i tych dalej, rozstawili się wzdłuż trasy przejścia. Wyraźnie można było dostrzec, że są skupieni, uważni i gotowi użyć broni, jeżeli pojawi się tylko cień zagrożenia. Ulokowani wysoko, ukryci snajperzy dodawali im pewności i wspierali ich obserwacją. Podobnie jak nieodzowny komponent zwiadowczy, który używał dronów wiszących wysoko ponad tłumem. Ich „oczy” sięgały znacznie dalej, poza rejon. Mimo tych środków każdy Ukrainiec i Polak z grupy zabezpieczenia czuł się nieswojo i był gotowy na najgorsze.

Sekundy mijały w nieznośnym napięciu, które zdawało się omijać wyłącznie Zdanіłowa. Kroczył sprężysto i pewnie przez hall. Kiedy mijał ochronę, ludzie z obsługi milki i odprowadzali go wzrokiem.

Pułkownik z doradcami i ochroniarzami szedł do światła bijącego przez otwarte drzwi jak do nowego świata.

Z każdym metrem serce coraz bardziej przyśpieszało, a on czuł narastającą radość, satysfakcję i o dziwo... spokój. Bawiło go to i wiedział, że chyba właśnie wypełnia się dziejowa sprawiedliwość.

Światło dnia oślepiło weterana na kilka sekund. Przez jasny blask, jak zza woalu historii, przedarł się jednostajny krzyk. Zgiełk rozszedł się echem i zaraz dołączył do niego dźwięk oklasków.

Oleksandr Zdanіłow stanął w drzwiach. Widok zaparł mu dech w piersiach i go wzruszył, aż coś ukłuło go w sercu. Nie mógł zrobić kroku. Widział tylko setki machających dłoni.

– Idziemy – zażądał kroczący za nim polski komandos i pchnął go łokciem. Dopiero w tej chwili pułkownik spostrzegł, że tłum przestał obawiać się zbrojnych i zaczął napierać. Operatorzy szukali wsparcia i łypali spod tych swoich masek pełnymi wściekłości oczami.

Zdanіłow zaczynał rozumieć, że przesadził. Opierał się jednak, głuchy na

ponaglenia i poszturchiwania. Uściskał kilka rąk, zaskoczony tak entuzjastycznym przyjęciem, i co rusz usiłował wychylić się ponad tłum.

Wreszcie wypatrzył to, co chciał. Grupa ludzi przeciskała się bez pardonu przez ciżbę, zmierzając w jego stronę. Szli szybko, nie przejmując się odpychanymi na bok ludźmi, czy byli cywilami, czy weteranami. Jeżeli Zdanilow ich widział, to tym bardziej dostrzegły ich drony oraz snajperzy.

Zbrojni zrobili się bardziej nerwowi. Zaczęli brutalniej odsuwać ludzi wyrywających się poza szpaler tymczasowej ochrony.

– Dosyć – nakazał polski major i napał na niemałego przecież weterana.

Reszta zespołu ustawiła się przodem do nadchodzącego zagrożenia, chociaż uważano, że to może spaść z każdej strony.

Silna dłoń majora zacisnęła się na plecach Ukraińca i szarpnęła za materiał garnituru, ale Zdanilow zapał się z całej siły, nie chcąc, by wepchnięto go do auta. Opierał się sprawnie, udając, że ciągle macha i rozdaje uściski. Wojskowi przyciskali broń do ramion, powstrzymując się przed mierzeniem w tłum.

Ten zafalował z lewej strony. Ochrona trzymała się resztką sił i poddała się pod ciosami pięści. Zdanilow poznał prących ku niemu i wyrzucił dłonie w powietrze w spontanicznym powitalnym geście.

Stojący najbliżej żołnierz warknął ostrzeżenie do mikrofonu radia, gotów posłać serię ze swojego M4. Oleksandr mocnym gestem złapał za zamek oraz celownik i przycisnął w dół.

– Nie trzeba, synku... Swoi są. – Zabrzmiało podniosłe. Stary weteran był wzruszony.

Przez szpaler przedarła się grupka obszarpańców, bladych istot w nie najnowszych mundurach. Nie wyglądali na herosów, a jednak nimi byli. Tłum odstąpił, wycofał się. Ludzie patrzyli po sobie zdziwieni i zszokowani. Zdanilow witał się ze wszystkimi z tej dziwnej gromady. Ścisnął dłonie i tulił ich jak synów, z radości tłukąc każdego w plecy. Na zmizerowanych twarzach widać było strużki łez.

Polski major popatrzył na Grządeckiego, potem na resztę świty, już zupełnie niczego nie pojmując.

– To są... – Polski dyplomata złapał się za głowę. Zrobiło mu się zimno i zaszumiało pod czaszką. – ...jego ludzie. – Jego umysł wypełniły straszne wizje następstw tego spotkania.

Wśród tłumu rozszedł się szept: „Roboty...” – cichy, potem coraz głośniejszy, kiedy ludzie oswajali się z podniosłością tego spotkania. Nieśmiertelni, twardzi jak roboty opierające się rosyjskiej nawale, byli pośród nich. Ich dowódca wracał do kraju. Wracał do swoich żołnierzy.

*

– No dobrze... – Sierżant Wydziału Ruchu Drogowego powiatowej komendy policji podrapał się po mokrym policzku. W drugiej dłoni trzymał dokumenty przewozowe i zamówienie oraz zezwolenie wystawione przez Ośrodek Wczasowy „Lilia” w Helu. Krople deszczu po pierwszej w tym sezonie burzy płynęły po foliowym opakowaniu. – ...wygląda, że w porządku, panie Boss. – Angielski trzydziestodwuletniego podoficera był bez zarzutu.

Policjant wyciągnął rękę w stronę okna. Nie miał zamiaru kwitnąć w deszczu, doszukując się jakichś usterek i innych sposobów na mandat.

– Dziękuję. – Kierowca uśmiechnął się i sięgnął po dokumentację.

Sierżant przytrzymał pakiet, przez kilka sekund badając twarz szofera. Coś jednak było nie tak. Człowiek, którego widział, był o wiele młodszy, niż wynikało z dokumentów.

– Wie pan, jak dojechać? – zapytał Polak, kryjąc niezręczność chwili.

Kierowca wyszarpnął mu arkusze z dłoni.

– Tak, mam GPS. Tam prowadzi tylko jedna droga. – Zaśmiał się, odgrywając pocziwca. – Pięknie dziękuję. – Ukłonił się z rozbijającą wręcz uprzejmością. – Czy coś... Mogę jechać?

Funkcjonariusz otaksował ładunek – białą bryłę plastikowego domku. Gdzieś bliżej uderzył piorun i po okolicy rozeszło się dudnienie grzmotu. Naraz policjant zatęsknił za suchym radiowozem zaparkowanym pod drugiej stronie szosy.

Polak pokręcił głową, karcąc się w duchu za te omamy. Może to z przepracowania.

– Czas na urlop – powiedział do siebie i postawił wyżej kołnierz kurtki.

– Słucham?

– Wszystko dobrze, proszę jechać – nakazał policjant i zsalutował.

Wrócił do auta, zgasił niebieskie światła i odjechał, włączając się w nieco już większy ruch.

Szofer udał, że porządkuje papiery i rozkłada je po schowkach. Wziął do ręki

telefon, ale kiedy chciał wybrać numer, aparat zawibrował.

– Jestem, żyję – błaznował po rosyjsku. – Nic, zwyczajna kontrola. Tak, wszystko jest porządku. Chyba... – Był dobrym obserwatorem i długie spojrzenie gliniarza nie uszło jego uwagi. – Ryj pewnie za młody, na to trzeba uważać, ale... Do jutra da radę. Najwyżej się zwinę... – Przerwał, kiedy głos po drugiej stronie nakazał mu milczenie. Za długie rozmowy nie były wskazane. Nawet przez szyfrowane aparaty.

Kierowca odłożył telefon i zapuścił silnik. Nastawił głośniej radio i wsłuchując się w któryś z polskich przebojów, patrzył w lusterko. Włączył kierunkowskaz, dopiero kiedy gdzieś tam, w tyle między innymi autami, dojrzał czerwonego seata leóna. I jadących nim jego aniołów stróżów. ■

ROZDZIAŁ 4

Jeszcze wczoraj trema była obca Adamowi Thomalowi. Jeżeli kiedyś poczuł coś podobnego, potrafił to ukryć. Nerwy związane z nadchodzącą wizytacją próbował zamaskować, wyciskając siódme poty na siłowni czy przerzucając się starymi dowcipami z kumplami z policji albo operatorami od Kerca.

Tego poranka nie było jednak odwrotu. Stał przed niedużym lustrem w swoim pokoju, celebrując wręcz wkładanie munduru, w którym miał zostać odznaczony wraz z kolegami z Ukrainy i Polski za akcję przeciw gangowi przemytników ludzi.

Właściwie dopiero teraz zauważył, że cała ta szopka jest czystą polityką.

– Są lepsi, są, kurde, lepsi od ciebie – mamrotał, zapinając koszulę narzuconą na T-shirt i lekką kamizelkę kuloodporną. Zastanawiał się, czy wszyscy zebrani wokół prezydenta zostali wyposażeni w taki dodatek, czy tylko jemu go pożyczono.

Teraz czuł się malutki jak paproch. Przecież wielu miejscowych napociło się przy tej sprawie, żeby pokazać nowe oblicze budowanej tutaj na nowo policji. Mimo to ktoś wskazał jego, człowieka, który prócz ślęczenia na podsłuchach i wskazywania ukraińskim kolegom, co byłoby lepiej zrobić, jedynie poobijał się o ściany furgonetki w niemądrym pościgu.

Thomal zapiął koszulę, wygładził na brzuchu i zaczął wiązać czarny krawat. Przypomniawszy sobie, że już kiedyś robił coś podobnego, i to przed spotkaniem z tym samym człowiekiem. Wtedy jednak był spokojniejszy. Przejęty, lecz spokojniejszy. Tamtego dnia epatował szczęściem.

Na pustyni przeżył piekło. Miał go kto wspierać i wyszedł z tej cholernej przygody prawie bez szwanku, jak niemal wszyscy zakładnicy porwanego samolotu. Mógł się puszyć, kokieteryjnie zgrywać herosa patrzącego na życie z nadzieją. A teraz...

Poprawił węzeł pod kołnierzykiem. Był zadowolony z efektu. Uśmiechnął się sam do siebie, ale zaraz ten grymas zbladł. Nikt nie miał go oglądać. Przynajmniej na razie. Nie mógł się pochwalić rodzicom, Matyldzie ani żadnej „koleżance” z dawnych czasów czy chłopakom z Gdańska. Powinien walczyć z tymi swoimi celebryckimi ciągotami, obiecał to sobie, bo prawie wywróciły mu życie, i to nie raz. A mimo to pozostawał ciągle Adamem, który musiał rekompensować jakieś własne kompleksy.

Odwrocił głowę, odruchowo szukając telefonu. Nie miał go przy sobie. Aparat

leżał zdeponowany w bezpiecznym miejscu. Absolutna tajemnica obowiązywała.

Thomal westchnął. Chciałby tylko powiedzieć „dzień dobry” dziewczynie. Nic więcej. Nałożył kurtkę mundurową i zaczął zapinać guziki. Znowu zaczął szczerzyć zęby sam do siebie. *Ale z ciebie dziad... Ty się robisz cikliwy...* – pomyślał i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Sprawdził, czy nieco za duży mundur nie odstaje zanadto w miejscu, gdzie miał mieć kaburę. Wolał bardziej dopasowany uniform, ale to nie był dobry moment na rewię mody.

– Inne czasy, inne czasy – mamrotał, poprawiając krawat i patrząc w odbicie własnych oczu.

Miał stanąć przed prezydentem już bez tego spokoju i ulgi sprzed lat. Był gdzie indziej, w momencie historii na tyle niebezpiecznym, że z przyjemnością oddałby te zaszczyty komuś innemu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Adam drgnął jak wyrwany ze snu i wystraszył się, że ktoś usłyszał te jego pogawędki z samym sobą.

– Proszę – pozwolił grzecznie.

– Dzień dobry.

Kerc stanął w uchylonych drzwiach. Wyglądał na zmarnowanego albo niezadowolonego. Nosił się po cywilnemu. Ciemne, nieco szersze spodnie, koszula i jakaś nie najpiękniejsza marynarka. Adam uznał, że on i zespół tak będą dziś „występować”.

– Cześć. – Thomal skinął głową.

– Pan gwiazda gotowy? – zapytał Kerc.

Adam stwierdził prędko, że niezbyt reprezentatywna powierzchowność idzie w parze z równie kiepskim humorem.

– Wszyscy się schodzą. Jakaś godzina i... – Nie dokończył i nie zamknął drzwi.

Policjant złapał czapkę, sprawdził, czy zabrał wszystko, co ważne. Jak choćby polski dowód. Właściwie nie wiedział, po co mu on, i tylko jakiś diabełek podszeptał, że przyda się do „identyfikacji”. Odegnął takie pomysły, wściekły, że w ogóle przychodzą mu do głowy.

Wyszedł z pokoju i pognął za oficerem JWK.

– Jak tam wszystko? – próbował zagadnąć, niezrażony nastawieniem Kerca. Dowiedzieć się, choć sam nie miał pojęcia czego. Tak dla uspokojenia nerwów.

– Chujoza – stęknął niespodziewanie Kerc.

– Co? – Adam jakby nie dosłyszał.

– To, co mówię.

Porucznik stanął przy schodach. Thomał spostrzegł, że jego anioł stróż jest zmęczony. Niewyspany, może zresztą jechał już na jakichś środkach, które wydała mu armia na takie okazje.

– Pamiętasz, co mówiłem o łączności? No, to wczoraj przysły jeszcze ciekawsze newsy.

– Ten ukraiński pułkownik we Lwowie. – Adam starał się być elokwentny i nadażać.

– Tak, on też... Skubanego na rękach noszą... Dołączy do nas – mówił porucznik urywanymi zdaniem i patrzył na zegarek.

W pokojach na parterze zaczynał się harmider. Wydawało się, że wszyscy lokatorzy szykują się do wyjazdu.

– Do tego wszystkiego – Kerc ziewnął i potarł oczy – „wiewiórki” doniosły, że wieczorem granice z Rosją i ze zbuntowanymi prowincjami zaczęły przekraczać regularne pododdziały. Powtarzam: pododdziały. Nie musi to wiele znaczyć, ale jak widzisz wyrzutnie pocisków krótkiego zasięgu i kompanie T-72... – Bawił się tą ironią, z premedytacją strasząc Thomala.

Adam słuchał i czuł, że miękną mu kolana, a w gardle zasycha.

Musiał wyglądać co najmniej niemądrze, bo Kerc pierwszy raz tego poranka się uśmiechnął.

– Jak mówię, to nic nie musi znaczyć. Ale robi się stres, którego wolelibyśmy uniknąć... Amerykanie podesłali kilka F-35. Są w Rzeszowie, ale o tym to już internety huczą. Nie huczą zaś o naszym i tutejszym zespole. Ani o naszym wsparciu. Potrafimy coś jednak ukryć. Taka wisienka na torcie... Chociaż gdyby Moskał miał walnąć na ostro, to...

– To co? – Adam bardziej zagulgotał, niż zapytał.

– To dupa – powiedział wyraźnie Kerc i przeciągnął się. – Idziemy, pewnie czekają. – Nie chciał się wikłać w dalsze dyskusje.

Weszli do saloniku pełnego ludzi w mundurach, tych bardziej oficjalnych i tych polowych.

Wszyscy mieszkańcy kamienicy musieli wstać bardzo wcześnie albo w ogóle mało

kto kładł się tu spać.

Adam przywitał się z kumplami z jednostki. Wydawali się spięci jak i on, ale niemrawo zgrywali zuchów. Nigdy jeszcze nie stawali przed głową państwa, i to w takich okolicznościach.

– Wielka polityka, wielki, kurka, świat. – Roman uściśnął dłoń Thomala, błędząc wzrokiem gdzieś w dali. – My teraz ambasadorzy, panowie... Kto by pomyślał? – Kręcił głową, ziewając.

– No, byle Mareczka nie zapomnieli odznaczyć, on przy realizacji po tyłku dostał najmocniej... – Inspektor Gdula był w wojowniczym nastroju albo w taki sposób radził sobie ze zdenerwowaniem.

W saloniku przy pięknie odrestaurowanym kominku stał jakiś mężczyzna w garniturze. Był siwy, szczupły, powściągliwy. Weteran służby dyplomatycznej o bystrym spojrzeniu. Nosił się prosto i stał pewnie na ziemi. Obok kilku mundurowych z pasami objuczonymi bronią i ładownicami, funkcjonariusze SOP i paru nieznanym Thomalowi cywilów.

Kerc przywitał się z mężczyzną w garniturze.

Adam widywał tego człowieka w tym gmachu. Kłaniali się sobie, ale nie sądził, że to ktoś aż tak istotny. Facet zagadywał go czasem i wiele dyskutował z tym młodym Grzędkiem.

– Jeszcze jedna tajemnica meandrów szpiegowania? – rzucił komisarz półgębkiem do kumpli z kwaśną ironią.

– Nie wszyscy mnie znają, więc pozwolę sobie się przedstawić: Błażej Nomczyk. Reprezentuję Ambasadę RP. Jest mi niezmiernie miło powitać panów. Będę panów przewodnikiem i doradcą do spraw protokołu... – mówił ciepło i sympatycznie.

Adam i reszta słuchali z zainteresowaniem planu dnia. Czuli też niejaką ulgę, że ktoś inny weźmie na siebie myślenie i wskazywanie, co dalej mają robić i w jakim miejscu. Może ta forma zwracania się do, bądź co bądź, weteranów, była nieco infantylna i uproszczona, za to bardzo uprzejma.

– ...jest piąta dwadzieścia dwie. – Nomczyk popatrzył na zegarek. – Pora nieco straszna, ale muszą panowie wybaczyć. W tym wypadku wszystko musi być zgrane, ale i zabezpieczone marginesem czasu, tak na wszelki wypadek. Za około godzinę, tuż po śniadaniu, zostaną panowie przewiezieni do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Ukrainy. Tam wszystko objaśnię.

Mężczyzna nie tracił obycia ani miłego usposobienia nawet na moment. Thomal patrzył i słuchał przemowy artykułowanej z nienaganną dykcją. Facet imponował mu tą nieskazitelnością, był niczym lord z angielskiego filmu.

– Jeżeli zaś chodzi o przedstawicieli mediów – ciepłe, arystokratyczne spojrzenie padło na policjantów i zatrzymało się na chwilę – to proszę się nie obawiać.

Tak, Nomczyk zwracał się wprost do Thomala, chyba poinformowany o obawach jego i kolegów przed ujrzeniem swoich twarzy na zdjęciach.

– Zapewniamy, że ich działania będą przez stronę polską, jak i władze Ukrainy należycie kontrolowane. – Dyplomata odwrócił głowę i upewnił się, że Kerc i oficer SOP go słuchają. – Mówiąc wprost, przekaz medialny będzie bardzo ograniczony i zależny od naszych środków. Ponadto będzie opóźniany. – Te ogólniki niewiele tak naprawdę wyjaśniały. – No dobrze, to chyba... – Mężczyzna klasnął w dłoń. – A, przepraszam – przypomniał coś sobie, kiedy niektórzy byli już gotowi się rozejść. – Są pewne zmiany w harmonogramie w związku z wydarzeniami ostatnich godzin... – Brzmiało to enigmatycznie, a przez to niepokojąco. – To już do osób zainteresowanych, że tak powiem, w podgrupach...

Ciepłe spojrzenie znów omiotło Adama. Thomal wspomniał panią Barbarę z lekkim żalem, że to nie ona tak się w niego wpatruje.

– Dziękuję panu – zakończył odprawę Kerc. – Zapraszamy na śniadanie. – Wskazał dłonią wyjście. Potrafił być równie grzeczny, co przedmówca.

Adam wyrwał z miejsca, odwzajemniając służbowo niebezpiecznie miły uśmiech Nomczyka, który udawał się do jadalni.

– Jakie zmiany? – Thomal zapytał Kerca wprost. – Co się wyprawia? – Spokój sprzed chwili gdzieś się ulotnił.

– Mówiłem ci. Rosjanie coś szykują albo straszą. Ponadto... – Oficer urwał nagle, świadom, że nie wolno mu mówić wszystkiego. – Spotkanie w MSW zostanie przesunięte w czasie. Prezydent chce zobaczyć się jak najprędzej z tutejszym atamanem... – ironizował. – Sprawy są palące, zwłaszcza w obliczu ruskich posunięć i objawienia się nowego męża opatrności we Lwowie. Miejscowy „pierwszy” nie chce się widzieć ze Zdanilowem. Chyba się obraził, że takie coś wymyślił... Odwołać wizyty nie może, bo potrzebuje wsparcia. Stąd te wszystkie ceregiele z mediami. To dla naszego i twojego bezpieczeństwa, ale i na wypadek, gdyby ładnie w telewizorku nie wyszli. No i powiem ci... – pochylił się w dyskrecji – ...

Amerykanie naciskali. Na samą wizytę, a i pomysł z tym Zdanilowem bardzo im się spodobał. – Mrugnął dziwnie okiem. – Tyle ci potrzeba, resztę znasz. Prościzna. Lecisz do brygady, później do Odessy. A stąd – wskazał na podłogę – nasi i jankesi będą nas pilnować. – Uniósł zaraz palec i pokazał sufit, dając Adamowi do zrozumienia, że obserwacja całego tego zamieszania będzie solidna. – Moje orły już czatują na lotnisku. Napiję się kawy i jadę do nich, a ty czekasz na medale... No. – Kerc podszedł do drzwi. – Bez nerwów. Będzie w porządku.

Adam nie wiedział, czy facet przekonuje jego, czy siebie samego. I myślał intensywnie, co właściwie porucznik jeszcze wie, a o czym nie był łaskaw powiedzieć. *Jeszcze trochę i wszyscy zmienią się w pierdolonych dyplomatów* – pomyślał Thomal i poszedł na śniadanie.

*

Prezydencki samolot zbliżał się do Kijowa. Okrojona do minimum delegacja siedziała w fotelach, sposobiąc się do nadchodzącego lądowania. Niektórzy drzemali, jeszcze inni próbowali postawić się na nogi mocną kawą roznoszoną przez urocze, uprzejme stewardesy.

Tylko bliżej „centrum”, w saloniku nastroje były dalekie od znużenia. Zasiadali tam prezydent, ministrowie Nikomski i Waligóra. Siwowłosy minister spraw zagranicznych, który zajmował miejsce tuż obok, po drugiej stronie, też był strapiony, ale niejako pełen satysfakcji.

Minister Waligóra próbował łączyć się wpierw z premierem, później z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego i Ministerstwem Spraw Wewnętrznych – bezskutecznie, być może ze względu na porę albo na procedury lądowania, zgodnie z którymi używanie nawet łączności satelitarnej mogło narazić maszynę i pasażerów na szwank.

– No to jesteśmy w dupie... – Prezydent podparł brodę o dłoń i palcami gładził kącik ust. Przez okienko spoglądał na woal chmur, przez który już przebijały widoki pól i pierwszych miasteczek. – Zabójcza pora, zabójcza pora na wizyty... – sarknął po cichu.

Intensywny plan spotkań niósł pewne niedogodności. Ale tego właśnie wymagał tak trudny moment.

– Między młotem i kowadłem. – Szef MSZ nie chciał być niemiły, ale tak został odebrany.

– Dokładnie – potwierdził Nikomski, patrząc na niego wzrokiem wściekłej żmii tuż przed atakiem. – Teraz trzeba podjąć decyzję – obwieścił.

– Bo co, ja tego nie wiem? – Prezydent wyprostował się i podparł łokciami o stół, marszcząc brwi. To on tutaj decydował.

Wojciech Nikomski opuścił głowę w pozie kajającego się człowieka.

– To przecież nie musi mieć żadnego związku... – „Pierwszy” sam nie wierzył w to, co mówi, ale musiał spróbować.

– Jeżeli go znaleziono... i to teraz – palec Waligóry idealnie pionowo stukał w blat – to nie ma tu przypadków. Służby już dostały pierdolca i nie mamy się co oszukiwać. Pytanie jest proste: odwołujemy czy brniemy dalej?

Każdy zapewne miał swoją opinię na ten temat, ale decyzję mógł podjąć tylko jeden. Teraz cała uwaga skupiała się na głowie państwa.

– Powtórka z rozrywki? – Kąciki ust drgnęły w krótkim przyływie czarnego humoru, prezydent zaraz jednak tego pożałował.

Samolotem zatrzęsło. Jakieś przedziwnie nieprzyjemne zimno przeszło politykowi po plecach, przed oczami zrobiło się czarno. Samo wspomnienie było obrzydliwe, ale nic nie mógł na to poradzić, tamta sytuacja sprzed lat nasuwała się sama.

– Facet się powiesił... – prezydent powtórzył cicho słowa, jakich użył Nikomski, by obwieścić mu straszną nowinę. – Jak tamten... To inne czasy, inne miejsce... Nie wierzę. – „Pierwszy” odganiał strachy. – Śmierć urzędnika nie może krzyżować naszych planów... – Starał się być stanowczy.

– Jednak ten Wicki był za nie współodpowiedzialny – siwy szef MSZ robił się kategoryczny – przynajmniej od strony technicznej.

– Ale zapewne nie wiedział wszystkiego... – oponował prezydent, choć bez przekonania.

– Być może tak, być może nie... – Minister tylko wzruszył ramionami, nie mając ochoty na głębsze spory o tej porze.

Prezydent zerknął na zegarek.

– Nie, to byłoby... – głośno myślał. – Lądujemy i zbieramy informacje, może od północy pojawiło się coś nowego. Bo jeżeli ta tragedia to jednak prowokacja, pretekst, żeby zatrzymać to wszystko... Amerykanie nie będą zadowoleni, za wiele to wszystkich kosztuje, aby teraz odpuścić... – Znow patrzył przez okno na ukraiński krajobraz. – Mnie się to nie podoba – pozwolił sobie na szczerość, a ta nie była teraz

wskazana – ale chyba o to chodzi, żeby swoje lęki przewyciężyć. Za to nam płacą, do licha ciężkiego... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Rejterada... – mruknął Nikomski nie wiadomo do kogo, ciągle patrząc pod stół.
– Tak, to może być cel tego zamieszania. Choć jeżeliby się porwali na taki gest, to gruba sprawa. Niespotykana. Nawet jeśli ta jebana wojna tylko się tli, to swoich poza pewną granicą nie ruszamy.

– Nie ma dowodów. – Szef MSZ poruszył się w miejscu. Teraz dla odmiany wcielił się w adwokata diabła. Chciał być obiektywny, choć nazwy tego diabła bał się wymówić. Wszyscy się bali, chociaż wiedzieli, o kogo może chodzić.

– Tu już nawet nie wiadomo, która strona bruździ... – Waligóra rozmyślał ewentualną odpowiedzialność. – Paru osobom na kontynencie ta cała ekskursja też nie przypadła do gustu.

Zdjął okulary i zaczął szukać w kieszeni chusteczki do ich wytarcia.

– Nie, naprawdę, panowie. Proszę! – Szef MSZ plasnął w swój stół, aż obudził kilku swoich przybocznych. – Bez takich. To niebezpieczne snuć podobne teorie w takim momencie – obruszył się.

Prezydent patrzył na starszego pana, zastanawiając się, kto właściwie go nadał do rządu i dlaczego musi z nim współpracować. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, czy nie podeliberować z premierem o dymisji, jak to wszystko się zakończy.

– Teorie... – Nikomski uniósł kącik ust w kpiącym grymasie. – Ech. – Zatrząsał się z hamowanego podenerwowania. – To nie teorie spiskowe rządzą tajnym światem, ale ich praktyka, panie ministrze – mówił z przekonaniem, nie patrząc na byłego kolegę z rządu. – Natomiast zazdrość to nieładna cecha.

– Coś pan sugeruje? – Minister pochylił się, chcąc lepiej słyszeć dalszą część.

Nikomski wymienił spojrzenia z szefem i odpuścił sobie dalsze podjazdy.

– Nie, absolutnie nic. – Poprawił się w fotelu. – Przepraszam. – Ukłonił się.

Ścieranie się w tej najmniej odpowiedniej chwili wysłałoby z nich tak potrzebną wszystkim energię na darmo. Swoje jednak wiedział. Po pierwsze, siwy minister był wściekły, że prawie rozniesiono dorobek jego wielomiesięcznych przygotowań. Po drugie, nieodpowiedzialne pomysły popierane lub wspierane przez Waszyngton o mały włos nie doprowadziły do zerwania rozmów. Wylansowanie człowieka, który pojawił się na terenie Ukrainy jako nieproszony gość, obruszyło cały kijowski establishment. Minister wiedział, że to do niego będzie należało łagodzenie tych

nieporozumień, i nie był wielce rad z tego powodu.

Brzęczek obwieścił komunikat kapitana, który zameldował, że samolot zacznie podchodzić do lądowania za około pół godziny. To uspokoiło rozgrzane niedobrymi wieściami głowy.

Prezydent zebrał rozłożone kartki z zapisem jednego z przemówień i jakby nigdy nic zaczął je raz jeszcze pobieżnie sczytywać. Jego uwaga uciekała jednak od linii tekstu. Patrzył co rusz w dół przez okno i wyczekiwał lotniska. *Może przesadziłem?* Zaczynał rozważać, czy aby podkręcenie zwykłej roboczej wizyty i prób mediacji nie było za daleko posunięte. *Pułkownik... Nie trzeba było go posyłać* – przez głowę przemknęła mu kolejna niewygodna konstatacja. Wracił myślami do pełnej pasji rozmowy z tym zgniecionym przez życie ukraińskim oficerem. Odważnym i przy tym myślącym człowiekiem. *To ich tak zdenerwowało?* – padł trzeci wniosek w umyśle poddającym się stresowi i adrenalinie.

Marszałek sejmu – pomyślał prezydent ni stąd, ni zowąd. Uznał nagle, że szefowa izby niższej powinna być lepiej poinformowana, gdyby coś miało się wydarzyć.

Grdyka prezydenta zafalowała. Odrzucił papiery na stół. Nie chciał takich spostrzeżeń. *Będzie dobrze* – mówił sobie raz i drugi, bezwiednie przybierając hardą, zaciętą minę.

– Kiedy tylko wylądujemy i będzie łączność – nie odrywał wzroku od ziemi – proszę uprzejmie połączyć z panem ministrem... – wyznaczył szefa MSW. – Pan premier wybaczy, że wchodzę w jego struktury. Taki czas... Potem zobaczymy. Jeżeli Kijów lubi się obrażać, i to w takiej chwili, okej... – Odchylił głowę na oparcie. – Poczekają sobie.

*

Doktor był perfekcjonistą. Lubił to, co robił, choć od pewnego czasu to zajęcie okrutnie wysysało z niego siły witalne. Mimo wszystko starał się, jak mógł. Była to kwestia zasad i poczucia obowiązku.

Tym razem też był zadowolony ze swojej pracy. Przynajmniej na tym etapie.

Miejsce, a dokładniej miejsca, wybrał doskonale.

Stał przy swoim czarnym mercedesie, ubrany w bojówki i krótką wypłowiałą kurtkę, i popijał kawę z blaszanego kubka.

Jego ludzie, a właściwie podwładni Saszki Szycłowa, wypakowywali cały

powierzony im sprzęt. Wszystko w ciszy i niejakiim skupieniu. Ostoję leśną obstawiła pierwsza grupa – rozwiędzczy, którzy dotarli tu poprzedniego wieczora. Mieszanka ekipy Wasilija i przybyłych. Rozpoznali drogi podejścia, zabezpieczyli teren, choć nie było wiele do roboty.

Tak jak Doktor przypuszczał, nikogo tutaj nie interesowali. Podobnie jak wszystkie te grupki, które najechały co większe miasteczka w okolicy. W kraju coś się zaczynało ruszać, a przy wszelkich niepokojach ludzie skądś uciekali, dokądś jechali. Obojętne, znudzone społeczeństwo niewiele sobie robiło z czegokolwiek, co nie dotyczyło jego własnego interesu.

Doktor napawał się chwilą, choć robił to tylko z przyzwyczajenia, przyrodzonego zmysłu obserwacji albo woli zarejestrowania wszystkiego i opisanie w pamiętnikach.

Pamiętnikach? Zaśmiał się w duchu. Czegóż takiego nikt nigdy nie pozwoli mu napisać. Zapewne podświadomość kazała mu zapamiętać tę ostatnią – jak chciał wierzyć – robotę.

Dopił kawę i nakręcił kubek na termos. Wrzucił go na siedzenie przez okno i podszedł do bagażnika. Jego trzech aniołów stróżów kończyło babrać się ze sprzętem. Dopinali ładownice i wsuwali w nie pełne magazynki. Broń też była przygotowana: kilka wygłuszonych karabinków A-545 z krótkimi teleskopowymi kolbami.

Doktor dźwignął swoją kamizelkę, narzucił na koszulę i zapiął rzepy. Przy swojej budowie prawie nie czuł ciężaru pancerza. Złapał słuchawki, lekki hełm i radio. Wyciszony karabinek AK-9 wziął do drugiej ręki i nieśpiesznie, jakby szykował się na pospolite polowanie, poczłapał do ciemnego terrano.

W tym nie najmłodszym i nie najpiękniejszym aucie zasiadał Saszka. Też był już gotowy i bardzo przejęty. Siedział z tyłu bokiem, z głową na oparciu fotela, podglądając, co tam na ekranach widzi jego zespół obserwacji.

– Działa toto? – Wasilij wskazał lufą broni na cały ten majdan komputerów, urządzeń kodujących i anten rozstawionych wkoło na ziemi. Chciał zażartować, ale młodzież przy technice nie bardzo wiedziała, jak zareagować. – A, przepraszam. – Wielkolud udał, że się kaja.

– Młodzi, przejęci... – Sieska machnął głową w ich stronę.

– Mamy wszystko, co? – dopytywał Doktor, obserwując, jak dwóch ludzi taszczy granatniki na pozycję blokującą.

Mężczyzna obsługujący komputer w panczernej walizce skinął głową. Wyglądał jak budowlaniec, który zaraz ma włączyć na rusztowanie. Spodnie z kieszeniami – pierwotnie na narzędzia – teraz kryły dodatkową amunicję, ale i zapasowe akumulatory do tej całej maszynerii. Chłopak, a właściwie mężczyzna był zaabsorbowany swoją pracą, tak samo jak kilku jego pomagierów. Wyraźnie ciągle nie obywał się z warunkami w polu.

– Przejęci – szepnął Doktor, puszczając oko do Szaski. – Dobra... – Weteran w jednej sekundzie potrafił zgubić gdzieś to luźniejsze podejście. – Czasu brak! Sytuacja na teraz – rozkazał oschle i pochylił się nad ekranem. – Mamy wąskie okno do wykorzystania. Szybko nas wykryją?

Operator włączył mapę okolicy z zaznaczonym na czerwono celem.

– Robimy wszystko, by nie – zapewnił solennie. – Jesteśmy w oddaleniu, nieco ponad trzydzieści kilometrów, nie powinni nas nękać. Ale wiecie, że to daleko i blisko zarazem. Dystans daje większe szanse na precyzyjny strzał. – Wskazał palcem okrąg na ekranie. – Póki trzymamy dyscyplinę radiową, jest w porządku. Na pewno prędzej czy później dojdą do źródła natężenia sygnału i przechwycą kodowane meldunki. Ale i inne pogaduszki, bo na pewno nie zadziałamy sami. Tak więc... – wreszcie podniósł głowę i spojrzał na obu dowódców – ...jak najdłużej musimy być cicho.

To wszystko były oczywistości.

– Co do pozycji głównej... – specjalista gładko przeszedł dalej. – Czasu jest niewiele, ale dobrze ją wybraliście. – Uznanie dla zdolności i doświadczenia Doktora nosiło znamiona niegrzeczności. – Żadnych wsi po drodze. W ogóle wszystko pozostawiamy z boku... – Znów wskazał na ekran.

– Staralem się – fuknął Wasilij. Wiedział, jak planować. Rzeczywiście, prócz kilku sennych wiosek na miejscu dawnych kołchozów w pobliżu miasteczka... nie było specjalnie tłoczno. Gdyby nawet ktoś się napatoczył, to nie próbowałby zadzierać z taką liczbą uzbrojonych ludzi. – Trochę się z nami pomęczą...

Doktor spojrzał za siebie. Podwładni maskowali pojazdy grubymi siatkami, które miały choć trochę ukryć bryły metalu przed nowoczesną technologią. Wszyscy tu znali możliwości analizy wspartej kosmicznymi systemami. Programy komputerowe pozwalały wydzielić z krajobrazu nie tylko ciepłotę ludzkiego ciała, ale i każdy najmniejszy skrawek metalu. Zbiorowisko maszyn, nawet w takiej odległości od celu, musiało przyciągnąć uwagę.

– Transport? – zapytał Saszka.

Teraz na informatyku skupiały się dwa palące spojrzenia.

– W gotowości, ale... daleko. Potrzebują czterdziestu minut do godziny, żeby dotrzeć. Więc na granicy sukcesu – ledwo wykrztusił.

– Jak się zacznie, w chaosie będzie łatwiej. – Doktor zachował pozytywne podejście. – Zespół Terminal II ma ten chaos rozbuchać, jak się da...

Saszka gryzł wargę.

– Ale kiedy cel zostanie po mordzie, zacznie się szukanie, a wtedy spuszcza wszystkie psy i... pozostałe zespoły.

– Przecież wiesz, że nie miało być łatwo. – Wasilij zacisnął dłonie na karabinku. – Przy takim ciężarze gatunkowym...

Nie chciał mówić nic więcej. Zbyt wielu wkoło nadstawiało uszu. Po co miał straszyć chłopaków, że zaraz, za kilka godzin wybuchnie tu piekło, a oni byli jak wyspa na oceanie.

– Przecież my tylko do osłony – powiedział głośniej kulawy i wysiadł z wozu. Tak to miało wyglądać dla tej czeredy zbrojnych, którzy obsadzali zagajnik. – Słyszycie?! To wielki dzień! – rozpoczął bojową przemowę do rozstawionych półkolem żołnierzy. Saszka brał na poważnie rolę dowódcy. – To będzie majstersztyk i wielka sprawa! Będzie tak, bo tu jesteście wy! Dobrani, najlepsi! Doświadczeni i ostrzelani jak mało kto! – kadził, co rzadko mu się zdarzało nawet wobec wytrawnych specjalistów. – Nie zawiedziecie! Wykonacie zadanie, które przejdzie do legendy! Potraficie takie cuda! Ruszymy na pozycję główną... – zaczął powtarzać plan – ...w ugrupowaniach sekcji. Osłonimy grupę uderzeniową i dopilnujemy, by nikt jej nie przeszkodził. Potem odbój. Mamy transport, mamy wsparcie i najlepszą technikę. Nasi ludzie zadbają, by nieprzyjaciel został zajęty na długo!

Jego słowa odbijały się od gęstwiny. Nikt inny nie odważył się wydać najmniejszego dźwięku.

Sieska przerwał, szukając u Wasiiliija jakiejś podpowiedzi, ale ten nie chciał zabierać głosu. To Szyłow był tu dowódcą, zesłanym w ten step, odpowiedzialnym za wszystko. Także za to, by pilnować jego, starego Doktora, którego ktoś spisał na straty. A może i dawał mu ostatnią szansę.

– Teren jak? – Kulawy Szyłow trącił młodego przy ekranach.

– Wygląda, że w porządku, nic nie kombinują. – Chłopak zmarszczył czoło. –

Można by było dokładniej, ale nie puszczaamy dronów, żeby się nie zdradzić. Jak ustalone...

– Coś na łączach? – Dowódca szturchnął klęczącego przy innym urządzeniu operatora ze słuchawkami na uszach, wpatzonego w kolorową plataninę linii.

– Głośno, bo czekają gości, ale o nas... nic.

Szycłow ostatecznie uspokoił nerwy.

– Słyszeliście, chłopaki! – krzyknął nieco weselej. – Czas na nas! – Poprawił broń przy pasie i przycisnął bliżej kamizelki. – Cisza w eterze. Idziemy blisko, póki co sygnały ręczne. Dziadek Mróz odzywa się tylko do mnie i tylko w nagłym wypadku.

Skinął na facetów, których zostawiał z niewielką obstawą przy autach. Nałożył słuchawki z mikrofonem i sprawdził, czy są podpięte do radiostacji w ładownicy.

– Brać graty – nakazał, wskazując sześć pakunków wielkości sporych, szerokich plecaków, z plastikowej tkaniny.

Ludzie pomagali zakładać ten ciężar pierwszym wyznaczonym. Brali ich broń i dodatkową amunicję. W ogóle chłopaki objuczały się jak na małą bitwę, a nie szybkie i precyzyjne uderzenie.

Saszka podszedł do Doktora i mocno uściskał mu dłoń. Patrzył głęboko w oczy przyjaciela, naprawdę wzruszony i cikliwy, jak przed każdym takim wyjściem. Wasilij szukał w tym spojrzeniu jakiejś podpowiedzi, planu na niedaleką przyszłość. Czy przeżyje, czy tamten będzie miał litość? Czy ktoś wyżej się ulituje?

Zamiast tego padło tylko krótkie:

– Pobawimy się, nie?

Obaj uśmiechnęli się słabo i niezbyt szczerze.

Grupy ludzi szły prędkim krokiem, który zaraz miał zamienić się w bieg, w stronę przesieki, by kryć się w lesie, jak długo się dało. Mieli zająć pozycje jakieś pięć kilometrów na północny zachód, tam, gdzie czekali już ich zwiadowcy.

Dalej na wschodzie, gdzieś za przetykanym lasami i płaskimi pagórkami stepem, było miasteczko Kropywnik, wkrótce mające się stać najważniejszym miejscem w obwodzie kirowohradzkim. Jak i w całej Ukrainie.

*

Jednostka dowództwa 31 Brygady Lekkiej wchodziła w nowy dzień z rwetesem, który wybrzmiewał od bladego świtu.

Pułkownik Igor Popraw dozorował wszystko w tej swojej odmienionej jednostce z wnętrza Humvee, którym kazał się wozić od magazynów po okolice głównego placu apelowego, i tak w kółko. Wszędzie, gdzie do ostatniej chwili trwały przygotowania. Objężdżał miejsca, gdzie ulokowali się amerykańscy „ochroniarze” generała Waltera Logana, który miał wizytować sztab wraz z prezydentem Polski. Ci goryle, obsiadający najgorsze dziury w bazie, mieli nie rzucać się w oczy, nie nosili mundurów i przywieźli z tonę aparatury, dronów oraz wszelkich nowości służących do pilnowania terenu. Byli z Combat Applications Group czy, jak kto wolał, z Delty. Popraw, podobnie jak dowództwo w Kijowie i Odessie, pogodził się z faktem, że to tamci praktycznie przejmują ochronę wydarzenia.

Pułkownik miał dopilnować strony organizacyjno-technicznej, tak by wszystko zagrało i pokazało na zewnątrz, że armia może się zmieniać, budować swoje jednostki od nowa, ale i zachować dyscyplinę w czasie niepokojów w kraju. Toteż Popraw pokonywał te kilometry, a wraz z nim niewielki sztab i kilku doradców.

Kawalkada zatrzymała się tuż obok jednej z bram, przy wysokim betonowym murze. Wartownik przy dyżurce wyprężył się, jakby już witał dostojnych gości. Popraw oddał niedbale honory. Obejrzał sobie chłopaka odzianego w nowiutki mundur polowy, hełm i kamizelkę taktyczną. Wszystko w piaskowo-zielonym kamuflażu stworzonym z niewielkich pikseli.

Robert „Mucha” przystanął obok dowódcy i złapał się pod boki.

– Jada? Pewnie tak. – Ziewnął. – Biedy u was nie ma...

Wyciągnął brodę w stronę wartownika, po czym spojrzał na swój miejscami lekko wytarty, używany na poligonach mundur – zieloną polską „panterę” wz. 2010.

– Biedy nie ma, Robercik. Nie ma – mówił cicho pułkownik, prawie stając na palcach, zainteresowany bardziej tym, co dzieje się na drodze.

Popraw przez moment zastanawiał się, czy i jego jednostki nie obejmie fala zainteresowania biznesem. Czy wojsko, skoro otrzymało już tak wiele, nie puści tych ubiorów na sprzedaż w Internecie, jak się to powszechnie robiło z prawie całą pomocą materialną. *Niedoczekanie* – przyrzekał sobie po raz kolejny, choć pilnowanie szacunku dla „prezentów” było męczące. A przecież wkrótce miało ich przyjść jeszcze więcej.

– A i tak wyglądamy jak z żurnala... – Mucha wtrącił staromodne powiedzonko.

Miało być zabawnie, ale ukraiński oficer się nie śmiał. Zawsze w chwilach

napięcia zamykał się w sobie i skupiał na zadaniu.

– Ciężki dzionek się szykuje, ale damy radę – Mucha, pojmując, co męczy kolegę i przełożonego, próbował go jakoś pocieszyć.

Popraw nie odpowiedział. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Wyczekiwał tego, co miało jeszcze podnieść zdolność jego jednostki. Jego dziecka – dosłownie – i dzieła służbowego życia.

Za bramą pojawił się błyskający kogutami łazik. Ktoś wyszedł ze stróżówki sprawdzić papiery. Szybko wrócił, kiedy z okien jadących z tyłu ZiŁ-ów wychyliły się głowy w niecodziennych jak na ukraińską armię hełmach.

– Chłopaki Willy’ego. – Robert błysnął zębami. – Dali radę i przypilnowali! – Nie krył podziwu.

– Tak, na ostatnią chwilę... – Popraw bezceremonialnie spojrział na zegarek. – Dwa auta wyrzutni i amunicji. Jak zdążymy to wszystko wyeksponować, to będzie cud – dopiero teraz dawał upust irytacji. – Jak ja dorwę tego hamburgera... – Zacisnął pięść.

– Spokój, Igor, spokój – podpowiadał dobrotliwie Krawiec. – Obiecali i masz. W relacjach w telewizji będzie ładnie, a rozłożycie gdzie bądź. Mówili, że trudno wygrzebać tyle Javelinów ot tak... A my jeszcze na końcu świata... – Warkot silnika wielkiej ciężarówki zagłuszył słowa.

Popraw wyrwał przed siebie, by zablokować przejazd. Wymachiwał dłońmi, coś wykrzykując do żandarmów w łaziku. Robert domyślił się, że rozkazuje jechać za nim.

Polak usiłował odgadnąć, czy Amerykanie siedzieli tylko przy kierowcach, czy pod plandekami też jacyś się kryli.

Od północy nadciągnął głośny łoskot łopat i momentalnie zerwał się wiatr.

– Ich wsparcie... – Robert zmrużył oczy, krzycząc do ludzi w autach, kiedy ponad murem i najbliższymi budynkami przeleciał nisko czarny Blackhawk MH-60.

– Mucha! – przekrzykiwał hałas szef sztabu. – Wiem, co to, nie szpanuj. – Machnął ręką zza szyby Humvee. – Będzie ich, kurwa, więcej.

– Taa... – Robert patrzył, jak maszyna siada gdzieś za budowlami. – Zaraz tu będzie w ogóle jak w Ameryce... Nie – poprawił się – jak w jakimś Chicago. Amerykanie i nasi...

*

Z przyjemnej drzemki, w którą wpędziło Kamila „Monsignore” potworne zmęczenie, ale również cicho szumiący system wentylacyjny i maszyny zagłuszające, wyrwał mężczyzną trzask otwieranych drzwi.

Obudził się, ale miał nadzieję, że to stan przejściowy. Że pozwolą mu spać jeszcze choć pięć minut.

– Panowie. – Spokojny głos nie dawał jednak na to szansy. Ktoś trącił Polaka w ramię. – Wasza kolej.

Siwy oficer szwedzkiego kontrwywiadu stał nad oboma Polakami. Był równie nieświeży, jak i oni. Świadczyły o tym dobitnie koszula z podwiniętymi rękawami, rozpięty kołnierzyk i blada twarz z cieniami pod oczami.

– Jeżeli chcecie, oczywiście.

Wiadomo było, że nie spodziewał się negatywnej odpowiedzi. To wymusiłoby poszukiwanie innego zespołu do kontynuowania przesłuchania, a on potrzebował po prostu małej przerwy.

– Tak jest, idziemy... – Kapitan Bratnowski wstał. Odpowiadał w tym momencie za dobre kontakty z cichym sojusznikiem, toteż prezentacja siły woli i pracowitości musiała być na pierwszym miejscu.

Kamil ziewnął i się przeciągnął. Łupało go w krzyżu i pod łopatkami od spania na twardym krześle, choć pewnie kilka lat służby w Formozie miało o wiele większy wpływ na te dolegliwości.

Przeszli korytarzem, szarym jak każdy element tej podziemnej instalacji. Niepozornej, skromnej, by nie powiedzieć – prawdziwie skandynawskiej w formie. Jak wszystkie budowle finansowane z publicznych funduszy.

Śluza bezpieczeństwa w postaci drzwi na czytnik i kamery. Pokój specjalny, drugie pomieszczenie z ekranami i czytnikami czujników umieszczonymi w pokoju przesłuchań. Tego pomieszczenia broniło kilku mężczyzn ubranych na czarno, z długą bronią w rękach.

– Łamie się, mówi płynnie...

Zasiadający przy jednym z ekranów człowiek o równomiernej, kanciastej twarzy, w okularach z grubymi oprawkami, kliknął coś i puścił nagranie z ostatnich kilku godzin. Grubas chwiał się lekko na krześle i mówił. Niezbyt wyraźnie, ale gadał.

Potężna dawka chemii w połączeniu ze zmęczeniem rozwiązywała język. Sińce na twarzy po pierwszym zapoznawczym spotkaniu były ciągle wyraźne, nowych jednak nie trzeba już było robić.

Polacy słuchali uważnie ostatnich zdań bełkotanych po rosyjsku.

– Mają fart... – powiedział Kamil do oficera półgębkiem po polsku.

Bratnowski tylko kiwnął głową. Założył ręce na brzuchu i podparł głowę o dłoń.

– Cholernie ciekawe zdarzenie i cenne źródło. Tylko co nam z tego? – Pokręcił nieznacznie głową, wpatrując się w obraz grubasa na ekranie.

– Płacą za słuchanie takich, to słuchamy... Też mamy fart, że go dopadli. Zawsze to osobowe źródło... – dopowiedział Monsignore.

Dla niego było to ciekawe. Choć fakt, wolałby wysupłać coś o własnym podwórku.

Cała ta historia o siatce – kolejnej zresztą – podległej GRU i wszelakich hybrydowych działaniach w Szwecji nie bardzo go obchodziła. *Powtórka z rozrywki* – powtarzał sobie przy każdej dłuższej wypowiedzi grubasa. Tylko nieskładny wątek ukraińskiej organizacji, którą stworzono jako „fałszywą flagę”, był zajmujący i mógł przekładać się także na warunki polskie. Ale nawiązań do kwestii nadwiślańskich nie było.

Tamten opisał zasady rekrutacji młodzieży na podstawie ich nacjonalistycznych przekonań i mamienie ich jakimiś ważnymi zadaniami. Mieli to być głównie uchodźcy albo dokładniej imigranci zarobkowi. Zazwyczaj nielegalni, których i tu, w Szwecji, pojawiało się coraz więcej. Gdyby nie upośledzające wręcz zmęczenie, Kamil byłby gotów odtrąbić sukces i puszyć się jak paw. Jego teoria o fałszywej bojówce zdawała się potwierdzać. W tej chwili miał to jednak absolutnie gdzieś.

– Skrócę... – Operator przy komputerze łaskawie się zlitował. Wziął łyk zimnej kawy i zaczął referować po angielsku: – Był odpowiedzialny za ten transport, który przejęliście... – Szwed skinął uprzejmie głową, chyba na znak szacunku dla morskich komandosów. – Nasz Lońka czy też raczej Wadim uważa, że go wystawili. Nie wie dokładnie dlaczego, ale sądzi, że przestał być potrzebny. Że dla większego celu udupia się nawet takich oficerów jak on.

– Więszego celu? – Bratnowski coś już rozumiał, zbyt dobry był w te gry, ale wolał dopytać.

– No, ciekawe, nie?... – dorzucił gdzieś z boku jeszcze jeden młody Szwed. Na szczupłej twarzy pod blond czupryną widać było zaintrygowanie.

Przygoda, to dla ciebie przygoda, gnojku – zdenerwował się Kamil, ale nic nie powiedział.

– Cały transport szedł normalnie... – kontynuował pierwszy informatyk – ...nagle uderzenie. Przejmujecie fracht i ziemia zaczyna im się usuwać spod nóg... Wystawili go. Może nawet w swojej strukturze oficjalnie obarczyli go winą, żeby psy gończe wiedziały, po co go tropią. Biedak nie wiedział tego od razu. Choć pewnie przypuszczał. Mieli go ewakuować, mimo że za utratę ładunku i tak by odpowiedział. Tłumaczyłby się, na pewno. Dopiero kiedy przysłali tego dzieciaka... No, tego, którego zatrzymała policja po meldunku...

– Meldunku – Kamil nie mógł się opanować i fuknął z niesmakiem. *Każdy na każdego tu u was donosy śle*. Zatrzął się, ale tego już nie powiedział głośno.

– Akcja w Borås – Szwed mówił dalej – przekonała Wadima, że to większa rozróżba. Chcieli się go pozbyć głośno i przy ludziach... Jeszcze zuchwalej niż na przykład Skripala.

– Po co? – Polski kapitan zaczynał się niecierpliwić.

– Nie wiem... – Szwed się uśmiechnął. – Czarny PR dla Ukraińców, ale to jakoś nie chwyta. Może co jeszcze opowie. Wasza kolej, nie? – Zabrzmiało to jak wyzwanie.

– Mało tego jak na dobę pracy. – Monsignore udał rozkapryszonego i niezadowolonego.

– Sam dowóz zmarnował czas. – Szwed udawał, że złapał haczyk. – A skurwiel jest przygotowany na pogaduszki...

– Dobra już... – przerwał kapitan.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. Miała opadające na ramiona, gładkie ciemnorude włosy i owalną twarz, która Kamilowi wydawała się cudna. Podziwiał powab i gładkość skóry, której nie musiała kłaść makijażem. Julia dorównywała mu zdolnościami i bardzo ją szanował. Zwłaszcza za intelekt i przenikliwość, które rekompensowały nawet nie najdoskonalszą figurę – tak powszechną u miejscowych kobiet nieco za dużą tylną część ciała. Niby szczegół, ale zaburzający całościowy obraz.

– Dobry wieczór... – Kamil powitał dziewczynę miękkiem głosem, patrząc na nią zmrużonymi oczami. Tak, prezentował nastawienie napalonego podrywacza.

Szwedka nie mogła się powstrzymać i posłała mu krótki, radosny uśmiezek.

Znak, że takie podchody na nią działają. Zaraz jednak wróciła do surowego profesjonalizmu twardej kobiety.

– Dzień dobry właściwie... – Wskazała palcem na zegarek. – Odpoczęliście, panowie? – Nie ukrywała ironii. Chwyciła jakiś kubek i nalała sobie kawy z dzbanka. – Proponuję... – Skinęła głową, by otworzono jej następne drzwi.

Naprawdę lubiła odgrywać wyzwoloną i hardą, co Kamil słusznie tłumaczył leczeniem jakiegoś kompleksu.

Polacy również zaopatrzyli się w zapas płynnej kofeiny i podreptali za panią kapitan.

– Pobudka – Julia warknęła, choć z uśmiechem, od wejścia.

Grubas za prostym stołem drgnął. Środki chemiczne ciągle działały.

Leonid *vel* Wadim patrzył półprzytomnym, prawie zdziczałym wzrokiem. Widział przed sobą trójkę ludzi. Wszyscy byli cywilami, zwracali się do niego po rosyjsku. Wariował, ze zmęczenia i z naszprycowania nie pojmując, gdzie właściwie jest.

– *Towariszcz pałkownik...* – wybełkotał i zamilkł, kiedy głowa mu opadła.

– Gubi się, biedactwo. – Kamil ledwo poruszył ustami, świdrując grubasa przeciągłym spojrzeniem.

Julia zaczęła przedstawienie. Mówiła głośno, rzucając płynnym rosyjskim fakty z ostatniej tury wielogodzinnego przesłuchania. Każde zdanie, każde słowo trafiało w umęczoną jaźń Wadima. Drżał, kręcił głową jak obłąkany i prychał lub sapał.

– Czyli tak... – dorzucił Bratnowski. – Jesteś bezpieczny, już nic ci nie grozi – dodał zaraz łagodnie, jakby mówił do dziecka.

– Chcieli cię zlikwidować... – włączył się Monsignore. – My na to nie pozwolimy – zapewniał, doskonale się przy tym bawiąc, choć zmęczenie cisnęło mu się na powieki.

– Kim był twój łącznik?... Ten od ukraińskiej siatki? – dopytywała Julia.

Seria pytań i zdań na przemian surowych i miłych konfundowała Rosjanina.

– Major Wadim Uznieczajew – wymamrotał i znów zamilkł.

Przesłuchujący zaczęli do nowa. Raz za razem.

– Kto to był? Gdzie jest? Jak się ewakuował? Jaki ty masz kanał ewakuacji? Nic ci nie grozi – sypała się lawina pytań i zapewnień.

Wadim bełkotał, ślinił się. Jego zmęczony mózg kontaktował coraz gorzej. Potrzebował czasu, by ułożyć jakąkolwiek logiczną odpowiedź.

Znów padła seria kłujących jaźń zapytań.

– Artem... – wystękał Rosjanin, ale z jakimś podświadomym oporem. Był dobrze wyszkolony. Starał się bronić. – ...oficer zarządu rozpoznawczego.

Znów cedził pełną nazwę wywiadu wojskowego, potem zaczął powtarzać znaną już historię. Przesłuchujący łypali na siebie porozumiewawczo, zachodząc w głowę, czy to zmęczenie, czy ciągle próba odwlekania ważniejszych nowin.

– Wiemy – Julia wykazała się odwagą i przerwała. – Daj nam coś nowego, Wadim. Coś nowego, bo inaczej... – zrobiła teatralną pauzę – ...nie będziemy mogli cię bronić.

Reakcja była taka, jakiej się spodziewała. Otumaniony umysł zląkł się. Pierwotny strach nie dał się opanować resztkom wpojonych technik. Lońka uniósł głowę i choć lekko się chwiała, patrzył niemal przytomnie.

– Bronić? – Młasnął.

– A tak, Wadim, tak. – Julia zrobiła wielkie oczy. Teraz grała wszechmogącą. – Pamiętasz? Był drugi zespół. Mówiliśmy ci jeszcze w Årjängu. Chcieli cię dopaść... Mają cię dopaść? Powiedz, chcesz?

Mężczyzna zgarbił się i skulił niczym w parkosyzmie fizycznego bólu. Coś nim miotало jak duszą opętanego człowieka. W głowie szalały sprzeczne bodźce. Syczał.

Przesłuchujący znowu spojrzeli na siebie. Dawka chemii była większa ze względu na wagę osobnika i pojawiało się pytanie, czy to aby nie przesada, która doprowadzi grubasa do chwilowego obłądu.

– Powiem – stęknął w tym bełkocie Wadim.

– Słucham? – Julia nie dosłyszała.

– Powiem... – wystękał Rosjanin wyraźniej. Wyprostował się.

Trójce po drugiej stronie stołu niejako ulżyło. Tutejsi lekarze jednak wiedzieli, jak pracować.

Wadim mówił szybko, ale wyraźnie. Opisał kilka metod opuszczania Szwecji. Kamil słuchał, walcząc ze snem. Nie bardzo go to obchodziło. Podobne sposoby, tylko miejsca i sygnały zmienne. Podręcznik zasad, tych samych od stu lat. Wiedział, że przełoży to na polskie warunki, że wywiad będzie ciekawy, ale teraz go to nie ruszało.

Rosjanin chwiał się, prychał i bełkotał, ale mówił. Wreszcie wypowiedział znów to imię:

– Artem... On też na straty. – Oświadczenie było przesycone pewnością.

– Skąd wiesz? – Bratnowski wszedł w kompetencje Julii i zapytał pierwszy, marszcząc brwi.

– Reguły... – Wadim zdawał się odzyskiwać równowagę. – Za duża operacja, za wiele widział. Skoro likwidują mnie, to załatwią i resztę... Mieliśmy czekać na sygnał i zacząć działać... – Był przerażająco przekonujący i coraz spokojniejszy. – Ale jako faszysty... ukropy... – Na jego twarzy pojawił się wstrętny uśmiech.

– Dlaczego teraz? – warknął Monsignore ze szczerym gniewem na widok takiej miny.

Julia nie oponowała.

– W ważnej chwili... – Wadim oparł się o stół. – Dla efektu, dla... – wzruszył ramionami – dywersji. Odwracanie uwagi...

Cała trójka milczała, patrząc srogo i wyczekująco na więźnia. Układali odpowiednie serie pytań. Rzucenie wprost jednego prostego mogło wystraszyć Rosjanina.

– Czy miałeś informacje, że coś ważnego, jak to mówisz, może się zaczynać? – Julia zmieniła ton na bardziej kokieterjny i uroczy. Dopytywała naokoło. Działo.

– Ważnego... – Powieki Wadima się unosiły. Zdawał się przebudzać z narkotykowego letargu. – Wy... – wskazał pulchnym palcem na mężczyznę przed sobą – wy nie jesteście stąd? Litwini? Nie... Polacy. – Drgnął. Zgadł.

Przesuwał wzrokiem po niepozornych cywilnych ubiorach. Szukał jakiegoś dowodu lub punktu odniesienia.

Nikt mu nie przerywał, nie potwierdzał ani nie przeczył.

– Odpowiedz... Proszę. – Julia robiła się słodka.

– Dawno temu... – odpowiedź brzmiała jak początek bajki – ...zanim jeszcze zrobili ze mnie ukropa – nie wiadomo który już, nerwowy spazm śmiechu wdarł się w wypowiedź – były takie rozmowy... Dziwne, że o nich nie wiecie. – Mrugnął okiem. – Nie wszyscy się lubią. Buldogi walczą pod dywanem... Dwa tysiące trzynasty pamiętacie.

Podniósł palec w mentorskim geście, jakby wskazywał na górę, tam, gdzie powinna znajdować się władza. Rozkręcał się mimo otępienia i braku snu. Julia wdusiła jakiś klawisz w głowie szpiega, który rozpoczął nową melodię.

– Wtedy się wiele zmieniło... Wołodia... – Dziwny gest ręki zaciskanej na szyi przerwał na chwilę wywód. – Pewnie wiecie... – Znowu puścił oko. – Ale to się nie

kończy. Prawosławni nie lubią muzulów... I na odwrót. A te kozie jebaki są mocni, bardzo mocni...

– Wadim – przerwał surowo Bratnowski. – Wiemy. Co to ma do rzeczy? Mamy cię chronić? Chcemy czegoś nowego. Po co to wszystko? Czemu służyła twoja grupa, którą kontrowaliście? Dlaczego mieli cię zabić? Ciebie i tego Artema...?

– Show – wyartykułował wolno szpieg. – Show, który ma czemuś służyć... Może idzie wojna... – Znowu zaniósł się śmiechem. Teraz dłuższym. Nerwy miał w strzępach.

Kamil spał się cały. Serce mu się ścisnęło i ledwo się powstrzymał, by nie uderzyć więźnia. Gromił go tylko oczami, wyobrażając sobie, co będzie robił z Moskałem, jeżeli mu pozwoli. *Siekierka i ostrugany pal, chuju* – skądś przypałało się Sienkiewiczowskie wyobrażenie tortury.

– Uważasz, że zainicjowano działania specjalne, które są wstępem do... – Julia znów starała się być opanowana i rzeczowa.

– Oczywiście. – Wadim uniósł wzrok i patrzył długo po zebranych. Znowu wydawał się przytomny. – Likwidują siatkę, niezagrożoną siatkę. Wpierw uruchamiają nas... – objaśniał wyraźnie i spokojnie. – Ten gnojek, ten ukrop, którego dostaliście... Tacy jak on tylko uwiarygodniali cały ten bajzel. Wicie, przeciek mówił, że tamten transport to dla nich... Dla nas. – Mylił się. Przymknął oczy i zaczął pocierać skronie. – Wody – poprosił.

Julia wyszła z pokoju, by zaraz wrócić z odkręconą butelką wody.

Rosjanin pił długo. Otarł usta i odstawił naczynie na stół.

– *Wy Poljaki* – zachnął się, niejako dumny z obserwacji. Był pewny.

Ani Bratnowski, ani Kamil nie zareagowali najmniejszym gestem. Monsignore zagłuszył rodzący się w nim strach, że tamci naprawdę mają dobrą bazę danych. Nie mógł dać się wytrącić z równowagi, przestraszyć się i narobić błędów.

Dobry jesteś – pochwalił w myślach. Rozważał, czy ten kunszt wywiadowcy, dzięki któremu Wadim rozpoznaje narodowość, to efekt jakiejś kartoteki właśnie, czy sam przestał pilnować akcentu, czy może było w jego fizjonomii coś iście nadwiślańskiego.

– Macie jakieś rozeznanie, pilnujecie nas – Wadim mruzczał dalej. – Tak samo jak my was i wszystkich wkoło. Pieniądzy nie żałujemy. Tworzycie prognozy, analizujecie. To wszystko jak kostki domina. – Formułował coraz okrągłe zdania

i teorie. – Sekwencja zdarzeń musi być gwałtowna i różnorodna. Teraz wy zajmujecie się byle dziadem tu, w Szwecji... – urwał, rozglądając się dookoła, właściwie niepewny, czy jest w tym kraju – ...a powinniście patrzeć w inne miejsca. Gorętsze. – Przechylił głowę z chytrym spojrzeniem. – Tak, ja wiem. – Uniósł dłoń. – Patrzcie. Ukraina, nie? – Mrugnął do Julii, jakby ją podrywał. – Szwedów pewnie nie obchodzi. Wy boicie się wojny tutaj... – Chemia działała jak serum prawdy, rozwiązywała język i zapewniała narastającą liczbę wiadomości, które Wadim z siebie wyrzucał w, o dziwo, spójnym przekazie. – I słusznie. Jedno mocne uderzenie w tę małą armię, jakiś desant na „wyspę” i Bałtyk zablokowany, a nikt się za wami nie ujmie, bo jesteście... neutralni. – Znow trząś się od śmiechu, tym razem upiorniejszego. – Może kiedyś, ale nie dziś.

Chyba starał się uspokoić.

– Wojna to wielka sprawa. Trudna, ryzykowna i droga. – Kręcił głową, mrużąc oczy, jakby cierpiał. Zmieniał temat. – Pozostaje wrażenie, że taka nastąpi. Oj tak, to wystarczy, tego się boicie... A z nas wysysają życie, by tylko się popisywać i straszyć po całej Europie.

Kapitan Bratnowski poruszył się i wyprostował, nie mogąc słuchać tych oklepanych teorii.

Szpieg też zmienił pozę. Dopił wodę i przez chwilę mruczał coś pod nosem. Z każdą minutą coraz bardziej przypominał obłąkanego.

– Moja opinia! – Podniósł głos, aż tamci o mało nie drgnęli. – Moja opinia – powiedział zaraz milej, szczerząc zęby. – Ktoś jest zmęczony. Ktoś się boi. – Wskazał palcem wyciągniętej wysoko dłoni na sufit. – Boją się o interesy, bo nie chcą się dzielić. Oczyszczą sobie zaplecze. Ile można się bać?

Nie wiadomo skąd brał te pomysły. To była bardziej publicystyka niż rzetelna wiedza.

– Wy, Polacy... – Szaleńczy, słodki wyraz znow zagościł na twarzy szpiega. – Artem zniknął. Ubili go – prychnął, rozkładając ręce i wciskając głowę w ramiona. Wyglądał teraz jak dziecko. – A może posłali gdzieś indziej... Może każdego potrzebują do wyższych celów. Bo show już trwa. Posłali na scenę. Tam, skąd by nie wrócił... A on był dobry. Weteran, nie jak te smarkacze.

Nastroszył się i dźwignął z krzesła. Sił jednak brakło i zaraz opadł z powrotem na siedzenie. Zaczynał się pocić.

– Gdzie by mogli...? Syria? Kto wie? – Wzruszał ramionami. – Ukraina? Też dobrze. Polska – źrenice mu się rozszerzyły i nabrały ognia – Bałtyk, do was blisko... – Biła od niego pewność. – Jeżeli coś miałoby być w Szwecji... Polska blisko. Wy, Polacy, wiecie, jakie są wasze słabe strony. My wiemy. – Stuknął palcem w pierś. – Kiedyś, ktoś, coś... – Teraz palec pukał w głowę. – To wszystko kostki domina. Tu, tam... Po coś. Tyko po co? Spokój jest. Ale czy na pewno? Znacie swoje słabe punkty...

Wadim mrugał oczami i odlatywał, wymawiając kolejne zdania coraz mniej składnie. Pocił się i ziewał, ciągle ziewał, zapadając się w sobie. Organizm poddawał się zmęczeniu.

Kamil wyprostował się i złapał za plecy. Czuł w kościach te kilka dni. Świeże powietrze chłodnego poranka otrzeźwiało umysł. Chociaż jemu spać się tak bardzo nie chciało. Dostał strzał adrenaliny.

Chwilę milczeli z oficerem, patrząc na strzeliste jodły okalające cały obiekt. Wyspę pośrodku istnej bezludnej tajgi, w której szumiał wiatr.

Monsignore sięgnął po paczkę papierosów. Poczęstował Bratnowskiego. Kapitan wziął jednego, choć zazwyczaj nie palił.

– Trafiło, co? – Kamil wykrzywił usta w szyderstwie.

– Skurwiel... – sapnął oficer. – Ruski skurwiel – doprecyzował, chcąc być dobrze zrozumiany. Zapalił. – Pierdoli jak porąbany, ale...

– No właśnie: ale – dokończył Kamil kpiąco.

– Korci cię? – Bratnowski znał odpowiedź. Zaciągał się dymem i udawał, że podziwia wierzchołki drzew.

– Korci jak jasna cholera... Fiut – wskazał kciukiem na pokrytą ziemią ścianę bunkra – coś wie. W którymś kościele dzwoni... Robi się gównem na Ukrainie, a tu cały ten cyrk. Tak, ja wiem, oprócz tych kilku ruchów na granicy w Donbasie niewiele wskazuje... Więc po co to wszystko? Mają inną metodę, żeby wywrócić Kozaków do góry nogami? – nakręcał się z każdym zdaniem. – Nasz „pierwszy” dzisiaj w Kijowie – rzucił od niechcienia tajną nowinę. Datę wizyty utrzymywano w tajemnicy, choć ogólnie jej zamiar był powszechnie znany.

Bratnowski prawie wypuścił papierosa z ust.

– Przez te podróże po tym lesie – machnął głową – na śmierć zapomniałem... – Miał przez chwilę papierosa w palcach i milczał. – Mają co robić w Warszawie –

stęknął półgłosem. – A my im jeszcze urządzimy alarm. Albo nie, wkurwią się, że ślemy gówno. Żadnych przecież dowodów, Kamil. – Patrzył badawczo na podwładnego, szukając wsparcia, jakiegoś pocieszenia.

– Ponosi nas wyobraźnia? – Monsignore buzował od energii. Lubił takie wyzwania. – Ale że obu? Ruski daje do myślenia. Połowa naszych specjalistów w świecie i u sąsiadów, a oni...

– Bzdura – syknął kapitan, ale tylko dla zasady, bez przekonania. – To licha teoria...

– Każdą teorię trzeba obalić albo udowodnić... – Monsignore dreptał w miejscu, biorąc coraz głębsze buchty tytoniowego dymu.

– Jakieś pomysły? – Bratnowski zaczął z wolna kapitulować.

– Aby to jeden! – Kamil strzyknął śliną na ziemię. W jego oczach tańczyły iskiereki ekscytacji. – Do diabła, warto by było pogrzebać, jeżeli będzie zgoda. Mamy połączenie ze światem... Po co robić dla Szweda, jak naszych tykać będą... Ogarniemy im jeszcze parę spraw, jak trzeba. Trochę tu siedzimy. Ale, do cholery, mam przecucie. – Był najzupełniej pewny wypowiedzianych słów.

Bratnowski nabrał nosem powietrza i rzucił niedopałek.

– Dobra – zgodził się, sam się bojąc, do czego te ich podszepty i wizje doprowadzą. – Od czego zaczniesz?

– A jak myślisz? – Kamil patrzył na przełożonego, wybałuszając oczy. – O czym gadam od dawna, że stoi puste jak zaproszenie do tańca? – Samo wspomnienie budziło w komandosie szal.

– Jasne. – Kapitan kiwnął głową. – Dobrze, zezwalam. Podłącz się do systemu i niuchaj. Może szanowni sojusznicy słuchali i na coś się natknęli. Połączę się z Parishem i Oscarem. Załatwię to. Nie zrobią problemu. Działaj! – Zdusił niedopałek czubkiem buta.

*

Dwudziesty maja zapowiadał się bardzo ładnie. Już od świtu było czuć nadchodzący upał. Polscy policjanci oraz personel dyplomatyczny, który miał koordynować uroczystości w ministerstwie i wszystkiego dopilnować, byli gotowi do drogi.

Adam wypatrywał pani Basi, licząc, że zawiesi oko na czymś przyjemniejszym niż

stado facetów. Mężczyźni pod eskortą funkcjonariuszy SOP przechodzili bez pośpiechu do dwóch nieźle wyposażonych busów, które parkowały na podwórzu.

– Będzie skwar. – Maciej pocierał szyję przy kołnierzyku, zadzierając głowę i wypatrując, jak się wydawało, najmniejszego śladu chmur.

– Nie bój żaby, luksusy, klimatyzacja, zimne drinki... – Stefan dworował sobie jak sztubak, łagodząc stres.

– Bo ci dadzą drinki... – Adam sprowadził go na ziemię. – Winko, i to kwaśne, i do domu. – Udawał specjalistę.

Skłonił się czekającemu posłusznie przy drzwiach kierowcy w białej koszuli. Facet był miejscowy. Ewidentnie doświadczony, do tego dobrze zbudowany. Thomal zastanowił się przez moment, czy gość jest z SBU, czy może tam służył. Na pewno miał za sobą jakąś mundurową przeszłość. Byle kogo by nie dawali na taką okazję.

Polakowi zrobiło się różniej. Przepuścił inspektora. Wstąpił na stopień i zatrzymał się na ułamek sekundy. Chciał wyłapać odgłosy miasta, ale prócz zwykłego, i tak dziwnie słabego szumu ulicy nie słyszał nic więcej.

– Spokój, chłopaki. W stolicy nuda. – Podniósł kciuk już absolutnie pewny, że nic nie stanie im na przeszkodzie. – Dojechali protestujących – dorzucił z jeszcze większym entuzjazmem i zasiadł w drugim rzędzie.

Ogarniało go spokojne przeświadczenie, że jednak ma szczęście. Że uda się pobyć z głową państwa w dość spokojnej, nienacechowanej obawami atmosferze. Że będzie mógł nieco się postarać, by jego skromna osoba zapadła „pierwszemu” w pamięć. Później... później kto wie, być może ten dwudziesty maja przyniesie jakieś profity.

*

– Jasny gwint!

Otyły, łysawy jegomość w przepoconej koszulce, z narzuconą na grzbiet bluzą dreptał wkoło zaparkowanej na leśnym parkingu ciężarówki. Obchodził volvo, usiłował wskoczyć jakoś na pakę i zajrzeć do przewożonego domku. Sarkał, przeklinał, raz po raz wybierał jakiś numer w telefonie.

– Żeby was cholera... Tak to jest z prezentami. – Prawie eksplodował, kiedy znów nikt się nie zgłosił pod wskazanym numerem.

Grubas stał, dysząc, nieco zrezygnowany, ale nadal zły, i gryzł nerwowo róg plastikowej teczki na dokumenty. Biała konstrukcja całkiem przypadła mu do gustu,

choć na razie na niewiele mu się zdawała.

– Pan Szubiński? – usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się. Miał przed oczami młodego jegomościa o rosłej sylwetce. Facet sprawiał wrażenie silnego i choć wydawał się grzeczny, samym wyglądem wymuszał posłuch.

– Ja, a bo co? – warknął grubas o wiele łagodniej, niż planował.

– Jestem drugim kierowcą. – Młody się uśmiechnął. – Proszę wybaczyć, naprawdę – kajał się pierwszorzędnie. – Powinniśmy z kolegą uprzedzić. Jesteśmy trochę wcześniej...

– To wasza wina! – Szubiński machał teczką, plując wokoło. – Po co mi to, jak nie miałem czasu załatwić dźwigu? Cholera jasna! – bulgotał. – Ciepło się robi, jest koniec maja. Turystów coraz więcej, czasu nie mam na załatwianie papieru na wasz wjazd, a jeszcze na dźwig, żeby to zdjąć... – wydyszał i zamilkł, łapczywie chwytając powietrze.

– Ojej. – Młody odegrał naiwne zakłopotanie niczym znakomity aktor. – To ktoś się nie spisał. Najmocniej przepraszam. Szef chyba nie dopilnował. No ale ma pan piękny domek do ośrodka... – Przesunął dłonią wzdłuż konstrukcji jak najlepsza hostessa.

– Taa, ładny... – Szubiński był za starym biznesmenem, żeby dawać się nabrać na takie zabiegi. Chociaż okazja trafiła się genialna. W miarę nowoczesny domek do jego ośrodka kartonowych bud. Za symboliczną opłatę za dom i transport. Podejrzewał jakiś szwindel albo i wyłudzenie tych kilku euro, ale wyjaśniono mu, że wóz, wracając do Danii, ma o wiele lepiej płatny fracht. – Przez te mandaty to już nie taki fajny interes. – Grał wielce poszkodowanego, jak przystało na wytrawnego kupca ze starej szkoły.

– A tak, to problem – młody wyraził pełne zrozumienie.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobył plik banknotów.

Szubiński aż się pochylił w naturalnym dla siebie odruchu śledzenia każdej ilości pieniędzy.

– Szef to przewidział. – Głos młodego był diaboliczny, ale kierownik nie zwracał na to uwagi. Widział tylko dwieście euro. – Na mandaty powinno starczyć, choć... straty moralne... – Chłopak dobrał jeszcze trzy banknoty po sto i podał grubasowi. – Jeszcze raz przepraszam. – Ukłonił się i naraz jego twarz stężała. Miał dość popisów

aktorskich tak wcześniej rano.

Szubiński zaczął pojmować, że ten dom jest czymś więcej niż tylko domem, że musi w tym być jakiś haczyk i dlatego przywlekli go tak daleko, ale nie miał odwagi pytać. Chciał tylko dom i te kilka euro ekstra.

– Biorę na siebie gliny i... – Prawie wyrwał banknoty i wepchnął do kieszeni kurtki, patrząc wkoło, czy aby nikt nie widzi. Szosa do miasta i pobliska dróżka do Muzeum Obrony Wybrzeża były szczęśliwie puste. – ...załatwię dźwig. Jak mają wolny termin, to na jutro. Okej? – Był ostrożny.

– O, cudownie. – Młody zdobył się na jeszcze jeden sympatyczny grymas i cofnął. To był sygnał, że kończy spotkanie.

– Aha – biznesmen coś sobie przypomniał. Przygarbił się i podszedł jeszcze na moment. – Uważajcie z takimi... – Bał się precyzować, a tylko dawał do zrozumienia, że nie jest głupi. – Tu kilka lat temu była rozróżba na jakimś pikniku historycznym... Powinni pilnować, ale to już zapomniane. Tak na wszelki wypadek mówię. – Skinął głową i mrugnął obojgiem oczu.

– O, naprawdę? Coś podobnego. – Młody grał już bez natchnienia.

Szubiński uścisnął mu dłoń i podreptał, kolebiąc się na boki, do swojego kombi. Odjechał w stronę Helu, wyrывая na piasku rozsypanym na parkingu.

Młody zapragnął napić się kawy. Sam rozejrzał się po okolicy. Poczował ulgę.

Pierwszy kryzys tego długiego dnia został rozwiązany. Klepnął w ścianę domostwa i skinął na szofera zerkającego zza firanki. Uniósł kciuk na znak, by facet odsypiał. Miał jeszcze tego dnia trochę poważnej pracy.

Młody ruszył bez pośpiechu do zaparkowanego nieco dalej czerwonego seata.

*

Prezydent Rzeczypospolitej odłożył telefon satelitarny. Zrobił wielkie oczy i wciągnął nosem haust powietrza.

– Niewiele tego. Właściwie nic – zaczął referować bez większej ochoty słuchającym go urzędnikom. – Znalaziono go około północy w lesie. Przypadkowy rowerzysta, co nie mógł spać. Wicki miał przy sobie dokumenty, więc go szybko zidentyfikowano. Szperają w domu. Żona w szoku. To oczywiście zrozumiałe. – „Pierwszy” przygryzł wargę. – Na tym etapie... – ostrożnie podniósł wzrok, czekając na jakiś wtęret od kogokolwiek – nie ma dowodów na spisek. – Drgnął. – Ja wiem,

duże słowo. Powtarzam, skojarzenia są bardzo złe, ale... – wskazał za okno na odległe budynki terminali – przynajmniej wylądowaliśmy.

Ciężki, czarny żart nie rozbawił nikogo.

– Panie prezydencie... – Łysy, chudy jak wiór sześćdziesięcioletek, ekspert do spraw protokołu, wychylił się od strony kabiny pilotów. – Gospodarze znów pytają, ile potrzebujemy czasu. – W jego głosie czuć było lekkie zniecierpliwienie.

– Jeszcze moment. – Waligóra pozwalał sobie czasem wypowiadać się za szefa. Tolerowano to. – Jeżeli stają okoniem i brużdżą przy pułkowniku Zdaniłowie, to poczekają. O, można im przekazać, że czekamy na jego przybycie... – Wredny przytyk bardzo podobał się ministrowi.

– Tego nie mogę... – zachnął się łysy jegomość, biorąc tę uwagę za oficjalne stanowisko.

– Oczywiście, że nie – uspokoił go prezydent. Podwinął rękaw koszuli i spojrzał na zegarek. – Powiedzmy... kwadrans. Akademicki kwadrans – obwieścił.

– Rozumiem. – Jego pomocnik skinął i zniknął za kotarą.

– Kilkadziesiąt czołgów w Donbasie... – zaczął mówić Wojciech Nikomski. Jak w letargu: wolno i prawie niesłyszalnie. Analizował wszystko, co wiedzieli. – Nasz człowiek z KPRM wiesz się w przeddzień wylotu. Może to tylko przypadek. Jedno z drugim się nie łączy... – Chciał przekonać samego siebie.

– Oczywiście, że nie. – Minister spraw zagranicznych wstał z fotela i zaczął wkładać marynarkę. – Proszę panów, nalegam, byśmy powtórzyli założenia naszego stanowiska. Przynajmniej pokrótce. Jeszcze raz. Dla pewności. A Rosjanie, cóż... – Poprawił kołnierzyk. – Coś wiedzą i prężą muskuły... Chcą nas straszyć. Wszystkich chcą straszyć...

– Właściwie to dlaczego Kreml od kilku dni nie puścił słowa w świat? – Nikomski się ożywił. Minę miał skupioną. Myślał o czymś i unosił lewą brew.

Pytanie było odkrywcze i wystraszyło polityków. Prezydent opadł na oparcie, znów pełen wątpliwości.

– Nic nie wskazuje na to, że dokonają inwazji na pełną skalę – bronił resztek zdrowego rozsądku. – Mają pełno wojska na granicach, ale... – Sam zwątpił w to, co chciał przekazać. Gdyby iść tropem jego ministra, to wszystko wokół robiło się naprawdę niepokojące.

– Czekają na jakiś pretekst – ciągnął Nikomski swoje czarne wizje. – Moskwa

czeka na wyniki rozmów i ich efekt. W mojej opinii coś szykują. Służby meldują o podniesionej intensywności komunikacji.

– Amerykanie nie pozwolą na prowokację – zaripostował słusznie prezydent. – Sporo w to zainwestowali. Wiesz przecież, że to wszystko popierają. Tę eskapadę... – Szef stroszył się niezadowolony, że jego podwładny wycofuje się z własnych pomysłów. – Sam to proponowałeś. Zgrać to z Amerykanami...

– Tak, to prawda – Nikomski wzruszył ramionami – ale w obliczu faktów...

– Oblicze faktów! – prezydent nadał policzki i prychnął. Potrzebował wsparcia i porady, a nie międlenia za pięć dwunasta. – Znam ryzyko – powiedział surowiej – czytałem opinie... wszystkich świętych. Odradzali, ale stało się. Jesteśmy tu i teraz nie można się wycofać, bo ktoś tam odebrał sobie życie. Tak, to tragedia. A ja wolałabym odpocząć kilka dni w Juracie, ale już za późno na odwoływanie czegokolwiek – rozkręcał się, widząc kątem oka, że szef dyplomacji urósł o kilka centymetrów. Teraz to on był jego sojusznikiem. Polityka była grą zmiennych. – Jasna cholera!

Lęk jednak wziął górę. Prezydent schował twarz w dłonie i zaczął ją pocierać. Cisnęło go w dołku, puls przyśpieszał.

– Mamy dobrą osłonę. – Zmusił się do szukania pozytywów. – Amerykanie rzucili, co mogli, i to zupełnie otwarcie i jawnie. Generał Logan i całe stopy uzbrojenia. – Podnosił głos, dodając sobie rezonu. – Uderzenie w naszą delegację, we mnie, w amerykańskiego dowódcę sił lądowych USA w Europie to byłby akt pieprzonej wojny. Za wiele interesów kremlowscy mogą stracić, decydując się na taką rozróbę. – Zniecierpliwiony zastukał palcami o blat.

Nikt nie oponował. Nawet Nikomski, lekko speszony albo zawstydzony swoimi wątpliwościami, które mogły zostać odebrane jako tchórzostwo.

– Zmitrężyliśmy za wiele czasu... – Przekaz szefa był jasny. – Nikomu się to nie podoba, ale wdepnęliśmy. – „Pierwszy” wstał i chwycił marynarkę. Zaczął poprawiać krawat. – Zdążymy jeszcze omówić w punktach nasze stanowisko? – zapytał retorycznie. – Już przy śniadaniu chciałbym przejść do konkretów w rozmowie z panem prezydentem.

Zespół zaczął się wiercić, składać papiery i nieśpiesznie szykować do opuszczenia maszyny. Prezydent schylił się, patrząc przez okienko. Po płycie lotniska jechała ku boeingowi kawalkada czarnych limuzyn i SUV-ów, błyskając światłami sygnałów.

Mężczyzna westchnął i jeszcze raz rzucił okiem na cyferblat zegarka. Do ósmej

pozostał nieco ponad kwadrans.

– Chory czas na ratowanie świata – zachnął się z niesmakiem, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek tak wcześnie rozpoczynał wizytę, nawet roboczą. I czy kiedyś miał tak napięty grafik.

*

Robert Krawiec ogolił się i wziął prysznic. Przełamał się i włożył mundur mniej zniszczony niż codzienny połowy ubiór. Zgodnie z zasadami nie przypinał oznaczeń stopnia czy naszywki jednostki, z której się wywodził. Duma dumą, ale warunki quasi-wojenne miały swoje prawa. Jednostka wojskowa, w której pracował, miała być otoczeniem przyjaznym, ale na Ukrainie nic nie było pewne. Za to wszystko na sprzedaż.

Robert przejrzał się w lustrze. Wyglądał, jak lubił, jeżeli nikt nie wymuszał na nim bardziej oficjalnego stroju. Schludnie, bojowo i nijako. Jak jeden z wielu niepozornych oficerów i żołnierzy, którzy kręcili się po instalacjach wojskowych państwa ukraińskiego.

Był anonimowym, nieznanym nikomu – nie licząc kilku zaufanych miejscowych oficerów – nauczycielem fachu, który opanował doskonale i praktykował od lat w najróżniejszych miejscach na ziemi jako polski żołnierz.

Poprawił pas z mocną klamrą z tworzywa i dołożył do niego plastikową kaburę. Sięgała połowy uda. Mucha wsunął do środka pistolet H&K USP Expert kalibru 9 milimetrów. Krótco rozważał, czy do wsuwek w kieszeni dołożyć dwa zapasowe magazynki. Mógłby. Jemu było wolno. Był swój i sprawdzony. Nikt ze Służby Ochrony Państwa ani tym bardziej Amerykanie nie robili mu problemów i niczego nie zakazywali.

Cichy, ledwo słyszalny podszept gdzieś z tyłu głowy doradził, by brał. Że to wszystko dzieje się za szybko i trzeba być gotowym. Robert lubił być gotowy. Przygotowany na wiele ewentualności. To był jeden z jego znaków rozpoznawczych: dobra organizacja.

Wziął więc zapas naboju. Telefon, niewielki, obudowany grubo plastikiem, również zabrał, chowając do kieszeni spodni. Nie wiedział, po co mu on, ale już nie raz przekonał się, że własna komórka, a w niej zapas Internetu, pozwala skomunikować się szybciej niż przez ukraińskie komputery. Zresztą jego pobyt tutaj

był obwarowany pewnymi zasadami, a do ich spełniania potrzebował łączności. Choćby z ambasadą albo dowództwem w Polsce w najgorszym wypadku, gdyby taki nastąpił.

Zapiął bluzę, wygładził na brzuchu i rękawach. Wziął z półki polowy kapelusz i ciemne gogle balistyczne. Prezentował się jak typowy instruktor gotowy na codzienną rutynę.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Idę – rzucił po ukraińsku.

Stiopa, kafar większy od Muchy o głowę, jego druh z jednostki, w swoim mniemaniu zesłany w te ostępy, był dziwnie blady. Mimo to wyglądali podobnie. Bezimienni, niscy stopniem żołnierze w zwykłych, acz nieużywanych mundurach.

– Idziesz coś jeść? – zapytał Robert. – Ja ganiałem od świtu za Igorkiem. Sraczki dostają z tą wizytą. Ma być na zicher... – mówił, jakby sam się nie przejmował. A przecież w jakiś sposób odpowiadał za to wszystko. – Co tak patrzysz? – Przekrzywił głowę, taksując kumpla od stóp do głów. – Coś ty taki blady? – zauważył dopiero. – Wiem, że nie lubisz tej części świata, ale może uszanuj ich wspaniały dzionek.

– W mieście się coś szykuje – Stiopa nie miał ochoty na pogadanki, więc palnął wprost.

– Że jak? – Robert zdębiał. Nawet nie spostrzegł, jak dłoń odruchowo powędrowała ku kaburze.

– A tak. – Stiopa był wyraźnie rozdrażniony porą oraz zamieszaniem i nie zamierzał się powtarzać. – Patrol żandarmerii meldował operacyjnemu. Ludzi się najechało, głównie mężczyźni, młodzi, w mundurach, ale nie nasi. Weterani. Mają plecaki, prowiant, jakieś pozwijane szmaty, pewnie transparenty. Szykują wiec...

– Ilu? – Mucha zaczął analizować

– Ze dwa autokary... Stu, może nieco więcej. Łażą po placu, szukają miejsca, żeby co zjeść, albo sklepu, żeby się napić od rana.

– To co ty mi dupę zawracasz? – Robert wypchnął kolegę głębiej w korytarz koszarowca i zaczął zamykać drzwi. Nie obeszło go to specjalnie. Tylko w żołądku ssało coraz bardziej. – Tylu to co to za...?

Naraz wyprężył się jak uderzony. Patrzył w drzwi, jakby dostąpił na ich tle jakiejś wizji. Odwrócił się i teraz Stiopa stęknął ze śmiechu.

– Co, dotarł przekaz?

– Kto się rozpruł? – warknął Robert, prawie nie ruszając ustami. – Ja pierdołę, z nimi można oszaleć. – Plasnął kapeluszem o ścianę i zaczął nerwowo łązić w koło. – Na pewno zamówili posiłki u gliniarzy, bo takie coś to stan ryzyka. Wszystko na rympał, na ostatnią chwilę, bo kazali robić pokazówkę, jakby to miało kogoś obejść... – rozkręcał się w rzucaniu oskarżeń i żalów. Spokój sprzed chwili był mglistym wspomnieniem. – Tak, to gliniarze musieli mleć jęzorami i poszło... Kurwa mać. – Staął, trzymając się pod boki. Gryzł wargę, a jego rozbiegane oczy błędziły po suficie i podłodze. – Co chcą z tym zrobić?

– Nic – odparł Stiopa zwyczajnie. – Wiesz, że by się chyba pochlastali. Poszło do Kijowa, do sztabu, ale zaraz przyjdzie, że to nic i spektakl ma się odbyć.

– Jakież inne nowości? – Robert zmrużył oczy.

– Nie, raczej nie. Hamburgery i nasz SIGINT mówią, że wzrosła liczba połączeń, ale nic poważnego. NSA podobno pilnuje. Nie wiem, jak przy takiej ilości roboty odnajdą coś podejrzanego w półmroku – drwił nie bez satysfakcji siłacz. – W necie coś tam się pokazuje, na razie nieśmiało. Jakaś pikietta jednostki, ale bez szczegółów. – Ostatnie zdanie miało brzmieć jak pocieszenie.

– Pikietta – prychnął Mucha – Teraz? Bo ja się urodziłem wczoraj. Gównno. – Mocniej wykrzywił przygryzaną wargę. – „Stróże” nikogo nie podejrzeli, żadnych armat, czołgów, pasów szahida? Znaczy, może nie jest tak źle... Choć – potarł ogoloną na łyso głowę – wyczuwam jakiś smród. Dobra. – Odetchnął, próbując się uspokoić. – Zadzwoń, gdzie trzeba. Niech Stasiu z ambasady wie i niech coś pomyślą. Mądrzejsi są od nas. Amerykanom też trzeba rzucić hasło. Co ja mówię, pewnie już podnieśli krzyk. Słyszałem, że śmigło podrywali, to pewnie przez to, tylko się nie chwala. Kurwa, co to za kraj – sapał.

Powoli zaczynał rozumieć kumpla. Sam lubił to, co robił, lubił tych ludzi i wiele im pomógł, ale w takich sytuacjach był bliski przekonania, że więcej zrobić się nie da. Że ten tkwiący głęboko sowiecki gen, bardak, korupcja, gadulstwo czy jak to zwać, zawsze się przebiję.

– Idź jeść – poprosił. – Ja będę dzwonił. – Spojrzał na zegarek. Do pokoju łączności specjalnej miał kawałek drogi. Pewnych rozmów nie można było prowadzić przez byle komórkę. – Jak się wyrobię, to dołączę. – Ruszył długimi krokami do schodów, ale przystanął. – Albo weź i mi. Najwyżej zjem zimne.

*

Jeden z pokoi, jakie przydzielono gościom oczekującym na oficjalne ceremonie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, był właściwie salką konferencyjną.

Adam Thomał wiele się ich ostatnio nazwiedzał i z wolna zaczął traktować siebie jak urzędnika, który tylko przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia.

Może tak trzeba w tym świecie? – pytał siebie, drepcząc znudzony po pokoju pomiędzy zebranymi gośćmi i podziwiając dysonans wystroju. Salka w małym imponującym gmachu wielkości większego pałacyku była odnowiona na secesyjną modłę, podobnie jak cały budynek. I tylko pstrokaty pomarańczowy kolor ścian gryzł się z powagą starej architektury. Tę i tak nie najlepszą renowację burzyło dodatkowo umieszczenie wewnątrz najprostszych współczesnych mebli i sprzętów. Na przykład długiego stołu z jasnego drewna, który przypominał jedną ze szkolnych ławek, jakie Adam pamiętał ze swojej młodości. Na jego rozległym blacie wyłożono teraz patery z jedzeniem. Do tego plastikowo-skajowe fotele na kółkach oraz kilka komód i szaf jak z rozdzielnika urzędowego zaopatrzeniowca. Nad tym wszystkim kandelabry godne komnat carów. Na końcu pokoju wisiał spory, płaski ekran, zazwyczaj chyba służący jakiegoś rodzaju telekonferencjom. Pasował tu jak świni siodło, ale teraz był elementem rozrywkowym. Włączono kanał informacyjny jednej z ukraińskich telewizji. Niewielu to interesowało, co poniektórzy tylko gapili się bezrefleksyjnie w przerwach między pogaduszkami i łykiem kawy.

– Napawasz się naszym luksusem? – Marko, ukraiński kolega Adama, klepnął go w ramię.

Grał chojraka, ale poruszał się sztywno. Pod garniturem nosił jeszcze opatrunek na obolałych żebrach.

Nudził się, podobnie jak wszyscy inni: polscy i ukraińscy funkcjonariusze, opiekunowie z ambasady i pracownicy resortu.

– Trzeba kiedyś przywyknąć – odpowiedział Adam po polsku, zadowolony, że pojął, co kumpel do niego mówi. Nie wiedział jedynie, czy to na pewno żart, czy młody rzeczywiście jest dumny z wyglądu miejsca. Może chodziło o to, że w jego mniemaniu trafić tu było wielkim zaszczytem. *Sowieckie jakieś to wszystko, nadal* – westchnął w duchu Polak i zastanawiał się, czy może powiedzieć to na głos. Ukradkiem badał twarz Ukraińca, próbując przypomnieć sobie, skąd, z jakiej zapadłej

dziury pochodzi. *Tak, biedaku, dla ciebie to wielka rzecz* – zaczynał rozumieć. – Dobrze, że mają takich jak ty. – Objął faceta w dobrotliwym geście pochwały i solidarności. – Ambitnych i silnych. – Symbolicznie, ostrożnie klepnął w miejsce, gdzie Marko dostał kulę.

Chłopak zaczął coś opowiadać, zaprzeczać w swojej skromności. Adam wyłapał tylko coś w stylu:

– Daj spokój, i co z tego mamy? Tu ciągle daleko do...

Uwagę Polaka – jak wytrawnego łowcy, który nigdy nie pozbył się instynktu – przykuło coś bardziej interesującego.

Przez uchylone wysokie drzwi do środka weszła pani Barbara. Nie była jedyną kobietą w tym otoczeniu, rzecz jasna. Przemykało tu kilka urzędniczek, sekretarek oraz dziewczyn przynoszących talerze z przekąskami i napoje.

Ale to pani Basia stała się dla Thomala wyzwaniem. Trofeum, które jakaś wewnętrzna siła lub po prostu niedający się okiełznać zew kazały mu zdobyć. Bez względu na Matyldę i całe to opanowanie, jakiego doświadczał obecnie w życiu uczuciowym, przynajmniej spróbować.

Ruszył więc spokojnym, miękkim wręcz krokiem, porzucając kompana, który ucichł strapiiony, że Polak przestał słuchać jego zaangażowanych społecznie wywodów o przeszłości ukraińskiej policji.

Adam miał gdzieś padające na niego prześmiewcze, kpiące spojrzenia tych kilku kumpli, którzy go znali, oraz opinię ludzi z ambasady, którzy z istic dyplomatyczną dyskrecją również śledzili jego podejście do ich koleżanki.

– Ciekawy dzień się zapowiada – zaskoczył kobietę nijakim stwierdzeniem, wychodząc z za jej pleców. Zdołał szybko ocenić ubiór i – teraz z bliska – zalety wzorowo utrzymywanej figury. Barbara miała na sobie bardzo oficjalny strój: czarną garsonkę, której monotonię przełamывała gustowna broszka i lekka apaszka w jasnobłękitnym odcieniu zawiązana na szyi.

Trudno było dostrzec objawy zmęczenia czy poirytowania na jej gładkiej twarzy, teraz ozdobionej lekkim, stosownym makijażem. Policjant zdawał sobie jednak sprawę, że ten cyrk musiał kosztować wiele wysiłku cały polski personel.

– Wreszcie nadszedł. Dzień dobry. – Sympatyczny, ale i filuterny grymas zagościł na twarzy Adama, kiedy podawał pani Basi rękę. Jego tajna broń, która może nie łamała obrony, ale wprowadzała zamieszanie, w którym kobiety odsłaniały się,

zrzucając na moment te swoje przeróżne maski.

– A pan jak się przygotował? – Barbara błysnęła żywym spojrzeniem i miłym uśmiechem. Udawała słodką, niemądrą. – Miło spędził pan wakacje? – szybko przeszła do kontrataku. – My stawaliśmy na głowie, by to wszystko... – Miękkim, szerokim gestem wskazała na zebranych. – A pan sobie bumeluje! – Uśmiechnęła się szerzej. Jej spojrzenie było figlarnie uszczypliwe.

Thomal miał zamiar zapytać, czy w ramach swojej pracy uczy się też czytania w myślach, ale uznał, że zbytnio by się odsłonił. I że takie teksty są poniżej jego umiejętności.

– Ciekawe miejsce, ciekawy moment w historii – zamiast smarkatych zagrywek rzucił coś bardziej filozoficznego, i to z zupełną powagą. – Będzie co wspominać – mówił wolno i wyraźnie, bezceremonialnie omiatając sylwetkę kobiety powłóczytym spojrzeniem.

Czekał, aż da mu w twarz albo coś odburknie. Kobieta była bardzo inteligentna i znała się na tych podchodach, ale podjęła grę. Podobało mu się to.

– Bardzo miło mi to słyszeć, panie komisarzu – teraz i ona kadziła. – To oznacza, że pracę wykonaliśmy dobrze. – Nie przestawała się uśmiechać.

– Czy pani udaje się... z nami? – Pochylił ku niej głowę i lekko ściszył głos. Dla dyskrecji i lepszego efektu.

– O nie – kobieta zaprzeczyła uprzejmie, ale stanowczo. Na chwilę przestała grać, bardziej zasepiona niż przed chwilą. – Teraz to panowie mają co robić w terenie. Ja zostaję tu. Muszę pilnować, by za wiele spraw nie przedostało się do mediów. Pan rozumie, rozmawialiśmy o tym. Teraz na wszystko trzeba uważać...

– Polityka – sapnął Thomal, nie spuszczać wzroku z oczu kobiety, jakby zaczynał ją hipnotyzować.

– Prezydent już jest w Kijowie – wytrąciła mu oręż z ręki, obwieszczając ważną nowinę.

– Słucham? – Zmieszał się i powietrze z niego uszło.

– Tak, od jakiegoś czasu. Właśnie powinien rozmawiać z ukraińskim... – Ledwo powstrzymała śmiech, widząc reakcję policjanta. – Za około godzinę, dwie ruszy tutaj. Po przystanku u nas, w ambasadzie. – Pokazywała, że wie więcej i jest w hierarchii wyżej niż nawet najlepszy gliniarz. Rzuciła wyzwanie.

– To... to dlaczego nie ma nic na pasku? – Adam, naprawdę rozbity, sam szukając

dobrej zagrywki, wskazał na telewizor.

– Rozmawialiśmy o tym. Nic bez zgody... Warunki bezpieczeństwa, choć zapewne kto ma wiedzieć, już wie. – Barbara z każdym zdaniem robiła się coraz hardsza. Adam przegrywał w tej grze.

– Rzeczywiście, solidny kawał zakulisowej roboty. – Skłonił głowę, zerkając raz w prawo, raz w lewo, by sprawdzić, czy ktoś widzi, że „ofiara” zaczyna mu się wymykać. – Musi to kosztować wiele trudu. Trudu i nerwów – kadził mniej subtelnie, już raczej rozpaczliwie.

Barbara nie zareagowała, bezczelnie się tylko patrząc z miną mówiącą: „Daj mi coś lepszego, chłopczyku”.

Drzwi do sali otworzyły się szerzej i do pokoju weszło kilku mężczyzn w garniturach. Byli miejscowi, w różnym wieku, otyli i szczupli. Rozeszli się po salce, zagadując innych urzędników i mundurowych. Rozdawali Polakom miłe, podejrzenie uspokajające uśmiechy.

Telefon, który z trudem mieścił się w kieszeni garsonki, zabrzączał. Barbara szybkim ruchem wydobyła go na wierzch.

– Muszę przeprosić. – Znowu błysk perłowych zębów i tylko udawany żal. – Przywołują mnie... Robi się jakiś problem. – Momentalnie spoważniała.

– O co chodzi? – zainteresował się Adam. – Chciałem tylko jeszcze zaproponować... – dodał szybko, kiedy Barbara zaczęła się oddalać – ...jakieś spotkanie przy lampce... – Sam wiedział, że urok prysł i brzmi nieomal błagalnie. A tego kobiety nie lubiły. – Coś poważnego? – rzucił nieco głośniejszym głosem w ostatniej próbie przedłużenia konwersacji.

– Proszę zerknąć na ekran. – Dziewczyna wysunęła szyję w stronę telewizora. – Póki co, do zobaczenia, panie Adamie...

Thomal stał jak porzucony, tyle że wściekły pies. Bał się zrobić jakikolwiek ruch. Nie nawykł do takich zakończeń. Wymyślił, że pokręci się przy kanapkach i będzie udawał, że wszystko jest okej. Wystarczyło jednak, że podniósł wzrok, i pierwsze, co ujrzał, to Maciek i inspektor Gdula z wbitymi w niego spojrzeniami, jakby był jakimś obiektem badań. Maciej uniósł filiżankę kawy w geście toastu, puścił oko i uśmiechając się, pokręcił głową. Tak, Adam miał świadków swojej małej klęski.

Twarz nasza mu krwią i chyba zaczynał się rumienić. Obrócił się szybko, udając, że nic nie widział, i podszedł bliżej telewizora, podobnie jak Marko i inni Ukraińcy.

– Coś niedobrego? – spytał Thomał kumpla, uciekając od niepowodzenia sprzed chwili.

– Czekaj – poprosił poruszony ukraiński policjant.

Na ekranie mieszały się różne obrazy. Pierwsza ich seria była nagrana telefonem komórkowym lub kamerą niskiej jakości, gdzieś z ukrycia. Na ulicy między blokami widać było jadące wolno jeden za drugim rosyjskie czołgi T-72. Nawet Adam wiedział, że armia ukraińska nie używa takiego sprzętu, więc rebelianci nie mogli zdobyć ich od wojsk rządowych. Poza tym nosiły ciemnozielony, jednolity kamuflaż. Ewidentnie były to wozy armii Federacji Rosyjskiej. Drugi film też pokazywał kilka czołgów, transportery BWP-2 i spory konwój ciężarówek, tyle tylko, że cywilnych – niby to oddolną inicjatywę walczących „zielonych ludzików”.

– Moskale wleźli do tych urwanych nam republik... – Marko zbladł. – Nie kryją się, chuje. – Zaciskał zęby. – Chcą oficjalnie wyrwać nasze wschodnie obwody...

Obrazy na ekranie mieszały się teraz z widokami sprzed kilku lat, kiedy Rosjanie dokonywali pierwszej inwazji. Thomał zachodził w głowę, czy to jeszcze materiał przypomnieniowy, czy sprytna zbitka propagandowa, która miała się odwoływać do czarnych wspomnień.

– Myślisz, że to grozi wojną? – z trudem wypowiedział pytanie po polsku. – Pójdą dalej?

– Wojnę, kolego, mamy cały czas... – odparł Marko z przekąsem, nie odrywając wzroku od telewizora. – Czy pójdą...? Cholera wie. – Podrapał się po głowie. – Jak się u nich zacznie bardzo sypać, to mogą, dla odwrócenia uwagi, ale czy ja wiem... Generałowie i kagiebiści zaryzykują swoimi nakradzionymi majątkami?

Adama to nie uspokajało, ale imponowała mu taka znajomość tematu u kolegi.

– To jak u nas... – Marko ściszył głos i przysunął się bliżej ucha Polaka, chyba w obawie przed dzieleniem się opiniami przy swoich. – Bogaci złodzieje, oligarchowie, kupili prezydenta i chcą trzepać kasę, jakby jej jeszcze mało mieli. Im wojna się nie widzi, nawet jeżeli chodzi o całość terytorium. Oddadzą, już oddali, tyle, ile Moskwa poprosi... Smutne, ale prawdziwe. – Przygasał.

– No, a te rozruchy w kraju, te czołgi? – Adam wymachiwał palcem, ciągle nieprzekonany.

– Te kilka czołgów? – zachnął się Marko. – Proszę cię, bez żartów, co? Te burdy na ulicach to też dzieło Moskali. Wiesz, że dokładają do ognia, bo to ich metoda...

Ale czy wyniknie z tego coś poważnego? Będziemy się tak tłukli między sobą... Zresztą – Ukrainiec głośno ziewnął, ale zaraz zasłonił usta – robią popisy z okazji przyjazdu waszego prezydenta. Wizyta tutaj, potem jednostka wojskowa... Sam wiesz, jedziesz tam, ty waśniaku. – Mało subtelna, ale dobrotliwa sójka ugodziła Adama w bok.

– Jak...? – Thomal wprost jęknął. – Skąd o tym wiesz, do cholery? – Zbladł i pod czaszką mu zaszumiało.

– A co, nie mówiłeś? – Marko cudnie odegrał zaskoczenie. – Tu jest Ukraina. Tu nie ma tajemnic, a jak są... to możesz sobie je kupić. – Roześmiał się, ale zaraz dobry humor gdzieś zniknął. Chłopak nadstawił ucha, twarz mu stężała. – Patrz – uciał dalsze pytania Thomala.

W wiadomościach leciała relacja na żywo. Znowu były nie najlepsze ujęcia, trzęsący się obraz. Tylko kilka nagrań było robionych profesjonalnie, ale z daleka. Wszystkie pokazywały dwa płonące auta terenowe na środku jakiejś nie najpiękniejszej ulicy. Adam widział powybijane okna, ogień liżący jakieś parterowe budy, jakby stragany. Wkoło szczątki, krew i kilka przedmiotów przypominających nieruchome ciała.

– Boże, to tu...? – Zląkł się, nie łapiąc przekazu.

– Nie... – uspokoił go cicho Marko. – Mówią, że to w Groznych. U Czeczenów coś wywaliło. Ciekawe. – Marko uniósł brwi, spoglądając na przyjaciela. – Pierwszy zamach od cholera wie jak dawna... – Kręcił głową, nie dowierzając. – I że to puścili... Sfilmowali w ogóle...

– Naprawdę robi się wkoło ciekawie – tylko na taki komentarz było stać Adama.

Thomal spojrział na zegarek; najchętniej przyśpieszyłby ruch wskazówek. Chłód rozszedł się od głowy po same stopy i polskiemu policjantowi zrobiło się niedobrze.

Chciał tylko zdobyć kilka punktów na rzecz dalszej kariery, a potem rzucić to w diabły. Miał łapać bandytów, potem nadzorować takie czynności u sąsiadów, a nie zbliżać się do wielkiej polityki, której wolał nie rozumieć.

*

Wasilij „Doktor” dźwignął się z przygotowanego posłania w głębi niedużego lasu. Wyściółka z goretexu, odpowiednie maskowanie i gruba tkanina składały się na to jego lokum. Przeciągnął się, czując, jak łamie go w gnatach. Ułożył swoją pelerynę,

która wedle zapewnień wynalazców miała ograniczać ślad termiczny dla środków współczesnej obserwacji.

Złapał karabinek i wolno ruszył w głąb pozycji. Próbował wykryć, gdzie leży reszta tej całej czeredy, ludzie jego i Saszki. Gdzie pokryli się snajperzy i czujki.

Tylko stanowisko Saszki i jego pomagiera od elektroniki wyzierało z gęstwiny. Byli w płytkim, szerokim wykopie osłoniętym zadaszaniem z „niewidocznego” materiału.

– Nowości? – rzucił, wpraszając się do ciasnego dołu.

– Nudzi ci się? – Saszka siedział na brzegu, wpatrzony w osłonięty od odblasków słońca ekran komputera.

– Nie ten wiek... – Wasilij mówił całkiem poważnie. – Oni są do tego. – Wskazał gdzieś na las. – Dobrzy są, kurewsko dobrzy. Nie sposób poznać... – Przesadzał z tymi pochwałami ze względu na młodego od komputera.

– Wiem. Mówiłem – uciął Saszka. – Wszystko dobrze – przeszedł do meritum. Nie lubił się rozpraszać w środku misji.

Wasilij wpatrywał się w ekran. Mapa, bardzo dokładna mapa, obejmowała spory kwartał okolicy. Jej zmniejszona część wskazywała obiekt ich zainteresowań i pozycję, którą zajmowali.

Widzieli obszar w promieniu dobrych pięćdziesięciu kilometrów. Gdyby zażądać poszerzenia perspektywy, magicy przy wozach mogliby sprowadzić silniejsze „oko”. Wszystko z bardzo, bardzo wysoka. Sam, co prawda, lubował się w takich nowinkach jak te małe, ciche drony, ale wiedział, że przy kontrobservacji nieprzyjaciela, zbliżonej albo i przewyższającej możliwościami, użycie BSL byłoby niebezpieczne.

– Druga część? – zapytał. – Jak Terminal II? – uściślił.

Operator systemu spojrział przez ramię na Szczyłowa, oczekując pozwolenia. To on był tu szefem i jemu miał bezwzględnie podlegać.

Saszka kiwnął nieznacznie głową.

– Pierwsze zespoły zaczęły się rozwijać – referował bojowy informatyk. – Dostaliśmy krótką wiadomość. – Postukał palcem w niewielką skrzyneczkę przyłączoną do komputera. Świeciło się na niej kilka lampek, a zwieńczona była smukłą, długą anteną. Koder i dekodek satelitarny w jednym miejscu. – Wszystko *via* Dziadek Mróz. Podwójnie zabezpieczone wiadomości – mówił z dumą – dla zyskania czasu. Zanim to wykryją i ewentualnie odczytają, będziemy daleko...

– Dobra, co z Terminalem? – Wasilij chciał konkretów, a nie opisów nowoczesnej techniki.

– Słyszałeś, rozwinęli się, ale...

– Ale? – Doktor zląkł się.

– Zaczęli ich obwąchiwać – wyjaśnił prędko Saszka. – Dobrze ich nauczyłeś. Potrafią improwizować, a także wymusić posłuch. Może weszli za wcześnie, to ich błąd, ale na razie przycupnęli. Nie szumią. Poczekają z resztą...

– Poczekają... – Doktor podrapał się po brodzie pokrywanej się ostrym zarostem.

– Dobrze – sapnął i dźwignął się. – Dajcie znać, jak cel ruszy, bo ja za stary... – znów zaczął się nad sobą użalać lub zwyczajnie się zgrywał z nudów.

– Dasz radę. – Szyków nie bawił się w wyszukane pocieszenia. – Idzie dobrze. Pod kontrolą. Skończymy to i spokój – powiedział jakoś melancholijnie i wpatrzył się w ekran. ■

ROZDZIAŁ 5

Prezydent Rzeczypospolitej zakończył spotkanie uściskiem dłoni. Nie był on ani silny, ani szczery. Ot, taki symbol na finał nudnej i niezbyt przyjemnej rozmowy.

Nie było wiele fleszy ani dziennikarzy. Filmowały to zaledwie dwie kamery.

Niższy o ponad głowę, młodszy od Polaka przywódca Ukrainy bez przekonania wymieniał te uprzejmości. Był zadziorny, udawał obrażonego.

Polak próbował go zagadywać, kiedy odprowadzano ich do drzwi, ale ukraiński prezydent nie podejmował rozmowy.

Wizyta była robocza, toteż wyjście, do którego zmierzali politycy, nie było głównym. Pojawienie się na ulicy Bankowej przed wielkim, przysadzistym gmachem administracji prezydenta uznano za niepotrzebne ryzyko, mimo że ten odcinek i tak był zamknięty dla ludzi.

Kolumna aut parkowała na ciasnym podwórzku gdzieś na tyłach budynku.

– Dziękuję za poświęcony czas i mam nadzieję, że powrócimy do tematu. – Polak pierwszy wyciągnął dłoń, co było może nie na miejscu oraz zdradzało rozpaczliwość podejmowanych przez niego prób szukania śladu dialogu.

– Tak, również mam taką nadzieję. – Ukrainiec stanął na baczność i ukłonił się elegancko.

Podziękowanie było tylko elementem etykiety. Obydwaj mężczyźni mieli wkrótce widzieć się znów na niewielkiej uroczystości w budynku MSW.

Członkowie delegacji polskiej zostali zimno, acz grzecznie pożegnani przez głowę państwa ukraińskiego i sztab jego pomocników.

Polacy zaczęli zajmować miejsca w swoich autach.

Porucznik Kerc, wtopiony w grupę o wiele elegantszych niż jego zespół funkcjonariuszy SOP, jak zawsze w takich chwilach lustrował okna i dachy studni wysokich kamienic.

Dowodzący akcją major rzucił przez radio:

– „Pierwszy” w aucie. Gotowe.

Był to sygnał, by ochroniarze także wsiadali do wozów. Ludzie z Lublińca mieli robić to ostatni. Jechali dwoma SUV-ami – z przodu i pod koniec kolumny. Paru specjalistów od elektroniki podróżowało niepozornym busem z kilkoma antenami na

dachu.

Kolumna jednak nie ruszała. Prezydent zażądał chwili zwłoki.

– Obraził się. Cholerny aktor się obraził! – polski prezydent dał wreszcie upust nagromadzonej w nim bezsilnej wściekłości.

Waligóra przytaknął niemo, kiwając się cały. Słuchał, ale zaraz sięgnął po niewielki tablet i go włączył. Wyciągnął telefon służbowy i również go uruchomił. Po kilku chwilach obydwaj urzędnicy zaczęły wydawać dźwięki informujące o nowych wiadomościach i nieodebranych połączeniach.

– Jestem ciekaw, czy pan aktor popędził dzwonić do Waszyngtonu ze skargą? – „Pierwszy” patrzył za okno, podpierając się dłonią. – Jakbyśmy sami to wszystko obmyślali – mruzczał z niesmakiem.

– Niech dzwoni – sarknął Waligóra. – A nuż ktoś odbierze? Zresztą, odbiorą, ale z tego, co pamiętam... – udawał wątpliwość – oczekuje się tam naszej opinii.

– Właśnie... – sapnął prezydent. – Dobra, jedźmy, bo za długo tu kwitniemy – polecił oficerowi na przednim siedzeniu.

Ten przekazał sygnał do reszty. Zabuczały policyjne syreny i kawalkada pod eskortą radiowozów wytoczyła się na ulicę.

– Jaka będzie nasza – wyraźnie podkreślił to słowo – opinia? Że niby komu dali się kupić bardziej? Swoim oligarchom czy europejskiej „elicie”? – Głowa państwa zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu. – Zresztą tutaj to przecież to samo. Wszyscy zapatrzeni w Moskwę jak w złotego cielca, a to stękająca staruszka...

– Nie taka stękająca – zaoponował Waligóra, odrywając się od tekstów wiadomości. – Ma tam kilka rakiet...

– I kilka problemów – dopowiedział trafnie prezydent. – Co tam jest... – wskazał na tablet – o tym Groznym? Pana aktora niewiele to jakoś obeszło. Nie jego podwórko albo nie ogarnia jeszcze zależności.

– Zabito jakiegoś gagatka z rządu Republiki – czytał na głos minister. – Kilku ochroniarzy, paru cywilów. Temat puściła lokalna stacja, jedna z tych w kieszeni Aśłana.

– O – zaciekawił się prezydent i wykrzywił usta. – No, ładnie... A któż taki podniósł rękę na umiłowanego przywódcę w tym policyjno-mafijnym państewku?

– Odpowiedź może być naprawdę ciekawa... – Waligóra zacisnął wargi. Pod okularami błyszczało podekscytowane spojrzenie. – W notatce tego nie ma – stuknął

w ekran – ale wychodzi na to, że Kreml nie komentuje sprawy. A to wszystko z wczoraj. O tych czołgach też nic. Skądś to znamy?

– Było tak, już tak kiedyś było. – Pierwszy obywatel zapatrzył się w widok śródmieścia Kijowa za oknem. – Ty mi lepiej doradź... – odezwał się po chwili bardzo rozżalony – co ja mam robić z tym wszystkim. – Pacnął dłonią w szybę. – Po co my tu?

Tracił parę. Zżymał się ewidentnie na swoje własne niepotrzebne bohaterstwo.

– Podajemy im pomocną dłoń. Mamy *backup* zza oceanu, wystawiam się na oplucie, a oni mają to w dupie. – Jego irytacja rosła, o czym świadczyła coraz większa swoboda w doborze słów. – Nie rozumiem. Ręce opadają. Słyszałeś te okrągłe słóweczka. Planujemy, rozmawiamy i tak dalej, i tak dalej, a ruskie wprowadzają czołgi. Na teren, który za zgodą prezydenta kraju stał się autonomią. Został oddany. No dobra... – uprzedził protest doradcy. – Nie mieli wyboru, ale do cholery, mogliby to jakoś inaczej sprzedać. Próbować. A teraz? Oddadzą im to wszystko na własność?

– Przecież opór będzie za duży, nie, to nie wyjdzie – prowokował minister, choć w pełni zgadzał się z szefem.

Prezydent wyłapał kpinę.

– Tak, opór – burknął i zaczął pocierać skronie. – Po dzisiejszej rozmowie zastanawiam się, czy aby nie wezwą Moskwy na pomoc. Skoro godzą się na jej obecność jako wojsk pokojowych na wschodzie... – Machnął rękami. – Dziwny to przekładaniec, oj, dziwny. Nic nie jest tak, jak powinno. Ilu tych zbuntowanych to ruska agentura? Albo pacholki najbogatszych, ale to na jedno wychodzi. A na pewno zmanipulowani. – Znów patrzył na krajobraz stolicy. – Tylko ludzi szkoda, bo się zupełnie nie liczą. Zdaniłow na przykład. – Ukraiński oficer wyraźnie imponował głowie państwa. – Tyle poświęcił... jak oni wszyscy...

Na chodniku mijanym przez limuzynę stały resztki wyblakłych transparentów z hasłami obrony kraju. Widomy symbol niedawnych zająć w Kijowie.

– O niego mój szanowny kolega miał najwięcej żalu – przypomniał sobie prezydent. – Nieprawdaż?

– Tak, choć nie powiedział tego wprost – potwierdził Waligóra, chowając tablet – same drobne przytyki, ale fakt, jakby to było najważniejsze. I mało go obchodziło, że za przyjazdem Zdaniłowa optowali też jankesi. Masz rację... Kijów niewiele już obchodzi zdanie Waszyngtonu. Łypią na Berlin albo Moskwę...

– A to, co dziś im wręczymy? To, co przywiezie generał Logan... – Prezydent bał się dokończyć potworną wizję sprzedaży tego całego nowoczesnego złomu za grube miliony. – Szkoda, po prostu szkoda. – Teraz począł pocierać czoło. – Dobrze... Zaraz chyba będziemy. – Wziął się w garść, przechodząc do kolejnego punktu dnia. – Przypomnij mi nazwiska odznaczanych. Nie chcę palnąć gafy.

Tylko się krygował. Pamięć miał dobrą, nie robił pomyłek na takim szczeblu.

– Jeszcze jedno... – Coś wciąż zaprzętało jego umysł. – Wracając do Zdanilowa... Uważasz, że on zagrozi... temu? Z tej mąki może być chleb? – bardzo ogólne, ale niebezpieczne pytanie zawisło we wnętrzu auta.

– To wszystko zależy, panie prezydencie, wszystko zależy. Od tego, jak zareaguje społeczeństwo, całe, nie tylko na zachodzie kraju, i czy da się kupić.

– A wiemy, że się nie da, bo nienawidzi tej bandy – dokończyła głowa państwa ciszej. – Jeżeli dzisiejszy dzień nie pchnie Kijowa do jakichś rozważniejszych posunięć, do twardości, to... Ktoś gdzieś może przekierować swoją uwagę.

Zamilkli obydwaj. Wycie syren i praca silnika bmw zdawały się o wiele donośniejsze niż przed chwilą.

Prezydent RP znów – jak przez wiele poprzednich dni – zmagał się z wątpliwościami. Próba wpływania na miejscowe władze albo dokładniej pobudzania w nich woli oporu to jedno. Druga rzecz – plan pomocniczy, który tak szybko podchwycili Amerykanie, nie był do końca fair. Nie wydawał się realny, nie w tej chwili, ale mimo to prezydent uznawał, że byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby ten gambit jednak doszedł do skutku. Miejscowy establishment miał przynajmniej czuć czyjś oddech na plecach.

Telefon ministra Waligóry zabręczał, kiedy auto skręcało w ostatnią prostą do polskiej ambasady – małego przystanku przed dalszą podróżą. Ta część planu zakładała odświeżenie się i wymianę poglądów na gorąco z ambasadorem.

– Ciekawie się robi, doprawdy... Jest informacja. Ze świata. – Taki eufemizm stosowali na określenie któregoś niewidzialnego źródła: polskich albo częściej zagranicznych służb, tajnych lub dyplomatycznych. – W Moskwie posiłki policyjne w okolicach Dumy i placu Czerwonego. Na Kaukazie zaś w kilku miastach postawiono w stan gotowości Rosgwardię.

– To po zamachu w Groznym – głośno myślał prezydent. – Myślisz, że tam też coś zaczyna się wywracać czy...? Cholerni szachiści są zdolni do takich numerów, żeby

odwracać uwagę?

Nie chciał się nawet domyślać, co miało pozostać w ukryciu, gdyby ta teoria się sprawdziła.

Samochód wtoczył się na niewielką przestrzeń za budynkiem ambasady i przystanął. Ochroniarz z przodu wysiadł i pośpieszył otworzyć drzwi. Na zewnątrz czekał już uśmiechnięty ambasador.

*

Kamil „Monsignore” siedział przed komputerem nieprzerwanie już ponad dwie godziny. Oczy lekko go piekły z niewyspania i od ekranu. Wiercił się, kiedy przebiegał wzrokiem kolejne informacje na monitorze, klikał kolejne ikonki i wpisywał hasła upoważniające go do korzystania z kolejnych tajnych systemów. Palcami drugiej dłoni przesuwiał zapalniczkę, odpędzając coraz silniejszy pociąg do nikotyny.

Kapitan Bratnowski też robił, co mógł, raz szperając w wewnętrznych sieciach, to znowu wykonując połączenia na zewnątrz tego betonowego schronu przy użyciu kodowanego aparatu.

Za drzwiami szarego, ascetycznego pokoiku, który wyprosili u gospodarzy, zaszumiało od kroków większej liczby ludzi. Drzwi się otworzyły i w szparze ukazała się blada buzia rudowłosej Julii.

– Pożar? – kiepsko zażartował Bratnowski, nie odwracając głowy od ekranu.

– Wadim zaczął się spowiadać. – Julia była zachrypnięta od tych ciągłych przesłuchań. – Rzucił nowiną, że u nas coś będzie. – Powinna być dumna, że wycisnęła z niego coś konkretnego, ale znużenie na to nie pozwalało.

– No proszę, gratulacje – Kamil wystawił głowę z za swojego urządzenia i szczerze pochwalił koleżankę. Ta dziewczyna coraz bardziej mu się podobała.

– Mamy mało czasu. – Szwedka ziewała. – Turbany... – To określenie nie pasowało do przedstawicielki narodu tak dbającego o poprawność polityczną. – Ale ruski wiedzą... Znowu, ciekawe, nie? – Nie miała siły się uśmiechnąć, nawet ironicznie. – U was jak? – Przymknęła drzwi.

Kamil posłał dowódcy ukradkowe spojrzenie. Tak, Julia była naprawdę dobra.

– Skoro już chcesz szpiegować, to mów wprost. – Monsignore nie miał czasu na szarady i odkrył karty od razu.

Dziewczynie wróciło nieco koloru. Zmęczenie jakoś przedziwnie złagodniało.

– Też jestem ciekawa – jeszcze usiłowała się bronić.

– Ty czy reszta? – docisnął Bratnowski.

– Jesteście gośćmi, więc... – Julia rozłożyła ręce na znak, że nie mają wielkiego pola manewru.

– Coś tam wam też pomogliśmy. Spokojnie, gdyby coś miało was dotyczyć... podzielimy się. Znasz nas, a my znamy zasady. Na razie... – Kamil przymknął ekran tak, żeby dziewczyna go nie widziała. – Jest taka magiczna kula, która służy NATO do przewidywania przyszłości. Ja mogę w nią zajrzeć, pan kapitan też, ty, słonko... – puścił oko – póki co niestety nie. Zasady. Możecie spojrzeć, dopiero kiedy ktoś na górze zezwoli, i to po konsultacjach. Ja po starej znajomości mogę opowiedzieć. – Wskazał krzesło przy niedużym stole.

Julia usiadła i podparła głowę rękami. Już nie grała, naprawdę gotowa była zaraz zasnąć.

– Szukamy wątków. Ruskiej albo ukraińskiej aktywności. Jak w tym naszym przypadku – Kamil, za pozwoleniem kapitana, bez zwłoki zaczął opowieść. – Jest tego sporo i ogarnąć to, przeanalizować będzie trudno. U was z jakiegoś względu coś się ma wydarzyć, a taki tu spokój. Uznaliśmy więc, że u nas, na krańcu wielkiego świata, też coś pieprznie, bo nie ma przypadków. I jeszcze ten zamach w Groznych, te ruchy policji i kremłowskiej gwardii. Fiu, fiu – zagwizdał – ktoś nieładnie się bawi. Szukamy powiązań w meldunkach systemu, czy coś się nie zaczyna w kierunku Polski. U nas cicho, choć parę ruchów koledzy ze Wschodu zrobili. Posłali swoich w teren i się pourywali. Nie wszyscy. Inni się odnaleźli. Znaczą odwiedza martwe skrzynki albo magazyny. Na razie nic, ale tiku w oku dostaję i dupa mnie swędzi jak na wizytę teściowej, więc coś musi być na rzeczy.

Szwedka zachichotała krótko.

– U waszych sąsiadów z za Sundu też coś wyskoczyło, ale muszę się dogrzebać – Kamil sprawnie referował dalej.

W takich właśnie chwilach ujawniał się cały ten jego zapach. Lubił tę robotę. Ciągłe dodawała mu adrenaliny, najlepszego leku na braki w ludzkiej wytrzymałości.

– Będzie coś? – Julia zrozumiała, że więcej nie powiedzą i jej zagrywki na niewiele się tu zdają. Zwłaszcza że Polacy byli na razie na początku drogi.

– Zobaczymy... Mam swoje typy, ale... Na razie szukam dowodów. – Znowu

mrugnął, tym razem zalotnie.

Julia wstała od stołu i obdarzyła obu facetów ciepłym uśmiechem.

– No to powodzenia, chłopaki – rzuciła jakoś tak dziewczęco i znów spojrzała na Kamila. Długo i głęboko.

Odczytał znak. Podszedł ją.

– Wpadnę jeszcze – powiedziała cicho i wyszła.

Kamil cmoknął. Sapnął i znowu zanurzył się w sieć.

*

Miasto Kropywnik nie było metropolią. Nie było to imponujące ani urokliwe miejsce. Centrum tej miejsciny zapełniały parterowe i piętrowe domy. Niektóre kamienice pamiętały dawne, carskie czasy i o dziwo, przetrwały wszystkie nawały historyczne. Same zaczynały się rozpadać z braku funduszy lub były podtrzymywane wielkim staraniem lokatorów. W miejscach, gdzie zabytki obróciły się w perzynę, wstawiano masowo współczesne, kwadratowe plomby o absolutnym braku urody.

W centrum znajdował się plac, dawniej rynek, dziś parking i miejsce dla handlu w kilku budkach. Było tu jednak wiele nienachalnego uroku. Gdyby ktoś bardzo chciał, mógłby poczuć namiastkę ducha dawnych czasów. Starano się choćby odmalowywać co bardziej wiekowe elewacje, dodając nieco życia śródmieściu. Nie istniały tu wykwintne ozdoby, iluminacje i przybrania godne Kijowa czy tym bardziej miast zachodnich, ale tutejsi lubili tę część miasteczka. Widać było, że zachodzi jakaś zmiana. Różnica między centrum a o wiele bardziej bezbarwnym przedmieściem była wyraźna. Tam ludzie żyli w niskich blokach z drobnej szarej cegły z nieodzownymi balkonami osłanianymi blachą falistą.

Tuż pod miastem było jeszcze mniej słodko. Niewielkie wsie z domostwami otoczonymi wysokimi płotami i murami. Dziwaczne konstrukcje wznoszone z tego, co było pod ręką.

Kropywnik nie istniał w świadomości ani Ukrainy, ani świata. Był jedną z milionów zapomnianych przez wszystkich dziur. Toteż cały czas wielu, zwłaszcza młodych, uciekało stąd gdzieś dalej, do cywilizacji. Ostatnimi laty, kiedy do miasteczka sprowadzono na nowo wojsko i rozbudowano garnizon nowoczesnej jednostki, nadzieja wstąpiła w miejscowych. Było nieco więcej pracy, potok emigrantów lekko przysechł.

Za wojskiem – albo za namową któregoś z bogatych, którzy przyssali się do nowych rządów w Kijowie – w okolicy powstały dwa zakłady. W rezultacie ten nieporadnie odnawiany plac w środku Kropywnika coraz częściej wypełniał się spacerowiczami w nieco lepszym nastroju. Zwłaszcza w niedziele, kiedy grupki ludzi przechodziły ulubioną trasę od centrum do pobliskiej rzeczki, przez most i dalej zielonymi ścieżkami po łąkach i wałach.

Miasto dalekie było jednak od ideału, a te łąki i skwery zaśmiecały sterty szkła, czasem puszek, choć to akurat był chodliwy towar. Wielu mieszkańców popijało tego i włóczyło się bez celu, i jakoś nikt nie zastanawiał się, z czego żyją albo skąd właściwie biorą się tutaj coraz to nowi menele.

W parne przedpołudnie dwudziestego maja niepozorny, zgarbiony mężczyzna w trudnym do określenia wieku trzeci raz od świtu wyszedł ze swojego mieszkania w gnijącym baraku, należącym kiedyś do jednej ze spółdzielni pracowniczych. Ponad miastem niósł się dudniący dźwięk silnika jakiegoś helikoptera.

Miejscowy ubrany był w długi, wyblakły i miejscami dziurawy T-shirt, spodnie dresowe, również nie pierwszej świeżości, i pospolite trampki. Nie golił się długo. Twarz miał szarą, spojrzenie mętne. Luźna koszulka maskowała jednak skutecznie ciągle imponującą muskulaturę.

Mężczyzna rozejrzał się wkoło i spokojny, że nie wzbudza niczyjego zainteresowania, podszedł do pordzewiałej rynny, do której przymocowany był rower. Pospolity składak kupiony dawno, dawno temu w Polsce czy NRD.

Facet wsiadł na bicykl i popedałował zwawo w stronę, z której dobiegał odgłos syren policyjnych. Dźwięki dochodziły z okolicy dworca autobusowego, a właściwie pełniącego tę funkcję zwykłego placu. Do celu było niecałe dwa kilometry, toteż podróż minęła szybko mimo coraz większego skwaru.

Mężczyzna odbił w prawo, ciekawy, jak wygląda sytuacja na rynku i w przyległych zaułkach. Musiał uważać, by nie postradać koła albo nie wypaść z siodełka na wciąż koszmarnie dziurawych drogach nawet tam, w ścisłym centrum.

Dwa radiowozy obstawiały plac i parkingi. Policjanci nie byli tutejsi, musieli przybyć z obwodu. Mieli nowe auta, nie te złomy z miejscowej komendy. Funkcjonariusze nie byli też tak obojętni i znużeni, jak lokalni łapówkarze.

Po okolicy spacerowało kilku ludzi w starych mundurach. Kręcili się bez celu albo zachodzili do sklepów. Nic więcej nie dało się robić w tej „turystycznej perełce”.

Mężczyzna mocniej nacisnął pedały i wjechał w jedną z bocznych alejek. Minął go GAZ żandarmerii wojskowej, co rowerzysta też uznał za ważny element swojej obserwacji.

Kiedy dowlókł się wreszcie w pobliże dworca, zsiadł z roweru.

Na dziurawym placu zebrało się kilkunastu ludzi, młodszych i starszych. Wśród nich stało też kilku weteranów. Przyjechali autobusami, które pod eskortą policji odstawiono tu jakiś czas temu, bez podania przyczyny.

Tu też byli policjanci. Pilnowali porządku i ciągle spisywali przybyłych. Dudnienie wirnika śmigłowca było w tym miejscu wyraźniejsze. Przelatywał nisko, gdzieś za strzelistymi topolami. Ktoś dozorował to miejsce, uważając je za bardzo istotne.

Zgodnie z zasadą, że obserwator nie powinien zwracać na siebie uwagi, cyklista podreptał do najbliższego kiosku, popękanej blaszano-tekturowej budki z szybami zastawionymi najrozmaitszymi produktami, niczym w sklepie kolonialnym. Wziął dwa piwa i ruszył dalej, pchając rower i co rusz łypiąc na zbiegowisko.

Zastanawiał się, czy to, co widzi, co przekazuje od zeszłej nocy, będzie pożyteczne. Bardzo by chciał, aby tak było. Nie mógł się wręcz doczekać, żeby efekty jego mozolnej pracy, tych paru lat tkwienia tutaj, wyzwoliły go w końcu z tej dziury.

Rano nie zgrał jak należy wszystkich elementów albo młodzież działała zbyt nerwowo i pojawiła się za wcześnie. Nie było to jednak tak istotne dla tych, którzy byli ponad nim. On odpowiadał jedynie za niewielki wycinek planu, który otrzymał do realizacji dwa tygodnie temu, ale który właściwie był gotowy, tylko zamrożony, od bardzo, bardzo dawna.

Mężczyzna wjechał w nieduży las czy może zdziczały park na obrzeżu. Cisnął rower w krzaki nad brzegiem strumyka i otworzył piwa. Upewnił się, że nikt go nie widzi, i wylał prawie wszystko do wody. Ostatni łyk wylał na siebie i wrzucił butelki między gałęzie.

Następnie z głębokiej kieszeni wydobyl telefon. Nowoczesny aparat nie pasował do pocziwego menela cyklisty. Był czarny, obudowany specjalną twardą powłoką, dołożono też do niego niedużą elektroniczną kostkę zapewniającą lepsze szyfrowanie przekazu.

Wybrał numer. Nie czekał długo na połączenie.

– Czekać na znak – mówił cicho, przez zaciśnięte usta, ciągle ostrożny. – Pilnują

się dobrze, nauczyli się albo im podpowiadają. – Nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę, przekazywał tylko polecenia. Powtarzał po raz wtóry te same informacje. Teraz chciał być pewny, że nie będzie dalszych wpadek. – Kontroluję wszystko – oznajmił nieco na wyrost. – Uprzedzę albo wy przejdziecie od razu do części drugiej... *Paka* – rzucił do telefonu i zakończył połączenie.

Upewnił się jeszcze raz, czy nikt go nie podsłuchiwał. Wygrzebał się z zarośli, wsiadł na rower i zaczął podróż powrotną szerokim, dalekim objazdem. Miał ich wykonać tego dnia jeszcze kilka.

*

– Panów postawa, odwaga i ofiarność... – Prezydent przemawiał do zebranego audytorium w miejscu, które kiedyś musiało być salą balową. Mówił po ukraińsku z niewielkimi potknięciami, posiłkując się dyskretnie kartką. – I zdaję sobie sprawę, że to oklepany frazes, ale to też najczystsza prawda... Taka postawa to symbol wsparcia dla władz w Kijowie w walce o normalizację i europejskie standardy. – Był urodzonym retorem i potrafił nawet z krótkiego wystąpienia wykrzesać emocjonalny przekaz. – Czyny tych funkcjonariuszy... – wskazał dłonią na stojących na baczność policjantów i ukłonił się płytko, podkreślając moc swoich słów – ...czyny tych funkcjonariuszy to namacalny dowód na owocną współpracę pomiędzy Rzeczpospolitą a Ukrainą, pomiędzy wspólnotą europejską a ukraińską republiką. Poświęcenie, pot, ale i krew – uniósł palec w kategoriycznym geście – umacniają suwerenność państwa i kawałek po kawałku odbierają ciemnym siłom władzę w kolejnych obszarach. Dziękuję wam, panowie, z całego serca, i liczę... wiem, że dajecie przykład dziesiątkom waszych kolegów, którzy jak wy nie boją się opierać bezprawiu i, choć nie jest to łatwe zadanie, walczyć każdego dnia o prawdziwie wolną i dostatnią Ukrainę. Nowoczesne i sprawiedliwe państwo. Dziękuję – zakończył, kłaniając się raz jeszcze z dłonią na sercu.

Nad wyraz górnolotne przemówienie zostało nagrodzone brawami. Niski prezydent Ukrainy wyciągał wysoko dłonie i z uśmiechem wyuczonym w szkole aktorskiej pognał uściskać dłoń polskiemu odpowiednikowi.

Błysnęło kilka fleszy, ale nie tak wiele jak zazwyczaj przy tego rodzaju okazjach.

Ten gest przez policjantów i urzędników, niewyrobych politycznie i nieznaną atmosferę międzynarodowych deliberacji, został wzięty za przejaw

jakichś specjalnych więzów, może nawet i wzajemnej sympatii.

Blondynka w służbowym kostiumie reprezentująca biuro rzecznika ogłosiła, że to koniec części oficjalnej. Wtedy brawa wybuchły jakby nieco głośniej.

Adam oraz reszta nagrodzonych Polaków, Ukraińców, Holendrów i kogo tam jeszcze zebrano, nieco się rozluźnili.

Polski prezydent jako bardziej obyty w polityce, nauczony zagrań pod masowego odbiorcę, objął dobrodusznie niższego kolegę i uprzejmie wskazał szpaler funkcjonariuszy, zachęcając go do rozmowy z policjantami. Już w luźniejszej atmosferze, co zawsze dobrze wyglądało w relacjach medialnych, ale i zwyczajnie należało się wyróżnionym.

Za głowami państw stąpali dostojnie, acz w należytej odległości, minister spraw wewnętrznych Ukrainy, polski szef MSZ oraz ukraiński prokurator generalny. Prezydenci złożyli gratulacje szefowi misji wsparcia dla policji w Ukrainie. Zamieniali kilka słów, kiedy Adam poczuł, jak Marko trąca go w bok.

– A ja jestem ciekaw... – szeptał, komicznie wykrzywiając usta – ...czy ten nasz to w ogóle zrozumiał coś po ukraińsku. – Zabulgotał, dusząc się śmiechem.

Thomal parsknął, ale hamując śmiech, udał, że kicha. Wciągał nosem powietrze, usiłując pokonać narastającą głupawkę.

– To nie jest śmieszne – sapnął, łykając litery.

Mówił prawdę. Nie było w tej uwadze nic śmiesznego. To nerwowość chwili sprawiła, że posłużyła za iskrę na proch.

– Cud, że ty rozumiesz... – odgryzł się Polak.

Nie był długo w tym kraju, ale wiedział, że po ukraińsku mówiło tu naprawdę niewielu ludzi. Marko i jego druhowie twierdzili, a wiedzę czerpali z opracowań naukowych, że jedynie osiem do dwunastu procent obywateli Ukrainy znało ten język. Reszta była tak naprawdę od pokoleń zrusyfikowana lub stanowiła kolejną generację sprowadzanych tu Rosjan.

– Spokój – burknął surowo stojący obok Maciej, nie chcąc być łączony z tymi wygłupami. – Gówniarze. – Zjeżył się, przejęty chwilą.

Prezydenci zamieniali z każdym kilka zdań, jeszcze raz wylewnie gratulując i chwając wyczyny.

Głowy państw przesunęły się wreszcie do Macieja. Ten meldował gromko i wyraźnie, najpierw po polsku, by zaraz przejść do rozmowy po rosyjsku. Prężył się

przy tym z dłońmi idealnie leżącymi na szwach spodni.

Adam przetykał co rusz ślinę, choć w gardle czuł pustynię. Spiał się, chyba podświadomie chcąc dorównać koledze. Wciągnął brzuch, uniósł nieco wyżej głowę. Właściwie nie wiedział po co. Dekoracja się odbyła. Czas na mniej oficjalną część imprezy.

Kiedy tak gorączkowo obmyślał, jak właściwie ma podejść do tematu, wyrósł przed nim polski prezydent.

Przesunął wzrokiem po komisarzu. Mimowolny uśmiech wykwitł na twarzy prezydenta. Thomal był pewien, że „pierwszy” dostrzegł to jego podenerwowanie i wątpliwości.

– Raz jeszcze pozwolę sobie pogratulować, panie komisarzu. – Uścisnął dłoń Adama. – Po raz kolejny okazuje pan wielki hart ducha i zdolności. – Nie przestawał potrząsać ręką i się uśmiechać. – Ma pan bardzo dobrą opinię, ale i znaczny dorobek. Pozwoliłem sobie zerknąć w parę opracowań...

Maciej obrócił ostrożnie głowę o kilka centymetrów i patrzył z zazdrością, że polski prezydent ewidentnie zatrzymał się przy Adamie na dłużej.

– Pan i koledzy jesteście najlepszą wizytówką Polski. Proszę mi wierzyć. Miejscowe władze bardzo liczą się z waszym doświadczeniem, doceniają chęć pomocy i działania – prawili komplementy, aż Adamowi wydało się, że uszy mu czerwienieją z zażenowania. Chciałby już puścić prezydencką dłoń, iść stąd i nie widzieć chłopaków, którzy po takim kadzeniu chyba gotowi byli urządzić mu kocowę. – Proszę powiedzieć – polski przywódca na moment spoważniał – pan ma jeszcze siły? Parę, by łapać bandziorów? – Przechylił głowę jakby w geście wyczekiwania na dłuższy wywód.

– Czy mam...? To... – Adam plątał się, nie potrafiąc sklecić zdania. Nie sądził, że głowa państwa zaprosi go do dyskusji. Tu i teraz, przy tych wszystkich osobistościach.

– Dokonał pan wielkich rzeczy w policji... – Prezydent przyszedł mu z odsieczą. – Ale wyczyny w Sudanie... – Wydał wargi i kiwał głową, przywołując w pamięci opisy sprawy porwanego samolotu. – Nie mieści mi się w głowie, jak po czymś takim można wrócić do funkcjonowania, i to jeszcze w środowisku tak niebezpiecznym. – Pierwszy obywatel zdawał się być szczerzy w swoich opiniach.

– Tak, to nie było łatwe. – Nie najmilsze wspomnienie owładnęło Thomalem. – Ale widać jestem uodporniony – usiłował przekuć to w żarcik. – Jestem też dobrze

szkolony przez doświadczonych kolegów... – Zrobił niezgrabny gest w stronę Macieja. – To świetni fachowcy. Podobnie jak przełożeni. – Lukier łał się teraz w kierunku reszty zespołu, by nie dąsali się w przyszłości tak bardzo. Kilka cieplejszych słów nigdy nie zaszkodzi. – My tu doradzamy. Współpracujemy z ukraińskimi kolegami. Dowództwo osiąga naprawdę europejski poziom. – Głos uwiązał mu w gardle, mało nie zmieniając się w śmiech.

Przez głowę przemknęła mu scena ze starego, najlepszego filmu. *Miś* i ten cytat z szafy prezesa Klubu „Tęcza”: *Prezes jest jak ojciec najlepszy* albo *Dach wcale nie przeciekał, zwłaszcza że prawie nie padało*.

Komisarz z trudem się opanował. Prezydent chciał mu już odpuścić, ale Thomal musiał coś dorzucić.

– Ja tu tylko doradzam. Ten order... – Położył dłoń na piersi. – Właściwie nie zasłużyłem...

Na te słowa Maciej chrząknął, a stojący w tyle za prezydentem Gdula zrobił gigantyczne oczy.

– To efekt długoletniej pracy wielu ludzi... – Thomal ciągle równo rozdzielał chwałę. – To jest bohater. Przyjął na siebie kule przestępców, jak pan zapewne wie. – Wskazał Marko, a ten puchł z dumy.

– Tak, oczywiście. – Polski prezydent oburącz ścisnął prawicę Ukraińca. – Tego zupełnie nie mogę sobie wyobrazić. – Wpatrywał się w chłopaka, jakby chciał wyczytać z niego jakąś tajemnicę.

Marko zrobił się lekko różowy i też zaczął nieśmiało oponować. Zapewniać, że to był obowiązek, a on chce, by przestępcy przestali wreszcie się panoszyć w jego kraju.

Manewr Adama okazał się idealny. Prezydent Ukrainy tylko ścisnął mu dłoń i z uśmiechem rzucił kilka miłych słów. Cała uwaga najważniejszych osobistości skupiła się na ranionym Marko, tak jak mu się należało.

– Bardzo się cieszę, że znów się spotykamy – dorzucił jeszcze polski prezydent, przechodząc dalej. Dodał Adamowi kilka punktów do zaszczytu, jakiego policjant dostępował. – Porozmawiamy w drodze do... – urwał w połowie, nie chcąc zdradzić za wiele.

– Do Odessy – dopowiedział któryś z przybocznych, podając główny cel wyprawy. Ogólniejszy i przez to bezpieczniejszy.

– Tak jest, panie prezydencie – rzucił Thomal służbowo i dopiero odpuścił nieco

z drylu.

Gdula patrzył na to ze spokojnym uśmiechem i prawie niedostrzegalnie skinął głową w niemej pochwie.

Reszta nic nie mówiła. Rozmowy trwały kilka chwil i zarządzono niewielki poczęstunek. Kelnerzy wnosili tace z kieliszkami z winem.

– Kurczę, chyba jeszcze nie ma jedenastej – fuknął rozbawiony Stefan.

– Cienkusz, i to kwaśny – grymasił Maciej, biorąc szkło. – Zaraz, zaraz! – Udał, że powstrzymuje dłoń Adama. – Ty taki VIP... Poczekaj, tobie pewnie co lepszego doniosą – zadrwił dobrotliwie i sam zaczął się teraz śmiać bez skrępowania.

*

Kamil „Monsignore” zerwał gwałtownym gryzem opakowanie czekoladowego batona. Nie chciał przerywać pracy, toteż druga dłoń spoczywała ciągle na myszce komputera.

Głowa zaczynała go boleć ze zmęczenia, podobnie jak zachodzące krwią oczy. Minęło kilkanaście godzin, odkąd jadł, a ten kawałek czekolady przyniesiony przez jakiegoś Szweda miał mu wystarczyć za posiłek.

Informacji, jakie wyłuskał i rozkładał na czynniki pierwsze, było bardzo dużo. Co kilka chwil Internet w komputerze zwalniał, „trawiąc” kolejno otwierane karty podstron i nadchodzące depesze w wewnętrznych systemach.

– Kurwa ich mać – prawie niezrozumiale wystękał Kamil, plując okruchami czekolady na klawiaturę i ekran.

Dźwignął się i wychylił do kapitana Bratnowskiego, który ślęczał przy swoim komputerze, z trudem opierając się senności. Głowa spoczywała wygodnie na ręce opartej o blat, a powieki z każdą minutą ważyły coraz więcej.

– Ej, panie dowódco – fuknął Kamil, a drobinki batona doleciały i do oficera. – Pobudka! – Coś go zdenerwowało albo to cukier trafiał do krwiobiegu i pobudzał analityka.

– Czego się drzesz? – Kapitan wyprostował się bez animuszu.

– Wiedziałeś, że jeden nasz urzędas dynda w Lesie Kabackim? – Poważne pytanie cucilo nie gorzej niż mocna kawa.

– Tak, było coś. – Oficer zbierał myśli.

Przysunął się naraz bliżej ekranu i zaczął gorączkowo poszukiwać tej wiadomości.

– Nie kłopotz się. – Kamil machnął dłonią zrezygnowany
– Dużo tego i... – Bratnowski dla zasady próbował się tłumaczyć.
– Facet odpowiadał za technikalnia wizyt zagranicznych oraz koordynację między resortami i kancelariami. A tu ciach... – Monsignore pochłonął łąpczywie resztkę batona.

– Co to oznacza?

Kapitan nie był w stanie połączyć faktów. Był ciekawy opinii kolegi. Kamil prócz doświadczenia w „bojówce” zjadł zęby na tych szpiegowsko-analitycznych gierkach.

– Na razie nic. – Podporucznik wzruszył ramionami i sięgnął po kubek z resztką zimnej kawy. – Jeszcze nic. Ale coś czuję... Czym, chłopie, i komu podpadłeś? – Zmarszczył czoło i przymknął powieki, wczytując się w elektroniczną notatkę.

– Nie powiedzą ci. Za gruba sprawa, jeżeli jest, jak przypuszczasz.

– Masz rację – przytaknął Monsignore. – Mamy za to poszlakę, że ktoś się kręci przy naszych tam, w Warszawie, a czas niespokojny. To, co zeznał grubas, nabiera nowego znaczenia... – Ziewnął.

– Do brzegu, Monsignore, do brzegu. – Kapitan się niecierpliwił. – Masz coś bardziej... – szukał określenia – namacalnego? Bo jak nie, to idziemy odsypiać.

Kamil chwilę zastanawiał się, od czego zacząć. Co uznać za początek drogi, tę nać do marchwi z jego ulubionego powiedzonka.

– Rozesłałeś zapytania do naszych mądrych, niech uchylą rąbka – rzucił ogólnie, nie chcąc się przyznać, że niewiele ma. – Z tego, co przyszło, co pokazuje system...

– To może pomogę, co? – Bratnowski wyszedł mu naprzeciw, naprawdę zmęczony, choć chępił się, że nie zwolnił tempa. – Ta firma... Ten duński przewoźnik – tłumaczył leniwie. – Poszperałem. Ruski kapitał, niby mniejszościowy, ale sięga Sankt Petersburga. Tego tam... a, mniejsza o nazwiska, nigdzie nie ma i tylko ruski Internet czasem coś wypluje.

– Ładnie, ładnie, powinszować. – Kamil wykonał ukłon i gest, jakby unosił kapelusz.

– No, i patrzą na nich duńskie kloce, ale niewiele mogą udowodnić. – Kapitan rozparł się na krześle z palcami skrzyżowanymi na brzuchu.

– A ten jeden drajwer im zniknął?

– No, zniknął, zniknął. Abwehra melduje, że jest ruch u ruskich, paru rozeszło się po Polsce. Okolice Poznania i nieco dalej na północ, potem kamień w wodę. Szukają

ich po monitoringach, ale jak znam życie, pozmieniali wozy, a wyłowić twarz na algorytm będzie trudno. To możliwe, ale zajmie dużo czasu.

– I ten numer nie przejdzie. Za długo byśmy w tym utknęli.

– Co innego pozostaje? – zapytał Bratnowski przytomnie.

– Cóż, niewiele. Inne tropy to okruszki, nic nie mówią. Od tego Wickiego, co się powiesił, też niewiele odłazi. Poszukałem pobieżnie. Działał w jakiejś fundacji, która wozila dary naszym na dawnych Kresach, a jak zaczęła się wojna, to dalej na front. Różni ludzie mu wpłacali, sporo Amerykanów, Kanada, ale i... jakieś araby. Może ktoś nieładny się dorzucił albo odkryto, że nie wszystko szło na szczytne cele, a do kiesy... Nie, nie mam do tego głowy. Za wiele tego. To odpuszczę, ale...

Kamil wstał nagle i podparł się na dłoniach o stół. Znowu miał to dziwne, wesołkowate spojrzenie, niczym ćpun na widok ulubionej używki.

– Telefon tego Duńczyka... Policja mówi, że nie odpowiada. Nasi to przejęli do sprawdzenia i fakt... Ostatnie logowanie gdzieś pod Piłą. W lesie, pośrodku niczego. Dwa dni temu? Jakoś tak.

– Kiedyś zdążył to wyniuchać...? – Bratnowski kręcił głową zmęczony. – Myślałem, że duński wątek to moja rola.

– Nieważne. Jeden *team* z nas, nie? – Kamil udawał, że ten zakamuflowany podziw go nie obchodzi. Choć miło mu było, że był w stanie ogarnąć wiele wątków naraz. – Zgłoszenie jest o zaginięciu, a pan szofer miał podróżować do Polski, i to nad morze. Tymczasem jego firma – tu uczynił ukłon w jeszcze jednym geście szacunku – w której sypie się dolarami od ruskich, nie robi sprawy i zapomina zawiadomić glin, przynajmniej po pierwszym alarmie żonki. Czyli co? Ano to, że mamy coś, i tego będę się trzymał – skończył mało poważną w formie tyradę i wrócił na miejsce.

– Będziesz czekał na ustalenia ABW albo szukał w kamerach po drodze ciężarówy? – Bratnowski wątpił czasem, naiwnie lub może prowokacyjnie, w swojego kompana. – Wchodzić w systemy monitoringu z terytorium neutralnego niby można, potrafisz, skoro wlałeś w zeznania podatkowe. Niby można, ale nie wypada. No, przyznaj! Poza tym szukać wstecz wozu to katorga. Gorzej niż z tymi innymi wątkami albo ruskim kapitałem. Zapomnij. Zabraniam. – Udał stanowczość. – No i wiesz dobrze, że na naszej pięknej prowincji przynajmniej połowa kamer nie zapisuje obrazu. – To miał być koronny argument.

Kamil poruszał tylko niemo wargami, patrząc gdzieś w szarą ścianę.

– Tak, to fakt – zgodził się zaskakująco łatwo. – Dlatego trzeba upraszczać. – Sięgnął po telefon i pomachał nim szefowi. – Jeżeli coś było z tą ciężarówką, to powinna dobijać do mety. A jak się okaże, że meta jest w moim ulubionym rejonie...

Wstał zza biurka.

– ...to ci chyba postawię skrzynkę łyśkacza – powiedział Bratnowski, w zasadzie już pewien przegranej.

Znał to spojrzenie. Kamil czuł, że jest blisko, choć jeszcze nic nie wskazywało na jakieś wielkie zagrożenie, na potwierdzenie bardziej niż mglistej opinii Wadima.

– Jedno czy dwa trafienia to rozumiem, ale trzecie przy jednym jeńcu to byłby cud! – krzyknął kapitan, kiedy Kamil wychodził z pokoju.

– Się okaże, ale jak już, to co najmniej dwunastoletniej – rzucił przez ramię. – Ja pobadam P.G.I. – zakomunikował z dumą i ramiona zatrzęsły mu się od dławionego śmiechu.

– Że jak? – Bratnowski nie nadązał albo umysł naprawdę odmawiał mu już posłuszeństwa. – Przypomnij... umknęło mi. – Pstryknął palcami.

– Prywatna grupa informatorów. – Młodszy stopniem zaśmiał się w głos przedziwnie rozbawiony rozwinięciem wymyślonemu skrótu. – Podzwonię, popytam. No i... – sięgnął po paczkę papierosów – wreszcie zapalę.

*

Ta część portu lotniczego Kijów-Boryspol była oddalona od głównych zabudowań, terminali i hangarów. Ich kanciaste kształty majaczyły po drugiej stronie szerokiego pasa startowego. Betonową drogę co kilka minut przemierzał jakiś samolot. Maszyny należały do przeróżnych linii lotniczych. Kołowały na początku drogi rozbiegu, by zaraz wzbić się w niebo z hukiem. Na jakimś innym odcinku wyhamowywały z szumem po przyziemieniu.

Mijał najzwyczajniejszy dzień pracy na tym lotnisku.

Adam Thomal wysiadł z busa, który służył do wożenia nieco mniej istotnych członków delegacji. Odprowadził wzrokiem wzbijającego się w przestworza boeinga. Jakieś nieładne wspomnienie związane z tymi maszynami wróciło w nieodpowiedniej chwili. Nigdy się do tego nie przyznał, ale miał awersję do latania.

Zaraz po wyjściu na zewnątrz poczuł upał. Krople potu pojawiły się na czole. W pobliżu kolumny stały w sporej odległości od siebie cztery potężne śmigłowce Mi-

8 MSB – ciężkie, obłe maszyny o opinii bardzo wytrzymałych. Lekko zadarty nos i długa belka ogonowa były ich znakami rozpoznawczymi. Te tutaj zostały zmodernizowane, wielkim wysiłkiem miejscowego przemysłu i dzięki wsparciu z Zachodu, po doświadczeniach walk w Donbasie. Adam wyłapał to, widząc kilka anten dodatkowych czujników i systemów ułatwiających pilotowanie. Reszta pozostawała bez zmian. Wielkie cielska maszyn i boczne pylony, niczym małe skrzydła, z podwieszonymi zasobnikami pocisków raketowych i sterczącym z okna w drzwiach karabinem maszynowym.

Thomal próbował dostrzec, czy zasobniki mają swój ładunek, ale nie chciał ryzykować przechodzenia przez kordon ochrony. *Na całego, idą na całego*. Przygryzał wargę trapiiony ciekawością i lękiem, że jeżeli maszyny są uzbrojone, to jakieś niebezpieczeństwo musi wisieć w powietrzu.

Ochrona w pobliżu była solidna. W jednym punkcie zbiegły się drogi polskiego prezydenta, jego świty, dyplomatów. Był też tęgawy mężczyzna w cywilnym ubiorze, choć pilnowany przez wojskowych. Ktoś w tłumie rzucił, że to minister obrony narodowej i jego przyboczni. Miał dopilnować osobiście wylotu i podróży.

– Panowie – rozległ się uprzejmy głos przedstawiciela ambasady, pana Błażeja Nomczyka. – Zapraszam do pokoju dla gości... – wskazał odmalowany na biało, niski budynek kilkadziesiąt metrów do lotniska.

Dyplomata prowadził jakiś miejscowy oficer w mundurze lotniczym.

– My? – Adam sądził, że to jakaś pomyłka. – Co z resztą? Pan prezydent?

– O, spokojnie, pan prezydent już zajął miejsce i czeka jeszcze na kogoś – odparł Nomczyk tak ciepło, że Thomalowi zrobiło się dziwnie.

Zachariasz Gdula ruszył pierwszym szybkim krokiem i Adam podążył za nim.

– Maszyny muszą być przygotowane. Tankowanie i tego typu szczegóły – tłumaczył przymilnie Nomczyk.

Adamowi wydawało się, że dyplomata zachowuje się tak tylko ze względu na niego. W innych okolicznościach kazałby się facetowi odwalić, ale tutaj nie miał ku temu możliwości.

Zaprowadzono ich do kilku niewielkich pomieszczeń urządzonych niczym hotelowe pokoje w lepszym standardzie. Było już tam kilka osób więcej. Przybyli skierowali uwagę na przygotowane przekąski i napoje, co Adam skwitował przytykiem wobec szefa: „Za darmo, to trzeba brać”, ale inspektor tylko popatrzył

cierpko i Thomal zamilkł. Atmosfera była luźna, wręcz przyjazna. Wszyscy zdążyli się jakoś opatrzeć, jak to bywało czasem na objazdowych wycieczkach, z czym zresztą kojarzyły się Adamowi te skoki z miejsca na miejsce.

Komisarz podszedł do okna, szukając bardziej znajomych twarzy. Nie widział pani Barbary, co go szczególnie zasmuciło. Oglądał więc ten kontrolowany chaos na płycie lotniska.

Było nieco wojskowych, w tym grupa Kerca, z którą Adam zdołał się nieco bliżej zaznajomić. Chłopaki zdawały się nie spuszczać z tonu. Ustawione w szeroki okrąg, wspierały ludzi z SOP, wyraźnie napięte i uważne. Dzielnie znosiły lejący się z nieba żar, jakby na nich nie działał. Tylko połyskujące potem czoła wskazywały, że jest inaczej. Żołnierze nie rozmawiali z nikim i nikt też nie próbował im przeszkadzać.

– Niezła przygoda, co?

Inspektor Gdula przystanął za Adamem i sączył kawę. Zdawał sobie sprawę, że dobrał nieadekwatne, nieco infantylne określenie. Thomal przeżył swoje przygody, o wiele niebezpieczniejsze i trudniejsze. Miał ich po dziurki w nosie. Nie interesowały go ani mu nie imponowały.

– W sercu wielkiej polityki... – dopowiedział inspektor, próbując zamaskować nietakt.

Adamowi było wszystko jedno.

– Powożą nas i tyle. – Wzruszył ramionami. – Każdy musi sobie trochę polatać – rzucił cytatem z filmu *Wniebowzięci* i obydwaj zaczęli się śmiać. – Ja sobie długo fruwałem samolotem i źle się to skończyło, więc może teraz śmigło będzie lepsze. – Komisarz wskazał na zaparkowane maszyny.

Mimo że starał się to ukryć, znać było w nim lęk. Z każdą minutą zbliżającą go do startu strach przed podniebną podróżą dziwnie narastał. Krople na czole były coraz większe, a on zaczynał się zastanawiać, czy to nie tej części dnia tak podświadomie obawiał się najbardziej.

– My, takie szaraki, w takim towarzystwie? – Thomal powiódł spojrzeniem po salce wypełnionej członkami delegacji, chcąc zająć umysł czymś innym. Przejechał dłonią po biodrze, gdzie pod bluzą miał kaburę.

– Dlaczego zaraz szaraki?

Minister Wojciech Nikomski pojawił się nie wiadomo skąd. Wyszedł z bezimiennej masy ludzi odzianych w garnitury. Sam ubrany był teraz w coś na

kształt wojskowego uniformu bez oznaczeń, o jednolitej oliwkowej barwie. Trzymał w dłoni butelkę wody. Mimo przyklejonego do twarzy jak u większości polityków uśmiechu wydawał się czymś przejęty.

– Panie ministrze... – Gdula odruchowo stanął na baczność. Adam zrobił to samo.

– Panowie – prychnął Nikomski. – Ze mnie tylko malowany minister. – Machnął dłonią, udając obojętność i wyraźnie chcąc skrócić dystans. – Wy tu robicie, panowie, najlepszą robotę. Uczycie tych tutaj... – wyciągnął brodę w stronę okna – co dobre, co złe i jak właściwie sobie radzić z bandziorami. Prawdziwą mafią. Silną, a czasem i silniejszą niż państwo. Zresztą nie chcę wam schlebiać. Pan prezydent mówił absolutną prawdę. Tacy jak wy – wskazał na każdego po kolei – jak nasi żołnierze, których odwiedzamy, to jest praca u podstaw. Jak doktory Judymy. – Rozpromienił się, wyraźnie rad ze swojego porównania. – Reszta to polityka, ale oparta na solidnych podstawach. Dowodach.

– Stałem się elementem polityki. No proszę – sarknął Adam, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Gotowy był przysiąc, że to znów tylko przymilna formułka, jaką każdy polityk jest w stanie spreparować na poczekaniu.

Inspektor usiłował dawać sygnały, by jego podwładny hamował swoje parweniuszowskie zapędy i trzymał fason.

– Niech pan to traktuje jako wyróżnienie, nie obowiązek.

Minister trafił w punkt. Łechtanie próżności Thomala było tym, co chłopak lubił najbardziej.

– Tak to traktuję. – Adam momentalnie zmienił nastawienie i otworzył szerzej oczy. – Bardzo mi to schlebia, choć nie wiem, czym sobie zasłużyłem. Dlaczego ja, zwykły glina, trafiam w takie miejsca.

Nikomski sapnął i upił wody.

– Już wyjaśniam – powiedział bez energii. – Pokażemy was jako... hmm... Dawniej, w słusznie minionym ustroju, mówiło się o „przodownikach”. Tak, pan jest przodownikiem. W mundurze z orderem. – Wyciągnął ramiona, wskazując na ozdobioną pierś niczym marszand zachwalający obraz. – Człowiek na pierwszej linii. Maskotka, tak byśmy dziś to określili. Nie, niech się pan nie obrusza. To właśnie znaczy być częścią polityki. Miejscowi muszą widzieć żywych bohaterów. Mamy budzić ich zapał i pokazywać dowody zaangażowania. U tych na górze i u tych na samym dole. Nie wiem, jak pójdzie z tą wizytą. Czy w ogóle ktoś na szczytach to

weźmie do serca, bo są w głębokim lesie. Tak jak wy pewnie nie wiecie, czy to wasze latanie za grubymi kotami, mafiosami wszelkiej maści, cokolwiek zmieni. Ale tam, na dole... tak, to zostaje. I proszę, pomyślą. Glina, który ryzykował, choć nie jest u siebie. Paru wojskowych, co całymi dniami gniją po poligonach, żeby ich ludzi nauczyć walki na czas, kiedy nadejdzie potrzeba. Tak, niech wiedzą, niech wiedzą i zaczną się zastanawiać. Ja wiem i wy wiecie, że trochę to naciągane. Ale tak to działa i trzeba próbować. Nie mamy pewności, czy to wszystko zaraz się nie zawali, przeżarte korupcją, i czy wszyscy stąd nie wyjadą, ale musimy walczyć. Widzieliście obrazki w telewizji. Ruskie czołgi są znowu na wschodzie kraju. W tajemnicy powiem, że Kijów jakoś się tym nie przejął, i tylko te doły, pospolici żołnierze chcą jeszcze... – urwał, nie chcąc się bardziej zagłębiać w polityczne szachy.

Gdula i Thomal zerkali na siebie co chwila lekko skonfundowani.

Gdzieś ponad gwarem rozmów i szumem lądujących samolotów rozlegał się jeszcze jeden, na razie odległy dźwięk.

Adam nadstawił ucha i podszedł do okna, bardziej zaintrygowany tym niż wywodami prezydenckiego notabla.

– Śmigła – odgadł. – Ktoś jeszcze?

– W chwilach kryzysu, kiedy morale upada, należy próbować je podnieść. Nawet jeżeli miejscowi tego nie chcą – odparł Nikomski ogólnie i niepokojąco tajemniczo. – Muszę dołączyć do pana prezydenta.

Poprawił krawat i odstawił butelkę. Zebrani oficjele i ochroniarze też sposobili się do wyjścia.

Maszyny nadciągały wolno i nisko, tylko trochę ponad wierzchołkami drzew. Pierwszy leciał ciemnozielony Mi-24. Robił najgorszy hałas i podrywał tony piasku oraz kamieni. Wyciągnął koła. Adam próbował dopatrzeć się znaków państwowych, ale ich nie widział. Zaraz pojął, że maszyna musi być polska. Poznał to po regularnym malowaniu, innym niż ukraińskie piaskowo-ziemiste pasy na kadłubach.

Mi-24 ostrożnie przyziemił i w tym momencie ponad topolami rosnącymi na skraju lotniska pojawił się jego bliźniak. Zaraz na nieboskłonie ukazały się kolejne maszyny: ukraiński Mi-8 i dwa czarne Blackhawki amerykańskiej produkcji. Siadały kolejno w ciasnej formacji i gasiły silniki. Kurzawka opadała.

– To już na grubo. – Gdula gwizdnął.

Zza szyby widać było, jak wszyscy na płycie lotniska czekają, osłaniając twarze,

aż tuman zrobi się mniejszy.

Thomal nie dostrzegł, gdzie trzymano prezydenta, ale ten pojawił się naraz i sprężystym krokiem ruszył w stronę ukraińskiej maszyny. Z jej wnętrza wyszło kilku uzbrojonych mężczyzn, a tuż za nimi ktoś w mundurze polowym bez dysktyncji, za to z orderami za wszystkie swoje wyczyny.

– Zdańłow! – wykrzyknął Adam.

– Kto? – Inspektor nie wyłapał.

– Dowódca obrony lotniska. Na wschodzie – rzucał niekompletnymi hasłami. – Wiele miesięcy się bronił. Odparł cholera wie ile szturmów. Czeczeni, ruski specnaz, grady. To jest ktoś – wyrwała się Adamowi nienaturalna dla niego, szczerza pochwała.

Kielkowała w nim myśl, że cała ta historia, w którą go wepchnięto, nabiera nowego wymiaru. Może miał być kwiatkiem do kożucha, ale taki kożuch bardzo mu imponował. Adam Thomal wreszcie wchodził na naprawdę wysoki poziom.

– Niezmiernie się cieszę, że widzimy się na ukraińskiej ziemi. – Prezydent RP wyciągnął ramiona, by uściskać pułkownika Oleksandra Zdańłowa.

Byli jak polowi dowódcy, obydwaj w strojach militarnych. Polak ubrany na zielono, przysposobiony do wizyty w garnizonie, a Ukrainiec – w jaśniejszy mundur swojej armii.

Potężnej budowy weteran był w tej chwili wyraźnie zawstydzony i wzruszony zarazem.

– Dzień dobry panu prezydentowi... – Odwzajemnił uścisk i poklepał Polaka po plecach. – Czy taka, czy inna władza, mnie znów nie wita nikt z naszych...

Uczył nietakt, na co szef obrony narodowej nerwowo kaszlnął. Podszedł zaraz do weterana i uniżenie dziękował za przybycie, prawiąc przy tym kilka banalnych komplementów.

Zdańłow podziękował, choć miał to wszystko gdzieś. Prezydent Ukrainy nie chciał go powitać w stolicy.

– Jak tournée po zachodniej części kraju? – prezydent w zniecierpliwieniu zapytał wprost.

Twarz pułkownika nabrała rumieńców, a oczy się zaświeciły.

– Dziękuję – przyłożył dłoń do piersi – to był przedni pomysł. Uważam, że społeczeństwo jest zaangażowane. Chce... potrzebuje przełomu. Prawdziwego – mówił niby do Polaka, ale bacznie wypatrywał reakcji stojących obok Ukraińców.

– Chciałbym, by powrócił pan ze mną – wtrąciła głowa państwa. – Na jutrzejsze rozmowy z panem prezydentem.

– Jeżeli się zgodzi. – Zdaniłow wątpił.

– Będziemy nad tym pracować. – Polak złożył ręce i odwracając się, pochylił głowę przed towarzyszącymi mu ukraińskimi notablami. – Sytuacja na wschodzie kraju robi się napięta i być może będzie eskalować. Tu potrzeba współpracy, na wypadek gdyby buńczuczne zapędy sąsiada zrobiły się jeszcze niebezpieczniejsze – wypowiedział bardzo ogólną teorię przemiany kryzysu w próbę inwazji.

– Też tak uważam i zrobię, co w mojej mocy. – Zdaniłow znowu przycisnął dłoń do serca.

– Mam nadzieję, że moja wizyta będzie odbierana jako wyraz woli współpracy i misja zjednoczeniowa. – Swoje słowa prezydent kierował bardziej do Ukraińców, którzy zapewne mieli donosić szefowi swojego państwa o wszystkim, co się dzieje podczas wyprawy na południe. – Obywatele Ukrainy, jeżeli tylko chcą dobra ojczyzny, wiedzą, że potrzebna jest zgoda, ale przede wszystkim twarde działanie – dodał hardziej, bardzo z siebie zadowolony.

Ktoś podszedł do ministra obrony i szepnął mu coś na ucho. Ten zrobił krok i przerywając polskiemu prezydentowi, oznajmił, że śmigłowce są gotowe do lotu.

– Zatem... – Prezydent podziękował ukłonem i wskazał, by to gospodarze szli pierwsi. – Dołącza pan do naszej wycieczki – dorzucił drobny żart w kierunku Zdaniłowa.

Oleksandr obrócił się jeszcze i podszedł do dwóch pierwszych operatorów z 10 Samodzielnej Jednostki Specjalnego Przeznaczenia ukraińskiego wywiadu wojskowego. Wzruszony ścisnął im dłonie i powiedział kilka słów. Machnął zaraz ręką do kilku Polaków, którzy stali dalej.

– Dziękuję, dziękuję wam wszystkim! – Głos mu drżał.

Pierwszy raz od nie wiadomo jak dawna miał asystę wojska. On, stary oficer frontowy, otrzymał namiastkę dawnego życia. Odzyskiwał szacunek innych, ale i – co ważniejsze – samego siebie. Respektowali go, pamiętali i słuchali. Wychodził z zapomnienia i nędznej egzystencji. Dołączał do głowy państwa, chroniony przez cały aparat, niczym prawdziwy wódz. I nawet jeżeli to wszystko było tylko ulotną chwilą, to dodawało mu siły i pomysłów.

– Zapraszam na pokład. – Nomczyk stał w drzwiach pustoszejącej salki. Oczy

pozostałych były zwrócone na dwóch polskich policjantów. Reszta pozostawała w Kijowie. W drogę ruszało tylko kilkanaście osób. – Dochodzi dwunasta, nie mamy aż tak wielkiego opóźnienia. – Specjalista od protokołu był ciągle nienagannie uprzejmy.

Thomalowi jakoś zawirowało w głowie, ale potrafił się opanować. Czuł, że potrzebowałby koszuli na zmianę, i zastanawiał się teraz, czy jego bagaż trafi na miejsce.

– Głowa do góry. – Gdula dostrzegł obawy podwładnego. Sam też zmagał się z niepokojem w obliczu braku odwrotu. – Szybki strzał. Nocą będziemy z powrotem.

Położył Adamowi dłoń na plecach i lekko go pchnął.

*

– No, siema, Jureczku!

Kamil „Monsignore” przy drugim połączeniu był wciąż bardzo sympatyczny. Chciał być tak odbierany, a nie była to łatwa sztuka. W żołądku ssało, a skronie pulsowały z niewyspania i tylko adrenalina dodawała jeszcze nieco siły.

Zaciągał się dymem pospołu z zapachem żywicy z drzew, między którymi chodził, uważając, by nie stracić zasięgu.

– Tak, dzwonię sobie pogadać – błaznował, choć ten po drugiej stronie doskonale wiedział, że telefon od Kamila w środku dnia nie wróży błahych pogawędek ani umawiania się na wódkę. – Słuchaj... – komandos przechodził do konkretów – ...ten twój kuzyn, Mirek, tak? Pamiętasz, Robert nas sobie przedstawiał na tej jakiejś strzelanej imprezie historycznej... No, to dobrze. On cały czas w Pucku u niebieskich? Super.

Odetchnął, jakby nieźle mu ulżyło.

– Podrzucić zaraz numer komórki. Najlepiej prywatnej. Sprawę mam. – Nastąpiła wymowna pauza. – Pilną – dodał Kamil niemal groźnie. – O co chodzi...? Szukam sobie czegoś. – Znowu się zgrywał. – Domku na lato. Dobra, ślij, nie mogę dłużej... Będę zobowiązany – zapewnił.

Przebrnął przez korytarze, wymijając kilku rozgorączkowanych Szwedów. Wrócił do pokoju po prawie godzinie i zaraz na komputerze odnalazł ikonę mapy satelitarnej.

– No i co masz? – Bratnowski był już rozbudzony i ciągle usiłował układać fragmenty układanki za pomocą swojego laptopa. Musiało mu iść kiepsko, jako że

pytanie było naznaczone wielką porcją nadziei.

– To już naprawdę nie jest śmieszne. – Odpowiedź była zaskakująca, zwłaszcza że zupełnie nie pasowała do pytania. – Miejscowy krawężnik, no, może ktoś ważniejszy, popytał w Wydziale Ruchu Drogowego. Tak, była ciężarówka z Danii. Możesz to puścić do Abwehry i dopisz ode mnie, że podziękują później. – Kpiarski przytyk był okraszony zniesmaczoną miną.

– A skąd pan wie, panie ważny – Bratnowski stawiał opór mającym pod czaszką ewidentnym skojarzeniom – że to właśnie ten Duńczyk?

– No, bo glina potrafi myśleć i zapamiętał nazwisko. A to proste, bo facet nazywał się... Boss. – Kamil rozłożył ręce.

– O kurwa mać – kapitan wystrzelił przekleństwem na jednym wydechu i pobladł. Sam sięgnął po telefon i gotów był wskoczyć na korytarz.

– Czekaj, zanim powiadomisz Warszawę... – Kamil powstrzymywał go jeszcze. – Nie róbmy paniki. – Ta ostrożność jakoś do niego nie pasowała. – Mam w Helu kumpla. Kiedyś służył na „wyspie”...

– Pewnie go znam. – Bratnowski wiedział, że ten światek jest naprawdę mały.

– Pojechał poszukać... – Kamil tłumaczył kolejne ruchy. – Jak coś wypatrzy, da znać. Wiele miejsc nie ma, żeby się ukryli z tym... cokolwiek to właściwie jest. Policja mówiła, że facet wiozł jakiś domek. A, no i najważniejsze! – Plasnął się w czoło z całej siły. – Ten cały szofer nie wyglądał na dobiegającego emerytury facecika. Młodszy był, i to o wiele. Czyli nasze orły pogubiły ichnich specjalistów w terenie. Jeżeli przejęli ciężarówkę i ładunek, to znaczy, że coś fajnie kamuflują i coś tam wiozą kurewsko ważnego. Na bank mają obstawę. Dlatego nie rób szumu, jakoś inaczej się obniuchamy.

– Nasi? – Bratnowski sprawnie rozumował. Był przecież wyszkolony, by w stresie wyznaczać najlepszy kierunek działania.

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Kumpel rozezna się w sytuacji. Jeżeli znajdzie obiekt – gładko przechodził do specjalistycznych określeń – poda gridy i niech nasi dopatrzą. Bez rozgłosu, bo jeżeli to coś nieładnego, to mogą spanikować i albo rąbną i Hel zostanie wyspą, albo spierdolą i będzie się trza ganiać, a tam już nie da się wiele zamieść pod dywan...

– Spieprzemy chłopakom dzień.

– Młodych douczają. Niech młodzież się dowie, że to naprawdę trudna robota. –

Kamil chyba zazdrościł tym, którzy zostali na „wyspie”. Wstał i znowu wyciągnął telefon. – Kurwa mać, jak się okaże, że znowu wybrali sobie Hel na miejsce akcji, to... – Przystanął, tonąc we własnych myślach.

Zamieszanie spowodowane pewnym wydarzeniem, które zakończyło się strzelaniną i desantem amerykańskich SEALsów, po latach było już tylko wspomnieniem. Głośnym wybrykiem, który – nieudolnie – ukrywano w cieniu jako wypadek podczas ćwiczeń. Wszystko, co nastąpiło później, też nie było przyjemne. Po cichu przewietrzono kilka wojskowych i ministerialnych korytarzy. Kamil był wtedy daleko. Wieści o bałaganie nie trafiły prędko pod Hindukusz. Kiedy już wróble zaczęły ćwierkać, przyszedł szok i smutna refleksja, że miał rację. Półwysep otwarty.

– Teraz znowu to samo – westchnął. – Może ktoś w szanownej stolicy... – mruzczał pod nosem – łaskawie zajmie się tematem.

*

Srebrny, pięcioletni ford fiesta jechał wolno od centrum miasta w stronę Juraty. Minął dworzec, potem cmentarz. Kierowca, pięćdziesięcioletni, krzepki jak na biegacza przystało, weteran kilku lat spędzonych z Formozą, nie śpieszył się zbyt.

Zamykające się roгатki tuż za miasteczkiem w ogóle go nie zmartwiły. Usiłował domyślić się, gdzie może parkować taka nieporadna kolubryna, jak ciężarówka wraz z domem na pace.

Nie dostrzegł jej ani w mieście, niedaleko centrum na ulicy Steyera, gdzie bliżej cypla, pod lasem organizowane są latem większe parkingi. Na Kaszubskiej i Leśnej też nie było ani wozu, ani nawet miejsca na takiego kolosa.

Kazik przemknął główną arterią otoczoną niskimi starymi domkami i współczesnymi hotelami, ulicą knajp i bawiących się latem turystów. Gdyby nie znał strażników miejskich, miałby już z pięć mandatów, ale udało się. Nie wierzył, że taki zestaw przetoczyłby się przez sam środek Helu, ale był zbyt dobrze wyszkolonym zwiadowcą, by poniechać jakiegokolwiek możliwej ścieżki.

Niczego podejrzanego nie dostrzegł w porcie ani w pobliżu mariny. Ciec na stróżówce przy wjeździe do rozpadającego się ze starości, nieużywanego portu wojennego też niczego nie widział.

Szlabany na przejeździe zaczęły się podnosić, kiedy szynobus z Gdyni przejechał wolno.

Kazik sięgnął po telefon spoczywający na siedzeniu obok. Ruszył, rozglądając się na boki, choć bez specjalnej natarczywości, jak nakazywała sztuka. Wybrał numer Monsignore.

– Ale żeś mnie wpakował... Ja, stary emeryt, muszę błąkać się jak jakiś letnik, i to w aucie mojej małżonki... – Zwyczajowa porcja narzekań była nieodzownym elementem tej ich gierki. Więcej kłopotów przy zadaniu podnosiło cenę, a Kamil będzie kiedyś musiał się odwdziaczyć. – Nic nie ma, chłopie. Miasto czyste. Jeszcze się przyjrzę. Powiedziałem Magdzie, żeby uważała, i paru znajomym. Popatrzą się jak na wariata, ale będą mieli oczy otwarte... – Jechał wolno szosą pośród lasu, jednocześnie rozmawiając przez telefon. – No, właśnie narażam się na kolejne kłopoty, bo sobie z tobą gadam, a tu lubią stać z... O kurwa! – prawie krzyknął.

Z wysiłkiem opanował reakcję. Wcisnął się w fotel.

Po lewej, tuż za zakrętem, gdzie zaczynała się zatoczka parkingu, stała ciężarówka volvo z przysadzistym domem na pace.

– Jest, Monsignore, jest, co chciałeś. – Ukrył telefon na czas, kiedy mijał obiekt, i udawał, że patrzy przed siebie. Ujechał spory kawałek, zanim wrócił do rozmowy. – Co to ma być, nie wiem, ale musi ci zależeć. Jest, stoją przy Muzeum Obrony Wybrzeża...

Jechał dalej w stronę Juraty, opisując wszystko, co wyłowił z otoczenia.

*

Sasza Szycłow przemykał schylony pomiędzy drzewami, nie spuszczać z oczu dalekiego horyzontu. Przykucał przy pniach, dysząc i usiłując odgadnąć, gdzie schował się Wasilij „Doktor”.

Przemierzył jeszcze spory kawałek zarośli i nie chcąc tracić czasu, przepełniony ekscytacją rzucił po prostu:

– Doktor, cholera, pokaż się.

Spod maskowania pociętych gałęzi przypominających pospolity wiatrołom uniosła się okryta plastikowym zielonym pledem, rosła postać żołnierza.

Wasilij podszedł również pochylony, wolno, by ruch nie zwracał uwagi ewentualnych obcych. Przypadł do ziemi i ukląkł na jedno kolano. Oczy błyszczały mu ciekawością. Ten wielkolud wiedział, że powód wywołania go z kryjówki może być tylko jeden.

– Zaczynamy? – zapytał wprost, nieco ostrożnie.

– Tak, zaczynamy – odparł zwięźle Saszka. Żaden mięsień nie poruszył się na jego twarzy.

Wydawał się przejęty. Obydwaj byli. Mierzyli się nawzajem spojrzeniami, usiłując dostrzec jakiś ślad, cząstkę dowodu, że ten drugi boi się bardziej albo wie więcej. W takim momencie, przy takim zadaniu, ogarniał ich brak zaufania.

Młode byczki, które ukryte leżały wachlarzem wokoło, mogły jeszcze nie rozumieć, ale ci dwaj oficerowie zbyt wiele doświadczyli. Po akcjach takiej rangi wykonawców należy uciszyć albo ukryć. Saszkę ściągnięto zza granicy, Doktor opatrzył się miejscowym i powinien odwieść robotę. I dlatego obydwu skierowano tutaj. Na ostatnie zadanie dla fachowców z bagażem misji.

I jeszcze jedno trapiło Wasilija. Dręczyło coraz dotkliwiej z każdą minutą zalegania na ziemi. On był niżej w hierarchii. Jemu podobni zawsze byli na drugim planie, jak bardzo by się nie starali. Miał zazwyczaj nadzorcę, choć przecież jego ludzie zapełniali oddziały specjalne i szli w forpoczcie każdej ostatniej wojny. Tak, Sasza Szyćłow miał nad nim przewagę. Wiedział to, widać to było w jego oczach, choć resztki przyzwoitości nakazywały mu to kryć i się tego wstydzić. Biedak liczył, że wyjdzie z awantury bez szwanku. Zadowolony górę... kto wie, może nawet kosztem przyjaciela.

– Transport – Wasilij mówił spokojnie, starając się nie zdradzić z wątpliwościami – zamawiaj transport.

– Wiem. Cel jest w połowie drogi. Będzie za godzinę, może więcej. Terminal II zacznie koncert, jak tylko wylądują, to da nam nieco czasu i odciągnie uwagę. Terminal III pobawi się na blokadzie od strony Kijowa. Krzywy Róg też postarają się wyłączyć... Jeżeli w ogóle... – Szyćłow popatrzył w niebo. – Nie, Dziadek Mróz nie alarmował. Amerykanie tu nie sięgnęli...

– Jak będziemy się dłużej wystawiać na widok, to kto wie. – Doktor dołożył łyżkę dziegciu do tej sielankowej wizji. – Prosta sprawa – zaczął się zaraz pocieszać. – Strzał i odskok! – Klasnął prawą dłońią w lewą w geście przypominającym start samolotu. – Dobrze, dobrze. – Drapał się po brodzie.

– Tak, ja też bym wolał w Odessie – mruknął Sasza z urwanym rechotem. Wasilij spojrział na kumpla przejęty.

– A tak, znam cię. Czytam ci w myślach.

Uśmiechnęli się do siebie niemrawo.

– Mnie też to nie leży – Szyłow pierwszy raz, za pięć dwunasta i na osobności, ale na głos wypowiedział wątpliwość. – Odessa, tam powinni to zamówić. – Spoglądał na jasny od słońca horyzont. – Lepsze drogi ewakuacji. Blisko. Więcej wsparcia. A tu... Te jebane drony mamy maleńkie, za krótki zasięg jak dla mnie, ale tych zabawek nie wykryje żaden system. Przy większej aparaturze momentalnie ustalą, skąd wystrzeliło. Ryzyko, jebane ryzyko. No nie?

Wasilij nie odpowiedział.

– Skoro i tak cel ma tam być... – Saszka zdawał się wahać w najmniej odpowiedniej chwili. – No, ale kazali w środku kraju. Dla efektu... Żeby pokazać i żeby łatwiej było zrzucić na...

– ...faszystów – dokończył, strzykając śliną, rosły pół-Czeczen.

Zamilkli, bijąc się z myślami. Sama wizja odwrotu drogą powietrzną przyprawiała o ciarki. Nawet nocą, na taką odległość. Nie podobało im się to zupełnie.

– Po wykonaniu zadania od razu się zbieramy – dopowiadał ciężkim głosem Szyłow. – Mamy kilka kilometrów do strefy lądowania. Przyczaimy się. Potem, po zmroku, pójdziemy nisko i szybko. Chłopaki potrafią tak latać. Może eskorta będzie, jak dobrniemy bliżej granicy – snuł przypuszczenia i sam teraz próbował ich pocieszyć.

Jeżeli – jak uznali obydwaj oficerowie – ich misja była zaczynkiem do nowej wielkiej wojny, inwazji, którą miały prowadzić grupujące się na granicach dywizje, to dolecenie do którejś z granic, gdzie czekałyby własne oddziały, stawało się mrzonką. Planem boleśnie mało realnym, o czym do samego końca nie mieli prawa powiedzieć ludziom. Nie było odwrotu i nie mogło być szkaradnych myśli o rejteradzie. Z tej „firmy”, Głównego Zarządu Wywiadowczego, nie było można ot tak sobie wyskoczyć i zapomnieć. „Firma” znała ich na wylot, miała próbki ich DNA i... była jeszcze rodzina, której by nie darowano.

– Kurwa mać. – Saszka odpędził od siebie te lęki. – Jak tak człowiek zaczyna myśleć, robi się z niego łajza. Robimy swoje.

Odetchnął i wstał, sposobiąc się do powrotu.

– Szwecja, Wasyl, Szwecja... – Rozmarzył się, wracając do wspomnień poprzedniego zadania. – Pięknie tam... Dostatnio i spokój... Siedziałem kilka lat. – Kręcił z żalem głową. – Nie potrzeba mi tego było. – Poklepał wiszący na brzuchu

automat. – No, ale jak kadr mało, a nas, wiarusów, jeszcze ubywa... – puścił oko – to i Semet znów będzie Saszą... – Stękał nerwowo, co chyba miało być śmiechem.

– Saszka, co ci? – Wasilij zaczynał się obawiać, czy jego dowódca nie przejawia pierwszych oznak jakiegoś załamania.

– Rozwalili mi siatkę nakazem z góry... Dla jakiegoś celu, którego nie wyjawili. – Szycłow zaczął wypluwać słowa jedno za drugim. Tak, coś pękało i chciał zrzucić z siebie ciężar. – Nie byłem potrzebny. Rzucili mnie tu, do ciebie... i chuj wie, czy w ogóle... – Kucnął i na krótko skrył twarz w dłoniach.

– Spokój, Saszka, spokój. – Wasilij podpełził bliżej. – Ludzie usłyszą. Weź się w garść... To trudny czas.

Złapał przyjaciela za kark, choć nie miał pojęcia, jak pocieszać oficera w takim momencie. Nadchodził bój, ciężki bój, a on musiał się bawić w niańkę. Zacisnął palce mocniej na karku Saszy.

– Robimy robotę i spierdalamy. Nic więcej się nie liczy.

Czy to przypływ bólu i powiązanych z tym bodźców, czy stanowczy ton Czeczena – grunt, że zaczęło działać. Sasza odsłonił twarz. Oczy mu błyszczały.

– Dzięki. – Wyszczерzył garnitur zębów. – Dobry z ciebie psychiatra. – Pokiwał głową z uznaniem i klepnął siłacza w łokieć. – No puść, już puść!

Wstał, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Otrząsnął się. Był wyraźnie spokojniejszy i lżejszy. Jakiś balast spadł mu z ramion i serca.

– Została nam godzina – rozkazywał już twardo. – Potem robimy. Wsparcie na pozycjach. – Wskazał na ziemię. – Konie trojańskie i osłona w jednym. Będzie dobrze. – Podniósł kciuk do góry.

Na powrót był starym, dobrym podpułkownikiem Saszą Josifem Szycłowem.

*

Kilka ciężarówek Jelcz 442 przemierzało port wojenny w Gdyni Oksywiu. Z pięć minut wcześniej nieduży konwój minął bramę przy rondzie Bitwy pod Oliwą.

Kierował się wzdłuż basenów, przeważnie pustych lub w niewielkim stopniu zapełnionych okrętami, w stronę „wyspy”.

Przejechał betonowy most i stanął przy wysokiej budowli torpedowni.

– Dzięki, panie Jarku. – Starszy chorąży Dariusz „Kaleson” Kasprowicz klepnął swojego kierowcę i podał mu dłoń. – Przyjemność wielka...

– Do usług.

Starszy marynarz uściśnął mu prawicę, naprawdę rad, że mógł prowadzić, kiedy na pace auta zasiadały ze dwie sekcje operatorów jednostki specjalnej, słynnej, owianej mgłą tajemnicy Formozy. Mgłą, w którą dzięki takim zadaniom nieco się zagłębiał. Na przykład kiedy morscy komandosi wracali ze strzelnicy w Strzeczcu. To była dla niego przygoda – choćby posłuchać kilku morskich opowieści.

– Z wozu, wycieczka! – Kasprowicz wyskoczył z szoferki i narzucił na szyję pas do swojego karabinka G36K w fantazyjnym zielono-piaskowym kamuflażu.

Klepnął parę razy w burtę i na pace zaczął się szum. Kaleson był starszym podoficerem z ponad dwudziestoletnim stażem służby, z czego prawie dziesięć wiosen spędził, moknąc, marznąc albo rozpływając się z gorąca w różnych mało ciekawych zakątkach świata. Trzymał się wzorowo. Same mięśnie i doskonała kondycja. Każdy młody z narybku mógł brać z niego przykład.

Operatorzy skakali jeden po drugim. Zabierali plecaki, oręż, hełmy FAST i wolno człapali w stronę budowli na drugą część dnia, kiedy mieli porządkować sprzęt i czyścić broń. Nie było w tym nic niezwykłego ani porywającego. Zwyczajny dzień szkoleniowy dla kilku sekcji.

Chorąży dopilnował ludzi i upewnił się, że niczego nie zostawili. Zamachał kierowcy prowadzącemu kolumnę na sygnał, że może zawracać. Miał zniknąć z terenu tajnego obiektu.

Przez warkot silnika przebił się dzwonek telefonu. Chorąży przyłożył aparat do ucha, a drugie zakrył.

– Wszelki duch... – powiedział wesoło, usłyszawszy znajomy głos. – Ciągle w zimnie? Pamiętasz o tytoniu? Snusa miałeś przywieźć... Tego królewskiego...

Kamil po drugiej stronie przerwał mu głośno.

Kaleson słuchał, drepcząc w koło i przystając co kilka kroków, żeby patrzeć na niebieskie wody zatoki.

– Jak ja...? – odważył się wreszcie zaoponować.

Nie widziało mu się zmieniać normalnego dnia w zadanie w pełnym tego słowa znaczeniu. Prawdziwą misję, tyle tylko, że przy samym „obejściu”. Mógłby, owszem, ale wczesnopołudniowe słońce do tego nie nastrajało.

– Dobra, Kamil – fuknął. – Nie ma mowy. Kwit kto wystawi? Przecież wiesz... – Znowu urwał, bo Monsignore potrafił być głośniejszy. – A, Bratek gada ze starym...?

Chorąży zdziwił się i teraz nawet chyba przeraził. Zaczynało do niego docierać, że sprawa idzie wysoko. To nie miały być byle wygłupy.

– *Letadła* też? – Kolejne zaskoczenie. – Ty to, kuźwa, zawsze do czegoś się dogrzebiesz... – Irytował się, ale i upewniał, że będzie miał nowe, poważniejsze zadanie. – Dobra... – zgodził się bardziej niż niechętnie. – Zabieram sekcję i spróbuję. Niech dowódca wzywa śmigło, a my się stawimy. Tylko niech jakby co mądrale dorobią papiery, bo się nie wygrzebię... – pokrzykiwał do mikrofonu, kiedy Kamil kończył rozmowę.

Kasprowicz stał chwilę, pocierając telefon palcem i zastanawiając się, czy nie zadzwonić i nie dopytać o kilka szczegółów.

– Kurwa – przeklął.

Znał Monsignore i wiedział, że facet ma dar wynajdywania kłopotów. Niejasnych sytuacji, zakamuflowanych celów. Tak, on to potrafił.

Ktoś wybiegł z torpedowni i zbliżał się do chorążego.

– Tak, wiem! – wrzasnął, uprzedzając tamtego. – Mamy robotę.

Schował telefon i poprawił pas broni. Ruszył pędem pobierać amunicję i instruować chłopaków. Zanim zniknął za drzwiami, rzucił jeszcze okiem na majaczący za osadem gęstego powietrza Półwysep Helski.

*

Nowy kierowca ciężarówki już nie zwracał uwagi na przytyki czy postękiwania przechodniów i pierwszych turystów, którzy oburzali się głośno, wściekli, że taka landara zajmuje tyle miejsca na parkingu. Z początku rozkładał ręce i uśmiechał się jak ofiara, dając do zrozumienia, że nic nie rozumie, bo jest Duńczykiem. Potem dał sobie spokój. Złapał walizeczkę z ukrytym pod jej mocną obudową komputerem i jakby nigdy nic wysiadł z kabiny. Obszedł wóz, udając, że sprawdza ładunek. Zabrał umocowaną za szoferką niewielką drabinkę, ustawił ją i otworzył drzwi budyneczku.

Wewnątrz ciągle cuchnęło stęchlizną. Szofer, a tak naprawdę doskonały informatyk, podszedł do niepozornej skrzyni w rogu głównego pokoju. Otworzył ją sposobem, który znało tylko kilka osób.

Zaświecił się ekran i kilka pól cyfr. Zestrojenie urządzenia naprowadzającego z komputerem powiązanych satelitarne z bardzo dokładnymi mapami nie było niczym trudnym ani pracochłonnym.

Koordynaty celu pojawiły się w polach cyfrowych. Informatyk wpisał czas odpalenia i uaktywnił system. Coś piknęło przeciągle, zapaliła się duża zielona lampka. Informatyk zerknął w górę. Pod sufitem była jego zabawka. Lubił ją. Pracował przy jej adaptacji do tych niecodziennych warunków, toteż był z siebie bardzo dumny.

– Powodzenia – rzucił, choć mówił do przedmiotu, nie człowieka.

Przez myśl przemknęła mu wątpliwość, czy naprowadzanie na wiązkę lasera nie byłoby jednak pewniejsze. Zaraz też uznał, że system jest na tyle inteligentny, że przy uderzeniu zdalnym rozrzut będzie minimalny. No i spadało ryzyko wykrycia oraz pokrzyżowania planów przez złą pogodę.

Zamknął szarą skrzynię. Nie brał komputera – byłby zwykłym balastem. Zatrzasnął drzwi i wrócił do kabiny szykować się do drogi.

*

Pierwszy gość przybywał do bazy dowództwa 31 Brygady Lekkiej w Kropywniku. Dwa śmigłowce Black Hawk osłaniały przylot ciężkiego Chinooka. Wielki jak autobus, dudniący dwoma olbrzymimi wirnikami CH-47 wiozł generała Logana i jego delegację.

Dowódca wojsk lądowych USA w Europie raczył zaszczycić swoją obecnością prowincjonalną miejscowość gdzieś w środkowo-południowej Ukrainie. Dotarł do kraju niewielkim Gulfstreamem, a dalszą podróż zapewniono dzięki uprzedniemu przrzuceniu z Polski kilku helikopterów. Ewidentny popis i dowód potęgi armii amerykańskiej miał być elementem budowy morale Ukraińców i symbolem wsparcia dla nich.

– Zawsze swoimi drogami... Ech.

Robert Krawiec podglądał przylot amerykańskiego zespołu przez okno pokoju na piętrze siedziby dowództwa, który dotychczas był częścią kancelarii jawnej, a teraz przypominał siedzibę jakiejś korporacji.

Członkowie grupy rozpoznania, mieszanego zespołu amerykańsko-polskiego, zaanektowali to miejsce. Zresztą nie tylko to. Ludzie amerykańskiego generała siedzieli w piwnicach, tu i w dwóch innych pokoikach, na wszelki wypadek utrudniając swoje wykrycie.

Do tej zapadłej dziury sprowadzono tylu specjalistów i tyle nowoczesnych

urządzeń do prowadzenia działań, jak nigdy w historii.

Krawiec poparzył na cały ten sprzęt: anteny, komputery i radiostacje. Nasuwała mu się przykra refleksja, że w pojedynkę żaden kraj nigdy nie dorówna jankesom. To wszystko do osłony zaledwie paru prezentów. Jasne, widywał takie, a nawet jeszcze większe akcje, ale czasem dopadała go melancholia. Może po prostu zazdrościł.

Przez lukę między budynkami widać było tymczasowy helipad – kawałek betonowego placu, na którym kiedyś ustawiano pojazdy. Wydzielony półpluton złożony z kadry i żołnierzy z poboru, wybieranych do tego zaszczytu za zasługi w wyszkoleniu, z tej odległości prezentował się całkiem, całkiem. Był porządek batalionu dowodzenia i sztandary Ukrainy oraz USA – drobna uprzejmość wobec przybywającego gościa.

Daleka sylwetka człowieka w mundurze polowym wydawała się należeć do amerykańskiego generała. Odróżniał się od swojej eskorty brakiem oporządzenia i broni. Nosił bluzę oraz czapkę patrolową, poruszał się zwinnie i w ogóle przypominał aktora z filmu.

– Oni chyba ich specjalnie szkolą, żeby wyglądali jak kowboje, co właśnie zsiadli z konia? – Robert wypowiedział niemądrą opinię na głos, unosząc brwi.

– Co mówisz? – nie zrozumiał Jacek „Jarzyna” Szczeciński, łysy (i to bardziej niż Robert), barczysty, żyłasty kapitan z rozpoznania, przysłany z Lublińca.

Oficer, jak i reszta kilkusobowego zespołu, wgapił się w obrazy generowane przez ich drona oraz amerykańskiego satelitę.

– Nie, nic, tak tylko...

Mucha uznał niezadowolony, że bredzi bez zastanowienia. Nie wiedział, czy jemu też udzielają się emocje, czy to przemęczenie. Jeżeli chodziło o to pierwsze, to czy czuł ekscytację ze względu na obecność tutaj tylu ważnych osób, czy może niepokój o to, co w jego przeczuciu miało się zaraz zacząć?

– Policja urządza checkpointy... – Jarzyna wskazał na ekran z szarym obrazem w podczerwieni. – Zrobili korek na dwa kilometry.

– Dwa korki – dorzucił czarnoskóry Amerykanin Bobby. Dzięki podobnym wyjazdom szybko nauczył się polskiego.

Podporucznik Formozy pochylał się nad ramionami ludzi z zespołu, przenosząc uwagę kolejno na każdy z monitorów. Przymykał oczy, żeby wyostrzyć spojrzenie, coś mrucał, czasem prosił, by obraz był uszczegółowiony lub bardziej lokalny.

– Co ty myślisz, że to zaczarujesz? – Bobby błysnął białymi jak śnieg zębami.

– Nic nowego... – dopowiedział oficer z Lublińca. – Pewnie się zwiedzieli, ale na razie...

– Inne jak? – Robert puszczał mimo uszu te opinie i żarciki kierowane pod jego adresem.

– Dwójka i trójka niczego nie wykryły. Żadnych ruchów w promieniu dwudziestu, dwudziestu pięciu kilometrów – meldował spokojnie Jarzyna.

– A dalej? – spytał Mucha.

– Co dalej? – Kapitan udawał, że nie rozumie. – Masz łąki, trochę lasków, jakieś wiochy. Niewiele widać. Nawet jak puszcze program, to po tych wszystkich rowach wala się tyle śmieci i złomu, że system gotów się zawiesić. Na samym początku wykryliśmy dwa auta na północ od bazy. Poszedł patrol, a to dwa wraki porzucone w jakichś chaszczach. Nielegalne wysypiska. Mnóstwo śladów, ale nic podejrzanego. Tutaj to chyba norma. Gliny pilnują ludzi po wsiach, więc...

– Tak... pilnują. – Sarkazm Muchy był soczysty i nieskrywany. – To właśnie mnie tak niepokoi, że wszystko wzorowo. O – wskazał na obrazek autokaru przy policyjnym radiowozie gdzieś na szosie od strony Kijowa – miał nikt nie wiedzieć, więc co to ma być?

– To powiedz, gdzie mamy szukać – odezwał się Szczeciński. – Twój koledzy porozglądali się po okolicy już jakiś czas temu. SBU rozpytywała ucho. Nie podciągną tu armat, moździerzy też nie znalazłem.

– Nie znalazłeś... – Robert chciał uchodzić za eksperta od lokalnych stosunków – ...i nie znajdziesz. – Gasił pewność siebie pana kapitana. – One już tu gdzieś są – podzielił się złowrogą wizją.

Ludzie z zespołu odwrócili głowy od monitorów.

– Tak, tak, panowie. – Mucha nie miał zamiaru się wycofywać. – W tym nieszczęśliwym kraju jest pewnie z milion miejsc, gdzie można ukryć niezgorszy arsenał i obdarować nim kilku palantów. – No, okej. – Dał sobie spokój ze straszaniem. Rzeczywiście, niewiele mógł wskórać. – Daj widok na miasteczko. Pewnie demonstranci zaraz wyleżą. Teraz mają powód. – Skinął na ścianę, w stronę lądowiska. – Pilnujcie gnojków i każdego nowego... turysty – powiedział z odrazą. – Pluton alarmowy mam w pogotowiu. Rozpedzą to bydło, jak tylko zaczną szumieć. – Było wyraźnie widać, że wydałby taki rozkaz z agresywną przyjemnością. –

W ogóle... Pokaż jakieś niewyraźne miejscówki. Pooglądałbym sobie...

– Nie męcz dupy. – Bobby i to potrafił powiedzieć po polsku. – Albo jedno, albo drugie.

Jarzyna docenił zdolności lingwistyczne amerykańskiego kolegi uniesieniem dwóch kciuków.

– Właśnie. Każdy krzak mamy ci sfotografować? Nudzisz... Dobra. – Kapitan postanowił pójść na kompromis. – Jest kilka ruder, jakieś załomy. Taka największa... – Szperał w notesie. – O, mam... – wskazał współrzędne operatorowi drona – ...jak już bardzo chcesz. Ze czterdzieści kilosów na północ, północny wschód od nas. Jakies gospodarstwo, resztki kołchozu. Tam ewentualnie można by było...

Jego wywód przerwały niesione wiatrem, grane równo i bardzo energicznie dźwięki hymnu państwowego.

– Zaczęło się – przemówił Robert z fatalistycznym przekonaniem, które nie było zamierzone. – Okej, popatrzę i idę postać jak palemka. Trzeba odwalić swoją szychtę.

*

Monsignore wpatrywał się w satelitarny widok półwyspu i pierwszy raz od bardzo dawna gryzł paznokcie. Bujał się przy tym na krześle, nie mogąc znieść napięcia, które już całkiem odpędziło wszelkie objawy zmęczenia.

– Wiesz co...? – pytał ni to Bratnowskiego, ni siebie, nerwowo kręcąc kółkiem myszki. – Jeśli to jest to, co myślimy... – nie odwracał wzroku od ekranu – ...to co jeszcze? Ile mają takich akcji w planie i właściwie... – rozszerzone lękiem źrenice powędrowały ku dowódcy – po co? Co zrobią, a o czym my nie wiemy?

– Też o tym myślę i nie podoba mi się to – odparł Bratnowski spokojnie. Był to spokój pozorowany. W nieruchomej pozie, z rękami obejmującymi ramiona, ścisnął drżące z nieopisanego strachu mięśnie.

– Żadnego poważniejszego ruchu – przedstawiał Kamil swoje obserwacje. – Okręty nie wyszły z Bałtyjska. Kilka samolotów z tego, co widzę. Nie rzucili czołgów na granice... U ukropów też kilka plutonów puścili, robiąc hałas, i nic. Kreml siedzi cicho, za to na Kaukazie się gotuje. Co się wyrabia?!

– Może Amerykanie? – kapitan próbował dedukować. – Wiedzą jak zawsze więcej, ale się nie chwala. Weszli w temat. Nie poskutkowało, to uruchomili swoje wpływy u islamskich. Bum! I pokrzyżowali Moskwie plany...

– Dobrze, dobrze. – Kamil był pod wrażeniem, ale przecucie nie ciągnęło go w tę stronę. – Tylko jeżeli tak, to dlaczego nie odwołali tych od pieprzonego domku na Helu? – Nie umiał znaleźć innego określenia.

– Nie wiemy, co to jest. – Bratnowski starał się być obiektywny.

– Wiemy, że coś jest na pewno – Kamil się stawiał. – Ale o ile to nie dywersja przed głównym atakiem, to spalał dobry plan... Chyba że...

Naraz pobladł, odsunął się i kapitanowi zdawało się, że jego podwładny zsunie się z krzesła bez siły.

– Pójdą skurwiele na całość... Uderzą bombą! – wykrzyknął i złapał się za głowę. – Kumasz?! Dywersja na Pomorzu, pewnie gdzieś jeszcze i jeb! Poślą nam Iskandera w Warszawę... Nie muszą stawiać wojska na nogi. U nas chaos, będą mieli czas.

Bratnowski nie chciał tego słyszeć, ale stało się. Drgnął jak ukłuty szpilką.

– To ma sens. – Nie wierzył, że to mówi. – Boże – wyrwało mu się żałościwie. – Nie, nie... – Potrząsnął głową, pocierając czoło. – Za dużo siedzę z tobą, za mało śpię. Potrzebuję powietrza. Przecież już byłby jakiś alert. Jankesi na pewno mają obwód na podglądzie...

– A ja ci mówię, zadzwoń, gdzie możesz, a mnie nie wypada. Albo dupa, sam to zrobię... – Kamil twardo obstawał przy swoim.

– Dobra – uspokoił go dowódca. – Zadzwonię i wyjdę na głupka, ale okej. – Wstał. – Siedź i czekaj na nowiny... Wariat – dodał ciszej, myśląc, że Kamil nie usłyszy. Ale jego to nie obeszło. Znów pochylił się nad widokiem półwyspu, myśląc, jak wiele by dał za obraz w czasie rzeczywistym, który mogli mieć jego kumple z „wyspy”. ■

ROZDZIAŁ 6

Adam Thomal dla odmiany teraz marzył. Dość wysoki pułap przelotu fundował zebranych chłód pasujący raczej do późnej jesieni, a nie końca ukraińskiej wiosny. Każdemu z chętnych wydzielono po kocu, co było niestandardowym podejściem wobec pasażerów.

Thomal tym razem znalazł się wśród VIP-ów. Nie czuł się takowym i nie bardzo wiedział, co ma robić i jak się zachować. W drugim śmigłowcu, dudniącym Mi-8 oprócz policjanta znajdowali się Nomczyk, prezydencki doradca Nikomski, trzech urzędników z BBN oraz z pół tuzina funkcjonariuszy SOP. Prezydent z drugą połową świty i obstawą leciał w pierwszej maszynie. Trzecia wiozła operatorów Kerca jako wsparcie i wzmocnienie dla obstawy na miejscu.

Czwarty śmigłowiec był pusty. Prawie pusty. Jego głównym pasażerem był Oleksandr Zdanilow, któremu przydzielono dwóch ochroniarzy z ukraińskiej armii. Thomal usiłował odgadnąć, co jeszcze przeznaczono tej maszynie. Rozłożenie pasażerów było istotne ze względów bezpieczeństwa, ale Adam podejrzewał, że czwarte urządzenie ma pełnić rolę awaryjną na wypadek czegoś nieprzewidzianego.

Nie chciał o to pytać nikogo z zebranych ani załogi. Uznawał to za zbędną niedyskrecję, zwłaszcza w czasie misji. Poza tym ciągłe dudnienie i wibracja na pokładzie śmigłowca nie sprzyjały zbyt długim czy w ogóle żadnym konwersacjom.

Płynne bujanie i szum przebijający się przez stopery w uszach miały właściwości usypiające. Lot był okazją, by odpocząć w przerwie między jednym obowiązkiem a drugim.

Tyle że polskiemu komisarzowi nie chciało się spać. Emocje i ogarniające go podniecenie utrudniały wypoczynek. Podobała mu się ta nieco niezgrabna, ale porywająca forma podróży. Był na tyle istotnym uczestnikiem tej wyprawy, że znaleziono mu miejsce w prawdziwym wojskowym helikopterze. Z bazy do bazy, jak w jakimś filmie o najważniejszych ludziach. Adam bawił się setnie.

Przez okrągłe okna gapił się na to, co w dole, podziwiał boczne pylony i starał się chłonąć każdy szczegół, wykorzystać każdą upływającą sekundę.

Gdzieś głęboko w dole przepływały zielono-brunatne połacie pól, czasem przetykane ciemniejszą zielenią lasów. Widział lśniące wody jezior i rzek. Miast

mijali niewiele, a przynajmniej nie były to wielkie skupiska. Thomał uznał, że z jakiegoś powodu wybrano taką trasę, by omijać miasta.

Szybko zmieniające się widoki przedziwnie kołysały nerwy. Adam niemal zapomniał o swojej obawie przed wzbijaniem się w przestworza. Od pewnego czasu miał awersję do lotów, ale teraz, chociaż widział jeszcze ziemię, to raczej wiatrak nad głową dawał mu dziwne poczucie bezpieczeństwa. Stanowił gwarancję prędkiego lądowania na wypadek czegoś niedobrego.

Ale co miałyby być tym niedobrym? Thomał powiódł spojrzeniem po dalekim, mglistym horyzoncie. Miał hen do frontu, do Rosjan i tak zwanych separatystów. Niepokoje w kraju się kończyły i w zasadzie nic nie mogło się wydarzyć.

Maszyną szarpnęło, obniżyła gwałtownie lot i zaraz podniosła się wyżej. Ci, którzy drzemali, zostali gwałtownie obudzeni. Patrzyli na zebranych, szukając wytłumaczenia.

Technik pokładowy zamienił kilka słów z pilotami. Uniósł dłoń, dając znak, że ma coś do zakomunikowania.

– Pilot bardzo przeprasza! – wydarł się, przekrzykując warkot silnika. – Powinniśmy być na miejscu za niecałe czterdzieści minut! – Wołając, stukał palcem w zegarek.

Adam oparł się o burtę, poddając pod osąd tłukącą mu się po głowie teorię: *A czy w tej armii teraz, tego dnia, nie należy obawiać się zdrajców?* Pokręcił głową, jakby strząsał krople deszczu. Nie chciał się dołować. Przysunął się bliżej okna i skoro wszyscy wkoło znów popadali w letarg, wrócił do podziwiania widoków.

*

Atmosfera w maszynie z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej na pokładzie była podobna jak w tej, którą podróżował Adam Thomał. Zespół polsko-ukraińskich pasażerów odsypiał przeszłe i nadchodzące emocje. Ochroniarze i żołnierze próbowali się trzymać, ale od tego kołysania także im opadały powieki. Jeden z urzędników BBN ocknął się i spojrzął na urządzenie elektroniczne, które trzymał w płaskiej, miękkiej walizce. Niechętnie je otworzył i zmarszczył brwi strapiony. Odpiął pas przy ławce pod burtą i wstał. Chybotliwie, rzucany na boki podszedł do ministra Cezarego Waligóry i trącił go ostrożnie.

– Panie ministrze... – odezwał się nieśmiało, próbując załagodzić jego

niezadowolenie z powodu przerwanej drzemki. – Ciekawostki. – Podał politykowi tablet.

Waligóra ziewnął, zerkając kątem oka, czy szef śpi. Przejrzał kilka wiadomości podesłanych przy użyciu kodowanej sieci i sam uznał, że należy obudzić prezydenta.

– Znowu się zaczęło... – Przygryzł policzek, nienaturalnie krzywiąc usta. – Jest nawet ostrzeżenie...

„Pierwszy” szybko dochodził do siebie. Starł resztki snu z oczu i usiłował ułożyć zdania w logiczną całość.

Informowano go, że w kilku kolejnych miastach rozpoczęły się masowe demonstracje. Tysiące weteranów walk na wschodzie domagają się reakcji władz na rosyjskie działania remilitaryzacyjne w oderwanych regionach. Inne, bardziej dosadne postulaty mówią o potrzebie wymiany elit.

Wcześniej zapewniano o uspokojeniu nastrojów i o tym, że ewentualne protesty, jeżeli już będą, nie zanotują takiej frekwencji.

– To było do przewidzenia... – Pierwszy obywatel nie wydawał się zaskoczony. – Ruskie tanki to ewidentna prowokacja. Podsycanie nastrojów... – Oddał tablet i oparł głowę o ścianę, gotów znów zapaść w sen.

– To oczywiście... – Waligóra patrzył na swojego pomocnika. – Ale rozróby zaczynają się też w Krzywym Rogu. A to niedaleko od jednostki 31 Brygady. Analitycy łączą te przypadki z naszą obecnością... Wicki znał szczegóły, a teraz nie żyje. Zacząłem sobie to wszystko układać... myśleć... – Skakał z wątku na wątek, nie rozwijając żadnego. – Może warto się zastanowić, czy... – Po raz pierwszy zdradzał oznaki podenerwowania i niepewności.

– Wracać? – Prezydent udał, że nie dosłyszał. – Zaraz będziemy na miejscu. Sam mnie w to wpakowałeś. Ty i Wojtek... Zresztą... – Westchnął i ściszył głos. Postronni, czyli ochroniarze, nie musieli wszystkiego słyszeć. – Są sprawy, które trzeba niestety doprowadzić do finału. – Pochylił głowę. – Tak, ja też wolałbym być gdzieś indziej... – Zatopił w ministrze surowe spojrzenie pryncypała. – Gdyby robiło się źle, zawsze można skrócić pobyt. Lecieć dalej albo zawrócić. Ale nie odwołujemy. Źle by to wyglądało. Potem się nam dobiorą do dupy i tu, i u nas, że rejterada na całego...

– Tak jest – odparł Waligóra oficjalnie, choć wyraźnie bez satysfakcji. – Wolałem się upewnić.

Oparł się o ścianę i kiwnął na urzędnika, by wracał na miejsce. Minister zostawił sobie tablet i znów zaczął grzebać w wiadomościach. Biuletyn informacyjny mówił o wykrytej próbie zamachu w Szwecji i prawdopodobnie podobnym zdarzeniu w Finlandii. Niezrozumiały wewnętrzny konflikt na rosyjskim Kaukazie przybierał na sile. Zarówno zbliżone do Kremla media, jak i prezydent Ukrainy podczas wcześniejszych rozmów sugerowali uaktywnienie się islamskich fundamentalistów.

– Fundamentalisci – wyszeptał Waligóra z niejakim niedowierzaniem.

Obrócił głowę i popatrzył w ziemię. *A kimże oni są? Tam, na Kaukazie? Wszyscy pod butem jednego watażki, a ten...* Nie chciało mu się analizować. Tak jak szef najchętniej przeniósłby się teraz w przestrzeni w jakieś spokojniejsze, ładniejsze i zrozumialsze miejsce.

Prawdziwą sensacją był ostatni komunikat z tego istnego wysypu hiobowych wieści. Jakieś niepotwierdzone źródło mówiło o próbie zamachu na zastępcę prokuratora generalnego Federacji Rosyjskiej. Waligóra zagwizdał, ale w huku nic nie było słyhać. Chciał znów przeszkodzić prezydentowi, dał sobie jednak spokój.

– Będzie o czym jutro dyskutować – powiedział prawie bezdźwięcznie, rozważając, czy w obliczu tylu kolejnych problemów prezydent Ukrainy w ogóle będzie miał czas i chęć na kolejne spotkanie. Czy się od niego nie wykręci, skoro w jego mniemaniu i tak nie miało sensu?

Minister zgasił urządzenie. Ułożył je na udach, zamknął na powrót oczy i próbował się choć odrobinę odprężyć.

*

Szary kształt płatowca przemknął nisko ponad wodami zatoki. Wzleciał wyżej nad pustą linię brzegu, nad klify z łąkami falującej na wietrze trawy. Leciał dalej szybko i na minimalnym pułapie. Wchodził wyżej, kiedy na jego kursie wyrastała góra. Nurkował w doliny i znów przelatywał ponad wierzchołkami wzniesień. Coraz dalej w głąb lądu. Zaplanowany kurs ograniczał do minimum styczność z większymi skupiskami ludzkimi lub szlakami komunikacyjnymi.

Maszyna byłaby niczym duch, gdyby nie fakt, że istniała naprawdę. Przemierzała nieboskłon nad południową Ukrainą.

Około stu kilometrów od Chersonia samolot odbił w prawo na ogólny kurs do celu, na północny wschód. Tym samym rozpoczynał najniebezpieczniejszą część swojej

trasy.

*

Mężczyzna, który przez ostatnie dwa lata zachowaniem i wyglądem przekonywał sąsiadów, mieszkańców Kropywnika, o swoim upodleniu, niebawem miał skończyć z odgrywaniem tej roli.

Wiedział o tym i chociaż była to tylko kreacja, odczuwał pewien żal. Przywykł do swojej postaci – zapijaczonego, nierozgarniętego Osipa.

Znowu siedział w krzakach, jak to miał w zwyczaju w ciepłe dni. Tyle że tym razem nie marnował czasu, upewniając miejscowych, że mają do czynienia z pijakiem, od którego mogą się czuć lepsi. Teraz – w spodniach pokrytych kamuflażem, w kamizelce z magazynkami do swojego automatu i z zakrytą twarzą – był już zupełnie kimś innym.

Osip nie istniał. Wracał kapitan Zarządu Wywiadowczego Zachodniego Okręgu Wojskowego. Ale o tym też nikt nie miał prawa się dowiedzieć.

Oficer miał kieszenie pełne ukraińskich błyskotek, kokard w barwach narodowych, trójzębów i tego typu „odznaczeń”, którymi zamierzał upstrzyć odzienia swoich ludzi.

Byli od niego, ale i tutejsi. Być może zagubieni, ale przez to łatwi do kupienia. Weterani i ci, którzy zrazili się do polityki, dali wyprać sobie mózgi.

Kapitan i jego mała czteroosobowa obstawa: ochroniarze i łącznościowiec, kryli się jeszcze, wyczekując, aż tłum, jaki znowu zbierał się w okolicy dworca i przedmieścia, osiągnie stan wrzenia. Wpatrywali się w tę ludzką ciżbę przez lornetki. Krzyki i hasła niosły się daleko, ale policja i jej posiłki uważały jeszcze, że potrafią okiełznać ten niespodziewany wybuch niezadowolenia.

Ludzie kapitana mieszały się z prawdziwymi demonstrantami, których ściągano na wpół potajemnie od paru tygodni. Wabiono ich hasłami o tym, że amerykańscy Żydzi chcą wykupić miasteczko, później, że jednostka ma iść tłumić bunty jako nowy, niewdrożony w walki twór. Puszczono plotkę, że oficerowie są na usługach Kremla. Do tego kilka innych haseł, które odpowiednio podrasowane zyskiwały nośność w sieci. Bezczelny szum medialny. Dla każdego coś miłego. Skutkowało. Przybywali. Może nie z chęci zmienienia czegoś, bo w to mało kto wierzył. Bardziej chyba z nudów albo i rozpaczy.

W pewnej chwili tłum zafalował i naparł na kordon czarnych postaci w kaskach

z szybami i mocnych ochraniaczach, osłoniętych tarczami.

Kapitan bezwiednie zaczął chichotać. Dobrze dobierał ludzi, potrafili zgrywać swoje działania. Nawet niewtajemniczeni uznali, że to już, że padło jakieś hasło i czas zaczynać bitwę.

Przez szczekaczki radiowozów i polewaczek władza rzucała ostrzeżenia i prośby. Efekt był odwrotny. Tłum napierał. Policja wzmacniała najbardziej zagrożone odcinki, ale nie wkraczała siłowo. Plutony szkolonych do walki z tłumem funkcjonariuszy grupowały się na flankach i czekały na tych, którzy wyrwą się pierwsi.

Niepokoilo kapitana, że policja, jak w kilku innych miastach, wykazuje się biernością albo i jakiegoś rodzaju zrozumieniem. MSW nie miało dobrej opinii o władzy naczelnej.

Kapitan miał na to sposób. Dokładnie w tym celu został postawiony w tej zapomnianej przez Boga i władze mieścinie. Jeżeli sytuacja nie rozwijała się, jak zaplanowano, tym gorzej dla sytuacji. Poczciwy Osip był tutaj, by pomóc. Podgrzać atmosferę.

*

Pomalowana na kolor morskiej szarości anakonda z lotniska w Babich Dołach, która pełniła dyżur maszyny ratowniczej, przecinała powietrze ponad zatoką. Teraz musiała wyjść z roli SAR, a stać się śmigłowcem bojowym.

Starszy chorąży Kasprowicz miał wgląd w to, co widzieli dowództwo i operatorzy bezzałogowca – zwinnego, niewielkiego drona FlyEye. Maszynka fruwała już nad cyplem, doszukując się źródła zaniepokojenia Kamila „Monsignore”. Szary obraz podczerwieni na ekranie noszonym w kamuflażowym opakowaniu ukazywał odcinek szosy na półwyspie.

Ruch był, ale nie tak natężony jak w szczycie sezonu, kiedy sznur aut ciągnął się aż z Władysławowa.

Gdy obraz zawęzał się do najważniejszego odcinka, pod samym miastem na krańcu półwyspu, aut było jeszcze mniej. Wsiąkały gdzieś w Juracie lub okolicznych ośrodkach. Oko kamery skupiało się jednak na najważniejszej przestrzeni, tuż pod Helem. Tam, gdzie półwysep był najszerszy, otoczony lasami i wydymami.

Na parkingu wzdłuż drogi stała ciężarówka z ładunkiem zupełnie niewspółgrającym z tym miejscem. Prostokątna bryła była niczym niepasujący do

układanki klocek.

– Dwie minuty – głos pani podporucznik pilot w słuchawkach wyrwał chorążego Kasprowicza z zapatrzenia.

– Przyjąłem – potwierdził. – Nie leć bezpośrednio – wydawał polecenia, nie zważając zbyt na różnicę stopnia. Był starszy, bardziej doświadczony, a młodzi oficerowie mieli się uczyć. Zresztą to on dowodził. – Podejź od zachodu i potem wzdłuż drogi...

– Gdzie siadać? – blondynka zadała zasadnicze pytanie.

– Czekaj.

Kaleson potrzebował chwili na zastanowienie. Zbyt wiele niewiadomych drażniło i szeptało o zagrożeniu. *Gdzie jest obstawa?* – próbował odgadnąć. *W ogóle co to, do cholery, jest?*

*

– No już, zmywamy się – burczał po rosyjsku obcokrajowiec informatyk, ten, który grał wcześniej kierowcę, i podrygiwał na tylnym siedzeniu czerwonego seata. Nerwy mu siadały. Serce łomotało.

Przez drzewa obok krótkiej przesieki, na której parkował wóz, widział w oddaleniu swój ładunek. Kilkoro turystów kręciło się obok leniwie w pobliżu. Prowadzili dzieci, pchali wózki. Nie liczyli się z czasem, kierując się do muzeum w betonowych poniemieckich bunkrach.

– Spokój. – Dowódca siedział z przodu i wydawał się zupełnie nieporuszony. Doskonale krył lęk. – To nie żadna obserwacja. – Wyciągnął brodę w stronę ładunku. – Widzisz... Pierwsi turyści. Uspokój się.

– Ale zaraz mogą kogoś... – Informatyk odchodził chyba od zmysłów. – Ten palant od ośrodka nie jest aż tak głupi, a jak go przycisną o ten transport, to się ugnie. Jak nie gliny, to...

– To co? – Kierowca obruszył się. – Poradzimy sobie. Było zostać w Moskwie i klepać w klawiaturę. Ciszej i spokojniej, a tak... Rozkaz masz, to słuchaj. – Był młodszy rangą, ale nie mógł znieść tego pojękiwania. Każdy inaczej radził sobie ze stresem, on na przykład lubił ciszę przed burzą. – Wszystko się rozsypie, bo ktoś rozjebie nam zabawkę za pięć dwunasta – syczał. – Jeszcze pół godziny i nas nie ma. Niech się dzieje, co chce. Zrobi się taki dym, że nikt nie będzie wiedział, co się

wyprawia. Spokojnie, uciekniemy, uciekniemy.

Niczym na dowód, że wierzy w swoje możliwości i przydzielone im auto, poklepał w kierownicę.

Anakonda polskiej Marynarki Wojennej schodziła łagodną parabolą w stronę paska lądu na Bałtyku. Nadlatywała nad półwysep między Juratą a ośrodkiem prezydenckim. Śmigłowiec skręcił i zaczął lot wzdłuż szosy.

– Idziemy do muzeum! – Kasprowicz przekrzykiwał silnik, wskazując dwójkę swoich operatorów.

Ludzie słuchali poleceń skupieni, nie chcąc, by umknęła im najmniejsza drobnostka. Nosili lekkie kamizelki kuloodporne i taktyczne z ładownicami na piersi. Mieli radiostacje, hełmy i kominiarki. Stary rozkazał zabrać nawet granaty. Pobieżna odprawa była tak niepełna i niesamowita zarazem, że pewnie brali to za jakąś formę treningu. I tylko podenerwowanie Kalesona wskazywało, że coś naprawdę musi być nie tak. Że cel tam, w dole, to nie żadna teoretyczna blaga.

– Anioł – Kasprowicz zwrócił się do starszego mata, niskiego mężczyzny o z pozoru wątej sylwetce, któremu całe to bojowe oporządzenie wydawało się ciężać i przeszkadzać. – Odcinasz od drogi. – Chorąży pokazywał gestami dłoni planowane manewry. – Idź lasem, nie pokazuj się od razu. Uważaj na pułapki... – Przełknął ślinę i zaciął się.

W zapełnionym przedziale śmigłowca przez dwie, trzy sekundy słychać było tylko łoskot wirnika i dudnienie silników. Kasprowicz sam sobie nie dowierzał, że ostrzega przed minami na własnym podwórku. Niedaleko od macierzystej jednostki.

– Dobra – wykrzesał z siebie więcej energii – jeśli mamy tam coś trefnego, to można się spodziewać obstawy albo jakiejś kontroberwacji. – Rzucił okiem na ekran. – Jest kilka wozów, może w którymś w pobliżu. Jeden stoi najdalej – naszło go przecucie – głębiej w lesie. Też musicie go obejrzeć.

– Tak jest – odparł zwięźle Anioł.

– Trzydzieści sekund! – usłyszeli w słuchawkach panią pilot.

– Przyjąłem, dzięki – potwierdził dowódca grupy i zdjął pokładowy zestaw z głowy. – Lądujemy, panowie.

Opuścił kominiarkę i włożył hełm ze swoim mikrofonem i słuchawkami do radia osobistego. Ludzie przezornie zaczęli sprawdzać sprzęt.

Kasprowicz wolałby siadać nieco bliżej celu, na nagiej, idealnej wydmie między

niskimi sosnami w połowie drogi od zatoki do szosy, ale wiedział, że hałas śmigłowca ostrzeże osłonę. Jeżeli i tak się to jeszcze nie stało. Na tym skrawku ziemi połączonym nitką z lądem wszędzie było blisko.

– Policja ma po cichu odcinać miasto, ale to bardziej od strony Władysławowa, żeby nie pokazywać tu radiowozów – dopowiadał szybko, czując, jak śmigłowiec obniża pułap. – Czyli teren nieoczyszczony. Uważać na cywilów – skończył odprawę, kiedy technik odsunął drzwi. Podmuchy wiatru wdarły się do przedziału. – Dwójka do siedziby, jestem. Zaczynamy – nadał meldunek przez własną radiostację.

Wstał z siedziska.

– Mówcie, jak sytuacja – poinstruował operatorów drona.

Podniósł rękę, wyprostował kciuk w stronę kabiny pilotów i wyskoczył na betonowy plac lądowiska nieczynnego portu wojennego.

– Ciągłe się tu kręci! – Informatyk nie krył wściekłości, wymachując telefonem przed oczami dowódcy. – Dziesięć minut, a ten krąży. Co, przypadkiem? – Pluł śliną po całym samochodzie.

Szef nie reagował. Wgapił się w punkcik na ekraniku, na którym widać było najprostszą aplikację do śledzenia statków powietrznych. Wskazywał on zarówno cywilne, jak i co ważniejsze wojskowe maszyny.

– Spadajmy – żołnierz za kółkiem poparł informatyka.

Patrzył prosząco na szefa i co rusz, wyczekując łaskawej zgody na jego użycie, trącał kluczyk w stacyjce.

– Odpalisz to zdalnie? – rzucił szef naiwne pytanie. – Z jak daleka? – doprecyzował od razu.

– Bo ja wiem... – Komputerowiec zaczynał się uspokajać i znowu myślał jak profesjonalista. – Przez te drzewa... Powiedzmy: maksymalnie do dwóch kilometrów.

– Dobra – sapnął dowódca. – Spierdalamy. – Raz jeszcze popatrzył na ciężarówkę. – Ale narobimy bałaganu! – Ta uwaga jakoś do niego nie pasowała.

Kierowca przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył. Zgrzytnął bieg i wóz zaczął się toczyć.

Informatyk chciał jeszcze zerknąć na widok radaru z Internetu, ale zobaczył tylko informację o braku zasięgu.

– Co do...? – Z początku nie pojął. – Ja pierdolę... – Zbladł i już wiedział. Ktoś blokował łączność.

Samochód przejechał kilka metrów piaszczystej drożki, kiedy we wstecznym lusterku coś się poruszyło.

– Widzieliście?! – Kierowca aż podskoczył i przywarł do kierownicy.

Pozostali dwaj obrócili głowy, usiłując wyłowić z otoczenia wszystko, co do niego nie pasowało.

– Odcinają nas... – Informatyk przymykał powieki, wystrzając spojrzenie.

– Z lewej! – Krzyk dowódcy był jak grzmot. Dłoń dosięgła broni przy pasku. – Jedź! Jedź! – popędzał szef.

Samochód skoczył, wyjąc. Kierowca dopiero wrzucił wyższy bieg i dodał gazu. Wcisnął się w fotel, kiedy lufa pistoletu wysunęła się na wysokość jego twarzy. Huk wystrzału go ogłuszył. W głowie rozległ się nieznośny pisk. Szyba po lewej rozsypała się w dziesiątki okruchów, kiedy dowódca strzelał do uzbrojonej postaci, która wyrosła jak spod ziemi.

Kierowca chciał skręcić i przyśpieszyć, ale oszołomiony dźwiękiem reagował wolniej.

Informatyk też pruł z pozycji swojego siedzenia. Las wybrzmiewał krótkimi puknięciami i ich długim echem.

Szybko powtarzane strzały posypały się na karoserię czerwonego auta. Ołów ciął blachę, wrywając spore kawały lakieru i przesywając konstrukcję. W mgnieniu oka rozleciały się szyby. Spod maski buchał biały dym z przestrelonej chłodnicy.

Operatorzy wstrzymali ogień. Kolejno wymieniali magazynki w swoich HK G36.

Po tamtej stronie już nic się nie działo. Seat toczył się w osnowie dymu, aż oparł się maską o liche drzewko. Silnik wciąż pracował.

Komandosi podchodzili ostrożnie z trzech stron. Las, wydmy i cała okolica po tej nagłej strzelaninie wydawały się przerażająco ciche.

Anioł zbliżył się do drzwi kierowcy. Oddychał ciężko. Musiał być opanowany i gotowy, choć jeszcze miał w świadomości ten przekłety świst kul tuż obok głowy.

Ci w środku siedzieli z głowami pokrytymi krwią, w pozach niczym śpiący. Człowiek z tyłu rozłożył się na szerokości kanapy, a ramię opadło mu na twarz. Ubranie też miał zakrawione.

Operator otworzył drzwi. Kierowca osunął się w bok i opadł. Sącząca się krew wsiąkała w piasek.

– Czysto. Trzech tango – zameldował Anioł do mikrofonu.

Dopiero wtedy nieco mu ulżyło.

– Przyjąłem – odpowiedział momentalnie Kasprowicz. – Trzymaj sektor i bądź czujny. Cholera wie, co jeszcze mają.

Za plecami Kasprowicza, w lesie po drugiej stronie drogi, kryło się kilka osób – turyści zwabieni hałasami. Gapili się z otwartymi ustami. Ktoś próbował nagrywać cały ten show. Kaleson nie miał teraz głowy do troszczenia się o tajemnicę. Były ważniejsze problemy. Machnął kilka razy do tych gapiów, by uciekali, ale nie za bardzo chcieli słuchać. Trwali nieopodal, zapatrzeni niczym na jakąś popularną inscenizację.

Temperatura tego dnia nie była wybitnie wysoka, ale pod mundurem dowódcy płynęły już strużki potu.

Trójka operatorów podeszła do tira.

– Co teraz? – zapytał jeden wprost.

– Sprawdzamy, tylko ostrożnie – kazał Kasprowicz.

Dudnienie śmigłowca ponad lasem wbijało się w pulsujące skronie, potęgując przeokropne napięcie i zadając wręcz fizyczny ból.

Komandosi obeszli wóz. Zaglądali pod podwozie, świecąc latarkami u karabinków. Szukali pułapek, granatów, ładunków plastiku.

– Mam jakieś przyciski – zameldował żołnierz.

– Nie rusz – burknął dowódca ostrzegawczo.

Obszedł kabinę i stanął przy drzwiach kierowcy. Serce chciało wyrwać się spod obciążonej kamizelką piersi. Pot wsiąkał w kominiarkę.

Kasprowicz stanął na schodku, próbując dojrzeć więcej szczegółów wewnątrz. Niewiele zyskał.

– Kurwa. Skaner – rzucił.

Podali mu wydobytą z plecaka szarą skrzynkę z odchylanymi płacami w kształcie plastrów miodu na bokach. Ustawili statyw i przycisnęli do ściany. Kaleson patrzył uważnie, zagryzając wargi. Nie było ludzi, ale go to nie uspokajało. Niebieski kolor na czujniku wskazywał na obecność jakiegoś ładunku wybuchowego. Musiało go być niewiele lub został dobrze ukryty. Mógł być wszędzie, schowany w meblach albo jako nowatorska mina.

Chorąży kazał chłopakom złożyć sprzęt i się odsunąć.

Z wariującym pulsem pociągnął za klamkę. Napięły mu się wszystkie mięśnie. Nic

się jednak nie wydarzyło. Kasprowiczowi zakręciło się w głowie z chwilowego szczęścia.

– Dom! – olśniło go. – Wchodzimy do domu.

Podszept w duszy albo głos doświadczenia nagle nakazały pośpiech.

– Dwójka do siedziby – zaczął meldować. – Trzech zabitych. Wóz czysty, sprawdzam ładunek. Proszę o wsparcie – powiedział bardzo ogólnie, nie wiedząc, z czym właściwie się mierzy. Coś musiało być nie tak, skoro tamci otworzyli ogień.

Jeden z dwóch operatorów przy volvo padł na kolana i oparł się na łokciach, tworząc coś na kształt stopnia. Drugi wskoczył mu na grzbiet i szarpnął za klamkę drzwi do domu.

– Zamknięte – oznajmił, choć wszyscy już to wiedzieli.

Szarpnął silniej. Kumpel pod nim twardo znosił te niedogodności i tylko posykiwał.

Jedno, dwa uderzenia kolbą i zamek wreszcie puścił. Komandos wszedł, świecąc latarką. Zaraz za nim wewnątrz był Kaleson.

– No i co? – Prowadzący komandos nie bardzo rozumiał. Bojowa gorączka prędko ustępowała rozczarowaniu. – Po to ta cała... – pozwalał sobie na docinki, widząc, że prócz kilku mebli i stęchłego powietrza w środku nie ma nic podejrzanego.

– Psia ich mać. – Kaleson opuścił broń.

Przycisnął mikrofon do ust, chcąc już zameldować, że nie widzi tu nic zdołanego, kiedy znów doświadczenie zaczęło podpowiadać swoje. Bo po cóż zwyczajna letnia chatka miałyby być broniona przez trójkę uzbrojonych facetów?

– Sprawdźmy to. Sprawdźmy dokładnie – nakazał autorytatywnie, widząc, że jego człowiek zaczyna wątpić albo w umiejętności Kasprowicza, albo w wywiad, który wszczął alarm.

Kaleson wyrwał do przodu i zaczął ostukiwać szafki, łóżko oraz ściany. Robił to dokładnie, chociaż nie wiedział, czego szuka. Przeszedł do głównego pokoju. Oświetlił dokładniej kilka zakamarków. Tam naprawdę nic nie było. W jakimś przypływie desperacji uniósł karabinek i lufą grzmotnął w sufit. Rozległ się pusty dźwięk. Coś rezonowało. Nie była to odpowiednia wskazówka. To nie miała być solidna konstrukcja z kamienia, ale odgłos wydawał się nad wyraz dziwny.

Kasprowicz dobył noża i z całej siły wybił otwór w miękkiej płycie. Z wysiłkiem poszerzył go tak, by można tam było włożyć rękę. Białe skrawki zasypywały mu

twarz i mundur, kiedy wyszarpywał coraz większe kawałki gipsu.

Zmachany, znów sobie przyświecił i zastygł. W przestrzeni między sufitem a dachem coś było. Wnęka, podwójny sufit – nie wiedział, jak to nazwać. Z każdej ze stron znajdowały się jakieś zielone rury połączone przewodami.

– Coś tu jest! – wykrzyknął do radia, choć nie wiedział jeszcze, z czym ma do czynienia. – Pomóżcie – kazał, kiedy pozostała dwójka weszła do pokoju.

Mocowali się długo, demolując pomieszczenie. Podłogę zasnuły wielkie kawały kartonu i gipsu oraz biały pył. Dwie tuby na lipnym poddaszu szły przez całą długość konstrukcji.

– Co to, kurwa, ma być? – nie wytrzymał chłopak obok Kalesona.

Kasprowicz myślał, czy nie rozprawić się ze ścianami i nie odkryć wszystkiego. Każdego elementu tej broni.

– Wyrzutnia. – Był pewny. – Pieprzona wyrzutnia. – Znów robiło mu się zimno i słabo na dodatek. – Jakiś moduł... – myślał na głos. – Coś tu musi być...

Rzucił się rozrywać nieliczne meble, tłuc po szafkach. Wtedy w kącie pod stertą śmieci dostrzegł tę niepozorną skrzynkę i jakiś czarny przedmiot obok.

– Mam! – Nawet się ucieszył.

Zapalczywie macał bryłę, licząc na znalezienie przycisku, zamka czy zatrzasku. Przednia płyta odskoczyła i oczom podoficera ukazała się konsoleta kojarząca się z czymś, co znał z dawnych poligonów i wizyt u przeciwników.

– Co to za ustrojstwo? – Chłopak obok wybałuszył oczy, kręcąc głową.

Świeciło się kilka lampek, wszystkie zielone. W prostokątach za szybką widać było jakieś czerwone cyfry.

– Sterownik. – Kaleson improwizował. Znowu włączył nadawanie na paśmie dowództwa. – Mamy wyrzutnię... Czego? Nie wiem. – Uniósł głowę. – BM? Grad? Nie, coś innego. Większe, ale nie za bardzo... – Nie miał pojęcia, jak opisać to dziwadło. – Podłączyli jakiś komputer. Są współrzędne, czyli urządzenie czasowe – opisywał, co widzi, nie będąc nawet pewien, czy da się coś z tego zrozumieć.

Gdyby nie warunki i stres, nawet by się bał. *Monsignore, ty chuju, skąd ty to bierzesz?* – przemknęło mu przez głowę.

– Będzie strzelać, ale nie wiem kiedy... Trzeba saperów. Odciąć miasto i... ewakuować... – Znowu zamilkł, dochodząc do wniosku, że to nierealne. – Działajcie... – Nie miał innego pomysłu i przyciszył odbiór. – Sławek! – zwrócił się

do swojego żołnierza. – Umiesz tym jeździć? – Machnął dłonią za siebie.

– Że takim zestawem? No tak, mam na to prawko. Anioł ma i...

– Dobrze, ty mi wystarczysz – Kasprowicz skończył niepotrzebną dyskusję. – Odpalaj to ustrojstwo... W kabinie powinny być kluczyki. Jak nie, to poszukaj przy którymś z nieboszczyków.

– Szefie... – Struchlały operator czekał na choć małą odpowiedź. – Co właściwie chcesz zrobić?

Kaleson był złękniony, ale zmuszał się do działania.

– Nie wiem. Będziemy improwizować. Przecież nie zostawię tu tego gówna...

Volvo jechało tak szybko, jak tylko się dało z szerokim ładunkiem na pace, i to w coś uzbrojonym. Od strony stacji i ulicy Dworcowej schodzili się ludzie zaciekawieni odgłosami strzałów, krążącym śmigłowcem i nagłym zamieszaniem. Od Juraty nadjeżdżały radiowozy i karetki. Zwyczajny dzień nabierał kolorów, a wszystkie te „atrakcje” przyciągały gapiów.

Komandos za kierownicą ciężarówki zdawał się nie widzieć niczego poza szarym pasem asfaltu. Zaciskał palce na kółku, aż zbieleły pod rękawiczkami. Docierająca coraz silniejszym strumieniem świadomość, co ma za plecami i jak ryzykują z Kalesonem, pchając się w stronę miasta, mało nie spowodowała jakiejś zapaści u tego twardego komandosa.

Oddychał przez nos, łapiąc jak najwięcej tlenu, nim podda się okolicznościom i wizji tego, co się z nim stanie, jeżeli nie podoła.

Dusił dla animuszu klakson, uruchamiał co rusz syrenę i dociskał delikatnie pedał gazu.

– Dobrze, że to niedaleko – pocieszał Kasprowicz. – Niedaleko, niedaleko – powtarzał, bujając się w fotelu oparty o karabinek.

Musiał przeżywać podobne katusze. Wyciszył radio, nie mogąc słuchać poleceń dowództwa, żeby przerwać to szaleństwo.

Ta krótka przecież trasa wydawała się teraz sto razy dłuższa. Tak jak i czas, który zajmował im dojazd.

– Za parkiem w prawo, za tory – wskazywał głośno drogę, kiedy minęli helski dworzec.

– Wiem, wiem – fuknął kierowca niezadowolony. Znał to miejsce, zresztą jak większość ludzi w ich jednostce.

Zabrał się do szerokiego skrętu, bez pardonu zajmując lewy pas. Zatrzęsło i obydwu mężczyznom zdawało się, że ładunek się chwieje. Kaleson złapał za drzwi i zacisnął zęby. Mignął mu wylot ulicy Wiejskiej i jakieś kioski. Komandos obok dodał gazu i wrzucił bieg, aż skrzynia chrobotnęła.

Teraz mieli przed sobą długą prostą ulicę i bramę portu. Volvo gnało. Nic nie mogło zatrzymać ciężarówki.

Stróż w budce przy szlabanie wyszedł z kantorka, ciekawy, co się wyrabia. Struchlał, widząc pędzącą w jego kierunku masę.

Kasprowicz wysunął się przez okno i jako swoją przepustkę na teren dawnego portu zaprezentował wyciągniętą broń. Zamachał nią, ale starszy, siwy pan stał nieruchomo. Pilnował stanowiska albo był zbyt przerażony, by się ruszyć. Kaleson pociągnął za spust, śląc dwie krótkie serie w niebo. Dopiero na terkot palby emeryt złapał się za głowę i susem uskoczył w bok.

– Trzymaj się! – krzyknął Sławek i zapał się o kółko.

Uderzyli mocno, aż szyba pękła. Kawał rury wgniółł atrapę chłodnicy i wleciał pod koła. Samochód podskoczył. Jechał jednak dalej, ciągnąc za sobą strzępy łańcucha i przeszkody.

Aleja była wąska, otoczona wysokimi topolami i rozrastającymi się dziko wzdłuż budynków i chodników krzakami. Potem były większe, też martwe konstrukcje. Kaleson wyczekiwał zjazdu nad basen portowy.

Widział wiszący ponad terenem śmigłowiec. Zdążył nawet pomyśleć, że jego ekipa musi już gdzieś tu być. Przeszli lasem od szosy.

Skręcili i dróżką w cieniu drzew wtoczyli się na betonowy plac nabrzeży. Było jasno i spokojnie. Słońce migotało, odbijając się w cichych wodach akwenu.

Ciężarówka zahamowała z piskiem i dymem z opon.

– Cel widzisz? – Pytanie Kalesona brzmiało jak wers z podręcznika regulaminu.

– Tak jest – odpowiedź ledwo przeszła kierowcy przez gardło. Siedział wbity w fotel z prostymi ramionami opartymi na kierownicy.

– Dasz radę? Dasz! – dowódca próbował dodać mu męstwa w jedyny sposób, jaki mu pozostał. Na bardziej wysublimowane wywody nie było już czasu.

– Muszę... – Słabiutki głosik wydobył się z ust Sławka. – My przecież ludzie-żaby. – Jeszcze próbował jakieś lichej ironii.

Zwinnym ruchem zrzucił kamizelkę taktyczną i zaczął odpinać rzepy drugiej,

kuloodpornej.

Chorąży poklepał młodego w ramię. Otworzył drzwi i wyskoczył na ziemię. Pognał, unosząc broń, w stronę linii drzew. Tylko przystanął i kucnął zdyszany, kiedy volvo wyrwało z kopyta. Pełnym gazem. W nienormalnym wyścigu z czasem wprost na krawędź.

Kiedy przód wozu był na krańcu lądu, Kasprowicz zagryzł zęby i syknął, pewien, że zaraz pochłonie go burza ognia.

Przez przypadek albo dla chorego efekciarstwa ciężarówka wydała ostatnie tchnienie syreną. Zdawała się lecieć w powietrzu długie metry i wreszcie poddała się prawom grawitacji. Runęła po skosie, wyrzucając do góry słup wody. Dom był dobrze przymocowany, bo nie wyrwał się z okowów i trzymał się wozu. Zestaw przez chwilę kołysał się na wodzie.

Kaleson i reszta, która rzeczywiście już obstawiła teren, popędzili w stronę wody.

Starszy chorąży nie miał na to ochoty. Umysł się buntował, nogi sztywniały przy każdym kroku, ale musiał wydostać żołnierza.

Przystanął na krawędzi nabrzeża. Chłopak taplał się w słonej wodzie, usiłując zrzucić z siebie resztkę wyposażenia. Wóz tonął wolno, a wraz z nim niktą konstrukcja budowli.

– Brawo, Sławuś! – wrzeszczały chłopaki z brzegu.

– Wyrywaj... wyrywaj stamtąd! – krzyczał Kasprowicz, zdzierając gardło. Wracił mu jaki taki spokój.

*

– Jest cel.

To krótkie zdanie załało Saszę Szycłowa falą ulgi. Dotychczasowe napięcie gdzieś się ulatniało i chyba nawet zaczynał odczuwać radość.

– I bardzo fajnie. – Nabrał powietrza, klepiąc operatora przy ekranie komputera. – Nie wykryli nas, nie wykryli – szeptał radośnie do siebie czy też do wszystkich wkoło. – Bojcy! – rzucił gromko za siebie, w las. – Gotowe ptaszyny?

Paru ludzi obstawiało niepozorne zielone szyny, uniesione pod kątem na dwójnogach. Spoczywające na końcach tych konstrukcji aparaty również nie wyglądały przerażająco. Wszystko przeniesiono w sporych plecakach, by rozłożyć i przygotować do startu tuż przed wyznaczoną porą.

– Gotowe. – Zarządzający tym arsenałem był skupiony i pewny siebie.

Sasza uniósł kciuk i znowu zawiesił spojrzenie na szarym obrazie z satelity. Dobra jakość gwarantowała dostrzeżenie wielu szczegółów. Do bazy 31 Brygady zbliżało się kilka śmigłowców. Wgląd w jednostkę też wydawał się doskonały. Zresztą jak ogląd wszystkiego w promieniu wielu, wielu kilometrów.

Szyków był zadowolony i dumny. *Nie jest z Ciebie jeszcze taki grzyb* – cieszył się w duchu. Pospinał wszystko, jak nakazywała sztuka. A być może i lepiej. Coś ścisnęło go przyjemnie w dołku jak w chwili wielkiej ekscytacji. Lubił to uczucie.

– Pozwolimy im usiąść i nogi rozprostować... A potem się zdziwią. – Zatarł ręce.
– Niech Terminale czekają na sygnał do zabawy na ostro – poinstruował swoich ludzi.

*

Między niskimi domami o popękanych, acz kolorowych elewacjach przemykali ludzie. Młodzi, krzepcy mężczyźni. Było ich dziewięciu. Wszyscy krótko ostrzyżeni. Niektórzy ubrani w wytarte mundury, większość w stroje sportowe. Dźwigali wypchane torby podobne do tych, jakie trenujący zabierają na ćwiczenia.

Znali topografię uliczek Kropywnika. Poruszali się sprawnie. Nie odzywali się do siebie, nie reagowali na zaczepki miejscowych pijaczków ani wzbudzonych awanturami w mieście mieszkańców. Wydawali się bardzo skupieni i zaniepokojeni.

Szybko znaleźli wskazany adres. Dom był dwupiętrowy, stał na uboczu za podwórzem pełnym gratów i wraków kilku starych, brązowych od rdzy aut. Nie wydawał się w pełni zamieszkały. Klatka schodowa cuchnęła stęchlina i moczem.

Szef grupy wskazał chłopaka, który nie dźwigał torby. Ten spod granatowej bluzy wyciągnął krótki pistolet z tłumikiem i skacząc co dwa schodki, ruszył do góry.

Bezszelestnie przebył wysokie stopnie i dotarł do drabinki pod dachem. Wszedł na nią i pchnął właz. Świeże, gorące powietrze wpadło na strych. Chłopak wystawił broń, potem głowę. Szukał celu, jakiegoś zagrożenia.

Wylazł na płaską powierzchnię. Skrył się za najbliższym kominem i ostrożnie lustrował całe to podwyższenie.

– Czysto – rzucił półgłosem w dół do kolegów.

Czekali na ten sygnał. Jeden za drugim wdrapywali się na wierzch, dobierając i kryjąc odpowiednie sektory.

– Świetnie. – Dowódca był zadowolony. – Dobrze wybrali.

Analitycy znaleźli mu pozycję ogniową, z której panorama sięgała prawie aż do jednostki. Płaski skrawek dachu w odpowiedniej odległości, a ciągle nieobstawiony przez miejscową policję ani zagraniczne wojsko.

– Uważać na snajperów – rozkazał świadom, że skoro nie ma ich tutaj, to mogą obserwować ten budynek. A na pewno zaczną to robić, kiedy niewielka *kamanda* rozpocznie swoją część przedstawienia. – Stanowisko ogniowe... – Chwilę się wahał. – Komin od południowej strony. – Dłoń wskazała zacieniony kącik obok ceglanej konstrukcji.

Nie zdążył dokończyć zdania, kiedy ludzie odpowiedzialni za najcięższy środek ogniowy zaczęli rozpinać torby. Pół minuty nie zajęło im usadzenie płyt oporowych i reszty elementów półbaterii lekkich moździerzy. Pozostawało czekać niecierpliwie na sygnał.

*

Kasprowicz umościł sobie stanowisko w odległości około kilometra od basenu portowego w Helu. Jego zespół rozciągnął się na pokrytych mizerną trawą wydmach wśród niskich sosen.

Słońce było mocne i ta ich nowa placówka dawała przynajmniej nieco osłony, co pozwalało uspokoić rozbudzone zmysły.

Z zamyślenia i wspomnień szybkiej, dosłownie wariackiej akcji sprzed chwili wyrwała chorążego wibrująca w kieszeni bluzy komórka. Rozejrzał się wkoło, czy aby na pewno nie ma w pobliżu nikogo oprócz jego ludzi. Nie powinien włączać telefonu, ale czekał na to połączenie.

– No, wreszcie. – Miało to brzmieć jak wyrzut, ale Kaleson się cieszył.

– Wybacz, nie mogłem... Rozumiesz – rozmówca mówił równie cicho.

– Tak, jasne. – Kasprowicz nabrał powietrza. – No, wiesz. Szczerze wiesz. Miałeś nosa... Kurwa, jak zawsze zresztą. – Nie kadził. Mówił prawdę.

Po drugiej stronie było słyhać tylko wiatr poruszający, jak się zdawało, konarami drzew.

– Rację... – Monsignore wymówił to słowo jakoś tajemniczo i bardzo smutno. – Co... co to było? – dopytał zaraz, wyraźnie swobodniej.

– Nie wiemy, nie wiedzą... Ale zaczęło się piekło...

Jak na zamówienie gdzieś od ukrytej za płaskimi wzniesieniami szosy dobiegły

syreny którejs z nadciągających służb.

– Jadą tu wszyscy... Ba, jadą i lecą – mówił dalej komandos. – Na mój gust to była jakaś przymaskowana wyrzutnia. W coś chcieli walnąć...

– Gdynia Oksywie, ewentualnie Gdańsk. – Kamil był absolutnie pewien swojej diagnozy. Kasprowicz nie oponował. – Co z tym?

– Sprawdzają pobieżnie. Nas wywalili na pozycję blokującą, gdyby tamci mieli tu jeszcze kogoś. Czyli o nas zapomnieli. Szukają promieniowania lub gazu i wiesz, jak jest. Poślą nurka i... – Zdanie przerwał mu jakiś nadprzyrodzony odgłos. Uderzenie pioruna w jasny, bezchmurny dzień. Echo rozchodziło się porażającym dźwiękiem i wydawało się, że liche drzewka uginają się od podmuchu.

Zaraz przez huk eksplozji przebił się szum opadającej gdzieś wody – istnego tsunami burzącego się z mocą trąb jerychońskich.

– Kamil... Kamil, słyszysz?... – Kasprowicz leżał w płytkim dołku z sypkiego piasku. – No, to po wszystkim. Walnęło samo albo nasi... Kurwa, co to będzie? Wiesz coś? Zawsze wiesz – uciął świadom, że zadaje zbyt poważne pytania jak na rozmowę telefoniczną. Jednak obawa wzięła górę. – Zaczęło się? Idą tu? – Bał się dookreślić wroga i sytuację.

– Nie wiem. Nie – Monsignore zaraz się poprawił. – Czegoś chcieli, ale... Nie, żadnego ruchu... – Rwał zdania, jakby coś sprawdzał albo szukał czegoś w pamięci. – W paru miejscach chcą fajerwerków... Ale nie u nas.

– To trzymaj się i uważaj. – Kaleson oddychał szybciej i był bliski euforii. Największy strach ustępował. – Ty masz łeb... Masz łeb, stary... Tylko o co tu chodzi? Jeśli nie idą na całego, to odwracają uwagę, ale...

– Muszę kończyć.

Monsignore wyłączył telefon, udając zajętego. Na jego zmęczoną jaźń, którą ostatnimi godzinami bombardowało tyle pytań, spłynęło nagłe i niespodziewane olśnienie.

– Odwracają uwagę! – Aż zakręciło mu się w głowie. – Ty głupi skurwielu! – Oparł się o solidny pień jodły. – Jasne...

Potarł skronie, wściekły, że umysł mu szwankuje i coraz gorzej radzi sobie ze zmęczeniem. Strzał adrenaliny wlał się w żyły. Kamil wyrwał biegiem, ale zaraz przystanął. Doskonale wiedział, że nieoficjalna droga, bez kwitu, jest o wiele szybsza. Włączył listę kontaktów w telefonie i wybrał jeden numer.

*

Betonowy plac pełniący rolę lądowiska w jednostce dowództwa ukraińskiej 31 Brygady Lekkiej był nagrany i odbijał skwar, sprawiając, że wyczekiwanie na jego płycie nie należało do przyjemnych zadań.

Reprezentacyjny pododdział stał skryty w cieniu, by teraz znów wystawić się dumnie na powitanie dostojnych gości. W pobliżu ustawiła się również orkiestra i czekała cierpliwie na sygnał do odegrania hymnów i marszy do przeglądu wojsk. Tworzono też kawalkadę wojskowych pojazdów: nienagannie wyszykowanych Humvee dla VIP-ów i eskorty.

Do tego podwyższenie dla dowódcy, który miał prezentować w minidefiladzie swoich najlepszych żołnierzy. Później planowano dekoracje, przemówienia i najważniejsze – symboliczne przekazanie amerykańskiej pomocy: wyrzutni przeciwpancernych, karabinków, noktowizorów. Wszystkiego, co miało dopomóc w walce z rosyjskim wrogiem i dawać nadzieję, że Zachód pamięta.

Wyselekcjonowane ekipy wydziałów PR-u ukraińskiej i amerykańskiej armii czekały na znak, by zacząć filmować to wydarzenie. Ich materiały miały być jedynymi, jakie zostaną rozesłane do mediów.

I tylko coraz donośniejsze odgłosy zza ogrodzeń niepokoiły wszystkich. Zwłaszcza dowództwo, „strażników” z zagranicy i doradców.

Pohukiwania tłumu, syreny i gwizdki wyraźnie zbliżały się pod szanice jednostki.

Robert Krawiec stał w pewnym oddaleniu od szpalerów ukraińskich i zagranicznych mundurowych. Chował się w cieniu budynku dowództwa, gdzie rozsiadły się grupy rozpoznania. Lubił takie pozycje. Z dala, w ukryciu, poza widokiem innych. Tak, jak go wyszkolono.

Patrzył, obserwował uważnie, wyłapując wszystko, co mogło mieć wpływ na przebieg wizyty, której przecież nie chciał. Niepokoiły go te narastające hałasy spadające na okolicę jak niespodziewany deszcz.

„Mucha” Krawiec nie urodził się wczoraj. Wiedział, że gdzieś nastąpił przeciek, i tylko nie mógł dojść, gdzie i na jaką skalę. Uniósł spojrzenie osłoniętych okularami oczu na piętro budynku. Rozpoznanie nie meldowało o żadnych innych niepokojących zdarzeniach. Tylko demonstranci i ostatnio zamieszki.

Robertowi zrobiło się jakoś dziwnie. Na moment też zimno.

Od północy nadchodził miarowy warkot silników.

– Goście lecą – powiedział sam do siebie, łowiąc wzrokiem źródło hałasu.

Kilka punktów wysoko nad horyzontem. Z początku małe, rosły, ukazując swoje gabaryty. Wielkość i moc, która z rykiem motorów zdawała się gasić tumult na ziemi. Kryć go i niwelować niczym coś zupełnie nieistotnego.

Ale tak nie było.

Robert poczuł, że wibruje mu telefon. Zdziwił się. Spojrzał na ekran aparatu. Ze zdumieniem spostrzegł, że ma już trzy nieodebrane połączenia.

Jeżeli dzwonił Monsignore, i to w takiej chwili, to sprawa musiała być ważna.

– Co jest, stary? Nie mam za wiele... – zaczął, ale zaraz Kamil przerwał:

– Słuchaj uważnie. Ty tam u ukropów, tak? Wiesz coś o naszym prezydencie? Leci tam podobno czy jakoś tak. Jeśli coś wiesz albo masz jakieś doświadczenie, to wal swoim kanałem...

– Powiedzmy, że coś wiem. – Mucha powstrzymał śmiech. Podniósł wzrok na zbliżające się śmigłowce. – A co się dzieje? – Spoważniał.

Kamil zaczął prędko, ale wyraźnie i bez zbędnych opisów wyjaśniać.

Robert słuchał i czuł, jak serce mu przyśpiesza, a inne mięśnie tężeją.

– Mieliśmy podobne nowiny, ale żeby u nas... – Raz po raz przełykał ślinę. – Poszło na ogólny, więc góra powinna wiedzieć. Nie, nie od razu, to musi...

Zaczynał się bać. Jeszcze patrzył na podchodzące do ziemi Mi-8. Dudnienie silników wypełniło okolicę jednostajnym dźwiękiem. Prócz tego nie było słychać już nic.

– Dobra, postaram się! – przekrzykiwał helikoptery. – Zobaczę, co da się zrobić!

Rozglądał się nerwowo, nie bardzo wiedząc, dokąd udać się po pomoc najpierw.

W słuchawce zaczęło trzaskać. Słowa zmieniły się w metaliczne jęki, potem w pojedyncze, niezrozumiałe głoski i zapanowała cisza. Robert próbował wybrać numer raz jeszcze, ale na darmo. Aparat tracił zasięg albo sieć była ledwo wykrywalna.

Mucha schował telefon i ruszył prędko w stronę czterech maszyn.

– Wychodzimy za prezydentem – jeden z urzędników instruował Gdulę i Adama Thomala.

Wstali. Poprawili mundury. Silniki ucichły, łopaty obracały się coraz wolniej, rzucając długie cienie.

– Chyba już? – Adam się niecierpliwił i gotów był ruszać na zewnątrz. Chciał zakończyć tę podróż, mieć to za sobą i rozpocząć nowy etap.

Odezwała się orkiestra. Wygrywała żwawo jakiegoś marsza.

Drzwi ładowni zostały otworzone przez załogę. Ułożono trapy i zezwolono na wyjście.

O ile tam, wysoko, było zimno, o tyle tutaj ciało od razu spowił upał.

Słońce raziło. W okolicy było tłoczno – zwarte szeregi wojska, samochody, nieco dalej budynki koszar i jakieś magazyny. I ta coraz głośniejsza muzyka. Przez różne takty przebijało się jeszcze coś. Strzępki innych dźwięków. Odleglejszych, ostrych.

– Coś nie tak? – Gdula otarł czoło, sam próbując się zorientować, co dzieje się dalej, poza jednostką.

Prezydent Rzeczypospolitej kroczył ku środkowi placu, gdzie oczekiwał go już jakiś oficer. Stał wyprężony wraz z niewielkim sztabem i kilkoma ludźmi w innych niż ukraińskie mundurach. Adam wyłowił z tej zbieraniny amerykański uniform.

– Robi się międzynarodowo. – Napuszył się, kontent, że trafia do śmietanki.

Ochrona z SOP oraz ludzie Kerca dyskretnie obstawili okolice maszyn. Thomał usiłował dostrzec, gdzie jeszcze są poukrywani operatorzy – snajperzy i reszta, którzy musieli ubezpieczać te propagandowe popisy.

W pobliże prezydenta dopuszczono co znamienitszych członków świty. Zaraz obok kroczył pułkownik Zdaniłow. Ukraiński wiarus promieniał radością i chyba był szczerze wzruszony. Też rozglądał się uważnie wokoło i Adam spostrzegł, że oczy szklą mu się w uniesieniu. Policjanci zdawali się być jedynie ozdobami tej hecy. Nikogo zbytnio nie interesowali. Byli tu i tyle. Dopiero w Odessie planowano następny dotyczący ich bezpośrednio punkt programu.

Muzyka ucichła. Miejscowy dowódca defiladowym krokiem zbliżył się do głowy polskiego państwa. Zaczął głośno i pewnie meldować. Przejmował się i chciał wypaść należycie.

Prezydent, wyraźnie poruszony i zadowolony, skinął głową i podał oficerowi dłoń. Ukrainiec wskazał na zwarte szeregi wojska, ale w tej chwili coś innego przyciągnęło wzrok Adama. Jakieś poruszenie w niedużym sztabie wyczekującym przywitania z polskim przywódcą. Oficerowie tych różnych armii na moment się zdekoncentrowali, łamiąc szyk. Ktoś podszedł i odwracał uwagę.

Adam próbował się zorientować, co się tam dzieje. Zmrużył oczy i osłonił je

dłonią od słońca.

– Żeby cię, cholero...! – powiedział, a właściwie prawie wykrzyknął uradowany i wyrwał z miejsca, nie oglądając się na Zachariasza.

Inspektor, niewiele z tego rozumiejąc, nieśmiało podreptał za podwładnym i strofował go półgębkiem:

– Stój, Adam, nie pchaj się tam, do diaska...

Chciał złapać chłopaka za ramię, ale ten był za szybki.

Thomal wyminął łukiem najważniejszego gościa i żołnierzy z Lublińca, choć ci wydawali się nieco zadziwieni wyrywnością gliniarza.

Tak, Adamowi się nie przywidziało. Znał człowieka, który właśnie zawracał głowę tym wszystkim oficerom. Ostrożnie, uważając, by nie złamać jakiegoś protokołu i nie wyjść na takiego, który pcha się przed szereg, podszedł jeszcze bliżej.

Nie wiedział, że otoczenie prezydenta też już dostrzegło ten harmider i czeka na rozwój wydarzeń, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

Robert zauważył policjanta w wyjściowym mundurze. Zastygł i stracił zainteresowanie rozmowami z ludźmi z dowództwa i doradcami. Ruszył lekkim truchtem wprost do Thomala.

– Ty też tutaj?! – Adam uśmiechnął się szeroko, lustrując komandosa od kapelusza po czubki butów. – Niezłe spotkanie! – Machnął ramieniem, po czym podał dłoń dawno niewidzianemu znajomemu. – W Polsce nie ma czasu ustawić się na wodę, a tu...

Mucha nic nie mówił, zaskoczony, ale i jakoś strapiony. Przeszywał policjanta wściekłym i zdziwionym spojrzeniem, ignorując wyciągniętą rękę.

– Kurwa, jeżeli ty tu jesteś, to mamy pecha – burknął wręcz napastliwie. – Za każdym razem, jak się przyplączesz... – Kręcił niezadowolony głową. – Dobra. – Robert przygryzł wykrzywioną wargę, przypominając sobie, że są ważniejsze sprawy. – Ty w tym orszaku, panie gliniarzu... Muszę pogadać z kimś od naszych. Teraz – uściślił, niegotowy na jakieś dokładniejsze tłumaczenia.

*

Pogodny nastrój Saszki Szyłowa odchodził w zapomnienie. Zamieniał się w nerwowe wyczekiwanie, kiedy weteran wytracał resztki cierpliwości. Klęczał za plecami chłopaka obsługującego połączenie z Dziadkiem Mrozem, który przekazywał

tutaj, na wysuniętą pozycję, obraz z satelity. Dowódca opierał się o lufę karabinka i bezwiednie tarł palcami usta.

– Co się dzieje? – padło wypowiedziane grubym głosem Doktora ciche pytanie kołaczące się po głowie Saszki. – Prawią o czymś albo...?

Szycłow nie zamierzał dokończyć za przyjaciela. Nie uważał tego za realne.

– ...zwiedzieli się? – Wasilijowi przypadła niewdzięczna rola kasandry.

– Stoją i gadają... – odburknął tylko Saszka, coraz bardziej poddając się narastającemu napięciu. Uczuciu wręcz fizycznego bólu i podwyższonemu tętnu. Tej krótkiej, ale najważniejszej chwili, kiedy waży się życie i śmierć.

– Jak mówiłem, nasz „wróbel” działa, mam potwierdzenie – odezwał się informatyk, kliknął jakąś ikonę i odczytał przekaz. Jeszcze jeden dorzucał swoją opinię, tylko potęgując chaos w duszy Szycłowa. – Jeżeli jeszcze go nie wykryli, to dojdą do źródła zakłóceń – mówił, nie odwracając oczu od obrazu na ekranie. – Pomocują się kilka minut, ale to zwalczą. Mamy więc maksymalnie dwadzieścia minut.

– I jeszcze dwa „wróble” w zapasie. – Saszka nie chciał, żeby młody miał ostatnie słowo.

– Na osłonę odwrotu i jeden w rezerwie – młody nie odpuszczał. Popisywał się albo zwyczajnie się bał i gorzej znosił nieplanowane przestoje.

Szycłow uniósł wreszcie głowę i spojrzał na przyjaciela, rosnącego Wasilija. Szukał podpowiedzi, ale Doktor się nie odezwał. Sam czekał. Skoro Sieska był dowódcą, tylko on mógł brać odpowiedzialność.

Rosjanin gotów był przysiąc, że Wasilijowi sprawia to wręcz pewną frajdę. Splunął, maskując piętrzące się wątpliwości.

– Strzelamy. Nie ma czasu. – Starał się być twardy. – Słyszycie? Strzelamy! – Wstał i machnął do obsługi dronów. – Przykurwcie porządnie...

Zaraz pojawiła się jeszcze jedna niewiadoma. Czy uderzenie w tej chwili zapewni odpowiedni przekaz propagandowy? To wszystko miało podobno zostać sfilmowane. A i grupy dywersyjne mogłyby się spóźnić ze swoim wstępem. *Nieważne!* – huknął w myśli na samego siebie. *Niech się kończy.*

Operatorzy dronów zaczęli uruchamiać silniczki swoich ptaszyn. Według systemów niewielkich terminali wszystko działało. Widok z kamer w głowicach bezzałogowców był idealny. Maszyny były gotowe.

*

Zbiegowisko było już dość spore i niebezpieczne. Szeregi ukraińskiego wojska chwiały się, kiedy ciekawscy żołnierze oraz kadra zerkali w tamtą stronę, coraz bardziej występując z szyków, i próbowali się zorientować, co powoduje wstrzymanie ceremonii. Czekali już dość długo w tym upale, na słońcu.

Sytuacja była napięta i zaskakująca. Major SOP zezwolił na podejście Roberta, nieznanego żołnierza, tylko za poręczeniem Adama, choć obydwu nie spuszczano z oczu.

– Coś niedobrego się dzieje – zaczął Thomał, korzystając ze znajomości z ministrem Nikomskim.

– Słyszemy... – Starszy oficjel popisywał się opanowaniem. – Ktoś nas nie lubi. – Wskazał gdzieś za siebie, skąd znowu dochodziły pomruki tłumu.

– Odcinają łączność – Robert nie bawił się w konwenanse i powiedział wprost.

Delegacja jak na rozkaz sięgnęła po telefony.

– Nadal nie ma? – Waligóra patrzył na ekraniki obu swoich urządzeń. Był zaskoczony i coraz bardziej wystraszony. – Kilka minut i zaczynało rwać... Żadnego zasięgu, ale myślałem, że to tu... że to sprawa bezpieczeństwa. Panie prezydencie! – zawołał do głowy państwa, która ciągle czekała na koniec tego zamieszania, tocząc niewinne rozmowy z dowódcą bazy i szykując się do przeglądu pododdziałów.

Prezydent obrócił się. Nie miał najprzyjemniejszego wyrazu twarzy. Nie lubił potknięć, niedoróbek w ostatniej chwili, a tak to właśnie wyglądało.

Waligóra ruszył w jego stronę.

– To nie wszystko – Robert nie odpuszczał. – W Polsce udaremniono próbę zamachu.

Nowina była mocna, ale nie od razu dotarła do wszystkich.

– Słucham? – Nikomski pierwszy się ocknął i pobladł. – Zamach w Polsce? Gdzie?

– Moi ludzie mi donieśli, zanim... – tłumaczył nieskładnie Mucha.

Adam patrzył raz na jednego, raz na drugiego, gubiąc się w tej płątanie hiobowych wieści.

– Jasna cholera! – Kerc łapał to wszystko jakoś szybciej. – Niech odpalają! – krzyknął do majora z SOP, wyciągając szyję w kierunku śmigłowców. Wiedział, co robi.

– Ale jak to? – Thomal nie pojmował jeszcze i był nawet gotów protestować.

– To może być połączone... to wszystko... – Robert podniósł głos, wskazując palcem w powietrze – ...ma jakiś związek...

Oficer SOP podbiegł do załogi prezydenckiego śmigłowca. Ta stała obok i rozglądała się wokół z ciekawością. Była zaskoczona jak wszyscy inni. Dowódca coś jej tłumaczył wzburzonym głosem i pokazywał, machając rękami. Lotnicy zaraz ruszyli na swoje stanowiska.

– Natychmiast – do uszu Adama doleciało stanowcze, nieprzystojące podwładnemu polecenie Waligóry, który odciągał polskiego prezydenta od oficerów.

– Ja, ja to wyjaśnię! – Mucha doskoczył z przepaszającą miną i począł mówić szybko coś Igorowi Poprawowi i nie mniej porażonemu Zdaniłowowi.

W wyobraźni Adama Thomala pojawił się obraz jakiegoś spięcia, dyplomatycznego nietaktu, którego nie był w stanie pojąć. Nie wierzył, że trafił w sam środek niebezpieczeństwa.

Pułkownik Popraw tylko podrapał się po brodzie i przeklął siarczyście, zwolniony z obowiązku trzymania oficjalnego sznytu. Splunął i zaczął głośno wydawać rozkazy.

Tymczasem z silników wszystkich helikopterów wydostały się świsty i obłoki spalin.

SOP i ludzie od Kerca nie zamierzali czekać.

– Zawijamy się, zawijamy! Nie możemy zostać! – powtarzał porucznik do mikrofonu. – Ostrzegać o zagrożeniu! – rzucał w pełen trzasków eter z nadzieją, że snajperzy z jego jednostki i Amerykanie zdołają wypatrzyć coś niebezpiecznego w tym całym tłumie. Że w ogóle go usłyszą.

Ochrona, nie czekając na potwierdzenie, dopadła prezydenta i dosłownie porwała ze sobą. Teraz to już nie była wizyta w sojuszniczej jednostce, a pole bitwy pełne potencjalnych nieprzyjaciół.

Wszystko wirowało. Thomal myślał nawet, że to ziemia oszalała i przyśpieszyła bieg. Ukraińskie komendy plątały się z rozkazami po angielsku i polsku.

Pododdział reprezentacyjny wycofywał się do zabudowań szybkim, nie bardzo marszowym krokiem. Z naprzeciwka, klucząc między wojskiem a zaparkowanymi pojazdami, nadjeżdżał jeszcze jeden Humvee.

Amerykański generał, którego wypatrzył w oddali polski policjant, gdzieś się zawieruszył. Prezydenta pakowano na pokład śmigłowca, którego motory zdawały się

teraz wycić o wiele donośniej, grzmiać na trwogę. I tylko ludzie z Lublińca i SOP ciągle obstawiali maszynę.

Kerc próbował wywołać kogokolwiek przez radio, jednocześnie dyskutując o czymś z Robertem. Mucha mówił mu do ucha, potem sam słuchał i kiwał głową. Pokazał gest telefonu i Adam zrozumiał, że chodzi chyba o łączność przewodową.

Terenowe auto zatrzymało się z piskiem opon na rozgrzanym betonie. Szofer był w amerykańskim mundurze albo tylko tak się wydawało Thomalowi. Wypadł z za kółka i zaczął coś krzyczeć. Adam próbował usłyszeć, o co chodzi. Nie miał szans w całym tym huk i zamieszaniu. Widział jedynie, że obydwaj operatorzy wyraźnie się zafrapowali.

Reszta VIP-ów była ładowana do pozostałych maszyn.

Naraz jakieś silne ramię pchnęło Adama i zmusiło do wstania z przykucu. Nie protestował. Dawał się prowadzić jak dziecko.

– Spierdalamy, panie władzo! – Dawidek, żołnierz z Lublińca, dyszał i ciągnął Adama za ramię. Thomal ledwo go zrozumiał.

Ku jego zdziwieniu zamiast do maszyny, którą przybył na tę jakże krótką wizytę, komandos pchnął go do śmigłowca prezydenta. Adamowi przeszło przez myśl, by zaoponować, ale nie było na to czasu, a wszelkie próby tłumaczeń mogłyby się źle skończyć. Poza tym komisarz uznał, że ci tutaj wiedzą chyba więcej niż on. Być może miał się okazać potrzebny albo akurat ten helikopter był bliżej.

Jesteś gorylem – przypomniały mu się słowa Kerca, że każdy ostrzelany przyda się do obstawy.

Rzucił jeszcze okiem za siebie, kiedy wrota ładowni zaczęły się zamykać. Szukał szefa, inspektora Gduli. Plac, dosłownie przed chwilą tak odświętny i pełen ludzi, opustoszał. Gdzieś w oddali, przy budynkach, trwała krzątanina, ale to już Thomala nie obchodziło.

Drzwi zatrzasnęły się z metalicznym dźwiękiem. W porównaniu z jasnością dnia, jaka powitała ich w Kropywniku, teraz ładownia wydawała się pogrążona w półmroku. Nie było tu jednak spokoju.

Dowódca ochrony z SOP usiłował się z kimś połączyć, podobnie porucznik Kerc. Obydwaj dyszeli i klęli na przemian.

Prezydent otrząsał się już z zaskoczenia i zaczynał się niecierpliwić, a wręcz irytować. Odcięto go od sztabu doradców i pozostawał zdany na łaskę obstawy.

– Burdel, nie? – powiedział Dawidek prosto do ucha Thomala, dostrzegając w nim podobne jak u głowy państwa skonfundowanie. – Odciepli łączność, u nas jakiś zamach... Robi się, kurwa, mało zabawnie. A, i jeszcze... – referował na jednym oddechu, przyciskając do brzucha karabinek z lufą skierowaną ku podłodze.

Mi-8 warknął, dudnienie przechodziło w natarczywe świszczenie. Zatrzęsło i śmigłowiec zaczął się unosić.

– Spadamy, panie władzo, spadamy. – Dawidek z trudem odwrócił głowę, ograniczony nałożonym na siebie sprzętem, żeby wyrzeć przez okno.

Adam również wpatrywał się w malejące budynki i coraz odleglejszy plac z betonu. Wkrótce dostrzegł lasy oraz pola poligonów.

Zaraz za nimi podrywał się drugi Mi-8, chociaż nikt nie wiedział, kogo zabrał na pokład. Więcej eskorty od Kerca, miejscowych czy jeszcze jakichś VIP-ów? Może załogi uzgodniły, że dla bezpieczeństwa muszą lecieć dwie maszyny. Adam nie chciał się w to zagłębiać. Uciekli i to się liczyło.

Tętno się uspokajało, tak samo jak i on. Westchnął głęboko, oparł się o ścianę i zamykając oczy, poluzował krawat.

– Chyba po wszystkim? – Zasychało mu w gardle. – Właściwie dlaczego ja muszę w tym komunijnym anżugu paradować? – Strzepnął jakiś pył z brzucha, zazdroszcząc prawdziwym VIP-om, że ich ubrano w polowe stroje.

– Ukropy wykryły drona gdzieś w okolicy. – Dawidek nie odrywał wzroku od widoków za oknem. Nie słyszał banałów, które wygadywał Thomał. Albo nie chciał słyszeć. Miał poważniejsze zmartwienia. – On pewnie odciał łączność... – Pochylił się, usiłując dostrzec coś wyżej, ponad rotorem.

Adam nie miał gotowej riposty. Dla niego był to jakiś kosmos, którego nie ogarniał. Kiedyś popadł w podobne kłopoty, dotknął spraw, które go przerastały.

– Mucha miał rację. – Nerwowy grymas przebiegł po jego twarzy.

– Kto? – Dawidek nadstawił ucha. – Ten z Formozy? Znasz go?

– Znam. – Adam kiwnął głową. – Mówi, że przynoszę...

Jakiś niezrozumiały krzyk technika, strzelca przy PK zamontowanym w oknie na przedzie, zwrócił uwagę wszystkich pasażerów. Kerc poderwał się z miejsca, dopadł odsłoniętego otworu i wstawił głowę.

Kiedy zaraz odwrócił się, by spojrzeć na resztę, wydawał się biały jak papier.

– Wałą po bazie!!! – wydarł się, choć i tak ledwo można było go usłyszeć wśród

huku motorów.

*

Przez pracujące śmigłowce, rozmowy i rozmaite inne dźwięki nie było słychać ani żadnego świstu, ani furkotu. To coś przyleciało znieścacka. Rozerwało się na helipadzie i wzniosło niewielką pionową chmurę szarego dymu.

Goście przy swoich maszynach, nim padli na ziemię z rękami na głowach, wahali się chwilę, jak każdy, kto pierwszy raz dostaje się pod ostrzał. Nie rozumieli tego. Weszli w inny świat.

Granaty moździerzowe nadlatywały miarowo, jeden po drugim. Z początku nikt nie wiedział, skąd ani właściwie co mu zagraża.

Ostrzał był prowadzony z daleka, na chybił trafił, mniej więcej w okolice lądowiska. Kilka pocisków spadło na budynki.

Pozostali na miejscu funkcjonariusze SOP próbowali osłaniać swoich podopiecznych, chociaż na niczym nieosłoniętej betonowej płycie sami szukali kryjówek.

Któryś z poruczników poderwał się jako pierwszy i ciągnąc za sobą pana Nomczyka, dał sygnał, by ewakuować się do kolumny parkujących wojskowych półciężarówek. Na początek musiało wystarczyć.

Popraw i Zdańków przypadli do rozgrzanego betonu i z wprawą godną weteranów usiłovali ustalić, skąd otrzymują ogień.

Robert Krawiec też nie marudził. Nisko pochylony biegał między gośćmi, pomagając wstać zdezorientowanym politykom, i gnał z nimi do Hummerów.

– Stój! Dokąd to?! – darł się na kierowcę pierwszego wozu, który w przypływie desperacji zasiadał już za kierownicą, miał włączony silnik i był gotów rejterować.

Mucha miał przemożny wpływ na młodych i wielki autorytet. Kierowca usłuchał, choć dygotał i poruszał wargami, jakby chciał coś krzyknąć, ale sił mu nie starczyło.

Chaos ustał. Zrobiło się ciszej. Każdy z zebranych podałby pewnie inny czas ostrzału. Seria się skończyła. Zaczęły się nawoływania o rannych i ciche jęki tych, którzy dostali.

– Schron przeciwlotniczy! – Robert doskoczył do pułkownika Poprawa, który czerwony ze złości podnosił się z betonu. – Trzeba będzie ich rozlokować... – rzucał na gorąco pomysłami Mucha. – Chyba że zdążymy? – Jego wzrok spoczął na

rozgrzewających się helikopterach. – Nie – odpowiedział sam sobie, tracąc wiarę w refleks i szybki start.

– Zajmij się tym – rozkaz ukraińskiego pułkownika był krótki. – Potem sprawdzić, co z łącznością, i zaraz chcę mieć alarm bojowy! Tu – Popraw zamaszystym gestem grubego palca wskazał na ziemię – w całej brygadzie! – darł się do swoich ze sztabu, rozrzuconych po lądowisku.

Nie było żadnych pytań. Oficerowie wiedzieli, co powinni robić. Rzucili się biegiem do pojazdów albo na przełaj do budynków, pewni, że to tylko początek, że zaraz wszystko zacznie się na nowo. Jak spełnienie najgorszego snu, powietrze przeszył jakiś dźwięk, szybko przemieszczający się szum. Jeżeli komuś jeszcze się zdawało, że grupa cywilów zdoła uciec spod ognia tu, na ziemi, albo w powietrzu, musiał zmienić zdanie.

Przedmiot, który wleciał ponad bazę, był niewielki. Szara bryła ze skrzydłami, niczego więcej nie dało się określić. Wpadła z całą mocą w najbliższego Mi-8. Krótki błysk w okolicy silnika i ogień bluznął oknami. Po bazie rozszedł się niewyobrażalny grzmot eksplozji. Płomień uleciał w jaskrawej kuli, zmieniając się w obłok czarnego dymu. Wokoło fruwały skrawki poszarpanego aluminium.

Drugi śmigłowiec nie dostał bezpośredniego trafienia. Ładunek, pocisk czy cokolwiek to było, zboczył z kursu i spadł pod belką ogonową. Rozerwał się hałaśliwie, siekąc szrapnelami swojej konstrukcji, ale nie unicestwił ukraińskiej maszyny.

Niczym w jakimś ponurym żarcie, chwilę później zawyły syreny w jednostce i wrażenie grozy sięgnęło zenitu.

Robert nie mógł się wyprostować. Pochylony, czekając na kolejne uderzenie, patrzył w płomień ziejący z czarnej dziury, jakby wyrwanej ugryzieniem z bryły helikoptera. Widział ciała załogi ciśnięte wokół jej maszyny. Kilku Polaków z SOP wiło się z bólu na ziemi. Od strony jednostki jechały ambulansy i ciężarówki z kompanią alarmową, której dowódca chyba sądził, że od tej strony idzie na bazę jakieś wielkie natarcie.

– Jezusie – wykrztusił Robert. – Drony... mają sterowane... Sterowane drony!!! Kamikaze!!! – wrzasnął porażony tym, co właśnie zrozumiał.

W pojazdach, które przyjęły niedoszłych ewakuowanych, wybuchła wrzawa.

– Uciekajmy stąd! – Nomczyk wrzeszczał tak, jakby wydawał rozkazy.

Reszta z tego niewielkiego grona kłęła, zadzierając głowy i z lękiem wypatrując pocisku, który niechybnie miał wpaść w ich kolumnę.

– *Uchadi!!!* – wydzierał się Zdanilow na kierowców.

– Spierdalać! – dopomagał Robert i kilku innych doradców, którzy ciągle byli na miejscu.

Szofer Humvee dodał ostro gazu i pierwszy wóz wreszcie wyrwał z miejsca, biorąc momentalnie tak ostry zakręt, że pasażerowie posypali się jeden na drugiego.

Igor Popraw klepnął Zdanilowa i wskazał koledze weteranowi miejsce w ostatnim z aut. Wsiedli.

– Dawaj! – wydzierał się Popraw na Roberta „Muchę”, który stał jak zamurowany, odprowadzając wzrokiem pozostałe dwa śmigłowce.

Przeczuwał, że nie są zupełnie bezpieczne.

*

Dron napędzany śmigłem mknął zwinnie tuż przy ziemi. Jego „pilot” widział wszystko doskonale dzięki kamerze w nosie tego maleństwa. Mechaniczny ptak oddalał się od Kropywnika, kierując się na północny zachód. Gnał za celami o wiele mniejszymi i trudniejszymi do zaatakowania. Operator miał rozkaz je dopaść, choć zadanie to było bardziej niż trudne.

Maszyna nie była duża. Dostosowano ją do ataku na cele naziemne oraz rażenia ludzi. Ograniczony zapas paliwa i mniejsza moc dawały mikry zapas czasu na dogonienie szybkich śmigłowców. Dwie ważne rzeczy przemawiały na korzyść napastników: zaskoczenie i niewielki rozmiar aparatu. Mieli atakować szybko i brutalnie.

Widok z kamery przesuwiał się po krajobrazie. Niskie laski, kilka przysiółków i nagie, płaskie pola. To, co pokazywało oko satelity, udawało się zgrać z manewrami dronów. Cenne minuty ulatywały, odległość Mi-8 od bazy rosła, ale operatorzy bezzałogowców się nie poddawali. Śledzili swoje ofiary w milczeniu i skupieniu, zagłuszając w sobie obawy o to, czy wystarczy paliwa, czy niewielkie motory wytrzymają tempo.

Aparaty były porządnie zamaskowane. Nie było na nich oznaczeń producenta, napisów i płytek znamionowych. Zwykła zabawka, napchana trotylem i skrawkami metalu. Jednakże obyty z zawodem żołnierz doskonale rozumiał, że dotarcie do

producenta po nieuszkodzonej maszynie, która spadła na ziemię z powodu usterki, nie byłoby wielką trudnością. Taka wpadka narobiłaby zamieszania.

Jeden z operatorów uznał, że musi zaryzykować. Zrobił gwałtowny skręt i wzniósł się wyżej, po kącie ostrym.

– Są – zameldował z niejaką ulgą i radością.

Na jego ekranie w oddali mignęły dwa szare kształty ukraińskich Mi-8.

*

Adam nie widział, co się stało, nie widział pierwszego ataku – tylko go poczuł. Jeden z operatorów, który dostrzegł coś szybciej niż ktokolwiek inny, próbował krzyknąć. Zamiast ostrzeżenia wydał z siebie jednak nieporadny wrzask złożony z urywanych przekleństw i niezrozumiałego bulgotania.

Śmigłowcem rzuciło w prawo i w dół. Pasażerów najpierw uniosło w powietrze, by zaraz jakaś siła cisnęła ich na ławki i burty. Kto nie był przypięty pasami do siedziska, odczuł to najbardziej. Ładownię wypełniły jęki bólu i jeszcze więcej przekleństw.

Thomal ujrzał tylko ułamek tragedii, która działa się nieco dalej w powietrzu. Przebłysk jaskrawego ognika, który prześlizgnął się po okrągłym oknie za plecami żołnierzy JWK, kurczowo trzymających się swoich siedzisk.

Zdalnie sterowany dron w przedziwny sposób przeleciał pomiędzy dwoma śmigłowcami i uderzył w ten pierwszy w szyku. Wybuch przybrał kształt idealnie obłej czerwonej chmury. Maszyna zaczęła upiorny balet, dymiąc, chwiejąc się i gwałtownie zniżając lot. Adam nie wiedzieć czemu chciał zobaczyć, co będzie dalej. Wtedy zrozumiał, że uskok jego własnej maszyny uchronił go przed podobnym losem. Pilot dojrzał zagrożenie i miał dobry refleks.

Pokładowy PK szczechnął przeraźliwym metalicznym taktem. Technik widział jakiś cel.

– Wraca, wraca! – krzyczał ktoś obok prezydenta i teraz wielki Mi-8 zaczął wić się jak uchodzący przed ostrzałem myśliwiec.

Obniżyli lot, by zaraz wznieść się wyżej. Dowódca maszyny pojął jednak szybko, że przed tak inteligentną bronią nie da się długo uchodzić. Poszedł nosem w dół po skosie, byle bliżej ziemi. Przez krzyki przerażonych i już okropnie ciężki łomot przeciążanego silnika przedzierał się jęk rwanego metalu i huk wybuchu.

Adam wiedział, co to oznacza. Byli w powietrzu sami. Zemdlilo go czy to z obezwładniającego strachu, czy od tego lotniczego baletu. Zwymiotował. Otarł usta rękawem i unosząc oczy, napotkał spojrzenie głowy państwa. Prezydent był zszokowany i przerażony, tak jak Thomał, ale milczał. Być może grał do końca. Adamowi wydało się, że polityk się modli.

Nadszedł kolejny wstrząs. W kabinie pilotów rozległy się krzyki, silniki jęknęły metalicznie, dając ostatnie ostrzeżenie, że nie zniosą więcej tych nieudolnych akrobacji, do których maszyna zupełnie nie była przystosowana.

Thomał wyłapał kątem oka skrawek krajobrazu. Szli niżej, o wiele niżej.

Łoskot tłuczących się o blachy odłamków poszedł po ładowni i dopiero wtedy wszyscy usłyszeli grzmot. W uszach kłuło i dzwoniło. Thomał wrzasnął:

– Boże!

Złapał się za głowę, pewien, że w bólu kończy swój żywot. Nie widział, jak śmigłowiec dosłownie zawisa, jakby ktoś zaciągnął hamulec ręczny. Z silników biło ogniem, który wdzierał się do ładowni, grzejąc i parząc. Sekunda, może trzy i Mi-8 poszedł w przód.

Pilot walczył jak lew do samego końca. Nie darmo wzięto go do wożenia wybitnych osobistości. Musiał być dobry i doświadczony. Rotor pracował jeszcze, toteż lotnik był w stanie choć trochę wyhamować prędkość opadania. Ale i tak kontakt z ziemią nie był przyjemny. Konstrukcja jednak wytrzymała. Uniosła się albo raczej odbiła, by skoczyć kilkadziesiąt metrów. Kolejne lądowanie było jeszcze gwałtowniejsze i jeszcze mniej komfortowe. Podwozie nie wytrzymało i zarwało się pod ciężarem rozpędzonej maszyny. Przez kilka chwil kadłub ślizgał się z uniesioną belką ogonową, płaty śmigła zaczęły się łamać w zderzeniu z ziemią.

Wszystko syczało, ludzie stękali i nieprzerwanie klęli. Żyli. I nie docierało to do nich.

– Uciekać!

Adam nie wiedział, kto krzyczał – Polak czy Ukrainiec znający kilka słów po polsku. Ludzie z SOP i JWK poderwali się. Wyrwali prezydenta z jego siedziska i ściśle go osłaniając, pchnęli do bocznych drzwi. W jednej sekundzie ludzie zbili się w tłum napierający do jedynego wyjścia.

Ogień lizał sufit, nagrzewał konstrukcję i dusił, wydzielając coraz więcej dymu. Thomał był obijany, szturchany, bolało go tu i ówdzie, ale wiedział, że jest cały.

Dopadł drzwi i wyskoczył. Było ciepło, ale to nie było już to piekło, co we wnętrzu śmigłowca. Biegł i biegł, dysząc, zrywając z siebie bluzę munduru. Potknął się i padł twarzą w zieloną trawę pastwiska. Zamknął oczy. Zaciśnął dłonie na żdźbłach i czekał, aż ten zły sen się skończy.

Nie kończył się. Jak długo tak leżał – nie miał pojęcia.

– Do mnie, wszyscy do mnie! – Adam rozpoznał drżący głos porucznika Kerca.

Policjant dźwignął się i podparł na ramionach. Był pośrodku pustki. Zielone pole, w oddali linie drzew. Odwrócił się. Śmigłowiec płonął spory kawałek od ludzkiej cizby. Ogień rozszedł się po kokpicie, buchał z okien, smoląc na czarno kamuflaż. Dym bił grubym kominem, idealnie pionowo i wysoko. W środku co rusz rozrywała się amunicja.

Ludzie leżeli, stali albo snuli się w szoku, nie słysząc nawoływań Kerca. Adam poderwał się, ale zakręciło mu się w głowie. Zobaczył, że na plecach porzuconego munduru ma wielką dziurę od ognia. Wreszcie mógł się go pozbyć z czystym sumieniem. Od poparzenia uratowała go chyba tylko kamizelka pod koszulą.

Nogi mu drżały, plątały się, ale Thomał parł w stronę wraku. Strużka krwi sączyła się po policzku. Dłonie i ramiona też uraziło kilka odłamków.

– Żyjesz, glino? – zapytał facet, którego zapamiętał jako Felixa. Sam miał wielkie ze strachu oczy i przedziwnie sapał.

Thomał tylko kiwnął głową. Potruchtał tam, gdzie znajdowali się prezydent i centrum tego zgrupowania.

– W czym... w czym pomóc? – Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Kerc rzucił mu długie, wystraszone spojrzenie i obrócił się. Adam miał świadomość, że porucznik sam nie wie, co robić. Manipulował przy radiostacji przy kamizelce, rozpaczliwie szukając jakiegoś działającego kanału.

– Kurwa, jeszcze nie rozpierzdolili tego drona!

Thomał wolał tego nie słyszeć. Mimo bluzgów w tych słowach znać było lęk.

– Cali jesteście?! Wszyscy mogą chodzić? – pytał inny komandos, który nosił w plecaku pół szpitala i teraz na szybko, pobieżnie opatrywał rany.

– Będzie problem. – Major z SOP wskazał potrzaskaną nogę jednego ze swoich ludzi.

Pozostała czwórka zdawała się być w porządku i nie licząc lekkich poparzeń, sińców oraz płytkich skaleczeń, jakoś się trzymali.

– Okej, zmywamy się, bo to zaraz... – Ogień w maszynie zaczął syczeć. – Żadnej osłony, cholera wie jak daleko... Właśnie, pilot...? – Kerc nie przejmował się, że zwraca się do oficera ukraińskiego po polsku.

– Będzie dwadzieścia parę kilometrów. Trzydzieści... – odparł ten po rosyjsku. – Odbiliśmy od kursu na Kijów z pięć kilometrów na północny wschód. Może więcej... – Złapał się za głowę i milczał, przyglądając się temu, co zostało z jego zabawki.

– Dobra... Dobra robota. – Prezydent, pokryty sadzą i z plamami krwi na uniformie, podszedł, podając nadal drżącą dłoń. – Pan nas... uratował – powiedział wolno i wyraźnie.

Ukrainiec spuścił wzrok, ciągle poruszony tym wszystkim. Nie miał teraz głowy do pochlebstw.

Pierwszy obywatel wysilił się jeszcze na słaby uśmiech i przysiadł na ziemi, łapiąc się za głowę, wgapiony w pożar. Jemu też trudno było przejść do porządku nad tą traumą.

– Uratowałeś nas, kolego, prawda, ale teraz... Kurwa, ale dzicz. – Kerc chyba nie dowierzał. Wyciągnął lornetkę i zaczął przyglądać się okolicy. – Tam coś będzie. – Wskazał pod światło. Niewielki punkt odrywający się od krajobrazu majaczył gdzieś hen, daleko. – Chyba puste, zresztą... – Porucznik schował szkła. – Nieważne. Musimy przeczekać, bo tu siedzieć... – Miał złe przeczucia albo raczej takie były reguły sztuki. – Jeżeli nasi nas widzieli, słyszeli albo choć się domyślili, to zaraz będzie tu dron jankesów z Kropywnika. Jak uregulują łączność, będziemy mieli oczy. Ewakuacja to kwestia... – Tu argumenty mu się wyczerpały.

Adam nie potrafił rozsądzić, czy ten pocieszający monolog był skierowany do nich, czy też i do samego porucznika Kerca, który – choć ostrzelany – wyglądał na niesamowicie zaskoczzonego.

– Dobra. – Kerc się podniósł. – Baran, dasz radę? Idziesz na szpicę – rozkazał jednemu ze swojej dwunastki.

Rosły facet potruchtał naprzód, dociskając do siebie swój karabinek.

– Wy pilnujecie prezydenta. – Porucznik autorytatywnie wskazał na majora SOP.

Ten nie próbował dyskutować. Z operacji eskortowej wszystko zmieniło się w regularną wojnę.

– Adaś, ty też z nimi. Pomóż rannemu. Piloci wewnątrz formacji. I rozproszyć się. Pan prezydent gotowy?

– Tak. – Jak na dowód głowa państwa wyprężyła się.

– No to klawo. Dobra, idziemy... – zarządził Kerc i cała ta dziwaczna zbieranina ruszyła nieśpiesznie.

Adam złapał faceta z poharataną nogą zakrytą opatrunkiem i szedł ostrożnie, patrząc na pochłaniany przez ogień wrak. Na pstrykające płomienie obracające tę potężną maszynę w stertę poskręcane aluminium.

– Ja pierdolę. – Zaśmiał się nerwowo sam do siebie.

– Co jest? Niewygodnie? – wystraszył się ranny i poluzował uścisk wokół szyi policjanta.

– Nie, nie, jest dobrze. Ja tylko... Uświadomiłem sobie, że naprawdę nie powinienem latać. ■

ROZDZIAŁ 7

– Co robimy? Co robimy? Czekam na rozkazy! – Dwa powtarzające się co chwila z coraz większą natarczywością zdania drażniły umysł Szycłowa.

Dowódca stał w bezruchu niczym kamienna rzeźba, usiłując poukładać wszystko w całość i na dodatek zwalczyć narastającą chęć zapalenia papierosa.

Obraz na ekranie w szerszej perspektywie pokazywał dymy ponad Kropywnikiem i dwa gorejące punkty daleko od niego. Grupy dywersyjne atakowały bazę z różnym skutkiem i natężeniem. Właściwie ich działalność nie była już potrzebna, jednak ludzie z Terminali nie mieli łączności i pozostawali w ciszy radiowej, wykonując wcześniejsze polecenia.

– Co dalej? Sasza...? – Wasilij przystanął blisko. Pytał z każdą kolejną minutą coraz bardziej zirytowany, doskonale pojmując, że jeszcze więcej tego napięcia i bezruchu reszty oddziału nie wpłynie na niego dobrze. – Działamy czy zostajemy do nocy? Decyduj, inaczej nas...

– Dupa – wyrwało się dowodzącemu przez wpeł zamknięte wargi.

– Centrum dopomina się o dokończenie zadania. – Chłoptaş przy komputerze zaczął drażnić Szycłowa. Choć przecież był z tej samej służby, z tego samego oddziału.

– Czemu tak? – Saszka zrobił z ust dziubek i cmoknął, nieprzytomnie zapatrzony w obraz satelitarny. – Kto dał dupy? No, pytam: kto?! – Podnosił głos. – Może to całe centrum wie lepiej? – Podparł się pod boki, przestępując z miejsca na miejsce.

– Widzieli... wiedzą. – Doktor chciał go pocieszyć, ale efekt był odwrotny. – Załatwimy to... – Zamilkł, widząc gromiące go spojrzenie przyjaciela.

– Co ty nie powiesz...

Saszka wreszcie nie wytrzymał. Sięgnął głęboko do kieszeni i wydobyl paczkę papierosów. Zapalił i zasysał łapczywie dym. Uspokajało go to i pozwalało uporządkować myśli.

– Daj podgląd drugiego śmigła – rozkazał poważnie, ale spokojniej młodemu przy ekranie.

Kilka ruchów myszką i widok był bardziej szczegółowy. Płonący helikopter i sznur postaci wlokących się przez pole. Większość uzbrojona, tylko kilku w środku

formacji bez broni. Cała grupa rozwinięta w formacji taktycznej.

– Ale gównu. – Szycłow zagryzł wargę, aż zrobiła się czerwona, i zmarszczył czoło.

– Może dorwaliśmy kogo trzeba, a to... – Drugi z mądrali od komputerów też usiłował załagodzić napięcie.

– Ta... – fuknął oficer. – A tyłu chłopca z bronią osłania babcie klozetową. Kurwa wasza mać! – przeklął niby w próżnię, ale wszyscy wiedzieli, że ta uwaga skierowana była do ludzi od dronów.

– W zbitej masie nic by z nich nie zostało. – Doktor wszedł w rolę adwokata operatorów. – I tak cud, że udało im się stracić dwie maszyny.

Saszka popatrzył spode łba i jakoś tak dziwnie się uśmiechnął.

– W sumie... Chuj z nimi. Chuj z techniką. – Znow głęboko się zaciągnął.

– Centrum czeka na potwierdzenie – młodzian komputerowiec przywoływał ich do porządku.

– O, łaskawie się obudzili! – Saszka na powrót się zdenerwował. – Kilka dni mieli nas w dupie, a teraz... – wyrzucał z siebie frustracje nagromadzone przez czas żmudnych przygotowań i wyczekiwania. – Zakłócanie? – zapytał nagle spokojniej i przytomnie.

– Zestrzelą albo już zestrzelili. Nie wiem. Dziadek Mróz nie ma informacji – meldował informatyk zgodnie z prawdą.

– Czyli prawdopodobnie już się połapali w komunikacji. Niech podeślą nam drugiego „wróbla” – rozkazał Szycłow.

– Ale to do osłony odwrotu... – usiłował tłumaczyć młody operator, ale zaraz zmalął pod chmurnym spojrzeniem podpułkownika.

– Wiem do czego – sarknął dowódca przez zaciśnięte wargi. – Mamy rezerwę, nie? Pokomplikowało się, więc prosz o zakłócanie. Muszę mieć czas.

Wyprostował się. Zdusił niedopałek o korę najbliższego drzewa i sięgnął po kolejnego papierosa.

Chłopak przy komputerze wpisywał wiadomość, którą zaraz posłał przez koder.

– Dobrze. – Saszka się uspokajał. – Teraz rozkaż, żeby ci, którzy blokują drogi na kierunku kijowskim, wydzielili grupę i zajęli się... – Dwa palce ściskające papierosa wskazały przed siebie. – Mają bliżej. – Potrafił szybko kalkulować nawet w złej sytuacji. – Niech idą nasi, a miejscowym gałganom mówią, że to ktoś z Kijowa.

Nieważne, nawet że to sam prezydent, że właśnie go zestrzelili i można go zdybać. I że jest kasa do zarobienia! – rozkręcał się i podobało mu się to, co mówił. – Ty – obrócił się niespodziewanie do Doktora – weźmiesz połowę. – Dłoń z papierosem zatoczyła koło ponad głową. – Ruszycie w stronę aut i Dziadka Mroza... Ma jeszcze jakiś aparacik w zanadrzu. Nic wielkiego, ale da nam dokładniejszy obraz na cel. Tak, ja wiem...

Gest dłoni i kręcenie głową miały powstrzymać obiekcje Wasilija, który już otwierał usta.

– Jest dzień, tamci oszaleją, ale dasz radę. Idźcie lasami. Zresztą jesteście daleko, od razu nas nie wyłowią. Jak dostrzegą naszego drona, to też tak szybko nie namierzą, skąd jest sterowany. Każe, żeby od Dziadka Mroza zabrali kilka aut i ruszyli wam na spotkanie. – Sięgnął po mapę ukrytą pod ładownicami na brzuchu i krótko przyglądał się arkuszowi. – Powiedzmy, tu... – Wskazał Doktorowi konkretny punkt. – Kawalek od jego pozycji. Weźmiesz jeden. Podłączenie do obrazu... – Z torby obok stanowiska wydobyl płaskie etui na coś, co przypominało niewielki tablet. – Będziesz widział, co się dzieje. Znasz się na tym.

– Chcesz, żebym ja dokończył? – Pytanie Wasilija było nacechowane zdziwieniem i jednocześnie niepokojem.

– Dokładnie tego chcę – odpowiedział Sasza momentalnie. Spięty, gotowy na opór, który miał zamiar łamać.

Doktor właśnie tego momentu się bał. Wiedział, że nastąpi. Po to tu był. Do wzięcia na siebie najgorszego. Ataku na samej szpicy, osłaniania odwrotu albo wykańczania tego, co nie udało się do końca. Rozumiał, że taki rozkaz może być początkiem końca tej misji, jego i ludzi. Góra wymagała hardości i bezwzględności. Stawka była naprawdę wysoka i nikomu nie przyszło na myśl odpuścić, zostawić robotę w połowie. To byłby blamaż i powód, by przyszła rozprawa odbyła się bez pardonu i choćby namiastek honorowego traktowania.

– Miał być odpoczynek. – Kwaśny sarkazm był jedynym, na co Wasilij się zdobył. Puścił oko na znak, że rozumie, o co chodzi. Zgadzał się, z wielkim trudem tłumiąc w sobie lęk i głos instynktu, który dobitnie dawał mu do zrozumienia, by tego nie robił.

– Będziecie mieli wsparcie. – Pocieszenie podpułkownika wydało się puste i nieszczerze. Czysta sztampa. – Naszych jest jeszcze dużo. Mają broń. Poprowadzisz

ich i przypilnujesz. Tamci – kciuk wskazał gdzieś na step – to gołodupcy. Nie mają za wiele amunicji. Ilu ich... dwudziestu? Ile mogą mieć? Wykończysz ich albo jak zechcesz, weźmiesz kilku w *plen*. Damy ich do Internetu, ładnie będzie. Drastycznie i żałośnie.

Samo wyobrażenie ujęć, jakie miały zapełnić sieć, poprawiło oficerowi nastrój. Zapomniał wspomnieć, że już po samym oglądzie było znać, że to nie byle wojskowi, a jakaś grupa specjalna.

– Załamiał się, tu i w Polsce. Rozumiesz, wojna hybrydowa jest łatwa i zajebicie skuteczna. – Napiął się, wciągając powietrze. – Może to nawet i lepiej. Tak, to będzie lepsze... Mamy szczęście.

Doktor sądził, że Sasza go nieudolnie przekonuje, jakby był byle gnojkiem. Ale Szyćłow naprawdę uwierzył w to, co mówił. Wizja walącego się świata, której spełnienie właśnie zapoczątkował, ogarnęła jego umysł.

Gdyby nie to zadanie, gdyby nie konieczność wzięcia na siebie najgorszej części, stanięcia do otwartej walki, Wasilij mógłby poddać się optymizmowi. Szaleńczemu podszeptowi nadziei, że widok upolowanych nieprzyjaciół tak ucieszy górę, że odpuszczą sobie usuwanie świadków. Tyle że niszczenie postronnych właśnie się zaczynało.

– Macie do nich dwadzieścia kilometrów – Szyćłow przeszedł do konkretów, uznając, że marnuje czas na to podbudowywanie morale. – Będziecie za dwadzieścia, trzydzieści minut. Drogi są marne, ale nie przejmujcie się drogówką... – Jego spojrzenie zapłonęło. – Niczym się nie przejmujcie. Leżą do tych ruin. – Pokazał niewielkie zbiorowisko kilku kwadratowych punktów na podglądzie z satelity. – Nie pozwólcie im się umocnić. Zróbcie swoje. Trzaśnijcie kilka fotek i wracajcie. Wezwę transport i nocą będziemy u naszych.

Zawadiacki cios pięścią padł na tors Wasilija, nie czyniąc mu najmniejszej szkody. Doktor tylko zerknął zażenowany na miejsce uderzenia.

– Ty gdzie będziesz? – zadał najtrudniejsze pytanie.

Szyćłow drgnął przeszyty dreszczem. Mina mu stężała. Musiał uważać.

– Cofam się do Dziadka Mroza i poszukamy nowego miejsca na punkt dowodzenia. Kiedy ruszycie, zaczną niuchać, skąd się wzięliście. Będę w rezerwie. Jeszcze wszystkich nas z dwudziestka zostanie, jakby co. – Zabrzmiało to dwuznacznie.

– Tylu nie trzeba... – Wasilij złapał mocno karabinek i siłował się długo na spojrzenia z Szcylowem, który chyba właśnie przestawał być przyjacielem. Był tylko kolejnym Rosjaninem, który śle takich jak on na najgorsze. Jak zawsze, jak od dekad, bez względu na to, ile padłoby frazesów o równości wszystkich ludów wielkiej Federacji. – Czerwony i Niebieski! – zawył tubalnie jak rozwścieczony niedźwiedź, wywołując dwie sekcje. – Do mnie! Ruszamy!

Cofnął się ze wzrokiem ciągle utkwionym w Saszy.

– Jak mnie rozpoznają...? Skąd Terminal będzie wiedział, że my to my? Nie znali szczegółów, nie wiedzą o nas.

– Hasło, powiedzmy, Petersburg – rzekł Szcylow cicho. – Podam im. Będą wiedzieli. Walić ciszę radiową. Musimy improwizować. No... – uniósł oba kciuki – załatw to i będzie po wszystkim. Jak to się u was mówi, *inszallah!*

*

Baran szedł pierwszy. Dopadł jakiegoś betonowego skrawka pionowej ściany i siedział przy nim długo, przyglądając się przez celownik karabinka strukturze miejsca.

Opustoszała osada, kilka niszczących betonowych budowli. Widok znany Polakowi z terenów dawnych PGR-ów ze środkowego Pomorza albo zachodniej Polski. Długie budynki o skośnych dachach, pozbawione szyb i drzwi, stanowiły główną część tego obiektu. Cały teren był zarośnięty wysoką trawą i samosiejkami niemałych już drzewek. Asfaltowe i betonowe płyty ginęły pod warstwą ziemi, śmieci i roślin. Co rusz spod tej zielonej łachy wybijały się sterty śmieci, przede wszystkim gruzu i resztek plastikowych worków czy wiader.

Nieco dalej na uboczu, od południowej strony stały nieduże, równo poturbowane przez czas i zaniedbanie dwa niskie budynki mieszkalne. Piętrowe, wzniesione jak większość takich konstrukcji z szarej cegły. Nie miały okien ani rynien. Wielkie mokre plamy oblepiały ściany pod dachami, które najpewniej zapadły się dawno. Tuż obok z ziemi wyrastały jeszcze dwie ruiny – hałdy gruzów i strzępów konstrukcji wchłaniane przez zielen. Znak, że te inne bloki rozsypały się dawno albo i zostały z jakiegoś powodu zburzone.

W pobliżu znajdowały się parterowe baraki zakryte resztkami eternitu. Jeden z ogryzkiem stalowego komina, który padł ofiarą złomiarzy. Zapewne kotłownia, jak

skonstatował Polak. Druga budowla musiała być czymś na kształt biura dla zarządzającego tym majątkiem.

Osadę otaczały kiedyś ogrodzenia z betowych płyt, teraz już nielicznych, postrzępionych nieumiejętnymi próbami wyrwania ich do swoich celów przez okolicznych mieszkańców. Opierały się długo i dlatego zostały na swoich miejscach, jak ostatnie z wybitych zębów.

Baran dzwignął się z miejsca z kolbą broni wtuloną w ramię i okiem utkwionym w widok z kolimatora. Ruszał się ostrożnie, jak go wyuczono, jak weszło mu w krew. Stabilne, ale długie kroki. Skokami od ściany do ściany, najlepiej w cieniu, z lufą karabinka HK mierzącą w puste dziury okien, w szczeliny w zapadającym się gruncie. Słuchał trzasków i głosów, wypatrując znamion kolejnej zasadzki. Czegoś więcej niż tylko szum wiatru w pustych halach.

Dotarł w tym ostrożnym spacerze pod pierwszy blok. Wszedł na klatkę pozbawioną wierzeli. Była ciemna. Okropnie cuchnęła stęchlizną. Snop światła latarki pomógł operatorowi rozejrzeć się pobieżnie po kilku mieszkaniach. Pozbawione armatury, okien, a nawet podłóg. Niczym antyczna ruina pozostawiona sama sobie i zapomniana.

Baran wcisnął przycisk radia. Trzeszczało, ale mniej.

– Stary Jeden, czysto. Możecie ruszać – powiedział spokojnym głosem.

W mroku, do którego oczy z wolna się przyzwyczajały, dotarł na sam szczyt, pod pokieroszowany dach, którego struktura chyliła się do wewnątrz i siecią głębokich pęknięć rozwarstwiała beton od papy. Przez szczeliny wpadało nieco światła.

Wyjście na górę prowadziło po stalowej drabince opartej o kwadratowy właz. Baran nawet się zdziwił, że jeszcze nikt jej nie ukradł, ale ruszył ostrożnie na górę. Uniósł bez problemu zmurszały drewniany właz i ostrożnie wczołgał się na dach.

– Ja pier... – wyrwało mu się.

Ujrzał krajobraz niczym z punktu widokowego. Widział daleko, aż po mglisty od gęstego powietrza horyzont. Zielone łąki, czasem przerywane grubszymi paskami lasków albo zagajników. Najbliższy był oddalony o jakieś dwa kilometry, może więcej. Rósł przy jakiejś drodze.

Dopiero stąd miał pełen ogląd miejsca. Nie było tu kilku budynków. Były ich tuziny... Już dawno niekompletne. Zrujnowane ściany bez dachów wypełnione resztkami poniszczonych konstrukcji. Czasem tylko narożniki, strzępy ceglanych

obmurowań. A wszystko to spowite rzadszym lub obfitszym gąszczem zieleni. Pożerane przez naturę, która odbierała, co swoje, łapczywie chłonąc to rumowisko.

Gdzieś tam, poza tą upiorną płataniną labiryntów, które mogły okazać się koszmarem dla obrońców – o czym Baran jako doświadczony żołnierz wiedział doskonale – przejeżdżał właśnie jakiś wóz. Jasna cętka na niewyraźnym horyzoncie przemykała od lewej do prawej i znikwała w pasie odległej zieleni. Ku tamtej dalekiej szosie prowadziła zarastająca szutrowa ścieżka pośród ciasnych gruzów.

Gwiżdżący wiatr, który nie miał już żadnych przeszkód na swojej drodze, a zdawał się władać wszystkim wokół, niósł wyraźnie pomruki dalekich niepokojących hałasów.

Kerc popędzał całą „wycieczkę”. Prawie biegli.

– Panowie, ruchy, ruchy, już nas podglądają! – pokrzykiwał, sapiąc, kiedy pot spod hełmu płynął mu po twarzy.

Nie chciał się zatrzymywać. Jemu również stepowy wicher niósł co raz przypomnienie, że tylko z pozoru wszystko zaczęło się normować. Od południa dolatywały głuche, krótkie puknięcia, co w poruczniku Kercu budziło jak najgorsze podejrzenia.

Stanął i znowu dobył z kieszeni spodni małej lornetki. Daleko, na zachodzie, gdzie zieleń niskich, skąpych krzaków płożyla się przy ziemi całymi kilometrami, była jeszcze jedna droga. Oficer pamiętał to z map i widoków z helikoptera, kiedy zmierzali do Kropywnika. Teraz na tym trakcie, gdy kierował wzrok w jego stronę, coraz częściej pojawiały się auta. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu to droga. Nawet zwalnianie nie powinno dziwić – buchający w niebo dym z płonącego śmigłowca zwracał uwagę. Ale Kercowi się to nie podobało. Miał niezawodne przecucie, jak każdy, kto popracował w tej „firmie” kilka ładnych lat.

– Co się dzieje? – zdyszany głos Thomala przerwał obserwację.

Kerc odwrócił się. Policjant był mokry od potu, podobnie jak nieszczęsny podoficer SOP z poharataną nogą. Wisiał na szyi Adama, dzielnie trzymając umocowanego na pasie Mini-Beryla, by nie przeszkadzał w marszu.

– Dziwnie jest, panie Adasiu, dziwnie. – Zamyślony Kerc podszedł do rannego i podtrzymał go z drugiej strony. – Idziemy, nie ma czasu. Późno się robi – rozkazał i ruszył ostrożnie.

Dwa zespoły JWK obstawiły sprawnie perymetr. Ludzie wleźli do budynków

chlewni i baraków, szukając najmniejszych oznak jakiegos zagrożenia, którego Baran mógł nie zauważyć.

Prezydent siadł pod ścianą na ziemi, trąc spoconą głowę.

– Kurwa, ale skwar... – Łapał powietrze, co rusz zaciskał spierzchnięte usta.

– Wody? – odgadł jeden z operatorów. Odpiął plastikowy wężyk od swojego camelbaka i podał głowie państwa. – Kilka łyków, proszę. Za wiele nie mamy – instruował nad wyraz uprzejmie, nie tracąc oficjalnego podejścia.

Zaraz pojął, że prócz prezydenta jeszcze jedna osoba powinna się koniecznie napić. Ich ranny. Goliat skinął na kolegę i ten dał wodę facetowi z SOP.

Czereда lotników, SOP-owców i jeden gliniarz odpoczywali pod ścianą brudnej ruiny, wpatrując się raz w głowę państwa, raz w Kerca.

– Czekaście – rozkazał porucznik i truchtem ruszył do bloku mieszkalnego.

Adam podniósł wzrok. Słońce był ostre, a niebo idealnie czyste i przepięknie błękitne. Nadstawił uszu, wyczekując naiwnie dźwięków jakiegos śmigłowca. Liczył na odsiecz, jakąś pomoc, wmawiając sobie, że to nie może być tak. Że przecież przeżyli, prezydent i on, i wielu innych, i ktoś musiał to zauważyć.

*

Pokój operacyjny był pełen podenerwowanych ludzi. Stół wypełniały rozłożone mapy wojskowe, a na kilku ekranach – przebłysk wkraczającej do armii nowoczesności – wyświetlano obrazy z map GPS.

Gdzieś nad pomieszczeniem huczało od coraz rzadszych eksplozji lub wystrzałów.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi i w wejściu stanął generał Walter Logan i jego dwaj aniołowie stróże z amerykańskiej Delt.

– Mamy łączność! – zakrzyknął od wejścia z niejaką werwą i wesołością. Jego mina i spojrzenie pozostawały jednak strapione i nieco zawstydzone.

Jeżeli spodziewał się euforii i peanów od zebranej grupki wojskowych, to bardzo się mylił. Wieść przyjęto zwyczajnie, by nie powiedzieć – lodowato. Gwar rozmów na chwilę ucichł i w Amerykanina wbiło się kilka złych spojrzeń.

– Co dalej? – rzucił Popraw skamieniały na twarzy. – Niedługo zagłuszają znowu. Mają ku temu środki, musicie pomóc. – Nie pytał już, a żądał, z wielkim wysiłkiem hamując wybuch.

Amerykanin oparł się o stół na pięściach i opuścił głowę jak skruszony winowajca.

Patrzył na mapę.

– Tak, wiem – stęknął. – Rozmawiałem z Frankfurtem. Pomogą, a przynajmniej spróbują pomóc... – poprawił się zaraz, ostrożnie podnosząc wzrok na resztę. – Pasma Pentagonu są dostępne tylko na wypadek czegoś dużego. Wojny – uściślił, kiedy fizjonomie zebranych Ukraińców i Polaków dały mu do zrozumienia, by nie mówił do nich jak do niepełnosprawnych.

– Jeżeli nie użyjecie tego pasma, to będzie wojna. Ba, ona już trwa – zdobył się na odwagę Wojciech Nikomski siedzący na krześle w ciemnym rogu.

Amerykanin skinął głową, pogodzony z faktem, że to jest teraz jego główne zadanie – ułagodzić miejscowych, co może pozwoli mu odzyskać twarz. Te wschodnie narody były zawsze bardzo honorowe, a jego ludzie dali się podejść. Nie było tu może wiele ich winy, ale dla miejscowych wyglądało to tak, jakby skrewili przez nieuwagę albo zaniedbanie.

Jak na ratunek z napiętej sytuacji na jednym z monitorów wyświetlił się obraz: szary widok podglądu termalnego z amerykańskiego drona. Wszyscy podnieśli głowy z zaciekawieniem. Nikomski zerwał się i przecisnął bliżej.

– Przez blokadę łączności stracili nad nim panowanie. Poleciał na zachód i teraz zawraca. Jeszcze chwilę polata, póki baterie... – tłumaczył zapamiętałe Logan.

– Niech sprawdzą teren katastrofy – zażądał ostro Zdaniłow, wchodząc w rolę starego wiarusa.

Popraw nie protestował. Był tego samego zdania, a zresztą bardzo szanował starszego i silniejszego oficera.

– Skoro przeżyli, to tamci już wiedzą i zaraz coś odpalą. – Popraw krzywił twarz, jednocześnie mrużąc oczy, opętany jakąś wizją tego, co miało się wydarzyć. – Trzeba ich dopilnować. Jeżeli już nas słyszą, to chwała Bogu, mamy sukces. Tylko... – skonfundowane spojrzenie powędrowało ku Nikomskiemu – ...ciągle nie można im pomóc. A to, kurwa, tak blisko! – Łupnął pięścią w stół i teraz znowu patrzył na Logana z wyrazem chęci mordy na sojuszniku.

Drzwi do salki znowu się rozwarły i do pomieszczenia wparował Robert Krawiec oraz jeszcze jeden polski doradca. Obydwaj byli rozgorączkowani. Cuchnęli potem, spalenizną i prochem strzelniczym. Jako jedyni w tym towarzystwie wyglądali, jakby robili cokolwiek pożytecznego.

Nosili się bojowo – kamizelki opasane ładownicami standardu 5,56 milimetrów

i pokrowcami na granaty. Mucha trzymał swojego G36K nisko przy ziemi niczym lekką zabawkę. Był pobudzony i jakoś sadystycznie zadowolony.

– Jest dobrze. Jest dobrze – wykrztusił z dziwnym uśmiechem. Zwracał się do Poprawa, reszta mało go interesowała. – Odrzuciliśmy skurwieli – meldował prędko i dumnie. – Chłopaki dały radę. – Zawadiacko puścił oko. – Trzech padło, reszta nawiała. Pluton interwencyjny ich gania. Tłuką się pod miasteczkiem, prędko nas nie podejda – napawał się.

Podniósł broń, zdjął z szyi pas i walnął nimi o stół.

– A teraz poważniej – warknął. – Jeden Blackhawk poharatany, nie polecą. Mamy jeszcze jednego i Chinooka, ale to za wielka kobyła – wyrzucał z siebie całe zdania, jak się wydawało, bez nabierania powietrza. Był w tym swoim żywiole. Działał i planował automatycznie kilka ruchów do przodu, nie czekając na uwagi i podszepty. – Mamy coś nowego? – zapytał łaskawie, zerkając kolejno na zebranych i na kumpla, Stiope. – Odparliśmy atak. Można by się, kurwa, zabrać do porządnej roboty – burknął nieprzyjemnie, zły na cały świat.

– Jankesi zabezpieczą łączność – oświadczył Zdanilow z niekrytym przekąsem.

Logan nie rozumiał wiele z tej ukraińskiej paplaniny, ale wiedział, że znów robią przytyki wobec niego.

– Tak, zabezpieczymy – rzucił pewnie po angielsku.

– O, jak miło – prychnął Robert bezczelnie, nawet nie odwracając głowy do oficera, co było zamierzonym afrontem.

– Poinformujemy Kijów, jeżeli damy radę. Nie wiem, co dzieje się w innych regionach. To pieprzona wojna na całego czy tylko...? Trzeba wezwać grupę operacyjną ze stolicy.

Popraw pstryknął palcami do szefa sztabu, młodego jeszcze weterana z włosami czarnymi jak smoła. Chłopak zerwał się jak oparzony i ruszył wypełnić rozkaz.

– Mieli być w odwodzie. Niech lecą, zabierają polskiego prezydenta i się wynoszą! – krzyczał za nim pułkownik. – Musimy mieć przestrzeń, żeby normalnie się bić z tymi... – Wskazał na ekran z mapą.

– Dobra, koniec gadania, panowie. – Robert Krawiec pozwalał sobie na zbyt wiele, ale nikt nie oponował. Potrzebowali teraz takiego raptusa, gotowego do akcji. – Właśnie chcemy oczyścić przedpole. 10 Grupa i GROM nie przylecą od razu. To ponad dwieście kilometrów, kurwa. Chcę wziąć śmigło, ja i Stiope skoczmy po

szefa. Jak się okaże, że jest cacy, pošlemy „krowę” po resztę. Chłopaki od rozpoznania z Lublińca puszczą przodem swojego drona. Brygadowe kompanie, jakby coś się szykowało nowego, użyją swoich, więc to ogarniemy. Polecimy tam, gdzie patrol drogówki widział dym i ludzi. Jeśli mają głowy na karku, to szukają schronienia.

Na znak, że skończył tyradę, złapał karabinek i na powrót zawiesił na szyi. Przeciągnął się, prężąc.

– Czy o czymś...? – Nie pytał i nie czekał na zezwolenie. Nienawidził marnować czasu. Miał plan i chciał go zrealizować. – No dobra, panowie. Życzcie powodzenia.

Machnął ręką i wyszedł ze Stiopą.

Reszta stała w milczeniu i tylko Nikomski cicho się śmiał, trąc okulary.

– No, to mamy z głowy – szepnął Popraw. – Dobra, nam pozostaje Kropywnik i okolice... Musimy oczyścić je tak, żeby wróg nie mógł się wycofać. – Podsunął jedną z map. – Proponuję zebrać dwie kompanie 1 Batalionu... – Podniósł wzrok, szukając akceptacji u Zdaniłowa, i mówił dalej.

Nie zwrócił uwagi na to, co przemknęło przez obraz z amerykańskiego bezzałogowca.

*

Zbieranina mężczyzn w przeróżnych strojach wysiadała z busów i cywilnych aut terenowych. Kolumna kilku wozów rozciągnęła się na koślawym poboczu również nie najpiękniejszej drogi, w cieniu drzew.

Szef tego zgrupowania, dobrze zbudowany wielkolud o prostych plecach i drobnej, kościstej twarzy, wyszedł na szosę. Był ubrany w bawełniane spodnie od dresu, podkoszulek oraz narzuconą na niego kamizelkę kuloodporną i taktyczną objuczoną amunicją. Na nogach nosił pospolite trampki treningowe. Ubrojony był w długi karabinek AK-101 z celownikiem kolimatorowym i laserowym, tyle że u lufy.

– Rozkładać się w krzakach i czekać! – rzucił do reszty tych niby sportowców, żebraków czy kogokolwiek udawali.

Miał stopień porucznika, ale teraz dla swoich ludzi i postronnych był Misiem, jak go przezywali od niepamiętnych czasów.

Resztę rozkazów wydawał sprawnie, dopilnowując osobiście prawie każdego elementu. Nie powinien wtykać nosa w działania swoich sekcji, ale wołał mieć

wszystko pod kontrolą. Tego, co się teraz działo, nie było w planach, a te założono przecież nie mniej trudne. W samym środku wrogiego – przynajmniej w teorii – terytorium, bez wystarczającego wsparcia mieli rozpalić niezadowolenie, bunt. Prowokować. Teraz zaś ruszali do walki, bo ktoś na górze tak kazał.

– Ruszyli – zameldował dowódcy drugi w kolejności, ogolony na łyso niby byle wyrostek. – Dobry widok. – Kiwnął w stronę niewielkiego ekraniku transmitującego obraz z maleńkiego drona, który mieli na stanie.

Misio chwycił pewniej broń i wlaźł głębiej w zarośla, bacząc, gdzie są jego ludzie.

– Bez sensu, kurwa... – sarknął, zły na wszystko i wszystkich.

– Zasady – podpowiedział łyсы dzieciak.

– Wiem, wiem. – Starszy lejtnant machnął ręką. – Trzeba ich wywęszyć i sprowokować skurwieli. Mało ich podobno.

Słabe to było pocieszenie.

W dali, na płaskim jak stół terenie, między kępami dzikiej roślinności majaczyły ruiny. Miejsce nadchodzącej walki.

*

Adam Thomal nie mógł usiedzieć na miejscu. Zwłaszcza że to miejsce było obrzydliwą, cuchnącą norą w piwnicy bloku.

Wyrwał po schodach na sam szczyt budowli i wspiął się na zapadający się dach.

– ...dobrze. Dobrze, że się wreszcie słyszymy – Kerc mówił do radia przy zestawie słuchawkowym, który miał pod hełmem, i wyglądał na ucieszonego. – Nie jest wyraźnie, ale lepiej, niż było.

Słuchał chwilę głosów przebijających się przez trzaski. Obok klęczał major SOP i zastępujący Kerca Dawidek.

– Ty tu co? – syknął ten ostatni na Thomala, kiedy ten tylko wystawił głowę ponad właz, na skwar.

– Chcę pomóc – postawił się policjant i gramolił się dalej na dach.

– Wypad. Miałeś pilnować... – Dawidek nie chciał tutaj tłumu.

– Pierdol się. – Adam zbyt szybko się rozpędził. – Chcę się przydać, a nie gnić... Pilnuje reszta borowików czy jak tam ich zwa... – Podniósł głowę, rozglądając się wkoło.

Operatorzy oddziału Kerca czaili się na domu obok i na niepewnych szczytach

długich budynków gospodarczych, kryjąc skromnymi siłami najwięcej terenu, jak się dało.

Adam osłonił oczy od słońca i patrzył na niebo. Coś mignęło daleko na wschodzie jednym krótkim reflekssem odbitego światła i zniknęło, stało się przeźroczyste.

– Coś tam... Co to może być? – Ze zmęczenia i stresu nie potrafił sobie tego wyjaśnić.

– Dron, panie władzo, dron – Dawidek pośpieszył z protekcjonalnym tłumaczeniem.

– Czyli nas widzą. – Ulga spływała na Adama. – Nasz.

– Nasz albo ich. Już ze dwa przyuważyłem. – Czarny humor komandosa budził lęk. – Tłoczno się robi nad nami, tłoczno... – Uniósł palce, nie odwracając w od perymetru.

– Siadajcie przy budynku... – Kerc niestrudzenie konferował z kimś dalej. Co kilka chwil podnosił lornetkę i patrzył na horyzont, szukając zagrożenia. – Bez odbioru – zakończył i sapnął.

Sięgnął po gumowy wężyk miękkiej, plastikowej manierki, czyli „garbu wielbłąda” przytroczonego do kamizelki. Pociągnął spory łyk, zły na siebie, że złamał najważniejszą zasadę i nie uzupełniał płynów tak długo.

Thomal widział, że faceta coś gryzie, trawi od wewnątrz. Że nie jest w stanie zachować spokoju.

– Jak nasz główny podopieczny? – spytał Adama jak gdyby nigdy nic, uciekając na chwilę od pogłębiającego się z wolna przygnębienia.

– Jest okej. Trzyma się albo dobrze udaje. Nie gędzi...

– Dobra – przerwał Kerc, tak naprawdę niezainteresowany. – Musimy szybko stąd wybijać. Właśnie ze względu na prezydenta. – Zerknął na ochroniarza z SOP. – Nie mamy wody, a jest wczesne popołudnie i słońeczko trochę pogrzeje. Im dłużej tu siedzimy, tym pewniejsze, że zwracamy uwagę. I jeszcze to jebane ognisko. – Wyciągnął ramię w kierunku słupa dymu, który zostawili za sobą. Nić, choć wątlejsza i już bardziej szara niż czarna, unosiła się jednak cały czas. Dalej kolejna.

Kiedy w natłoku problemów natrafiał na ten najważniejszy, największy, z jakim miał się mierzyć – że ma pod swoją opieką głowę państwa – mało nie tracił przytomności. A gdy usiłował przewidywać następne ruchy, określać liczbę przeciwników i swoje zasoby, był o krok od czystej paniki.

– Ciekawe, co z tamtymi. – Major zastygł w niepokoju o swoich ludzi, którzy mieli pecha trafić do niewłaściwej maszyny.

– Jak sytuacja? – Głos i zadane nim pytanie zmroziły wszystkich.

W dziurze w dachu pojawiła się głowa prezydenta. Polityk zaczął gramolić się na wierzch sprawnie i szybko, aż pozostali zaniemówili.

– Pan co tu... – Major prawie padł na plecy porażony tym widokiem. – Już na dół, mieli pana pilnować! – wrzasnął piskliwie.

– Chciałem dowiedzieć się u źródła, na czym stoję... stoimy. – Szef państwa podchodził na ugiętych nogach, tłumacząc się z całą powagą.

Tuż za nim pojawił się ochroniarz ze skwaszoną, przepraszącą miną.

– Z całym szacunkiem... – Kerc podniósł głos. – Mówione było, że musi pan... słuchać naszych poleceń. Więc proszę... – uprzejmość coraz trudniej mu przychodziła – ...zejść z dachu. Tu może być naprawdę niebezpiecznie. – Zaciskał zęby.

– Panie prezydencie, naprawdę proszę się schować. – Majorowi SOP przyjemniejsze podejście przychodziło łatwiej. Był bliżej polityki albo – jak sądził Adam – nie ogarniał do końca, co się dzieje. Zresztą Thomal też nie miał pojęcia.

– W porządku. – Prezydent nie chciał się sprzeczać. – Tylko proszę powiedzieć, na czym stoimy.

– Czekamy na transport. Będą nas ewakuować – powiedział prosto porucznik Kerc. – Przywrócili łączność. Nasi nas chyba widzą... – Przerwał, kiedy w słuchawce znów coś zatrzeszczało.

– Lublin, powtórz – wywołał kryptonim Jarzyny oraz swojego rozpoznania z Kropywnika. – Dobra, dzięki. Odbiór.

Oddychał szybciej.

– Koniec pitolenia – odezwał się cicho, ale nad wyraz stanowczo. – Prezydent do piwnicy i tam proszę pozostać. – Wskazał na Thomala. – Dopilnujesz, żadnego wychodzenia.

– Co się dzieje? – Prezydent nie ustępował.

– Coś na pewno.

Kerc chciał zbyć swojego podopiecznego, ale ten siedział w miejscu, wgapiając się w komandosa, jakby go hipnotyzował.

– Mamy pierwszych gości – poddał się albo chciał mieć to z głowy. – Są ze dwa kilometry stąd. – Odwrócił się w kierunku północnym. – Nad drogą. Rozkładają się

przy jakiejś ścieżce. Nie wiadomo, kto to, ale podobno... No, już! – Klasnął. – Zabierać mi pana prezydenta! – Nastroszył się nie na żarty.

Zastygł wpatrzony w ten potworny obszar z tysiącem kryjówek, nieoczyszczony pas obrony, który przypadł mu w udziale. Miał zaledwie kilkunastu ludzi i coraz mniej czasu.

Major autorytatywnie złapał szefa pod ramię i zaczął odciągać. W innych okolicznościach takie zachowanie zostałoby uznane za impertynencję. Adam odczekał, aż prezydent zniknął pod powietrzną dachu. Kerc stracił zainteresowanie zbiegowiskiem i zaczął wydawać polecenia. Wysłał dwóch ludzi dalej w stronę szosy, żeby mieli baczenie na podejście z tamtego kierunku i wyznaczali północny perymetr. Ostrzegali i dzielili się obserwacjami.

Kiedy Adam szykował się do wejścia na drabinę, poczuł nad głową ciepły powiew. Zaraz potem usłyszał świst. Skulił się odruchowo.

– Co to... Co to było?– zapytał na głos, nie dowierzając.

– Co? – Kerc odwrócił się, nie pojmując, i dopiero wtedy do ich uszu doleciał daleki, ale wyraźny huk wystrzału.

– *Fuck* – Baran zaklął po angielsku i przywarł do gorącej papy. – Zaczęło się, kurwa, zaczęło się!

Wlepił wzrok w celownik, usilnie szukając snajpera, a jego dowódca, rozpląszczony na dachu, zaczął wywoływać swoich przez radio.

*

Alejki i place bazy dowództwa 31 Brygady wypełniał ryk pracujących i rozgrzewanych silników. Wszędzie unosiły się niebieskawe obłoki spalin i cały ten techniczny smród. Jednostka żyła albo właściwie budziła się do zadań jej przeznaczonych. Jak wyrwany z leża, szykujący się do polowania zwierz. Robert Krawiec tak wolał to widzieć, kiedy unosił się w powietrze i patrzył na to wszystko z pokładu MH-60, odprowadzany wzrokiem swojego przyjaciela, pułkownika Poprawa. Polak żałował, że nie idzie z tymi ludźmi. Traktował ich jak swoich, jak podkomendnych, których wyszkolił i którym miał obowiązek towarzyszyć w poważniejszym boju. Pierwszy test zdali. Położyli trupem kilku gnojzków posłanych na rozpoznanie. Tamci musieli się zdziwić, że dostali taki opór.

Kim byliście? – zadał sobie po raz wtóry to samo pytanie. Bił się z piątą kolumną,

ruską dywersją czy zmanipulowanymi bandziorami, którym ktoś płacił?

– Wszystko tu, kurwa, możliwe – nie spostrzegł, że odpowiedział sobie na głos.

– Co jest? – Strzelec, Amerykanin w tym swoim wielkim hełmie i fantazyjnie wymalowanej masce *à la* psi pysk, klepnął go w ramię, uznając, że chodzi o niego.

– Nie, nic. – Robert pokręcił głową i uniósł kciuk.

Wyglądał jeszcze za szybko oddalającą się bazą. Przeszedł na drugą stronę, ciekaw widoków miasteczka. Tam z pozoru wydawało się spokojnie. Trochę dymu od gazów i niewielkich pożarów. Błyskające światła radiowozów czy karettek i grupki ludzi.

– Jak nie oczyścimy tego do nocy, to się pochowają i będą kasać! – pochylił się do ucha Stiopy i krzyczał swoje obserwacje.

– Spokojnie, zgniotą skurwieli, zgniotą. – Kumpel był pewny lekkiej piechoty. – Dadzą radę. Jak na debiut, w moim mniemaniu... – zaśmiał się – idealna misja. Ty myśl nad ewakuacją. Gdy miasto się uciszy, trzeba wywieźć prezydenta. Żeby ci z Kijowa nie dali dupy, bo gdzie my go ukryjemy w tym pierdolniku? – Machnął głową za siebie. – Jak jest na niego kontrakt, to chuj wie, czy któryś z naszych mundurowych nie będzie próbował.

Robert tylko skinął głową. Trafna analiza kolegi dała mu do myślenia. Jeszcze jeden element skomplikowanej układanki do rozpracowania. Wystraszył się, że to chwila wielkiej próby, a on boi się, czy może sobie ufać, jeśli gra idzie o tak wysoką stawkę. Ale przecież do tej pory się nie pomylił. Gdzieś coś ciekło i wątpła konstrukcja tutejszego systemu zaczynała pękać.

Transportery opancerzone BTR-4 ustawiały się sprawnie w rozproszonej formacji na obrzeżach zabudowań dowództwa. Kryto je pod drzewami, w cieniu, chociaż każdy wojskowy z pewnym doświadczeniem pojmował, że taki ruch wykryły już zapewne bezzałogowce nieprzyjaciela. Kimkolwiek był. Na pojazdy kładziono skrzynie z dodatkową amunicją, zgodnie z tutejszym zwyczajem – tak jakby szykowałą się wielka batalia. Mimo unowocześniania konstrukcji wozów jedno pozostało niezmiennie. W przedziale desantu było mało miejsca, toteż zapasy trafiały na pancerze.

– Może się zesrali, jak ich Mucha pogonił? – Popraw co rusz rzucał podobne pytania do oficerów, dowódców plutonów i kompanii.

Łaził długimi krokami, dopilnowując zgrupowania. Miał nadzieję, że te pocieszające przewidywania się sprawdzą i nikt na nich teraz nie patrzy.

Przystanął przy pierwszym wozie. Jego ludzie ładowali się do „brzuchów” kanciastych, ośmiokołowych wozów. Zasiadali na wierzchu, na modłę afgańską czy czeczeńską, w obawie przed ukrytymi w podłodze minami. Jeszcze jedna nauka od bardziej doświadczonych weteranów i zagranicznych nauczycieli.

Żołnierze 31 Brygady zdawali się złęknieni, ale i podnieceni zarazem. Nie potrafili tego kryć. Objuczeni ostrą amunicją, w większości dzieciaki, chyba jeszcze nie wierzyli, że bić się o kraj, chwałę armii przyjdzie im tak blisko jednostki. Tylko ci, co już wachali proch, trzymali rezon, udając, że to nic, zwykły wyjazd.

Gdzieś tam, ponad głowami, bzyczał cicho silniczek niewidocznego teraz niewielkiego, zwinnego aparatu – jednego z dronów, których to posiadanie w jednostkach regularnych zbliżało ukraińską armię do stanów godnych dwudziestego pierwszego wieku.

– Niech im zajrzy do gardła! – Pułkownik Zdaniłow chronił oczy od słońca, próbując dostrzec to maleństwo.

Wyszedł ze schronu pod dowództwem, nie mogąc oprzeć się pokusie doglądania całego tego zamieszania.

– Ciągnie na linię, co?! – wykrzyknął mu Popraw nad uchem, żeby być słyszany w tym ogólnym warkocie.

Niedźwiedziowaty weteran zbył to milczeniem. Tak, ciągnęło go do walki. Jakaś siła szeptała, by ruszył jeszcze raz. Podświadomy głos obiecywał przyjemność, jak u uzależnionego narkomana, który musi zwiększać dawki trucizny. I tylko silna wola pułkownika, troska o najbliższych hamowały ten stan, aż wreszcie zgasiły to dziwaczne marzenie. Tęsknotę za najlepszym nałogiem – tym od walki i adrenaliny. Teraz, kiedy powrócił, kiedy ujrzał te tłumy i czuł w nozdrzach niesione wiatrem zapachy prochu i spalenizny, wszystko się w nim na powrót rozbudzało. Był gotów i aż drżał.

– Rozpoznanie mówi, że dojazd do miasta wolny – Popraw przechodził do referowania konkretów, zamiast brnąć w sentymentalne rozważania.

– Niech to ustrojstwo... – dłoń Oleksandra wskazała gdzieś w niebo – wyłuska, czy szykują zasadzki. Obchodzić miasto od skrzydła i frontu, oczyszczać do centrum... – Przerwał, czując, że się zagalopowuje. – Wybacz. – Drętwy wyraz twarzy miał świadczyć o niejakim zawstydzeniu. – Ty wiesz...

Zdaniłow poklepał dowódcę brygady po ramieniu. Ten z szacunkiem

i wdzięcznością tylko przytaknął bez słowa.

Pułkownik zrobił krok w tył, nie chcąc wchodzić już więcej w cudze kompetencje. Popraw zwołał dowódców plutonów i starszych podoficerów na ostatnią odprawę. Schodzili się prędko, obwieszeni sprzętem, uzbrojeni. Po ich pozach widać było, że są zniecierpliwieni, ale i gotowi. O bojowych odruchach.

Silniki mruczały miarowo, co rusz podkręcając obroty. Oleksandr Zdaniłow czekał, aż cała ta kolumna ruszy. Chciał ją odprowadzić wzrokiem i iść do pokoju operacyjnego.

Ale zamiast ostatniego rozkazu i szumu wsiadających na wozy pododdziałów usłyszał strzał. Zaraz drugi. Oba wyraźne i surrealistyczne. Pułkownik nie spodziewał się tego. Zamarł na dwie, trzy sekundy, nie rozumiejąc wiele.

Odszukał źródło hałasu. Buchnęła palba serii. Dwie postacie osuwały się na ziemię. Grupa ludzi, oficerów, rozpierzchała się, szukając kryjówki. Zaskoczone wojsko zaczęło zsuwać się po pancerzach. Podniósł się krzyk.

Jeden z oficerów, w hełmie, z karabinkiem na plecach, gnał w przeciwną stronę niż reszta. Miał pistolet w dłoni, ale Zdaniłow nie od razu to spostrzegł.

Na tyle kolumny rąbnął wybuch. Ziemia zdawała się trząść. Znowu krótka seria i tylko szum w uszach. Zdaniłowowi krew się zagotowała. Wkoło raz za razem rozbrzmiewały wystrzały, ołów brzęczał rykoszetami o asfalt. Coś trąciło pułkownika, zapiekło go ramię, ale nie zwrócił na to uwagi. Miał jeden cel i ogarniała go niesamowita furia.

Skoczył zwinnie, jakby ten jego wzrost i ciężar nie były żadną przeszkodą. Kule ścigały zamachowca, tnąc głośno powietrze, ale Oleksandr nic z tego nie widział. Wleciał w ten śmiercionośny rój, chyba tylko cudem nie obrywając.

Dopadł uciekającego człowieka, ale ten napędzany strachem i adrenaliną wyrwał się i w półobrocie próbował strzelić, by pozbyć się napastnika. Zdaniłow miał jeszcze w sobie jednak nieco refleksu. Zrobił unik. Huk go ogłuszył, ale działał instynkt. Jak wtedy, tam, na lotnisku. Kiedy prowadził ciche natarcia, czołgał się kanałami na tyły wroga i siekł saperką, nożem albo urwaną kolbą. Wielka dłoń złapała strzelca za gardło. Ten próbował się wyrwać. Druga ręka wielkoluda zacisnęła się na nadgarstku zdrajcy. Pułkownik przysunął chłopaka sprawnie ku sobie i rąbnął czołem w jego twarz. Zdarł skórę o hełm. Krew popłynęła po nosie i policzkach, ale on tłukł go zapamiętale. Dusił coraz mocniej, aż nieszczęśnik stracił świadomość i omdlał,

osuwając się na ziemię.

Zdaniłow wyrwał mu pistolet, pospolity TT. Dyszał, ale bardziej z rozjuszenia niż ze zmęczenia. Świadomość wracała pułkownikowi. Stał w środku szpalery żołnierzy. Zaskoczeni, wystraszeni celowali dookoła, łypiąc na ciało na asfalcie i na wielkoluda z zakrwawioną twarzą. Patrzyli jak na tego, który wie więcej i dlatego... nie boi się.

Zdaniłow przerwał wątki kordon. Podbiegł do pozostałych ranionych. Przystanął zmrożony. Popraw. Obok ciemnowłosey szef sztabu. Obydwaj z plamami krwi na rozdzieranych przez sanitariuszy mundurach. Dalej jeszcze jakieś ciało. Dym po wybuchu granatu.

Pułkownikowi zawirowało w głowie. Zaczął szukać, gapić się ordynarnie w każdą młodą czy starszą twarz w pobliżu. Chciał wyczytać, ilu jeszcze takich, ilu Kainów jest w tym batalionie. W brygadzie, w całej armii.

Aleją, przebijając się między ludźmi a kolumną, pędziła medyczna wersja Humvee. Głos syreny zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

– Kto dowodzi?! – wyrwało się Zdaniłowowi. – Kto dowodzi? – warczał, wiedząc, że jeden zwykły dywersant odciął głowę brygadzie.

– Kapitan Wołopin.

Jakiś niski blondyn w obleczonym pokrowcem, za dużym „garnku” na głowie wyrósł obok Zdaniłowa. Wielkie szkliste oczy w ciągle chłopięcej twarzy szukały u pułkownika jakiejś podpowiedzi albo pocieszenia.

– Spokój. – Oleksandrowi tylko to słowo przyszło na myśl. – Spokojnie – powtórzył za chwilę o wiele łagodniej. – Zastępca dowódcy? Nie widziałem cię, wybacz, jestem tu nowy. Byłeś na froncie? – Pochylił się, ścisząc głos.

Młody oficer przełknął ślinę.

– Kilka razy na linii od wiosny piętnastego...

– Czyli niewiele.

Jakiś lęk owładnął Zdaniłowem. Uważał, że ci, którzy nie bili się o port lotniczy ani o debalcewski występ, nie uciekali jeszcze pierwszego lata spod rosyjskich uderzeń, niewiele wiedzą. Nie powinien w ten sposób rozumować, ale stało się. Taka była jego opinia.

– Dobrze, chłopie. – Wyprężył się, przybierając najdobrotliwszą minę, na jaką było go stać. – Słuchaj się mnie, będzie dobrze.

Nabierał niesłychanego wigoru i pewności siebie. Oczy zaświeciły mu się

z radości i krew znowu buzowała w żyłach.

Młody nie oponował. Z łatwością poddawał się woli tej żywej legendy.

– Zabierać mi to wszystko! – ryknął Oleksandr. – Jestem pułkownik Zdaniłow i przejmuję dowodzenie! – grzmiał mocno, czysto, bez żadnego śladu niedawnego lęku i zaskoczenia. – Zbierać rannych, a reszta do wozów! Na pozycje! Trzeba uporządkować kilka rzeczy!

Zaczął przechadzać się wzdłuż kolumny. Kiedy tak szedł, wojsko rozstępowało się, by zaraz, niewiele myśląc, wracać do wozów. Podoficerowie podchwytywali rozkazy, napędzani werwą wielkoluda. Wszyscy się go bali albo i szanowali. Robił wrażenie. Wydawał się hardy i niewzruszony.

– Co jest, do nędzy?! – Zdaniłow się naprawdę zapieklił. – Dlaczego ta kolumna ciągle tu stoi?! Zadania te same! – Machnął ramieniem w stronę miasteczka.

Kapitan mu wtórował i ruszył prędko popędzać oficerów, zarówno wykazując się przed *kamandirem* swoim zaangażowaniem, jak i dławiąc w ten sposób lęk. Działał nieco chaotyczniej, ale z zapałem.

Nie minęło pięć minut, kiedy zgrupowanie zaczęło pełznąć w stronę bramy. Zdaniłow zrobił znak krzyża na pożegnanie. Dopiero wtedy schował zdobyczny TT, o którym właściwie zapomniał, do kieszeni i patrzył, jak pakują ciała i rannych do karetek. Jak dwóch ludzi ze sztabu krępuje pobitego zamachowca.

– Wołopin! – zawył wściekle.

– Słucham. – Młody przystanął zdyszany, niepewnie unosząc wzrok.

– Tego skurwysyna sam przesłucham – oznajmił. – Znajdź mi hełm i broń – wypłukał komendy. – Łącz z pozostałymi batalionami, a potem z Kijowem. Niech... niech wszyscy wiedzą, że macie nowego dowódcę.

O mało się nie zaśmiał, dopiero pojmując powagę sytuacji i to, że znowu miał szansę dowodzić. I tym razem wewnętrzny głos mówił cichutko, że oznacza to coś zupełnie innego. Ważny rozdział w naprawę nowym życiu.

*

– Przyjąłem... Lądowisko pod ogniem.

Mucha uniósł kciuk w stronę pilota, ale zapał nieco w nim przygasł. Zrobił kilka szybkich wdechów i zaczął układać plan.

– Lądujemy tam, gdzie każą, i zawijamy się. Żadnych kombinacji! – krzyczał po

angielsku w szumie wiatru i łośkocie silnika amerykańskiego śmigłowca.

Pilot nie wyglądał na zadowolonego, ale skinął głową na znak, że się zgadza.

– Miało być łatwo i luźno – stęknął drugi z lotników i przełączył jakiś przycisk ponad głową.

– Mnie to mówi. – Robert zaśmiał się krótko, szturchając Stiope.

Facet nie odezwał się, tylko przycisnął do piersi karabinek, wpatrzony w mijany, poskręcany od ognia i ciągle dymiący, wrak pierwszego śmigłowca.

– Biedne sukinsyny – szepnął Mucha, kręcąc głową. – Nie, zaraz...

Ożywił się, widząc jakiś ruch w zaroślach. Podsunął się bliżej.

– Tam ktoś żyje. – Boczny strzelec też to zauważył.

– W dupie z nimi... – włączył się pilot. – Mamy ważniejszego pasażera do zabrania – przypominał trzeźwo, cały już skupiony na swoim zadaniu. – Spróbujemy na powrocie – uciął wszelkie obiekcje polskich operatorów.

– Głino! – Głos Dawidka rozbrzmiał w ciemnej piwnicy. – Lecą... Szykuj pana „pierwszego”!

Rozkaz był krótki i wyraźny. Komandos zaraz gdzieś pobiegł, tłukąc nogami po resztkach gruzu i szkła.

– Robi się! – odkrzyknął Adam i zaraz zmienił ton na bardziej dystyngowany. – Panie prezydencie. – Skłonił się przed głową państwa.

Prezydent zasiadał pod ciemną, zapleśniałą ścianą. Patrzył wielkimi, jak się teraz zdawało, oczami.

– Już? – Pytanie wydało się niemądre.

– Już, już – powtórzył Thomal. – Lecą po nas... Po pana.

Prezydent obrócił głowę w stronę wyjścia z piwnicy i zacisnął dolną wargę. Nie sposób było dojrzeć w tym półmroku, czy się boi, czy raczej nie wierzy.

– Rannego mamy... By trzeba było... – sugerował jakoś nieśmiało. – Jego też – poprawił się zaraz, tonem już bardziej przystającym do jego funkcji. Wskazał na chłopaka ze zranioną nogą. – Długo to nie zajmie...

– Pan tu jest VIP-em. – Młody ochroniarz jeszcze trzymał się poczucia obowiązku. – Pana trzeba w pierwszej kolejności...

– Kilka sekund to zajmie, a nas nie zbawi – powiedział prezydent autorytatywnie. Musiało poskutkować. Major popatrzył na podwładnego i skinął głową

– Okej. – Sam zresztą o tym myślał. – Cholera wie, kiedy będzie drugi transport...

– Ale ja dam radę, a wam trzeba ludzi... – Ranny jeszcze próbował się opierać, choć chyba bardziej dla zasady.

– Co, bitewki ci się zachciewa? Na Irak się spóźniłeś? – Majorowi coś przeskoczyło w głowie i się wściekł. Dobrze pamiętał, jak to jest być w zasadzce pod ogniem, i irytowało go to gówniarskie szukanie guza jako powodu do chwały. – Lecisz z „pierwszym” – padł rozkaz. Już spokojniej powiedziany, ale niepozostawiający miejsca na dyskusje. – Patrz na zewnątrz. – Major SOP stuknął Thomala w ramię, wskazując, kto zajmie się najważniejszą częścią.

Sam sprawdził swojego Beryła. Jego pozostali dwaj sprawni ludzie przysiedli obok z bronią wymierzoną w podłogę. Czekali skupieni na znak, by ruszyć biegiem, jak ćwiczili to do znudzenia.

– Będzie na ziemi, to dopiero idziemy! – tłumaczył swoje założenia główny ochroniarz. – Póki co czekamy.

W mroku piwnicznego korytarza, jak surmy wieszczące ratunek, rozległ się dźwięk nadlatującego śmigłowca.

– Muszę to sprawdzić! – Pilot zaczynał się niepokoić. Spinał się i coraz bardziej podnosił głos. Był zły na Muchę, rozpoznanie czy może przede wszystkim na to, co dojrzał w dole.

A była to rozległa przestrzeń poprzetykana ostrymi, jak podpowiadało mu doświadczenie, skrawkami murów. Zarośniętymi pryzmami gruzów i śmieci. Kępami drzew i krzaków otaczającymi zszarzałe ruiny, które mogły kryć wszystko – od stanowisk karabinów maszynowych po wyrzutnie rakiet. Zamaskowana broń, której obecność podszeptowała wyobraźnia, nie była zresztą jedynym kłopotem.

– Pierdolone wysypisko – bluznął do mikrofonu, wiercąc się na fotelu. – Żeby jakieś gówno nie uziemiło nas od razu, bo będzie wstyd – mówił niby do kompana na siedzisku obok, ale tak naprawdę do wszystkich. – Kawał cegły albo jakiś pręt jak rąbnie w wirnik... Ja pierdołę, będzie co opowiadać wnukom – stękał z bojaźliwym sarkazmem.

Trzy budynki na początku tego rumowiska wyglądały na całe. Dwa większe mieszkalne i jeden parterowy. Maszyna uniosła się i prędko weszła w ostry zakręt w prawą stronę.

– Są! – wrzasnął Mucha, wskazując na ludzi na dachu drugiego bloku oraz kilku kryjących się przy wejściu i dalej, za ruiną jakiegoś garażu. – Masz miejsce! –

zawyrokował, ale lotnik nie wydawał się przekonany.

Blackhawk wyrównał lot i przemknął nisko, z pochylonym nosem ponad dachem domu. Tuman żółtawego kurzu wzniósł się w pogoni za cieniem rozpędzonej maszyny.

Śmigłowiec zwolnił, znowu zaczął manewr skrętu.

– Dobra, zaczynamy – oświadczył pilot i zaparł się w fotelu. Sprawnie obrócił maszynę o sto osiemdziesiąt stopni i jął zniżać lot.

Z prawej burty technik obserwował z napiętą uwagą okolicę, trzymając kurczowo swojego Miniguna M134. Był gotów w każde podejrzone miejsce posłać grad ołowiu z tych piekielnych sześciu obrotowych luf doskonałego oręża.

Drugą stronę krył Stiopa z zaciśniętą szczęką, przygotowując się na to, o czym meldowali z ziemi, tylko dziesięć razy gorsze.

Robert „Mucha” wystawiał głowę przez drzwi, kucając nisko, i wypatrywał przeszkód na ziemi, na tymczasowym lądowisku. A dokładniej – skrawku dziurawego asfaltu na pokrytym ziemią i zarośniętym trawą parkingu przed blokiem. Komandos podnosił co rusz wzrok, chcąc dostrzec nieprzyjaciela. Słuchał znanych mu odgłosów wystrzałów, które mógłby przyporządkować do konkretnego uzbrojenia.

– Dobrze idzie, dobrze idzie – usłyszał w słuchawkach korespondencję pilota z ziemią. – Wystraszyliście ich... – Porucznik Kerc wydawał się zbudowany tym pokazem awiacji.

Blackhawk MH-60 prześlizgnął się po powietrzu, zadzierając powtórnie nos. Fala kurzu i drobnych kamieni zasnuła czarną maszynę, kiedy pilot zmienił ustawienie rotora, szykując się na przyziemienie.

Dudnienie pomiędzy murami wydało się potężniejsze. Maszyna przyśpieszyła opadanie i koła zaraz dosięgły ziemi w delikatnym lądowaniu. Silniki nie zwalniały, unosząc w dalszym ciągu tuman kurzawy.

Choć pomny, że ludzie z Lublińca zabezpieczyli lądowisko, jak mogli przy takich siłach, Robert wyrwał na zewnątrz z G36 przy ramieniu i zgodnie ze sztuką najpierw ułożył się obok śmigłowca, kryjąc przestrzeń pomiędzy maszyną a budowlą. Stiopa czynił podobnie z drugiej strony. Kilka sekund, a wydało się istną wiecznością. Ryzykiem najgorszym ze wszystkich. Śmigłowiec w takiej odległości od wroga był łatwym celem.

Kiedy Robert uznał, że wszystko wydaje się iść, jak zaplanował, zaczął szukać

kogoś, kto dowodził na ziemi. Dźwignął się, instynktownie kierując kroki do bloku. W drzwiach środkowej klatki schodowej mignęła głowa w hełmie. Człowiek miał zielony uniform polowy. Mucha go poznał, to był ktoś ze Służby Ochrony Państwa.

Postać wyszła z wnętrza i zaraz uniosła ramię z wyciągniętym kciukiem. Mucha zrobił to samo i padł na jedno kolano, czekając w osłonie. Istna burza piaskowa smagała jego ciało, zasypywała twarz, siekąc ostrymi drobinkami. Łomot silnika rozchodził się po okolicy w jednostajnym, nieprzyjemnym tempie. Utrudniał pozbieranie myśli, wyzbycie się lęku. Może właśnie o to chodziło. Żeby w tamtej chwili nie opuścić gardy.

Za facetem z SOP wystrzeliło zaraz dwóch mu podobnych. Trzeci z tej gromadki różnił się tylko tym, że nie nosił hełmu ani broni. Szedł zgięty wpół, a jeden z ochroniarzy pochylał się nad nim, zakrywając mu głowę ręką, i z karabinkiem w drugiej rozglądał się wokoło, szukając zagrożenia.

Adam patrzył na to całe przedstawienie, chroniąc zaczerwienione oczy od huraganu, jaki spadł na to zniszczone podwórko. Z wiatrem uleciało nieśmiało: „Do zobaczenia i uważajcie”, które usłyszał od prezydenta.

Ochroniarze obstawili śmigłowiec, czekając, aż głowa państwa wgramoli się na pokład. Wskoczyli za nim i w sobie tylko znany sposób pokazali, że są gotowi. Mucha machnął dłonią kilka razy. To był znak dla Thomala.

Nieborak z dziurą w nodze siedział obok. Podparł się o kolbę karabinka, kiedy policjant dźwigał go z posadzki. Stęknął, ale zrobił krok. Miał szczęście, bo nosił okulary, więc prowadził Adama, który w tym zamęcie dosłownie kierował się na dźwięk silnika, coraz mocniej tłuczony po twarzy kamieniami i piaskiem.

Ten nieprzyjemny obłok i te kłujące trafienia przypominały jako żywo, że już kiedyś przeżył coś podobnego. Też daleko od domu, lecz o sporo większej skali. Nastrój nagle mu się poprawił. Przecież nie był w Afryce, a znacznie bliżej, wkoło nie było pustyni i pomoc nadchodziła szybciej niż wtedy.

Mucha wyszedł z tumanu i pomógł rannemu.

– Chodź! – krzyknął do Adama, który już chciał się chować za murami.

Wpakowali ochroniarza na pokład. Thomal spostrzegł, że pilot zerka przez ramię, nie bardzo chyba zadowolony, że to wszystko zajmuje tyle czasu.

– Bierz.

Robert przesunął coś z głębi ładowni bliżej wyjścia. Kwadratowy niebieski

przedmiot. Zaraz drugi. Adam dopiero po chwili rozpoznał dwie zgrzewki wody. Uśmiech sam wykwitł mu na ustach. Ucieszył się niczym dziecko na widok paczki ulubionych cukierków. Schwycił pakunki i ruszył biegiem w kurzawę, z powrotem do budynku, by uraczyć się życiodajnym płynem.

Burza dookoła narosła, kiedy silnik zwiększył obroty. Blackhawk poderwał się z ziemi i wiatr jeszcze przyśpieszył. Adam był w połowie drogi do kryjówki, kiedy przez młócenie śmigieł i metaliczny ryk silnika przebił się jeszcze inny hałas. Gorszy. Złowrogi. Adam padł odruchowo na ziemię. Gdzieś z nie tak daleka dolatywało dudnienie serii broni maszynowej. Znał je dobrze, słyszał nie raz. Nad głową znowu czuł gorące podmuchy, jak przed kilkoma chwilami, gdy ktoś brał go na cel tam, na dachu.

Thomal zaczął się czołgać, nie mając zamiaru ryzykować. Lekko uniósł głowę. Burza ponad nim nie ustępowała, a w tym mglistym żółtym całunie wisiała czarna sylwetka śmigłowca. Thomal nie wiedział, co się dzieje. Tylko patrzył, sunąc czym prędzej w kierunku schronienia.

Tymczasem Blackhawk zatańczył w powietrzu.

Mucha aż krzyknął. Technik z boku usilnie szukał jakiegoś celu, na którym mógłby wziąć odwet, ale nie widział wiele.

Pierwsze trafienie poszło od przodu.

Pilot wił się, sycząc i ciskając przekleństwa, kiedy krew zalewała mu twarz. Żył jednak i pokazywał, co z człowiekiem robi dobre wyszkolenie: pamięć mięśniowa i wyuczone odruchy. Próbował unieść się wyżej, ale wtedy na maszynę spadł ostrzał długich zielonych linii. Nadlatywały z lewego boku. Czasem z prawej, gdzieś spomiędzy ruin i zarośli.

Wrzenie paniki udzieliło się wszystkim. Krzyczeli lub bardziej stękali z niemocy i złości. Technik wdusił spust. Lufy najpierw trząsnęły, kiedy zaczęły się obracać, by zaraz wypalić długą, burczącą serią. Nikt nie widział, w co celują. Cięły po najbliższych kępach, rwały odłamki betonu ze zniszczonych ścian. Nie sposób było zgadnąć, czy komuś szkodziły.

Ludzie z SOP uwalili się na prezydenta, zepchnęli go z siedziska i rozpląszczyli na stalowej podłodze. Terkot rykoszetów narastał, zlewając się w jeden złowrogi pomruk. Czas się zatrzymał. I wydawało się, że to samo dzieje się ze śmigłowcem. Tymczasem on leciał, gnany przez swojego dowódcę. Najpierw w górę, ale to ściągnęło więcej

ognia, kiedy maszyna wy dostała się spod osłony budynków.

Lotnik obrócił maszynę. Długa, wyraźna seria poszła w obok, siekąc po belce ogonowej. Mucha dostrzegł, że na tablicy przyrządów, które jeszcze działały, zaroilo się od światełek. Domyślił się, co chce zrobić Amerykanin.

Śmigłowiec obrócił się nosem na południe, by nie eksponować szerokiego boku na ostrzał. Przeleciał kilka metrów i zszedł nisko, nad samym środkiem dachu bloku, obok którego przed chwilą siadali.

– Skakać! – wydarł się polski komandos, zanim pilot wydał swój rozkaz.

Zebrani w środku ludzie zawahali się. Nie można się było temu dziwić. Już byli w drodze w bezpieczne miejsce, a teraz śmigłowiec stawał się pułapką. Jednak uciekać z niego pod kule wydawało się nie najlepszym pomysłem.

Robert złapał pierwszego z brzegu ochroniarza.

– Skacz, bo nas tu rozwalą!

Pchnął go bliżej krawędzi. Facet się nie stawiał. Wyleciał na pokryty papą dach.

– Nie... nie dam rady dowlec się do bazy... – pilot to stękał, to pokrzykiwał, choć te wyjaśnienia były niepotrzebne.

Major SOP trzymał prezydenta i ciągnąc go za sobą, zsunął się najostrożniej, jak było to teraz możliwe.

Ranny zlazł z fotela, gotów sam się ewakuować, ale silne ramię Stiopy w czas go powstrzymało.

– Masz może szansę, stary! – fuknął i pchnął faceta mocniej, nie pozwalając mu uciekać.

– Wy też! – ponaglał pilot, z trudem utrzymując maszynę w ryzach.

Spojrzenia jego i Roberta się spotkały. Polak zrozumiał, że to nie żarty ani czas na stawianie weta.

– Kurwa... – bluznął cicho po polsku. – Stiopa!!! – zawył wręcz, chwytając kumpla za kamizelkę.

Zaraz w jego nozdrza dostał się gryzący smród dymu. Zaczynało się najgorsze.

Mucha zwałił się na dach, czując, jak Stiopa przygniata mu nogi. Blackhawk momentalnie wyrwał w górę. Spowijał go ciemny, coraz gęstszy dym. Maszyna zrobiła zwrot na prawo tak ostro, że zdawało się, że połamie łopaty albo się rozbije. Silniki dały z siebie więcej mocy.

– Boże – wysapał Robert, nie dowierzając, że nie ma do czynienia z cudem.

Śmigłowiec poleciał w prawo i podrygując dziwnie, niczym targany torsjami człowiek, odlatywał jak najdalej, ciągnąc za sobą sznur dymu.

Dudnienie silnika cichło, ustępując teraz już zupełnie wyraźnej palbie nadciągającej bitwy.

– Wszyscy nisko, nisko! – rozgorączkowany Kerc wydzierał się do ucha każdego, kto zmuszony był wrócić do tej tymczasowej fortecy: ceglanej, krytej smołą baszty na wyspie ruin wśród stepu.

Ludzie leżeli albo czołgali się ku włazowi, ścigani wstrętym dźwiękiem bzycających pocisków. Dowódca grypy JWK klęczał, co rusz tylko kryjąc głowę, niczym wódz podczas batalii, który musi rozeznawać się w sytuacji i nie wypada mu szukać kryjówki.

– Leżą tu... – Szarpnął za rękaw Roberta Krawca, który zdawał się ciągle gonić myślą za uchodzącym śmigłowcem. – Słyszysz?! Są tu! – Opluł operatora bratniej jednostki, wymachując dłonią gdzieś w bok.

– Miało być kilkunastu... Jakieś auta na szosie... – Mucha wracał wspomnieniem do ostatniego meldunku ludzi z rozpoznania, ich wglądu w sytuację poprzez elektroniczne oko krążącej wysoko kamery.

Seria pocisków przemknęła wysoko, jakby na postrach. Kerc zrozumiał przekaz i padł na dach z tłukącym się w piersi sercem.

On i Robert zaczęli pełznąć ku gzymsowi od północnej strony.

– Zabieraj ich do piwnicy! – ryknął Mucha do Thomala, który w czarnej teraz już od brudu koszuli wyglądał ponad otwór, gnany ciekawością i chęcią przydania się na coś. – Wszystko od nowa, co?! – próbował kpić, ale nawet jego to nie bawiło.

Prezydent mamrotał coś do siebie, szorując łokciami i brzuchem po dachu.

– Będzie dobrze, będzie dobrze... – Adam wyciągnął dłoń, siląc się na pocieszające hasła. Wyszły równie nieciekawie, jak czarne żarty Krawca. Policjant sam był przerażony i nie wiedział, co właściwie ma robić. Jak długo?

– Majorze... Panie majorze – Kerc wywoływał szefa prezydenckiej ochrony.

– Jestem, jeszcze jestem. – Weteran przycupnął za murkiem komina i sprawdzał karabinek. – Co jest?!

– Musicie zostać... Mało nas, każdy się...

W dole, gdzieś tam, gdzie kryli się ludzie Kerca, ryknęło krótką eksplozją.

– Jezusie – wyrwało się komandosowi. – Rozlokujcie się na dachu, tutaj wasza

pozycja – zaczął gorączkowo instruować. – Będą nas flankować. Mało nas, luki w obronie duże...

Mówienie o obronie było nieco na wyrost. Luźna pozycja, dziurawa niczym sito, ze starym, postsowieckim blokiem w samym centrum.

– Pilnujcie budynku! – grzmiał dalej Kerc. – Chrońcie „pierwszego” i nie pozwólcie im nas podejść!

– Dobra, przyjąłem – odkrzyknął major bez szczególnych emocji.

Wskazał sprawnie ludziom, gdzie mają się schować, a sam, poruszając się oparty o łokcie i kolana, dotarł na skraj dachu, usiłując wypatrzeć zamaskowanych wrogów.

– A ja? – Thomal też chciał się przydać.

Leżał u wyjścia, pilnując, by prezydent bezpiecznie zszedł.

– Ty... ty masz pilnować „pierwszego” – major SOP ubiegł Kerca. – Ty jesteś naszą ostatnią linią obrony... Ty i lotnicy. – Zabrzmiało to smutno, a nawet żałośnie.

Wszyscy umilkli, mocując się w duszach z tą czarną wizją.

– My, Adam w piwnicy przy „pierwszym” i koniec – Stiopa podzielił się niechcianym objawieniem.

Thomal nie protestował, choć wewnętrznie nie godził się na takie postawienie sprawy. Zlazł po szczeblach. Wyciągnął pistolet i przeładował. Obydwaj z głową państwa wyglądali podobnie. Brudni, spoceni, niepewni najbliższych godzin. Wiedzieli doskonale, jak wątłe siły ich ochraniają, a rozhuśtana emocjami wyobraźnia podsuwała obrazy istnych hord, które otaczają tę niewielką pozycję. Udawali jednak. Grali mężnych do końca.

– Przynajmniej rannego chłopaka udało się... – prezydent odezwał się najpierw, szukając jakichkolwiek pozytywów.

– W sumie racja – zgodził się Adam, ale niewiele go to obchodziło. Ponad głowami zaczęły szczekać polskie karabinki. – Idziemy! – Policjant poczuł się zdopingowany.

Ruszył pierwszy, kiedy oczy po raz wtóry przywykły do półmroku. Szedł ostrożnie, co chwila spozierając na szefa, i tylko przy oknach na klatce pochylał się i pilnował, by prezydent robił to samo.

Przemknęli labiryntem ciemnych, czasem wypalonych i gnijących ścian znowu na sam dół. W czeluść zapomnianej piwnicy. Wszystko w powtarzającym się echu kolejnych wystrzałów i serii. W upiornym, świdrującym zmysły dźwięku walki.

– Widzieliśmy...

Szpakowaty dowódca zestrzelonego Mi-8 powitał ich w jednym z piwnicznych pomieszczeń. Krople potu spływały mu po czole. W jednej dłoni dzierżył butelkę wody, którą najwyraźniej zabrali spod ostrzału przed wejściem, a w drugiej pistolet. On i pozostała dwójka byli spięci i posepni.

Ukrainiec podał wodę prezydentowi. Ten skinął z wdzięcznością i zaczął pić łapczywie, jak i reszta bliski omdlenia, gdyby nie buzująca adrenalina, która kazała zapomnieć o pragnieniu.

– Masz, pij. – Otarł usta, oddając połowę butelki policjantowi.

Adam stropił się na chwilę, nie wiedząc, czy powinien, skoro wody zostało tak niewiele.

– Pij, póki jest – dodał mu odwagi Ukrainiec. – Komandosi jeszcze pewnie mają. Potem się pomyśli...

Wrócił na miejsce pod ścianą i zadarł głowę, wsłuchany w stukot wystrzałów na zewnątrz.

Odgłosy walki niknęły pod skorupą murów, to gasły, to rozbudzały się na nowo z większą mocą. Kilka minut i ferwor starcia zaczął zamierać. Rozlegały się stuknięcia pojedynczych strzałów i rzadkie odpowiedzi obrońców.

Prezydent z głową opartą o ścianę i wyciągniętą szyją siedział w milczeniu i chyba się modlił. Naraz drgnął, oczy mu się otworzyły.

– Hodów – powiedział.

– Jak? – Adam nie pojął i tylko zmarszczył czoło, nawet wystraszony, że to jakiś bełkot w majaku.

– Hodów. Przypomniało mi się. Taka bitwa – głowa państwa pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Siedemnasty wiek, końcówka. Naszych husarzy tu, na psich polach... – zaczęła mówić językiem romantycznym, iście sienkiewiczowskim. – ... Naszej husarii ze czterystu. Latem w jakiejś wsi czy przysiółku. Otoczeni bili się... a Tatarów tysiące... – Przed wpatrzonymi w przeszłość oczami przesuwwały się obrazy minionych bitew.

– Boże, pomiluj. – Technik z Mi-8 zrozumiał i się zląkł. Zrobił znak krzyża, jak to w prawosławiu, trzy razy.

– Pan prezydent powie, że wygrali... – Ukraiński major uważał, że w takiej sytuacji ludzie powinni dostać jakiś pozytywny przekaz.

– Oczywiście. Poradzili sobie... – Prezydent podciągnął kolana, oparł na nich ramiona i spojrzał pod nogi. – Ja tylko tak... Skojarzenie – prawie się tłumaczył. – Będzie dobrze. Zobaczycie. – Podniósł wzrok, obdzielając każdego z zebranych po równo swoim spojrzeniem i wciskając w ten frazes tyle wiary, ile mógł.

Nikt nie odpowiedział. Tylko coraz rzadsze strzały i jakieś pohukiwania poleceń docierały z zewnątrz. Ukraiński lotnik i Adam skinęli na znak, że wierzą, i włożyli w ten gest cały zapal, na jaki byli w stanie się zdobyć. Byle oszukać samych siebie.

– No to remis albo raczej, kurwa, jeden zero. – Kerc odpiął magazynek i z niepokojem liczył pociski, jakie im zostały.

– Zgadzam się – przemówił Robert z pełną powagą. – Niech mają. Jeden zero na początek. Jeden helikopter. No, jakby policzyć tamte, to ze trzy... Ale po przerwie się odkujemy. – Ocierał pot lejący się z czoła, popadając w nerwową, ozdrowieńczą ironię, która nieraz ratowała go przed strachem.

– Panowie, meldować się. – Kerc miał co robić. Rzucił do radia polecenie i z bijącym szybciej sercem oczekiwał odzewu.

– Dawidek cały... Baran żyje, Vogel żyje, Felix – jestem...

Oficer nasłuchiwał każdego kolejnego znajomego głosu i liczył. Kiedy doszło do dwunastki, odetchnął z prawdziwą ulgą.

– Oszczędzajcie amunicję. Więcej długo nie dostaniemy. – Był bezwzględnie szczery. – Można by było „podsowiecić” coś, jeżeli jest przy jakimś zimnym, ale nie chcemy ryzykować...

– Ja pójdę – zgłosił się niejaki Vogel. Ulokował się na prawo od bloku za dziurą wybitą w ścianie, skąd obejmował skrawek płaskiego terenu, pozostałości po zrujnowanej hali i betonowych płytach obok. – Feluś mnie osłoni, tam trafił jednego. Miał coś cięższego...

– Skończ tę paplaninę – zażądał Kerc. – Ja mówię. Będziemy się bawić w zabieranie broni trupom, jak się uspokoi. Na razie szykować się do następnego podejścia. To była tylko zabawa. Obwąchali nas... – Przełączył się na drugie radio. – Lublin, tu Stary Jeden. Masz coś nowego?...

– Stary Jeden, tu Lublin, u nas też sporo się dzieje. – Brzmiało to enigmatycznie i niedobrze. – Wygląda, że pogoniliście im kota. Cofnęli się, na razie... Nie, nie mają posiłków, ale... – Coś szumiało niewyraźnie. – Mogą znów być zakłócenia, ale pracujemy... Mam widok. Coś się do was zbliża. Północny wschód. Szosa. Kilka

aut... to mogą być posiłki. Trzymajcie się – padło na koniec, zdawkowe i bezradne.

– Trzymajcie się – powtórzył Kerc oziębło, kiedy puścił przycisk nadawania. – Gównu nam po tym ptaku, skoro nic więcej nie daje – sarknął w poczuciu bezsilności.

– Przynajmniej coś wiemy... – Pocieszenie Roberta było liche.

Komandos Formozy leżał z okiem wpatrzonym w celownik, usiłując wyszukać wroga szybciej, niż on wypatrzy jego. Zakrył mikrofon zestawu radiowego.

– Gwiżdżą sobie na nas. Wiedzą, że mają przewagę, a my im gównu możemy zrobić – Kerc objaśniał sprawy oczywiste chyba tylko dla zajęcia umysłu. Pociągnął łyk wody z plastikowej rurki. Poprawił słuchawkę na uchu i przystawił bliżej mikrofon. – Panowie. Druga runda zaraz. Są dobrzy, więc uważajcie. Od frontu będą tylko czarować – tłumaczył z niesamowitym spokojem i znawstwem. – Obejdą nas. Jeżeli możecie, zabunkrujcie się na innej pozycji. Musimy udawać, że jest nas więcej.

Zaraz jednak pojął głupotę tego pomysłu. Tamci też mieli oczy wysoko, ale nie byli w stanie – jak i on sam – wskazywać swoim każdego ukrytego człowieka z osobna.

– Szybko i bez wychylania się, jeżeli da radę – dopowiedział, wiedząc, że jego chłopaki potrafią być niewidoczne, jeżeli zechcą. Nawet dla kamery termowizyjnej. Tamci również to umieli, co pokazali przed chwilą. – Podpuszczać skurwieli blisko i oszczędzać, na Boga, amunicję. Wezwałem wsparcie. Ułany czy jak kto woli w tym wypadku, kozaki są w drodze, więc pośłady spięte! – pocieszał z biglem, jak najlepiej potrafił.

Usadowił się w narożniku i dobył noża. Zaczął dłubać w zmurszałej zaprawie niewysokiego murku osłonowego na krawędzi dachu, by wybić sobie strzelnicę i nie eksponować się na ostrzał snajpera.

Czuł coraz mocniej bezlitosne przypiekanie słońca. Mundur lepił się do oporządzenia, skóra na karku zaczynała piec. Wyszarpał z kieszeni jakąś chustkę i zarzucił sobie na szyję. Kiedy uporał się z otworem, pozostało mu tylko czekać i się modlić.

*

– Przyjąłem, czekamy.

Łysy jegomość o pospolitej, bladej i okrągłej twarzy wyłączył nadawanie radiostacji i przycisnął lornetkę do oczu. Patrzył uważnie na rosnący w pyle niewielki

konwój przeróżnych cywilnych aut.

– To oni – zameldował dowódca, nie odrywając wzroku od gości.

– Wiem. – Misio wyszedł bliżej drogi, ale nie opuszczał doraźnego ukrycia, jakie dawały drzewa zagajnika. – Wiem, że oni – warczał uszczypliwie. Nie lubił zmian planów ani kiedy ktoś mu przerywał w samym środku zadania. I to po raz wtóry.

– Potrzeba nam ich... – Przyboczny podoficer wiedział, co mówi. Wsparcie było nieodzowne. Szczególnie w tym momencie.

– Potrzeba – zgodził się starszy lejtnant, ale znowu sapnął z niezadowoleniem.

Tymczasem kolumna terenowych wozów stała nieco dalej, powiększając zbiorowisko na tym odcinku pustej drogi. Misio i każdy inny doświadczony operator wiedział, że tyle pojazdów w takim miejscu zwróci uwagę wszystkich, którzy obserwują ten skrawek kraju.

Z drugiego auta wysiadł rosły jegomość, jak wszyscy objuczony sprzętem narzuconym na pospolite cywilne ubranie. Czarnowłosa, o grubych brwiach. Im bardziej się zbliżał wraz ze swoją obstawą, tym wyraźniejsze robiły się jego rysy, które Misio mógł określić jako kaukaskie, choć nie do końca. Było w tej twarzy i posturze coś, co przełamywało pierwsze wrażenie i mogło zmylić. Może chodziło o brak zwyczajowej brody, a może o bystre spojrzenie intensywnie niebieskich oczu.

– Petersburg! – Misio krzyknął pierwszy, unosząc dłoń od karabinka. – Inaczej Terminal III.

– Petersburg – odpowiedział duży. – Doktor – podał swoją ksywę całkiem sympatycznym głosem.

Podał młodemu Rosjaninowi dłoń i mocno uściśnął, nie odrywając wzroku od jego oczu. Nie czuł potrzeby podawania stopnia. Tamten wiedział, że przybywa ktoś starszy. Sama różnica wzrostu budziła respekt i nakazywała poddać się woli nowego, choć nie bez zwyczajowego oporu. Wieść z wyżyn dowodzenia tajnej misji – tajnej wojny – już świadczyła o randze nowego *kamandira* na odcinku.

Ekipa porucznika rozwinęła się bez słowa po zaroślach, kierując w stronę teraz tylko słyszanego celu, i po prostu cierpliwie czekała, co będzie dalej, niezainteresowana, kto wyda im polecenia.

– Misio – Rosjanin rzucił pseudonimem dla porządku i skrócenia dystansu.

Wasilij wyduł wargę i kiwnął głową.

– Rozpoznałeś teren. W porządku – zaczął bez dalszej zwłoki.

Ściągnął plecak i wyjął z niego tablet. Włączył urządzenie. Wyświetlił się widok z krążącego gdzieś wyżej drona i drugi, mniej dokładny, z satelity.

Misio patrzył przejęty. Ten wielkolud naprawdę musiał być kimś ważnym.

– Ilu masz ludzi? – zdobył się na pytanie.

– Piętnastu.

– Ja dwudziestu, to znaczy osiemnastu – poprawił się Rosjanin. – Jednego załatwili – mówił z żalem – tamci albo ci od helikoptera. Drugi ranny. Czeka w wozie...

– Dobra robota ze śmigłowcem... – Doktor skupił się na sukcesie, nie zamierzając roztkliwiać się nad zabitymi. Nie teraz, nie w walce. – Chyba dociągnął do swoich, ale mimo to... Dobrześ go wyczekał. Teraz wiedzą... – Doktor podniósł głowę, jakby usiłując dostrzec coś przez ścianę zieleni przed nim – ...że nie ma ratunku. Nie przyleci nic więcej. Nieprędko w każdym razie. A jakby co, to strącimy. Mamy przewagę.

Od strony zrujnowanego kołchozu zaczęło dolatywać głucho pukanie strzałów.

– Drażnimy ich, prowokujemy – pośpieszył z tłumaczeniem Misio. – Niech wystrzelają jak najwięcej. – Był z siebie zadowolony.

– Dobrze, całkiem dobrze. – Wasilij wykrzywił usta w koślawym uśmiechu. – Ale pamiętaj... – Spoważniał raptownie. – To nie miejscowa żulia, tylko wyszkoleni ludzie. Głupi nie są. – Irytował chłopaka tą belferską opowieścią, dobrą dla żółtodzioba. – Mają tam kogoś, o kogo będą się bić do końca... Sprawa cholernego prestiżu.

– Kogo? – Misio nie rozumiał. On nie wiedział.

– Nie instruowali cię? – Wasilij aż się cofnął porażony.

– Wiem, że jakiś ważniak z Kijowa. Jeden albo więcej – Rosjanin próbował nieporadnie się tłumaczyć.

– Tak... – Doktor zamilkł w pół słowa, zastanawiając się intensywnie, czy aby jest sens i czas zdradzać wszystkie niuanse. – To ktoś ważny – uciał temat oględnym stwierdzeniem. – Będą go bronić i kombinować.

Odruchowo zacisnął dłonie na swoim AK-9. Zmrużył oczy, znowu usiłując przekroczyć barierę młodnika i przejrzeć linię oraz zamiary tamtych, po jego drugiej stronie.

– Sprowadźcie posiłki. Macie jeszcze kogoś? – Odwrócił się do starszego lejtnanta, owładnięty niepokojącym przeczuciem. – Wsparcie? Gdyby potrzeba było... choćby

odciąć teren?

– Wsparcie? – Misio zdawał się walczyć z rozbawieniem. – Rozkaz mówił: blokować trasy na Kijów. Ile się da – meldował nieomal jak na inspekcji. Z przekory. – Kreować opór powiadomionych grup faszystowskich i bandyckich. Udało się. Kilkudziesięciu dołączyło. Nie tak wielu, jak zmobilizowano w Kropywniku, ale starczyło. Rozpierzchli się wystraszeni uderzeniem policji, kiedy nas przesunięto tu. – Z wyraźnym niesmakiem wycelował palcem w ziemię. – Zebraliśmy wszystko, co mieliśmy w okolicy, i pognaliśmy tutaj. Opuściliśmy drogę na Kijów i jeżeli cokolwiek przyjdzie z tamtej strony... – nakręcał się, wyrzucając z siebie strach i konfuzję – ...nie osłonimy własnej dupy. – Zacisnął zęby, przysuwając się do wielkoluda z głową zadartą ku górze i czerwonymi ze złości oczami.

– Miejscowi bandyci – Wasilij nie dawał się wyprowadzić z równowagi i pokazywał, że wie o wiele więcej o sytuacji – powinni być gotowi. – Spojrzał na zegarek. – Podobno jest ich z pół setki. Sprawa dopięta... – dzielił się planem, który mu narzucono.

– A ktoś ich widział? Wierzysz, że będą – zauważył Misio przytomnie. – Jeżeli nie wzięli części kasy, nie czekając na drugą ratę, i się nie zmyli...

– Prawda. – Doktor postąpił krok w stronę strzelaniny. – Ale tutaj kochają pieniądze. Wszędzie kochają. Przyjdą – mówił z doświadczenia.

Sam dogrywał takie zadania, opłacając złodziei, małomiasteczkowe gangi, które polityka i los tej ziemi nie bardzo obchodziły. O wiele wyżej cenili „biznes”, z każdym i wszędzie, żeby tylko „się kręciło”, jak powiadali.

– Taki tu lokalny folklor. Z dala od stolicy. – Rozbawiło go to określenie. – Ilu? Starczy dziesięciu, dwudziestu. – Odwrócił się, unosząc broń. – Wystarczy. – Pociągnął za suwadło zamka. – O odsiecz dla tamtych – machnął głową – się nie martw. W Kropywniku zajęci. Nawet jeżeli rzucą tu wszystko, w co wątpię, będą ostrożni. Będą się bali zasadzek, a wkoło... wojna. Nasi ruszyli na wielu odcinkach i mamy przewagę zaskoczenia w chaosie – prawił z pełnym przekonaniem, choć nie miał żadnych dowodów. Mógł tylko przypuszczać i wierzyć, że nie są sami. – To tutaj to element większej gry! – zakrzyknął w bojowym duchu. Nie miał zamiaru pokazywać po sobie, że targają nim wątpliwości i obawy, bo wróg trafił im się bardzo trudny. – Zmieniamy świat, panie poruczniku – dokończył tubalnym, mocnym głosem. – I trzeba robić swoje.

Sięgnął do kieszeni po pomiętą butelkę z resztką wody. Dopił do ostatniej kropli i cisnął opakowanie w krzaki. Gdzieś zza paska wyciągnął pospolitą czapeczkę baseballową i nasunął na spoconą głowę.

– Ruszamy.

– To może poczekać na miejscowych gównojadów? – Misio nie stracił przytomności umysłu. Doktor nie uwiódł go tymi górnołotnymi hasłami. – Skoro jest czas... – Ocierał się o impertynecję. Może specjalnie prowokował.

Wasilij patrzył na niego krótko, wyczekując kolejnego afrontu, który jednak nie nastąpił. Doktor odpuścił. Nie miał ochoty na bezsensowne przekomarzanki, a i nie zamierzał kwitnąć tu dłużej, niż było to wskazane.

– Za to nam płacą... – błysnął zębami z prawie kumplowskim wyrazem twarzy – ...i góra patrzy. Tu na nas, na to wszystko... – Użył najcięższego argumentu i ewidentnie osiągnął efekt.

– Co tam jest? – Misio otworzył szerzej oczy, chyba dopiero rozumiejąc wagę tego, czego się podjął.

Wasilij nie odpowiedział. To niedomówienie miało działać mobilizująco i dyscyplinująco. Wszelka dyskusja została ucięta.

– Ja i mój zespół – Doktor przeszedł do konkretów – obejdziemy ich od wschodu. Jak się da, szerokim manewrem. Zamelduję, gdy będę gotowy. Przekażę, jak sytuacja z powietrza. – Patrzył chwilę na niebo ponad gałęziami. – Mają swoje drony, ale gówno nam zrobią. Są w rozsypce i nie wiedzą, gdzie uderzać najpierw. O radio też się nie martwicie... Mogą sobie nas namierzać. Za kilka godzin ślad po nas tu nie zostanie.

Drgnął zaniepokojony, że dobrał nie najtrafniejsze określenie, ale Misio nie podchwycił.

– Oczywiście nie gładźcie bez sensu – dopowiedział zaraz Doktor. – Zajmiecie pozycje, meldujcie. Zanim zacznę, zasypiecie ich ołowiem.

Nie musiał bawić się w szczegółowe ustalenia. Był wśród swoich. Specnaz GRU był nieomal jak o wiele młodsza jednostka Sienież, podległa już nie szefowi sztabu, a dowódcy wojsk specjalnych. Byli z tego samego korzenia i po prawie takim samym szkoleniu.

– Coś jeszcze? – myślał głośno. – Tak – przypomniał sobie. – Maskować się na miejscowych. Kokardy, żółte i błękitne barwy. Niech natowscy zgłupieją. Lachy,

Amerykanie, kto tam jest... Niech całkiem przestaną ufać. – Złowrogi błysk zalśnił w spojrzeniu Doktora. – No, *bratok*. – Skinął głową na znak, że już czas. – Ruszamy – rozkazał.

Misio posłał w eter radia polecenia i wszedł w zarośla, by dzielić i prowadzić swoich.

Wasilij potrzebował więcej czasu. Nie palił się do zadania. Już dawno stracił tę swoją legendarną pewność młodego wojownika. Wypalił ją na dziesiątkach akcji.

Podniósł głowę.

– No, Saszka, wypchnąłeś mnie w to gówno, to przynajmniej pilnuj – psioczył pod nosem, mamrocząc życzenie dla otuchy.

*

Prawie senny albo po prostu zwyczajny budynek dowództwa tego dnia huczał od rozmów, kroków i ogólnego zamieszania. Czuć było w tym wszystkim strach i jednocześnie podniecenie. Ludzie nabrali energii, bo mogli wreszcie się wykazać po miesiącach tyrania na poligonach i zgrywania starych weteranów. Ponadto każdy był tu nieomal ochotnikiem i miał wysokie morale. Prawie każdy. Tylko zamach na dowódcę podłamał ogólny obraz. Nikt nie chciał zostać wzięty za zdrajcę. Działali, choćby by pomścić ranionego Poprawa i zabitego szefa sztabu.

Polskim notablom oddano kilka pomieszczeń w podziemiach. Nikomski i Waligóra woleli jednak trzymać się bliżej pokoju łączności, przygotowanego przez JWK i amerykańską Deltę. Urzędowali obok w niewielkim szarym pomieszczeniu – składziku na szczotki, papier do drukarek i tego rodzaju przybory – cały czas pod strażą przejętych funkcjonariuszy SOP i dwóch ludzi z rozpoznania, których oddelegował kapitan Szczeciński. Ochroniarze krążyli po korytarzach albo rozsiadali się na krzesłach znudzeni, wiercąc się i oczekując jakiegoś ciekawszego przydziału. Ale po zamachu nikt nie chciał ryzykować i ułatwiać pracy kolejnym zdrajcom, bo podejrzewano, że może być ich więcej.

Nikomski nacisnął kłamkę i wszedł do kantorka. Waligóra poderwał się z krzesła, prawie upuszczając telefon.

– I co wiesz? – zapytał, nie czekając, aż operator JWK zamknie drzwi.

Nikomski gestem dłoni dał sygnał, by minister nie mówił tak głośno. Nie ufał już nikomu, szczególnie ścianom, które mogły mieć uszy, ale nie miał wyboru. Był

w prowincjonalnym garnizonie, a nie w biurze bezpieczeństwa.

– Rozmawiałem z tym chłopakiem... – Podszedł i przysunął usta do ucha Waligóry. – Zapewnia, że widział prezydenta żywego jeszcze dwadzieścia minut temu. – Zrobił pauzę.

Obydwaj chwilę się nie odzywali. Pierwsza część wieści łagodziła stres, druga potęgowała go i podsuwała kolejne wątpliwości.

– Bogu dzięki – stęknął wreszcie Waligóra i z minimalną ulgą opadł na krzesło. – Marszałek sejmu na razie niepotrzebny – powiedział jakoś tak neutralnie. – Choć powinien się cieszyć, BBN już informuje premiera i MON. W Kijowie szef MSZ gada z ichnim prezydentem. Obiecali pomoc, ale cholera wie, co w tym bałaganie...

– Jakim bałaganie? – Nikomski zachnął się i wzruszył ramionami. – To tylko tu... Myśleliśmy, że ruskie zaczną na całego, ale na razie...

Teraz Waligóra dał znak, by nie mówił tak donośnie.

Wojciech Nikomski zakręcił się na pięcie wpatrzony w podłogę i podrapał się po brodzie.

– Premier musi dzwonić do Waszyngtonu. – Pierwsza myśl wydała mu się najrozsądniejsza, choć nie miał pojęcia, czy to pomoże. – Niech wywierają presję na Moskwę. – Podniósł wzrok na kolegę.

– Myślisz, że to...? – Waligóra też o tym wiedział, opierał się tylko dla zasady i w imię jakiegoś niepotrzebnego obiektywizmu. Potrzebował dowodów.

– A kto? Miejscowi? Spisek zaszedł tak daleko? Kijów miałby powód, by rozpędzić wszystko, całe te demonstracje, organizacje. Normalnie stan wojenny. A to prezent dla Moskwy i Rosjanie powinni to wykorzystać...

– Wykorzystać? – Waligóra poprawił grube okulary. – A robią to? Sam stwierdziłeś, że nic się nie szykuje. Ba, u Moskali jakaś akcja idzie. Więc po co?

– Właśnie, po co? – Nikomski złapał się pod boki i przygryzł policzek.

– Ten nasz minister. Ten powieszony... Musiał coś wiedzieć. Wysypać się – Waligóra wypowiedział na głos to, co obaj podejrzewali. Teraz, po tym wszystkim, mieli dowody. – Pierdolić to... Trzeba go wydostać, jeżeli żyje, to najważniejsze.

Waligóra nabrał niespodzianie bojowego ducha. Wyrwał z miejsca, prawie odepchnął Nikomskiego i wypadł na korytarz.

Jego obecność poderwała z siedzisk wartowników. Patrząc pytająco jeden na drugiego i na ministra Nikomskiego, pognali za Waligórą. Ten, skacząc co kilka

schodków, zbiegł do piwnic. Przebił się przez tłumek uzbrojonych Ukraińców, oficerów sztabowych i zaopatrzeniowców. Swoją rażną postawą zadziwił wartowników, którzy rozstąpili się, przepuszczając go do pokoju operacyjnego.

– Panie pułkowniku! – rzucił Waligóra od progu.

Cały niewielki sztab uniósł głowy oderwany od swoich zajęć. Oleksandr Zdanilow był dziwnie blady, skupiony i wydawał się dopiero co obudzony z jakiegoś letargu.

– Co? – fuknął niemilo.

– Prezydent Rzeczypospolitej żyje – zaczął przemawiać Waligóra. Był nakręcony, wojowniczy i nie zważał na delikatne poszturchiwanie Nikomskiego, który wreszcie go dogonił.

Politycy jakby zamienili się miejscami – Nikomski dla odmiany był teraz łagodny i stonowany.

– Zapewne pan wie... – Dłoń polskiego ministra wskazała jeden z ekranów, na którym pokazywano widok z drona. Waligóra dostrzegł, co dzieje się na przekazie, i stracił rezon. – Matko... – Przełknął ślinę i mało nie chwycił się za głowę.

Widok przesyłany ze sporej wysokości dzięki oku krążącej nad ruinami kamery ukazywał moment krytyczny. Kilka ruchomych punktów na dachu jednego z niewielu zachowanych budynków, kilka ukrytych wkoło postaci, a dalej ruch skradających się ludzi, którzy skojarzyli się ministrowi z mrówkami.

– Żyje? – Pytanie Zdanilowa wydawało się bardzo dwuznaczne. – Nieźle, co? – Nadał się, ale powstrzymał się przed wybuchem. – A to pan widział? – Pułkownik wyciągnął mocne ramię w stronę mniejszych ekranów.

Wyświetlane obrazy ukazywały pełznące wolno, osłaniane przez piechotę transporterzy BTR-4. Grupy bojowe wchodziły w miasto, ostrożnie, ale sprawnie wyszukując dywersantów. Na jednym ujęciu, wydrukowanym na kartce, które okazał pułkownik, było widać dwóch zabitych. Cywilów, ale z bronią, w kałuży krwi.

– Mamy tu lokalną wojenkę... Sam bym wysłał kompanię na pomoc panu prezydentowi, ale jak? Skoro miasto niepewne... Chuj wie, co jest pewne. – Zdanilow ze smutkiem wracał myślami do strzelaniny na placu. – Wpadną w zasadzkę... – Zatroškał się. Zaraz jednak, jak na zawodowego i doświadczonego oficera przystało, wrócił do równowagi. – Nasz amerykański kolega, generał Logan, czyni kroki, by rozwiązać ten nasz kryzys.

Pomimo dość oględneho opisu, wydał się teraz zatrwożony.

– Został nam jeden śmigłowiec... To wielkie bydlę, którym przyleciał Amerykanin – zaczął tłumaczyć. – Sojusznicy mają kilku swoich komandosów, a ja poprosiłem ochotników spośród doradców. Mają tu gruzińskich snajperów, jak się okazuje. Podobno cholernie dobrzy. – Imponował szybkim rozeznawaniem się w sytuacji. – Bili się w dwa tysiące ósmym, potem przyjechali tu... – Głośne, wymowne chrząknięcie Nikomskiego wymusiło zakończenie tych historycznych wywodów. – Ochotnicy dzisiaj pomogą. Amerykanie mają dwie sekcje swoich. Okroją to maksymalnie, bo muszą zostawić ochronę generałowi. Ośmiu poleci. Zabiorą uaza bez dachu i coś ciężkiego do wsparcia. Właśnie się mocują, żeby go zapakować.

– Ryzykowne. – Waligóra zwątpił, ciągle wpatrzony w skoki przeciwników, którzy obchodzili kryjówkę głowy polskiego państwa.

– Pewnie, że ryzykowne, ale sam pan żąda działania. – Zdaniłow dąsał się, niby to urażony brakiem wiary w jego możliwości. – Wylądują w oddaleniu, od południowej strony – wrócił do przedstawiania planu. – Do wsparcia postaram się dać dywizjon haubic, jeżeli podejście na pozycje uda się zabezpieczyć. Póki co odległość jest za duża, a nie chcę tracić niepotrzebnie ludzi i sprzętu. No i nie znam ich, nie wiem, jak sobie radzą w bezpośrednim wsparciu ogniowym – opisywał sytuację z prawdziwym znanstwem, godnym weterana. – Inna jednostka, w Krzywym Rogu, może się ruszyć, ale i tak są daleko, a do osłony potrzeba wsparcia. Zostaje lotnictwo, ale to gestia Kijowa, a wiecie, że za mną nie przepadają. To też potrwa, chyba że panowie albo Logan coś zdziałacie. Zespół bojowy wiem, że już wyruszył i pędzi pełną prędkością, ale nie zjawi się za pięć minut. A co do naszego kłopotu – wskazał na monitory – siadanie przy budynkach jest zbyt ryzykowne. Wróg podchodzi od północy. Przenika bliżej, podciąga broń maszynową i cholera wie, co jeszcze. Obserwujemy, że ściągają posiłki i... w ogóle się nie boją. Są pewni swego, skurwiele. Dobrze to opracowali, choć ryzykują. Pewnie chcieli nas dorwać tu, na miejscu, jednym strzałem...

– Kim są? – Nikomski z przymkniętymi oczami patrzył na ruszające się postacie.

– Niewiele wiemy. To, co dzieje się w Kropywniku, sugeruje, że to jakaś forma dywersji. Na razie nie złapaliśmy wielu. Tych kilku, co dali się pojmać, to byle menele z bronią. Z okolic, moim zdaniem przekupieni. Chłopaki nad nimi pracują. – Zdaniłow dla podkreślenia swoich słów stuknął pięścią w otwartą dłoń. – Nie trzeba mieć tytułów z Oxfordu, by się domyślić, że to Moskale. Sieją ferment. Od dawna. Te zamieszki, ten cały zamęt, a to... to to jakaś szczytowa forma tego bałaganu. Przyjdzie

nam poczekać, zanim się dowiemy, czemu służy...

Waligóra skinął i posłał Nikomskiemu porozumiewawcze spojrzenie.

– Są gotowi – zameldował Zdanilowowi ukraiński kapitan.

– Doskonale. – Pułkownik odetchnął ciężko. – Chcą panowie zostać i obserwować? Zapraszam. – Zatarł ręce.

Sam był rozdarty pomiędzy koniecznością oczyszczenia miasteczka i potrzebą ocalenia człowieka, który namówił go do przyjazdu do ojczyzny. Oparł się o stół z mapami i patrzył skupiony, usiłując zapanować nad nerwami. Tak samo jak dwóch polskich polityków, którzy widząc nadchodzące starcie, byli bliscy zawału. ■

ROZDZIAŁ 8

– Szybko... – Adam Thomał dyszał. Znajdował się w środku zatechłej piwnicy, ale mimo to coraz trudniej było mu oddychać. Emocje dawno nim zawładnęły. – Cholerny dym...! – krzyknął w hałasie i łapał oddech, przystając jak reszta na kilka sekund. Czarny opar snuł się od schodów leniwym obłokiem. Smród płonących traw i prochu niósł się nisko, ale i po klatce schodowej. Pożary musiały być blisko, jako że z każdą minutą robiło się coraz nieznośniej gorąco.

– Dobra – dowódca zestrzelonego Mi-8 ogłosił koniec przerwy. Otarł rękawem czoło z potu i pierwszy złapał zmurszałą skrzynię, w której chyba trzymano zimą piasek.

Adam pomógł z drugiej strony. Szurając po betonie, przynosili ten ciężar bliżej schodów. Pozostali nieśli kilka „skarbów” wygrzebanych spod warstwy zgnilizny i nanoszonej latami wiatrem ziemi wciskanej każdym otworem.

Prezydent dźwigał zardzewiały kawał szerokiej rury, która z niejasnych przyczyn umknęła uwadze złomiarzy. Lotnicy mieli stare drzwi i jakieś wiadra. W zanadru były rozklejający się posowiecki regał i pół kredensu. Wszyscy pracowali, nie było przebaczeń. Nie było stopni, tytułów czy funkcji. Ginęli. Wiedzieli o tym. A przynajmniej godzili się z tą myślą, choć nikt nie powiedział na ten temat słowa. Był tylko ten odruch, instykt przetrwania, który kazał jeszcze spróbować. Robić coś, jak nakazuje natura walczącemu o przetrwanie albo by choć zagłuszyć lęk. Potem bić się... jeżeli będzie można.

Z tych kilku obrzydliwych sprzętów ułożyli sprawnie nieduże barykady. Rurę wcisnęli między ściany wąskiego zejścia. Podparli drzwiami. Dla nikogo, kto miał zamiar wdrzeć się siłą, nie była to żadna przeszkoda, ale tej piątce to wystarczyło. Dodawało śladowej, chwilowej otuchy.

– Tam... – Adam wskazał kolejne miejsce, odnogę korytarza, nieco dalej od wejścia w prawo. Tam, w głębi, były jeszcze cztery piwnice.

– Ta ostania. – Ukraiński oficer myślał jak inni.

Popatrzyli na siebie i porozumieli się bez słów. Ze skrzyni i innych śmieci wzniesli sprawnie jeszcze jedną przeszkodę.

– Pan pozwoli... – Ukraiński technik z galanterią godną dyplomaty, bez cienia

zgrywy uklonił się polskiemu przywódcy. Wskazał ciemną piwnicę. – Ty, Polak... też. – Dowódca śmigłowca wyznaczył Adama na ostateczną linię obrony.

Najstarszy stopniem żołnierz wyciągnął pistolet i ze swoją załogą skryli się za „fortyfikacją”.

– Trzymamy się. – Głos majora lotnictwa był surowy i pewny.

Thomal wyłowił w półmroku spojrzenie prezydenta. Obydwaj nie chcieli nic mówić. Nie mieli ochoty się popisywać, zmiękczać trudnego momentu żadnym frywolnym lapsusem, niczym w marnych filmach. Po prostu wiedzieli, że już nic więcej nie mogą.

Dudnienie bitwy zlewało się w jeden hałas, który drażniącym staccatem ogarniał podziemie, wlewał się w umysł, w krew. Już nawet nie przerażał, a przyzwyczajając do ostatecznej myśli.

Prezydent wszedł wolno do ostatniego pomieszczenia w korytarzyku i po prostu siadł w kącie. Nie mógł teraz już nic zrobić. Patrzył w ścianę. Zatonął w niemej modlitwie, w pandemonium, jakie rozgrywało się wkoło, i wspominając rodzinę, czekał.

Adam Thomal też się modlił. Najszczerzej w całym swoim życiu. Siedział, zerkając zza węgła na ukraińskich towarzyszy ich wspólnego końca, z dłonią zaciśniętą na pistolecie. Czekał na moment, kiedy w nijakiej poświacie przebijającej przez piwniczne drzwi pojawi się ten, który będzie chciał ich wykończyć. Planował, że z pierwszym, może i drugim sobie poradzą, ale potem... Jego wyobraźnię owładnęły obrazy ze starego filmu z Charltonem Hestonem o obronie Chartumu. Tłumy islamistów, którzy wdzierali się przez mury miasta. Dopiero po chwili spostrzegł, jak blisko temu skojarzeniu do jego poprzedniej przygody – strasznej i okrutnej, której o mało nie przypłacił życiem. *Sudan* – kołatało się pod czaszką wraz ze wspomnieniami burz, upału i pragnienia. *Wszystko to samo. Teraz...* Bał się rozwijać tę myśl.

Nałożył na te okropne wizje obraz Matyldy. Najpiękniejszej, jaką zapamiętał. Jej uśmiechu, nagiego ciała. Każdego wesołego momentu, jaki mógł sobie przypomnieć.

Trwał tak, nieco bardziej uspokojony, jeżeli o czymś takim w ogóle można było marzyć.

Ścisnął broń i bez słowa, patrząc na wejście, czekał, jaką śmierć przyniesie mu los.

*

Sen powinien przynosić ulgę. Regenerować siły. I tylko świadomość tego, że po przebudzeniu wszystkie kłopoty powrócą, nie znikną, pozbawiała człowieka luksusu odpoczynku. Kamil „Monsignore” po ponad dobie pracy poddał się ciężącemu coraz bardziej na skroniach zmęczeniu. Na rozkaz gospodarzy, tak jak i Bratnowski, powlókł się do swojego pokoiku. Małego, ale przytulnego i niejako spartańskiego, jak każde pomieszczenie u Skandynawów ufundowane z podatków.

Absolutna cisza, brak jazgotu głosów i natłoku wylewających się z ekranów komputerów wiadomości działały wspaniale. Do tego zielona ściana drzew za oknem. Podporucznik zdjął kurtkę i padł na łóżko. Zasnął prędko. Albo tak mu się tylko wydawało. Głęboki sen nie nadchodził. Był nerwowy, szarpany. Podszyty mnożącymi się pod czaszką obrazami, żyjącymi własnym życiem teoriami pojawiającymi się samoistnie w zmęczonym umyśle. Krótka mówiąc, po krótkiej chwili, kiedy na Kamila spłynęła błogość, zaczęły się koszmary.

Operator Formozy zerwał się, umęczony chyba bardziej niż przedtem. Chciało mu się pić i zrobiło gorąco. Usiadł na łóżku.

– Kurwa, nie do wiary – stęknął, patrząc na zegarek. Nie było go zaledwie jakieś dwadzieścia minut.

Polak przetarł twarz i zmuszony nabrać nieco świeżego powietrza, zwlókł się z posłania i poczłapał do okna. Wziął wdech. Sięgnął po szklankę wody stojącą na stole.

Wiedział, że nie zaśnie prędko. Za wiele myślał. Pobudzony i przegrzany mózg nie pozwalał na wyciszenie. Nieraz wydawało się Kamilowi, że w takich chwilach traci kontrolę nad sobą. Odpoczywanie zdawało się być sztuką. Potrzebował odskoczni, lżejszego tematu, który da mu przyjemność, odprężenie.

Włączył prywatny telefon. Zasięg był znośny. Kamil odsunął krzesło i usiadł przy stoliku. Gdyby ktoś go widział, nie uwierzyłby albo i wydrwił bez litości. Kamil włączył kilka portali plotkarskich, zaraz potem Facebooka. Byle chłonąć nic nieznaczące bzdurki, które zwalniają od myślenia.

Przyzwyczajenie albo raczej uzależnienie od pracy brało jednak górę. Niby to przypadkiem, oszukując samego siebie, Kamil wstukał kilka adresów portali informacyjnych. Przeglądał szybko, zachłannie. Analityczny zmysł kazał szukać choć

ślądu wiadomości o tym, co dzieje się na Ukrainie. O tajnej wojnie, o której nie wie żaden zwykły śmiertelnik. On sam teraz nie wiedział nic nowego. Nie miał pojęcia, co się tam wyrabia. Martwił się o Roberta Krawca, ludzi prezydenta, ogólnie o swoich. To właśnie nie pozwalało mu zasnąć. Kilka uprzejmych informacji od sojuszników, którym wolno było się dowiedzieć na wyższym poziomie ogólności, co zaszło w centralnej Ukrainie, nie koło nerwów.

Na portalach polskich czy zagranicznych nie było prawie nic. Trochę wzmianek o konwojach rosyjskich na wschodzie i jakichś drobnych potyczkach z „separami”. Ale to były przebrzmiałe wieści. Świat znów podniecał się Iranem i tym, że nad Kremlen pojawiły się wojskowe śmigłowce. Oficjalnie tłumaczono to względami bezpieczeństwa po niepokojach na Kaukazie. Buzowało tam, jak dwadzieścia lat temu, od strzelanin i rzekomych poszukiwań sprawców zamachu w Groznm.

Cały ten rozrzut wiadomości i brak konkretów tylko rozdrażniły Kamila. Z telefonem w dłoni sięgnął po kurtkę i wyciągnął papierosy. Zapalił. Sprawdził, jakie głupoty ludzie wrzucają na Facebooka. Coś mu podszeptowało, by przegrzebać tę kopalnię wiedzy, ale odpuścił. Patrzył na zdjęcia z pierwszych wiosennych wypadów kilku swoich ślicznych koleżanek. Prześledził grillowe popisy kumpli, godne raczej nastolatków niż dorosłych, i otworzył Messengera. Nazbierało się kilkanaście wiadomości.

Rozwinął listę i przejrzał pobieżnie. Jedno powiadomienie przykuło jego uwagę. Ścisnął papierosa w ustach tak mocno, że o mało go nie przegryzł.

– Kurwa – szepnął.

Ledwo trafił powrotem na krzesło. Nie dowierzał. Podniósł wzrok znad ekranu i długo patrzył na leśny krajobraz. Z przemęczenia nawet zdawało mu się przez chwilę, że to prowokacja. Że ktoś robi mu kawał albo obserwuje go z tego gąszczu.

Opamiętał się zaraz. Wyprostował się i trącił linijkę tekstu palcem. Wiadomość rozwinęła się i Kamil wstrzymał oddech. Wczytał się w krótką treść i znowu zatopił spojrzenie w drzewach. Przywodziły wspomnienie nie tak dawnych czasów i znajomych, którzy przewijali się w przeszłości przez jego życie. Jeden z nich powracał teraz niepokojącym pozdrowieniem na początku wiadomości.

Kamil przeczytał półszepem jeszcze raz.

Salam alejkum, przyjacielu! – było napisane cyrylicą. *Pozdrowienia od przyjaciół generała Jusufa Gisajewa.*

*

Ten wystrzał był głośniejszy albo tak się tylko wydawało porucznikowi Kercowi. Pocisk poszedł płasko tuż nad jego głową. Oficer JWK wziął kilka głębokich wdechów. Starał się unormować wariujące serce, tak jak go wyszkolono na wypadek najgorszego stresu.

Tylko potu zalewającego twarz, drażniącego pod oprawkami przezroczystych gogli, nie potrafił zatamować.

– Wstrzeliwują się – rzucił do reszty na dachu, chyba chcąc się upewnić, czy mają podobne odczucia.

– Nisko i nie ruszać się... – Tylko taki pomysł przyszedł do głowy zalegającemu nieopodal Robertowi Krawcowi. Z nim było podobnie jak z Kersem. Bał się i z rosnącym trudem znosił to piekielne wyczekiwanie.

Wiedzieli, że tamci są blisko. Ba, wiedzieli nawet gdzie, tylko co z tego? W ich umysłach pojawiały się coraz to okropniejsze wizje, przerażające wyobrażenia tego, co wydarzy się zaraz. Z nimi, z prezydentem. Wszystkie tego następstwa. Wykwity wyobraźni nauczonej planować kilka kroków w przód i podbudowywać te plany solidnym doświadczeniem.

Zwyzkujące napięcie przeciął bluzg odgłosów nagłej i bliskiej strzelaniny.

Z zarośli do wzmocnionych niewielkich redut na dole po lewej, gdzie usiłowali się chować ludzie z Lublińca, zaczął się solidny ostrzał. Kerc wystawił wyżej głowę. Nie widział wiele. Nie mógł. Ci po tamtej stronie byli wyszkoleni. Potrafili podchodzić skrycie, stać się niewidzialni i cisi.

Kiedy tylko w układance postrzępionych skrawków gruzów, za plątaniną gałęzi polski oficer dostrzegł najmniejszy nawet ruch, słał w to miejsce kilka pocisków.

Robert Krawiec również wydobywał z siebie każdy okruch doświadczenia, który pozwoliłby przewidzieć ruch wroga. Pruł krótko, pojedynczym ogniem w każde podejrzone miejsce, każdy zwykły cień. W dole, u celu, kotłowało się od kurzawki, łamanych gałęzi i odprysków betonu.

Robert wstrzymywał oddech. Potem znów nabierał powietrza i patrzył przez celownik, czy aby nie dostrzeże efektu swojej roboty. Jeżeli ruch ustawał albo ten po drugiej stronie przerywał ogień, to wystarczało komandosowi. Zaraz z Kersem przenosili uwagę na inny cel.

– Na dziesiątej... za szeroką ścianą z wybitym oknem... – Nim dopowiedział, obydwaj stali ołów w kolejne postaci.

Tamci nie musieli ginać. Starczyło, że zamilkną, zmienią pozycję albo przemyślą swój plan. Żołnierze i funkcjonariusze SOP robili wszystko, by wyeliminować lub odgonić jak najwięcej wrogów, nim ci przenikną bliżej pozycji JWK i wejdą do bloku albo zaczną okrążyć pojedyncze grupki strzelców.

Spod zakryć tam, w dole, frunęły urywane serie smugowych pocisków. Cięły ziemię, gałęzie. Gdzieś wreszcie odległa sylwetka padła na ziemię, dając obrońcom wyczekiwany dowód na to, że działają sprawnie.

– Obchodzą was z prawej! Od północy, chyba się gubią. – Głos oficera pilotującego drona był w gruncie rzeczy neutralny. Nie mógł ulegać emocjom. – Chcieli was docisnąć, ale dorwaliście ich pierwsi – doprecyzowywał swoje obserwacje. – Wynoszą jednego. Ranny. Dwóch się nie rusza... – tłumaczył, co widział z wysokości.

Tylko Kercowi z tyłu głowy plątała się myśl, że w tym optymistycznym opisie brakuje jakiegoś „ale”.

– Rdzawy, Lolek, Slow, trzymać się! Leżą do was – rozkazywał z trwogą i troską. Zmienił magazynek na już trzeci. Bał się, coraz bardziej się bał.

Wyszukał jeszcze jeden cel: dudniący z daleka karabin maszynowy. Długie, ciężkie serie tłukły po ścianach pod dachem i ostrzeliwały okna od północnej strony.

Tamten strzelec „czyścił” miejsca zagrożenia i usiłował trzymać operatorów w szachu. Pewnie się przeliczył, sądząc, że cały dom jest obsadzony.

Kilka kul wyłupało skrawki cegieł u samego szczytu, ale tylko wzbiło kurz, nie szkodząc Polakom na dachu.

– Są... widzę. – Major SOP dostrzegł coś dalej na prawo. – Idą! – krzyknął jakoś dziwnie podniecony, jakby na to czekał.

Dźwignął się nieostrożnie i zaraz padł z powrotem na papę, kiedy kula rozcięła mu rękaw munduru, a z dziury połała się krew.

– Nic, to nic! – zawył, widząc, jak Robert szykuje się do skoku, by pomóc.

Major wyszarpnął z kamizelki pokrowiec z opatrunkiem i prędko przycisnął go do rany. Czołgał się przy tym na plecach, najbardziej płasko, jak potrafił, na wschodnią stronę.

Jego przyboczni bili ostrożnie w wykryte cele. Musieli oszczędzać amunicję.

Krótkie lufy Mini-Beryli nie niosły tak daleko. Trzeba było mierzyć idealnie, ale te wysiłki na niewiele się zdawały. Spadające za wcześnie kule mogły raczej zaszkodzić operatorom skrytym tam, w dole.

Trójka komandosów rozsiadła się wśród zrujnowanych pozostałości budynków i wyczekiwała momentu, kiedy wejdą do akcji. Wiedzieli, że ta chwila nadejdzie.

W celownikach ich karabinków HK416 zamigotały dalekie, pochylone kształty ludzi. Skakali ostrożnie, pojedynczo, ewidentnie prowokując przeciwników. Gdzieś z tyłu kryli się inni, snajperzy albo celowniczy granatników, wyczekujący, aż Polacy się odkryją.

Ale obrońcy nie mieli wyjścia. Mogli ściągać cele z najbliższej, jak się dało, odległości albo po wykryciu dać się zasypać ołowiem bądź zdeptać.

Pierwsza trójka wyrosła zza krzaków. Rozglądali się uważnie i podobnie też stąpali. Najbardziej obawiali się dachu, choć ogień stamtąd nie był celny.

Przechodzili od zasłony do zasłony, z ostatnim, który sprawdzał, czy ktoś ich nie podchodzi od tyłu.

Dowodzący prowadził ich na cele, uzbrojony w widok z drona. Tyle że termiczny obraz miał się nijak do widoku na ziemi. Najlepiej widoczna ciepłota ciała nie znaczyła wiele, kiedy komandos po drugiej stronie potrafił się zamaskować.

Dziki Zachód – przeszło przez głowę brodatego operatora o ksywie Lolek. Kiedy tylko sylwetka tamtego wypełniła wystarczająco celownik, pociągnął za spust. Dwa strzały. Powinno być więcej, ale musiał oszczędzać.

Zamaskowany dryblas w czymś na kształt dresu machnął dłońmi i uniósł broń w niebo. Polak trafił w korpus, co wrogowi niewiele chyba zaszkodziło. Dopiero drugi pocisk, precyzyjnie wymierzony z odległości mniej niż stu metrów, trafił w głowę. Kompani Lolka poszli w jego ślady. Rozległy się krótkie huknięcia. Wokół trójki napastników podniósł się żółtawy obłok i prędko uleciał, kiedy ciała padły na suchy step.

Polacy odnieśli niewielki sukces. Jak w westernie, który wyobraził sobie Lolek, byli szybsi i celniejsi.

Taktyka wymuszała jednak, by za chwilę i z tamtej strony rozpętało się piekło. Gdzieś spod ukryć wyrosły języki ognia. Prochowe opary urywały się, kiedy wściekłe serie PK uderzały w każde podejrzane miejsce. Teraz Polacy umilkli, trzymając się nisko i w bezsilności mruczając pod nosami jakieś przekleństwa. Ten, zdawałoby się,

huragan, rozpętany tak blisko, miał nieść śmierć i dać hordom nieprzyjaciół czas na podejście bliżej.

Ludzie z SOP, przerażeni tym pandemonium, w zapamiętaniu usiłovali odrzucić wroga, posyłając coraz więcej pocisków w stronę, gdzie miał się grupować. Niepotrzebnie tylko uszczuplali zapasy amunicji. Ich upór został jednak dostrzeżony. Być może ci po drugiej stronie woleli nie ryzykować, że na dachu kryje się jakiś potężniejszy oręż. Ostrzał z wysoka musiał rozżłościć kogoś w tym labiryncie ruin i zarośli. Kerc zdążył jeszcze przesłać ostrzeżenie, które spłynęło do słuchawek.

– RPG!!! – wrzasnął, omal nie zdzierając gardła.

Zafurczało z sykiem i coś jak łomoczące o blachę kamienie rozsypało się po okolicy. Ochroniarze SOP nie poznali widać jeszcze dźwięku RPG od tej strony. Grzmot wstrząsnął budowlą, kiedy pocisk rozerwał się pod obrońcami gdzieś piętro niżej. Gorący podmuch i deszcz odłamków zmusiły Polaków do krycia się. Ktoś jęczał, tamując lejącą się z czoła krew. Kolega ruszył mu z pomocą, tymczasem kolejne granaty łomotały uparcie o ściany, krzesząc iskry i wyrywając czarne dziury.

Na ziemi tym razem Slow, który zajmował daleką, skrajną pozycję na flance, wykazał się refleksem, który mu wpojono, i jeszcze lepszą oceną sytuacji. Potrafił wykorzystać moment. Posunął karabinek płasko przy ziemi i celując jak bądź, zaczął słać pociski, jeden za drugim, we wszystkie źródła ostrzału, jakie się przed nim ujawniły. Gasły albo przerywały na kilka chwil.

Reszta Polaków szybko podchwyciła to wahanie i kilka sekund mniejszego ostrzału, by przejąć inicjatywę.

– Południe! Vogel, Machoń... – Lolek darł się do mikrofonu osobistego zestawu radiowego. – Pierdolnijcie w ich flankę!

Komandos wpadł na ciekawy pomysł. Łatwy w teorii, ale diabelnie trudny do realizacji. Zwłaszcza pod ogniem i przy takiej przewadze nieprzyjaciela.

– Kurwa... – przez trzaski przebiło się niewyraźne przekleństwo dowódcy. – Znów zakłócają. – Kerc, słuchający komunikatów swoich ludzi, zląkł się i pobladł. – Vogel, leż do nich! – docisnął podwładnego. Znał ich, szkolił, walczył z nimi ramie przy ramieniu i wiedział, że nie powinni zawieść. – Jak południowa strona? – przełączył się na kanał dowództwa.

– Jeszcze nic... Nie dotarli tam, ale idą. Są nowe grupy... – operator teraz bardziej gorączkowo opisywał sytuację.

Kerc nie słuchał dalej. Dowiedział się, czego chciał.

– Południowa flanka, pomóżcie na zachodzie... – Chrypl.

Zaraz usłyszał świst i przywarł do dachu, wypatrując, gdzie padnie kolejny pocisk granatnika.

Trójka operatorów na znak faceta o pseudonimie Vogel wyszła z legowisk. Najpierw ostrożnie, cicho i powoli, jak najdłużej oszukując wpatrzone w okolicę ślepie stalowego „ptaszyska” ponad głowami.

Teren sprzyjał tym podchodom. Zaśmiecony, pełen przeszkód. W chaosie i hałasie strzelaniny, nawet przy dobrym rozpoznaniu, trudno było szybko dostrzec jeszcze trzech graczy.

– Dawaj, dawaj – syknął do mikrofonu Vogel.

Jego grupa przyśpieszyła. Krótkie kroki, stabilna, pochylona postawa, w której broń i jej lufa stawały się przedłużeniem ramion. Częścią ciała.

Naraz terkot broni przygasał, i to z każdego kierunku.

– Nie... nie widzą was, są rozłożeni... Będą podchodzić po cichaczku... – Kerc przez zaciśniętą bezwiednie zuchwę słał kumplom przekaz operatora BSL. – Od południa czysto... Kombinują, chujki... Albo sami mają kłopot z amunicją... – dopowiadał własne przypuszczenia.

Nowi na wschodniej flance zapuścili się głęboko przed pozycje kolegów, rozwijając się w linię.

– Mamy jednego zimnego. Tango martwy – meldował Vogel.

Ciało należało do młodego mężczyzny w szerokich bojówkach, podkoszulku i kamizelce kuloodpornej. Polak szybko upewnił się, że ten na ziemi na pewno nie żyje. Sprawdził puls na zakrwawionej szyi, ciągle uważnie bacząc przed siebie.

– Ruszyli się... Wiedzą o was albo znowu uderzają... – To wszystko brzmiało trochę jak opis gówniarskich zabaw na podwórzu, kiedy jedna grupka dzieciaków usiłuje osaczyć drugą i przejąć tytuł władców okolicy.

– To nie byle dziadygi – Vogel zdążył podzielić się obserwacją. – Za dobrzy są. Sprzęt też mają fajny...

Szarpnął za ładownicę na pancerzu u trupa, kiedy wkoło znów zaczęło hałasować. Operator przywarł do ciała, przypuszczając, że kumple wrócą po kompana albo będą chcieli go ukryć, zanim ktokolwiek zacznie zadawać więcej pytań, widząc zwłoki wyszkolonych komandosów.

Nieprzyjaciel wyszedł większą grupą. Vogel dopatrzył się czterech. Operator drona podpowiadał o kolejnej czwórce bardziej z tyłu, usiłującej niespodziewanie okrążyć teren.

Polak się odwrócił.

– Lolek, ci od czoła są wasi – podzielił się łaskawie.

Jego zainteresował drugi zespół. Dostrzegł człowieka. Był oddalony o pięćdziesiąt metrów, może więcej. Trzy szybkie, pojedyncze strzały. Tamten znikł. Pozostała dwójka wyczekiwała „wizyty” reszty. Byli tam, czekali na opis sytuacji z powietrza albo znowu knuli podstęp. Potyczka zmieniała się w drobne starcia niewielkich grupek dobrze wyszkolonych żołnierzy.

– Jest jeszcze dwóch... Idą szybko – Kerc powtarzał na bieżąco, co widział dron.

Polacy od wschodu uwikłali się w starcie na bliskim dystansie.

Jeden z ludzi Vogla nie zdzierzył bezczynności. Posłał kilka pocisków w podejrzaną zakątki. Potem jeszcze poprawił, tłukąc niżej, przy ziemi, tam, gdzie ktoś mógł zalegać. I jeszcze raz. Dwa, trzy pociski, tak symbolicznie, żeby nastraszyć, zmusić do ruchu. Ktoś krzyknął coś niezrozumiałego, chyba przekleństwo. Dodało to pewności Polakom, ale mogło i zmylić. Komandos wymienił magazynek i spięty, osuwając się jak najniżej, czekał na rewanż. Ten nadszedł prędko. Grad ołowiu spadł na jego pozycję i wszystko wkoło.

– Kurwa! – stęknął niespodziewanie Romuś, kiedy poczuł silny cios przy obojczyku, na kamizelce. Zaraz drugi. Mniej bolesny, gdzieś na wyciągniętej łydce. Rykoszet albo odłamek cegły. – Dostałem. – Brzmiało to melodramatycznie i filmowo.

– Idę – rzucił w hałas ostrzału Vogel, gotowy ruszać na ratunek.

– Zostań... przeżyję! – Głos rannego był nacechowany cierpieniem, ale surowy.

– Na pewno...

Vogel słał już tylko pojedyncze kule tam, gdzie – jak mu się zdawało – ktoś się ruszał albo przed chwilą buchał dym wystrzałów.

Nie dosłyszał świstu. Rzuciło nim o ziemię i zwinął się.

– Ja pierdolę... – Zabrakło mu tchu. Centralne trafienie w sam środek kamizelki.

Bąkał, sapał, usiłując łapać powietrze i nie mogąc powstrzymać łez lejących się z oczu. Nadludzkim wysiłkiem obrócił się jednak na brzuch. Musiał bić się do końca. Tu już nie chodziło o jego wyszkolenie i odruchy. Włączał się – jak zawsze w takich

momentach – instynkt.

Vogel wiedział, że skoro go trafili, to musieli wypatrzeć, celować. Mógł to być głupi traf, ale nie miał w sobie tyle optymizmu.

Nie pomylił się. Nad jego głową zachrobotało od pocisków wbijających się w resztki muru. Operator odpowiedział gwałtownym ogniem, choć niewiele widział.

Do jego uszu doleciały jeszcze jakieś głosy. Nie rozumiał ich. Wiedział tylko, że mówią po rosyjsku.

– Idą... – wystękał z trudem.

– Vogel, co z tobą? – Kerc poderwał się z miejsca, ładując nowy magazynek, przerażony, że jest ofiara. Że stany się uszczuplają. Zerknął w ładownicę. Z ośmiu, które kazał zabrać, miał przy sobie już tylko cztery magazynki. Zrobiło mu się zimno.

– Vogel, do cholery!

Wizja walki na noże, pięści i cegły stała się nagle bardzo realna.

– Przebiją się... – sapał operator skryty gdzieś tam, pod ścianą.

Coś świsnęło z chrobotem w słuchawce dowódcy. W miejscu, gdzie mieli być Vogel i pozostała dwójka, wykwitł naraz słup szarego dymu. Pojawił się krótki pomarańczowy ogień.

– Jezu!

Kerc przypadł do muru obok sparaliżowanych ludzi z SOP. Nic nie było ważniejsze, niż ten skrawek zaśmieconego podwórza od wschodniej strony. Kerc to wiedział. Wiedzieli Robert i major. Uderzenie szło z tamtej strony, a Polacy zaczęli pękać.

– Vogel, zgłoś się! Vogel! – porucznik wywoływał nieszczęśnika, ale ten nie odpowiadał.

– Przełazą! – rzucił któryś z chłopaków, nie mając czasu się przedstawić.

Strzelanina w dole przybrała formę bezpardonowej młócki ołowiem. Już nikt nie martwił się o zapasy naboju czy granatów. Hałas zlał się w jeden przeciągły jęk bitwy. Pióropusze wybuchów rozwinęły się nagłą serią, jakby odpalone w jednym czasie. Smugowce krzyżowały się ponad ruinami pod każdym kątem, jedna długa linia za drugą. Krzyki i wyzwiska w radiu. Czasem rykoszet. Kolorowa kreska odlatująca nieomal pionowo gdzieś w niebo. Unoszące się tumany kurzu. Skoki ludzi, teraz już wyraźnie widocznych, chcących zmylić przeciwnika, przeżyć. I zajądlność, w której nad taktyką i ostrożnością górę wzięła brutalna furia. Tak jakby to starcie nabrzmiało

do horrendum, potwornego ciśnienia, które rozsadzi całą okolicę, zgładzi wszystko i wszystkich.

Na perymetrze tej improwizowanej reduty polscy komandosi zapiekli się w uporze, jak przystało na ludzi bijących się już nie tylko o głowę państwa, ale także o własne życie. Nadeszła chwila, gdy ich ostrzał zaczynał przypominać obronę opętańców. Głośna nawała zmuszała napastników, by cofali się i szukali nowej drogi. Nieprzyjaciel podpierał się mocą cięższych kalibrów: granatników, karabinów maszynowych. W tym jego przewaga była ogromna. Ale ten nagły, szaleńczy opór po prostu go zaskoczył. Burza ognia przewalała się po przedpolu obrony, tworząc przeszkodę nie do przebycia. Dookoła rwały się pociski granatników, ciskając ostrymi, gorącymi odłamkami. Ktoś krzyknął z bólu i osunął się w oszołomieniu. Jeszcze, póki starczyło świadomości, starał się strzelać.

W tym samym momencie wzmógł się też nacisk od północy. Jeszcze więcej granatów i ciężkiej broni maszynowej. Tylko taktyka inna, bardziej improwizowana, przez co Kerc uznał, że do nieprzyjaciela nadeszły posiłki. O gorszym wyszkoleniu, ale to przecież nie miało znaczenia

– Zadepczą nas... – Zagryzał wargi, słuchając, o czym donosi operator drona.

Ruina bloku mieszkalnego zmieniała się w podziurawiony kloc osnuty dymem i obłokiem kurzu. Jakby ściągał każdą kulę, każdy odłamek.

– Nie kończy im się amunicja?! – darł się Mucha, pierwszy raz od dawna bliski paniki. Nie mógł uwierzyć, że jest tak źle, że wróg, kimkolwiek był, potrafił zgromadzić takie środki. – Nie, nie, niemożliwe. – Otrząsnął się. – Oni muszą słabnąć. – Podniósł się na łokcie, wysuwając na zewnątrz głowę i karabinek. – Skurwiele!!! – zawył, tracąc panowanie nad sobą i ciągnąc za spust.

Wariował, poddawał się gorączce, czując już na pewno, że przekracza tę cienką granicę, kiedy człowiek godzi się ze wszystkim, z losem i ze śmiercią, i nie obchodzi go własne bezpieczeństwo, a tylko godna śmierć.

– Mają posiłki... Około dwudziestu... – Głos operatora w słuchawce Kerca nie był już tak spokojny, tylko ospały i przygnębiony. – Ale... ale... – jękał się, zdawałoby się, przewidując szybki upadek tej przedziwnej fortecy. – Lecą do was! – Nagle ożył. Zajęty wyszukiwaniem zagrożeń dla ludzi Kerca, nie spostrzegł albo raczej nie zrozumiał od razu wiadomości, że nadchodzi jakaś odsiecz. – Będą... będą za piętnaście... – Zaciął się. Zrozumiał, że ta liczba wyda się wiecznością. – Dziesięć

minut – skłamał na jedynym wydechu. – Trzymajcie się! – dodał, jak mu się zdawało, bojowo. – Pracujemy nad wsparciem ogniowym....

– Przyjąłem – potwierdził Kerc bez wiary i entuzjazmu. Nie interesował go plan.

Przełączył się na inny kanał i przekazał ludziom wieści, ale oni wszyscy byli zbyt mocno zaangażowani w walkę.

Operator drona rzucał jakieś hasła, pseudonimy i odległości. Kerc łapał niewiele w tym hałasie i uporczywym wypatrywaniu nieprzyjaciół. Nie ulżyło mu. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jeszcze ich nie zalali. *Dobrzy jesteście* – jakiś głos szepnął mu w duszy i jego ponury nastrój na chwilę się poprawił.

– Bateria w dronie siada... – Jeszcze jedna wieść z dowództwa zniszczyła tę ulotną chwilę optymizmu. – Posyłam następnego, ale mam pomysł... Ci tam, przed wami... Walnę w nich – skrócił całą opowieść.

– Jak? – Kerc myślał, że się przesłyszał.

Przerwał ogień, usiłując gorączkowo wskazać jakiś cel. Ale w dymie podpalonych traw i zarośli, w kurzu bitwy nie miał takiej możliwości.

– Wal – rzucił krótko w eter, zobojętniały, nie wierząc w nic.

Nie minęło dziesięć minut tego potwornego zwania, a skrzydlaty szary kształt bezzałogowca spłynął z nieba pod ostrym kątem. Niczym duch, który gdzieś istniał, ale nikt do tej chwili go nie widział. Drapieżny ptak rzucający się na ofiarę.

Pomknął daleko, znikając w linii drzew za osłoną dymów. Porucznikowi i reszcie na dachu wydało się, że słyszeli głośniejszy wybuch, ale może tylko chcieli go słyszeć. Resztę podpowiedziała spragniona dobrych nowin jaźń.

Lejtnant specnazu o pseudonimie Misio czołgał się ogłuszony. Krew zalewała mu twarz, coś kłuło go w nogach, ale najgorszy był pisk w uchu. Oddychał ciężko. Podparł się o karabinek i dźwignął. Ciężki dym z dwóch podpalonych samochodów niosło blisko ziemi. Przynajmniej odgłos bitwy uleciał na chwilę w niebyt. I tylko strach pozostawał ten sam.

Języki ognia wyrastały z poszarpanych konstrukcji, podsycane paliwem i resztą składowanej wewnątrz amunicji. Kilku jego ludzi i nowo przybyłych miejscowych bandytów leżało rozrzuconych dookoła, na szosie i przy drzewach. Niektórzy wili się w konwulsjach. Zwłaszcza ci nowi, tutejsi.

Ich wódz, rosły, wytatuowany jak zapisana tuszem gazeta siłacz w pospolitej koszulce i wytartych jeansach, kulał ogłupiały. Nawoływał swoich, by zachowali

spokój, trzymali się. Czynił to z charakterystyczną dla nieobytych z takim stresem, nerwową furią. Wrzeszczał, plując wokoło i wymachując rękami, jednocześnie drżał przy każdym bliższym wystrzale albo świcie pocisku nad głową.

Rosjanin domyślał się tylko jego słów. Nic przecież nie słyszał. Gdyby nie ból i szok, zżymałby się na samego siebie, że cofnął się z linii, by instruować miejscowych.

Spojrzenia obu mężczyzn prześlizgnęły się po sobie i Misio wiedział, że tamten jest przerażony. Nie na to się umawiał z kimkolwiek, kto zafundował mu tę robotę. Miało być łatwo, szybko, a tu na samym początku kula ognia, tak daleko od wroga.

Misio sięgnął po radio i z przerażeniem spostrzegł, że w ładownicy jest jakaś plastikowa miazga. Podmuch zerwał większość jego oporządzenia. Oficer stał, jakby nabrał nagle wigoru i zapomniał o bólu. Pokuśtykał do najbliższego ze swoich rannych, kucnął i zerwał mu słuchawki. Podkręcił głośność, nie zwracając uwagi na stękania chłopaka.

– Petersburg, tu Terminal III... – Z jego gardła dobył się jękliwy skowyt półgłuchego.

Mógł tylko mieć nadzieję, że adresat odbierze wiadomość, a on usłyszy odpowiedź. W głowie mu się mieszało, nie pamiętał kodów, jakie ustalili, i właściwie miał to gdzieś. Chciał opanować sytuację, która zaczynała się robić nieznośna. Wszystko było inaczej, niż założono. Od początku poszło jakoś nie tak, jak trzeba.

– Trzeba ich skończyć... – rzucał w eter, dławiąc się płynącą do ust krwią. – Skończyć albo dostaną wsparcie... To trwa za długo... Ukropy pękają... – Zaczął kaszleć.

Zdjął z rannego cały zestaw i bez pardonu nałożył na siebie. Musiał mieć kontakt.

Zapatrzył się w krzewy, nie mając zupełnie ochoty wchodzić w nie po raz kolejny. Ale musiał. Wstał i uniósł lufę.

– Panowie! Kończymy ich – wydał ogólne, niby to zachęcające polecenie i potruchtał ku drzewom.

Doktor tylko się wściekł. Na krótko, co prawda, bo nie miał czasu prawić o strategii i karcić za pouczenie przez młodszych stopniem. Walczył. Szedł od zasłony do zasłony wraz z tą trójką, która go pilnowała w jego, pożał się Boże, daczy przed bitwą. Ufał im. *Praporszczyki*, chorążowie. Weterani z Syrii. Poznał się na nich.

Celny strzał z granatnika wybił wreszcie dziurę w linii oporu. Szybki gest ręki

i Wasilij ruszył, nie czekając na resztę.

– Wchodzimy, osłaniać – powiedział do mikrofonu przy policzku.

Obszedł wschodnią flankę, jak najdalej się dało, wychodząc niemalże na drugą stronę budynku. Bał się min, potykaczy, snajperów, ale niczego takiego nie było.

Oficerem owładnęła niejaka ulga. Wizja, że znalazł lukę, a obrońcy nie mają już więcej sił, dodała mu werwy.

Jazgot walki rozchodził się gęsto, ale gdy spróbował wychwycić pojedyncze dźwięki, to stało się jasne, że więcej hałasu robią jego ludzie. Ten nagły bluzg ognia wypalił zasoby Polaków. Osłabli i nadszedł moment krytyczny.

Napędzony tą myślą Doktor przyśpieszył. Nie chciał wikłać się w pojedynki albo zwalczanie zasadzek. Baczył na każdy załom i krzak, ale parł dalej. Za nim reszta.

Przeciw sobie nie miał jednak byle poborowych, a i dobry los nie sprzyja wiecznie. Gdzieś spod zwałowiska betonowych płyt zarosłych samosiejkami wystrzeliła broń. Kilka pocisków. Mało celnych, posłanych na postrach, dla zasady. Tuż obok tego miejsca, gdzie RPG-22 zgasił opór któregoś Polaka.

Wasilij odruchowo, jak robot, wymierzył i w tej samej sekundzie wywalił długą serię. Zapadła tam cisza.

Ale ta trójka przyciągnęła wreszcie uwagę. Od dachu zaczęło świszczec od kul. Rosjanie stali się celem wszystkich, którzy byli u góry. Reszta zespołu Doktora wiedziała, co robić. Kompani dopomogli, osłaniali skutecznie. Szmer, potem głośny świst i pod dachem zapłonęły dwie plamy ognia, krzesanego – kończącymi się zresztą – pociskami wyrzutni.

Zostawały jeszcze granaty ręczne. Tych ludzie Szyłowa dowieźli kilka skrzyń. U kamizelki Doktora wisiały trzy. Sprawnie zdjął jeden z ładunków i palcem dłoni ciągle trzymającej broń wyszarpał zawleczkę. Przypadł do ziemi, szukając osłony, i dopiero puścił „łyżkę”. Czekał niebezpiecznie długo, tak by wybuch nastąpił jak najpóźniej i jak najbliżej celu. Silny zamach i granat pofrunął łukiem. Pozostała dwójka, choć nękana coraz rzadszym ostrzałem z dachu, zrobiła tak samo.

Eksplozje strąciły liście z krzewów i uniosły obłok odłamków z głuchym, krótkim jękiem. Doktor poczuł podmuch gorąca, choć nie wiedział, czy to granat, czy podsycony przez niego pożar trawy. Siłacz poderwał się, nie chcąc mitrzyć czasu.

Wyrwał biegiem, pochylony, zobojętniały na spadający z góry ołów. Lufa jego karabinka skierowała się w dymiący jeszcze dołek po rozerwanym granacie. Doktor

ciągnął za spust raz za razem, szybko, celując odpowiednio.

Zaraz stracił zainteresowanie tym już milczącym celem. Z osłony dymów przebijał teraz oczodół drzwi balkonowych pustego od lat mieszkania.

Wasilij przeskoczył jakieś śmieci, uważając, by nie paść tuż pod lufami obrońców. Szybko popatrzył przez ramię. W szarej mgłę majaczyły sylwetki jego ludzi. Z prawej, wciąż ukryty pośród wysypiska gruzów oraz pochłaniających je traw i drzew, ktoś walczył. Od wschodu błyskały ogniki strzałów reszty jego zespołu. Ale to on i ta dwójka za nim byli u celu. Prawie.

Dopał ściany. Zarzucił karabinek na pas i przesunął na plecy. Schwycił ogryzek barierek i wciągnął się na krótki balkonik. Kiedy gramolił się do wnętrza, doszedł go cichy jęk i przekleństwo. Odwrócił się. Jeden z jego chłopaków złapał się za ramię i osunął. Ludzie na dachu mieli swoje pewne trafienie. Nie było czasu się nad tym rozwodzić. Wasilij wiedział, że teraz to kwestia minut.

– Dasz radę? – spytał rannego, ale odpowiedź mało go interesowała. – Osłaniasz – wskazał palcem dach, choć wiedział, że pozostawienie operatora w takim miejscu, pomiędzy wrogami, to wyrok śmierci.

Podpułkownik Szyłow nie odstępował auta. Odchodził najwyżej dwa kroki i wracał, nie chcąc przegapić niczego z widoku na ekranie komputera.

Jego ludzie rozwinęli się w obronę okrężną tej niewielkiej karawany ukrytej w gęstwinie na pozycji wyjściowej.

– Psia mać, psia mać... – mówił prawie niesłyszalnie, co rusz wciągając dym papierosowy, wsłuchany w rozmowy swoich ludzi, którzy daleko stąd usiłowali dokończyć jego misję. – Jeszcze jacyś miejscowi łaskawie dali głos? – Trącił w ramię człowieka przy głównym komputerze, którego ochrzczono Dziadkiem Mrozem.

– Nic. Prócz tych... – Palec operatora stuknął w ekran.

– Wystraszyli się, skurwiele. – Szyłow był pewien. Cisnął niedopałek i splunął. – Nie zajebaliśmy ich od razu i przez to zyskali oddech. Wywinęli się...

Stał nieruchomo, pograżając się w nawarstwiających się wizjach. Coraz gorszych. Doskonale rozumiał, że najważniejsza była przewaga wynikająca z zaskoczenia, a potem z chaosu.

– Są w środku... – Dziadek Mróz odwrócił gwałtownie głowę, wyraźnie szczęśliwy wskazując ekran.

Jakiś prąd przeszedł Szyłowa, aż wypuścił papierosa z ust. Przez obłok co rusz

zakrywający widoki z bezpilotowca przebijała się scena, jak dwóch ludzi wdziera się na parter ostrzeliwanego budynku.

– Daj ogólne – kazał szorstko *kamandir*.

Obraz został poszerzony.

Pole bitwy wyglądało podobnie. Błyski strzałów z dwóch stron. Wszechobecny dym i cienie postaci na szarym tle termowizji, to bliżej głównego celu, to od niego dalej.

– Dobrze... – Ulga w głosie Saszy była wyraźnie wyczuwalna. – Już po nich. – Klasnął w dłonie.

– Niech się śpieszą... – Drugi z komputerowców wciśnięty na kanapę terenówki zmącił chwilę triumfu. – Mówili o posiłkach...

Widok z drona, którego pilotował, przedstawiał jeszcze jedną ważną scenę. Przeskakujący, nienadążający obraz z dużej wysokości pokazywał śmigłowiec mknący na północ.

– Nadawaj... – Szycłow nie tracił czasu. Rozkazywał autorytatywnie, wiedząc, że nagina zasady i bardzo ryzykuje. – Niech podchodzą od wschodu. Kurwa, niech ruszą dupy i włączą do budynku! Ich nie może być wielu...

Przerwał, uświadamiając sobie, że obiecał Wasilijowi wsparcie. Nie, nie mógł i nie chciał dotrzymać słowa. Było za mało czasu, a jemu potrzeba było ludzi na ostatni ruch: odwrót.

– Telefon... – warknął przez zęby zaciskające się na papierosie. Szkliste, przekrwione oczy zdawały się gromić komputerowca, kiedy ten się zawahał.

– Co chcecie...? – Przełknął ślinę. – Niebezpiecznie... – Usiłował pilnować odcinka, na którym znał się najlepiej.

Szycłow nie zamierzał słuchać ani tym bardziej wchodzić w dyskusję. Wcisnął się do auta i zabrał jeden z aparatów, jakie leżały na siedzeniu. Informatycy popatrzyli po sobie bladzi i wystraszeni.

– Załatwajcie ewakuację. Pośpieszcie się... – podpułkownik wydukał polecenie i spojrzał na zegarek w telefonie, kiedy szukał numeru. – Dwie godziny się z tym wszystkim bawimy... – Nie dowierzał w to, co mówił. Uniósł wzrok, sprawdzając, gdzie jest słońce. Dochodziła piętnasta. – Potrzeba nam więcej ludzi... Muszą osłonić odskok Doktora – składał naprędce zmyślane wyjaśnienie, chociaż na myśli miał głównie ucieczkę swoją i reszty oddziału. Grał na czas po to, by się zastanowić, co

właściwie zrobi dalej.

Wcisnął zieloną słuchawkę. Dla Szycłowa było oczywiste, że bez względu na to, jak spisie się Wasilij, centrum nie lubi takich jak oni. Tych, którzy doszli za daleko, a po drodze naoglądali i nasłuchali się za wiele.

– Cześć – sapnął do mikrofonu, kiedy usłyszał trzask odbieranego połączenia.

Odszedł prędko kilka kroków, żeby nikt go nie podsłuchiwał. To znaczy ci wkoło, bo przecież kto inny słuchał na pewno.

– Semet mówi – przedstawił się ukraińskim imieniem, które kiedyś ktoś mu przydzielił. – Daję zarobić... I to podwójnie – mówił szybko.

Adam spostrzegł, że lotnicy jakoś bardziej się kulą na swojej barykadzie. Tężeją w bezruchu jak spłoszona zwierzyna i czegoś wyczekują. Thomał wiedział, że dzieje się coś niedobrego.

– Są... są w środku – stłumiony szept ledwo przecisnął mu się przez gardło, kiedy przemówił do prezydenta.

Ten tylko kiwnął głową, zerwał się i przykucnął na jednym kolanie. Szykował się na coś, choć nie był pewny na co – walkę czy zupełny koniec, którego nie chciał doczekać wciśnięty w kąt.

Ukraiński pilot obrócił się do Adama i syknął. Potem pokazał palcem na sufit i jak na potwierdzenie jego obserwacji ponad ich głowami, gdzieś za warstwą betonu huknął strzał. Echo w tej kubaturze było ostrzejsze, straszne. Obezwładniało.

– Nasi z góry ich blokują – Adam komentował to, co sobie wyobrażał. Choć nikt nie był ciekawy.

Kilka, może kilkanaście sekund nasłuchiwania tej kakofonii, tubalnej niczym wystrzały armat, wydawało się niesłychanie długim czasem.

Tę upiorną pauzę przerwał nadciągający szum. Trzask łamanych sprzętów i mocne, prędkie kroki. Lotnicy wcisnęli się niżej pod osłonę. Trzymali się, o dziwo, nie dawali się panice. Byli dzielni.

Adam zdążył się uchylić, kiedy szum dotarł do wejścia do podziemi. Ktoś wchodził w cuchnący mrok.

Kroki były teraz ledwo słyszalne, ostrożne. Adam oparł głowę o futrynę i wstrzymał oddech na nie wiadomo jak długo. Zdawało się, że tamten na schodach potrafi widzieć w ciemności.

Załatw go, załatw – powtarzał w duchu Adam, zaciskając powieki.

Ukrainiec nie ryzykował. Nie wiedział, ilu ma przed sobą, albo ciągle liczył na element zaskoczenia.

Thomalowi zdało się, że na chwilę przestał słyszeć odgłosy walki. Odciął się od nich albo już umierał. Znow się wystraszył.

Od schodów zaszumiało i coś stalowego odbiło się od betonu.

– Granat! – wyrwało się Adamowi.

Skoczył na prezydenta, który rozumiał, co się wydarzy, i sam padł na ziemię.

Eksplozja była potworna. Rozeszła się tnącym zmysły i każdy mięsień, dudniącym pogłosem wypełniającym wąskie klatki.

Nie wystarczyło to napastnikom. Zaraz drugi łomot ogłuszył do cna wszystkich. Adam zatykał uszy, wciąż osłaniając prezydenta. Przez szum w głowie przeciskały się teraz, niczym uderzenia wielkich młotów, bliskie wystrzały.

– Boże – sapnął Adam i kiedy spostrzegł, że prezydent żyje, choć policjant prawie go zadusił, ruszył na czworakach ku wyjściu.

Cuchnęło dymem i piekło w oczy.

Thomal wyciągnął się bokiem na ziemi z Glockiem w obu dłoniach. Był jak we mgle, otoczony nieopisanym hałasem. Błyski nieco rozświetliły przestrzeń. Potem rozległ się krzyk, jakby daleki, z innego wymiaru, a naprawdę tak bliski.

Niewyraźny cień strzelał, by zaraz osunąć się na bok. Kolejna postać obok próbowała podeprzeć pierwszego, ratować go, ale ją to przerosło. W ciasnej krypcie betonowego podziemia gwałtownie rozlewała się hałaśliwa przemoc.

Adam nie mógł się ruszyć. Właściwie niczego już nie mógł. I nie chciał. Resztką instynktu nakazywała jeszcze udawać, ale było po wszystkim. Jego świat wreszcie się kończył. Policjant był spokojny, pogodzony. Nie obchodziło go nic.

Błysk przed nim i ukłucie w uszach. Jakieś krzyki i wyzwiska zbiły się w jeden niezrozumiały bełkot. Znow pojaśniało od wystrzałów. Świsł kuli, potem drugiej. Tynk sypał się obficie. Ktoś przed Adamem zwarł się w wojowniczym uścisku albo obrońca umierał obok napastnika.

Thomal czekał na tego, który dopadnie jego. I tylko ten przeklęty przymus człowieka pierwotnego, niepozwalający poprowadzić się jak zwierzę na rzeź, zapewniał mu jeszcze jakąkolwiek wytrzymałość.

Piekące oczy doczekały się cienia przeciskającego się niezgrabnie przez korytarz. Wydawał się wielki. Coś mówił, może i krzyczał. Chyba nie widział Adama w tym

zaduchu.

Thomal nie miał nic do stracenia. Podniósł ramiona i wycelował, jak go nauczono. Nie usłyszał strzału ani własnego wrzasku. Płomień rozświetlił tylko zaskoczonego wroga.

– Wszyscy odwrót do budynku! – Kiedy porucznik Kerc krzychał do radia ten rozkaz, był przekonany, że spóźnił się z jego wydaniem. – Cofać się do budynku... Wróg w środku – ciskał jakieś niezgrabne ponaglenia i tłumaczenia.

Przekręcił się na plecy, kryjąc się od ostrzału za murkiem. Poczł, jak słońce niemiłosiernie pali spoconą twarz. Opuścił przymrużone oczy, strachliwie lustrując ładownicę.

Odsuwał ten moment prawdy. Miał teraz jeden pełny magazynek i pół tego, który był podpięty do karabinka. Pistolet i ze trzy magazynki do niego. Jego zdolność bojowa spadała dramatycznie i dobrze o tym wiedział. Na walkę w wąskich korytarzach albo nawet i bijatykę nie miał najmniejszej ochoty, ale musiał się pogodzić z tym, że zaraz nadejdzie.

Pociągnął ostatni łyk wody. Nawet ona się kończyła.

W słuchawkach niewyraźnie, szybko meldowali się kolejno jego ludzie, którzy przyjęli rozkaz. Na pewno mogli się ruszyć, czyli byli przytomni.

– Osłaniamy!!! – zawył po dachu Kerc.

Robert uniósł kciuk w rękawiczce i podniósł się na kolana, strzelając na wschodnią stronę. Kerc bił od północy. Szybko, pojedynczym ogniem, jak najdokładniej potrafił.

Kątem oka mógł dostrzec, jak jego ludzie cofają się biegiem, zygzakując nisko przy ziemi. Przystają pod osłoną i osłaniają kumpli. Potem znów skok. Inni pełzali ścigani ogniem tamtych, którym świtało, że coś się zmienia. Że Polacy odступują.

– Obstawić piętra z każdej strony. Uważać na amunicję... – Ta ostatnia część brzmiała naiwnie.

– Kończy się... Kurwa, kończy się! – Okrzyk Dawidka przypominał płaczliwy skowyt.

*

Kamil „Monsignore” nie potrafił już czekać spokojnie, tak jak nie był w stanie spokojnie sypiać. Kręcił się, wstawał z krzesła, przechadzał się po ciasnym pokoju podziemnego bunkra. Przystawał, zakładając rękę na pierś, i stukał nogą.

Najchętniej wyrwałby się stąd dawno. Porzucił te szare, nudne betonowe struktury i chyba nawet rzucił się biegiem, a potem wpław, żeby iść na pomoc swoim.

Siedzący naprzeciw ich amerykańskiego kolegi kapitan Bratnowski, choć też niespokojny, z podrygującym kolanem, unosił wzrok, usiłując niemo przywołać kompana do porządku.

Tylko Mike Perish wydawał się krynicą opanowania. Rozsiadł się za szerokim modernistycznym biurkiem i czytał. Zapoznawał się z tym, co przynieśli mu Polacy. Robił to po raz trzeci, jako że nie dowierzał i po prawdzie był też w szoku. Jak i kiedy ta dwójka tu, w Szwecji, dowiedziała się, co właśnie się wyrabia w samym środku Ukrainy?

– Cholernie dobra wywiadowcza robota – Amerykanin odłożył kartki, i palnął banalną pochwałę.

Patrzył mętnie spod wpół przymkniętych powiek w jakieś wyobrażenie wszystkich tych faktów, o których się dowiadywał. Ocknął się zaraz i spojrzał na zegarek.

– Kurwa! – Tego polskiego słowa nauczył się najlepiej. – Muszę zawiadomić Pentagon... – Chciał wstać, napędzany obowiązkiem.

Kamil popatrzył na swojego dowódcę. Obydwaj wiedzieli, że wiadomości i ich nagłość zaskoczyły Amerykanina. Chyba nie bardzo wiedział, jak zareagować i jaka w takim przypadku jest procedura. Uzyskanie wiadomości to sukces, jednakże ich weryfikacja i droga dotarcia zajmują czas. Potrzeba łączności specjalnej, którą amerykańscy goście oczywiście dysponowali. Natomiast pochodzenie informacji każdemu, nawet mniej doświadczonemu oficerowi mogło sugerować grę. Być może i podwójną. Ze strony tych, którzy informacje przekazali, zwłaszcza w tak banalny, niecodzienny sposób. Co do pośredników, mogła to być ich prowokacja o niepojętym celu. Wszystko w teorii i wpojonej w tym fachu ciągłej podejrzliwości.

– Nie mamy czasu. – Bratnowski wziął na siebie najtrudniejszą część rozmowy.

– Słucham? – Amerykański oficer DIA zmarszczył brwi, jeszcze bardziej zaskoczony. Ta stanowczość polskiego kapitana jednostki specjalnej przeczyła lichemu podejrzeniu Amerykanina, że coś tu jest zmyślane. Uspokajało go to.

– Teraz liczy się każda sekunda... – polski kapitan zaczął sklecone naprędce wytłumaczenie i miał nadzieję, że będzie składne. – Jeżeli ruskie mają tam takich speców jak ten... – wskazał na plik papierów na blacie – Szyclów albo Betechadow, to tam nie ma przebaczenia. Kreml to prowadzi i patrzy uważnie...

– Wojnę, to oznacza wojnę – dokończył Perish, powtarzając dwa razy, bardzo opanowany.

Ta nagła zmiana w jego zachowaniu skonfundowała Polaków, ale nie mieli czasu ani ochoty bawić się w psychoanalizę. Bali się pomyśleć, że on, jego zwierzchnicy wiedzieli coś więcej.

– Tylko ten przeciek... – Kamil podszedł do biurka i oparł się na pięściach o blat – ...bezczelny donos na drugą stronę pokazuje, że coś nie idzie im, jak należy. – Patrzył przez chwilę w oczy Amerykanina niby w telepatycznym seansie błagania o zrozumienie. – Czytałeś, co ten grubas, ten Leonid, zeznawał. – Machnął kciukiem za siebie. – Oni tam się gryzą i mamy tego koronny dowód. Coś poszło nie tak. Zaszło tak daleko, że islamscy podali nam dwóch na tacy. W tym jednego od siebie... No, prawie swojego – rozpędzony wyliczał fakty, które znali i potrafili skojarzyć, ale chciał, by wybrzmiały wyraźnie. – To gówno, które rozlewa się po Kaukazie, te loty nad Moskwą... Cały ten atak miał służyć grubej młócce, ale ktoś od nich wcisnął hamulec. Tak uważam! – Klasnął w ręce. – Wiesz więcej, na pewno wiesz więcej, podczas gdy my tu gnijemy jak te ziemniaki w piwnicy. Mniejsza... – Monsignore opamiętał się i wrócił do meritum. – Trzeba coś zrobić... – pochylił się bliżej Amerykanina, z obrzydzeniem pomieszanym ze strachem wymalowanym na twarzy – ...jeżeli nie jest za późno. Mamy opis sił i szczątkowe założenia planu. Czego więcej chcemy? Musimy coś, do cholery, zrobić!

– Jak? – odpowiedział Perish z nieskrywaną drwiną. – Stąd? W jakim celu? – Starął się być zasadniczy i obiektywny. – I dlaczego? Bo dostałeś wiadomość na Facebooku?

– Nie, bo ktoś, do jasnej cholery, wystawił nam dużą operację na Ukrainie przeciwko mojemu prezydentowi, pewnie jakiemuś waszemu ważniakowi, a na dodatek sprzedał dwóch oficerów. Przyparło kogoś solidnie, wystraszył się i zaryzykował!

– Dobra, starczy. – Amerykanin machnął dłonią. Powoli miał dość. – Tak, z tego, co wiem, doszło do incydentu... – usiłował utracić temat – ...jest tam wasz zespół sił specjalnych i amerykańska Delta. Radzą sobie... – To ostatnie brzmiało gorzej niż nieszczere. – Z Kijowa leci wsparcie... – dorzucił, by zmazać złe wrażenie sprzed momentu.

– Czyli naprawdę wiesz więcej. – Bratnowski wyłapał to momentalnie i był bardzo

z siebie zadowolony.

– Pomoc z Kijowa – okej, ale tu trzeba... – Monsignore chciał więcej, choć nie wiedział czego dokładnie. – Wiem, że takie informacje to ryzyko, ale ty nie znasz tamtych. To te na wpół azjatyckie zależności. Rodzinne powiązania. Kaukaz... Nieistotne teraz. Dali nam coś i trzeba to wykorzystać. Czas jest ciężki... Bystry z ciebie chłopak i wiesz, co będzie, jeżeli stracimy na Wschodzie drugiego prezydenta?

Wyprostował się i odczekał sekundę, czy Amerykanin się obruszy na te zbyt daleko idące uszczypliwości. Perish jednak miał do siebie dystans albo myślał nad czymś o wiele poważniejszym, bo nie zareagował. Kamil szedł więc za ciosem.

– Tego tym razem nie da się ukryć i twoi szefowie będą musieli coś poopowiadać przed kamerą. Twitter nie wystarczy. Obydwaj wiemy, że to cuchnie mordobiciem, na które nikt nie jest gotowy, najwyraźniej islamscy też nie są i dlatego... – podniósł raptownie głos – ...im wierzę, i mam gdzieś, czy to zgodne ze sztuką.

– Wiesz coś o tym, jak Amerykanie będą pomagać? – wtrącił się Bratnowski jako „dobry policjant” w tym duecie.

– Tu jest Szwecja, nie Waszyngton. – Amerykanin wydawał się skonfundowany i wystraszony. – I tak za wiele wam mówię, ale więcej nie wiem. Wasi pewnie mają jeszcze mniej, bo to wszystko za szybko się dzieje i... – Przysunął się bliżej Polaków i pochylając głowę, ściszył głos. – Szczerze? Muszę przyznać, że jesteście naprawdę dobrzy. – Wyciągnął palec, wskazując kolejno ich obu. – Wiedziałem, o kogo wnioskować na tę misję. Mieliście nosa, że coś będzie i...

– I co z tego? – warknął Monsignore i znów zaczął wędrować po pokoju. – Pieprzymy o głupotach, a tam... Jeżeli jesteśmy tacy dobrzy, to powiedz, jak można pomóc. Jeśli jest tam ktoś od was, to, jak mówisz, jest i Delta. W zależności od rangi wiadomo ilu i jakie rozpoznanie. Nie, to na pewno robione na pięć, ale walczymy z cholernymi zabijakami z wysokiej półki, nie bandą kieszonkowców. Wiesz dobrze, że potrafią się przygotować, jebani szachiści. Przewidzieli kilka naszych zagrywek. Więc pytam, co macie do pomocy. – Czerwieniał jak burak, bliski chyba implozji, mając jednak gdzieś swoją impertynencję.

– W zamyśle tych kilka F-35, które są w Polsce, miało stanowić...

– Stanowić! – Tego nawet Bratnowski nie wytrzymał. – Kto o tym zadecyduje...? Nie, stary, to za długo potrwa. Można im kazać lecieć, ale podniesie się szum, a i

łańcuch decyzyjny jest za długi.

– Ruskim trzeba przywalić w nos. Ostro i wprost, bez krycia się po kątach. – Kamila wzięło na tworzenie nie najlepszych przerośni. – Muszą wiedzieć, że my wiemy, i niech spadają... Ostudzi ich to na jakiś czas, zwłaszcza przy tym burdelu na ich podwórku.

– Dobra. – Perish potarł skronie. Miał dość tej nachalnej gadaniny. – Masz pomysł? – zapytał ostro.

– Zaatakujcie ich... – zanim Perish się roześmiał albo zrobił jakąś uwagę o tym, że to niemożliwe, Monsignore zdołał dokończyć: – ...pociskami.

Bratkowski skinął głową. Konsultowali ten pomysł.

– Jakimi, do cholery, pociskami? – Perish nie nadążał.

– Twoi zapewne mają już określone miejsca nadawania komunikacji radiowej. Jeżeli mamy szczęście, Rosjanie złamali dyscyplinę – Kamil pośpieszył z tłumaczeniem zamysłu. – Są zapewne kodowane, ale już wiecie, skąd mniej więcej wychodzą. Musisz się dowiedzieć, co się dokładnie dzieje. Jeżeli to atak specnazu, to centrum dowódcze z poziomu taktycznego musi być nie tak daleko. A wiemy, że to atak specnazu albo SSO. – Mrugnął obojgiem oczu naraz i zacisnął usta w pysznym uśmiechu. – Chwila analizy i można wykryć, wyśledzić „głowę”, cokolwiek, byle tylko w nich uderzyć...

– Jakie... kurwa... pociski...? – Perish naprawdę zbliżał się do kresu wytrzymałości i coraz bardziej wiercił się w fotelu.

– Na Morzu Czarnym jest zespół natowski. Macie tam niszczyciel?

Odpowiedź była zbędna. Perish naraz się rozpromienił.

– Ty naprawdę jesteś szurnięty – wymsknęła mu się chyba ogólna opinia, ale też w pewnym sensie niegrzeczny substytut pochwały. – I co, kto to załatwi?

– Ty. – Kamil był zasadniczy i uparty. Znów podszedł bliżej i podparł się wyprostowanymi ramionami o biurko. – Szycha z wywiadu wojskowego sporo jeszcze może, nie? Wykryłeś ważną rzecz... – Podchodził Amerykanina, usiłując mu kadzić. – Niewielki zespół na miejscu zapewne ma dużo roboty. Możesz to rzucić ludziom z Frankfurtu czy Bawarii, ale wgryzienie się w temat nieco im zajmie...

– A tobie niby nie? – Mike miał rację.

– Tak, ale ja siedzę przy tym i już wiem, kto może tam działać. Jestem w temacie... Powiedzmy, hobbystycznie. – Monsignore nie kłamał. Włączył swoje

programy i przyjrzał się okolicom Kropywnika. – Poza tym – znowu mrugnął obydwójgiem oczu – że jestem popierdolony. Tak, jestem. – Pycha aż biła z jego oblicza. – Twoja rola to wyprosić u szefów zgodę, i to szybko. Dobranie celu i jego określenie zostaw nam. – Kamil wskazał na kapitana.

– Chcesz z terytorium kraju neutralnego dokonywać ataku na rosyjskie cele na Ukrainie – Perish wysyczał całe zdanie, stukając się palcem w głowę.

– A czemu by nie? Doskonale wiesz, że odległość to rzecz wtórna... Zresztą, to tylko kwestia pozwolenia. Ostatnio, jak tak robiliśmy, twoi wodzowie wiedzieli... Choć miejsce było inne, ale odległości... ho, ho. – Kamil machnął dłonią, jakby przeganiał muchę.

– Dobra. – Mike'owi zrobił się cieplej. Docierało do niego, że mówią o rzeczach, o których mówić nie wolno w obcym kraju, w nie swoim pokoju, jak dobrze nie byłby chroniony przed podsłuchem. Rozpiął guzik koszuli i podparł dłońmi głowę pod brodą. – W zasadzie... jesteśmy w temacie. Możemy być szybcy... – powtarzał argumenty.

– Mnie tego nie tłumacz, stary. – Kamil się uśmiechnął. – Myśl, i to szybko, jak sprzedać to szefom...

Siłowali się przez kilka sekund na ostre spojrzenia. Monsignore był przekonany, że dał z siebie wszystko. Przekonał jankesa. *No, szybciej* – popędzał go w myślach. Dostał prezent od losu albo dokładniej od kogoś z tamtej strony, kto znał Monsignore i wiedział, że ma przyjaciół w wojowniczych górskich klanach. Świat nie zawsze był czarno-biały, składał się raczej z przenikających się szarości.

Polak bał się myśleć, że jest już za późno. Ale nawet jeżeli tak było, to przynajmniej miał powód i okazję dokonać zemsty. Zdenerwowali go i nie miał zamiaru odpuścić.

*

Strzelanina wrzała wokoło, a jej coraz donośniejsze odgłosy dochodziły teraz nawet z góry, z kondygnacji kołchozowego bloku, które porucznik Kerc kazał obsadzać swoim ludziami.

– Polacy! Wojsko Polskie! – jakiś zachrypły, pokaszający głos obwieszczał wejście do piwnicy. – Swoi, nie strzelać! – dodał zaraz Dawidek nieco prościej. Schodził ostrożnie do dusznego podziemia, przyświecając sobie latarką na lufie. – Żyje ktoś?–

To pytanie było już ciche i strachliwe.

Operator przekroczył stertę śmieci, które miały blokować przejście. W dole cuchnęło prochem i kurzem uniesionym w powietrze niedawną palbą.

– Nie strzelać... Polak! – powtórzył komandos do cna zdartym już głosem.

Naraz przystanął i tknięty jakimś przeczuciem, że może właściwie tu już nie ma swoich, zgasił światło. Wahał się kilka sekund, aż wreszcie wyrzwał za róg w prawo. Nie dopatrywał się niczego. Ruszył więc w drugą stronę, blisko przy ścianie. Potknął się o coś. Był spore i miękkie. Zrozumiał, że to czyjeś ciało. O krok od niego też była jakaś przeszkoda, ciemna bryła o nieregularnych kształtach. Polak wiedział, że ci tutaj, na dole, bronili się, jak potrafili.

Teraz dopiero przez dudnienie wystrzałów przebił się jakiś cichy jęk.

Dawidek próbował nasłuchiwać, skąd dochodził. Szybki wdech i wsunął się za węgiel, celując z broni wciśniętej mocno w ramię. W mroku podziemnego zaułka wypatrywał nierozpoznane przedmioty zalegające na podłodze. W tej samej sekundzie do jęków doszedł jakiś szept.

Dawidek na powrót włączył latarkę.

– Nie śpieszyliście się, kurwa – pełen wyrzutu, wściekły głos Adama Thomala wypełnił pomieszczenie. – Ale, kurwa, wybaczam... – Teraz brzmiał o wiele spokojniej. Ulżyło mu. – I zgaś, facet, ten reflektor... My tu jak szczury już – stękał z jakimś wysiłkiem.

– Jak prezydent?! – wykrzyknął Dawidek, przełaząc przez barykadę.

– Prezydent cały – głos szefa państwa doleciał gdzieś z bocznej wnęki.

– Ja też okej... Miło, że pytasz. – Adam się naburmuszył.

Wstał wolno. Jego do niedawna tylko szara od brudu koszula była czarna i porwana. Podobnie zresztą jak i cała garderoba.

– Dobra... „Pierwszy” cały... – powiedział Dawidek do radia raz i drugi. – Kurwa... nie łapie. – Zreflektował się, że od dowódcy dzieli go kilka piętér betonu.

– Uważaj na lotników... Są obok ciebie. – Prezydent wskazał dłonią kierunek, drugą osłaniając oczy od światła.

Komandos opuścił broń i zaczął świecić pod nogi. Siwy oficer leżał blady z ciemnymi plamami na piersi. Jego dwaj ludzie wcisnęli się pod ściany. Widać było strużki krwi na twarzach i spore plamy na ziemi.

– Jasna cholera... – Operator kucnął, wyszarpując z pokrowca swój własny

opatrunek. – Co ci jest, kolego? Słyszysz mnie? – zaczął delikatnie, ale zdecydowanie bić po twarzy najbliższą ofiarę. Macał ciało, szukając dziur, zranień.

– Głowa... – wystękał lotnik po angielsku, wskazując na włosy.

Polak zaczął mu bandażować pokrwawione miejsce, najszybciej i najdokładniej, jak potrafił.

– Co... co u was? – Prezydent sapał i popijał wodę z pogniecionej butelki. Bał się odpowiedzi. Bał się cały czas, jak cała reszta.

– Dociskają nas, ale... chyba mamy radę. – Dawidek nie patrzył na „pierwszego”, bojąc się, że nawet w tej bladej poświacie latarki wyłowi on nieszczerłość. – Mamy straty... – Niepotrzebnie to mówił. – No, ale wy, panowie... dobra robota – mało umiejętnie zmienił temat na bardziej pozytywny. Nikt jednak nie dał się nabrać. Nie byli dziećmi. – Lecą do nas... Podobno Amerykanie zaryzykowali. Wsparcie będzie lada chwila... – mówił prędko, ciągle starając się utrzymać morale rodaków na wysokim poziomie.

– Bogu dzięki. – Prezydenckie dziękczynienie też wypadło mało wiarygodnie. Nie dowierzał jeszcze, że najgorsze mija. Nie miał zamiaru odpuścić i rozleniwzić umysłu. Musiał być skupiony.

– Ten kto...? – Uwaga operatora skupiła się naraz na jakimś wielkim cielsku.

Facet leżał obok drzwi, w których krył się Adam. Sapał coś do podłogi, co Dawidek dopiero wyłapał.

– Jakiś skurwysyn – wyjaśnił najprościej policjant. – Przylazł z wizytą.

Na dowód, że to jego zdobycz, gliniarz podniósł czarny, obwieszony dodatkami karabinek z tłumikiem. Trofeum.

– Adam się spisał, chociaż było... Spisał się – prezydent usiłował go chwalić. Niedawna strzelanina wywarła na obu dotkliwe piętno. – Był jeszcze drugi, ale piloci... – śpieszył z wyjaśnieniami.

– Dobra. – Dawidek wstał, uznając, że więcej już nic nie może zrobić przy rannym. Przyświecił na wszystkich dokoła, orientując się w sytuacji. – Medyk... nasz medyk chyba cały. Pójdę po niego. Ale, ale szybko wrócę – uspokoił, kiedy kompani zaczęły jakieś nerwowe ruchy. – Radio traci zasięg, no i zniesiemy tu naszych rannych. Miałem sprawdzić... Sorry, wiele się działo, ale nie zapomnieliśmy o was. Po prostu... jest ich więcej – tłumaczył się niejako spłoszony, widząc, że tu, w dole, też rozegrała się prawdziwa walka.

– Co z tym gnojem? – Adam wskazał na stękającego kolosa w rogu.

– Pilnuj. – Dawidek wzruszył ramionami. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. – Raczej nie ucieknie, ale...

Nie dokończył, gnany potrzebą opowiedzenia o tym, co widział. Pobiegł, omijając przeszkody, i zniknął.

*

Pogoda była idealna, słońce grzało. Na wąskich i szkaradnych ulicach przedmieścia nie było nikogo. Ludzie poukrywali się, przegnani odgłosami najpierw burd, a potem regularnej bitwy, która tu wybuchała.

Faktycznie, widok, jaki pułkownik Zdanilow miał w szklach swojej lornetki, przywodził wspomnienia dawnych walk na wschodzie kraju. Zwłaszcza te pierwsze dni, kiedy do ataku ruszały grupy dywersyjne wiedzione przez rosyjskich oficerów. Chaos i niepewność walki na własnym terenie z wojskiem, które nie miało mundurów.

Do tego ten dźwięk – dudniące serie ciężkich karabinów rozchodzące się złowrogim, ostrzegawczym basem pomiędzy domami. Warkot silników i wykrzykiwane rozkazy.

Śmierdziało spalinami i spalenizną. Kilka domostw albo niektóre izby paliły się, wyrzucając z wnętrza jezory ognia. Nad miasteczkiem wisiała leniwie chmura czarnego dymu.

Transportery opancerzone, na tym odcinku w liczbie trzech maszyn, jechały wolno przez ulicę przysypaną kamieniami i wyrwaną kostką brukową. Dwa wozy szły równolegle, osłaniając się nawzajem, trzeci zaś jechał w pewnym oddaleniu jako rezerwowy. Drużyny piechoty podążały pod osłoną pancerza w niedużych kolumnach podzielone na sekcje, gotowe otworzyć ogień w „karuzeli”, jeden po drugim, dla osłony podejścia do ewentualnego celu.

Kiedy tylko coś podejrzanego pojawiało się w celowniku strzelca któregoś z wozów, jego armata ożywała, śląc z metalicznym hukiem kilka pocisków. Te rwały się blisko, wybijając dziury w murze i unosząc chmurę odłamków oraz kurzu.

Być może nie było to bezpieczne dla mieszkańców, którzy pozostawali w mieście, nie mogąc się ewakuować. Ale Zdanilow miał to gdzieś. Szturm miał być agresywny, szybki i sprawny.

I taki był. Kompanie oczyszczały miasto z grupek i pojedynczych dywersantów.

Czasem ciała z bronią zalegały na trotuarze w kałuży krwi.

Pułkownik obejrzał sobie kilku jegomości. W przedziale od dwudziestu paru do pięćdziesięciu lat. Wytrenowani, z dobrym sprzętem, choć wyglądali jak zwykłe szaraki. Dresy, jeansy, koszulki z chińskiego bazaru. Prawie żadnych jeńców. Nie spośród nich. Jego ludzie brali w *plen* zadymiarzy, miejscowych złodziei i kilkunastu weteranów, którzy dali się zwabić organizatorom protestów.

Zdaniłow ze zbrojną ochroną drużyny ze sztabu brygady jechał na tyle kolumny w jednym z kilkunastu Humvee, które podążały w drugim rzucie.auta wiozły piechotę i zaopatrzenie. Pułkownik nie mógł dłużej dowodzić ze sztabu, roznoszony nerwami. Wplątał się w niezłą kabałę. Starcie, które musiał toczyć w dwóch różnych punktach, i na dodatek ta lokalna bitewka mogły zakończyć się czymś o wiele groźniejszym.

– Jest potwierdzenie, panie pułkowniku... – zameldował podoficer radiowiec. – Druga kompania ma pół kilometra do celu. Zaraz zamkniemy okrążenie.

– Dobrze... ale za wolno – odparował momentalnie Zdaniłow, nie odrywając lornetki od oczu. – To nie Stalingrad... Ich będzie góra stu. – Nowy dowódca brygady był pewien swego.

– Dowódcy boją się pułapek... Min – radiooperator przypominał obawy młodszych oficerów.

– Boją się – prychnął pułkownik i w końcu spojrzał na chłopaka. – To niech panują nad lękiem – oznajmił głośno.

Stał ciągle wyprostowany jak sowiecki gieroj z propagandówki. Nie była to jednak popisówka i kadra, choć nadal nieobeznana z sytuacją, uczyła się. Uspokajała za przykładem dowódcy. Na to właśnie liczył Oleksandr Zdaniłow.

– Podobno tu u was frontowych dużo. Ale jakoś ostrożni. – Mrugnął okiem dla podkreślenia, że to żart, ale chłopak nie podłapał. – Co z artylerią?

Pułkownik usiadł wreszcie i sięgnął po mapę. Wracał do konkretów, jakim była otoczona w dalszym ciągu grupa Polaków z najważniejszym pasażerem.

– Wychodzą na perymetr... Droga jest czysta – odpowiedział momentalnie radiooperator. – Czekam na potwierdzenie. Natomiast Chevrolet... – oznaczenie kodowe amerykańskiej grupy ratowniczej nie wydawało się wyszukane – ... powinien zaraz siadać. Szukali lądowiska i musieli się upewnić, że nie ma zasadzek.

– Zasadzek... – Pułkownik walnął w ramę okna, mówiąc z obrzydzeniem: – Sami

strachliwi!

Nakręcał się chyba bardziej ze zmęczenia i stresu, aniżeli przez marną opinię o nowych podwładnych.

Wysiadł z wozu i ruszył piechotą, szukając po kieszeniach papierosów.

Transportery tam, na przedzie, znów zaczęły ostrzeliwać jakiś wykryty cel. Zrobiło się głośniejsze. Pojazdy wyrwały tak, że piechota musiała się nieźle napocić, by dotrzymać tempa. Ktoś musiał wiedzieć więcej, bo jedna z drużyn odskoczyła w bok i wpadła w bramę domu, który ostrzelano kilka minut wcześniej. Przeszukiwali tę rudere.

– Co tam? – Zdańłow gestem kazał podać sobie radiotelefon. – Niebieski Dwa! – zawołał. – Czyszczenie pozostawić innym, wy macie przeć naprzód – rozkazał bezceremonialnie. – Naprzód!!! – Prawie cisnął słuchawką w żołnierza.

Brygada toczyła bitwę na własnym terytorium i musiała szybko ją wygrać. Iść dalej, tam, gdzie sprawy mogły się już zanadto komplikować. Pułkownik Zdańłow chciał być pewien, że jeżeli Bóg dał mu szansę, to on jej nie zmarnuje. Musiał uczynić wszystko, by nikt nie zarzucił mu tchórzostwa.

*

Jason Pullman był dwudziestopięcioletnim porucznikiem jednostki specjalnej powszechnie znanej jako Delta Force. Oficer miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nie przypominał stereotypowego filmowego komandosa. Bardziej żyłasty niż napakowany mięśniami, zamyślony, o analitycznym i skupionym umyśle. Przez kolegów ze szkolenia i innych jednostek zwany był czasem Mr. Thinking.

Popadał w ten stan milczącego obmyślenia rozwiązań, kiedy sytuacja robiła się skomplikowana. Ta była bardzo skomplikowana.

Jak zawsze w Chinooku hałas nie pozwalał zebrać myśli, nawet jeżeli głowa osłonięta była słuchawkami. Kolos o dwóch wirnikach pędził wysoko nad ziemią, krążąc długo ponad strefą wybranego lądowania.

– Mamy to czy nie? – Pullman zadał grzeczne, ale nad wyraz stanowcze pytanie do mikrofonu przy ustach. – Panowie, tracimy czas. – Znać było, że jego pozorny spokój właśnie się kończy.

Jego zespół obsiadał wciśniętego w brzuch śmigłowca ukraińskiego UAZ-a z przymocowanym na masce karabinem maszynowym Minimi i kilkoma skrzyniami

amunicji na tylnym siedzeniu. Dodatkowo ten „rydwan ognia” obłożono na przedzie kilkoma workami z piaskiem, a na drzwiach zawieszono – starym irackim zwyczajem – kamizelki kuloodporne.

Porucznik łypał co chwila na ten pojazd. Gdyby nie okoliczności, uznałby to za szczyt zdolności improwizacji swoich ludzi. Tyle tylko, że bał się i nie wierzył, by taki wózek dojechał daleko. Nie daliby rady jednak taszczyć zaopatrzenia na własnych plecach. Nie mogli siadać blisko budynku po pierwsze dlatego, że ten „latający autobus” był za wielki, po drugie – bo tamci mieli przewagę. Jeden pocisk z granatnika i lot skończyłby się na ziemi, a na nadejście zespołu, który podobno leciał tu z Kijowa, trzeba było jeszcze poczekać.

Kawaleria – pomyślał i oparł się o ścianę maszyny. Nie podobało mu się, że są ostatnią szansą otoczonych Polaków i Ukraińców.

Rzucił spojrzenie za okno na dymiące szczątki rozbitego Mi-8 i w dołku coś go ścisnęło. Pullman zaczynał żałować, że zgłosił się na ochotnika.

– Papa Lima Jeden, tu Chevrolet! – wywołał zaplecze rozpoznawcze, które wraz z generałem Feltonem pozostawało w bazie. – Co widać? – spytał, coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Chevrolet, tu Papa Lima Jeden. Wszyscy koledzy wrócili do domu. Goście coraz bliżej, ale tracą ochotę na wizyty. Dostali solidnie – tłumaczył operator amerykańskiego drona. – Masz gości od wschodu. Musisz uważać....

– Pięknie – fuknął porucznik, przerywając połączenie.

– Siadamy! – usłyszał zaraz od pilota. – Trzydzieści sekund!

Łaskawie się zdecydowali – uszczypliwy komentarz o mało nie został wypowiedziany na głos. *Za długo, za długo to wszystko trwa.*

– Rozumiem, trzydzieści sekund! – powiedział Jason i zaraz jego dziesięcioosobowy oddział zaczął się szykować do szybkiego przyziemienia.

Sierżant siedzący za kółkiem ich „powozu” zapuścił silnik.

Pullman wywoływał przez kilka sekund polskiego dowódcę. Kiedy ten wreszcie się zgłosił, w tle słychać był pukanie bliskich wystrzałów. Chinook zaczął szybko, po skosie przyziemiać.

– Tu Chevrolet! Idziemy do was... Przypilnujcie ścieżki, jeżeli możecie... Wysokość drugiego wraku – meldował szybko, pilnując jednocześnie lądowania.

– Przyjąłem... – W głosie Polaka nie było huraoptymizmu. Był wyraźnie

wycieńczony, może i zobojętniały. – Śpieszcie się... – niemal błagał. – Osłona podejścia niemożliwa. Brak... – Kerc zawahał się, chyba szukając jakiejś przenośni do opisanego swojej sytuacji, ale nie starczyło mu już inwencji. – Nie mamy amunicji – walnął wprost. – Czekamy!

Krzyk Polaka w słuchawkach zbiegł się z opadnięciem rampy na tyle śmigłowca. Dwóch ludzi Pullmana wyskoczyło pierwszych. Opadli na ziemię kilkadziesiąt metrów dalej, mierząc z karabinków M4 w każdy podejrzany krzak dla osłony. Porucznik nie zdążył machnąć dłonią, kiedy sierżant dodał gwałtownie gazu i łązik dosłownie wystrzelił z brzucha maszyny. Za autem biegiem desantowała się reszta.

Pullman znów czuł gorąco, na razie tłumione huraganem wiatru wytwarzanym przed dudniące łopaty śmigłowca.

Zajął pozycję, cierpliwie czekając na start maszyny. Silniki zwiększyły moc i kolos poderwał się z niesamowitą dla niego gracją, unosząc wkoło chmurę wyrwanej trawy i kamieni. Poszedł po skosie w niebo i momentalnie zrobił ostry zakręt.

– Dobra, panowie! – Pullman nie tracił czasu. – Snajperzy na pakę, a resztę... czeka mała przebieżka. – Wyznaczył kierunek na dymiący skrawek krajobrazu na północy.

– Papa Lima Jeden, tu Chevrolet. Jesteśmy w Budweiser, wyruszamy na Dr Pepper – zameldował i unosząc karabinek, by było łatwiej się przemieszczać, ruszył biegiem. Za nim ustawieni w rozwinięty szyk ludzie z wlokącym się z tyłu autem.

Dźwięki walki, coraz bliższe stuknięcia wystrzałów, świst gorącego powietrza nie mąciły tak w głowie, jak coraz wyraźniejsza świadomość końca.

Kerc czynił cuda, ciągle jeszcze ostrzeliwując się z dachu. Tak jak nakazał Amerykanin, robił, co mógł, żeby osłonić podejście ich wybawców.

Mucha i Stiopa dopomagali, walcząc niczym snajperzy. Pojedynczym, dobrze celowanym ogniem tylko przepędzali wroga, który wyczuł krew.

Ludzie z SOP byli poranieni, ale przytomni. Major i jeszcze jeden jego człowiek trwali, choć im pozostało już tylko kilka pocisków.

– Znowu idą! – zawył oficer i machnął ramieniem na północ.

Kerc tylko kiwnął głową, ale nie miał ochoty widzieć tego wszystkiego. Podobno przetrwali przesilenie, odparli szturm, załatwili dwóch napastników w podziemiu, ratując prezydenta, a tymczasem tamtych znów przybyło. Rozpoznanie wykryło jeszcze dwa busy uzbrojonych ludzi. *Ktoś im dobrze posmarował* – myślał oficer

z Lublińca. Był pewien, że on i jego ludzie zostali wydani na łup dla najemników pod wodzą jakichś rosyjskich specjalistów. On, porucznik Wojska Polskiego, dostał się w tryby wielkiej polityki. Jeszcze żył, ale te tryby miały go zaraz zmielić.

Przez strzelaninę doleciał dźwięk śmigłowca. Kerc wypatrzył go po dłuższej chwili. Był daleko, niewielki szarawy punkt. Odlatywał.

– Panowie, odsiecz w drodze. – Dowódca wykrzesał z siebie tyle entuzjazmu, ile mu jeszcze pozostało. Czyli niewiele.

Mucha popatrzył na niego z odległego narożnika południowego skraju dachu. Może chciał coś powiedzieć, zrobić jakiś gest, ale nie uczynił nic. Sam wiedział, że te kilka minut, które pozostały Amerykanom, mogą być dla nich samych ostatnimi.

Kerc przycisnął kolbę do ramienia i pochylił się, zauważając, że tkwi tak wysunięty zbyt długo. Chciał w coś trafić, dodać samemu sobie otuchy, ale nie widział żadnego celu. W dole, od strony wejść do klatek, szalała furia prędkich wystrzałów. Kerc znał te dźwięki. Jego chłopaki oganiali się do nieprzyjaciela już tylko bronią krótką.

– Baran? Dawidek? Co u was? – zatroskał się.

– Podchodzą...! – Oficer nie rozpoznał, kto krzyczy.

Łupnęło wybuchem granatu. Znowu więcej strzałów. Mucha podczołgał się na zachodni kraniec i kilkoma strzałami odpędził tamtych.

– Mam jednego – zameldował dumny, choć to niczego nie zmieniało.

Pozostali odstępowali, waląc w górę i szukając schronienia w ruinach.

– Mamy ogień z drugiego domu, weszli... – ktoś w radiu wykrzykiwał porażającą obserwację.

Kerc znowu się podniósł. Najpierw coś rozłupało skrawek murka obok. Polak odruchowo przywarł do ziemi, ale wtedy za nim z ogłuszającym skowytem padł granat. Polak pofrunął w przód, pchnięty eksplozją. Nic nie słyszał. Czuł krew na czole i w ustach.

– Mają mnie – stęknął sztampowo.

– Stiopa! Stiopa! – Robert wzywał na pomoc kolegę.

Ściągnął pokrowiec na opatrunek. Ręce mu drżały. Starał się szybko ocenić stan oficera z Lublińca, ale nie było to łatwe. Jeszcze kilka ładunków rozerwało się w okolicy, syjąc gorącymi odłamkami.

– Przejmuj! – krzyknął Robert, choć nie wiedział po co. – Musisz... idziesz do

piwnicy – komandos mówił wyraźnie i bardzo spokojnie, jak do dziecka.

Kerc szarpnął się, chciał wstać. Był w szoku. Nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Z nogi pod rozerwanym mundurem lała się krew.

– Stiopa, zabierz go... – kazał Mucha kumplowi.

Mocarny uścisk drugiego komandosa Formozy pozbawił Kerca woli oporu. Porucznik chyba tracił świadomość.

Ścigani bzyzącymi wściekle pociskami komandosi targali oficera do włazu.

– Okej, poradzę sobie – wydyszał Stiopa.

Robert ostrożnie zdjął porucznikowi zestaw słuchawkowy i radio. Wcisnął mu w kieszeń swój opatrunek i poczołgał się na krawędź dachu.

Nałożył słuchawki. W eterze rozpoznanie lotnicze ciągle nadawało o kolejnych zagrożeniach. Ten cały Chevrolet rzucał, ile to im jeszcze zostało do celu.

– Przed wami przynajmniej dziesięciu tango – ostrzegł Robert. Po drugiej stronie pojawiło się lekkie zawahanie, bo Pullman nie poznał głosu. – Wszystko okej, jestem Stary Jeden. – Mucha nie miał czasu ani sposobności tłumaczyć zmiany dowodzącego.

– Dziękuję, wiem... – odpowiedział Chevrolet. – Będziemy musieli się przebijać – objaśniał coraz bardziej zadyszany. – Nie ma mowy o flankowaniu...

Rzeczywiście znał sytuację. Opis przekazywany z powietrza był wielkim atutem. Tyle że, jak przekonał się Robert, druga strona też miała ten przywilej. Choć kilka ostatnich chwil temu przeczyło.

– Chevrolet – postanowił prędko podzielić się tą obserwacją – nieprzyjaciel ma problem z rozpoznaniem... Powtarzam: ostatnie ataki chaotyczne, może was nie widzą. – Myślał o ekranie znalezionym przy wysokim człowieku, którego mało nie ustrzelił Thomal. – Przebijajcie się, zrobimy...

Te zwyczajowe zachęty przerwał Robertowi odgłos, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć. Nadciągał od południa. Był dudniący niczym pociąg i przerażał.

Pierwszy pocisk wyrznął w krawędź dachu za Robertem. Dokładnie pomiędzy dwoma funkcjonariuszami SOP. Kawał żelastwa wybił wielką dziurę, wyrzucił tuman kurzu i zaraz spora część poszycia się zapadła. Dopiero potem nastąpiła eksplozja. Konstrukcją zatrzęsło i Mucha był pewien, że za chwilę wszystko się posypie.

Drugi pocisk spadł blisko ściany, od południa. Niemal ją musnął i rozerwał się w dole z makabrycznym stęknięciem. Wypluł w niebo dym i miliony pomieszanych odłamków gruzu i żelaza.

Robert stracił rezon na kilka chwil. Głowa go bolała, obraz przed oczami tańczył. Wymacał na hełmie jakieś wgniecenie. Oberwał czymś.

Ze szczeliny w dachu, która wyglądała teraz jak wielki wyrwany kęs, ział ogień.

– Meldować się, meldować... – Mucha zaczął wołać gorączkowo do mikrofonu, w duszy błagając Boga, by nie pozwolił ginać teraz jego ludziom.

Kolejne dwa ładunki nadfrunęły, zdawało się, kilka chwil po tamtych. Padły jeden obok drugiego, po wschodniej stronie, między budynkami dawnych hal.

– Kto strzela... kto to strzela?! – dopytywał Robert wściekle, choć nie wiedział dokładnie kogo.

W słuchawkach zagotowało się od krzyków i przekleństw ludzi Kerca. Podminowani i porażeni sytuacją, w jakiej tkwili, po czymś takim byli bliscy paniki.

– Jezusie! – Adam Thomal w wyrobionym odruchu ochrony pierwszego obywatela rzucił się na niego, kiedy tynk zaczął sypać się z sufitu.

Kilku rannych zakrywało głowy, osłaniając się od spadających skrawków budowli, która dosłownie rozsypywała się od eksplozji.

W piwnicy oprócz policjanta i prezydenta zalegali ranni Ukraińcy, wespół przytomny jeniec i porucznik Kerc, który zaciskał zęby, kryjąc uszy w ramionach. Było jeszcze dwóch rannych, których w półmroku i dymie Adam nie potrafił rozpoznać. Byli czarni na twarzach od sadzy i oblepieni skrawkami jakiegoś spalonego brudu.

Wszystko wkoło łomotało i budynek wydawał się to kiwać, to podskakiwać. Wtedy do podziemi wdarła się grupa przerażonych komandosów. Zasiadali pod ścianami, osłaniając broń. Krzyczeli, chcąc podzielić się tym, co sądzą o kimkolwiek, kto zesłał ten huragan. Uciekali ze swoich nowych pozycji, kryjąc przed nawałą, która niechybnie, jak sądzą, miała pogrzebać blok.

– Nigdy się... – Adam krztusił się dymem, mówiąc na głos o lęku, jaki nie chciał się od niego odczepić. – Nigdy stąd nie wyleziemy...

Mają artylerię. Mają artylerię! Boże! – kołatało się coraz dobitniej pod obolałą czaszką Roberta. Następne, co przyszło mu na myśl, to to, że wojna rozgorzała na nowo. Że oni nic tu o tym nie wiedzą albo przeciwnie, że byli przyczyną nowego konfliktu, który rozpalał się właśnie z całą mocą. Przebiegło mu jeszcze przez głowę, że teraz okaże się, kto właściwie stoi po czyjej stronie i czy ludzie, których trenował, zdradzili. Skoro rebelianci nie mogli dysponować artylerią, to kto szedł im w sukurs?

Gwałtowne echo poniosło zawodzenie eksplozji. Z tymi dźwiękami przeplatały się

głośne krzyki ludzi w dole, wokół bloku.

Robert zląkł się, że to Polacy.

– *Finito?* – szepnął, pewien, że doczekał kresu.

W słuchawkach przebijał się głos Amerykanina, który też beształ kogoś gdzieś daleko.

– Stary Jeden... – Głos operatora drona był wyjątkowo wyraźny. – To nasza... znaczy się ukraińska artyleria...

Mucha nie usłyszał, bo nadleciała z rykiem kolejna porcja żelaza i grzmoty znowu wypełniły okolicę.

– Rozumiesz? – Tamten po drugiej stronie chyba się bał, że wiadomość już nie ma do kogo dotrzeć.

– Powtórz – wycedził Robert przez zamknięte usta.

– To nasi, ukraińska artyleria. Półdywizjon... podszedł w zasięg i...

– Niech przenoszą ogień! – Robert nie zdzierzył i przerwał, nieciekawym tej historyjki. – Dwa kilometry na północ albo kilometr na wschód. Tam mają bazę, stamtąd leżą, przecież sam widzisz, jak to wygląda – pieklił się, choć nie powinien.

– Przyjąłem, właśnie to im...

Robert nie słuchał dalej.

– Kurwa mać. – Usta wykrzywiły mu się samoistnie w uśmiechu niespodziewanej wesołości.

Zamilkł i przetaił ze dwa razy oczy. Uważał, że to od kontuzji, od trafienia jakimś kamieniem mieszają mu się zmysły.

Przez dym dostrzegł, jak zbliżają się jakieś postaci, a za nimi podskakuje na nierównościach samochód. Tak, teraz Robert ich widział i zaczął wierzyć na nowo.

– Do wszystkich! Przyjaciele od południa! Powtarzam! Przyjaciele od południa! – nie krzyczał, a wył piskliwie, natchniony wlewającą się w umysł i serce nadzieją. – Chevrolet! Sukinsyny... – Przeszedł na angielski, i to nie wiedzieć czemu z teksańskim akcentem. – Zapraszamy! Trochę mamy bałaganu, ale się pomieścimy.

Podskoczył, klaszcząc w dłonie, pewien, że jeżeli w okolicy był jakiś snajper, to ten niechciany prezent od artylerii przegonił go na jakiś czas.

Kiedy tylko grupy Amerykanów zaczęły ostrożnie wchodzić między zrujnowane strzępy kołchozu, w płataninę zarośli i kęp drzewek, strzelanina wybuchła na nowo. Odsiecz wybijała sobie drogę do celu, a i w obrońców wstąpił świeży zapal i choć już

nie było za bardzo czym strzelać, usiłowali dopaść jeszcze paru wrogów.

*

Kamilowi „Monsignore” wróciły siły, jakby ostatnio nie zmaćcił ich żaden kryzys. Energii zdawał się mieć jeszcze więcej niż przed kilkoma godzinami. Za sprawą dawkowanej obficie adrenaliny potrafił rzucić się w wir obowiązków. Ten stan chyba uwielbiał najbardziej, choć nigdy nikomu się do tego nie przyznał.

Klepał teraz zajadle w klawiaturę, opisując w specjalnym programie wszystkie dane, jakie Perish zdołał uzyskać swoimi kanałami od przełożonych.

Facet był zdolny albo miał tak silną pozycję, że centrala nie mogła mu odmówić. Ponadto argumenty polskich oficerów były słuszne. Przez operację tajnego natowskiego zespołu pozyskano informacje dotyczące spraw na Ukrainie. I tak na razie miało pozostać. Bez szczegółów, które nie były w tej chwili istotne.

Pokój komputerowy, który teraz zajęli, stał się niejako amerykańsko-polską przestrzenią. Nie można było wyprosić Szwedów i odciąć ich od wiadomości, byli w końcu gospodarzami, ale ograniczano ich obecność. Minimalizowano możliwość przecieku, który dla Królestwa Szwecji mógł być bardzo niebezpieczny. Miejscowi nie byli zadowoleni, ale oczekiwali rekompensaty w postaci raportu i jakichś okruchów z prac Amerykanów w tym rejonie.

Kamil miał to gdzieś. Ślęczał przy ekranach, wpatrzony w otoczenie starego kołchozu gdzieś na Ukrainie, który stał się polem najprawdziwszej bitwy.

Jego komputer był podłączony pod widok obiektywów satelity NSA – Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – który pomknął na miejsce walki, jak zawsze, kiedy gdzieś w świecie działo się coś ważnego. Przekaz z amerykańskich dronów dozorujących wypad zespołu Deltę był gorszej jakości i o wiele mniej pomocny. Wskazywał taktyczny aspekt incydentu. Tymczasem Kamilowi potrzeba było czegoś innego.

Zarzucił monitory mapami satelitarnymi. Komercyjnymi, ale nie tylko. Te stworzone na użytek wojskowy były, rzecz jasna, o wiele dokładniejsze, choć w przypadku tego konkretnego zakątka Ukrainy nieco nieaktualne. Monsignore potrafił, jak przystało na dobrego analityka, wyczarować coś i z tego.

Skupiał się, jak mógł, bo jego uwagę odciągały wydarzenia rozgrywające się wokół pokracznego szarego klocka pośrodku pustkowia, na który parol zagięty chyba

wszystkie grupy dywersyjne z okolicy.

– Za kwadrans będzie wsparcie. Oczyszczą teren – Bratnowski informował głośno o przekazie, jaki otrzymał *via* Kijów na specjalnym czacie. – Rozpoznali teren i pędzą, ile mogą...

– Jeżeli my to wiemy – włączył się Perish stojący za czteroosobowym zespołem polsko-amerykańskim – to tamci też wiedzą, skoro kaliber sprawy jest tak wielki. Albo... za chwilę się dowiedzą i zaczną ewakuację. Cholera, ale tam się robi tłoczno!

– Nie narzekać proszę. – Monsignore lubił być niezdolny i burzyć przekonania o nieomyślności przełożonych. – Zachwiali się. Artyleria, może za duże straty... – dzielił się wnioskami. – Coś idzie im nie tak. Brakuje sprzętu albo stracili podgląd. Nasi się odgryzają...

Stukał ciągle w klawisze i tylko co chwila klikał w coś myszką.

Perish nie przeszkadzał. Lubiał tego szurniętego fanatyka pracy i go szanował. Tak jak i inni z całej tej natowskiej rodziny, która żyła poza Matrixem, w prawdziwym świecie.

– Trzy miejsca... – W głosie Kamila pojawiło się lekkie zawahanie, ale nie przestał pisać na klawiaturze. – Tak, trzy miejsca – powtórzył już o wiele pewniej.

Przerzucił obraz z jednego z komputerów na ekran pod ścianą naprzeciwko. Było ich tam trzy i każdy służył do wskazywania innych rzeczy.

Mapa satelitarna pokazywała skrawek terytorium Ukrainy na wysokości miasteczka Kropywnik. Monsignore zaznaczył okręgami trzy lokalizacje.

– Benny? – Perish chciał potwierdzenia swojego podwładnego.

– Tak, możliwe. – Chłopak był młody, zaledwie w stopniu sierżanta sztabowego, i nie chciał za bardzo stawiać się Polakowi. Znał go i podglądał kilka jego spraw, poza tym, Polak czy nie, ten świątek był bardzo malutki. – Zespół morski powiadomiony... – sprytnie zmienił temat.

Miał pośredniczyć w komunikacji między DIA, Deltą a US Navy. Na jego świeżą głowę spadło i tak dość sporo, i to w momencie najpoważniejszego kryzysu w jego krótkiej służbie. Wolał zostać przy swoim.

Drugi z amerykańskich analityków, oficer, właśnie spinał połączenie między bazą dronów US Air Force w Mirosławcu a dowództwem armii ukraińskiej oraz wszystkie polityczne linki.

– Wariactwo. – Perish przejechał językiem po wnętrzu policzka, robiąc przy tym

dziwną minę, i podciągnął spodnie. Tempo i waga zadań nawet jak dla niego ocierały się o obłąd.

Monsignore w tym czasie przekazał swojemu dowódcy jedną lokalizację. Jako lepiej zorientowany w temacie zaczął badać dwie pozostałe. Obrazy z satelity nie były dokładne, ale Kamil wiedział, jak się do nich dostać. Wspomagał się ujęciami z drona, którego Amerykanie mieli przekazać Ukraińcom w podarunku podczas fety.

– Ktoś tam myśli. – W stresie Kamil lubił sobie dworować z ludzi. – Szkoda, że taki szajs im dajecie.

Uwaga była na tyle niegrzeczna, że Bratnowski fuknął z groźną miną.

– Okej, okej, wybaczcie. – Monsignore na chwilę oderwał dłonie od klawiszy w przepaszającym geście. – Ja wolałbym cholernego Reapera, nie te podstarzałe maleństwa – dorzucił porcję żalów.

Obiektywnie rzecz biorąc, miał rację. Przekaz satelitarny na taką odległość z tak niewielkiego aparatu latającego nie był dobry.

– Psia mać... – zaklął po polsku i podrapał się po brodzie. Chciało mu się palić. – Przydałby się niski przelot F-16 albo nawet czegoś droższego... Pieprzona bieda. – Obraz z zasobników pod myśliwcami, kiedy brakowało dronów, dawał niezgorszy wgląd w cele.

Kilka serii wybranych ujęć z kamer, tych wiszących wyżej i niżej, pogrupował w kolejności i przepuścił przez program, który wcześniej tak zawzięcie ustawiał.

System przetwarzał te obrazki dobrych kilka minut. Monsignore wiercił się, wstawał, przechadzał się, nie odrywając oczu od widoku bloku na ukraińskim stepie. Wreszcie komputer wskazał rezultaty.

– Okej. – Kamil uśmiechnął się szeroko. – Oto obszar, na którym jak wiemy, nasłuch wykrył wzmożoną aktywność kodowanej łączności. Musieli się dobrze ukryć i zamaskować. – Popatrzył po zebranych, upewniając się, że mówi jasno. – Zagajnik, piętnaście kilometrów na wschód. – Podeszedł szybko do większego ekranu i wskazał palcem. – Ślady pojazdów na ziemi... Wozy terenowe – referował podekscytowany. Łowił sprawnie najmniejsze szczegóły. – Ktoś kogoś podwoził albo odbierał.

Wrócił na miejsce i czytywał opis drugiego grida. Młody las w jarze, jeszcze kilka kilometrów na południowy wschód.

– Tu zaś... – przybrał dumny, uroczysty ton – dużo stali... Auta, a pod nimi... – Zagwizdał, widząc, że na zdjęciu pozbawionym przez program listowia pojawia się

kilka wyróżniających się aut, a obok nich poukrywani ludzie. – Mamy fiutów.

Perish wydał usta i kiwnął głową.

– Podsuńcie tam to latające gówno, jak mówi Kamil – polecił swoim, by przekazali rozkaz na Ukrainę. – Z tej odległości nawet dobrze nie widać śladu ciepłego. Może jacyś turyści. – Zaśmiał się, rozbawiony naiwnością żartu. – Potrzeba lepszego sprzętu... Ruskie mają pewnie coś więcej w zanadrzu albo zaraz zaczną wiać. Trzeba to mieć na oku. Liczba „ptaków” w okolicy raczej nie jest wystarczająca, by to wszystko ogarnąć. Przydałyby się namiar i lokalizacja komórki, na którą dzwoniło z tej okolicy, bo to ładny podarunek, ale na to teraz nie mamy szans – trafił się głośno, niezadowolony jak reszta z obrotu wypadków.

Rosjanie prowadzili operację na pełną skalę. Specjalną misję wojenną, którą przygotowywali zapewne miesiącami, a druga strona nie była na to gotowa.

– Jak baza w Polsce? – rzucił ogólne, twarde pytanie.

Młody sierżant odwrócił się do szefa.

– Są gotowi. Podrywają go i przekażą do Nevady, że jest nasz. Zadowoleni nie będą, ale...

– Dobra. – Perish wreszcie odzyskiwał niejaką równowagę, choć sprawa dopiero się rozkręcała. – Kierunek i zadanie – rzucił. – Panie Monsignore...

Położył dłoń na ramieniu Kamila i mocno ścisnął. W tym geście w tamtej chwili skupiły się wszystkie emocje amerykańskiego oficera.

– Czy to są oni? – zadał proste pytanie.

Kamil oparł się na krzesło, wgapiony we wszystko, co miał przed sobą na ekranach. Przyszło wspomnienie podobnych, podchwytliwych i burzących samozadowolenie pytań, kiedy zaczynał się szkolić daleko w USA. Tam niejeden otrząskany weteran oczekiwał, że jego podwładny będzie absolutnie pewien i nie zawaha się bronić swojego odkrycia.

– Tak. – Był pewien. Nic więcej nie było potrzebne.

– Dobry Boże... – Perish sapnął i zwolnił uścisk. – Marynarze? – zwrócił się do reszty.

– Nasz USS „Cook” i okręty tureckie są w gotowości. – Benny odsunął się od biurka i położył dłonie na głowie. – Niemiecka jednostka melduje o usterce i chce wracać do Konstancy – mówił z niedowierzaniem, prawie jak dowcip. – Holendrzy też mówią coś o nowym zadaniu...

Monsignore wybuchł głośnym, jowialnym śmiechem i zaczął bić brawo.

– Jak, kurde, zawsze. Jak zawsze! – Aż łza pociekła mu po policzku z tego rozbawienia.

– Mamy zgodę? – To pytanie Perisha nie było już tak pewne.

– Waszyngton daje zielone, ale Kijów się wzbrania.

– Żeby ich... Co z nimi jest nie tak...? Tam giną ludzie. – Perish złapał się za głowę. – Pieprzyć to. – Stęzał nagle na twarzy. Zacisnął dłonie w kulaki i zmrużył oczy wycelowane w jeden punkt na elektronicznej mapie. – Będzie na mnie... Raportuj do Waszyngtonu, że sytuacja jest krytyczna. Silne zgrupowanie nieprzyjaciela. Zaatakował oddziały sojusznicze, ale przede wszystkim nasze. Namierzyliśmy na pewno jego punkt dowodzenia. Potrzebujemy solidnego pokazu siły. Marynarka ma dostać namiar i... strzelać – wyrzucił z siebie potok rozkazów i zamilkł.

Spojrzenia jego i Kamila przecięły się na moment. Monsignore nieznacznie kiwnął głową na znak, że Amerykanin mu zaimponował. Perish też potrafił bronić swoich decyzji. Kamilowi jakby ulżyło.

*

– Powitać! – Robert złapał dłoń porucznika Pullmana i szarpnął z taką siłą, że wyciągnął Amerykanina z włazu, jakby nic nie ważył. – W ostatniej, kurwa, chwili! – Złapał jankesa za ramiona i potrząsnął.

– Na to wygląda... – Amerykanin schylił się, kiedy dwa pociski poszły niebezpiecznie nisko, mknąc dalej na północ. – Trzymaj... Chyba potrzebujesz. – Tracił Polaka w bok i podał mu w dłoniach kilka magazynków.

– Rewelacja. – Robert odetchnął, pakując amunicję do pustych ładownic. Podpiął jeden magazynek do swojego G36.

– Ma być odsiecz... – mówił Pullman, rozglądając się po terenie.

Przerywał niekiedy rozmowę, by nakazać coś swoim chłopakom przez radio. Amerykanie rozchodzili się po piętrach, szukając odpowiednich stanowisk.

Zaraz też dwaj rośli faceci w mundurach przypominających marpaty marines wyszli z włazu, taszcząc długie karabiny z celownikami optycznymi.

Robert poznał ich od razu. Gruzini. Ochotnicy. Zazwyczaj po służbie pogodni i bardzo zabawowi, teraz skupieni, z tymi śniadymi twarzami zastygłymi jak

kamienie. Jedynie machnęli na powitanie.

– Północ i wschód. – Robert tylko wskazał kierunki. Nie musiał dodawać niczego więcej. Ta dwójka walczyła już ładnych parę lat.

Snajperzy zaczęli się czołgać, umiejętnie przyciskając oręż do ciała, co kryło go przed ewentualnym okiem dronów. Jak najdłużej chcieli wyglądać na zwykłych żołnierzy.

Zajmowali pozycje przy wybitych dziurach w niewielkim murku osłaniającym krawędź dachu. Zaraz zaczęli łowić swoje ofiary.

– Zauważyłeś? – Pullman uniósł głowę.

– Rzeczywiście... – Mucha potwierdził, choć nie dowierzał. – Cichnie... – powiedział ledwo słyszalnie.

Jakiś ciężar spadł mu z piersi i od razu zaczął nawet lepiej oddychać. Nie chciał do końca dopuścić do siebie tej najwspanialszej myśli, że oto pojawia się szansa na wyrwanie się stąd.

– Po wszystkim idę na cholernie długi urlop – Polak zdobył się na chwilę osobistej szczerości.

Pullman nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się nieznacznie. Rozumiał to doskonale. Jemu też serce waliło jak oszalałe.

– No to trzeba będzie was stąd wywieźć... na ten urlop – dorzucił weselej. Przycisnął słuchawkę swojego zestawu i zmienił częstotliwość radiostacji. – Papa Lima Jeden, tu Chevrolet... – zaczął wywoływać dowództwo w bazie. – Przejmuję obiekt – zameldował.

Mucha nie miał zamiaru protestować. Zrobili swoje, nie mieli wiele sił i możliwości. Nawet wspomóżeni nie mogli kontratakować. Siły ciągle były nierówne, choć to wreszcie miało się zmienić.

– Chevrolet, tu Orient Express... – dotarło do uszu obydwu komandosów.

Robert zastygł rozpromieniony i wyszczerzył zęby.

– To...?

– Nadchodzimy od północnego zachodu... Dziesięć minut... – Krótkie komunikaty brzmiały jak muzyka.

– Taki jeszcze jeden prezent. – Pullman uniósł kciuk. – Przypilnuję ich... – Odsunął mikrofon. – Ty zbieraj swoich do ewakuacji. Zrobiliście, co trzeba. Dobra robota, Robert, cholernie dobra. – Nie było w tej opinii przypochlebiania się, tak

typowego czasem dla Amerykanów. Obydwaj byli z branży i cenili bohaterstwo, choć sami nie użyliby tego słowa. – Orient Express, tu Chevrolet, będę kierował... Nieprzyjaciół zajmuje pozycje... Oznaczam swoje stanowiska dymem za pięć minut...

Przez dym migają niebieskawe światełka kilku latarek czołowych, wygrzebanych w wyposażeniu ludzi z Lublińca i amerykańskich operatorów. Ponure i cuchnące podziemie załało nieco światła i pomijając okoliczności, robiło się tam nieco znośniej. Dołączyło kilku ludzi więcej, głównie rannych, których na stanowiskach zastąpili Amerykanie.

Ogólna sytuacja pozwalała myśleć o wydarciu się z tego schronu i przeprowadzeniu ważnych dywagacji.

– Nie zgadzam się. – Postawa prezydenta była harda i nieustępliwa.

Brudny, w porozdzieranym ubraniu, spocony i spragniony, potrafił mimo tego upodlenia wykrzesać z siebie jeszcze nieco oporu. Być może ta odrobina światła pozwalała uporządkować umysł, odzyskać trzeźwość żyjącego, a nie straconego człowieka.

Ani Dawidkowi, ani Robertowi Krawcowi nie chciało się właściwie wdawać w dalsze kłótnie. Liczyli na taką odpowiedź i trochę im ulżyło. Może nawet im zaimponowała. Sprawa stała się jasna.

– Okej, potrzebuję trzech do pomocy! – krzyknął Robert do radia. – Zabieramy najpierw rannych – mówił do mikrofonu, licząc, że Pullman na dachu usłyszy.

Prezydent chyba dopiero teraz pojął, że to jego bohaterskie poświęcenie, do jakiego, jak mniemał, predestynuje go pełniona funkcja, będzie kosztować go jeszcze trochę czasu spędzonego w tym piekle. Przełknął ślinę i mimo brudu znów wydał się bledszy. Umilkł i oparł się o ścianę piwnicy, apatycznie spoglądając w jeden punkt w półmroku.

– Pan się nie boi... – Adam dostrzegł tę zmianę u „pierwszego” – ...wytrzymamy. – Usiłował pocieszyć głowę państwa, ale czynił to bez rezonu, mało umiejętnie. Ot tak, po prostu.

Sam nie był zadowolony, że ciągle musi tu być. Niby nadchodziła odsiecz, a Adamowi serce kołatało jeszcze szybciej, ale ze strachu. Przywykł może do tej dziury, która chroniła od ostrzału, choć nie była bezpieczna, i sama myśl, że miałyby wracać na zewnątrz, podświadomie napawała go lękiem. Z drugiej zaś strony dopadła go złość, że czekali tak długo. Że wszystkie te wielkie słowa, środki bezpieczeństwa,

jakie oglądał, nie zdały się na wiele.

A przecież żył.

Patrzył na zakryte bluzami mundurów ciała i czuł, jak frustracja gorzeje w nim coraz intensywniej. Ze wstrętem otaksował olbrzyma, który opatrzony ręką amerykańskiego medyka wił się w półśnie, spięty plastikowymi kajdankami. To na nim Adam najchętniej wyładowałby cały swój gniew. Mógłby go zabić. Naprawdę był bliski załamania.

– Zabierzcie... – Kerc, ułożony pod ścianą, syknął cicho, jak wyrwany z letargu. – Zabierzcie moich chłopaków... – mówił cicho. Smutno.

– Pamiętam... oczywiście, że pamiętam. – Robert spiął się w jak najszczerzym zapewnieniu. Podniósł głowę, jakby coś usłyszał.

W blasku lampki Adam spostrzegł, że i on jest zjadany przez strach. Adrenalina kiedyś się kończy i pojawiają się inne odruchy.

– Sam po nich pójde – oznajmił na wpół uroczyście komandos Formozy, ciągle z wysoko zadartą głową. Thomał poznał, że ta deklaracja nie przysłała mu łatwo.

Gdzieś tam, na zewnątrz, ponad betonową strukturą, przez coraz słabsze dźwięki pojedynczych strzałów przedzierał się miarowy, szybki takt silników.

*

Kamil „Monsignore” zacisnął palce na blacie stolika tak mocno, że zbieleły. Nie czuł nic, tylko patrzył w jeden z ekranów, przekazujący obraz monitoringu z okrętu USS „Cook”. Wszystko wyglądało jak w serwisie informacyjnym relacjonującym którąś z wojen na świecie – kilka widoczków ukazujących start amerykańskich pocisków, mknących do celów daleko na terytorium nieprzyjaciela.

Ten dziś był wyjątkowo twardy i bezwzględny. Z tego powodu zastosowane środki musiały być równie mocne. Wręcz ryzykownie mocne.

Odpalenie pocisku manewrującego, broni strategicznej, z basenu Morza Czarnego, tuż pod bokiem okupujących Krym Rosjan, mogło zostać bardzo źle przyjęte. W przypiływie złej woli albo w wyniku błędnej analizy odczytów systemów radarowych – uznane nawet za *casus belli*. Podobno Monsignore i ten jego upór spowodował, że kryzys, z jakim się teraz mierzono, nabierał naprawdę globalnego charakteru. Interwencja amerykańskiej czy też raczej natowskiej grupy morskiej musiała być poprzedzona poinformowaniem albo raczej ostrzeżeniem – jak to ujął

Perish – najwyższych czynników w celu uniknięcia kłopotów.

Z wyrzutni na pokładzie u mostka okrętu wydobył się bijący wysoko strumień dymu. Błysnął ogień. Z obłoku wystrzeliła smukła konstrukcja pocisku. Wyszła z kontenera bardzo szybko, ciągnąc za sobą pulsujący ogień silnika startowego.

Kamilowi zakręciło się w głowie, jak gdyby sam był tam daleko, na tym okręcie, i oglądał to z bliska.

Oddychał szybko i głęboko. Opadł na oparcie krzesła i założył ręce na brzuchu.

Tknięty przecuciem, dopiero po kilku sekundach dostrzegł, że Perish, Bratnowski i Julia patrzą na niego. W tych spojrzeniach był jakiś wyrzut i obawa. U dziewczyny największa. Na jej zespół miały spaść ewentualne konsekwencje wplątania się neutralnego państwa w sprawę tak zawiłą, że aż niesamowitą.

– Dziesięć minut – zameldował operator potwierdzenie z okrętu.

– Dziękuję – westchnął Perish.

– Jeżeli się poruszają, jest margines do zmiany zamiaru...

– Okej. – Amerykaninowi nie chciało się rozmawiać. Puls mu wariował, a całe ciało przeszył jakiś skurcz. Był weteranem, ale wizja rozpętania nowego kryzysu, ba, wojny w tamtym rejonie świata i przewidywane konsekwencje dosłownie go sparaliżowały. – Jeśli chybimy albo wyniosą się prędzej, trudno będzie ich dorwać. – Jego opinia była pesymistyczna, ale prawdziwa. – Dron z Mirosławca będzie dopiero za jakieś dwie godziny. Zespół bojowy ma co robić z waszym prezydentem – wyliczał niewesoło. – A nasi nie mają transportu, by ich ganiać...

– A na miejscową policję i blokady nie liczę – dopowiedział Bratnowski i złapał się za głowę. – Dobrze to wszystko zaplanowali, mają drogi odwrotu i zapewne fundusze. Nawet jeśli pozostawimy nad nimi „ptaka”, to nieprędko ich zatrzymamy. Wszystko to, cholera, pocomplikowane... – wysapał i spojrzał na Kamila.

– Czekamy. – Ten już całkiem nie był skory do rozmów.

Udawał cierpliwego, hipnotyzując kolejno widoki na ekranach na ścianie. Doskonale wiedział, że jakkolwiek to się zakończy, wszystko będzie na niego.

*

Odgłos potężnego silnika Mi-24 niósł się już od wielu kilometrów. Cielsko maszyny, objuczone arsenałem godnym niewielkiego oddziału, sunęło ponad polami z pełną możliwą prędkością od wielu minut, pędząc ku celowi.

Kilka zespołów, w tym ludzie na ziemi wyczekujący wsparcia, już bardzo dokładnie określiło swoje i nieprzyjacielskie pozycje.

Pilot dostrzegł niemrawy jeszcze obłoczek dymu. Operator uzbrojenia odczekał chwilę i wziął na cel pierwszą pozycję – linię drogi na polu, poprzetykaną zaroślami i laskami.

Główna pozycja miała się znajdować nieomal na wprost czerwonego obłoku unoszącego się ponad polami.

Jeden, a następnie drugi śmigłowiec szturmowy rozpoczęły koncert. Upiorny taniec wykonywany z gracją i lekkością, godną najnowszych, o wiele lżejszych i zwinniejszych maszyn.

Pociski raketowe poszły jazgotliwym rojem świetlików, ciągnąc za sobą przez chwilę obłoki dymu. Zaraz uderzyły w ziemię, między drzewa, rwąc się w krótkich eksplozjach, które zlały się w jeden huk.

Załogi nie mogły jeszcze dojrzeć efektu swojej pracy. Inaczej niż operatorzy dronów. Ludzie w zaroślach, jeżeli nie zginęli, rozpierchli się w każdym niemal kierunku. Jak spłoszone mrówki szukali ratunku i jakiegokolwiek schronienia.

Mało kto zdobył się na odwagę, by opuścić zakryty gałęziami teren i wyjść na otwartą przestrzeń.

Piloci potrafili błyskawicznie rozeznawać się w sytuacji. Inaczej niż przeciętny człowiek. Należeli do elity. Latali w różnych „ciepłych krajach”, nieraz wspierając własne sojusznicze oddziały.

Jeszcze jedna seria pocisków poszła w zieleń. Potem zagrzechotały działka. Długie serie kreślone dymem wzbijały w oddali fontanny ziemi i łamanych gałęzi.

Dwa polskie Mi-24 przemknęły z wyciem ponad drogą, mijając zadymiony zagajnik. Załogi wyszukiwały cele albo ostrzeliwały wskazane miejsca. Pierwsza para rozdzieliła się w prawo i w lewo, wchodząc na szeroki okrąg nad obszarem starcia.

Działka cięły po ruinach i stertach gruzów, kiedy śmigłowce mknęły niemal tuż nad ich wierzchołkami. Piloci byli zajęci, więc nie widzieli machających zza ukryć na piętrach bloku dłoni polskich i amerykańskich komandosów.

Szturmowe kolosy zrobiły zwrot, mijając się w sporej odległości, i zaczęły kolejne podejście. Z ziemi nikt nie strzelał. Nie odważył się. Każdy na wschód od Bugu wiedział, jak dobrze są opancerzone i jaką siłę ognia mają te nie najnowsze przecież maszyny.

Załogi miały zadanie oczyścić maksymalnie okolicę albo właśnie nastraszyć piechotę, żeby straciła ochotę do walki i najlepiej zaczęła się cofać, wystawiając się na ostrzał.

Teren musiał być jak najbezpieczniejszy dla śmigłowców, które nadciągały od północy. Dwa Blackhawki polskiej armii i ukraiński Mi-8. Było je już widać ponad stepem.

*

Szyłłow pocierał głowę obiema dłońmi. Czuł ból, fizyczny ból z niemocy. Przewidywał takie coś, znał, doświadczał, ale nie potrafił znaleźć rozwiązania. Paraliżowała go świadomość, że znalazł się w martwym punkcie. Żadnego manewru. Choć w tej chwili była niewielka szansa. Plan B, który naszykował. Odpychał myśl, że będzie musiał go zastosować, a jednak.

Jego powodzenie zależało tylko od umiejętnej i ostrożnej gry.

Jeszcze rzucił okiem na ekran. Operatorzy dawno stracili ten swój informatyczny spokój znudzonych naukowców. Wiercili się, podrygiwali, szepcząc i coraz mniej wyraźnie przekazując meldunki od tych, którzy stali tam, na stepie filmowanym przez ich satelitę.

– Od Doktora nic? – wtrącił Szyłłow bezceremonialnie, łudząc się jeszcze.

– Milczy – odpowiedź był krótka, jak spodziewał się podpułkownik.

Na szarym obrazie podczerwieni widać było rosnące co rusz obłoki wybuchów, a raz nawet z wielką szybkością obraz przecięło smukłe cielsko znajomego helikoptera.

– Podaj hasło ewakuacji... – kazał Sasza, choć nawet przy surowym tonie brzmiało to jak żart. Jak wyrok śmierci.

– Zrozumiałem – potwierdził operator i zaczął nadawać.

Na odpowiedź czekali długą chwilę, wpatrując się bez ustanku w ekran. W toczącą się tam już bitwę w pełnym tego słowa znaczeniu, która spadła na głowy ludzi, którymi kierował Szyłłow, i tych, których kupił, biorąc pod komendę.

– Potwierdzają – powiedział podoficer z miną, która nie pozostawiała wątpliwości, że Misio czy ktokolwiek tam teraz dowodził, wiedział to wszystko, co i Szyłłow.

Sasza wyprostował się, zrobił kilka kroków i podniósł wzrok na niebo przezierające przez płataninę rozłożystych drzew.

Był w punkcie, kiedy mógł być absolutnie pewien, że cokolwiek wróg ma tam, wysoko, teraz szuka jego i resztki oddziału. Myślał o ostrzeżeniu przed dronami, które wykrywał satelita, i łudził się, że zasięg tych maszyn nie pozwolił im jeszcze dotrzeć do tego zakątka.

– My też – powiedział cicho, jakby niechcący. – My też! – powtórzył zaraz dobitniej. – Odwrót!

Popatrzył na swój niewielki sztab. Na chłopaków ukrytych w leżach na pozycjach obronnych.

– Rozkaz – chłopak przy komputerze potwierdził i zaraz nadał to zespołowi.

Jego pomocnicy zaczęli gasić komputery i całe oprzyrządowanie, na którym działali od rana. Byli przejęci, ale dokładni i opanowani.

Nie minęło pół minuty a przy Szcylowie znalazło się trzech ludzi. Gdyby nie pancerze i broń, wyglądałoby jak zwykli cywile. Działali niemal instynktownie. Wyszukani perfekcyjnie. Nie widać było po nich znużenia czy stresu. Chemia, jaką dostali, wyostrzała zmysły, a sami wiedzieli, że zaczynają najgorszą część zadania.

– Do azylu około siedemdziesięciu kilometrów! – Sasza sięgnął po papierosa i zaczął przemowę. – Jak ustalono. Małe grupki. Jeżeli będzie trudno, ostatni skok piechotą albo czekajcie. Zapasowy azyl za dwa dni. Wiecie gdzie. Ewakuacja zamówiona... Będą czekać.

Sięgnął do kieszeni i wymacał telefon. Bardziej niż przedtem korciło go, żeby zadzwonić. Wysłać choćby SMS i potwierdzić swój własny ratunek.

Sasza Szcylów nie wierzył w ani jedno słowo, które przed chwilą wypowiedział. Znów powracało czarne, upiorne przeświadczenie, że naznaczono ich do zadania tak istotnego, że nie mogli dożyć następstw swojego czynu. A przecież skrewili, w jakiś niesamowity sposób się potknęli, a tego już zupełnie nie można było darować.

Na krańcu lasu zapuszczono silniki wozów. Zaraz opony zaszumiały na suchej ziemi i pierwsze z kilku aut zatrzymały się nieopodal.

Zespół rozpoznawczy ewakuował się jako pierwszy. Szcylów zwyczajowo podszedł do każdego z chłopaków i uścisnął im mocno dłonie, patrząc głęboko w oczy. U nich też w tych spojrzeniach był nieumiejętnie skrywany smutek.

Nim zasiedli w autach ze swoją silną obstawą, która stanowiła nieomal połowę obecnego stanu operatorów bojowych, ostatni z nich ułożył ze sprzętu pryzmę. Kto inny podał mu dwa granaty. Żołnierz wyszarpnął zawlecarki i postawił dwa

cylindryczne ładunki na sprzęcie.

Odbiegli szybko. Płomień i dym były gwałtowne. Syknęły. Granaty termitowe spalały się w bardzo wysokiej temperaturze, trawiąc plastik i metal. Topiąc na bezkształtną masę całą tę już niepotrzebną technikę.

Ludzie Szyłowa teraz mogli polegać na swoich kodowanych telefonach. Choć mieli ich użyć w ostatniej możliwej chwili.

– Pułkowniku! – rosły podoficer uprzejmym zwrotem wyrwał dowódcę z zapatrzenia na biały ogień.

Jego samochód był gotów. Szyłow nie zauważył, kiedy jego chłopaki pozbyły się kamizelek, pozostawiając sobie tylko pospolite cywilne plecaki i długą broń.

Pierwsza grupa aut w bezpiecznych odstępach zaczęła toczyć się przesieką z dna płytkiego jaru ku polom i szutrowemu szlakowi, który miał wyprowadzić ich na kierunek odwrotu. Do miejsca, gdzie gdyby udało się dotrzeć nocą, miał przylecieć śmigłowiec.

Żadna wojskowa maszyna, a zwykły helikopter firmy budowlanej, która na co dzień zajmowała się montowaniem konstrukcji na wysokościach.

Jedna z wielu przykrywek, tajnych sposobów prowadzenia zadań w ukryciu przed osobami postronnymi.

Do azylu był jednak kawał drogi, w tych okolicznościach wydający się odległością niemożliwą do przebycia. Oni wszyscy tu zdawali sobie z tego po cichu sprawę, ale nie mieli zamiaru odpuścić. Zostali wyszkoleni, by znosić bez słowa przeciwności losu i stawiać czoła sprawom beznadziejnym.

Szyłow podszedł do auta. Otworzył drzwi. Wydawało mu się przez chwilę, że zerwał się wiatr. Że konary głośniejsz szumią. Na te kilka sekund, kiedy godził się z odwrotem, wmawiając sobie, że da radę, przestał myśleć jak oficer jednostki specjalnej. Uznał, że jest bezpieczny, daleko od tego wszystkiego, co działo się w kołchozie.

W mgnieniu sekundy w umyśle oficera wyświetliło się wiele obrazów i myśli naraz. Widział Szwecję, swoją drogę tu, na Wschód, spotkanie z Doktorem, który najpewniej już nie żył. W ostatnim rozbłysku tej przedziwnej wizji Saszka przekonał się, że miał rację. Skreślono go.

Świst zrobił się donośniejszy, kiedy podpułkownik pojął, że jest za późno. Ktoś ich widział i namierzył. *Wiedzieli i nie ostrzegli?* – gorzkie pytanie było ostatnią sprawą,

o której oficer zdążył pomyśleć.

Ziemia jęknęła ugodzona olbrzymią eksplozją. Las wydał z siebie wielki trzask pękających drzew, łamanych jak zapalki. Szycłow stracił oddech. Od strony, gdzie przed chwilą wyjeżdżały pierwsze wozy, nadleciał ognisty huragan. Pochłaniał wszystko i wypalał tlen. Odłamki specjalnego ładunku cięły wszystko wokół. Zaraz po pierwszym uderzeniu w górę poszła wielka fala ziemi i połamanego drewna. Słup dymu i kurzu wyrósł wysoko, kilkadziesiąt metrów ponad lej, który powstał w miejscu skrawka lasu.

Sasza Szycłow został rzucony daleko w tył i przywalony kilogramami ziemi, gałęziami i szczątkami aut. Niewiele słyszał. Bolało go w kilku miejscach i przez chwilę sądził, że pogrzebano go żywcem. Jednak żył.

*

Adamowi wydało się, że ze strachu i wycieńczenia zmysły płatają mu figle. Że najzwyczajniej wariuje i ma omamy. Łomot lądującego śmigłowca mieszał się z czymś, co brzmiało jak odległe echo doniosłej eksplozji. Pomruk rozchodził się po okolicy nieśmiałym dźwiękiem i trudno było zgadnąć, gdzie jest jego źródło.

Thomal chciał zapytać Dawidka, czy słyszy to samo, ale dał sobie spokój. Zbyt byli zajęci i zmęczeni. Ukraiński drugi pilot ważył naprawdę dużo i nawet we dwóch trudno było go wytaszczyć po wąskich schodach. Pot zalewał im twarze, oczy. Adam dyszał, ślizgając się na stopniach w kompletnie zniszczonych wizytowych butach.

Zmysły szalały. Thomalem targały emocje, popadał ze skrajności w skrajność. Strach sprzed kilku minut ulatywał, ustępując ekscytacji. Wkoło robiło się ruchliwie i jeszcze głośniejsze. Dwóch żołnierzy z Lublińca niosło przodem swojego dowódcę. Stracił sporo krwi, ale jeszcze się trzymał.

Ktoś z Amerykanów pomagał ewakuować półprzytomnego funkcjonariusza SOP. Zresztą inni operatorzy też byli ranni. Wynoszono ich z podziemia w dalszej kolejności. W tej jatce dostał chyba każdy. Ci, którzy trzymali się w pionie, odmawiali ewakuacji, nie godząc się wycofać. Byli twardzi i wiedzieli, co to obowiązek. Ponadto nie mogli tak sobie odlecieć, póki nie odnaleziono Vogla i Lolka. Zaginęli, ale każdy przeczuwał, co musiało się stać.

Słońce raziło Adama pierwszy raz tak mocno. Kilka godzin wystarczyło, by odwykł od dziennego światła. Musiał przymknąć oczy i modlił się, żeby się nie

przewrócić.

Czekali przy wyjściu na sygnał. Szary Blackhawk podchodził ostro na plac przed budynkiem – nieformalne lądowisko. Maszyna siadła, jak wcześniej amerykański śmigłowiec. Dudnienie się nasiliło i podniósł się piach. Z wnętrza wysypała się grupa nowych, wyraźnie świeżych operatorów.

– Teraz! – Dawidek skoczył z miejsca, szarpiąc rannego tak, że aż jęknął. Wybiegli z Adamem, kiedy tylko nowy zespół rozwinął się do obrony śmigłowca. – Szybko, panie władzo, szybko! – popędzał komandos.

Wiedział, że są na zewnątrz jak na widelcu. Strzelanina ustała, ale nikt nie wiedział, ilu tamtych kryje się i jak blisko.

Strzelec polskiego Blackhawka pomógł przy rannym. Ułożyli go na podłodze śmigłowca tak ostrożnie i delikatnie, jak się tylko dało w tym pośpiechu. Przynajmniej tak się im wydawało. Nieszczęsny ukraiński lotnik stękał raz po raz, sponiewierany w pędzie.

Wszystko dookoła wrzało jak wielki ul pełen wściekłych pszczoł. Z braku miejsca drugi Blackhawk siadał na dachu kolejnego bloku. Komandosi GROM-u wdzierali się do wnętrza i prędko przeszukiwali budowlę. Polacy odbijali terytorium swojej fortecy, rozszerzając bezpieczną strefę.

Nad wszystkim przemknął głośny Mi-8 z zespołem ukraińskich komandosów. Zniknął Adamowi z widoku, kiedy policjant biegł z powrotem do budynku. Tamta maszyna siadała od południa.

– Kurwa, ale tłok... – Thomalowi brakowało tchu. Chciało mu się pić.

Powoli tracił rozeznanie w tym wszystkim. Przed kilkoma chwilami był w oblężeniu, pewny, że nieprzyjaciel zdepta ich wszystkich, a teraz mieniło mu się przed oczami od znajomych mundurów.

Blackhawk z rannymi zwiększył obroty, gdy tylko tymczasowi sanitariusze uszli spod śmigieł. Burza piasku uderzyła, wdzierając się każdą szparą do zrujnowanego bloku. Śmigłowiec uniósł się niemal pionowo z miejsca z potężną mocą silników, nadających teraz niesamowitą prędkość.

– Jak się wszyscy pomieszczą? – spytał Adam Dawidka, osłaniając smaganą kamykami twarz.

– Obróć kilka razy...

Gdzieś za murami znowu zaczęło dudnić strzałami.

Do klatki wbiegło kilku operatorów. Adam już nie rozpoznawał, kim byli, ale uznał, że skoro są tacy żwawi, to musieli być nowi.

Operatorzy ruszyli do piwnicy. Thomal zauważył, że przed wejściem powstał jeszcze ściślejszy kordon. Nie minęło trzydzieści sekund, kiedy z podziemi wyprowadzono otoczonego szczególnie prezydenta.

– Panowie... Dajcie oddychać – usiłował żartować, ale osłona naprawdę była zbyt mocna.

– Ty z nami... – Dłoń jakiegoś operatora padła na ramię policjanta.

– Ja? – Nie uwierzył. – Ja muszę... – Szukał wsparcia u uśmiechającego się Dawidka.

– Zostaw to nam, panie władzo. – Operator wyszczerzył się i skinął na kolegę z innej jednostki.

GROM-owiec pociągnął Adama bliżej siebie i kucnął. Na zewnątrz znowu pulsowało hałasem zbliżającego się śmigłowca.

Drugi Blackhawk przyziemił przed domem. Znowu zrobiło się szaro od kurzawki. Adam jeszcze spostrzegł, że z dołu wynoszą jego jeńca.

Gdzieś w słuchawkach padła czyjaś komenda i wianuszek komandosów z prezydentem wewnątrz ruszył. Gdy tylko minęli próg drzwi do klatki schodowej, żołnierz klepnął Adama i wskazał helikopter. Thomal chciał coś powiedzieć, krzyknąć, żeby chociaż pozdrowili Roberta. Głupio mu było odlecieć tak bez słowa.

Komandos nie tracił czasu. Trącił łokciem policjanta i wybiegli za prezydentem. Wszystko zdawało się wirować, pędzić, mieszać się.

Powietrze teraz wydawało się znacznie gorętsze. W ustach Adamowi zaschło. Emocje tego przekłętego dnia przemijały, ustępując miejsca potwornemu zmęczeniu.

Teraz dopiero policjant zaczynał się bać. Myśleć o tym, o co się otarł. W żołądku go ścisnęło. Adam poczuł mdłości i prawdziwą panikę. Wyobrażenie tego, jak mogły się skończyć niedawne potworności, go otumaniło.

Nie wiedział, kiedy dotarł do śmigłowca. Był jak w półśnie, otoczony zjawami. Głosy, które do niego docierały, były ściszone, odległe i nierealne. Ktoś przypiął go do siedziska tuż obok prezydenta.

Ktoś inny mówił o posiłkach, jakie nadciągają. O kolumnach pojazdów, które przebijają się z południa. Było coś o ostrzale, pocisku, który nadleciał z daleka, ale Adam nie potrafił połączyć tego w całość. Uzbrojona, objuczona sprzętem ochrona

siedziała obok, ale Thomał ciągle nie czuł się pewnie. Ten cały arsenał, elektronika, sprzęt – to przecież nic dla niego nie znaczyło.

Wewnętrzny szept kazał, by jeszcze nie odpuszczał. Żeby się trzymał, bo nie jest jeszcze bezpieczny. To miało być najważniejsze.

Śmigłowiec nabrał prędko wysokości, pozostawiając w dole kołchoz i blok, a właściwie niezdobytą twierdzę. Teraz – mały szary punkcik na polu. Adam zacisnął pięści, zamknął oczy i oddychał głęboko, pewny, że zemdleje. Nie lubił latać. Teraz naprawdę tego nienawidził. ■

EPILOG

Majowe dni nie były tak ciepłe jak na Ukrainie. Niebo było zachmurzone i zapowiadało się na deszcz. Adam Thomal tego poranka ubrał się zwyczajnie – jeansy, koszulka polo i lekka jasna kurtka. Na ramieniu niósł obszerną sportową torbę. Reszta rzeczy miała być dostarczona za kilka dni z Kijowa.

Wcisnął dzwonek. Nie czekał długo pod drzwiami. Nie musiał więcej nerwowo się zastanawiać, co ma zrobić i jak właściwie się zachować. Jak udawać, że jest normalnie. Usłyszał szybkie kroki. Zachrobotał zamek i drzwi się otworzyły.

Widok Matyldy wydał mu się najpiękniejszy na ziemi. Ona sama była cudowna.

Chociaż bez śladu makijażu, ze spiętymi w zwykły kucyk włosami, w szarych, „domowych” spodniach od dresu i przydużym T-shircie, dla niego była boginią. Rekompensowała wszelkie rozterki i uświadamiała mu, że chyba się postarzał, bo naprawdę tęsknił.

Dziewczyna przez ułamek sekundy stała w otwartych drzwiach z wielkimi oczami, patrząc na niego jak na ducha. Szybko jednak, chwytając się za głowę, krzyknęła radośniej i na jej twarzy pojawił się wyraz szczęścia.

– Adam!

Doskoczyła do chłopaka, obejmując go za szyję i tuląc tak mocno, że mężczyzna stał kilka sekund zaskoczony. Wreszcie ją przytulił i poczuł spokój. Najprawdziwszy od wielu tygodni spokój.

Trzymał ją w objęciach, napawając się dotykiem dziewczyny.

– Wróciłeś? – jej ciche, nieśmiałe pytanie wyrwało go z tej błogości. – Wróciłeś. – Już nie pytała. Uwierzyła. – Tak wcześniej?

W wesołych, zapatrzonych w mężczyznę oczach kryło się teraz i lekkie zdziwienie. Może nawet strach, że coś poszło nie tak.

Kobięca intuicja – pomyślał Thomal, bojąc się, że już go rozgryzła.

– Tak się udało – wytłumaczył się prosto, zbywając ją byle banałem. Nie miał zamiaru teraz się spowiadać. Uśmiechał się przy tym i pogładził jej włosy za uchem.

Ona jednak nadal przyglądała mu się delikatnie, badawczo.

– Cieszę się. – Objęła go znowu. Teraz mocniej.

Stali tak jeszcze dobrą minutę, ciesząc się sobą i dziwiąc.

– Wejdźmy – poprosił Adam.

Zamknął za sobą drzwi. Odetchnął. Był w domu.

Ciągle zaskoczona i uradowana dziewczyna pogładziła go po twarzy, ukazując szeroki uśmiech szczerej radości.

Adam czuł jej zapach, ale właściwie nie chciało mu się prawić komplementów, szeptać miłych słówek, jak to zazwyczaj robił, zwłaszcza tak bardzo stęskniony. Szukał odpoczynku w codzienności, tej kiedyś szarej i drażniącej, obecnie w jego mniemaniu najwspanialszej. Wiedział, że Matylda wybuchnie zaraz lawiną pomysłów na nadrabianie wspólnego czasu. Trudno jej będzie się opamiętać w radości kobiety, która musiała czekać i denerwować się tak długo.

Do uszu Adama dotarł jakiś głos z telewizora lub radia. Ktoś mówił o wnioskach płynących z właśnie zakończonej wizyty polskiego prezydenta na Ukrainie. Wizyty ważnej, jako że odbywała się w cieniu poważnych zajęć w samym środku kraju. Padło nazwisko Zdanilow. Musieli więc mówić o nowym szefie ukraińskiego MON, którego nominacja studziła niepokoje, lecz zagrażała władzy kijowskiej, a którą poczytano za amerykańsko-polski wymóg wobec sąsiadów. Potem było coś o przetarasowaniach, niepokojących wydarzeniach w Moskwie i rozwiązaniu problemu na Ukrainie...

Thomal wracał do niewesołej przeszłości. Odsunął się na pół kroku, boleśnie ugodzony przypomnieniem ostatnich dni.

Chciał zrzucić to z siebie, opowiedzieć wszystko. Pozbyć się tego i zapomnieć. Nie było mu jednak wolno. Musiał milczeć, kryjąc tajemnicę, dopóki nikt go z niej nie zwolni. A wiedział, że to nigdy nie nastąpi. Oni wszyscy tak musieli.

Matylda spostrzegła tę zmianę na twarzy Adama i odruchowo kiwnęła głową. Nie była tak głupiutka czy naiwna, jak wielu sądziło. Ona też ocierała się o tajemnice, była przecież pracownicą policji. Przeszła swoje z Adamem na dalekiej pustyni. Znała ten grymas, wyrażający jakąś traumę i nakazane z góry milczenie.

– Zjemy śniadanie? – rzuciła ot tak, chcąc odsunąć troski chłopaka i swój rodzący się na nowo strach.

– Co? – Nie dosłyszał w zamyśleniu. – Tak, pewnie. Umieram z głodu. – Na powrót był weselszy.

– O! – Madzia ściągnęła brwi, dopiero dostrzegając coś, co jej się nie podobało. – Skąd to? – Pogładziła Adam po skroni, tam, gdzie miał niewielką, ciągle czerwoną bliznę. – Przywiozłeś więcej takich pamiątek? – Zrobiła się podejrzliwa i surowa.

Thomal roześmiał się w głos, podnosząc oczy.

– Oj, Madzia, Madzia... – Objął ją ramieniem i ruszyli w stronę kuchni. – Tak, ja wiem... Ty byś wolała znaleźć u mnie szminkę na kołnierzyku.

*

Wieś Maśluchy, ze względu na swoją niekojarzącą się z niczym poważnym nazwą, nie zwracała uwagi wielkich tego świata. Co najwyżej bawiła turystów przyjeżdżających nad pobliskie jezioro w Białce.

Kilka domów, większych gospodarstw i urokliwe leśne zacisze, niskie pagórki obsiane rzepakami lub zielonymi ciągle zbożami nadawały tej części północnej Lubelszczyzny charakter spokojnego ustronia, w którym nie obowiązują problemy toczące ludzi gdzie indziej.

Nie wszystko było jednak tak proste, jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Wiele osób pilnowało takiego stanu rzeczy lub raczej starało się, by Maśluchy były tym, za co są uważane.

Prawda, jak to bywa w prawdziwym świecie, była o wiele bardziej skomplikowana.

W głębi miejscowości, pośród wysokich drzew zagonu gęstego lasu stał dom. Nowoczesny, piętrowy, wybudowany kilka lat temu. Podobny do wielu nowych budowli wzniesionych ostatnimi laty w okolicy. Miejscowi potrafili gospodarować albo mieli rodziny, które w gorszym czasie wyjechały na Zachód i przysyłały pieniądze.

Ten prawdziwy, starodawny wizerunek okolicy krył się dalej. Pod drzewami w cieniu, dającym schronienie przed pierwszymi prawdziwymi upałami tego lata, znajdowała się drewniana chatka.

Spora, parterowa, nieco już nadgryziona zębem czasu, jednak urokliwa. Dom wzniesiony z belek – teraz już poczerniałych, ale ciągle pachnących żywicą – o niebieskich okiennicach i drzwiach zdobionych w drążone wzory. Tylko dach, kiedyś kryty strzechą, teraz był z blachy nierdzewnej, co zaburzyło nieco zabytkowy wygląd.

W pobliżu tego ukrytego z dala od ludzkich oczu domostwa, na posesji otoczonej nowym, wysokim płotem parkowało kilka aut – duże, drogie SUV-y, nie wszystkie z Polski.

Przywiozły kilku gości. Jednym z nich był człowiek zwany Monsignore. Dobrano go do zespołu, którym dowodził pułkownik Jaszczewski, którego tutaj, w obecności gości, nazywano Topazem.

W cieniu drzew spotkania pilnowało kilku ludzi, a kolejni rozeszli się i skryli w promieniu kilku kilometrów. Podobnie było z operatorami nadzorujących wszystko z wysoka dronów. Miejscowa policja, straż graniczna nie miały pojęcia o tym spędzie. Wiedza o nim zarezerwowana była tylko dla najwyższych szczebli służb, kilku polityków w Warszawie i Waszyngtonie. Ale o tym ostatnim gościu nie musieli wiedzieć. Choć oczywiście się domyślali. Takie rozmowy nie były zwyczajną praktyką, którą aranżowało się swobodnie, bez cichej zgody obu stron.

Spotkanie odbywało się w pokoju, który wyglądał jak istna mieszanka epok – starego, prostego stylu wiejskich chałup prosto ze skansenu oraz peerelowskiej tandety. Na prośbę ludzi z Warszawy izbę tylko wysprzątało. Nic innego nie zaprzętało głów całej zasiadającej tu czwórki.

Gaworzyli niczym starzy znajomi, kosztując lokalnych wyrobów. Tylko przyjezdni nie mogli raczyć się wszystkim. Nie jadal kielbas, ale jedli chłodnik i popijali lemoniadę. Byli muzułmanami. Nieco smagli, rośli mężczyźni sporo po pięćdziesiątym roku życia wyglądali poważnie także ze względu na swoje sylwetki i gabaryty. Ćwiczyli dużo, lubili zjeść, ale nie byli otyli. Spojrzenia mieli bystre, dogłębne. Umieli patrzeć i słuchać, szybko wyciągali wnioski. Polscy gospodarze wiedzieli, że ich goście są dobrze wyszkoleni.

Jaszczewski i Monsignore nie próbowali żadnych podchodów. Wszystko inne zostało powiedziane wcześniej, w miarę dokładnie, choć nienatrętnie ustalone.

Kamil był jednym z pośredników i tym, który przekazał ofertę „górze”. Ta wyraziła zainteresowanie, czyniąc gest dobrej woli, a może i podziękowania, wobec... Właśnie. Monsignore i pułkownik byli przekonani, że chodzi o „nowych na górze”, jak mawiano o zmianach warty w rosyjskich układach siłowych.

Kamil znał teren, z którego przybywali dzisiejsi goście. Oni znali jego przyjaciół – choć tamci znajdowali się po przeciwnej stronie barykady, wciąż łączył ich szacunek ze względu na klanowe zależności. Póki nie stawali przeciw sobie na ubitej ziemi w wyjątkowych chwilach, kontakt mógł być nawiązany. Jak teraz. Chwila była wyjątkowa.

Zabrzączał telefon pułkownika. Szczupły, blady od siedzenia w biurze oficer

sięgnął po komórkę. Zerknął na ekran.

– Za chwilę będą – powiedział poważnie, zapominając jak na rozkaz o całkiem sympatycznej atmosferze spotkania.

Dwaj oficerowie po drugiej stronie stołu przycichli. Ten ważniejszy, nazywany Szybkim, dopił resztę lemoniady, sapnął i uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze. – Mrugnął okiem.

Kamil zastanawiał się, czy tamtemu naprawdę jest źle, czy tak doskonale gra.

Na podwórzu zaszumiały opony auta. Jeszcze jeden wóz wtaczał się na posesję.

– I paczuska jest! – Drugi z Czeczenów zatarł ręce, też z uśmiechem. – Sprawnie, sprawnie. Pogratulować.

– Idziemy? – Jaszczewski pytał niby, ale wstał, dając znak, że dalsza część spotkania odbędzie się na zewnątrz.

Coś było w tych starych domach, że doskonale chroniły przed upałem. Za progiem czuło się duchotę stojącego powietrza, choć przed słońcem osłaniały wysokie pnie drzew.

Kamil poczuł momentalnie, jak na czoło występują mu krople potu. Zachodził w głowę, czy wiązało się to z przejściem chwilą, czy naprawdę było tak ciepło. Nie, nie musiał się przejmować. Był u siebie, a cała sprawa była należycie pilnowana. Wiedzieli o tym i on, i pułkownik.

Jasnobrązowy SUV z pracującym ciągle silnikiem stał naprzeciwko wejścia. Jaszczewski dał znak dłonią i z miejsca pasażera z przodu wysiadł człowiek. Wysoki, ciemny blondyn z dłuższymi włosami, ubrany niczym letnik, z tą różnicą, że na ramieniu miał pas pistoletu maszynowego MP-7, który trzymał w prawej dłoni.

Upewnił się, że Jaszczewski nie zmienił zdania, i dopiero wtedy otworzył tylne drzwi.

Siedzący na kanapie mężczyzna był rosy. Jego ubiór stanowiły jasne spodnie i granatowa koszulka z długimi rękawami. Na czole, z boku, miał spory, świeży opatrunek – pamiątkę po uderzeniu pistoletowej kuli, która otarła czaszkę i powaliła mężczyznę, i chyba cudem nie pozbawiła go życia.

Jeniec nie golił się kilka dni i dopiero ta czerniejąca plama zarostu na brodzie zaczęła go upodabniać do innych jego rodaków, noszących bogobośnie brody. Matka więźnia była Rosjanką, a odziedziczone po niej geny pozwalały mu tygodniami działać na tyłach wroga jako przeciętny obywatel. A jednak był w połowie kaukaskim

górale.

Na widok dwóch równych mu posturą gości uśmiechnął się. Wsiadł szybko i sprawnie, zapominając na moment o obolałych żebrach, o tych wszystkich opatrunkach na ramieniu. Nie zrobił dalszego ruchu, bacząc na gospodarzy. Znał zasady.

– Wasilij Betechadow, zwany Doktorem. – Jaszczewski wskazał go dłonią jak trofeum, nagrodę przechodnią, niby tylko pytając o potwierdzenie.

– Major Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego... – odpowiedział Szybki, patrząc na swojego człowieka. – Zgadza się. – Skinął do Polaka.

– Proszę, jest wasz – oznajmił pułkownik, ale jakoś ciężko. Zrobił krok w bok, jakby pozwalając im podejść.

Trzej Czeczeni uściskali się zwyczajowo. Byli równi sobie wzrostem i mocni. Kamil patrzył, jak przybywająca do Polski „delegacja” klepie ich więźnia po plecach. Doktor bardzo ostrożnie do tego wszystkiego podchodził. Cieszył się, ale jak zwykle nie ufał. Czuł się speszony, a może i zły, że dał się pojmać, co na pewno nie będzie najlepiej odebrane. Jednak stało się. Umowa została dopełniona.

– Nie martwcie się! – zawołał Szybki, niby żartem. – Zawsze macie jeszcze drugiego. – Uniósł kciuk, odpowiadając na niewypowiedziane rozterki dwóch polskich oficerów. Potrafił czytać w spojrzeniu.

– Tak... – Kamil sztucznie odwzajemnił uśmiech.

– Powiedzmy. – Jaszczewski puścił tylko oko.

Szycłów był ich wyłącznie w teorii. Siedział w którymś z tajnych ośrodków Amerykanów. Mieli więcej środków i możliwości niż Polacy. Dopadli podpułkownika GRU razem z ukraińskim gangsterem, który współpracował z rosyjskim wywiadem wojskowym. Facet, jak wynikało z przekazanych łaskawie raportów, miał za ekstra dodatek wywieźć Szycłowa z Ukrainy.

Resztą oddziału się nie przejmowano. Nie zostało go zresztą wiele. Pod kołchozem pojmano kilku ludzi, którzy przetrwali naloty, dywersantów jednej z brygad specnazu. W lesie, gdzie spadł amerykański Tomahawk, prócz Szycłowa przetrwało jeszcze czterech. Ci służyli w jednostce Sienież. Nie mieli dla służb wielkiej wartości. Nikt też z drugiej strony się o nich nie upominał. Przecież oficjalnie nic nie zaszło. A nawet jeżeli, to o jeńcach nikt nigdy nie słyszał.

Tylko los Betechadowa niepokoił jego „braci”. Usilnie chcieli się dowiedzieć, czy

wydany na pastwę „zachodnich” oficer może jednak przeżyć.

Amerykanie ciągle nie byli skorzy dzielić się wieściami. Jeszcze długo ani Jaszczewski, ani nikt z „góry” nie mogli na to liczyć. Nie budzili takiego zaufania jak choćby Wielka Brytania, która i tak otrzymywała tylko czterdzieści procent tajnych informacji.

Polska miała wiele do nadrobienia. Za wiele złogów i przypadkowości. Bo jak mogli wyjaśnić fakt, wykryty przez „kolegów zza oceanu” tylko im znanym sposobem, że urzędnik Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Wicki, współodpowiedzialny za przygotowywanie wizyt i znaleziony powieszony w Lesie Kabackim, był uzależniony od Wschodu? Niegdyś zapobiegliwy, zdolny społecznik, biedak z misją niesienia pomocy wschodniej Ukrainie, który nie spostrzegł, że na konto jego fundacji spływają petrodolary moskiewskiego pochodzenia. Idealna podkładka do szantażu urzędnika, obawiającego się kompromitacji i zastopowania tak miło rozpędzającej się kariery. Kiedy był już niepotrzebny, a i chciał zrzucić z siebie ciężar... Po prostu go zabito.

To jednak był problem na później. Na rozgrywkę w gabinetach wszystkich znaczących urzędów w stolicy, w której zaczynało się szukanie winnych i podobnych „kretów”, bojących się przyznać do błędów młodości. Doktor wskazał kilka kierunków. Tak, tu przydał się bardzo.

– *Paka*, panowie. – Szybki chciał zakończyć spotkanie. Spojrzenie miał świdrujące, uważne. Stracił wesołkowaty styl bycia. On ani nikt inny z jego ekipy nie zamierzali tu pozostawać ani chwili dłużej. Dyplomacja się kończyła.

– Do zobaczenia. – Jaszczewski wprost przeciwnie, nadał swoim słowom jak najcieplejsze brzmienie i szczerząc zęby, podał dłoń. – Byle częściej takie okazje... – Pod przyjemnym podejściem kryła się uszczypliwość.

– Oby nie. – Czeczen podłapał przytyk i się rozweselił. Uścisnęli sobie prawice.

– Dzięki. – Monsignore nie mówił nic więcej, kiedy się żegnał. Nie miał ochoty czarować jak pułkownik z Warszawy. Wypełnił zadanie.

Obydwaj Polacy patrzyli, jak goście i ich były więzień odchodzą, wsiadają do jednego z dwóch wozów i wolno ruszają ku bramie.

– Warto było? – Dopiero teraz Kamil mógł sobie pozwolić na uzewnętrznienie wątpliwości.

– Czy ja wiem...? – Pułkownik założył dłonie na plecach, ciągle obserwując auta

tamtych. – Coś tam wiedział... – zaczął markotną wyliczankę. – Sprawdzimy. Poza tym byliśmy im coś winni.

– Winni – powtórzył Kamil z niesmakiem. Zrobił krok w stronę domu i sięgnął po papierosa. – Mnie interesuje, kiedy zacznie im gadać. – Zapalił.

– Wiesz dobrze, że już to robi... – Samochody znikają za bramą. – Gdyby nie zaczął się spowiadać, to dopiero byłoby dziwne. Musi odkupić winy. Dał się pojmać. Nawet dla swoich to wpadka. Zresztą – Jaszczewski zmrużył oczy – czy to ważne? Trafi do złotej klatki, a poza tym będzie miał robotę.

– Zemści się – przewidywał przytomnie Monsignore.

– O, ma najlepszy motyw. – Pułkownik uśmiechnął się z ukosa. – Posłali go na śmierć, jak ich wszystkich tam... Kaukascy do czarnej roboty. Ale ułało się.

– Oj, ułało.

Kamil zaciągał się dymem, wyobrażając sobie, co musiało się teraz dziać ponad tysiąc kilometrów na wschód od nich. Powracało wspomnienie Leonida, którego zeznania traktował najpierw jak głupie bajeczki. A jednak.

– Lońka – szepnął.

– Co mówisz? – Pułkownik myślał, że to do niego.

– Nie, nic. – Kamil machnął dłonią, syjąc popiołem. – Myślę sobie... Jeżeli islamscy tak się wystraszyli, że nawet odważyli się podnieść pięść i zatrzymać to wariactwo... To jak teraz, kurwa, będzie?

– Jak? – Pułkownik wzruszył ramionami. – Na zewnątrz bez zmian, a pod dywanem... Wzięli odwet za zamach na prezydenta republiki. Bo o to chodziło... ale to moja opinia. Niedoszła wojna z Kijowem to tylko scenka z rozprawy w mafii. Sposób, żeby odsunąć islamskich, bo rosną. Na wojnie można poszaleć. Ładne czystki i nikt nie zauważy. Ale coś spieprzyli. Nawet tego nie dali rady dokończyć i się rozsypało. Kaukascy wytrzymali i dokręcili śrubę. Trzymają ich teraz za jaja. I generalnie będzie tak samo. Raz jedni trzymają, raz drudzy. Póki się im to nie zawali na łby. A to niedługo. Dopiero wtedy ruszą i nie będą musieli robić zamachów na żadnych prezydentów ani kozły ofiarne. Żadnych nowych gliwickich radiostacji. Znajdą prostszy powód. A może i nie... – Jaszczewski sam nie był pewien. – Nie udźwigną tego... Jak to oni. – Wyciągnął szyję w stronę opadającego po samochodach kurzu. – Żadna wojna nie jest warta ryzyka. Żyją bogato całymi rodzinami. Za wiele na to postawili, stąd ta odwaga.

Zamyślił się i milczał chwilę, wsłuchany w świergot ptaków w lesie.

– Pytasz, co u nich będzie? – Pytanie Kamila ciągle go dręczyło. – Zobaczysz kilku brodatych czasem, częściej w telewizji i tyle. A rządzić będą tacy jak ten cały Doktor. – Machnął dłońmi. – Potrzebują takich oficerów, którzy znają temat, przypilnują interesu i swoich, a potem... Wiesz, jak jest. Będziemy się z nimi ganiać, póki nie odpuszczą, a masz świadomość, że to nie w ich stylu... Chociaż...

Na koniec dopadło go jakieś bardziej optymistyczne przecucie, ale nie miał odwagi dzielić się nim z Kamilem. Nie chciał wyjść na słabego albo niespełna rozumu.

– A ty co? Urlop? – zmienił zaraz temat, strząsając z siebie odium poważniejszych spraw. Ożywił się przy tym. – Naharowałeś się...

– Urlop... – Monsignore najpierw wykrzywił kwaśno twarz, a potem momentalnie pojaśniał. – Będzie i urlop. – Rzucił peta i zdusił go butem.

Przypomniała mu się Julia, którą jakoś przedziwnie często ostatnio wspominał. Tak, chciał ją odwiedzić. Tak, prywatnie, jeżeli to w ogóle możliwe po tym, co robił w Szwecji. Zanim jednak znajdzie na to czas, miał w planach jeszcze jedną podróż.

*

Dworzec autobusowy w Królewcu, noszącym wstrętną nazwę Kaliningrad, był o tej porze dnia nieco bardziej zatłoczony. Z nie najnowszych autokarów czy busów wysiadało mrowie ludzi. Przyjezdni do pracy i urzędów oraz turyści.

Autobus firmy Zenit z Białegostoku przywiózł kilkudziesięciu ciekawych tych kilku ocalałych zabytków dawnego Królewca.

Szczupły mężczyzna w taniej jasnej czapce, koszulce i kamizelce przypominającej rybacką wynosił z autobusu swojego brata – niższego, łysiejącego, z kilkudniowym zarostem. Mężczyzna był niepełnosprawny ruchowo i umysłowo. Wydawał się podekscytowany, co wyrażał niezgrabnym uśmiechem i przewracaniem błyszczących oczu. Kierowca ostrożnie wy dobył z bagażnika pod podłogą wózek inwalidzki i go rozłożył. Uśmiechał się delikatnie, chyba wzruszony opiekuńczością, zdawało się, niemłodego już pasażera.

Ten podziękował i się uklonił. Usadowił swojego brata. Nałożył mu szeroki wędkarski kapelusik i podał wody.

Pchał wózek na przystanki. Taszczył go do autobusów albo rzadziej taksówek,

krążąc po mieście przez całe słoneczne przedpołudnie. Wreszcie tuż po czternastej dwójka Polaków dotarła na rozległy plac Zwycięstwa.

Opiekun kupił młodszemu lody i pomógł je zjeść. Musiał odpocząć, był zmachany i spocony. Budził powszechne miłosierdzie i szacunek wśród mijających go lekko ubranych przechodniów i turystów.

Po około półgodzinie mężczyzna wstał z ławki i zaczął pchać wózek w stronę skrytej w cieniu drzew ulicy Prospekt Mira.

Szedł szybszym krokiem niż przed kilkoma chwilami. Przemierzał aleję parku rozciągającego się po północnej stronie ulicy. Upał zdawał się wzmaczać albo tak tylko zdawało się mężczyźnie, im dalej się zapuszczał. Ruch był normalny, może nawet bardziej wzmożony. Tylko przechodniów w tej części miasta było o wiele mniej. Dwójka osobników, w tym jeden na wózku, zwracała uwagę.

Opiekun otarł chusteczką czoło i zasiadł na ławce pod zielonymi konarami. Napoił brata i mu też wytarł twarz z potu. Zwykły moment odpoczynku.

Kilka minut wcześniej na telefon oficera dyżurnego kaliningradzkiego FSB przy Sowieckim Prospekcie zadzwonił zatroskany obywatel. Był wystraszony, ale bardzo precyzyjny.

Podejmowanie decyzji trwało, ale nie można było zignorować takiego ostrzeżenia.

Opiekun niepełnosprawnego wiedział, że plan działa. Drzwi w nieodległym budynku – pałacu w kolorze płowiejącej czerwieni, o białych kolumnadach – się otworzyły. Słychać było dzwonki i jakieś pokrzykiwania.

Grupki wojskowych i cywilnych pracowników wychodziły spokojnie przed siedzibę dowództwa Floty Bałtyckiej. Tłum się rozrastał, rozchodząc się wkoło po parku.

Opiekun spojrzął się na podopiecznego. Oczy inwalidy były bardzo skupione. Mężczyzna skinął nieznacznie głową i jego ręka powędrowała do plecaka zawieszzonego na oparciu.

Opiekun wyprostował się i ostrożnie, jakby interesowało go po prostu całe to zamieszanie, wyglądał czegoś.

Czas upływał niebezpiecznie, a rzeczy, której wyglądał, nie było. Pot zaczął lać mu się obficie po twarzy. Tylko „chory” grał swoją rolę perfekcyjnie. Nie wychodził z niej nawet na sekundę.

Tłum mundurowych i cywilów robił się większy, ale mało kto zwracał uwagę na

dwóch umęczonych mężczyzn. To nieco ułatwiało im zadanie.

– Jest – szepnął cicho Monsignore do ucha Roberta Krawca.

Ten wydał z siebie jakieś ciche stęknienie. Złożył ręce na oparciach i zaparł się nogami o chodnik.

– Idziemy. – Kamil wstał pierwszy, udając, że pomaga dźwignąć się choremu.

Przeszli kilka metrów, nie wypadając z roli. Im bliżej jednak byli czarnego SUV-a, który już zwalniał na ulicy, tym szybsze i normalniejsze stawiali kroki.

Wsiedli do auta, pewni, że na razie nikt niczego nie zauważył. Wóz ruszył spokojnie, by nie zwracać na siebie uwagi. Dopiero po kilkuset metrach przyspieszył. Tam też do uszu komandosów doszedł huk eksplozji. Kamil spojrzał za siebie, ale widać było tylko szary obłok dymu.

Nie cieszył się. Obydwaj nie powiedzieli słowa. Po prostu dali się wieźć. To była dopiero jedna część zadania.

Pod nogami mieli torbę, z której zaczęli dobierać sobie nowe elementy ubioru.

Kierowca zdołał wywieźć ich poza miasto, zanim opadły rozgardiasz i niedowierzanie.

Samochód dotarł nad brzeg Bałtyku. Dwaj komandosi wysiedli nieopodal wydmy porośniętej sosnami. Monsignore wydobył telefon i odczytał zapis GPS, który miał wgrany w aparacie. Nie byli daleko od celu. Wóz zniknął między drzewami, a dwaj Polacy ruszyli w stronę szumu morza.

We wskazanym przez satelitę punkcie pod wodoszczelną plandeką zasypaną piaskiem i gałęziami ukryte były akwalungi, pianki do nurkowania, broń krótka. Operatorzy sprawdzili najważniejsze, czyli odbiorniki GPS pracujące pod wodą.

Ubierali się kolejno. Jeden pilnował, czy ktoś nie idzie, czy ich nie wykrył. Wyjście na plażę też musiało być ostrożne i skryte. Był sezon wakacyjny i choć znajdowali się daleko od miast, mogli natknąć się na przygodnych plażowiczów albo raczej... patrol dozorujący wybrzeże tej wielkiej bazy wojskowej, którą w rzeczywistości był cały obwód kaliningradzki. Miejsce ewakuacji zostało jednak wybrane perfekcyjnie. Polacy byli w tej chwili sami.

Nałożyli maski. Wzuli płetwy. Za kilka chwil zniknęli w zielonkawej toni morza. Dopłynęli do podwodnego pojazdu, klucząc nieco za długo. Urządzenie, którego się uczepili, ruszyło z cichym szumem silników w stronę domu.

Kilka długich godzin później, kiedy dzień przechodził w czerń nocy, wynurzyli się

w basenie portu w Helu – miejscu nieudanego ataku, który miał odwrócić uwagę od zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej oraz stać się elementem zamętu, jaki spadłby na Europę tuż przed inwazją na Ukrainę.

Basen portowy był pilnowany przez zespół Formozy zakamuflowanej jako zwykłe wojsko. W okolicy stało kilka aut w kamuflażu i karetka. Wszystko miało wyglądać jak jakieś działania szkoleniowe.

Płetwonurkowie wyszli prędko po drabinkach i pobiegli do parkującego najbliżej tarpana. Monsignore, nim wszedł, odwrócił się na moment. W dalekiej perspektywie miał przed oczami dość dobry widok gdyńskiego Oksywia. Był w domu.

Dopiero docierało do niego, że wziął odwet. Nieważne były znajomości czy wyrozumiałość w charakterze spotkania z tymi z drugiej strony. Bez względu na to, jak mocno weszli w wewnętrzny konflikt. Nawet jeżeli podsuwali kierunki rozwiązań. Istniały przecież sprawy, których nie można było darować.

KONIEC

SPIS TREŚCI

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Na dzikich polach](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Epilog](#)